

DENNIS LEHANE

GDZIE JESTEŚ, AMANDO?

Z angielskiego przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz



Świat Książki



Tytuł oryginału
GONE, BABY, GONE

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Jacek Ring

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Dorota Wojciechowska
Bożenna Burzyńska

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych
czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Za pomoc w przetłumaczeniu rozdziału dotyczącego
futbolu amerykańskiego Wydawnictwo serdecznie dziękuje
Panu Piotrowi Gorzkowskiemu ze Stowarzyszenia Polski Związek
Futbolu Amerykańskiego.

Copyright © 1998 by Dennis Lehane
Copyright © for the Polish translation by Zofia Uhrynowska-Hanasz, 2008

Świat Książki
Warszawa 2008

Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10
02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Andrzej Sobkowski, MAGRAF S.C., Bydgoszcz

Druk i oprawa
Finidr, Czechy

ISBN 978-83-7391-661-6
Nr 4912

Mojej siostrze Maureen i moim braciom Michaelowi, Thomasowi i Gerardowi: dzięki za to, że staliście przy mnie murem i że wytrzymaliście ze mną, co musiało być niełatwe. A także JCP, który nigdy nie miał szansy.

Podziękowania

Mój wydawca, Claire Wachtel, i moja agentka, Ann Rittenberg, raz jeszcze, mając w ręku bezprzykładny groch z kapustą, zrobiły z tego rękopis, co sprawiało, że wyglądam znacznie lepiej, niż miałbym prawo się spodziewać. Mal, Sheila i Sterling przeczytali pierwszą wersję i przedyskutowali ze mną słabe punkty. Chciałbym także podziękować sierżantowi Larry'emu Gillisowi z wydziału spraw publicznych policji stanu Massachusetts; Mary Clark z Biblioteki Publicznej Thomasa Crane'a w Quincy oraz Jennifer Brawer z wydawnictwa William Morrow, jak również Francesce Liversidge z Bantam UK - za niezliczone, często nieuchwytnie dowody życzliwości.

Od autora

Ktokolwiek zna Boston, Dorchester, Południowy Boston i Quincy, jak również kamieniołomy Quincy i rezerwat Blue Hills, zorientuje się, że pozwalam sobie na wielką swobodę w opisach zarówno geograficznych, jak i topograficznych szczegółów tych miejsc. Jest to całkowicie zamierzone. Wszystkie te miasta, miasteczka i tereny wprawdzie istnieją, ale zostały przeze mnie zmienione na potrzeby tej powieści, jak również z powodu kaprysu i dlatego należy je traktować jako całkowicie fikcyjne. Ponadto wszelkie podobieństwa pomiędzy postaciami i wydarzeniami opisanymi w tej książce a rzeczywistymi osobami żyjącymi lub zmarłymi są czysto przypadkowe.

Port Mesa, Teksas

Październik 1998

Na długo przedtem, nim słońce trafia do zatoki, kutry rybackie wypływają w ciemność. Są to głównie poławiacze krewetek i nieliczni amatorzy marlinów i tarponów - tak czy inaczej niemal wyłącznie mężczyźni. Garstka kobiet, zajmujących się połowem krewetek, trzyma się razem na uboczu. Jest to wybrzeże Teksasu i ponieważ w ciągu dwóch wieków połowów tak wielu mężczyzn straciło w tych twardej warunkach życie, ich potomkowie i żyjący przyjaciele uważają, że mocno zakorzenione uprzedzenia i nienawiść do wietnamskich rywali, a także nieufność do kobiet, imających się tej brudnej roboty, która polega na gmeraniu w ciemnościach hakami i grubą, wrzynającą się w kłykcie liną, są w pełni uzasadnione.

Kobiety - mówi jeden z rybaków w mrokach przedświt, kiedy szyper trawlera zmniejsza obroty silnika, a dokoła kołuje się lśniąca toń - powinny być jak Rachel. To jest kobieta!

Tak, to jest kobieta - potwierdza drugi. - Niech to szlag.

Rachel przyjechała do Port Mesa stosunkowo niedawno. Pojawiła się w lipcu z małym synkiem i zdezelowaną półciężarówką Dodge'a, wynajęła w północnej części miasta niewielki domek i udała się do baru Crockett's Last Stand, znajdującego się na szczycie wychylonej ku morzu skały nabrzeża, gdzie zdjęła z okna kartkę „Potrzebna pomoc”.

Minęły miesiące, nim ktokolwiek poznał jej nazwisko: Smith.

Port Mesa przyciąga wielu Smithów. A także paru ludzi o nieznanym personaliach. Członkowie załóg trawlerów poławiających krewetki z reguły przed czymś uciekają. Śpią, kiedy inni czuwają, pracują, gdy większość śpi, resztę czasu spędzając na picu w barach, do których przeciętny cudzoziemiec bałby się wejść. Żyją tylko połowami i porami roku - na zachód aż do Baja, a na południe do Key West - a pobory dostają w gotówce.

Dalton Voy, właściciel Crockett's Last Stand, płaci Rachel Smith gotówką. Ale gdyby tylko chciała, płaciłby jej i w złotych sztabach. Od kiedy bowiem stanęła za barem, obroty wzrosły o dwadzieścia procent. Dziwne, ale zmniejszyła się też liczba bójek. Zwykle ludzie przychodzą tu prosto z łodzi, spaleni słońcem i rozdrażnieni, dlatego dyskusje kończą się szybko i w ruch idą butelki i kije bilardowe. A jeśli w pobliżu są piękne kobiety, bywa jeszcze gorzej; Dalton wie to z doświadczenia. Mężczyźni są bardziej skorzy do śmiechu, ale i bardziej drażliwi.

Jest jednak w Rachel coś, co działa na nich uspokajająco.

A jednocześnie ostrzegawczo.

Gdy ktoś przekroczy granicę - zbyt długo przytrzyma jej rękę czy powie świński, mało zabawny dowcip - w oczach Rachel pojawia się niebezpieczny zimny błysk. Jest też coś w pięknie rzeźbionych rysach twarzy tej doświadczonej kobiety i w tym, co zapisało na niej życie sprzed Port Mesa, kiedy widziała więcej ciemnych świtów i twardej rzeczywistości niż wszyscy poławiacze krewetek razem wzięci.

Rachel nosi w torebce pistolet. Dalton Voy zobaczył go kiedyś przypadkiem, ale zdziwił go tylko fakt, że w zasadzie nie poczuł zdziwienia. Jakby po prostu o tym wiedział. I jakby wszyscy o tym wiedzieli. Nikt nie zaczepia Rachel na parkingu po pracy, nikt jej nie zaprasza do swojego samochodu. Nikt jej nie odprowadza do domu.

Lecz kiedy w jej oczach nie ma zimnych błysków, a z twarzy znika wyraz chłodnego dystansu, to - ludzie! - jaśnieje cały bar. Bo Rachel ma ruchy tancerki: każdy obrót, każde przechylenie butelki są gładkie i płynne. A kiedy się śmieje, szeroko otwierając usta, w jej oczach wybucha radość i każdy chciałby powiedzieć jakiś dobry kawał, żeby ten śmiech zatrzymać i znowu poczuć gdzieś w krzyżu miłe mrowienie.

No i ten jej chłopaczek. Śliczny blondynek. I choć niepodobny do matki, to kiedy się uśmiecha, wiadomo, że musi być dzieckiem Rachel, może nawet trochę kapryśnym, jak ona. W jego oczach też widać nieraz ostrzeżenie - co jest dziwne u takiego malca. Ledwie zaczął chodzić, a już jak gdyby mówił światu: nie rusz mnie.

Kiedy Rachel jest w pracy, małym zajmuje się stara pani Hayley. Pewnego razu powiedziała Daltonowi, że próżno by szukać grzeczniejszego chłopca, który by jeszcze do tego tak bardzo kochał swoją mamę. Twierdzi, że dzieciak wyrośnie na kogoś nieprzeciętnego. Że będzie kiedyś prezydentem albo kimś takim. Może bohaterem wojennym. Zapamiętaj moje słowa, Dalton. Koniecznie je zapamiętaj.

Któregoś dnia, spacerując, jak zwykle, o zachodzie słońca nad Boynton's Cove, Dalton spotyka matkę i syna. Rachel stoi po pas w ciepłej wodzie zatoki i trzymając małego pod pachy, podrzuca w powietrze. W zachodzącym słońcu woda jest złocista i lśni jak jedwab, a Dalton ma wrażenie, że Rachel dokonuje starożytnego obrządku, kąpiąc swego syna w płynnym złocie, by pokryć jego ciało warstwą, której nic nie przebije ani nie rozerwie.

Oboje śmieją się, dokazując w bursztynowym morzu, a za nimi zachodzi purpurowe słońce. Rachel całuje malca w szyję i sadza go sobie na biodrze, a

chłopczyk tuli się do niej i patrzą sobie w oczy.

Dalton uważa, że chyba nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego.

Rachel go nie widzi i Dalton się nie rusza; czuje się intruzem. Ze spuszczoną głową odchodzi, skąd przyszedł.

Kiedy się człowiek spotka z miłością tak czystą, dzieje się z nim coś dziwnego. Czuje się jakiś mały, brzydki, zawstydzony, niegodny.

Na widok matki i syna, igrających w bursztynowej wodzie, do Daltona dotarła prosta, naga prawda: nigdy w życiu, nawet przez jedną sekundę, nie był tak kochany.

Taka miłość? Do diabła. Taka czysta miłość to prawie zbrodnia.

Spis treści

Część pierwsza - BABIE LATO, 1997	10
1.....	11
2	21
3	34
4	42
5	53
6	66
7.....	72
8	78
9	86
10.....	97
11	113
12.....	121
13.....	135
14.....	141
15.....	149
16.....	158
17.....	175
18.....	186
19.....	205
20	214
21.....	223
22	227
Część druga - ZIMA.....	235
23	236
Część trzecia – NAJTRUDNIEJSZY MIESIĄC.....	244
24	245
25	261
26	279
27	286

28	294
29	305
30	316
31.....	329
32	339
33	355
34	366
35	372
Epilog.....	382

Część pierwsza

BABIE LATO, 1997

1

W tym kraju policja przyjmuje dziennie dwa tysiące trzysta zgłoszeń zaginięcia dzieci.

Znaczną część stanowią dzieci uprowadzone przez jedno ze skłóconych ze sobą rodziców i w ponad połowie wypadków nie ma problemu z ustaleniem miejsca pobytu dziecka. Większość ofiar wraca do domu w ciągu tygodnia.

Kolejna grupa z tych dwóch tysięcy trzystu to mali zbiegowie. I znów, większość nie przepada na długo - miejsce ich pobytu albo jest znane od razu, albo z łatwością daje się ustalić. Najczęściej jest nim dom kogoś z przyjaciół.

Następna kategoria zaginionych to dzieci wyrzucone z domu albo te, które same uciekły, ale nie są przez rodziców poszukiwane. Te wyrzutki trafiają zwykle do schronisk, ukrywają się w terminalach autobusów, lądują na rogach ulic w podejrzanych dzielnicach miast czy wreszcie w więzieniach.

Z ponad ośmiuset tysięcy zaginięć zgłaszanych rocznie w skali całego kraju tylko trzy i pół do czterech tysięcy to przypadki, które wymiar sprawiedliwości nazywa uprowadzeniami nierodzinnymi, albo takie, kiedy policja szybko wyklucza porwanie rodzinne, ucieczkę, odrzucenie przez rodziców czy zaginięcie lub okaleczenie.

Z tej grupy trzystu malców znika co roku bezpowrotnie.

Nikt - ani rodzice, ani przyjaciele, ani wymiar sprawiedliwości, ani instytucje opiekuńcze, ani też organizacje powołane do poszukiwania zaginionych - nie wie, gdzie te dzieci mogą być. Najprawdopodobniej w grobach; w piwnicach albo w

domach pedofilów; czy wreszcie w jakichś szczelinach materii wszechświata, w które wpadają i z których już nigdy nie usłyszymy nawet ich głosu.

Dokądkolwiek zresztą tych trzysta dzieci trafia, pozostaje tam na zawsze. Przez jakiś czas straszą swoim wspomnieniem tych wszystkich, którzy o nich słyszeli, ale swoich bliskich straszą znacznie dłużej.

Jak długo nie ma zwłok - świadectwa ich śmierci - tak długo żyją, pozostawiając w nas świadomość powstałej po nich pustki.

I tak znikają na zawsze.

- Moja siostra - powiedział Lionel McCready, przechadzając się po naszym biurze, mieszczącym się w dzwonnicy - miała bardzo ciężkie życie. - Lionel był dużym mężczyzną z lekko obwisłą psią twarzą i potężnymi ramionami, które opadały, jakby je przygniatał jakiś niewidzialny ciężar. Miał nieśmiały uśmiech, zarośniętą twarz i mocny uścisk twardych, spracowanych rąk. Był ubrany w firmowy uniform posłańca UPS i miał w potężnych dłoniach daszek brązowej bejsbolówki. - Nie ukrywam, że nasza mama lubiła sobie popić. A tata odszedł od nas, jak jeszcze oboje byliśmy mali. Kiedy człowiek dorasta w takich warunkach, to... to się w nim gromadzi dużo złości. Sporo czasu musi upłynąć, nim poukłada sobie w głowie i znajdzie miejsce w życiu. Mówię nie tylko o Helene. Sam miałem poważne problemy, a po dwudziestce nieźle oberwałem od losu i też nie byłem święty.

- Lionel - odezwała się jego żona.

Podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć, że jeśli teraz nie wyrzuci z siebie tego wszystkiego, to już nigdy tego nie robi.

- Ja miałem więcej szczęścia. Spotkałem Beatrice, która wyprostowała moje ścieżki. Chcę powiedzieć, panie Kenzie i pani Gennaro, że jak się człowiekowi da szansę i trochę czasu, to dojrzeje. Otrząśnie się z tego świństwa. A moja siostra... ona dopiero dorasta. Daj Boże. Bo miała naprawdę ciężkie życie i...

- Lionel - powtórzyła jego żona - przestań tłumaczyć Helene. - Beatrice McCready przejechała dłonią po krótkich włosach w kolorze truskawki i dodała: - Usiądź, kochanie, bardzo cię proszę.

- Ja chcę tylko wytłumaczyć, że Helene naprawdę nie miała łatwego życia.

- Ty też nie miałeś, a jednak jesteś dobrym ojcem.

- Ile macie dzieci? - zapytała Angie.

Beatrice uśmiechnęła się.

- Jedno. Pięcioletniego Matta. Zostawiliśmy go u mojego brata i jego żony do czasu znalezienia Amandy.

Na wzmiankę o synu Lionel wyraźnie się wyprostował.

- To wspaniały dzieciak - powiedział, jakby lekko zawstydzony swoją ojcowską dumą.

- A Amanda? - spytałem.

- Amanda też jest wspaniała - odparła Beatrice. - I jest naprawdę o wiele za mała, żeby się gdzieś tam samotnie tulać.

Amanda McCready zniknęła z tej dzielnicy trzy dni temu. Wydawało się, że od tamtej pory cały Boston dostał obsesji na punkcie jej odnalezienia. Policja oddelegowała do szukania małej więcej ludzi niż cztery lata temu po strzelaninie w klinice aborcyjnej do poszukiwania Johna Salviego. Burmistrz zwołał konferencję prasową, podczas której ogłosił, że do chwili znalezienia małej nie ma w mieście pilniejszej sprawy. Prasa dosłownie pękała w szwach od doniesień: co rano oba dzienniki zamieszczały na pierwszych stronach obszerne sprawozdania; wieczorem we wszystkich trzech głównych wydaniach wiadomości podawano aktualny stan poszukiwań, a do tego jeszcze dochodziły co godzinę krótsze komunikaty pomiędzy serialami i talk-show.

Minęły trzy dni - i nic. Nawet najmniejszej poszlaki.

Kiedy Amanda zniknęła, miała cztery lata i siedem miesięcy. Matka położyła ją spać w niedzielę wieczorem, zajrzała do niej raz, około wpół do dziewiątej, a nazajutrz rano, około dziewiątej, zobaczyła już tylko zmiętą pościel i wgłębienie w miejscu, gdzie leżała jej córka.

Znikło także ubranie, które Helene McCready naszykowała dla małej - różowy T-shirt, płócienne szorty, różowe skarpetki i białe tenisówki, a także ulubiona lalka Amandy, jasnowłosa replika trzyletniej dziewczynki, którą Amanda nazwała Pea i która w nieuchwytny sposób przypominała właścicielkę. Pokój nie zdradzał śladów jakiegokolwiek walki.

Helene i Amanda mieszkały na pierwszym piętrze dwupiętrowego budynku i wersja, że mała została uprowadzona przez kogoś, kto przystawił drabinę do okna jej pokoju i odsunął żaluzję, żeby się dostać do środka, była wprawdzie możliwa, ale mało prawdopodobna. Żaluzja bowiem i parapet nie nosiły żadnych śladów intruza, podobnie jak ziemia pod oknem - śladów drabiny.

Znacznie prawdopodobniejsze wydawało się - jeśli oczywiście przyjmiemy, że

czterolatka nie opuściła nagle sama domu w środku nocy - że porywacz wszedł frontowymi drzwiami i to bez potrzeby majstrowania przy zamku czy zdejmowania drzwi z zawiasów, bo były one po prostu otwarte.

Kiedy ta okoliczność wyszła na jaw, Helene nieźle się w prasie oberwało. Dwadzieścia cztery godziny po zniknięciu małej bostońska bulwarówka „News”, odpowiednik „New York Post”, zamieściła na pierwszej stronie pod nagłówkiem: „Proszę wejść: Mama małej Amandy zostawiła drzwi do mieszkania niezamknięte” dwa zdjęcia - Amandy i drzwi wejściowych do mieszkania. Drzwi były szeroko otwarte, co według policji nie zgadzało się ze stanem faktycznym tamtego ranka. Niezamknięte na zamek - tak; szeroko otwarte - nie.

Dla większości mieszkańców Bostonu jednak ta różnica nie miała żadnego znaczenia. Helene McCready zostawiła swoją czteroletnią córeczkę w niezamkniętym mieszkaniu, a sama poszła do sąsiedniego domu do przyjaciółki, Dottie Matthews. Tam obejrzały dwie komedie i film tygodnia *Grzechy jej ojca* z udziałem Suzanne Somers i Tony'ego Curtisa. Po dzienniku „zaliczyły” jeszcze weekendowe wydanie *Entertainment Tonight* i dopiero po nim Helene wróciła do domu.

Z grubsza biorąc, Amanda McCready pozostawała bez opieki w niezamkniętym mieszkaniu przez jakieś trzy godziny i czterdzieści pięć minut. Jak przypuszczano, w tym czasie albo sama wymknęła się z domu, albo została uprowadzona.

Angie i ja śledziliśmy tę sprawę tak samo uważnie jak reszta mieszkańców miasta i tak samo jak wszyscy inni byliśmy zdezorientowani. Helene McCready poddała się na okoliczność zaginięcia córki badaniu wykrywaczem kłamstw i przeszła test pomyślnie. Policja nie znalazła żadnego tropu, jakim mogłaby podążyć; podobno radzili się nawet wróżki. Noc była ciepła, w powietrzu unosiło się babie lato, okna pootwierano i ludzie snuli się do późna po ulicach, a mimo to nikt z sąsiadów nie widział nic podejrzanego ani nie słyszał nic, co by przypominało krzyki dziecka. Nikt nie widział ani płaczącej się samotnie dziewczynki, ani podejrzanego osoby czy osób, które by niosły albo dziecko, albo dziwnie wyglądający tobolek.

Amanda McCready przepadła jak kamień w wodę, tak jakby się nigdy nie urodziła.

Jej ciotka, Beatrice McCready, zadzwoniła do nas po południu. Powiedziałem jej, że nie sądzę, byśmy mogli zrobić dla jej siostrzenicy cokolwiek ponad to, co już zrobiła setka policjantów, pół korpusu prasowego miasta i tysiące zwykłych ludzi.

- Szkoda pani pieniędzy - powiedziałem jej szczerze.
- Znacznie bardziej szkoda mojej siostrzenicy - odparła.

W środę, kiedy wieczorny szczyt miał się ku końcowi i z ulicy pod nami dochodziły już tylko dalekie odgłosy klaksonów i dodawania gazu, Angie i ja siedzieliśmy w naszym biurze w dzwonnicy kościoła pod wezwaniem św. Bartłomieja w Dorchester i słuchaliśmy ciotki i wuja Amandy, którzy starali się nas przekonać do wzięcia tej sprawy.

- Kto jest ojcem Amandy? - zapytała Angie.

Ramiona Lionela znów przygniótł ciężar.

- Nie wiemy. Przypuszczamy, że jest to niejaki... niejaki Todd Morgan. Wyjechał z miasta zaraz po tym, jak się okazało, że Helene jest w ciąży. Od tamtej pory wszelki słuch po nim zaginął.

- Ale lista możliwych ojców jest długa - wtrąciła Beatrice. Lionel stał z oczami utkwionymi w podłodze.

- Panie McCready - odezwałem się. Spojrzał na mnie.

- Lionel.

- Proszę cię, Lionel, usiądź.

Nie bez wysiłku usadowił się na niewielkim krześle po drugiej stronie biurka.

- A ten Todd Morgan... - kontynuowała Angie, zapisawszy w notatniku imię i nazwisko mężczyzny - czy policja zna jego miejsce pobytu?

- Mannheim w Niemczech - wyjaśniła Beatrice. - Stacjonuje tam jego jednostka, ale kiedy zniknęła Amanda, był w bazie.

- Czy skreślili go z listy podejrzanych? - spytałem. - Czy nie istnieje taka możliwość, że do uprowadzenia małej posłużył się kimś znajomym?

Lionel odchrząknął i znów wbił wzrok w podłogę.

- Policja powiedziała, że moja siostra narobiła mu tylko kłopotu, a poza tym Morgan uważa, że Amanda nie jest jego dzieckiem. - Spojrzał na mnie swoimi poczciwymi, łagodnymi oczami. - Policja mówi, że powiedział tak: „Jak bym chciał mieć bachora, żeby mi w kółko srał i wrzeszczał, tobym sobie sprawił niemieckiego”.

Czułem, z jakim trudem mu przyszło nazwanie małej „bachorem”, skinąłem więc tylko głową i powiedziałem:

- A teraz chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o Helene.

O czym tu było jednak mówić. Helene McCready, cztery lata młodsza od Lionela,

musiała mieć teraz dwadzieścia osiem lat. Przerwała naukę w trzeciej klasie szkoły średniej Monsignor Ryan Memorial, której mimo obietnic nigdy nie ukończyła. Jako siedemnastolatka uciekła ze starszym o piętnaście lat facetem i zanim wróciła do domu, z popodbijanymi oczami i po pierwszej ze swoich trzech skrobanek, mieszkała z nim w przyczepie kempingowej w New Hampshire przez pół roku. Od tamtej pory wykonywała różne zajęcia: była kasjerką w Shop and Stop, ekspedientką w Chess King, pracownicą pralni chemicznej i recepcjonistką w United Parcel Service, ale nigdzie nie zagrzała miejsca dłużej niż osiemnaście miesięcy. Po zniknięciu córki wzięła wolne w Li'l Peach, gdzie pracowała na pół etatu przy obsłudze maszyny loteryjnej i nic nie wskazywało na to, że tam wróci.

- Ale ona kochała tę małą - oświadczył Lionel.

Beatrice sprawiała wrażenie, jakby była innego zdania, ale nie odezwała się słowem.

- A gdzie jest w tej chwili Helene? - zapytała Angie.

- U nas - odparł Lionel. - Adwokat, z którym się kontaktowaliśmy, poradził, żebyśmy ją chronili, jak długo się da.

- Dlaczego? - spytałem.

- Jak to dlaczego?

- Tak, dlaczego, przecież to jej dziecko zaginęło. Czy to nie ona powinna apelować do opinii publicznej? A przynajmniej zabiegać o pomoc u sąsiadów?

Lionel otworzył usta, po czym zaraz je zamknął. Spojrzał na swoje buty.

- Ona się do tego nie nadaje - wyjaśniła Beatrice.

- Dlaczego? - zainteresowała się Angie.

- Bo... bo to jest Helene - odparła Beatrice.

- Czy policja monitoruje jej telefony, na wypadek gdyby żądano okupu?

- Tak - odparł Lionel.

- No i nie ma jej w domu?

- Ona by tego nie wytrzymała. Potrzebuje trochę prywatności. - Lionel wyciągnął rękę i spojrzał na nas.

- Och, prywatności... - powtórzyłem.

- Oczywiście - powiedziała Angie.

- Wiem, jak to może wyglądać dla kogoś z zewnątrz... - Lionel znów zaczął miąć czapkę. - Naprawdę wiem. Ale ludzie na różne sposoby okazują rozpacz, prawda?

Skinąłem głową bez większego przekonania.

- Skoro trzykrotnie usuwała ciążę... - zacząłem i Lionel się skrzywił - to dlaczego zdecydowała się urodzić akurat Amandę?

- Pewnie uznała, że już czas. - McCready nachylił się do mnie, a jego twarz pojaśniała. - Żeby pan widział, jaka była podczas tej ciąży podniecona. Jej życie wyraźnie nabrało sensu. Uwierzyła, że wszystko się zmieni na lepsze.

- Dla niej - podsumowała Angie. - Ale co z dzieckiem?

- Ja też to wtedy mówiłam - wtrąciła Beatrice.

Lionel zwrócił się do obu kobiet z szeroko otwartymi oczami, z których znów wyzierała rozpacz.

- One były dla siebie dobre - powiedział. - Jestem o tym przekonany.

Beatrice patrzyła na swoje buty; Angie wyglądała przez okno.

- Naprawdę - zapewnił mnie Lionel.

Skinąłem głową, a jego psia twarz obwisła w wyrazie uspokojenia.

- Lionel. - Angie w dalszym ciągu wyglądała przez okno. - Przeczytałam wszystkie doniesienia prasowe na ten temat. Nikt nie ma pojęcia, kto mógłby uprowadzić Amandę. Policja utknęła w martwym punkcie, a zgodnie z tym, co pisze prasa, Helene też nic nie wie.

- Zdaję sobie sprawę. - Lionel skinął głową.

- No więc dobrze. - Angie odwróciła się od okna i spojrzała na niego. - Jak sądzisz, co się mogło stać?

- Zupełnie się nie orientuję. - Tak mocno ścisnął czapkę, że miałem wrażenie, że mu się rozleci w tych jego wielkich łapskach. - Jakby ją niebo wessało.

- Czy Helene z kimś się spotykała? Beatrice parsknęła.

- Chodzi mi o to, czy regularnie.

- Nie - odparł Lionel.

- Gazety sugerują, że się włóczyła z jakimiś podejrzanymi typami - dodała Angie.

Lionel wzruszył ramionami, jakby to było coś oczywistego.

- Przesiaduje w Filmore Tap - podsunęła Beatrice.

- To najgorsza speluna w całym Dorchester - wpadła jej w słowo Angie.

- I pomyśleć, ile barów pretenduje do tego zaszczytu - wtrąciła Beatrice.

- Nie jest aż tak źle. - Lionel wyraźnie prosił mnie wzrokiem o wsparcie.

Wyciągnąłem ręce przed siebie.

- Zawsze noszę przy sobie broń, Lionel. A mimo to, gdy wchodzę do Filmore, jestem zdenerwowany.

- To znane miejsce spotkań narkomanów - powiedziała Angie. - Tam podają kokę i heroinę jak skrzydełka na ostro. Czy twoja siostra ma problem z narkotykami?

- Macie na myśli przykładowo heroinę?

- Mają na myśli przykładowo jakiekolwiek narkotyki - wyjaśniła mężowi Beatrice.

- Trochę popała trawkę - odparł Lionel.

- Trochę czy dużo? - spytałem.

- A ile to jest dużo? - chciał wiedzieć Lionel.

- Czy trzyma przy łóżku fajkę wodną do palenia marihuany i cygarniczkę - wyjaśniła Angie.

Lionel łypnął na nią spode łba.

- Ona nie jest uzależniona od żadnego specjalnego narkotyku - powiedziała Beatrice. - Bierze, co popadnie, taka amatorszczyzna.

- Kokę? - spytałem.

Beatrice skinęła głową, a Lionel spojrział na nią osłupiały.

- Prochy?

Beatrice wzruszyła ramionami.

- W żyłę?

- Ależ skąd! - zareagował żywo Lionel.

- O ile ja wiem, to nie - poparła go Beatrice i po chwili namysłu dodała: - Nie. Przez całe lato widywaliśmy ją w szortach i w topach bez rękawów. Zauważylibyśmy ślady.

- Chwileczkę. - Lionel uniósł rękę. - Chwileczkę. Mamy szukać Amandy, a nie opowiadać o złych obyczajach mojej siostry.

- Musimy wiedzieć wszystko o Helene, o jej złych obyczajach i o jej przyjaciołach też - powiedziała Angie. - Kiedy ginie dziecko, najczęściej przyczyny związane są z domem.

Lionel wstał, a jego cień wypełnił płaszczyznę biurka.

- Co to znaczy?

- Usiądź - poleciła mu Beatrice.

- Nie. Muszę wiedzieć, co to znaczy. Chcesz powiedzieć, że moja siostra może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Amandy? Angie obserwowała go uważnie.

- To ty mi powiedz.

- Nie - prawie krzyknął. - Okay? Nie. - Spojrział na żonę. - Ona nie jest kryminalistką. Okay? Jest kobietą, która straciła dziecko. Nie rozumiecie tego?

Beatrice zmierzyła go wzrokiem z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Lionel - powiedziałem.

Spojrzał na żonę, a potem znów na Angie.

- Lionel - powtórzyłem i dopiero wtedy zwrócił się do mnie. - Sam mówiłeś, że Amanda jakby rozplynęła się w powietrzu. Okay. Szuka jej pięćdziesięciu policjantów. Może więcej. Wy dwoje koło tego chodźcie. Ludzie z sąsiedztwa...

- Tak - odparł. - I to bardzo wielu. Są naprawdę wspaniali.

- No więc dobrze. To gdzie jest wobec tego Amanda?

Popatrzył na mnie tak, jakbym miał za chwilę wyciągnąć małą z szuflady biurka.

- Nie wiem. - Zamknął oczy.

- Nikt nie wie - odparłem. - Ale jeśli mielibyśmy się tym zająć... wcale nie mówię, że się zajmujemy...

Beatrice poprawiła się na krześle i spojrzała na mnie twardo.

- No więc jeśli byśmy wzięli tę sprawę, to musimy przyjąć, że Amanda została porwana przez kogoś, kto był jej znany. Lionel usiadł.

- Uważacie, że mała została porwana?

- A ty tak nie uważasz? - odpowiedziała pytaniem Angie. - Trudno sobie wyobrazić, że czterolatka ucieka z domu i w ciągu prawie trzech dni nikt się na nią nie natyka.

- Jasne - zgodził się Lionel, jakby dotarta do niego jakaś prawda, którą znał, ale której do tej pory nie przyjmował do wiadomości. - Tak, przypuszczalnie macie rację.

- To co powinniśmy teraz zrobić? - zapytała Beatrice.

- Mam być szczery?

Beatrice lekko przechyliła głowę, nie przestając patrzeć mi w oczy.

- Nie jestem pewna.

- Macie syna, który niedługo idzie do szkoły, tak?

Skinęła głową.

- Oszczędźcie lepiej te pieniądze, które zamierzaliście wydać na nas i przeznacźcie na jego edukację.

Beatrice nie poruszyła się; w dalszym ciągu miała głowę przekrzywioną lekko w prawo, ale przez moment wyglądała tak, jakby wymierzono jej policzek.

- Czy pan ma zamiar wziąć tę sprawę, panie Kenzie?

- Nie widzę związku jednego z drugim.

Głos Beatrice rozbrzmiał z wielką siłą w małym pomieszczeniu.

- Dziecko...

- Zaginęło - dokończyła za nią Angie. - Tak. Ale szuka go bardzo wiele osób. Media wyjątkowo nagłośniły sprawę. Wszyscy w tym mieście, a niewykluczone, że i w całym stanie wiedzą, jak mała wygląda. I możecie mi wierzyć, że wszyscy wypatrują za nią oczy.

Beatrice popatrzyła na Lionela, który nieznacznie wzruszył ramionami. Odwróciła się od niego i znów spojrzała na mnie. Była niewysoką kobietą, niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, miała bladą, sercowatą twarz usianą piegami tego samego koloru co włosy, a w jej perkatym nosie i podbródku było coś dziecinnego, tak samo jak w kościach policzkowych, które przypominały żółędzie. Ale jednocześnie miała w sobie jakąś niebywałą siłę, jakby chciała rzucić wyzwanie śmierci.

- Przyszłam do was, bo wiem, że znajdujecie ludzi. Tak, znajdujecie. Znaleźliście tego człowieka, co to kilka lat temu zabił tyle osób, uratowaliście tamtego malca i jego matkę na placu zabaw, to wy...

- Pani McCready. - Angie uniosła rękę.

- Nikt nie chciał, żebym tu przychodziła, ani Helene, ani mój mąż, ani policja. Szkoda pieniędzy, mówili. To przecież nawet nie twoje dziecko.

- Kochanie. - Lionel przykrył ręką jej dłoń.

Strząsnęła ją, nachyliła się tak, że oparła łokcie na biurku i swoimi szafirowymi oczami patrzyła mi w oczy.

- Panie Kenzie, pan ją znajdzie.

- Nie - odparłem łagodnie. - Jeśli została bardzo dobrze schowana, to nie znaję. Zwłaszcza że nie odszukali jej inni ludzie, równie dobrzy w tym jak my. Jesteśmy tylko dwiema dodatkowymi osobami, pani McCready. Nikim więcej.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - Jej głos znów stał się cichy i lodowaty.

- To, że dwie dodatkowe pary oczu niewiele mogą - odparła Angie.

- Ale co wam szkodzi spróbować? - nie dawała za wygraną Beatrice. - Możecie mi powiedzieć? Co wam to szkodzi?

2

Z punktu widzenia detektywa zniknięcie dziecka - gdy się już wykluczy ucieczkę i uprowadzenie przez jedno z rodziców - bardzo przypomina morderstwo: jeśli sprawa nie zostanie rozwiązana w ciągu pierwszych siedemdziesięciu dwóch godzin, istnieje uzasadniona obawa, że nigdy nie zostanie rozwiązana. To naturalnie nie musi znaczyć, że dziecko nie żyje, choć prawdopodobieństwo jest wysokie. Ale jeśli żyje, to znajduje się w sytuacji gorszej niż w chwili zaginięcia, gdyż szara strefa motywów ludzkich działań wobec cudzego dziecka nie jest szeroka. Albo pomagają ofierze, albo ją wykorzystują. O ile metody wykorzystywania takiego dziecka mogą być różne - porwanie dla okupu, zmuszanie do pracy, molestowanie seksualne z powodów osobistych oraz/lub dla zysku czy wreszcie morderstwo - o tyle pobudki, z jakich ludzie dopuszczają się takich czynów, są zawsze nieuczciwe. Jeżeli jednak dziecko przeżyje i zostanie w końcu odnalezione, w jego świadomości pozostają rany nie do zagojenia.

W ciągu ubiegłych czterech lat zabiłem dwóch ludzi. Musiałem patrzeć, jak umiera mój najstarszy przyjaciel i kobieta, której prawie nie znałem. Widziałem dzieci zhańbione na różne najokrutniejsze sposoby, spotykałem mężczyzn i kobiety, którzy zabijali, jakby działali w odruchu warunkowym, obserwowałem, jak brutalność, którą się aktywnie otaczałem, niszczy wszelkie więzi.

I czułem się tym wszystkim zmęczony.

Amandy McCready nie było co najmniej od sześćdziesięciu, może nawet

siedemdziesięciu godzin i nie miałem najmniejszej ochoty znaleźć jej w jakimś pojemniku na śmieci z włosami pozlepianymi krwią. Tak samo jak nie chciałem jej zobaczyć po jakichś sześciu miesiącach z oziębiającym spojrzeniem, wykorzystanej przez zboczeńca z kamerą wideo i listą mailowych adresów innych pedofilów. Wzdragąłem się przed spojrzeniem w oczy czterolatki, by w nich nie zobaczyć śmierci tego wszystkiego, co było w niej czyste.

W ogóle nie chciałem znaleźć Amandy McCready. Wolałem, żeby to zrobił ktoś inny.

Ale jednak zgodziliśmy się spotkać za pół godziny z Lionelem i Beatrice McCready w mieszkaniu Helene. Może dlatego, że w ciągu ostatnich kilku dni tak bardzo zaangażowałem się w tę sprawę lub dlatego, że sprawa wydarzyła się w moim tak bliskim sąsiedztwie, lub wreszcie dlatego, że słowa „czterolatka” i „zaginiona” nie powinny dotyczyć jednej i tej samej osoby.

- To znaczy, że bierzecie, państwo, tę sprawę, tak? - zapytała Beatrice, wstając.

- Musimy to między sobą przedyskutować - odparłem.

- Ale...

- Pani McCready - powiedziała Angie - tego typu sprawy załatwia się w określony sposób. Zanim cokolwiek zdecydujemy, musimy się najpierw prywatnie naradzić.

Nie spodobało się to Beatrice, ale jednocześnie wiedziała, że nic nie poradzi.

- Za pół godziny będziemy u Helene - zakończyłem rozmowę.

- Dziękujemy. - Lionel pociągnął żonę za rękaw.

- Tak, dziękujemy - dodała Beatrice, choć nie zabrzmiało to szczerze. Odniosłem wrażenie, że jeśli chodziło o poszukiwanie Amandy, panią McCready zadowoliliby dopiero wysłanie przez prezydenta w teren Gwardii Narodowej.

Przez jakiś czas słuchaliśmy ich kroków, kiedy schodzili po schodach dzwonnicy, a potem patrzyłem przez okno, jak opuszczają szkolne boisko obok kościoła i wsiadają do poobijanego dodge'a ariesa. Słońce, mijając moją linię wzroku, przesunęło się na zachód, a na wczesnopaździernikowe niebo, dalej w bladym odcieniu lata, napłynęły rudawe smugi. Dziecinny głos zawołał: „Vinny, poczekaj! Vinny!”. Z wysokości trzeciego piętra nad ziemią wyczułem w tym dźwięku nutę samotności. Samochód Beatrice i Lionela zawrócił na ulicy, a ja patrzyłem na chmurę spalin z jego rury wydechowej, dopóki nie znikł mi z oczu.

- Nie wiem - powiedziała Angie, odchylając się na oparcie krzesła. Położyła na biurku nogi w tenisówkach i odgarnęła ze skroni gęste długie włosy. - Naprawdę nie

wiem, co z tą sprawą.

Miała na sobie czarne rowerowe szorty z lycry i luźny czarny bezrękawnik na obcisłym białym. Na czarnym bezrękawniku z przodu widniał napis NIN, a z tyłu PRETTY HATE MACHINE¹. Nosila go od jakichś ośmiu lat, ale wyglądał tak, jakby go włożyła po raz pierwszy. Żyłem z Angie już prawie dwa lata. Moim zdaniem nie dbała bardziej o swój wygląd niż ja, ale moje koszule pół godziny po odcięciu metki potrafiły wyglądać tak, jakby je przejechał samochód, podczas gdy ona miała skarpetki jeszcze ze szkoły średniej, które w dalszym ciągu były białe jak obrus. Kobiety i ich ubrania często wprawiały mnie w zdumienie, ale najprawdopodobniej jest to jedna z tych tajemnic, których nigdy nie zgłębię, tak jak się nigdy nie dowiem, co się stało z Amelią Earhart czy z dzwonem, który kiedyś wisiał w pomieszczeniu wynajmowanym przez nas obecnie na biuro.

- W jakim sensie nie wiesz, co z tą sprawą? - zapytałem.

- Zaginęło dziecko, matka, która nie przesadza z poszukiwaniem małej, namolna ciotka...

- Uważasz, że Beatrice jest namolna?

- No, może nie bardziej niż świadek Jehowy, który ci wsadza nogę w drzwi.

- Niepokoi się o tę małą. Jest zrozpaczona.

- Współczuję jej. - Angie wzruszyła ramionami. - Ale nie lubię, jak mnie ktoś naciska.

- Rzeczywiście, to zauważyłem.

Rzuciła we mnie ołówkiem i trafiła w brodę. Potarłem to miejsce i rozejrzałem się za ołówkiem, żeby też w nią rzucić.

- To bardzo zabawne, dopóki się nie straci oka - wymamrotałem, macając pod krzesłem.

- Nieźle sobie radzimy - powiedziała.

- Rzeczywiście. - Ołówka nie znalazłem ani pod krzesłem, ani pod biurkiem.

- W tym roku zarobiliśmy więcej niż w ubiegłym.

- A to przecież dopiero październik. - Ołówek przepadł jak kamień w wodę - nie znalazłem go ani w szparze między deskami podłogi, ani pod małą lodówką. Może dołączył do Amelii Earhart, Amandy McCready i dzwonu.

- Tak, dopiero październik - zgodziła się ze mną Angie. - Chcesz powiedzieć, że ta

¹ *Pretty Hate Machine* to tytuł pierwszego longplaya zespołu Nine Inch Nails (przyp. tłum.).

sprawa jest nam niepotrzebna.

- Coś w tym sensie.

Przestałem szukać ołówka i wyjrzałem przez okno. Rudawe smugi zrobiły się krwawoczerwone, a białe niebo stopniowo ciemniało, robiąc się granatowe. Po drugiej stronie ulicy, w mieszkaniu na drugim piętrze, zabłysła pierwsza tego wieczoru żółta żarówka. Zapach wpadającego przez okno powietrza przypomniał mi wczesną młodość, nasz podwórkowy bejsbol i długie beztroskie dni, które wolno przechodziły w długie beztroskie noce.

- Nie zgadzasz się ze mną? - spytała po chwili milczenia.

Wzruszyłem ramionami.

- Mów teraz albo na zawsze zachowaj milczenie - powiedziała lekko.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią. Gęstniejący zmierzch, złocisty w oknie, opływał ciemne włosy Angie. Jej skóra, przypominająca kolorem plaster miodu, była po długim, suchym lecie, które wbiło się klinem głęboko w jesień, ciemniejsza niż zwykle. Mięśnie jej łydek i bicepsy wyglądały okazalej po miesiącach codziennej gry w koszykówkę na boisku Ryana.

Z moich wcześniejszych doświadczeń z kobietami wynikało, że kiedy jest się z nimi bardzo blisko, to pierwszą rzeczą, którą się po jakimś czasie przestaje dostrzegać, jest ich uroda. Na poziomie intelektualnym wiesz, że ta kobieta ją ma, ale twoja emocjonalna zdolność popadania w zachwyt, zdumienie i oszołomienie maleje. Z Angie jest inaczej. Codziennie są takie chwile, że spoglądam na nią i czuję, jak moją pierś przenika słodki ból od samego patrzenia na nią.

- Co? - Pełne usta Angie rozszerzyły się w uśmiechu.

- Nic - odparłem łagodnie. Wytrzymała moje spojrzenie. - Ja też cię kocham.

- Kochasz?

- Bardzo.

- Straszno, nie uważasz?

- Czasami straszno, tak. - Wzruszyła ramionami. - A czasami wcale niestraszno.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, po czym wzrok Angie odpłynął w stronę okna.

- Nie jestem przekonana, czy ten cały pasztet jest nam potrzebny... akurat w tej chwili.

- A mówiąc „pasztet”, masz na myśli...?

- To zaginione dziecko. Gorzej: całkowicie zaginione dziecko. - Zamknęła oczy,

wdychając przez nos ciepłą bryzę. - Lubię być szczęśliwa. - Otworzyła oczy, ale dalej spoglądała w okno. Broda zadrżała jej lekko. - Wiesz?

Minęło półtora roku od chwili, kiedy skonsumowaliśmy z Angie to, co według naszych przyjaciół było trwającym od dziesięcioleci romansem. Te osiemnaście miesięcy wypadły też najkorzystniej finansowo w całej historii naszej agencji detektywistycznej.

Bez mała dwa lata temu zakończyliśmy czy może po prostu przetrwaliśmy do końca sprawę Gerry'ego Glynnna. Pierwszy od trzydziestu lat znany seryjny morderca Bostonu ściągnął uwagę zarówno na siebie, jak i na nas, gdyż udało nam się go złapać. Wielka kampania w mediach - wiadomości w ogólnokrajowych dziennikach, niekończące się doniesienia w brukowcach i dwa tanie wydania kryminałów plus zapowiedź trzeciego - sprawiła, że staliśmy się z Angie jednymi z bardziej znanych detektywów w mieście.

Przez pięć miesięcy od śmierci Gerry'ego Glynnna nie przyjmowaliśmy żadnych zleceń, co tylko zaostrzyło apetyty naszych potencjalnych klientów. Po zakończeniu śledztwa w sprawie zaginięcia pewnej kobiety, niejkiej Desiree Stone, znów zaczęliśmy działać i przez kilka pierwszych tygodni trwał nieprzerwany marsz po schodach prowadzących na dzwonnice.

Nawet nie porozumiewając się między sobą, zaczęliśmy bez wahania odrzucać sprawy, które cuchnęły zbrodnią czy choćby lekko ocierały się o ciemne strony natury ludzkiej. Najwyraźniej oboje czuliśmy, że należy nam się przerwa, dlatego ograniczyliśmy się do spraw związanych z oszustwami ubezpieczeniowymi, nadużywaniem stanowisk w firmach i zwykłymi rozwodami.

W lutym przyjęliśmy nawet zlecenie pewnej starszej pani, której uciekł legwan. Paskudny bydlak miał na imię Puffy i był czterdziestodwucentymetrowym opalizującym potworem z, jak to określiła jego właścicielka, „negatywnym stosunkiem do ludzkości”. Znaleźliśmy Puffy'ego na przedmieściach Bostonu, na terenie Belmont Hills Country Club, gdy energicznie kiwając ostro zakończonym ogonem, przemykał podmokłym polem golfowym numer czternaście na alejkę pola piętnastego, gdzie dojrzał plamkę słońca. Był zmarznięty. Nie stawiał oporu. Mało brakowało, by został przerobiony na pasek za to, że napaskudził nam na tylne siedzenie służbowego samochodu. Ale jego właścicielka zwróciła nam koszty czyszczenia chemicznego i sownie zapłaciła za znalezienie ulubieńca.

Taki to był rok. Może nie najlepszy z punktu widzenia opowieści przy piwie w lokalnym barze, ale z pewnością wyjątkowy pod względem wyników finansowych. I choć uganie się po zamarzniętym polu golfowym za rozpieszczoną jaszczurką mogło się wydawać nieco wstydliwym zajęciem, to przynajmniej nie groziło otrzymaniem kulki w łeb.

- Uważasz, że straciliśmy ikrę? - zapytała mnie któregoś dnia Angie.
- Zdecydowanie - odparłem i uśmiechnąłem się.

- A jeśli ona nie żyje? - powiedziała Angie, kiedy schodziliśmy na dół po schodach naszej dzwonnicy.

- To byłoby bardzo źle.
- To byłoby gorzej niż źle, w zależności od tego, jak głęboko się zaangażujemy.
- Wnioskuje, że chcesz im odmówić. - Otworzyłem drzwi wychodzące na boisko szkolne.

Patrzyła na mnie z na pół otwartymi ustami, jakby się bała ująć swoje myśli w słowa, usłyszeć, jak się zderzają z powietrzem i dzięki nim zostać kimś, kto odmówił pomocy dziecku w potrzebie.

- Nie za bardzo chciałabym powiedzieć im „tak”; w każdym razie nie teraz - wykrztusiła, kiedy podchodziliśmy do samochodu.

Skinąłem głową. Znałem to uczucie.

- Wszystko mi w tej sprawie brzydko pachnie - kontynuowała Angie, kiedy jechaliśmy Dorchester Avenue w kierunku domu Helene i Amandy.

- Wiem.
- Czterolatki nie znikają bez pomocy.
- Jasne, że nie.

Teraz, po obiedzie, ludzie zaczęli wychodzić z domów. Jedni wystawiali na ganki rozkładane krzesła, inni zmierzali w stronę lokalnych barów albo szli pograć w piłkę. Czułem w powietrzu dwutlenek siarki po świeżo odpalonej racy, a wilgotny wieczór, ciężki jak wstrzymany oddech, wisiał w powietrzu, które miało kolor siny - coś między głębokim granatem a czernią.

Angie podciągnęła nogi pod brodę, którą oparła na kolanach.

- Może stałam się tchórzem, ale uganie się za legwanami po polach golfowych zupełnie mi nie przeszkadza.

Skreślając z Dorchester Avenue w Savin Hill Avenue, spojrzałem przez przednią

szybę.

- Ani mnie - odparłem.

Kiedy zaginie dziecko, pozostałą po nim przestrzeń wypełniają natychmiast dziesiątki ludzi. I ci ludzie - krewni, przyjaciele, funkcjonariusze policji i reporterzy zarówno z telewizji, jak i z prasy - wytwarzają mnóstwo energii i robią wiele szumu, podejmując wspólny wysiłek i dając w ten sposób świadectwo swemu żarliwemu oddaniu sprawie.

Ale pośród całego tego zgiełku najgłośniejsza jest cisza po zaginionym dziecku. Cisza, która ma wzrostu siedemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu centymetrów, którą czujesz u swojego biodra, która krzyczy do ciebie ze wszystkich kątów i szczelin, a także z pozbawionej wyrazu twarzy lalki, porzuconej koło łóżka. Cisza zupełnie inna niż ta, którą znamy z pogrzebów i czuwania przy zmarłych. Cisza śmierci ma w sobie element ostateczności; jest czymś, do czego musisz się przyzwycząić. Ale do ciszy po zaginionym dziecku przyzwycząić się nie chcesz, nie chcesz jej zaakceptować i dlatego ona na ciebie krzyczy.

Cisza zmarłych mówi: do widzenia.

Cisza zaginionego dziecka mówi: znajdź mnie.

Miałem wrażenie, że w mieszkaniu Helene McCready, liczącym dwie sypialnie, zebrała się połowa mieszkańców dzielnicy i jedna czwarta bostońskiej policji. Bawialnia ciągnęła się przez otwarty portyk, przechodząc w jadalnię i właśnie te dwa pokoje stanowiły centrum wszelkiej aktywności. Policja ustawiła na podłodze w jadalni rzędy telefonów, z których wszystkie były zajęte. Oprócz tego kilka osób rozmawiało przez telefony komórkowe. Krzepki mężczyzna w koszulce z napisem PROUD TO BE A DOT RAT spojrział znad sterty ulotek, leżących przed nim na stoliku, i powiedział:

- Beatrice, Kanał Czwarty chce Helene jutro o szóstej wieczorem.

Jakaś kobieta nakryła dłonią mikrofon swojego telefonu komórkowego.

- Dzwonili producenci *Annie in the AM*. Chcą, żeby Helene wystąpiła rano w programie.

- Pani McCready - zawołał z jadalni jakiś policjant - poprosimy tu panią na sekundę.

Beatrice skinęła głową krzepkiemu mężczyźnie i kobiecie z komórką, a do nas powiedziała:

- Sypialnia Amandy jest pierwsza z prawej.

Skinąłem głową, a ona wmieszała się w tłum i ruszyła do jadalni.

Drzwi sypialni Amandy były otwarte, a sam pokój ciemny i cichy, jakby hałasy z ulicy w ogóle tu nie docierały. Rozległ się odgłos spuszczonej wody i z łazienki wyszedł policjant, który przyjrzał się nam badawczo, kończąc zapinać rozporek.

- Przyjaciele rodziny? - zapytał.

- Tak.

- Proszę niczego nie dotykać.

- Nie będziemy - zapewniła go Angie.

Skinąłem głową i oddaliłem się korytarzem w stronę kuchni.

Żeby zapalić światło w pokoju Amandy, posłużyłem się kluczykiem samochodowym. Wiedziałem, że do tej pory każdy drobiazg został tu posypany proszkiem i zbadany pod kątem odcisków palców, ale zdałem sobie również sprawę, jak denerwują się policjanci, kiedy na miejscu przestępstwa ktoś dotknie czegokolwiek gołymi rękami.

Nad łóżkiem Amandy zwisała na przewodzie żarówka bez miedzianej osłony, z gołymi drutami na wierzchu, które pokrył kurz. Sufit gwałtownie domagał się pomalowania, a letni upał źle się obszedł z przyklejonymi do ściany plakatami. Trzy z nich leżały zwinięte i pogniecione przy listwie podłogowej. Na ścianie pozostały po nich nierówne prostokąty odłóżającej taśmy. Nie miałem pojęcia, jak długo plakaty mogły tam leżeć, kurząc się i niszcząc.

Mieszkanie rozkładem przypominało moje, jak również większość mieszkań w trzykondygnacyjnych domach w okolicy, a sypialnia Amandy była mniej więcej o połowę mniejsza od sypialni jej matki. Domyślałem się, że sypialnia Helene musi się znajdować za łazienką na prawo, dokładnie naprzeciwko kuchni i wychodzić na ganek z tyłu domu i na małe podwórko. Sypialnia Amandy wychodziła na sąsiedni dom i w południe musiała być tak samo pozbawiona światła jak teraz, o ósmej wieczorem.

W pokoju czuć było stęchlizną, a nieliczne meble pozostawiały wiele do życzenia. Stojąca naprzeciwko łóżka komoda wyglądała, jakby została kupiona na wyprzedaży podwórkowej, a łóżko nie miało ramy. Był to po prostu materac położony na gołych sprężynach i przykryty prześcieradłem. Na wierzchu leżał koc we wzór z Królem Lwem, odrzucony z powodu gorąca.

W nogach łóżka dostrzegłem lalkę, martwymi oczami wpatrzoną w sufit, a u stóp komody wypchanego królika. Na komodzie stał stary czarno-biały telewizor, a na

nocnym stoliku radio, ale w całym pokoju nie zauważyłem ani jednej książki, nawet takiej do kolorowania.

Usiłowałem sobie wyobrazić dziewczynkę, która sypiała w tym pokoju. W ciągu kilku ostatnich dni widziałem dostatecznie dużo fotografii Amandy, żeby wiedzieć, jak wyglądała, ale sam wygląd niewiele mówił o tym, jaki miała wyraz twarzy, kiedy pod koniec dnia wchodziła do pokoju albo kiedy rano w nim się budziła.

Czy próbowała z powrotem powiesić na ścianie plakaty? Czy prosiła o jaskrawe niebiesko-żółte książeczki z wyskakującymi obrazkami, które widywała w centrach handlowych? Czy leżąc bezsennie w ciszy i ciemnościach nocy, wpatrywała się w sterczący ze ściany samotny gwóźdź naprzeciwko łóżka, a może w brunatny zaciek na suficie w rogu pokoju?

Spojrzałem na paskudne błyszczące oczy lalki i miałem ochotę zamknąć je butem.

- Panie McKenzie, pani Gennaro - zawołała nas z kuchni Beatrice.

Po raz ostatni ogarnęliśmy z Angie wzrokiem sypialnię malej, po czym, znów posługując się kluczem, zgasilem światło i poszliśmy korytarzem do kuchni.

Stał tam z rękami w kieszeniach, oparty o kuchenkę jakiś mężczyzna. Ze sposobu, w jaki nas obserwował, kiedy się zbliżaliśmy, zorientowałem się, że na nas czeka. Był o kilka centymetrów niższy ode mnie, szeroki i okrągły jak beczka na ropę i miał chłopięcą, wesołą, lekko ogorzałą twarz, jakby wiele czasu spędzał na dworze. Z tym wszystkim kontrastowała zwiotczała, pomarszczona szyja człowieka zbliżającego się do emerytury. Mężczyzna miał przy tym w sobie jak gdyby stuletnią twardość i nieustępliwość, które pozwalały mu jednym spojrzeniem ocenić człowieka i całe jego życie.

- Porucznik Jack Doyle - przedstawił się, energicznie wyciągając rękę.

Potrząsnąłem jego dłoń.

- Patrick Kenzie.

Następnie przywitała się z nim Angie, również podając mu rękę. Staliśmy przed Doyle'em w małej kuchni, podczas gdy on przyglądał się badawczo naszym twarzom. Jego oblicze wydawało się nieprzeniknione, jednakże intensywność spojrzenia zdradzała jakąś magnetyczną siłę, która sprawiała, że zamiast się odwrócić, patrzyliśmy mu w oczy.

Widziałem go ostatnio kilka razy w telewizji. Jako funkcjonariusz policji bostońskiej stał na czele Brygady do Walki z Przeszłością przeciwko Dzieciom i kiedy, patrząc w kamerę, mówił o tym, że znajdzie Amandę McCready bez względu na

trudności, człowiek podświadomie współczuł temu, kto ją uprowadził.

- Porucznik Doyle chciał was poznać - wyjaśniła nam Beatrice.

- Właśnie się poznaliśmy.

Doyle uśmiechnął się.

- Macie chwilę? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku drzwi na ganek, oglądając się na nas przez ramię.

- Wygląda na to, że mamy - powiedziała Angie.

*

Balustrada ganku jeszcze bardziej wymagała odmalowania niż sufit w pokoju Amandy. Za każdym razem kiedy któreś z nas się o nią oparło, łuszcząca się farba trzeszczała pod naszymi łokciami jak płonące polana.

Na ganku poczułem dochodzący z sąsiedztwa zapach barbecue i podchwyciłem odgłosy rozmowy prowadzonej na zewnątrz kilka domów dalej. Jakaś kobieta głośno narzekała, że się spiekła na słońcu, w radio grali Mighty, Mighty Bosstones, słychać było śmiech, ostry i nagły jak grzechotanie kostek lodu w szklance. Nie mogłem uwierzyć, że to już październik i że zbliża się zima.

Nie mogłem uwierzyć, że Amanda McCready odplywa coraz dalej i dalej, a mimo to Ziemia nie przestaje się kręcić.

- To co - powiedział Doyle, opierając się o barierkę - rozwiązaliście już sprawę Amandy?

Angie popatrzyła na mnie i przewróciła oczami.

- Nie - rzekłem - ale jesteśmy bliscy.

Doyle zachichotał cicho, patrząc na skrawek betonu i uschniętą trawę poniżej.

- Rozumiem, że powiedział pan McCreadym, żeby się z nami nie kontaktowali - odezwała się Angie.

- A dlaczego miałbym to robić?

- Z tego samego powodu, z jakiego ja bym to zrobiła, będąc na pana miejscu - odparła. - Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

Doyle skinął głową.

- To jedna strona medalu.

- A druga? - spytałem.

Splótł palce i tak wygiął dłonie, że rozległ się trzask stawów.

- Czy ci ludzie wyglądają, jakby spali na pieniądzech albo jakby mieli wysadzone brylantami kandelabry, o których nie wiem?

- Nie.

- No bo słyszałem, że od czasu sprawy Gerry'ego Glynnna słono każecie sobie płacić.

- Ale i sami słono płacimy.

Doyle uśmiechnął się lekko i odwrócił z powrotem do barierki. Ujął ją delikatnie oburącz i odchylił się do tyłu.

- Kiedy ta mała zostanie znaleziona, Lionel i Beatrice będą jakieś sto kawałków do tyłu. Co najmniej. Są tylko ciotką i wujem małej, a mimo to kupują spoty telewizyjne, zamieszczają całostronicowe ogłoszenia we wszystkich dziennikach ogólnokrajowych, rozlepiają zdjęcia Amandy na przydrożnych billboardach, wynajmują wróżki, szamanów, prywatnych detektywów. - Spojrzał na nas. - Finansowo będą skończeni. Musicie sobie chyba z tego zdawać sprawę?

- I to jest właśnie jeden z powodów, dla których próbowaliśmy odmówić - rzuciłem.

- Naprawdę? - Doyle uniósł brew. - To dlaczego tu jesteście?

- Beatrice jest uparta - wyjaśniła Angie.

Zerknął na okno kuchenne.

- To fakt.

- Trochę nas dziwi, że matka Amandy nie jest równie uparta jak ona.

Doyle wzruszył ramionami.

- Kiedy ją ostatni raz widziałem, była na środkach uspokajających, na Prozacu czy co tam dziś dają rodzicom dzieci zaginionych. - Odwrócił się do nas; ręce miał opuszczone po bokach. - Tak czy siak, nie chciałbym na początek niejasnej sytuacji. Wolałbym mieć pewność co do tego, że a) nie będziecie mi wchodzić w drogę; b) nie będziecie opowiadali prasie, że was zaangażowano dlatego, że policjanci są tępakami i sobie nie radzą i c) że nie będziecie czerpali zysku z rozpachy Lionela i Beatrice. Bo muszę powiedzieć, że ich naprawdę lubię. To przyzwoici ludzie.

- Jeszcze raz b, jeśli można prosić, dobrze? - Uśmiechnąłem się.

- Poruczniku - wtrąciła się Angie - tak jak mówiliśmy, robimy wszystko, żeby nie brać tej sprawy. Nie sądzę, żebyśmy mieli okazję wejść panu w drogę.

Doyle obrzucił ją swoim twardym, szczerym spojrzeniem.

- To dlaczego stoicie tu, na tym ganku i ze mną rozmawiacie?

- Jak do tej pory, Beatrice nie przyjęła do wiadomości naszej odmowy.
- I uważacie, że to się zmieni? - Uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową.
- Przynajmniej możemy mieć nadzieję - odparłem.
- To już za długo...
- Na co? - zapytała Angie.

Wciąż wpatrywał się w podwórko za domem.

- Jak na nieobecność tej czterolatki. - Westchnął. - Naprawdę za długo - powtórzył.

- I nie ma pan żadnych tropów, wskazówek? - zapytała Angie.
- Nic takiego, na co mógłbym postawić własny dom.
- A skromne kondominium? - naciskała Angie.

Doyle uśmiechnął się ponownie i wzruszył ramionami.

- Traktuję to jako „właściwie nie”.

Doyle skinął głową.

- Zgoda. Właściwie nie. - Łuszcząca się farba szeleściła pod jego zaciśniętymi pięściami jak zeschnięte liście. - Powiem wam, jak trafiłem do tej branży, mam na myśli poszukiwanie zaginionych dzieci. Jakies dwadzieścia lat temu moja córka Shannon... zaginęła. Na jeden dzień. - Doyle obrócił się do nas, podnosząc palec wskazujący. - Nie, nawet niecały. Tak naprawdę nie było jej od jakiejś czwartej po południu do ósmej rano następnego dnia, miała wtedy sześć lat. I chcę wam powiedzieć jeszcze jedno: że człowiek nie wie, jak długa potrafi być noc, dopóki nie zginie mu dziecko. Ostatni raz przyjaciele Shannon widzieli ją, jak wracała na rowerze do domu, a dwójka z nich powiedziała, że jechał za nią bardzo wolno samochód. - Na to wspomnienie Doyle przetarł oczy i głęboko odetchnął. - Następnego dnia rano znaleźliśmy ją w rowie melioracyjnym w pobliżu parku. Przewróciła się z rowerem, złamała obie nogi w kostkach i zemdlała z bólu.

Widząc wyraz naszych twarzy, podniósł rękę.

- Ale nic poza tym jej się nie stało - wyjaśnił. - Dwie złamane nogi muszą boleć jak wszyscy diabli, więc przez jakiś czas była najbardziej przerażonym dzieciakiem na świecie, a zarówno dla niej, jak i dla nas z żoną był to największy stres, jaki przeżyliśmy podczas całego jej dzieciństwa. Mielśmy szczęście. Mielśmy nieprawdopodobne szczęście. - Doyle przeżegnał się szybko. - Kiedy Shannon zaginęła i cała okolica i wszyscy moi policjanci jej poszukiwali, a my z Tricią jeździliśmy w kółko jak szaleni albo chodziliśmy, wrywając sobie włosy z głowy, w pewnym

momencie wstąpiliśmy na kawę. Stojąc w Dunkin' Donuts i czekając na kawę, popatrzyłem nagle na Tricię, a ona na mnie i w tym momencie oboje, bez słów, wiedzieliśmy, że jeśli Shannon nie żyje, to i my nie żyjemy. I że to koniec naszego małżeństwa. I naszego szczęścia. Że nasze życie stanie się drogą przez mękę. Niczym więcej. Wszystko, co dobre i pełne nadziei, wszystko, dla czego żyliśmy, umrze wraz z naszą córką.

- I dlatego wstąpił pan do Brygady do Walki z Przeszłością przeciwko Dzieciom?

- Dlatego stworzyłem Brygadę do Walki z Przeszłością przeciwko Dzieciom - powiedział Doyle. - Ta brygada jest moim dzieckiem. To ja ją powołałem do życia. Zajęło mi to piętnaście lat. Ale jest. Istnieje dlatego, że wtedy w Dunkin' Donuts spojrzałem na moją żonę i w jednej chwili wiedziałem, ponad wszelką wątpliwość, że nikt nie może przeżyć śmierci własnego dziecka. Nikt. Ani wy, ani ja, ani nawet taka nieudacznica jak Helene McCready.

- A Helene jest nieudacznicą? - zapytała Angie.

Doyle uniósł brew.

- Wiecie, dlaczego to ona poszła do swojej przyjaciółki Dottie, a nie odwrotnie?

Potrząsnęliśmy głowami.

- Popsuł się kineskop w jej telewizorze - kolor to zanikał, to wracał, więc Helene się zezłościła, zostawiła małą i poszła do sąsiadki.

- Na telewizję? Doyle skinął głową.

- Na telewizję.

- O - powiedziała Angie.

Doyle wpatrywał się w nas przez minutę, a następnie podciągnął spodnie i zakomunikował:

- Skontaktujcie się z wami dwóch moich najlepszych ludzi, Poole i Broussard. Będą waszymi łącznikami. Jeśli zdołacie pomóc, to nie stawiam żadnych przeszkód. - Potarł twarz rękami i potrząsnął głową. - Cholera, jestem zmęczony.

- Kiedy pan ostatni raz spał? - zapytała Angie.

- Nie licząc drzemki? - Doyle zachichotał. - No... parę dni temu, co najmniej.

- Musi pan mieć jakiegoś zmiennika - powiedziała Angie.

- Mnie nie jest potrzebny zmiennik, mnie jest potrzebny ten dzieciak. I to w jednym kawałku. Na wczoraj.

3

Kiedy weszliśmy do domu Lionela, w towarzystwie gospodarza i Beatrice, Helene McCready siedziała przed telewizorem i oglądała siebie.

W telewizji była ubrana w jasnoniebieską sukienkę i żakiet pod kolor, z białą różą przypiętą do klapy. Rozpuszczone włosy opadały jej do ramion, a twarz nosiła ślady pośpiesznie położonego makijażu, szczególnie wokół oczu.

Prawdziwa Helene miała na sobie różowy T-shirt z napisem BORN TO SHOP i ucięte nad kolanami białe spodnie dresowe. Na włosach, związanych w koński ogon, pozostały ślady tak wielu farb, że nikt już nie pamiętał ich oryginalnego koloru; obecny przypominał mieszaninę platyny z przetłuszczoną pszenicą.

Na kanapie obok Helene siedziała jakaś kobieta mniej więcej w tym samym wieku, ale grubsza i bledsza, z rozstępami na rękach powyżej łokci, widocznymi za każdym razem, kiedy podnosiła do ust papierosa i nachylała się do telewizora.

- Popatrz, Dottie, popatrz! - wykrzyknęła Helene. - Gregor i Head Sparks.

- O, rzeczywiście! - Dottie pokazała na ekran, gdzie za reporterem, przeprowadzającym wywiad z Helene, pojawili się dwaj mężczyźni i pomachali do kamery.

- O, popatrz, machają. - Uśmiechnęła się Helene. - Gnojki.

- Cwaniaczki - dodała Dottie.

Helene podniosła do ust puszkę millera, tą samą ręką, którą trzymała papierosa i gdy piła, na brodę spadł jej długi sztyfcik popiołu.

- Helene - odezwał się Lionel.

- Sekundę, sekundę! - Helene, ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora, pomachała do niego puszką piwa. - To jest najważniejsza część.

Beatrice spojrzała na nas i przewróciła oczami.

A tymczasem w telewizji reporter pytał Helene, kto według niej może być odpowiedzialny za uprowadzenie małej.

- Jak można odpowiedzieć na takie pytanie? - odparła telewizyjna Helene. - Kto mógł wziąć moją córeczkę? I dlaczego? Ona nigdy nikomu nic nie zrobiła. Była tylko małą dziewczynką ze ślicznym uśmiechem. I nic innego nie robiła, tylko cały czas się uśmiechała.

- Rzeczywiście, ten uśmiech to miała naprawdę prześliczny - zawtórowała jej Dottie.

- Ma - sprostowała Beatrice.

Siedzące na kanapie kobiety robiły wrażenie, jakby jej nie usłyszały.

- Miała, bezbłędny - potwierdziła Helen. - Po prostu bezbłędny. Serce człowiekowi pęka. - Głos jej się załamał i odstawiła puszkę piwa, by sięgnąć po chusteczkę jednorazową.

Dottie poklepała ją po kolanie.

- No, no, już dobrze - zagdakała. - No, już dobrze.

- Helene - powtórzył Lionel.

W telewizji Helene ustąpiła miejsca OJ. Simpsonowi, który gdzieś na Florydzie grał w golfa.

- W dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, że mu to uszło na sucho - powiedziała Helene.

- Wiem - oświadczyła Dottie, jakby ktoś ją zwolnił z zachowywania jakiejś wielkiej tajemnicy.

- Gdyby nie był czarny - ciągnęła temat Helene - to już dawno dostałby krzesło elektryczne.

- Gdyby nie był czarny - wtrąciła się Angie - toby wam było wszystko jedno.

Kobiety obróciły się i spojrzały na nas. Nie robiły wrażenia specjalnie zdziwionych obecnością czterech osób, które za nimi stały. Jakbyśmy się pojawili w jakiś magiczny sposób.

- Co? - Czarne oczy Dottie strzeliły w naszą stronę i prześlizgnęły się po naszych piersiach.

- Helene - powtórzył Lionel.

Helene spojrzała mu w twarz. Pod zapuchniętymi oczami miała rozmazany tusz.

- Tak?

- To jest Patrick i Angie, dwójka detektywów, o których mówiliśmy.

Helene machnęła w naszą stronę zużytą chusteczką.

- Cześć.

- Cześć - odparła Angie.

- Cześć - dodałem od siebie.

- Pamiętam cię - zwróciła się do Angie Dottie. - A ty mnie?

Angie uśmiechnęła się grzecznie i potrząsnęła głową.

- Nie pamiętasz mnie ze szkoły średniej? Ja byłam w pierwszej, a ty już kończyłaś.

Angie zastanowiła się i ponownie potrząsnęła głową.

- Tak, przypominam sobie - dodała Dottie. - Nazywałyśmy cię Królową Balu. - Pociągnęła piwa. - Dalej taka jesteś?

- Jaka? - zapytała Angie.

- No taka, że uważasz się za lepszą od innych. - Wpatrzyła się w Angie oczami tak małymi, że nie umiałbym nawet powiedzieć, czy są zaczerwienione, czy nie. - Taka właśnie byłaś. Piczka Zasadniczka.

- Helene. - Angie odwróciła głowę, koncentrując się na Helene McCready. - Musimy z tobą porozmawiać o Amandzie.

Ale Helene, z papierosem znieruchomiałym w odległości niecałego centymetra od ust, patrzyła na mnie.

- Jesteś do kogoś podobny - oświadczyła. - Nie uważasz, Dottie?

- Co? - spytała Dottie.

- Jest do kogoś podobny. - Helene szybko dwa razy zaciągnęła się papierosem.

- Do kogo? - Dottie gapiała się teraz na mnie.

- No wiesz, do tego faceta. Z tamtego programu telewizyjnego. Znasz go.

- Nie znam - odparła Dottie i posłała mi niepewny uśmiech. - Z jakiego programu?

- No wiesz, powinnaś wiedzieć, o jakim programie mówię.

- Ale nie wiem.

- Powinnaś.

- O jakim programie mówisz? - Dottie odwróciła się do Helene. - O jaki program ci chodzi?

Helene zamruwała i zmarszczyła czoło. A potem znów spojrzała na mnie.

- Wyglądasz wypisz wymaluj jak on - zapewniła mnie.

- Może i tak - zgodziłem się.

Beatrice oparta się o futrynę drzwi prowadzących na korytarz i zamknęła oczy.

- Helene - powiedział Lionel. - Patrick i Angie muszą z tobą porozmawiać o Amandzie. Na osobności.

- A ja to niby co? - obruszyła się Dottie. - Co ja jestem jakiś świr?

- Nie, Dottie - odparł spokojnie Lionel. - Nic takiego nie mówiłem.

- Czy może jestem jakaś pieprzona ofiara losu, co? I nie nadaję się, żeby być z moją najlepszą przyjaciółką, kiedy ona mnie najbardziej potrzebuje, tak?

- On nic takiego nie powiedział - wtrąciła zmęczonym głosem Beatrice, w dalszym ciągu nie otwierając oczu.

- Wobec tego... - zacząłem.

Dottie wykrzywiła pokrytą plamami twarz i spojrzała na mnie.

- Helene - wtrąciła pospiesznie Angie. - Wszystko poszłoby znacznie szybciej, gdybyśmy mogli zadać ci kilka pytań na osobności. Zaraz potem damy ci święty spokój.

Helene spojrzała na Angie. A następnie na Lionela. I na telewizor. Wreszcie wbiła wzrok w tył głowy Dottie.

Dottie, zdezorientowana, w dalszym ciągu gapiła się na mnie, nie wiedząc, czy to uczucie frustracji ma przejść w złość, czy nie.

- Dottie - powiedziała Helene z miną kogoś, kto ma wygłosić orędzie do narodu - jest moją najlepszą przyjaciółką. N a j l e p s z ą przyjaciółką. A to coś znaczy. Jeśli chcecie rozmawiać ze mną, to równie dobrze możecie rozmawiać z nią.

Dottie spuściła mnie wreszcie z oka i odwróciła się do swojej n a j l e p s z e j przyjaciółki, a w tym czasie Helene szturchnęła ją łokciem w kolano.

Popatrzyłem na Angie. Tak długo ze sobą pracowaliśmy, że po wyrazie jej twarzy mogłem ocenić w dwóch słowach to, co myśli: pieprzyć to.

Spojrzałem jej w oczy i skinąłem głową. Życie jest za krótkie, żeby chociaż ćwierć sekundy dłużej przebywać w towarzystwie Helene czy Dottie.

Popatrzyłem na Lionela, który wzruszył ramionami, zrezygowany.

Mieliśmy ochotę z miejsca wyjść - w gruncie rzeczy właściwie już zaczęliśmy wychodzić - ale Beatrice nagle otworzyła oczy, zablokowała nam drogę i powiedziała:

- Proszę...

- Nie - odparła spokojnie Angie.
- Tylko godzinę - błagała. - Dajcie nam jeszcze tylko godzinę. My wam zapłacimy.
- Nie chodzi o pieniądze. - Angie była stanowcza.
- Proszę - powtórzyła Beatrice i patrząc gdzieś obok Angie, napotkała mój wzrok. Przeniosła ciężar ciała z lewej nogi na prawą i opuściła ramiona.
- Dobrze, ale jeszcze tylko godzinę - odezwałem się. - I to wszystko.
Uśmiechnęła się i skinęła głową.
- Patrick, tak? - Helene spojrzała na mnie. - Masz na imię Patrick, prawda?
- Tak - odparłem.
- Mógłbyś się trochę przesunąć w lewo, Patrick? - poprosiła. - Zasłaniasz mi telewizor.

Minęło pół godziny, a myśmy się nie dowiedzieli niczego nowego.

Po długich przepychankach Lionel zdołał przekonać siostrę, żeby przynajmniej na czas rozmowy wyłączyła telewizor, ale brak telewizji zdawał się ją jeszcze bardziej rozpraszać. Kilka razy w ciągu naszej rozmowy jej wzrok biegł gdzieś obok mnie ku ciemnemu ekranowi, jakby miała nadzieję, że za sprawą jakiejś nadprzyrodzonej interwencji nagle ożyje.

Dottie, po wszystkich opowieściach o tym, jak to nie może opuścić swojej najlepszej przyjaciółki w biedzie, wyszła natychmiast po zgaszeniu telewizora. Słyszeliśmy, jak się tłucze po kuchni, otwiera lodówkę w poszukiwaniu piwa i myszkuje po szafkach, nie mogąc znaleźć popielniczki.

Lionel usiadł na kanapie obok swojej siostry, a Angie i ja usadowiliśmy się na podłodze naprzeciwko nich. Beatrice zajęła miejsce na końcu kanapy, jak najdalej od Helen. Jedną nogę wyciągnęła przed siebie, a drugą trzymała obiema rękami za kostkę.

Poprosiliśmy Helene, żeby nam opowiedziała wszystko o dniu zniknięcia córki, zapytaliśmy, czy się przypadkiem nie pokłóciły i czy ona sama nie zadarła z kimś, kto miałby powód uprowadzić jej córkę, traktując to jako akt zemsty.

Kiedy Helene mówiła o tym, że nigdy się między sobą nie kłóciły, w jej tonie słyhać było ciągle rozdrażnienie. Jak można się kłócić z kimś, kto się ciągle uśmiecha? Wyglądało na to, że między uśmiechami Amanda tylko kochała swoją matkę i była przez nią kochana i że właściwie nic innego nie robiły, tylko się kochały i uśmiechały i znów się uśmiechały. Helene nie wyobrażała sobie, z kim mogłaby

zadrzeć i tak jak powiedziała policji, nawet gdyby zadarła, to kto by porywał jej dziecko, kto by się na niej mścił? Dzieci wymagają pracy, powiedziała Helene. Trzeba je żywić. Trzeba je utulić na noc. Trzeba się czasem z nimi pobawić.

I stąd te uśmiechy.

Ostatecznie nie powiedziała nam nic, czego byśmy nie wiedzieli z gazet, od Lionela czy od Beatrice.

A co do samej Helene, to im więcej spędzałem z nią czasu, tym mniejszą miałem ochotę przebywać z nią w jednym pomieszczeniu. Kiedy omawialiśmy zniknięcie jej córki, dała nam do zrozumienia, że nienawidzi swojego życia. Czuje się samotna; nie ma już przyzwoitych mężczyzn; trzeba ogrodzić ten piekielny Meksyk i powstrzymać napływ Meksykanów, którzy tu, w Bostonie, kradną pracę. Była przekonana, że istnieje jakiś ogólny plan demoralizowania przyzwoitych Amerykanów, ale nie potrafi powiedzieć jaki, wiedziała tylko, że on się fatalnie odbija na jej szczęściu osobistym i że zakłada utrzymywanie czarnych na zasiłkach. Ona wprawdzie też jest na zasiłku, ale przez ostatnie siedem lat wiele robiła, żeby to zmienić.

O Amandzie mówiła tak, jak się mówi o ukradzionym samochodzie czy o zagubionym psie - była co najwyżej tą sytuacją zaniepokojona. Dziecko zaginęło i narobiło jej od cholery kłopotów.

Wyglądało na to, że Bóg namaścił Helene McCreedy jako Wielką Ofiarę Życia, a my, reszta, mogliśmy już zejść z pola. Zawody się skończyły.

- Helene, czy jest może coś, co zapomniałaś powiedzieć policji i chciałabyś powiedzieć nam?

Helene spojrzała na leżącego na małym stoliku pilota.

- Co? - zapytała.

Powtórzyłem pytanie.

- Jest ciężko - powiedziała.

- Z czym jest tak ciężko? - spytałem.

- Ciężko jest wychować dziecko. - Spojrzała na mnie i jej tępe oczy rozszerzyły się, jakby miała mi do przekazania jakąś wielką mądrość. - Naprawdę jest ciężko. Nie tak jak w spotach reklamowych.

Kiedy wyszliśmy z living roomu, Helene natychmiast włączyła telewizor, a koło nas przemknęła z dwoma piwami Dottie - jak na dany znak.

Kiedy już się znaleźliśmy w kuchni, Lionel powiedział:

- Ona ma problemy emocjonalne.
 - Problemy emocjonalne - dodała Beatrice, nalewając sobie kawy. - To zwyczajna cipa.
 - Nie używaj tego słowa, na miłość boską - zwrócił jej uwagę Lionel.
- Beatrice, nalewając z kolei kawy do filiżanki Angie, spojrzała na mnie pytająco.
- Uniosłem puszkę coca-coli.
- Lionel, twoja siostra sprawia wrażenie, jakby się w ogóle nie przejmowała zaginięciem Amandy - odezwała się Angie.
 - Ale bardzo się przejmuję - odparł Lionel. - Ostatniej nocy... ostatnią noc całą przeplakała. Po prostu wyplakała już wszystkie łzy. Ona... ona próbuje hamować swoją rozpacz, zrozumcie.
 - Z całym szacunkiem, Lionel, ale ona się lituje nad sobą, ja tam nie widzę rozpacz.
 - Jest rozpacz. - Lionel zamrugał oczami i spojrzał na żonę. - Jest, naprawdę.
 - Zdaję sobie sprawę, że już to mówiliśmy - wtrąciła się Angie - ale ja naprawdę nie mam pojęcia, co moglibyśmy jeszcze zrobić, czego nie zrobiła policja.
 - Wiem. - Lionel westchnął. - Wiem.
 - Może później - dodałem.
 - Jasne - zgodził się ze mną.
 - Jeśli policja utknie w martwym punkcie i wycofa się, to może wtedy - zasugerowała Angie.
 - Tak. - Lionel wyciągnął do mnie rękę. - Dzięki, że wpadliście. Dzięki za... za wszystko.
 - Gdyby czegoś było potrzeba... - Podałem mu rękę. Zatrzymał mnie głos Beatrice, łamiący się, ale donośny.
 - Ona ma tylko cztery latka. Spojrzałem na nią.
 - Cztery latka - powtórzyła, patrząc w sufit. - I gdzieś się tuła. Może zablądziła. A może jeszcze gorzej...
 - Kochanie - przerwał jej Lionel.
- Beatrice lekko potrząsnęła głową. Popatrzyła na swój kubek, przechyliła głowę, nie otwierając oczu, dopiła kawę, po czym rzuciła pusty kubek na stół i zgięła się w pół, zaciskając pięści.
- Pani McCready - zacząłem, ale przerwała mi machnięciem ręki.
 - Ona czuje każdą sekundę, w której ludzie nie próbują jej znaleźć. - Podniosła

głowę i otworzyła oczy.

- Kochanie - powiedział Lionel.

- Przestań wreszcie z tym „kochaniem”. - Spojrzała na Angie. - Amanda się boi. I tęskni. A ta pieprzona siostra Lionela siedzi w moim living roomie ze swoją tłustą przyjaciółką, żłapie piwsko i ogląda siebie w telewizji. A kto walczy o Amandę? Co? - Spojrzała na swojego męża. A potem na Angie i na mnie. Miała czerwone oczy. Wbiła wzrok w podłogę. - Kto okazuje tej malutkiej dziewczynce, że choć trochę mu na niej zależy, że nie jest mu obojętne, czy ona żyje, czy nie?

Przez minutę jedynym odgłosem w kuchni było mruczenie agregatu lodówki.

I wtedy, bardzo cicho, powiedziała Angie:

- Myślę, że my.

Spojrzałem na nią i uniosłem brwi. Wzruszyła ramionami.

Z ust Beatrice wydobyło się coś pomiędzy śmiechem a szlochem. Po czym, patrząc na Angie oczyma pełnymi łez, które nie chciały spaść, przyłożyła pięść do ust.

4

Kiedyś na odcinku Dorchester Avenue, przebiegającym przez moją dzielnicę, było więcej barów irlandzkich niż gdziekolwiek na świecie, poza Dublinem. Zapamiętałem z dzieciństwa, że ojciec brał udział w maratonach pubowych, związanych ze zbiórkami pieniędzy na lokalne cele charytatywne. W każdym barze dwa piwa i jedna whisky i do następnego. Zaczynali w Fields Corner w sąsiedztwie, a potem szli dalej na północ Dorchester Avenue. Chodziło o to, żeby sprawdzić, który z uczestników utrzyma pion tak długo, żeby o własnych siłach przekroczyć granicę Południowego Bostonu, przebiegającą niecałe trzy kilometry od nas na północ.

Mój ojciec był niezłym ochlapusem, podobnie jak większość mężczyzn, którzy brali udział w maratonach, ale w ciągu wielu lat istnienia tej konkurencji żaden z jej uczestników nie wygrał.

Większości tych barów dziś już nie ma. Zastąpiły je wietnamskie restauracje i narożne sklepiki. Ten ciągnący się przez cztery kwartały ulic odcinek Dorchester Avenue, znany obecnie pod nazwą Szlaku Ho Szi Mina, ma dziś znacznie więcej uroku, niż to ocenia większość moich białych sąsiadów. Przejeżdżając tamtędy wczesnym rankiem, widuje się starych mężczyzn, jak instruują sędziwych współmieszkańców w ćwiczeniach tai chi, a także ludzi w narodowych strojach - ciemnych jedwabnych piżamach i słomkowych kapeluszach. Słyszałem o całych gangach, tongach, działających na tym terenie, ale nigdy się z nimi nie zetknąłem. Spotykałem natomiast często wietnamskich chłopaków, uczesanych na jeża, z

fryzurami usztywnionymi żelem i w szpanerskich okularach przeciwsłonecznych, którzy wystawali na ulicy czy szwendali się, usiłując wyglądać cool i udając twardzieli, i naprawdę nie widziałem żadnej różnicy między nimi a sobą, kiedy byłem w ich wieku.

Ze starych barów, które przetrwały ostatnią falę imigracji w naszej dzielnicy, trzy, które się ostały od frontu ulicy, są bardzo dobre. Właściciele i ich klienci zachowują się tolerancyjnie wobec Wietnamczyków, którzy są grzeczni i nie sprawiają kłopotu. Żadna z kultur nie wydaje się zainteresowana tą drugą i obu stronom to najwyraźniej odpowiada.

Jedyny poza nimi bar w pobliżu Szlaku Ho Szi Mina znajdował się nie przy samej Dorchester Avenue, tylko na końcu drogi gruntowej, którą w połowie lat czterdziestych, kiedy miastu skończyły się fundusze, pozostawiono zaniedbaną i niewykończoną. Zaulek ten nigdy nie widział światła słonecznego. Od południa wznosił się budynek wielkości hangaru, stanowiący siedzibę przedsiębiorstwa transportowego. Od północy widok przesłaniał gąszcz trzypiętrowych domów. Na samym końcu znajdował się bar Filmore Tap, tak samo zakurzony i pozornie zapomniany jak niedokończona droga, przy której był położony.

W czasach maratonów na Dorchester Avenue nawet mężczyźni pokroju mojego ojca - moczymordy i rozrabiacy - nie chodzili do Filmore Tap. Z mapy rund pubowych ten bar został wykreślony, jakby w ogóle nie istniał i w całym moim życiu nie spotkałem nikogo, kto by tam normalnie uczęszczał.

Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy zgrzebnym barem dla ciężko pracujących robotników a spelunką dla białego śmiecia, którą był właśnie Filmore Tap. Bójki w barach robociarskich zdarzają się dość często, ale tam w ruch idą przeważnie pięści; w najgorszym razie na czyjejs głowie ląduje butelka piwa. W Filmore Tap bójki wybuchały przy co drugiej butelce i zwykle walczono na noże sprężynowe. Było w tej speluncie coś, co przyciągało mężczyzn, którzy już bardzo, ale to bardzo dawno stracili wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Przychodzili tutaj pielęgnować swoje nałogi - narkotyki i alkohol - a także swoją nienawiść. I chociaż trudno było sobie wyobrazić, żeby wielu chciało się dostać do klubu, stali bywalcy niechętnym okiem patrzyli na potencjalnych kolegów.

Kiedy w tamto słoneczne czwartkowe popołudnie weszliśmy do środka, czekając, aż wzrok nam się przyzwyczai do mrocznej zieleni wnętrza, barman przyjrzał nam się dokładnie. W rogu baru, najbliżej drzwi, stało czterech mężczyzn, którzy odwracali się

wolno, po kolei, żeby na nas spojrzeć.

- Gdzie jest Lee Marvin, kiedy go potrzebujemy? - zapytałam Angie.

- Albo Eastwood - odparła. - Teraz wołałabym Clintę.

Dwóch facetów w głębi grało w bilard. Nasze wejście zakłóciło im grę, toteż popatrzyli na nas spode łba.

Barman odwrócił się do nas tyłem. Gapił się do góry, w telewizor, intensywnie skupiony na epizodzie *Gilligan's Island*. Szyper walił Gilligana swoją czapką po głowie. A profesor usiłował ich rozdzielić. Howellsowie ryczeli ze śmiechu. Maryann i Ginger nie można było nigdzie znaleźć. Niewykluczone, że miało to coś wspólnego z wątkiem. Angie i ja usiedliśmy na stołkach w końcu baru, w pobliżu barmana i czekaliśmy, aż raczy nas zauważyć.

Szyper w dalszym ciągu walił Gilligana. Był najwyraźniej wściekły z powodu jakiejś małpy.

- Ten odcinek jest fantastyczny - powiedziałam do Angie. - Już się prawie wynieśli z wyspy.

- Naprawdę? - Angie zapaliła papierosa. - Proszę cię, powiedz, co ich powstrzymało?

- Szyper wyznaje miłość swojemu małemu kumplowi i wszyscy zostają wciągnięci w przygotowania ślubne, a małpa kradnie łódkę z ich kokosami.

- Zgadza się - rzekła Angie. - Teraz sobie przypominam.

Barman odwrócił się i spojrzał na nas.

- Co ma być? - zapytał.

- Daj mi kufel najlepszego piwa, jakie macie - powiedziałam.

- Dwa - dodała Angie.

- W porządku - odparł barman - ale zamknijcie się i poczekajcie do końca filmu.

Niektórzy z nas nie widzieli tego odcinka.

Po *Gilliganie* przełączono telewizor na epizod *Public Enemies*, programu kryminalnego, opartego na faktach, w którym poszukiwanych przestępców grali aktorzy tak nieporadni, że przy nich Van Damme i Seagal wydawali się Olivierem i Gielgudem. Ten konkretny odcinek dotyczył mężczyzny, który najpierw molestował seksualnie, a potem poćwiartował swoje dzieci w Montanie, zastrzelił policjanta w Dakocie Północnej i w ogóle zachowywał się tak, jakby robił wszystko, żeby każda napotkana przez niego osoba miała przynajmniej jeden spieprzony dzień w życiu.

- Jakbyście chcieli wiedzieć - odezwał się Duży Dave Strand do Angie i do mnie, kiedy na ekranie telewizora pojawiła się twarz przestępcy - to zamiast zawracać głowę moim ludziom, powinniście porozmawiać z tym facetem.

Duży Dave Strand, właściciel i zarazem główny barman Filmore Tap, zgodnie ze swoją ksywka był duży - miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a jego obfite ciało, zamiast rozwijać się harmonijnie w miarę wzrostu, jak gdyby odkładało się warstwami na kośćcu. Usta Duży Dave miał obrośnięte gąszczem brody i wąsów, a na bicepsach ciemnozielone więzienne tatuaże. Tatuaż na lewym bicepsie przedstawiał rewolwer, pod którym widniało słowo PIEPRZYĆ. Tatuaż na prawym ramieniu - ślad po kuli i czaszkę ze słowem CIĘ poniżej.

Ciekawe, że nigdy nie spotkałem Dużego Dave'a w kościele.

- Widziałem takich facetów jak on w pierdłu - powiedział Duży Dave i nalał sobie z beczki kolejny kufel piwa. - Świry. Trzymali ich z daleka od reszty, bo wiedzieli, co byśmy z nimi zrobili. Tak, wiedzieli. - Wychylił pół kufla piwa, ponownie spojrzął na telewizor i beknął.

Z jakichś względów w barze śmierdziało skwaśniałym mlekiem. I potem. I piwem. I popcornem poustawianym w koszykach wzdłuż baru co czwarty stółek. Podłoga była wyłożona gumowymi płytkami, a za barem Duży Dave trzymał szlauch. Sądząc z wyglądu, podłoga miała swoje najlepsze czasy już za sobą. Widać było wdeptane w gumę pety i popcorn i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że drobne ruchy pod jednym ze stolików, które dostrzegłem wśród cieni, wykonują myszy obgryzające coś wzdłuż listwy podłogowej.

Spytaliśmy o Helene McCready czterech mężczyzn przy barze, ale niewiele nam pomogli. Byli to starsi od niej faceci, najmłodszy mógł mieć ze trzydzieści parę lat, ale wszyscy wyglądali o dziesięć lat starzej. I wszyscy mierzyli Angie wzrokiem od stóp do głów, jakby wisiała nago w oknie wystawowym rzeźnika. Nie byli może szczególnie wrodzy, ale i niespecjalnie pomocni. Wszyscy znali Helene, ale żaden z nich nie miał o niej wyrobionego zdania. Wiedzieli, że jej córka zaginęła, ale również i na ten temat nie mieli nic do powiedzenia.

- Mała zaginęła? No i co? Znajdzie się. Dzieciaki zawsze się znajdują - odezwał się jeden z nich, Lenny - kupa czerwonego pożyczowanego miecha w żółknącej skórze.

- A gubiły ci się kiedyś w życiu dzieci? - zapytała Angie. Lenny skinął głową.

- Ale zawsze się znajdowały.

- A gdzie są teraz? - zapytałem.

- Jedno siedzi w kiciu, drugie jest na Alasce albo jeszcze gdzieś indziej. - Lenny walnął w ramię drzemiącego obok niego faceta. - A ten tutaj jest najmłodszy.

Syn Lenny'ego, blady, chudy facet z podbitymi oczami powiedział:

- Pieprzysz... - I opuścił głowę na leżące na barze ramiona.

- Już nas gliniarze maglowali - wtrącił się Duży Dave. - I powiedzieliśmy im: tak, Helene tu przychodzi, nie, nie przyprowadza małej ze sobą; owszem, lubi piwko; nie, nie sprzedawała małej, żeby popłacić długi za narkotyki. - Dave przymrużył oczy, wpatrując się w Angie i we mnie. - Przynajmniej nikomu z nas.

Do baru podszedł jeden z graczy w bilard. Był to chudy facet z ogoloną na łyso głową i nędznymi więziennymi tatuażami, wykonanymi bez dbałości o szczegóły i bez poczucia estetyki, które cechowały tatuaże Dużego Dave'a. Mężczyzna wpakował się między Angie i mnie, mimo że na prawo od nas było miejsca na długość kilku samochodów. Zamówił jeszcze dwa piwa i zaczął się gapić na piersi Angie.

- Masz jakiś problem? - zapytała Angie

- Nie mam problemu - odparł facet. - Nie, nie mam problemu.

- On jest bezproblemowy - powiedziałem.

Facet dalej gapił się na piersi Angie oczami, które robiły wrażenie, jakby strzelił w nie piorun i wypalił z nich całe życie. Dave przyniósł mu piwa.

- Tych dwoje pyta o Helene - oznajmił.

- Co? - Głos mężczyzny zabrzmiał tak beznamiętnie, jakby facet w ogóle nie miał pulsu. Trzymał piwa między naszymi głowami i w pewnym momencie tak przechylił lewy kufel, że oblał mi but.

Popatrzyłem najpierw na but, a potem jemu w oczy. Miał oddech cuchnący jak skarpeta sportowca. Czekał na moją reakcję, a nie doczekawszy się, spojrział na kufle i mocniej zacisnął palce na ich uchach. Ponownie spojrział na mnie, a jego oczy przypominały czarne dziury.

- Ja nie mam problemu - powtórzył. - Może ty masz.

Lekko poprawiłem się na stołku, przesuwając ciężar ciała tak, żebym mógł się lepiej oprzeć łokciem o bar, na wypadek gdybym musiał schylić głowę czy zrobić nagły unik i czekałem ciekawym, jaki ruch wykona facet i co mu chodzi po głowie. Raz jeszcze popatrzył na swoje ręce.

- Może ty masz - powtórzył głośno i wysunął się spomiędzy nas.

Patrzyliśmy, jak idzie do kumpla stojącego przy stole bilardowym. Kumpel wziął swoje piwo, a łyśy skinął głową w naszą stronę.

- Czy Helene ma poważny problem z narkotykami? - zapytała Angie Dużego Dave'a.

- A skąd ja to mam wiedzieć? - odparł Duży Dave. - Coś sugerujesz?

- Dave - powiedziałem.

- Duży Dave - poprawił mnie.

- Duży Dave - powtórzyłem. - Nie obchodzi mnie, ile kilo towaru trzymasz pod barem. I nie obchodzi mnie, czy codziennie sprzedajesz działki Helene. My chcemy tylko wiedzieć, czy ona ma na tyle poważny problem z narkotykami, żeby się u kogoś zadłużyć.

Wytrzymał mój wzrok przez jakieś trzydzieści sekund, w każdym razie wystarczająco długo, żebym się mógł zorientować, jaki z niego sukinsyn. Potem przez chwilę gapił się w telewizor.

- Duży Davie - odezwała się Angie. Obrócił głowę osadzoną na byczym karku.

- Czy Helene jest uzależniona od narkotyków?

- Coś wam powiem. Jesteście całkiem blisko, ale gdybyście chcieli sobie pogadać z prawdziwym człowiekiem, to zadzwońcie.

- Znasz takiego? - zapytała Angie.

Duży Dave znów popatrzył w telewizor.

Angie i ja spojrzeliśmy po sobie. Angie wzruszyła ramionami. Ja zrobiłem to samo. Niemożność skupienia się, która dotknęła Helene i jej przyjaciół, przybrała takie rozmiary, że można by jej ofiarami zapełnić oddział szpitala psychiatrycznego.

- Ona nie ma żadnych większych długów - odparł wreszcie Duży Dave. - Jest coś tam winna mnie, może ze sześćdziesiąt dolców. Ale gdyby jeszcze komuś była winna za... za jakieś tam drobiazgi, tobym słyszał.

- Hej, Duży Davie! - zawołał jeden z mężczyzn siedzących przy końcu baru - pytałeś ją, czy ciągnie...?

Duży Dave wzruszył ramionami.

- Sam ją zapytaj.

- Hej, mała - zawołał mężczyzna - hej, mała!

- A co z facetami? - Angie nie spuszczała wzroku z Dave'a. Jej głos był czysty i spokojny, jakby to, co mówili ci menele, nie miało z nią nic wspólnego. - Czy może Helen spotykała się z kimś, kto mógł być na nią wkurzony?

- Hej, mała! - zawołał mężczyzna. - Popatrz no na mnie. Popatrz no tutaj. Hej, mała.

Duży Dave zarechotał i odwrócił się tyłem do czterech facetów, żeby sobie dopełnić kufel.

- Są takie laski, które cię doprowadzają do szału i takie, o które byś się bil. - Uśmiechnął się do Angie nad piwem. - Jak na przykład ty.

- A Helene? - spytałem.

Duży Dave uśmiechnął się do mnie, jakby myślał, że jego zaczepki pod adresem Angie mnie zmartwiły. Spojrzał wzdłuż baru na czterech mężczyzn i mrugnął.

- A Helene? - powtórzyłem.

- Widziałeś ją. Wygląda w porządku. Według mnie ujdzie. Ale wystarczy jedno spojrzenie i wiesz, że nie będziesz miał z niej w łóżku pociechy. - Oparł się o bar naprzeciwko Angie. - A ty, mała, założę się, że potrafisz przerznąć faceta na pół. Mam rację, lalka?

Angie potrząsnęła głową i zachichotała cicho.

Wszyscy czterej siedzący przy barze faceci momentalnie oprzytomnieli. Obserwowali nas z błyskiem w oku.

Syn Lenny'ego zszedł ze stołka i ruszył w stronę drzwi.

Angie patrzyła na blat baru, bawiąc się brudną podkładką pod kufel.

- Nie odwracaj się, kiedy do ciebie mówię - powiedział Duży Dave. Jego głos był teraz niższy, jakby Dave miał gardło zapchane flegmą.

Angie uniosła głowę.

- O, teraz już lepiej. - Duży Dave przysunął się do niej bliżej. Jego lewa ręka ześlizgnęła się pod bar i po coś sięgnęła.

W barze rozległo się głośnie szczęknięcie metalu, kiedy syn Lenny'ego zamknął drzwi wejściowe na zasuwę.

A więc tak się to odbywa. Kiedy kobieta inteligentna, dumna i piękna wchodzi do takiej spelunki, daje przebywającym w niej mężczyznom pojęcie o tym wszystkim, czego im brakuje, czego nigdy nie będą mieli. Zmusza ich do spojrzenia na mankamenty własnego charakteru, które ich do tej spelunki wtrąciły. W jednej chwili nienawiść, zazdrość i żal atakują ich skarłale dusze, a oni robią wszystko, żeby i ta kobieta pożałowała - swojej inteligencji, urody, ale przede wszystkim swojej dumy. Kontratakują więc, przypierając ją do baru, pozerając wzrokiem, obrzucając błotem.

Spojrzałem w szklaną taflę automatu do papierosów i zobaczyłem w niej odbicie swoje i dwóch stojących za mną mężczyzn. Przyszli od stołu bilardowego, z kijami w rękach; prowadził łysy.

- Helene McCready - powiedział Duży Dave ze wzrokiem w dalszym ciągu utkwionym w Angie - to jest zero. Ofiara losu. A to znaczy, że i jej mała będzie taką samą ofiarą losu jak ona. Dlatego cokolwiek się stało, to mała może tylko odnieść z tego korzyść. Ale ja bardzo nie lubię, jak tacy różni przychodzą do mojego baru i sugerują, że jestem dilerem narkotykowym albo że są lepsi ode mnie.

Syn Lenny'ego oparł się o drzwi i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Dave - powiedziałem.

- Duży Dave - poprawił mnie przez zaciśnięte zęby, cały czas gapiąc się na Angie.

- Dave - powtórzyłem - nie rozrabiaj.

- Słyszałeś, co on do ciebie mówi, Duży Davie? - odezwała się Angie głosem, w którym wyczułem lekkie drżenie. - Nie bądź głupi.

- Spójrz na mnie, Dave - poprosiłem.

Dave popatrzył w moją stronę, ale bardziej, żeby sprawdzić, co robią zbliżający się za moimi plecami mężczyźni, niż żeby wykonać moje polecenie, zamarł jednak na widok colta commandera kalibru 45, tkwiącego za moim paskiem.

Przełożyłem go tam z kabury umieszczonej z tyłu nad talią w chwili, kiedy syn Lenny'ego poszedł zamknąć drzwi. Dave przeniósł wzrok z mojego pasa na twarz i szybko ocenił różnicę pomiędzy kimś, kto wyjmuje broń, żeby nią postraszyć, a kimś, kto jest zdecydowany strzelać.

- Duży Davie, jeśli któryś z tych facetów za mną zrobi choćby jeszcze jeden krok, sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

Dave spojrział ponad moim ramieniem i szybko potrząsnął głową.

- I powiedz temu kretynowi, żeby się odsunął od drzwi - dodała Angie.

- Ray! - zawołał Duży Dave - wracaj na miejsce.

- A to niby dlaczego, Duży Davie? - odparł Ray pytaniem. - Po co, do kurwy nędzy? Czy nie żyjemy w wolnym kraju, do nagłej...

Postukałem palcem wskazującym w kolbę czterdziestki.

- Ray - powtórzył Duży Dave, ze wzrokiem utkwionym teraz we mnie - odsuń się od tych drzwi albo je rozwalę twoim łbem.

- Okay, okay, Duży Davie, ja to pierdołę, Jezuuu. - Ray potrząsnął głową, ale zamiast wrócić na miejsce, otworzył drzwi i wyszedł z baru.

- Niezły mówca z tego naszego Raya - stwierdziłem.

- Chodź, idziemy. - Angie pociągnęła mnie za rękaw.

- Idziemy. - Odsunąłem nogą stółek barowy.

Kiedy odwracałem się do drzwi, dwaj gracze w bilard stali nieco na prawo ode mnie. Spojrzałem na tego, który oblał mi but piwem. Trzymał oburącz kij bilardowy, rękojeścią oparty o ramię. Był dostatecznie głupi, by w dalszym ciągu tam stać, ale nie na tyle głupi, żeby się zbliżyć.

- A teraz - powiedziałem - to ty masz problem.

Spojrzał na swój kij i na pot, który barwił na ciemno drewno poniżej jego dłoni.

- Opuść kij - poleciłem mu.

Ocecił odległość między nami, uwzględniając położenie colta i mojej prawej ręki znajdującej się o jakieś półtora centymetra od niego. Spojrzał mi w twarz, a następnie schylił się, położył kij u swoich stóp i zrobił krok do tyłu, słysząc, jak kij jego kumpla z głośnym łomotem upada na podłogę.

Odwróciłem się, zrobiłem pięć kroków i spojrzałem na Dużego Dave'a.

- No i co?

- Co proszę? - Dave obserwował moje ręce.

- Myślałem, że coś mówiłeś.

- Nie, nic nie mówiłem.

- Myślałem, że może ci się coś przypomniało, na przykład, że jeszcze nie wszystko nam powiedziałaś o Helene McCready.

- Nie. - Duży Dave wyciągnął ręce w moją stronę. - Nie, nic nie mówiłem.

- Jak myślisz, Angie - zwróciłem się do mojej dziewczyny. - Czy Dave wszystko nam już powiedział?

Angie stała przy drzwiach, oparta o klamkę, trzymając luźno w lewej ręce swoją trzydziestkęósemkę.

- Myślę, że nie.

- Uważamy, Dave, że coś przed nami ukrywasz. - Wzruszyłem ramionami. - Taka jest nasza opinia.

- Wszystko wam powiedziałem. A teraz uważam, że powinniście...

- Przyjść jeszcze raz w nocy, jak będziesz zamykał, tak? To fantastyczny pomysł, Duży Dave. Masz rację, przyjdziemy jeszcze raz.

Duży Dave kilkakrotnie potrząsnął głową.

- Nie, nie.

- Druga, druga piętnaście? No to do zobaczenia.

Odwróciłem się i podszedłem do drzwi. Nikt nie patrzył mi w oczy. Wszyscy gapili się w swoje kufle.

- Ona nie była wtedy u swojej przyjaciółki Dottie - rzekł Duży Dave.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na niego. Nachylił się nad zlewem i puścił sobie w twarz porcję wody z węża.

- Ręce na bar, Dave - poleciła Angie.

Podniósł głowę i zamrugał przez zasłonę wody. Położył płasko na barze obie dłonie.

- Ona nie była u Dottie. Ona była tutaj.

- Z kim? - zapytałem.

- Z Dottie - odparł. - I z synem Lenny'ego, Rayem.

Lenny podniósł głowę znad piwa.

- Zamknij się, Dave, do jasnej...

- To ten chudy facet, który pilnował drzwi? - zapytała Angie. - To jest Ray?

Duży Dave skinął głową.

- A co oni tu robili? - zapytałem.

- Ani słowa więcej - warknął Lenny.

Duży Dave spojrział na niego desperacko, po czym powrócił wzrokiem do Angie i do mnie.

- Nic. Po prostu popijali. Helene zdawała sobie sprawę, że to nie wygląda dobrze, że zostawiła małą bez opieki. Gdyby prasa i gliny się dowiedzieli, że ona jest nie w domu obok, tylko kilka ulic dalej, w barze, toby sprawa wyglądała dla niej znacznie gorzej.

- A co ją łączy z Rayem?

- Myślę, że od czasu do czasu ze sobą sypiają. - Wzruszył ramionami.

- Jak Ray ma na nazwisko?

- David! - wrzasnął Lenny. - Zamknij...

- Likanski - odparł Duży Dave. - Mieszka na Harvest. - Zaczerpnął haust powietrza.

- Śmierzący gnój - powiedział Lenny. - I zawsze będziesz tylko śmierzącym gnojem. Ty i wszystkie twoje przymulone dzieci i wszystko, czego się dotkniesz. Gnój.

- Lenny - odezwałem się.

Lenny cały czas siedział tyłem do mnie.

- Jeśli myślisz, facet, że otworzę do ciebie pysk, to jesteś w cholernym błędzie. Bo ja się mogę gapić w swoje piwo, ale i tak wiem, że masz spluwę i ta twoja dziewczyna też. No i co z tego? Strzelaj albo spierdalaj.

Usłyszałem na zewnątrz zbliżające się wycie syreny. Lenny odwrócił się i na jego twarzy zobaczyłem uśmiech.

- Chyba jadą po was, co? - Jego uśmiech przeszedł w rubaszny, gorzki śmiech, ukazujący czerwoną, prawie bezzębną jamę ust.

Syrena wyła już tak głośno, że musieli być bardzo blisko. Lenny pomachał do mnie i powiedział:

- Bye, bye, na razie. Czekał tatka latka.

Jego gorzki śmiech zabrzmiał tym razem jeszcze ostrzej, jak kaszel wydobywający się ze zdewastowanych płuc. Po kilku sekundach dołączyli do niego kumple. Najpierw ich śmiech wydał mi się nerwowy, ale po chwili zarykiwali się już swobodnie. A tymczasem na ulicy trzasnęły drzwi radiowozu.

Kiedy wychodziliśmy, odgłosy z baru przypominały libację.

5

Kiedy opuściliśmy bar, powitał nas w uliczce widok maski czarnego forda taurusa, zaparkowanego dosłownie o centymetry od drzwi wejściowych lokalu. Młodszy z dwóch detektywów, duży facet z chłopcym uśmiechem, wychylił się przez otwarte okno i wyłączył syrenę.

Jego partner siedział na masce, z nogą założoną na nogę, z bardziej umiarkowanym uśmiechem na okrągłej twarzy.

- Łu, łu, łu. - Trzymając uniesiony palec wskazujący, kręcił nadgarstkiem. - Łu, łu, łu.

- Brzmi to przerażająco realistycznie - oceniłem.

- Prawda? - Zsunął się po masce samochodu, aż stopami dotknął kraty, a kolanami prawie moich nóg.

- Ty musisz być Pat Kenzie. - Wyciągnął do mnie rękę. - Miło mi cię poznać.

- Patrick - powiedziałem i potrząsnąłem jego dłonią.

Wykonał dwa energiczne, przypominające pompowanie ruchy.

- Detektyw sierżant Nick Raftopoulos. Mów mi Poole, tak jak wszyscy. - Zbliżył bystrą, nieco elfią twarz do Angie i powiedział: - A ty musisz być Angela, prawda?

Angie podała mu rękę.

- Angie.

- Miło mi cię poznać, Angie. Czy ktoś ci już powiedział, że masz oczy swojego ojca?

Angie osłoniła dłonią brwi i zrobiła krok w stronę Nicka Raftopoulosa.

- Znałeś mojego ojca?

- Przelotnie, jako członka przeciwnej drużyny. Ale bardzo mi się podobał. Miał prawdziwą klasę. Szczerze mówiąc, opłakiwałem jego śmierć... jeśli to jest właściwe słowo. Tacy ludzie należą do rzadkości.

Angie skwitowała to nieśmiałym uśmiechem.

- Miło, że to mówisz.

Za nami otworzyły się drzwi i znów doleciał do mnie odór przetrawionej whisky.

Młodszy policjant spojrział, kto się pojawił za naszymi plecami.

- Z powrotem, do środka, gnojku. Znam kogoś, kto ma na ciebie kwity.

Smród przetrawionej whisky się ulotnił, kiedy drzwi za nami ponownie się zamknęły.

Poole wskazał kciukiem przez ramię.

- A ten młody, sympatyczny człowiek to mój partner, detektyw Remy Broussard.

Skinęliśmy głowami w stronę Broussarda, który odpowiedział nam również skinieniem. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że jest starszy, niż się na początku wydawał. Ocenilem go na jakieś czterdzieści trzy, czterdzieści cztery lata. W pierwszej chwili, po wyjściu z baru, sądziłem, że jest w moim wieku, bo w uśmiechu miał coś z chłopięcej niewinności Tomka Sawyera, ale po chwili dostrzegłem kurze łapki dokoła oczu, bruzdy w zagłębieniu policzków i ołowianoszare pasma w kręconych włosach koloru brudnoblond. Wszystko to razem wzięte dodawało mu jakieś dziesięć lat. Miał budowę człowieka, który co najmniej cztery razy w tygodniu chodzi na siłownię, ale mocno umięśnioną sylwetkę nieco łagodził dwurzędowy, oliwkowy włoski garnitur, spod którego wyglądał granatowo-złoty, poluzowany krawat firmy Bill Blass i rozpięta pod szyją koszula w delikatne prążki.

Elegant - ocenilem, kiedy strzepywał kurz z krawędzi lewego buta firmy Florsheim - z tych facetów, co to nigdy nie przejdą koło lustra, żeby w nie nie zerknąć. Ale kiedy wychylił się przez otwarte drzwi kierowcy i zaczął się nam przyglądać, dostrzegłem w jego oczach bystrą kalkulację i niezwykłą inteligencję. Może i zerkał w lustro, ale przypuszczam, że kiedy to robił, nie umknął mu nawet najmniejszy szczegół z tego, co działo się za nim.

- Nasz drogi porucznik Jack „Napalony” Doyle kazał nam się z wami skontaktować - powiedział Poole. - No więc jesteście.

- No więc jesteście - powtórzyłem.

- Jechaliśmy Dorchester Avenue do waszego biura - ciągnął Poole - ale nagle

patrzę, a z tej uliczki wybiega Ray „Chudzielec” Likanski. Jego ojca, niegdysiejszego kapusia nad kapusie, znam nie od dziś. Detektyw Broussard nie odróżniłby Raya „Chudzielca” od Raya „Pieszczocha”, więc mówię: „Zatrzymaj brykę, Remy. Ten plebejusz to nie kto inny, jak Ray „Chudzielec” Likanski i wygląda na dość zatroskanego”. - Poole uśmiechnął się i zabębnił palcami w kolana. - Ray wrzeszczał, że ktoś tu, rzekomo, w tym szlachetnym przybytku wymachuje spluwą. - Poole zrobił do mnie oko. - „Spluwą? - mówię do detektywa Broussarda - W takim eleganckim klubie dla dżentelmenów jak Filmore Tap? To niemożliwe”.

Spojrzałem na Broussarda, który siedział z założonymi rękami, oparty o drzwi kierowcy. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Co za typ z tego mojego partnera.

Poole szybko zabębnił palcami w maskę taurusa, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Spojrzałem i na jego zniszczonej twarzy elfa zobaczyłem uśmiech. Musiał mieć pięćdziesiątkę z dużym hakiem, był krępy, a jego krótko ostrzyżone włosy przypominały kolorem popiół z papierosów. Pogłaskał się po zaroście i wpatrzył w popołudniowe słońce.

- Czy rzeczona spluwa to przypadkiem nie colt commander, którego widzę na pańskim prawym rzeczonym biodrze, panie Kenzie?

- Na to wygląda - odparłem.

Poole uśmiechnął się i spojrzał w kierunku Filmore Tap.

- A czy nasz szanowny Duży Dave Strand jest jeszcze ciągle w jednym kawałku?

- Kiedy go ostatni raz widziałem, to był.

- A czy przypadkiem nie powinniśmy aresztować was dwojga za napaść z bronią w rękę? - Broussard wyciągnął z opakowania listek gumy do żucia Wrigleya i włożył go do ust.

- Dave musiałby postawić taki zarzut.

- A sądzisz, że by nie postawił, tak? - zapytał Poole.

- Jesteśmy tego całkiem pewni - wtrąciła się Angie.

Poole spojrzał na nas, unosząc brwi i odwrócił się do swojego partnera. Broussard wzruszył ramionami, po czym obaj uśmiechnęli się szeroko.

- Czy to nie fantastyczne? - powiedział Poole.

- Przypuszczam, że Duży Dave próbował na tobie siły swoich wdzięków? - zwrócił się do Angie Broussard.

- Próbował to złe słowo.

Broussard uśmiechał się, żując gumę. W pewnym momencie wyprostował się ze wzrokiem utkwionym w Angie, jakby ją chciał od nowa ocenić.

- Ale teraz serio: czy którekolwiek z was strzelało tam w barze? - zapytał Poole.

- Nie - odparłem.

Poole wyciągnął rękę i strzelił palcami.

Wyjąłem colta zza paska i mu wręczyłem.

Wyrzucił na rękę ładunek z komory, odwiódł kurek, zajrzał do komory nabojoyej, żeby sprawdzić, czy jest czysta, a następnie powąchał lufę. Skinął głową jak gdyby do siebie. Na koniec podał mi nabój do lewej ręki, a broń do prawej.

Włożyłem colta na miejsce, do kabury z tyłu, a nabój do kieszeni marynarki.

- Wasze pozwolenia? - powiedział Broussard.

- Ważne, w portfelach - odparła Angie.

Poole i Broussard znów uśmiechnęli się do siebie. Patrzyli na nas tak długo, aż się domyśliliśmy, o co im chodzi.

Oboje wyjęliśmy pozwolenia na broń i wręczyliśmy Poole'owi przez maskę samochodu. Rzucił na nie okiem i zaraz nam oddał.

- Czy powinniśmy przesłuchać klientów baru, Poole? Poole spojrzął na Broussarda.

- Jestem głodny.

- Ja też bym coś chętnie przekąsił - odparł Broussard. Poole znów pytająco uniósł brwi pod naszym adresem.

- A wy? Głodni?

- Niespecjalnie - odrzekłem.

- To dobrze, bo w miejscu, o którym myślę - ujął mnie pod łokieć - żarcie i tak jest podłe. Ale za to wodę mają fantastyczną. Najlepszą w okolicy. I to z kranu.

Knajpa Victoria znajdowała się w Roxbury zaraz za granicą mojej dzielnicy i tak naprawdę wspaniale w niej karmili. Nick Raftopoulos wziął kotlet wieprzowy, a Remy Broussard udziec indyczy.

Angie i ja poprzestaliśmy na kawie.

- No to cóż, nie posunęliście się daleko w tej sprawie - zagadnęła Angie.

Nick umoczył kawałek wieprzowiny w sosie jabłkowym.

- Szczerze mówiąc, nie.

Broussard wytarł serwetką usta.

- Wiem z doświadczenia, że jeszcze nigdy sprawa tak bardzo nagłośniona i ciągnąca się tak długo nie skończyła się dobrze.

- Uważacie, że Helene nie jest w to zamieszana?

- Początkowo myśleliśmy, że jest - powiedział Poole. - Moja teoria operacyjna zakładała, że sprzedała dzieciaka albo że małą uprowadził jakiś diler, któremu była winna pieniądze.

- Co spowodowało, że zmieniliście zdanie? - spytała Angie.

Poole, który akurat coś przełykał, trącił Broussarda, żeby odpowiedział.

- Wykrywacz kłamstw. Przeszła próbę śpiewająco. Tak samo ten facet, który tu pożera kotlety wieprzowe i ja. Kiedy rozpracowujemy kogoś we dwójkę, bardzo trudno nas oszukać. Nie zrozumcie mnie źle, Helene kłamie, ale nie w sprawie zniknięcia dziecka. Ona naprawdę nie wie, co się stało z małą.

- A co w sprawie tego, gdzie była w nocy, kiedy Amanda zniknęła?

Kanapka Broussarda zatrzymała się w pół drogi do ust.

- A o co chodzi?

- Wierzycie w historię, którą opowiedziała prasie? - zapytała Angie.

- A jest jakiś powód, żeby nie wierzyć? - Poole umoczył porcję mięsa w sosie jabłkowym.

- Duży Dave opowiedział nam całkiem inną historię.

Poole odgiął się na oparcie krzesła, otrzepał ręce z okruchów i spytał:

- Mianowicie?

- Uwierzyliście w historię Helene czy nie? - powtórzyła Angie.

- Nie całkiem - odparł Broussard. - Według wykrywacza kłamstw była z Dottie, ale niekoniecznie u niej. W każdym razie trzyma się tej wersji.

- A gdzie była? - zainteresował się Poole.

- Według tego, co mówi Duży Dave, w Filmore.

Poole i Broussard popatrzyli na siebie, a następnie na nas.

- Czyli wcisnęła nam ciemnotę - powiedział wolno Broussard.

- Nie chciała sobie zepsuć tych piętnastu sekund - wtrącił Poole.

- Jakich piętnastu sekund? - zdziwiłem się.

- W świetle jupiterów - wyjaśnił Poole. - Kiedyś to były minuty; dziś sekundy - westchnął. - Kiedy ubrana w ładną niebieską sukienkę grała rolę zrozpaczonej matki. Pamiętacie tamtą Brazylijkę z Allston i jej małego synka, który zginął jakieś osiem miesięcy temu?

- I nigdy się nie znalazł. - Angie skinęła głową.

- Właśnie. Ale chodzi o to, że matka, ciemnoskóra, kiepsko ubrana, zawsze w telewizji robiła wrażenie pijanej. Wkrótce opinia publiczna przestała się interesować małym, ponieważ jej nie znosiła.

- Ale Helene McCready - wtrącił Broussard - jest biała, potrafi o siebie zadbać i dobrze wygląda przed kamerami. No, na pewno nie jest gwiazdą pierwszej jasności, ale może się podobać.

- Nie, nie może - zaprzeczyła Angie.

- W naturze? - Broussard potrząsnął głową. - W naturze może się podobać jak, nie przymierzając, skrzynka krabów, ale przed kamerą? Kiedy mówi przez całe piętnaście sekund? Kamera ją kocha, publiczność ją kocha. Zostawiła dziecko na jakieś cztery godziny bez opieki, to owszem, wywołuje pewne oburzenie, ale większość ludzi mówi: „Każdemu się może zdarzyć. Kto z nas jest bez winy?”.

- Prawdopodobnie nigdy w życiu nie była w ten sposób adorowana - powiedział Poole. - I jak tylko Amanda się znajdzie albo, powiedzmy, stanie się coś, co usunie tę sprawę z pierwszych stron gazet - a zawsze coś takiego musi się stać - to Helene z powrotem będzie tym, kim była, dlatego za wszelką cenę chce wykorzystać swoje pięć minut.

- I uważacie, że to jest jedyny powód, dla którego łże, gdzie była tamtej nocy? - zapytałem.

- Najprawdopodobniej - odparł Broussard. Wytarł serwetką kąciki ust i odsunął talerz. - Nie zrozumcie nas źle, za kilka minut jedziemy do jej brata i damy Helene niezły wycisk za to, że nas okłamała. A jeśli to nie wszystko, to resztę z niej wyciągniemy. - Podał nam rękę. - Bardzo wam dziękuję.

- Jak długo pracujecie nad tą sprawą? - zapytał Poole. Angie spojrzała na zegarek.

- Od wczoraj, od późnego wieczoru.

- I już odkryliście coś, co nam uszło? - zachichotał Poole. - Wygląda na to, że rzeczywiście jesteście tacy dobrzy, jak o was mówią.

Angie zatrzepotała rzęsami.

- Ojej, bez przesady.

Broussard uśmiechnął się.

- Od czasu do czasu widuję się z Oscarem Lee. Sto lat temu obaj pracowaliśmy w policji osiedlowej. Po tym, jak kilka lat temu Gerry Glynn został zabity na placu zabaw, zapytałem Oscara o was. Chcecie wiedzieć, co powiedział?

Wzruszyłem ramionami.

- Znając Oscara, pewnie jakieś świństwo.

Broussard skinął głową.

- Powiedział, że w większości spraw jesteście pieprzonymi partaczami.

- To rzeczywiście podobne do Oscara - orzekła Angie.

- Ale powiedział też, że jak już sobie wbijecie do głowy, że rozwiążecie jakąś sprawę, to i sam Bóg was od niej nie oderwie.

- Ten Oscar to nadzwyczajny facet - podsumowałem.

- No tak, a teraz pracujecie nad tą samą sprawą co my. - Poole starannie poskładał serwetkę i położył na talerzu.

- Czy to wam przeszkadza? - zapytała Angie.

Poole popatrzył na Broussarda, Broussard wzruszył ramionami.

- W zasadzie nie - odparł Poole. - Ale powinny istnieć jakieś reguły gry.

- Na przykład?

- Na przykład... - Poole wyjął paczkę papierosów. Delikatnie zsunął celofan, potem zdjął folię aluminiową i wysunął camela bez filtra. Mocno wciągnął w nozdrza zapach tytoniu, odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. A potem nachylił się do przodu i rozduśił w popielnicze niezapalonego papierosa, który pękł na pół. Na koniec schował paczkę do kieszeni.

Broussard uśmiechnął się do nas, unosząc brew. Poole zauważył, że się na niego gapimy.

- Przepraszam, ale rzuciłem palenie.

- Kiedy? - zapytała Angie.

- Dwa lata temu. Ale w dalszym ciągu brak mi tego rytuału. - Uśmiechnął się. - Rytuały są ważne.

Angie sięgnęła do torebki.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

- Boże, a tobie by nie przeszkadzało? - zapytał Poole.

Patrzył, jak Angie zapala papierosa, a potem lekko przesunął głowę i jego oczy, które stały się czyste, znalazły moje, jakby za sprawą jednego mrugnięcia chciał dotrzeć do jądra mojego umysłu, mojej duszy.

- Trzeba ustanowić reguły gry, nie może być żadnych przecieków do prasy. Przyjaźnicie się z Ritchiem Colganem z „Tribune”.

Skinąłem głową.

- A Colgan nie jest przyjacielem policji - odezwał się Broussard.
- Przyjaciół policji to nie jest jego zawód - wtrąciła Angie. - Jest reporterem.
- Jego sprawa. Nam nic do tego - oświadczył Poole - ale nie zgadzam się, żeby do prasy przedostało się cokolwiek na temat tego śledztwa. Jasne?

Spojrzałem na Angie. Przyglądała się Poole'owi przez zasłonę dymu. W końcu skinęła głową.

- Jasne - powiedziałem.
- To fantastycznie! - rzekł Poole ze szkockim akcentem.
- Skąd wziąłeś tego faceta? - zapytała Angie Broussarda.
- Płacą mi stówę tygodniowo ekstra za to, że z nim pracuję. To dodatek za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia.

Poole nachylił się w stronę smugi dymu z papierosa Angie i powąchał.

- Po drugie, jesteście nieortodoksyjni. W porządku. Ale nie możemy zaakceptować tego, że wyciągacie broń i wymuszacie w ten sposób na ludziach informacje metodą pana Dużego Dave'a Stranda.

- Duży Dave Strand mało mnie nie zgwałcił, sierżancie Raftopoulos - wtrąciła Angie.

- Rozumiem - rzekł Poole.
- Nie, nie rozumiesz. Nie masz pojęcia. Poole skinął głową.
- Przepraszam. Ale oczekuję z waszej strony zapewnienia, że to, co się przydarzyło dziś po południu Dużemu Dave'owi, było przypadkowe. I że się więcej nie powtórzy.
- Zapewniamy - odpowiedziała Angie.
- Trzymam was za słowo. A co powiecie na nasze warunki?
- Jeśli zgodzimy się, że nie będzie żadnych przecieków do prasy, to wystawimy na szwank nasze stosunki z Ritchiem Colganem i wtedy musicie nas dopuścić do informacji. A jeśli się zorientujemy, że nas traktujecie jak prasę, Colgan dostanie telefon.

Broussard skinął głową.

- Nie widzę problemu, a ty, Poole?
Poole wzruszył ramionami, nie spuszczając ze mnie wzroku.
- Nie chce mi się wierzyć, że czterolatka mogła zginąć w taką ciepłą noc, tak żeby jej nikt nie zauważył.

Broussard kręcił obrączkę na palcu.

- Mnie też nie.

- No więc powiedzcie, co macie? - zainteresowała się Angie. - Po trzech dniach musicie wiedzieć coś, o czym nie czytaliśmy w gazetach.

- Mamy dwanaście przyznań się do winy - odparł Broussard - od „Wziąłem małą i ją zjadłem” do „Wziąłem małą i sprzedałem ją do sekty Moona”, która najwyraźniej dobrze płaci. - Uśmiechnął się do nas smutno. - Żadne z tych przyznań nie trzyma się kupy. Mamy jasnowidzów, którzy mówią, że Amanda jest w Connecticut; innych, którzy twierdzą, że jest w Kalifornii; jeszcze inni utrzymują, że dalej znajduje się w tym stanie, ale w jego zalesionej części. Przesłuchiwalismy Lionela i Beatrice McCreadych, ale mają murowane alibi. Przeszukalismy kanały burzowe. Rozmawialismy ze wszystkimi sąsiadami z tej ulicy w ich domach - nie po to, żeby się dowiedzieć, co mogli słyszeć albo widzieć tamtej nocy, ale żeby od niechcienia obejrzeć ich domy pod kątem jakiegokolwiek śladu dziecka. Wiemy teraz, który z sąsiadów bierze kokę, który ma problem alkoholowy, który bije żonę czy jest przez nią bity, ale nie znaleźliśmy kompletnie nic, co można by w jakikolwiek sposób powiązać ze zniknięciem Amandy McCready.

- Czyli zero - oceniłem. - W gruncie rzeczy nie macie nic.

Broussard powoli odwrócił głowę i spojrzał na Poole'a.

Po jakiejś minucie przyglądania się nam przez szerokość stołu i wypychania językiem dolnej wargi Poole sięgnął do zniszczonej aktówki, leżącej na siedzeniu obok niego i wyjął z niej kilka błyszczących fotografii. Wręczył nam pierwszą z nich.

Było to czarno-białe zbliżenie mężczyzny pod sześćdziesiątkę, który wyglądał tak, jakby mu skórę twarzy naciągnięto na kościach, a następnie zebrano z tyłu i spięto. Jasne oczy dosłownie wychodziły mu z orbit, a małe usta były ledwie widoczne pod zakrzywionym, haczykowatym nosem. Policzki tak miał zapadnięte, jakby ssał cytrynę. Na spiczastym czubku głowy leżało kilka zaczesanych palcami do tyłu kosmyków siwych włosów.

- Widzieliście go kiedyś? - zapytał Broussard.

Potrząsnęliśmy głowami.

- Nazywa się Leon Trett - wyjaśnił Poole. - Skazany za molestowanie dzieci. Popęlnił trzy przestępstwa. Za pierwsze wsadzili go do psychiatryka, za kolejne dwa do więzienia. Ostatnią odsiadkę zakończył jakieś dwa i pół roku temu i po wyjściu z Bridgewater zniknął.

Poole wręczył nam drugie zdjęcie. Było kolorowe i przedstawiało całą postać gigantycznej, potwornie grubej kobiety, z ramionami jak bochny i z brązową grzywą

rozczochranych, stojących dęba włosów.

- O, Boże - powiedziała Angie.

- To Roberta Trett - wyjaśnił Poole. - Uroczą małżonka wspomnianego wyżej Leona. To zdjęcie zostało zrobione dziesięć lat temu, więc mogła się trochę zmienić, ale nie sądzę, żeby się skurczyła. Roberta była znana z tego, że miała dobrą rękę do kwiatów i że zwykle utrzymywała siebie i swojego ukochanego Leona z kwaciarstwa. Dwa i pół roku temu rzuciła pracę, wyprowadziła się ze swojego mieszkania w Roslindale i od tej pory nikt nie widział ani jej, ani Leona.

- Ale... - zaczęła Angie.

Poole podał nam trzecie i ostatnie zdjęcie. Była to policyjna fotka mężczyzny o beżowej skórze, z zezem w prawym oku i wyrazem oszołomienia na płaskiej twarzy. Wpatrywał się w obiektyw, jakby go szukał w ciemnym pokoju, a jego twarz przedstawiała obraz bezsilnej złości.

- Corwin Earle - pospieszył z wyjaśnieniem Poole - też skazany za pedofilię. Tydzień temu wyszedł z Bridgewater. Miejsce pobytu nieznane.

- Ale on ma jakiś związek z Trettami - powiedziałem.

Broussard skinął głową.

- Siedział z Leonem w Bridgewater. Po wyjściu Leona na wolność jego kolegą z celi był bandzior z Dorchester, Bobby Minton, który regularnie dawał Corwinowi wycisk za pedofilię, a między jednym a drugim słuchał wynurzeń półgłówka. Według Mintona ulubionym zajęciem Corwina było snucie fantazji, jak to po wyjściu z pudła odszuka swojego dawnego kumpla z celi, Leona i jego fantastyczną żonę i będą żyli razem wszyscy troje jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Ale nie zamierzał zjawić się pod ich drzwiami bez podarunku. To by było niegrzecznie. Ale, według Bobby'ego, nie miała to być butelka cutty shark dla Leona i tuzin róż dla Roberty, tylko dziecko. Małe, powiedział Bobby. Bo Corwin i Leon lubią, żeby były małe. Nie starsze niż dziewięć lat.

- I ten Bobby Minton do was zadzwonił? - zapytała Angie.

Poole skinął głową.

- Jak tylko usłyszał o zniknięciu Amandy McCready. Wygląda na to, że pan Minton konsekwentnie dręczył Corwina Earle'a barwnymi opowieściami o tym, co dobrzy ludzie z Dorchester robią z pedofilami i że na przykład taki Corwin nie uszedłby Dorchester Avenue dalej niż trzy metry, żeby mu nie obcięli kutasa i nie wepchnęli do gardła. Pan Minton uważa, że Corwin Earle specjalnie w Dorchester

upatrzyl sobie „prezent powitalny” dla Trettów, żeby zagrać mu na nosie.

- A gdzie jest teraz Corwin Earle? - zapytałem.

- Nie ma go. Zniknął. Obstawiliśmy dom jego rodziców w Marshfield, ale do tej pory bezskutecznie. Z więzienia wyjechał taksówką, która go zawiozła do klubu striptizowego w Stoughton i tyle go widzieli.

- I ten telefon Bobby'ego Minton'a czy co to tam było, to jedyne, co macie, żeby powiązać Earle'a i Trettów ze sprawą Amandy?

- Cienko, prawda? - powiedział Broussard. - Mówiłem, że mamy niewiele. Trzeba być facetem nie z takimi jajami jak Earle, żeby porwać dzieciaka w obcej dzielnicy. A w jego kartotece nie ma nic, co by na to wskazywało. Dzieci, które molestował, to byli mali uczestnicy letniego obozu, przy którym pracował siedem lat temu. Tam nie było żadnej przemocy, żadnego przetrzymywania na siłę. Prawdopodobnie przechwalał się przed kumplem z celi.

- A co z Trettami? - zapytała Angie.

- Roberta jest czysta. Na koncie ma tylko wyrok za paserstwo po napadzie na sklep alkoholowy w Lynn w latach siedemdziesiątych. Odsiedziała rok, dostała dozór sądowy i od tamtej pory spędziła najwyżej noc w areszcie.

- A Leon?

- Leon. - Broussard uniósł brwi, spojrzał na Poole'a i gwizdnął. - Leon jest niedobry, niedobry, bardzo niedobry. Trzykrotnie skazany, oskarżony dwudziestokrotnie. Większość spraw została umorzona, ponieważ ofiary nie chciały zeznawać. A nie wiem, czy znacie logikę pedofilów; z nimi jest tak samo jak ze szczurami i karaluchami: widzisz jednego, to zaraz potem masz ich setki. Złapiesz zboczeńca na molestowaniu dziecka, to możesz dać głowę, że zaraz się znajdzie przynajmniej ze trzydziścioro, z którymi nie został nakryty, jeżeli nie jest kompletnym przygłupem. Tak więc Leon, według naszych ostrożnych szacunków, musiał zgwałcić co najmniej pięćdziesiątkę dzieciaków. Kiedy dzieciaki zaczęły znikać na dobre, mieszkał najpierw w Randolph, a potem w Holbrook, dlatego zarówno policja federalna, jak i lokalna miała go na pierwszych miejscach swoich list podejrzanych o morderstwa tych malców. I jeszcze jedna sprawa, która rzuca światło na charakter Leona: kiedy go ostatnim razem aresztowali, policja Kingston znalazła mnóstwo broni automatycznej, zakopanej w pobliżu jego domu.

- Czy został za to skazany? - zainteresowała się Angie.

Broussard potrząsnął głową.

- Był na tyle sprytny, że ukrył ją w ogródku sąsiada. Policjanci z Kingston wiedzieli, że ta broń należy do niego - w domu miał pełno biuletynów NRA², podręczników dotyczących broni, „The Turner Diaries”³ ot, zwykłe akcesoria dobrze uzbrojonego paranoika - tyle że nic mu nie mogli udowodnić. Bardzo niewiele da mu się przypiąć. Leon jest niesamowicie ostrożny i wie, kiedy zniknąć.

- Najwyraźniej - powiedziała Angie z lekką ironią w głosie.

Poole delikatnie położył rękę na jej dłoni.

- Zatrzymajcie te zdjęcia, przyglądajcie się im i uważajcie na tę trójkę. Nie sądzę, żeby mieli z tym coś wspólnego - nic na to nie wskazuje, poza teorią prawdopodobieństwa - ale to są dziś najbardziej znani gwałciciele w tym rejonie.

Angie spojrzała na rękę Poole'a i uśmiechnęła się.

- Okay.

Broussard uniósł jedwabny krawat i zdjął z niego jakiś pyłek.

- Wiesz, z kim była Helene McCready w Filmore w niedzielę w nocy?

- Z Dottie Matthew - odparła Angie.

- I to wszystko?

Ani Angie, ani ja nie odzywaliśmy się przez chwilę.

- Tylko pamiętajcie: pełne ujawnianie informacji - przypomniał nam Broussard.

- I z Chudzielcem, Rayem Likanskim - dodałem.

Broussard zwrócił się do Poole'a:

- Powiedz mi coś więcej o tym facecie.

- Drań - odparł Poole. - I pomyśleć, że niecałą godzinę temu mieliśmy gościa w ręku. - Potrząsnął głową. - Szkoda.

- Dlaczego? - zainteresowałem się.

- Chudzielec to profesjonalny przestępca. Wszystkiego nauczył się od swojego taty. Prawdopodobnie wie, że go poszukujemy i dlatego zniknął. Przynajmniej na jakiś czas. Pewnie dlatego nam powiedział, że wymachujecie w barze spluwami, żebyśmy mu dali spokój i żeby miał czas się zmyć. Likanscy mają krewnych w Allegheny, Rem. Nie moglibyście...

- Zadzwoń do tamtejszych gliniarzy - przerwał Broussard. - Czy mamy coś na

² National Rifle Association - Krajowe Stowarzyszenie Strzeleckie (przyp. tłum.).

³ Wydana w 1972 roku praca dr. Williama Pirce'a, podpisana pseudonimem Andie McDonald, poświęcona supremacji białych (przyp. tłum.).

niego?

Poole potrząsnął głową.

- Od pięciu lat nie miał wpadki. W każdym razie nic poważnego. Żadnego nadzoru policyjnego. Jest czysty. - Poole postukał palcem w stół. - W końcu się objawi. Jak każda choroba.

- Skończyliśmy? - zapytał Broussard, widząc zbliżającą się kelnerkę.

Poole zapłacił czekiem i wszyscy czworo wyszliśmy w zapadający zmrok.

- Gdybyście mieli stawiać, to na co byście postawili? Co się stało z Amandą McCready? - spytałem.

Broussard wyjął kolejne opakowanie gumy do żucia, włożył do ust jeden listek i zaczął powoli żuć. Poole poprawił krawat i przejrzał się w lusterku po stronie pasażera.

- Powiedziałbym - odparł Poole - że jeśli dziecka nie ma od ponad osiemdziesięciu godzin, to nie może to oznaczać nic dobrego.

- Detektyw Broussard? - zapytała Angie.

- Powiedziałbym, że nie żyje, pani Gennaro. - Obszedł samochód i otworzył drzwi od strony kierowcy. - Świat jest ohydny i nigdy nie był łaskawy dla dzieci.

6

W Savin Hill Park Astronauci grali z Wilgami o zachodzie słońca i wszystko wskazywało na to, że obie drużyny ruszają się jakoś dziwnie. Kiedy pałkarz Astronautów posłał piłkę wzdłuż linii do trzeciej bazy, gracz na trzeciej bazie Wilg nie złapał jej, ponieważ był zajęty wyrywaniem jakiegoś zielska pod stopami. Wtedy zawodnik Astronautów podniósł piłkę i pobiegł z nią do bazy domowej. Tuż przedtem, nim dotarł do stanowiska gracza odbijającego piłki, rzucił piłkę mniej więcej w kierunku miotacza, który ją podniósł i rzucił do pierwszego. Gracz na pierwszej bazie złapał piłkę, ale zamiast przewrócić biegnącego, odwrócił się i rzucił piłkę na zapole. Środkowy i prawy spotkali się przy piłce i przewrócili nawzajem. Lewy pomachał do swojej mamy.

Liga T-ballowa North Dorchester dla dzieci od czterech do sześciu lat od wieków spotykała się raz na tydzień w Savin Hill Park i grała na mniejszym z dwóch boisk, oddzielonym od autostrady południowo-wschodniej pasem szerokości około pięćdziesięciu metrów i siatką. Savin Hill wychodzi na autostradę i na małą zatoczkę Malibu Beach i to właśnie tutaj cumują łodzie Jachtklubu Dorchester. W tej dzielnicy mieszkam od urodzenia i nigdy w życiu nie widziałem, żeby prawdziwy jacht rzucił tu kotwicę, ale nie wykluczam, że patrzyłem w niewłaściwe dni.

Kiedy byłem w wieku od czterech do sześciu lat, grałem w bejsbol, bo jeszcze wtedy nie było T-ballu. Mieliśmy trenerów i rodziców, którzy wrzeszczeli i domagali się od nas koncentracji, dzieciaki, które już nauczono uderzać lekko piłkę i unikać

wyeliminowania z gry przez dotknięcie, ojców, którzy nas ćwiczyli w rzucaniu szybkich i podkręconych piłek ze wzgórką. Mieliśmy siedmiorundowe rozgrywki i zaciekle rywalizowaliśmy z innymi parafiami, a kiedy już w wieku siedmiu czy ośmiu lat weszliśmy do małej ligi, drużyny parafii św. Bartłomieja, św. Williama i św. Antoniego z North Dorchester cieszyły się zasłużoną sławą.

Kiedy staliśmy z Angie przy trybunach i patrzyliśmy na trzydziścioro chłopców i dziewczynek, którzy niby mali paralitycy miotali się, nie mogąc złapać piłki, bo naciągnęli sobie czapki na oczy albo dlatego, że się gapili w zachodzące słońce, to nie miałem wątpliwości, że metoda stosowana, kiedy ja byłem dzieckiem, lepiej nas przygotowywała do opanowania zasad bejsbolu, ale za to dzieciaki grające w T-ball miały znacznie więcej frajdy.

Przed wszystkim nie zauważyłem żadnych wykluczeń. Cały skład obu drużyn uderzał rotacyjnie. Kiedy już cała piętnastka wybiła (a wybijali wszyscy; nie było czegoś takiego jak wyeliminowany zawodnik), zamieniali swoje kije na rękawice przeciwników. Nikt nie pilnował wyników. Jeśli się zdarzyło dziecko dostatecznie czujne, żeby zarówno złapać piłkę, jak i przewrócić przeciwnika, trener gratulował obojgu i biegacz zostawał na bazie. Kilkoro rodziców wrzeszczało: „Bierz piłkę, na miłość boską, Andrea” albo „Biegnij, Eddie, biegnij! Nie, nie, tędy. Tędy!”. Ale najczęściej rodzice i trenerzy oklaskiwali każde uderzenie, po którym piłka przeleciała więcej niż metr dwadzieścia, czy każdą piłkę złapaną i odrzuconą mniej więcej w obrębie parku i każdy udany bieg z pierwszej do trzeciej bazy, nawet jeśli dzieciak przebiegł przez wzgórek miotacza.

Amanda McCready grywała w tej lidze. Zapisana i przyprowadzona przez Lionela i Beatrice, grała w Wilgach, a jej trener powiedział nam, że zwykle grała na drugiej bazie i że zupełnie nieźle łapała piłki, jeśli się akurat nie zagapiła na ptaszka na koszulce.

- W ten sposób straciła kilka piłek. - Sonya Garabedian uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Stałaby tam, gdzie teraz stoi Aaron i ciągnęłaby się za koszulkę, przyglądając się ptaszкови i przemawiając do niego od czasu do czasu. A jeśli akurat nadleciała piłka, to cóż... musiała poczekać, aż Amanda skończy gapić się na ślicznego ptaszka.

Chłopiec, stojący przy literze T, okrągły i duży jak na swój wiek, wybił piłkę daleko w lewo i wtedy wszyscy gracze w polu zewnętrznym oraz większość graczy w polu wewnętrznym pobiegli za nią. Po okrążeniu drugiej bazy duży chłopak podjął decyzję -

co do diabła, on też spróbuje ją złapać - i pobiegł na pole zewnętrzne, żeby dołączyć do innych dzieciaków, które kotłowały się i tarzały, odskakując od siebie jak zderzaki samochodowe.

- To jest coś, czego by nigdy nie zrobiła Amanda - oznajmiła Sonya Garabedian.

- Nie przegapiłaby biegu do bazy domowej? - zapytała Angie.

Sonya potrząsnęła głową.

- To też. Ale nie, chodzi mi o tę stertę ciał, o tam. Jeśli ktoś tego w porę nie przerwie, to zaczną się bawić w „Jestem na wierzchu” i zupełnie zapomną, po co tu przyszli.

Kiedy dwójka rodziców ruszyła w kierunku bezładnej sterty ciał i dzieciaki zaczęły wyskakiwać z niej niby skoczkowie cyrkowi, Sonya wskazała małą rudą dziewczynkę, która grała na trzeciej bazie. Mogła mieć z pięć lat i była prawdopodobnie najmniejsza z obu drużyn. Koszulka bejsbolowa sięgała jej za kolana. Popatrzyła na idących na pole zewnętrzne i na coraz większą liczbę dzieciaków zmierzających w tamtym kierunku i uklękła, grzebiąc w piasku kamieniem.

- To jest Kerry - wyjaśniła Sonya. - Obojętne, co się wydarzy, na boisko mógłby nawet wejść słoń i pozwolić dzieciakom zabawiać się swoją trąbą, Kerry nie dołączy do zabawy. Takie rzeczy jej się po prostu nie zdarzają.

- Jest taka nieśmiała? - zapytałem.

- W pewnej mierze tak. - Sonya skinęła głową. - Ale najprawdopodobniej po prostu nie reaguje na większość rzeczy, na które reagują inne dzieci. Nigdy nie jest tak naprawdę smutna, ale też nigdy nie jest tak naprawdę wesoła. Rozumiesz?

Kerry spojrzała w górę, mrużąc oczy przed zachodzącym słońcem, po czym znów zaczęła grzebać w piasku.

- Amanda pod tym względem przypomina Kerry - powiedziała Sonya. - Praktycznie nie reaguje na bezpośrednie bodźce.

- Jest introwertyczką - podsumowała Angie.

- Do pewnego stopnia, ale nie aż tak, żeby ci się wydawało, że w jej głowie dzieje się bardzo wiele. Jest zamknięta w swoim wewnętrznym świecie, ale jednocześnie ten świat wewnętrzny też jakby jej specjalnie nie interesował. - Sonya odwróciła się i popatrzyła na mnie, a w twardym rysunku jej dolnej szczęki i w beznamiętnym spojrzeniu było coś smutnego.

- Poznałaś Helene?

- Tak.

- Co o niej myślisz?

Wzruszyłem ramionami.

Uśmiechnęła się.

- To typowa reakcja na Helene. Ludzie wzruszają ramionami.

- Czy ona przychodziła na rozgrywki dzieci? - zapytała Angie.

- Raz przysłała - odparła Sonya - i była pijana. Przyprowadziła ze sobą Dottie Matthew, obie były zalane i zachowywały się bardzo hałaśliwie. Myślę, że Amanda się ich wstydziła. Pytała mnie bez przerwy, kiedy rozgrywki się skończą. - Potrząsnęła głową. - Dzieci w tym wieku nie potrafią tak ocenić czasu jak my, dorośli. Odróżniają tylko, czy coś trwa krótko, czy długo. Dzień, rozgrywki bejsbolowe - wszystko to musiało się wydawać Amandzie bardzo długie.

Z pola zeszła kolejna grupa rodziców i trenerów, a także Astronautów. Jeszcze kilkoro dzieciaków kotłowało się na stercie; inne potworzyły grupki, bawiąc się w berka, rzucając w siebie rękawicami albo po prostu czołgając się po trawie jak foki.

- Czy pani kiedykolwiek zauważyła jakichś obcych ludzi kręcących się w pobliżu terenu zabaw? - zwróciła się do Soni Garabedian Angie, pokazując jej zdjęcia Corwina Earle'a i Leona oraz Roberty Trettów.

Sonya przyjrzała się fotografiom, zamrugnęła oczami w reakcji na rozmiary Roberty i ostatecznie potrząsnęła głową.

- Widzicie tego dużego faceta tam obok kotłujących się dzieciaków? - Wskazała wysokiego, solidnie zbudowanego mężczyznę, niewiele po czterdziestce, ze szczeciniastym jeżem na głowie. - To jest Matthew Hoagland, zawodowy kulturysta, były mister Massachusetts przez parę lat z rzędu. To słodki człowiek. I naprawdę bardzo kocha swoje dzieciaki. W zeszłym roku przyplątał się tu podejrzanie wyglądający facet i przez jakiś czas stał koło boiska i gapił się na grające dzieci. Nie podobały nam się jego oczy i Matt go przepędził. Nie wiem nawet, co mu powiedział, w każdym razie facet zrobił się biały na twarzy i poszedł jak zmyty. Od tamtej pory mamy spokój. Może ten rodzaj... człowieka należy do jakiejś siatki i po prostu rozpuszcza stosowną wiadomość, uprzedzając innych. W każdym razie nikt obcy tu nie przychodził. - Spojrzała na nas. - Dopiero wy.

Dotknąłem swoich włosów.

Sonya zachichotała.

- Kilkoro z nas pana poznało, panie Kenzie. Pamiętamy, jak pan uratował tego chłopca na boisku. Może pan być spokojnie baby-sitterem u każdego z nas, jeśli pan

chce.

Angie dała mi kuksańca w bok.

- Nasz bohater.

- Zamknij się - warknąłem.

Upłynęło jeszcze z dziesięć minut, zanim udało się zaprowadzić jaki taki porządek i wznowić grę.

W tym czasie Sonya Garabedian przedstawiła nas kilkorgu rodzicom, którzy pozostali na trybunach. Część z nich znała Helene i Amandę i resztę czasu spędziliśmy na rozmowie z nimi. Jedynym zyskiem z tych rozmów - poza potwierdzeniem naszej opinii o Helene jako osobie zajętej wyłącznie sobą - był nieco pełniejszy obraz Amandy. W przeciwieństwie do opinii Helene, jakoby mała była czymś w rodzaju kukielki z serialu telewizyjnego, która żyła tylko po to, żeby się uśmiechać i uśmiechać, ludzie, z którymi rozmawialiśmy, mówili raczej, że Amanda za mało się uśmiechała, że na ogół była apatyczna i o wiele za cicha jak na czterolatkę.

- A moja Jessica? - powiedziała Frances Neagly. - Od drugiego do piątego roku życia była jak żywe srebro. A te pytania! Ciągłe tylko: „Mamo, dlaczego zwierzątko nie mówią tak jak my? A skąd ja mam paluszki u nóg? Jak to się dzieje, że jedna woda jest zimna, a druga gorąca?”. - Frances uśmiechnęła się ze znużeniem. - I tak bez przerwy. Każda matka, którą znam, narzeka, jak męczące potrafi być czteroletnie dziecko. No bo one mają po cztery lata, prawda? I co kilka sekund świat je zadziwia.

- A Amanda? - spytała Angie.

Frances Neagly oparła się wygodnie i rozejrzała po parku, gdzie coraz bardziej pogłębiające się cienie wpełzały na bawiące się na boisku dzieci, jak gdyby je pomniejszając.

- Kilka razy jej pilnowałam. Ale nigdy się z Helene nie umawialiśmy. Po prostu wpadała i mówiła: „Mogę ją na sekundkę zostawić?”. I przychodziła po nią sześć czy siedem godzin później. No i co, powiesz nie? - Zapaliła papierosa. - Amanda była cicha jak myszka. Nie stwarzała żadnych problemów. Nigdy, ani razu. Ale czy można tego oczekiwać od czteroletniego dziecka? Siedziała tam, gdzie się ją zostawiło i patrzyła w ścianę, telewizor czy cokolwiek. Nie grzebała w zabawkach moich dzieci, nie ciągnęła kota za ogon, nic z tych rzeczy. Po prostu siedziała jak mysz pod miotłą i nigdy nie pytała, kiedy mama po nią przyjdzie.

- A czy ona nie jest umyślowo upośledzona? - spytałem. - Autystyczna?

Frances potrząsnęła głową.

- Nie, jeśli się do niej mówiło, to bardzo ładnie odpowiadała. Zawsze robiła wrażenie jakby trochę zdziwionej, ale była słodka i jak na swój wiek pięknie mówiła. Nie, to bystre dziecko, tylko takie jakieś wyciszone.

- I to się wydawało nienaturalne? - zapytała Angie.

Frances wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Wiecie co, mnie się wydaje, że ona po prostu przywykła do tego, że jest ignorowana. - Gołąb przeleciał nisko nad wzgórkami miotacza i jedno z dzieci rzuciło w niego rękawiczką, ale chybiło. Frances uśmiechnęła się do nas słabo. - I wydaje mi się, że to pozbawia dziecko inicjatywy.

Odwróciła się na widok swojej córki, która nadchodziła, trzymając niezdarnie w rękach kij bejsbolowy i przyglądając się leżącej przed nią piłce.

- No, uderz piłkę tak, żeby wyleciała poza park! - zawołała Frances. - Ty to potrafisz.

Mała obróciła się i spojrzała na matkę. Uśmiechnęła się, kilka razy potrząsnęła głową i rzuciła kij na pole.

Z

Po rozgrywkach poszliśmy do Ashmont Grille coś zjeść i napić się piwa. Angie przeżywała rodzaj spóźnionej reakcji na stres, jakiego dostarczyła jej wizyta w Filmore Tap.

W Ashmont Grille podawano to samo, co robiła moja mama - klopsy z ziemniakami i dużą ilością sosu - a i kelnerki traktowały klientów jak własne dzieci. Jeśli zostawiłeś coś na talerzu, pytały, czy głodujące dzieci w Chinach marnowałyby jedzenie. Zawsze się zastanawiałem, czy mi powiedzą, że nie mogę wstać od stołu, dopóki nie zjem wszystkiego do ostatniego okruszka.

Gdyby tak rzeczywiście miało być, to Angie siedziałyby nad swoim rozgrzebanym kurczakiem do przyszłego tygodnia. Była filigranowa i szczupła, ale pod względem apetytu zapędziłaby w kozi róg kierowcę ciężarówki. Dziś nawijała jednak makaron na widelec, a potem o nim zapomniała. Opuszczała widelec na talerz, popijała piwo i patrzyła gdzieś w przestrzeń jak, nie przymierzając, Helene McCready poszukująca wzrokiem telewizora.

Była dopiero przy czwartym kęsie, kiedy mój talerz świecił pustkami. Potraktowała to jako hasło, że obiad się skończył i odsunęła talerz na środek stolika.

- Trudno poznać drugiego człowieka - powiedziała ze wzrokiem wbitym w stół. - Nie uważasz? Zrozumieć go. To jest po prostu niemożliwe. Nie sposób zgłębić, co sprawia, że robi to, co robi i dlaczego myśli tak, jak myśli. I to nie ma dla ciebie najmniejszego sensu, chyba że myślisz tak samo. Prawda? - Spojrzała na mnie

zaczerwienionymi, wilgotnymi oczami.

- Mówisz o Helene?

- O Helene. - Odchrząknęła. - O Helene i o Dużym Davie i o tamtych facetach z baru, i o tym kimś, kto uprowadził Amandę. Oni są bez sensu. Oni nie... - Na policzek spadła jej łza i Angie wytarła ją wierzchem dłoni. - Cholera.

Wzięłam ją za rękę, a Angie, zagryzając policzek, wbiła wzrok w wentylator nad swoją głową.

- Angie - powiedziałem - ci faceci z Filmore to ludzkie śmiecie, niewarte tego, żeby sobie nimi zaprzętać głowę.

- Aha. - Odetchnęła głęboko przez usta. Słyszałem, jak powietrze przedziera się przez zaciśnięte gardło. - Masz rację.

- Hej - powiedziałem, gładząc ją po ręce. - Mówię poważnie. To zera. Oni są...

- Oni by mnie zgwałcili, Patrick. Jestem przekonana. - Spojrzała na mnie i usta zaczęły jej drgać w sposób niekontrolowany, aż wreszcie zastygły na chwilę w uśmiechu, najdziwniejszym, jaki widziałem w życiu. Poklepała mnie po dłoni i skóra koło jej ust pomarszczyła się, potem z jej oczu popłynęły łzy, a Angie, nie przestając poklepywać mnie po ręce, próbowała ten uśmiech utrzymać. Znałem tę kobietę przez całe życie i mógłbym na palcach jednej ręki policzyć, ile razy płakała w mojej obecności. W tym momencie zupełnie nie rozumiałem, co się z nią stało. Widziałem ją w sytuacjach znacznie większego zagrożenia niż to, wobec jakiego się znalazła dzisiaj w tamtym barze i zawsze jakoś potrafiła się otrząsnąć, ale niezależnie od przyczyny teraz cierpiała naprawdę, a ja nie mogłem znieść bólu widocznego na jej twarzy.

Wysunąłem się ze swojego siedzenia w boksie, a ona pomachała ręką, żebym nie wstawał, ale zająłem miejsce obok niej i Angie się do mnie przytuliła. Złapała mnie za koszulę i cichutko płakała na moim ramieniu. A ja głaskałem ją po włosach, całując w rękę i tuląc do siebie. Czulem krążącą w jej ciele krew, kiedy drżała w moich ramionach.

- Bo ja się czuję jak taki głupek - szlochała.

- Nie bądź śmieszna.

Wyszliśmy z Ashmont Grille i Angie poprosiła mnie, żebyśmy wstąpili do Columbia Park w Południowym Bostonie. W samym rogu parku osadzone w granicie trybuny tworzyły podkowę, otaczającą pełen kurzu tor. Zabraliśmy ze sobą piwo, wytarliśmy jedną z desek, sprawdzając, czy nie ma drzazg i usiedliśmy.

Columbia Park to święte miejsce Angie. Jej ojciec, Jimmy, zginął ponad

dwadzieścia lat temu w akcji policji przeciwko gangsterom i to właśnie tutaj matka powiedziała Angie i swojej drugiej córce, że ich ojciec nie żyje, chociaż nie znaleziono ciała. Angie przychodzi tutaj czasem w złe noce, kiedy nie może spać, a w głowie kłębią jej się czarne myśli.

Pięćdziesiąt metrów na prawo szumiał ocean, a wiejąca od niego bryza była na tyle zimna, że przytuliliśmy się mocno do siebie, żeby nie dygotać. Angie wychyliła się do przodu, wpatrując w tor i szeroki pas zieleni za nim.

- Wiesz, o co mi chodzi?

- Mów.

- Nie rozumiem ludzi, którzy krzywdzą innych. - Obróciła się twarzą do mnie. - Nie mam na myśli tych, którzy o d p o w i a d a j ą gwałtem na gwałt. My też mamy to na sumieniu. Ja mówię o ludziach, którzy krzywdzą innych niesprowokowani. Którzy lubią szpetotę i którzy się rozładowują, wciągając innych w bagno ze sobą.

- Jak ci faceci w barze.

- Właśnie. Przecież oni by mnie zgwałcili. Zgwałciliby. Mnie. - Przez chwilę siedziała z otwartymi ustami, jakby po raz pierwszy w pełni dotarło do niej znaczenie tych słów. - A potem poszliby do domu i świętowali. Nie, nie, chwileczkę. - Uniosła rękę na wysokość twarzy. Oni by nie celebrowali. To by jeszcze nie było najgorsze. Najgorsze jest to, że w ogóle by o tym nie pomyśleli. Że wtargnęliby do mojego ciała, zgwałcili mnie na wszelkie możliwe zwyrodniałe sposoby, na jakie ich stać, a potem pamiętaliby o tym co najwyżej jak o filizance wypitej kawy. Nie jak o czymś, co się celebruje, tylko jak o jeszcze jednej czynności z rodzaju tych, które wypełniają dzień.

Nie odezwałem się słowem. No bo co tu było gadać. Patrzyłem jej w oczy i czekałem, aż zacznie mówić dalej.

- A Helene - podjęła. - Helene nie jest wiele lepsza od tych facetów, Patrick.

- Z całym szacunkiem, Angie, ale chyba tym razem przesadziłaś.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie przesadziłam. Gwałt to jest w gruncie rzeczy chwila. Wypala cię w środku i robi z ciebie szmatę w czasie, którego potrzebuje jakiś bydlak, żeby ci wsadzić swojego kutasa. Ale to, co robi Helene ze swoim dzieckiem... - Spojrzała na pokryty pyłem tor w dole i pociągnęła piwa. - Słyszałaś, co mówiły te matki. Widziałeś, jak ona zareagowała na zniknięcie córki. Mogę się z tobą założyć, że Helene dzień w dzień gwałciła Amandę. Nie fizycznie, tylko przez okazywanie jej całkowitej obojętności. Wypalała wewnątrz tego dziecka powoli, jakby jej aplikowała małe dawki arszeniku. To

jest właśnie Helene. Ona jest tym arszenikiem. - Angie pokiwała głową i powtórzyła szeptem: - Ona jest jak arszenik.

Ująłem jej dłonie.

- Mogę zaraz zadzwonić z samochodu i powiedzieć, że rezygnujemy. Już.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - W żadnym razie. Ci ludzie, ci samolubni, pieprzeni ludzie, tacy jak Duży Dave czy Helene, zatruwają świat. Wiem, że prędzej czy później zbiorą to, co zasiali. I bardzo dobrze. Ale ja się nie tknę niczego, dopóki nie znajdę tego dzieciaka. Beatrice ma rację. Amanda jest całkowicie osamotniona. I nikt za nią nie przemówi.

- Z wyjątkiem nas.

- Z wyjątkiem nas. - Skinęła głową. - Muszę znaleźć tę małą, Patrick.

Jak nigdy dotąd, miała w oczach jakieś dziwne światło, obsesyjny upór.

- Okay, Angie - powiedziałem. - Okay.

- Okay. - Stuknęła swoją puszką piwa w moją.

- A jeśli ona już nie żyje? - zapytałem.

- Żyje - odparła. - Ja to czuję.

- A jeśli nie?

- Żyje. - Wyszczyła piwo i wyrzuciła puszkę do stojącej u moich nóg torby. - Żyje.

Rozumiesz?

- Jasne, że rozumiem - odparłem.

Kiedy znaleźliśmy się w domu, cała para natychmiast z niej uszła, padła na łóżko i zasnęła. Wyciągnąłem spod niej koc, nakryłem ją i zgasilem światło.

Usiadłem w kuchni przy stole, na skoroszytcie napisałem „Amanda McCready” i nabazgrałem kilka stron notatek z ostatnich dwudziestu czterech godzin: nasze wywiady z rodziną McCreadych i z facetami w barze i wreszcie rozmowy z rodzicami dzieci grających w bejsbol. Kiedy skończyłem, wyjąłem z lodówki piwo i stojąc pośrodku kuchni, przez chwilę popijałem. Nie zaciągnąłem żaluzji w kuchni i za każdym razem, kiedy patrzyłem na ciemne prostokąty okien, widziałem łypiącego na mnie Gerry'ego Glynną, z włosami zmoczonymi benzyną i z twarzą opryskaną krwią jego ostatniej ofiary, Phila Dimassi.

Opuściłem żaluzje.

„Patrick - szeptał Gerry gdzieś ze środka mojej klatki piersiowej - czekam na ciebie”.

Kiedy doszło do konfrontacji między Angie, Oscarem, Devinem, Philem Dimassim i mną z jednej strony a Gerrym Glynnem, jego partnerem Evandrem Arujo i siedzącym w więzieniu psychopatą Alekiem Hardimanem z drugiej, nie sądziłem, żeby ktokolwiek z nas wiedział, jakie pochłonie ona ofiary. Gerry i Evandro patroszyli ludzi, ścinali im głowy, wypruwali wnętrzności i krzyżowali ich dla zabawy albo ze zwykłej złości, albo dlatego, że Gerry był wściekły na Boga, albo wręcz bez powodu.

Nigdy nie zrozumiałem przyczyn tych zachowań. Wątpię, czy ktokolwiek je rozumiał. Prędzej czy później motywy bledną w świetle czynów, którym dały początek.

Często nawiedzały mnie koszmary senne na temat Gerry'ego. Zawsze był to Gerry, nigdy Evandro, nigdy Alec Hardiman. Tylko Gerry. Prawdopodobnie dlatego, że znałem go przez całe życie. Jeszcze wtedy, kiedy był gliniarzem, obchodzącym rewir, zawsze uśmiechniętym i zawsze gotowym potargać nam, dzieciakom, czupryny. I potem, kiedy po przejściu na emeryturę został właścicielem i głównym barmanem Black Emerald. Popijałem z Gerrym, prowadziłem z nim długie nocne rozmowy, czułem się z nim dobrze, ufałem mu. I przez cały ten czas, przez trzy dekady, Gerry zabijał zbiegłe z domów dzieciaki. Całą zapomnianą populację, której nikt nie szukał i której nikomu nie brakowało.

Moje koszmary się zmieniały, ale zwykle Gerry zabijał w nich Phila. Na moich oczach. W rzeczywistości nie widziałem, jak podrzyna Philowi gardło, mimo że byłem wtedy w odległości zaledwie dwóch i pół metra. Leżałem na podłodze jego baru, broniąc przed zębami jego owczarka swojego oka, ale słyszałem krzyki Phila, słyszałem, jak błaga: „Nie, Gerry, nie”. I trzymałem go, kiedy umierał.

Phil Dimassi był mężem Angie przez dwanaście lat. Do ich ślubu był także moim najlepszym przyjacielem. Kiedy Angie wystąpiła o rozwód, Phil przestał pić, znów dostał dobrą posadę i myślę, że był na najlepszej drodze do powrotu na dobrą drogę. Ale Gerry zniszczył to wszystko.

Gerry postrzelił Angie w podbrzusze. Gerry pociął mi brzytwą dolną szczękę. Gerry przyczynił się do zniszczenia mojego związku z pewną kobietą, Grace Cole i jej córką Mae.

Gerry, z lewą stroną ciała w płomieniach, celował mi w twarz ze strzelby, kiedy Oscar władował w niego z tyłu trzy kule.

Pieprzony Gerry o mało nie zniszczył nas wszystkich.

„A ja tu czekam na ciebie, Patrick. Czekam”.

Nie miałem żadnego logicznego powodu, by się obawiać, że poszukiwanie

Amandy McCready doprowadzi do takiej strzelaniny, jaką wywołało moje spotkanie z Gerrym Glynnem i jego kumplami. Była to wina tej nocy, pierwszej chłodnej nocy od kilku tygodni, czarnej jak aksamit. Gdyby to była noc poprzednia, wilgotna i ciepła, z pewnością czułbym się inaczej.

Ale z drugiej strony...

To, czego się dowiedzieliśmy podczas tropienia Gerry'ego Glynną, dokładnie odpowiadało temu, o czym mówiła wieczorem Angie - że trudno zrozumieć ludzi. Jesteśmy oślizgłymi istotami, a naszymi odruchami rządzą najrozmaitsze impulsy, których wiele jest zupełnie niezrozumiałych nawet dla nas samych.

Dlaczego ktoś miałby porwać Amandę McCready?

Nie miałem zielonego pojęcia.

Dlaczego ktoś - w gruncie rzeczy kilku ktosiów - miałby zgwałcić kobietę?

Tak samo nie miałem pojęcia.

Przez chwilę siedziałem z zamkniętymi oczami, próbując sobie wyobrazić Amandę i wyczuć, czy ona żyje, czy nie. Ale pod powiekami miałem ciemność.

Skończyłem piwo i zajrzałem do Angie.

Spała na brzuchu, na środku łóżka, z jedną ręką przerzuconą przez poduszkę po mojej stronie, a drugą zaciśniętą w pięść przy szyi. Miałem ochotę podejść do niej, wziąć ją w ramiona i tak trzymać, dopóki to, co stało się w Filmore Tap, nie przestanie absorbować jej umysłu, dopóki nie opuszczą jej te wszystkie strachy, dopóki nie odejdzie Gerry Glynn, dopóki świat i to wszystko, co jest w nim złe, nie odpłynie w noc ponad naszymi ciałami i nie zniknie z naszego życia.

Przez dłuższy czas stałem w drzwiach, patrząc, jak Angie śpi i żywiąc swoje złudne nadzieje.

8

Po rozstaniu z Philem, nim jeszcze zostaliśmy kochankami, Angie spotykała się z pewnym producentem pracującym dla sieci New England Cable News Network. Widziałem go raz, ale nie byłem zachwycony, chociaż zapamiętałem, że miał szczególne upodobanie do krawatów. I że stosował płyn po goleniu w nadmiarze. I żeł do układania włosów. I spotykał się z Angie. Dlatego szanse, że pogramy razem późnym wieczorem w Nintendo czy w sobotę w softball, były od samego początku mizerne.

Po ich zerwaniu jednak facet okazał się pożyteczny, ponieważ Angie dalej utrzymywała z nim kontakt i od czasu do czasu - kiedy tego potrzebowaliśmy - dostarczał nam taśmy z lokalnymi wiadomościami. Zawsze mnie zdumiewało, jak Angie to robiła: rzuciła faceta dwa lata temu, ale podtrzymywała znajomość, a on od czasu do czasu wyświadczał jej jakąś uprzejmość. Ja byłbym dumny, gdybym od swojej byłej dziewczyny odzyskał chociaż własny toster. Może powinienem trochę popracować nad techniką zrywania.

Następnego dnia rano, kiedy Angie brała prysznic, zszedłem na dół i pokwitowałem facetowi z FedExu paczkę od Joela Calzady z NECN. W tym mieście jest osiem kanałów informacyjnych: filie większych sieci - Czwórka, Piątka i Siódemka; UPN, WB i Fox; NECN i wreszcie niezależny kanał rodzinny. Wszystkie osiem stacji ma programy w południe i dodatkowy o szóstej wieczorem; trzy mają o piątej po południu, dwie o piątej trzydzieści; cztery o dziesiątej wieczór i cztery kończą

się o jedenastej. Nadają wiadomości o różnych porach przez cały ranek, rozpoczynając od piątej i każda z nich ma o kilku różnych porach dnia jednonumitowe aktualności.

Od chwili zniknięcia Amandy Joel na prośbę Angie przez cały dzień pilnował wszystkich wiadomości dotyczących małej, bez względu na to, która stacja je nadawała. Nie pytajcie mnie, jak facet to zdobywał. Może producenci handlują taśmami, może Angie potrafiła załatwić to przymilnością, a może była to po prostu sprawa krawatów Joela.

Wczoraj wieczorem przez kilka godzin jeszcze raz czytałem wszystkie artykuły prasowe dotyczące Amandy i nie znalazłem nic nowego; tylko upaprałem ręce farbą drukarską, tak że przed pójściem spać na stronie gazety prawnej zostawiłem dosłownie kolaż z odcisków palców. Kiedy sprawa wydaje się mroczna, tajemnicza i pełna sekretów, czasami najlepszą metodą jest próba świeżego spojrzenia, a przynajmniej spojrzenia, które może się wydawać świeże. Tak właśnie postanowiliśmy w tym wypadku: śledzić taśmy i zobaczyć, co z nich na nas wyskoczy.

Wyjąłem z pudełka FedExu osiem kaset wideo, położyłem je na podłodze living roomu koło telewizora i zasiedliśmy z Angie przy stoliku, porównując dokumenty sprawy i usiłując opracować plan działania na dziś. Poza próbami wytropienia Chudzielca Raya Likanskiego i ponownymi rozmowami z Helene, Beatrice i Lionelem McCready - w desperackiej nadziei, że przypomną sobie coś kluczowego na temat nocy zniknięcia Amandy - niewiele nam przyszło do głowy.

Angie oparła się wygodnie, a ja zabrałem jej pusty talerz.

- Są chwile - powiedziała - kiedy myślisz: praca w przedsiębiorstwie elektrycznym - dlaczego ja jej nie wzięłam? - Popatrzyła, jak stawiam jej talerzyk na swoim. - Same korzyści.

- Wspaniałe warunki emerytalne. - Zabrałem talerzyki do kuchni i włożyłem do zlewozmywaka.

- Stałe godziny pracy - zawołała Angie z living roomu. Usłyszałem pstryknięcie zapalniczki, kiedy zapalała pierwszego tego dnia papierosa. - Doskonała opieka dentystyczna.

Zrobiłem nam po filiżance kawy i wróciłem do living roomu. Gęste włosy Angie były w dalszym ciągu mokre po prysznicu, a męskie spodnie dresowe i T-shirt, które zawsze rano nosiła, sprawiły, że wydawała się mniejsza i bardziej krucha niż w rzeczywistości.

- Dzięki. - Wzięła ode mnie kawę i nie podnosząc głowy, przewróciła kartkę

swoich notatek.

- Zabiją cię te papierosy - powiedziałem.

Wzięła papierosa z popielniczki, nie podnosząc wzroku.

- Palę od szesnastego roku życia.

- To długo.

Przewróciła kolejną kartkę.

- I przez cały ten czas ani razu nie zrobiłeś mi awantury.

- Twoje ciało, twój rozum.

Skinęła głową.

- Ale teraz, kiedy śpimy razem, to jednak częściowo i twoje ciało. Nie uważasz?

Przez ostatnie sześć miesięcy zdążyłem się przyzwyczaić do jej porannych nastrojów. Czasami była aż niezdrowo naładowana energią. Zwykle, zanim wstałem, Angie zdążyła już wrócić z aerobiku i odbyć spacer po Castle Island, ale nawet w najlepszych czasach rano nie była zbyt rozmowna. A jeśli uważała, że poprzedniego wieczoru w jakikolwiek sposób się odsłoniła, okazała słabość czy bezbronność (co dla niej na ogół znaczyło jedno i to samo), otaczała się lodowatą mgiełką, która przypominała przygruntową mgłę o świcie. Mogłeś ją widzieć, wiedziałeś, że jest, ale wystarczyło, że na sekundę spuściłeś ją z oka i Angie zniknęła, odpływała, spowita w białe smugi.

- Czy bardzo zrzędzę? - zapytałem.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się chłodno.

- Troszeczkę. - Napila się kawy i z powrotem wbiła wzrok w notatki. - Nic tu nie ma.

- Cierpliwości. - Włączyłem telewizor i włożyłem do magnetowidu pierwszą kasetę.

Na początek pokazały się cyfry od siódemki w dół, czarne i trochę rozmyte na niebieskim tle, w nagłówku wyświetliła się data zniknięcia Amandy i nagle znaleźliśmy się w studiu z Gordonem Taylorem i Tanyą Biloskirką, nietypowymi prezenterami jak na Kanał Piąty. Gordon miał zawsze kłopot z powstrzymaniem swoich ciemnych włosów, żeby mu nie opadały na czoło, co było niezwykle w dobie liofilizowanych głów prezenterów, ale miał przeszywające spojrzenie uczciwych oczu i coś, co wynagradzało problemy z fryzurą - wiecznie nabuzowany głos, nawet wtedy, kiedy mówił o światełkach na choinkę. Tanya, o niemożliwym do wymówienia nazwisku, nosiła okulary, co prawdopodobnie miało jej nadać wygląd intelektualistki,

ale i tak wszyscy faceci, których znałem, uważali ją za cizię i o to pewnie chodziło.

Gordon poprawił sobie mankiety, a Tanya wierciła się przez chwilę na krześle, przewracając jednocześnie papiery i przygotowując się do czytania z telepromptera. W okienku między ich głowami pojawił się napis „Zaginięcie dziecka”.

„W Dorchester ginie dziecko - powiedział poważnie Gordon. - Tanya?”.

„Dziękuję, Gordon. - Kamera przesunęła się do zbliżenia. - Zniknięcie czteroletniej dziewczynki z Dorchester wprowiło w osłupienie policję i zatroskało sąsiadów. Stało się to kilka godzin temu. Mała Amanda McCready zniknęła ze swojego domu przy Sagamore Street, jak mówi policja - Tania nachyliła się odrobinę do przodu, a ton jej głosu spadł o oktawę - bez śladu”.

Kamera zrobiła z powrotem najazd na Gordona, wyraźnie na to nieprzygotowanego. Jego ręka zamarła w połowie czoła, a kosmyk niesfornych włosów wymknął się między palcami.

„Po więcej szczegółów tej wstrząsającej historii udajemy się na żywo do Gert Broderick. Gert?”.

Na ulicy było tłoczno od sąsiadów i gapiów, a pośrodku nich stała Gert z mikrofonem w ręku i podawała informację, z którą dopiero co zapoznali nas Gordon i Tanya. Jakies sześć metrów za Gert, po drugiej stronie żółtej taśmy i umundurowanych policjantów, Lionel trzymał rozhisteryzowaną Helene na jej frontowym ganku. Wykrzykiwała coś, co trudno było zrozumieć w ogólnym harmidrze i szumie generatorów światła, dobiegającym od strony ekip prasowych i mieszającym się ze zdyszonym głosem Gert.

„...,i tyle właśnie wie dziś policja... czyli bardzo niewiele”. - Gert wpatrywała się w kamerę, usiłując nie mrugać.

W program na żywo wdarł się głos Gordona Taylora.

„Gert”.

„Tak, Gordon. Jestem”.

„Czy ta kobieta na ganku za tobą to matka małej?”.

Obiektyw kamery skierował się na ganek, zmieniając ogniskową i pokazując w zbliżeniu Helene i Lionela. Helene miała otwarte usta, po jej policzkach płynęły łzy, a głowa wykonywała dziwne ruchy - w górę, w dół, w górę, w dół, jak głowa noworodka, pozbawiona wsparcia mięśni szyjnych.

Gert powiedziała:

„Uważamy, że to jest matka Amandy, chociaż nikt tego oficjalnie nie potwierdził”.

Helene przez chwilę waliła pięściami w pierś Lionela, po czym nagle otworzyła oczy. Cały czas zawodząc, wyciągnęła rękę nad jego ramieniem i palcem wskazującym pokazała coś, co było poza zasięgiem kamery. Pokazano nam na tym ganku, na żywo, moment załamania się człowieka, jego rozpacz i głębokie naruszenie czyjejs prywatności.

„Jest wyraźnie zdenerwowana” - powiedział Gordon. Ach, ten Gordon, nic nie ujdzie jego uwagi.

„Tak” - zgodziła się z nim Tanya.

„Ponieważ czas ma tu zasadnicze znaczenie - powiedziała Gert - policja zwraca się z prośbą o wszelkie możliwe informacje do wszystkich, którzy mogli widzieć małą Amandę...”.

- M a ł ą Amandę? - Angie potrząsnęła głową. - A niby jaka ma być w wieku czterech lat? Olbrzymia Amanda? Dojrzała Amanda?

„...którzy cokolwiek wiedzą o tej malej dziewczynce...”.

Ekran wypełniła fotografia Amandy.

„...tych wszystkich prosimy o telefon pod niżej podany numer”.

Numer Brygady do Walki z Przystępczością przeciwko Dzieciom pojawił się pod zdjęciem Amandy na kilka sekund, po czym kamera znów pokazała studio. W okienku zamiast „Zaginięcia dziecka” dali znów, na żywo, Gert Broderick, która bawiła się mikrofonem i patrzyła w kamerę pozbawionymi wyrazu, lekko zagubionymi oczami osadzonymi w pozbawionej wyrazu, lekko zagubionej twarzy, podczas gdy Helene w dalszym ciągu szalała na ganku, a Beatrice dołączyła do Lionela, pomagając mu utrzymać ją na miejscu.

„Gert - zwróciła się do niej Tanya - czy w ogóle miałaś okazję porozmawiać z matką dziecka?”.

Nagły powściągliwy uśmiech pokrył iskierkę niepokoju, jaka zapaliła się w jej pozbawionych wyrazu oczach.

„Nie, Tanya, jak do tej pory policja nie wpuściła nas za taśmę, którą widzisz za mną, tak że trzeba dopiero potwierdzić, czy ta rozhisteryzowana kobieta na ganku za mną to faktycznie Helene McCready”.

„Tragedia” - powiedział Gordon, kiedy Helene ponownie rzuciła się na Lionela, zawodząc tak głośno, że widać było napięcie w ramionach Gert.

„Tragedia” - zgodziła się Tanya, kiedy na ekranie znów - na kolejne pół sekundy - pojawiła się buzia Amandy i numer telefonu Brygady do Walki z Przystępczością

przeciwko Dzieciom.

„W innej dramatycznej historii - powiedział Gordon, kiedy znów pokazała go kamera - w której doszło do napadu na pewien dom w Lowell, zginęły co najmniej dwie osoby, a jedna została postrzelona. Ale o tej historii opowie nam Martha Torsney z Lowell. Martha?”.

Przeszli cięciem na Marthę i na ekranie pojawił się na sekundę śnieg, który błyskawicznie zastąpiło czarne tło, a my usadowiliśmy się, żeby obejrzeć taśmę do końca, ufni, że Gordon i Tanya pozostaną, żeby nam wyjaśniać, jak powinniśmy się odnieść do rozwijających się przed nami wypadków i wypełnić emocjonalne luki.

Osiem kaset i dziewięćdziesiąt minut później nie objawiło nam się nic więcej, zeszywnieliśmy tylko i jeszcze lepiej zapoznaliśmy się z przygnębiającym obrazem zblazowanego dziennikarstwa telewizyjnego. Z wyjątkiem ujęć kamery nic nie różniło jednego reportażu od drugiego. W miarę jak poszukiwania Amandy się wlokły, reportaże filmowe pokazywały nużąco podobne ujęcia domu Helene, samą Helene podczas przesłuchań, Broussarda czy Poole'a wygłaszających oświadczenia, sąsiadów przemierzających ulice z ulotkami i policjantów pochylonych nad maskami radiowozów i oświetlających latarkami plan dzielnicy albo prowadzących na smyczy psy policyjne. I wszystkim tym reportażom towarzyszył ten sam zwięzły, pełen bólu, cikliwy komentarz, ten sam sztuczny smutek, moralizatorstwo w oczach i w ustach dziennikarzy. „A teraz wracamy do naszego zwykłego programu...”.

- Właściwie - powiedziała Angie, przeciągając się tak mocno, że usłyszałem trzeszczenie kręgow w plecach, przypominające miażdżenie orzechów dziadkiem - poza zobaczeniem gromady ludzi, których i tak znamy z najbliższej okolicy, co dzisiaj rano udało nam się osiągnąć?

Wyprostowałem się, wydając podobne trzaski. Wkrótce będziemy mieli orkiestrę.

- Niewiele. Zobaczyłem Lauren Smythe. Zawsze myślałem, że ona się wyniosła. - Wzruszyłem ramionami. - Pewnie mnie unikała.

- Czy to ta, co się rzuciła na ciebie z nożem?

- Z nożyczkami - sprostowałem. - Ale wolę myśleć, że to była gra wstępna. Nie okazała się w tym najlepsza.

Angie walnęła mnie w ramię wierzchem dłoni.

- Zaraz, a ja zobaczyłam April Norton i Susan Siersma, których nie widziałam od czasu szkoły średniej, Billy'ego Borana i Mike'a O'Connora, który stracił bardzo dużo

włosów, nie uważasz?

Skinąłem głową. - I dużo kilogramów.

- Kto to zauważył? Po prostu jest łysy.

- Czasami wydaje mi się, że jesteś bardziej płytka niż ja. Wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa.

- Kogo jeszcze widzieliśmy?

- Danielle Center - powiedziałem. - Babs Kerins. Pieprzony Chris Mullen był wszędzie.

- Ja też to zauważyłam. We wcześniejszym materiale.

Napiłem się zimnej kawy.

- Co mówiłaś?

- Że we wcześniejszym materiale. Na początku pierwszych taśm było widać, że się kręcił, zawsze gdzieś na uboczu. Nigdy w późniejszych.

Ziewnąłem.

- Bo ten Chris to jest właśnie taki peryferyjny facet. - Wziąłem jej pustą filiżankę po kawie, zawiesiłem sobie na palcu obok swojej i spytałem: - Jeszcze?

Potrząsnęła głową.

Poszedłem do kuchni, wsadziłem jej filiżankę do zlewozmywaka, a sobie nalałem świeżej kawy. Angie weszła do kuchni, kiedy otwierałem lodówkę i wyjmowałem śmietankę.

- Kiedy ostatni raz widziałeś w tej dzielnicy Chrisa Mullena?

Zamknąłem drzwi i spojrzałem na nią.

- A kiedy ostatni raz widziałaś połowę tych ludzi, których zobaczyliśmy na taśmach?

Potrząsnęła głową.

- Zapomnij o innych. Oni tu byli cały czas. Ale Chris? Przeprowadził się do lepszej dzielnicy. Kupił dom w Devonshire Towers chyba w osiemdziesiątym siódmym.

Wzruszyłem ramionami.

- No i co z tego?

- Z czego żyje Chris Mullen?

Postawiłem karton śmietanki na ladzie koło mojej kawy.

- Pracuje u Sera Olamona.

- Który, tak się składa, siedzi w kiciu.

- Bardzo dziwne.

- Za?

- Co za?

- Za co siedzi Ser?

Wziąłem z lady kartonik śmietanki.

- I co jeszcze? - Odwróciłem się, słysząc własne słowa; karton śmietanki zastygł przy moim udzie. - Za handel narkotykami - powiedziałem wolno.

- Masz cholerną rację.

9

Na buzi Amandy McCready nie było uśmiechu. Patrzyła na mnie nieruchomymi, pozbawionymi wyrazu oczami, a jej popielato-blond włosy opadały bezwładnie, jakby je przylepiła do głowy dziewczynki mokra dłoń. Miała drżącą brodę matki, zbyt kwadratową i za małą jak na jej owalną twarz i blade, zapadnięte policzki, świadczące o kiepskim odżywianiu.

Nie miała miny zatroskanej, nie wydawała się też zła ani smutna. Po prostu była, jakby jej reakcje na bodźce nie podlegały żadnej hierarchii. Fakt, że ktoś ją fotografował, zrobił na niej takie wrażenie jak posiłek, ubieranie się, oglądanie telewizji czy spacer z matką. Wszystkie doświadczenia w jej młodym życiu odkładały się na linii poziomej, bez wznoszeń czy upadków.

Jej fotografia leżała trochę niesymetrycznie na znormalizowanym arkuszu papieru. Pod fotografią umieszczono podstawowe dane Amandy, a zaraz pod nimi apel: „Jeśli zobaczycie Amandę, dzwońcie...” i poniżej nazwisko Lionela i Beatrice i ich telefon, a po nich numer Brygady do Walki z Przystępnością przeciwko Dzieciom, z nazwiskiem porucznika Doyle'a jako kontaktu. Pod tym numerem widniało 911, a na samym dole listy nazwisko Helene i jej numer telefonu.

Na ladzie kuchennej w domu McCreadych leżała sterta ulotek - tam gdzie je rano, po przyjeździe do domu, zostawił Lionel. Całą noc spędził na rozlepianiu ogłoszeń na latarniach ulicznych, na stacji metra, na rusztowaniach placów budów i na zabitych deskami budynkach. Oblepił ulotkami śródmieście Bostonu i Cambridge, podczas gdy

Beatrice i kilkadziesiąt osób z sąsiedztwa podzieliło między siebie resztę obszaru. Do świtu buzia Amandy znalazła się we wszystkich dozwolonych i niedozwolonych miejscach w promieniu trzydziestu kilometrów od Bostonu.

Kiedy przyszedliśmy, Beatrice była w living roomie i wydzwaniała, jak co rano, na policję i do dziennikarzy zajmujących się sprawą Amandy, prosząc o bieżące sprawozdania z postępów poszukiwań. Zaraz potem zamierzała ponownie obdzwonić szpitale i wszystkie instytucje, które odmówiły rozlepienia ulotek z Amandą w swoich pomieszczeniach rekreacyjnych czy bufetach i domagać się wyjaśnień.

Nie miałem pojęcia, kiedy i czy w ogóle spała.

Helene była z nami w kuchni. Siedziała przy stole i jadła z miski apple jacks, lecząc kaca. Lionel i Beatrice, najwyraźniej wyczuwając, że jednoczesne przybycie Angie i moje z Poole'em i Broussardem nie jest przypadkowe, przyszli za nami do kuchni. Lionel miał jeszcze mokre włosy od prysznica i na jego służbowym uniformie widać było krople wody, a na małej twarzy Beatrice malowała się czujność uciekiniera wojennego.

- Ser Olamon - powiedziała wolno Helene.

- Ser Olamon - powtórzyła Angie. - Tak.

Helene podrapała się w szyję w miejscu, gdzie pulsowała jej mała żyłka, przypominając uwiecznionego pod skórą żuka.

- Nie wiem.

- Czego nie wiesz? - zapytał Broussard.

- No bo to imię brzmi jakby znajomo. - Helene spojrzała na mnie, dotykając palcami rozdarcia w plastikowym obrusie.

- Jakby znajomo? - zdziwił się Poole. - Jakby znajomo, panno McCready? Czy mogę się na to powołać?

- Co? - Helene przeczesła palcami rzadkie włosy. - No co, powiedziałam, że brzmi jakby znajomo.

- Nieważne, jak brzmi - odezwała się Angie. - Albo je znasz, albo nie znasz.

- Muszę się zastanowić. - Helene lekko dotknęła nosa, po czym odsunęła dłoń i przyjrzała się swoim palcom.

Rozległo się szuranie krzesła, kiedy Poole przyciągnął je do Helene i usiadł naprzeciwko niej.

- Tak czy nie, panno McCready? Tak czy nie?

- Ale co tak czy nie?

Broussard westchnął głośno i zaczął obracać na palcu obrączkę, jednocześnie wystukując nogą rytm.

- Czy znasz Sera Olamona? - Szept Poole'a był chropawy, jak by się wydobywał spod żwiru czy tłuczonego szkła.

- Ja nie wiem...

- Helene! - Głos Angie był tak ostry, że nawet ja drgnąłem.

Helene spojrzała na nią i żuk pod skórą na szyi znieruchomiał. Próbowwała wytrzymać wzrok Angie chociaż przez ułamek sekundy, ale nie dała rady i spuściła głowę. Włosy opadły jej na twarz i spoza ich zasłony wydobył się cichy chrypiący odgłos. Jednocześnie Helene położyła jedną bosą stopę na drugiej, napinając mięśnie łydek.

- Znałam Sera - przyznała. - Trochę.

- Trochę troszeczkę czy trochę bardzo? - Broussard wyciągnął płatek gumy do żucia, a dźwięk, jaki wydała przy tym folia opakowania, odczułem, jakby mi ktoś wbił zęby w kręgosłup.

Helene wzruszyła ramionami.

- Znałam go i tyle.

Po raz pierwszy od naszego wejścia do kuchni Lionel i Beatrice ruszyli się spod ściany. Ona stanęła przy kuchence, między Broussardem, a mną; on usiadł na krześle w kącie naprzeciwko siostry. Beatrice zdjęła z palnika żeliwny garnek i podstawiła pod kran.

- Kto to jest Ser Olamon? - Lionel odjął jej prawą rękę od twarzy. - Helene, kto to jest Ser Olamon?

Beatrice odwróciła do mnie głowę.

- To diler narkotykowy czy coś w tym rodzaju, prawda? Mówiła tak cicho, że poprzez szum lecącej wody słyszeliśmy ją tylko ja i Broussard.

Wyciągnąłem ręce i wzruszyłem ramionami. Beatrice z powrotem odwróciła się do zlewu.

- Helene? - powtórzy! Lionel i tym razem jego głos był jakiś piskliwy i nierówny.

- Po prostu facet, Lionel. - Helene mówiła zmęczonym, beznamiętnym tonem, który wydawał się dochodzić z bardzo daleka.

Lionel popatrzył po nas, reszcie obecnych. Oboje z Angie odwróciliśmy się.

- Ser Olamon - powiedział Remy Broussard i odchrząknął - jest między innymi dilerem narkotykowym, panie McCready.

- A kim jest jeszcze? - Na twarzy Lionela odmalowała się rozbudzona dziecięca ciekawość.

- Jak to kim jeszcze?

- Powiedział pan „między innymi”. Między jakimi innymi? Beatrice z powrotem postawiła garnek na kuchni i podpałała gaz.

- Helene, dlaczego nie odpowiesz bratu na pytanie?

Helene miała w dalszym ciągu twarz zakrytą włosami, a jej głos znowu dochodził z bardzo daleka.

- A ty, Bea, dlaczego nie obciągniesz czarnuchowi?

Lionel tak mocno walnął pięścią w stół, że na powierzchni taniej plastikowej płyty pojawiło się pęknięcie przypominające strumyk w kanionie. Helene szarpnęła głowę do tyłu, odsłaniając twarz.

- Posłuchaj mnie. - Lionel wymierzył drżący palec w swoją siostrę, dwa centymetry od jej nosa. - Nie będziesz obrażała mojej żony ani robiła rasistowskich uwag w mojej kuchni.

- Lionel...

- W mojej kuchni! - ponownie walnął pięścią w stół. - Helene!

To nie był głos, jaki poprzednio słyszałem. Wtedy za pierwszym razem, w naszym biurze, Lionel podniósł głos i tamten głos znałem. Ale teraz to było coś zupełnie innego. To był grzmot. Coś, co obluzowało cement i wprawilo w drganie dębowe drewno.

- Kto to jest - powtórzył Lionel, łapiąc za róg stołu - Ser Olamon?

- To jest diler narkotykowy, panie McCready. - Poole wsadził rękę do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. - I handluje pornografią. I jest sutenerem. - Wyjął papierosa, postawił go pionowo na stole, nachylił się i zaczął wachać. - A także nie płaci podatków, może pan mi wierzyć.

Lionel, który najwyraźniej do tej pory nie widział tytoniowego rytuału Poole'a, robił przez chwilę wrażenie porażonego. Po chwili nagle zamrugał i znów spojrzał na Helene.

- Utrzymujesz kontakty z alfonssem?

- Ja...

- Z handlarzem pornografii, Helene?

Helene odwróciła się od niego, oparła na stole prawą rękę i patrzyła przed siebie, omijając wzrokiem nas wszystkich.

- Co dla niego robisz? - zapytał Broussard.

- Czasem robię za kuriera. - Helene zapaliła papierosa, osłoniła dłonią zapalną i potrząsnęła nią, jakby pocierała kredą końcówkę kija bilardowego.

- Za kuriera... - powtórzył Poole.

Skinęła głową.

- Skąd dokąd woziłaś towar? - zapytała Angie.

- Stąd do Providence. Stąd do Filadelfii. Zależy od dostawy. - Wzruszyła ramionami. - I od zapotrzebowania.

- I co za to dostawałaś? - zapytał Broussard.

- Trochę kasy. Parę działek. - Kolejne wzruszenie ramion.

- Heroiny? - zapytał Lionel.

Odwróciła głowę i spojrzała na brata. Miała ciastowate, luźne ciało; pomiędzy palców zwisał jej papieros.

- Tak, Lionel. Czasem. A czasem koki, czasem to była ekstazy, a czasami... - Potrząsnęła głową, odwróciła się z powrotem do nas i dokończyła: - Co tam akurat miał.

- Ślady - powiedziała Beatrice - zauważylibyśmy jakieś ślady.

Poole poklepał Helene po kolanie.

- Ona wdychała. - Rozdął nozdrza i przesunął nimi nad papierosem. - Prawda?

Helene skinęła głową.

- Ten sposób mniej uzależnia.

Poole uśmiechnął się.

- Jasne.

Helene zsunęła jego rękę ze swojego kolana, podeszła do lodówki i wyciągnęła puszkę millera. Otworzyła ją z głośnym pstryknięciem i siorbnęła pianę, która się ukazała w otworze.

Spojrzałem na zegarek: była dziesiąta trzydzieści rano.

Broussard zadzwonił do dwóch detektywów z Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom i polecił im, żeby zlokalizowali i natychmiast rozpoczęli inwigilację Chrisa Mullena. Nie licząc detektywów, którzy od początku zajmowali się poszukiwaniem Amandy i dwóch innych, których zadaniem było znalezienie Raya Likanskiego, praktycznie cała brygada pracowała po godzinach nad jedną sprawą.

- Działamy ściśle według zasady, że każdy dysponuje tylko informacjami, które są mu niezbędne do pracy - powiedział do słuchawki. - A to znaczy, że na razie tylko ja

muszę wiedzieć, co robicie. Jasne?

Kiedy skończył, udaliśmy się za Helene, która ze swoim porannym piwem poszła na ganek na tyłach domu. Po niebie płynęły płaskie kobaltowe chmury, ranek był ospały i szary, a powietrze nasycone gęstą wilgocia, zapowiadającą na popołudnie deszcz.

Piwo najwyraźniej spowodowało u Helene przyływ koncentracji, na której brak z reguły cierpiała. Oparta o balustradę ganku, patrzyła nam w oczy bez lęku czy użalania się nad sobą, odpowiadając na pytania o Sera Olamona i jego prawą rękę, Chrisa Mullena.

- Od jak dawna znasz pana Olamona? - zapytał Poole.

Wzruszyła ramionami.

- Dziesięć, może ze dwanaście lat. To facet z sąsiedztwa.

- A Chrisa Mullena?

- Mniej więcej tyle samo.

- Gdzie nawiązaliście kontakt?

Helene opuściła puszkę z piwem.

- Co?

- Gdzie poznałaś tego Sera? - wtrąciła się Beatrice.

- W Filmore Tap. - Helene łyknęła piwa.

- Kiedy zaczęłaś dla niego pracować? - spytała Angie. Helene wzruszyła ramionami.

- Robiłam różne drobne rzeczy, ale jakieś cztery lata temu potrzebowałam więcej pieniędzy na Amandę...

- Chryste - powiedział Lionel.

Spojrzała najpierw na niego, a potem na Poole'a i na Broussarda.

- .. .więc mnie wysłał na kilka zakupów. Nic wielkiego.

- Nic wielkiego - powtórzył Poole. Zamrugła i szybko skinęła głową.

Poole odwrócił się, wypychając językiem dolną wargę. Broussard napotkał jego spojrzenie i wyjął z kieszeni następny listek gumy do żucia.

Poole zachichotał cicho.

- Czy pani wie, panno McCready, w jakim wydziale pracowaliśmy z detektywem Broussardem, zanim nas poproszono, żebyśmy przeszli do Przeszłości przeciwko Dzieciom?

Helene skrzywiła się.

- A co mnie to obchodzi?

Broussard wsadził gumę do ust.

- To prawda, dlaczego miałoby cię to obchodzić. Ale tak, dla porządku...

- W Narkotykach - powiedział Poole.

- Brygada PPD jest dość mała, nie mamy tak wielu kumpli, więc dalej trzymamy z kolegami z Narkotyków.

- Żeby być na bieżąco - dodał Poole.

Helene przyglądała się Poole'owi, próbując ocenić, do czego to wszystko zmierza.

- Powiedziałaś, że dostarczałaś narkotyki korytarzem filadelfijskim, tak?

- Aha.

- Komu?

Potrząsnęła głową.

- Panno McCready - powiedział Poole - my tu nie jesteśmy na akcji narkotykowej. Podasz nam jakieś nazwisko, żebyśmy mogli sprawdzić, czy rzeczywiście pracowałaś jako kurier dla Sera Ol...

- Rick Lembo.

- Rick Fiut - powiedział Broussard i uśmiechnął się.

- Gdzie dokonywaliście transakcji?

- W Ramadzie przy lotnisku.

Poole skinął do Broussarda.

- Były jakieś kursy do New Hampshire?

Helene łyknęła piwa i potrząsnęła głową.

- Nie? - Broussard uniósł brwi. - Nic na szlaku Nashua? Żadnych szybkich interesów z gangami motocyklowymi?

Helene znów potrząsnęła głową.

- Nie, w każdym razie nie ja.

- Na ile pani skasowała Sera, panno McCready?

- Proszę?

- Ser trzy miesiące temu nie wrócił z przepustki i dostał wyrok dziesięć do dwunastu. - Broussard wypluł gumę przez barierkę. - Na ile go skasowałaś, jak się dowiedziałaś, że wpadł?

- Wcale go nie skasowałam. - Helene dalej wpatrywała się w swoje bosa stopy.

- Gówno prawda.

Poole podszedł do Helene i delikatnie wyjął jej z ręki puszkę, a następnie

przechylił się przez barierkę i wylał piwo na podjazd za domem.

- Panno McCready - powiedział - na wiadomej ulicy usłyszałem, że tuż przed swoim aresztowaniem Ser Olamon przekazał w motelu w Nashua jakimś facetom z gangu motocyklowego gorący towar. Towar został odzyskany w akcji policyjnej, ale nie pieniądze. A ponieważ gangsterzy - wszystko krzepkie chłopcy - mieli się jeszcze podzielić towarem, nasi koledzy z północy spekulują, że do transakcji musiało dojść tuż przed akcją policyjną. Wielu z naszych doszło do wniosku, że z pieniędzmi musiał się ulotnić kurier. O czym - jak wieść gminna niesie - ludzie z obozu Sera Olamona nie wiedzieli.

- Gdzie są pieniądze? - zapytał Broussard.

- Nie wiem, o czym mówicie.

- A co byś powiedziała na wykrywacz kłamstw?

- Już mnie badali.

- Tym razem będą inne pytania.

Helene odwróciła się do barierki, popatrzyła na niewielki asfaltowy parking i usychające drzewa tuż za nim.

- Ile, panno McCready? - Głos Poole'a był cichy, bez odrobiny nalegania czy nacisku.

- Dwieście tysięcy.

Przez całą minutę na ganku trwała cisza.

- Kto jechał z przodu? - zapytał na koniec Broussard.

- Ray Likanski.

- Gdzie są pieniądze?

Widać było napięcie mięśni na chudych plecach Helene.

- Nie wiem.

- Łziesz jak pies - powiedział Poole.

Helene odwróciła się do niego.

- Nie wiem. Przysięgam na Boga.

- Przysięga na Boga. - Poole mrugnął do mnie.

- Jasne - rzekł Broussard - skoro tak, to musimy jej uwierzyć.

- Panno McCready? - Poole wyciągnął z rękawów marynarki mankiety koszuli i wyprostował je na nadgarstkach. Jego głos zabrzmiał lekko, niemal melodyjnie.

- Bo ja...

- Gdzie są pieniądze? - Im lżej i bardziej melodyjnie brzmiał jego głos, tym

groźniejszy wydawał się Poole.

- Ja nie... - Helene przesunęła ręką po twarzy, a całe jej ciało jak gdyby się zapadło nad balustradą. - Byłam naćpana, okay? Wyszliśmy z motelu i dosłownie dwie sekundy później wszyscy gliniarze z New Hampshire zaczęli latać po parkingu jak wściekli. Ray przytulił się do mnie i po prostu przeszliśmy między nimi. Amanda płakała, więc pewnie pomyśleli, że jesteśmy zwykłą rodziną w drodze.

- Amanda była tam z tobą? - odezwała się Beatrice. - Helene!

- A co, miałam ją zostawić w samochodzie?

- No więc odjechaliście - powiedział Poole. - Byłaś naćpana. I co potem?

- Ray podjechał do jakiegoś przyjaciela i tam spędziliśmy mniej więcej godzinę.

- A gdzie w tym czasie była Amanda? - zapytała Beatrice.

Helene nachmurzyła się.

- Nie wiem, do jasnej cholery, Bea. Albo w samochodzie, albo z nami u tego faceta. Jedno albo drugie. Mówiłam, że byłam nawalona.

- A jak stamtąd wyjeżdżaliście, to mieliście ze sobą pieniądze?

- Nie sądzę.

Broussard rozłożył notatnik.

- Gdzie jest ten dom?

- Przy małej uliczce.

Broussard na chwilę zamknął oczy.

- Ale gdzie to jest? Adres, panno McCready.

- Mówiłam, że byłam naćpana. Ja...

- To wobec tego podaj przynajmniej pieprzone miasto. - Broussard mówił przez zaciśnięte zęby.

- Charlestown - odparła, po czym przechyliła głowę, jakby się namyślała. - Tak, jestem prawie pewna. Albo Everett.

- Albo Everett - powtórzyła Angie. - To zawęża sprawę.

- Charlestown to jest miasto z takim dużym pomnikiem, Helene - powiedziałem i uśmiechnąłem się zachęcająco. - Znasz ten pomnik. Jest podobny do pomnika Waszyngtona, tylko że stoi na Bunker Hill.

- Jaja sobie ze mnie robi czy co? - zwróciła się do Poole'a Helene.

- Nie śmiałyby. Ale pan Kenzie ma rację. Gdybyś była w Charlestown, musiałabyś pamiętać pomnik, prawda?

Znów zaległa dłuższa cisza. Helene wyraźnie mobilizowała smętne resztki władz

umysłowych, jakie jej zostały. Zastanawiałem się, czyby jej nie dać jeszcze jednego piwa - czy to by mimo wszystko nie przyspieszyło procesu myślowego.

- Tak - powiedziała bardzo wolno. - W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy przez duże wzgórze z pomnikiem.

- Czyli że dom - zauważył Broussard - musiał być we wschodniej części miasta.

- We wschodniej? - zdziwiła się Helene.

- Byliście bliżej Bunker Hill, Medford Street i Hill Avenue niż Main Street czy Warren Street.

- Jeśli tak mówicie...

Broussard przechylił głowę, wierzchem dłoni przejechał wolno po zaroście i wziął kilka płytkich oddechów.

- Panno McCready - odezwał się Poole - czy poza tym, że dom mieścił się na końcu uliczki, pamięta pani może jeszcze coś? Czy był to dom jedno-, czy dwurodzinny?

- Był bardzo mały.

- Powiedzmy, że jednorodzinny. - Poole pisał coś w notatniku. - Kolor?

- Biali.

- Kto?

- Przyjaciele Raya. Kobieta i facet. Oboje byli biali.

- Fantastycznie - powiedział Poole. - Ale dom? Pytałem o kolor domu.

Wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam.

- No, to trzeba będzie poszukać Likanskiego - rzekł Broussard. - Do diabła, jedziemy do Pensylwanii. Ja prowadzę.

Poole podniósł rękę.

- Detektywie, jeszcze minutkę. Panno McCready, proszę wysilić pamięć. Proszę sobie przypomnieć tamtą noc. Zapachy. Muzykę, którą na swoim stereo odgrywał Ray Likanski. Cokolwiek, co by nam pomogło wrócić do tego samochodu. Jechaliście z Nashua do Charlestown. To jest mniej więcej godzina drogi, może trochę mniej. Byłaś naćpana. Wjechaliście w tę uliczkę i...

- Nie wjechaliśmy.

- Gdzie nie wjechaliście?

- No, w tę uliczkę. Zaparkowaliśmy na ulicy, bo ten zaułek był zatarasowany jakimś zepsutym samochodem. Jeździliśmy dokoła jakieś dwadzieścia minut, zanim znaleźliśmy miejsce. To miasto jest okropne do parkowania.

Poole skinął głową.

- A ten zepsuty samochód w uliczce... czy było w nim coś szczególnego?

Potrząsnęła głową.

- Kupa zardzewiałego złomu, na ceglach. Żadnych kół, nic.

- A więc cegły - powiedział Poole. - Nic więcej?

Helene już miała potrząsnąć głową, ale zawahała się i zachichotała.

- My byśmy się też chętnie pośmieli - powiedział Poole.

Spojrzała na niego, uśmiechając się w dalszym ciągu.

- No co?

- Z czego pani się śmieje, panno McCready?

- Z Garfielda.

- Jamesa A.? Naszego dwudziestego prezydenta?

- Co? - Helene mało oczy nie wyszły z orbit. - Nie. Z kota. Wszyscy gapiliśmy się na nią.

- Z kota! - Wyciągnęła rękę. - No tego z komiksu!

- Mhm - powiedziałem.

- Pamiętajcie, jak kiedyś wszyscy mieli Garfielda przyklejonego do tylnej szyby? I tamten samochód też miał takiego. Po tym poznałam, że on tam musiał być od zawsze. No bo kto jeszcze dzisiaj przylepia do szyby Garfielda?

- Rzeczywiście - zgodził się Poole - rzeczywiście.

10

Kiedy Winthrop i pierwsi osadnicy przybyli do Nowego Świata, wybrali sobie skrawek ziemi, około półtora kilometra kwadratowego, głównie wzgórz i nazwali go Bostonem, jak miasto w Anglii, które porzucili. Podczas surowej zimy, jaką tam spędzili, uznali, że woda jest niewytlumaczalnie słona i dlatego przepawili się na drugą stronę kanału, zabierając ze sobą nazwę „Boston” i zostawiając to, co miało stać się później miastem Charlestown, a co chwilowo nie miało ani nazwy, ani żadnego wyraźnego przeznaczenia. W każdym razie Charlestown od samego początku zachowało charakter bastionu. Historycznie irlandzki, było domem wielu pokoleń rybaków, marynarzy floty handlowej i dokerów. Cieszy się jednak złą sławą miasta, w którym obowiązuje zmowa milczenia, niechęć do mówienia w obecności policjantów, co wprawdzie skutkuje dość niskim poziomem przestępczości, ale za to najwyższym procentem niewykrytych sprawców w skali całego kraju. To konsekwentne trzymanie języka za zębami obejmuje także zwykle informacje o charakterze topograficznym. Pytając o pierwszą lepszą ulicę, można się spodziewać odpowiedzi: „A co ty tu robisz, do jasnej cholery, skoro nawet nie wiesz, dokąd idziesz?”. Tak brzmiałaby grzeczna wersja odpowiedzi, a gdyby facet poczuł do ciebie szczególną sympatię, wystawiłby jeszcze środkowy palec.

Tak więc w Charlestown łatwo się pogubić. Tabliczki z nazwami ulic nieustannie znikają, a domy stoją miejscami tak gęsto, że zasłaniają małe, schowane za nimi uliczki, prowadzące do innych domów. Ulice, które pną się pod górę albo kończą

ślepo, zmuszają kierowców, by zmienili kierunek jazdy na przeciwny.

Różne dzielnice Charlestown zmieniają swój charakter z zadziwiającą szybkością. W zależności od tego, w jakim się człowiek udaje kierunku, osiedle mieszkaniowe Mishawum może ustąpić miejsca nobliwym domom z piaskowca, otaczającym Edwards Park podkową; ulicom przecinającym wytworne kolonialne osiedla domów z czerwonej cegły z białymi fasadami i z widokiem na Monument Square, bez żadnego ostrzeżenia czy szacunku dla siły ciężenia opadającym w ciemną szarość osiedla Bunker Hill, jednego z najbiedniejszych białych osiedli po tej stronie Wirginii Zachodniej.

Ale nad tym wszystkim unosi się duch historii, zaklęty w ceglach, zaprawie murarskiej, kolonialnych deskach i kocich łbach, przedrewolucyjnych tawernach i żeglarskich siedzibach z okresu po traktacie wersalskim - praktycznie nie do znalezienia w innych częściach Ameryki.

A jednak trochę strach tamtędy przejeżdżać.

Mimo to od godziny nie zajmowaliśmy się niczym innym; trzymając się taurusa Poole'a i Broussarda, wiozących na tylnym siedzeniu Helene, przemierzaliśmy Charlestown wzdłuż i wszerz i objeżdżaliśmy dokoła. Przecinaliśmy wzgórze w różnych kierunkach, penetrowaliśmy oba osiedla, wlekliśmy się zderzak w zderzak przez enklawy yuppies, górą obok Bunker Hill Monument i dołem Warren Street. Jechaliśmy wzdłuż portu, obok Old Ironsides, budynków należących do marynarki i niegdyś obskurnych magazynów i hangarów służących jako warsztaty naprawy statków, zamienionych w eleganckie kondominia, trzęśliśmy się na dziurawych drogach omijających wypalone skorupy dawno zapomnianych łowisk, gdzie niejednego cwaniaka po raz ostatni oglądał srebrny blask księżyca nad Mystic River, zanim oberwał kulę w łeb. Jechaliśmy za taurusem Main Street i Rutherford Avenue, pięliśmy się aż do High Street, a potem zjeżdżaliśmy do Bunker Hill Avenue i dalej do Medford Street, obserwując każdą najmniejszą uliczkę po drodze, to znów sterczeliśmy na jałowym biegu w zaułkach, które nagle kątem oka spostrzegliśmy, szukając samochodu na ceglach. Szukając dwustu tysięcy zielonych. Szukając Garfielda.

- Prędzej czy później - powiedziała Angie - zabraknie nam paliwa.

- Albo cierpliwości - dodałem w chwili, gdy Helene pokazywała coś przez szybę samochodu.

Nadepnąłem na pedał hamulca, widząc, że jadący przed nami taurus znów się

zatrzymuje. Wysiedli z niego Broussard i Helene, podeszli do zaułka i zajrzeli w głąb. Broussard zapytał o coś Helene, która potrząsnęła głową, po czym oboje wrócili do samochodu, a ja zdjąłem nogę z hamulca.

- Dlaczego znów szukamy pieniędzy? - zapytała mnie Angie kilka minut później, kiedy zjeżdżaliśmy po drugiej stronie wzgórza, a maska naszego crown victoria wskazywała prosto w dół, hamulce stukwały i pedał podskakiwał mi pod nogą.

Wzruszyłem ramionami.

- Może dlatego, że a) jest to od dłuższego czasu najlepszy trop prowadzący do czegokolwiek albo b) Poole i Broussard uznali teraz, że porwanie dziecka ma coś wspólnego z narkotykami.

- No dobrze, a co wobec tego z żądaniem okupu? Jak to możliwe, że do tej pory nikt się nie skontaktował z Helene - ani Chris Mullen, ani Ser Olamon, ani żaden z ich chłopców?

- Może czekają na jej ruch.

- Nie wiem, czy to nie przesadne oczekiwania w stosunku do kogoś takiego jak ona.

- Chris i Ser to też nie uczeni.

- To prawda, ale...

Zatrzymaliśmy się ponownie i tym razem Helene wysiadła z samochodu przed Broussardem, gestykulując jak szalona w stronę stojącego na chodniku pojemnika na śmieci ekipy budowlanej.

Samej ekipy jednak nie było w zasięgu wzroku, gdyż pracowała po drugiej stronie ulicy. Sądząc jednak chociażby z rusztowań wzniesionych przed fasadą budynku, wiedziałem, że musi znajdować się gdzieś w pobliżu.

Zaciągnąłem hamulec ręczny i wysiadłem z samochodu. Nie musiałem długo czekać, żeby się przekonać, jaka była przyczyna podniecenia Helene. Otóż wysoki na półtora metra i szeroki na metr dwadzieścia pojemnik zasłaniał uliczkę wraz ze stojącym na ceglach grand torino z późnych lat siedemdziesiątych. Tłusty pomarańczowy kot, przyczepiony szeroko rozstawionymi łapami na przyssawkach, uśmiechał się do nas idiotycznie zza brudnej szyby tylnego okna.

Parkowanie na drugiego nie wchodziło w grę, ponieważ oznaczałoby to całkowite zablokowanie ulicy, wobec tego następne pięć minut spędziliśmy, szukając miejsca na gorze, na Bartlett Street. Po czym całą piątką zeszliśmy z powrotem na dół.

Tymczasem ekipa budowlana zdążyła już wrócić i grupka robotników stała wokół rusztowań, popijając zimne mountain dew. Kiedy schodziliśmy na dół, mężczyźni gwizdali na Helene i Angie, a kiedy zbliżyliśmy się do zaułka, Poole pozdrowił jednego z robotników i mężczyzna szybko się odwrócił.

- Czy pan Fred Griffin w dalszym ciągu ma upodobanie do amfetaminy? - zaczął Poole

Fred Griffin potrząsnął głową.

- A to bardzo przepraszam - odparł Poole z charakterystycznym zaśpiewem, który nie wróżył nic dobrego i skręcił w uliczkę.

Fred odchrząknął.

- Panie wybaczą.

Helene pokazała mu nieprzyzwoity gest, wystawiając środkowy palec i mężczyźni zarechotali.

Szliśmy z tyłu za tamtą trójką i Angie nagle trąciła mnie w bok.

- Czy nie wydaje ci się przypadkiem, że ten szeroki uśmiech Poole'a to tylko fasada, że w gruncie rzeczy jest mocno spięty?

- Osobiście wolałbym mu nie podskakiwać - odparłem - ale ja jestem dupa.

- Ale to tylko między nami, kochanie. - Angie klepnęła mnie w siedzenie, kiedy skręcaliśmy w uliczkę, co wywołało ze strony ekipy budowlanej kolejny rechot.

Istotnie, Helene miała rację: grand torino, mówiąc oględnie, od jakiegoś czasu nie był używany. Cegły z gazobetonu, na których stał, całe były w brunatnobeżowych plamach i płatach rdzy. Na szybach zebrało się tyle kurzu, że tylko cudem dopatrzyliśmy się Garfielda. Na desce rozdzielczej leżała gazeta z nagłówkiem mówiącym o misji pokojowej księżnej Diany w Bośni.

Uliczka, wybrukowana kocimi łbami, tu i ówdzie popękkanymi i niekompletnymi, świeciła łysinami różowoszarej ziemi. Z dwóch plastikowych pojemników pod zasnutym pajęczyną licznikiem gazowym wysypywały się śmieci. Pomędzy dwoma trzykondygnacyjnymi budynkami uliczka wydawała się tak wąska, że nie wiem, jak można było zmieścić tam samochód.

Na końcu zaułka, cofnięty o jakieś dziesięć metrów od ulicy, stał parterowy, przypominający pudełko budynek. Sądząc po prymitywnej sylwetce, musiał pochodzić z lat czterdziestych albo pięćdziesiątych. Mógł to być pierwotnie barak brygadzysty na placu budowy albo mała stacja radiowa i prawdopodobnie nie wyróżniałby się aż tak bardzo, gdyby się znajdował w otoczeniu mniej bogatym architektonicznie, ale tak czy

inaczej, było to brzydactwo. Do budynku nie prowadziły żadne stopnie; po prostu krzywe drzwi wisiały jakieś dwa i pół centymetra nad fundamentem, a drewniane gonty pokrywała czarna papa, jakby kiedyś planowano aluminiowe pokrycie dachu i wycofano się z tego pomysłu jeszcze przed dostarczeniem materiału.

- Pamiętasz nazwiska lokatorów? - Poole zwrócił się do Helene, ruchem palca odpinając kaburę.

- Nie.

- Jasne, że nie - powiedział Broussard, przebiegając wzrokiem cztery wychodzące na uliczkę okna z brudnymi plastikowymi roletami, zaciągniętymi do samych parapetów. - Mówiłaś, że było ich dwoje?

- Tak, facet i jego dziewczyna. - Helene podniosła głowę i rozejrzała się po budynkach wkoło, które rzucały na nas cienie.

Okno za nami otworzyło się gwałtownie i wszyscy obróciliśmy się w tamtą stronę.

- Jezu - powiedziała Helene.

Z okna pierwszego piętra wychyliła się kobieta przed sześćdziesiątką i przyglądała się nam z góry. Trzymała w ręku drewnianą łyżkę, z której spadł na ziemię kawałek makaronu.

- Wy jesteście z opieki nad zwierzętami?

- Słucham? - Poole zadarł głowę, wyężając wzrok.

- Jesteście z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami? - powtórzyła kobieta i pomachała łyżką. - Od nich jesteście?

- Wszyscy pięcioro? - spytała Angie.

- Bo ja dzwoniłam - wyjaśniła kobieta. - Dzwoniłam.

- W związku z czym? - zapytałem.

- W związku z pieprzonymi kotami, cholernymi cwaniakami. Mało mi, uważacie, że muszę słuchać mojego wnuka Jeffrey'a, jak mi jęczy w jedno ucho i mojego męża, jak mi pieprzy w drugie, to jeszcze mam mieć trzecie ucho z tyłu głowy, żeby słuchać tych jebanych kotów, tak?

- Nie, szanowna pani - powiedział Poole - nie widzę u pani żadnego trzeciego ucha.

Broussard odchrząknął.

- Ale oczywiście stąd widzimy tylko pani przód.

Angie zakasłała, przysłaniając dłonią twarz, a Poole spuścił głowę, wpatrując się w swoje buty.

- Jesteście gliniarze - powiedziała kobieta. - Już ja to widzę.

- Co nas zdradza? - zapytał Broussard.

- Brak szacunku dla ludzi pracy. - Kobieta zatrzęsła okno tak mocno, że zadrżały szyby.

- Widzimy tylko pani przód - zachichotał Poole.

- Spodobało ci się, co? - Broussard zapukał do drzwi małego domu.

Spojrzałem na przeładowane śmietniki przy liczniku gazowym i zobaczyłem tam co najmniej dziesięć małych puszek kociej karmy.

Broussard zastukał ponownie.

- Mam szacunek dla ludzi pracy - powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Na ogół - zgodził się z nim Poole.

Spojrzałem na Helene. Dlaczego Poole i Broussard nie zostawili jej w samochodzie?

Broussard zastukał po raz trzeci i ze środka usłyszeliśmy miauczenie kota. Cofnął się o krok.

- Panno McCready?

- Tak?

Wskazał na drzwi.

- Pani będzie taka uprzejma i przekręci gałkę, dobrze? Helene spojrzała na niego ponuro, ale zastosowała się do polecenia i drzwi otworzyły się do środka. Broussard uśmiechnął się. - I zechce pani wejść pierwsza? I tym razem Helene usłuchała.

- Wspaniale - powiedział Poole. - Widać tam coś? Helene spojrzała na nas.

- Tam jest ciemno. I tak jakoś dziwnie śmierdzi. Broussard, mówiąc, notował:

- Obywatelka stwierdziła, że w pomieszczeniu panuje nienormalny zapach. W porządku. Może pani wyjść, panno McCready.

Angie i ja spojrzeliśmy po sobie i potrząsnęliśmy głowami. Trzeba było jednak przyznać Poole'owi i Broussardowi, że mieli głowy na swoim miejscu: każąc Helene otworzyć drzwi i wejść do środka, praktycznie unikali konieczności posiadania nakazu. „Nienormalny zapach” był wystarczającym powodem wejścia, a kiedy już Helene znalazła się w środku, praktycznie legalnie mógł wejść każdy.

Helene wyszła na ulicę i spojrzała w okno, w którym przed chwilą ukazała się kobieta narzekająca na koty.

Jeden z nich - wynędzniały pręgowany rudzielec o sterczących żebrach -

przemknął koło Broussarda, po czym, omijając mnie, wskoczył na śmietnik i wsadził głowę między puszki.

- Panowie - odezwałem się.

Poole i Broussard odwrócili się do mnie.

- Trzeba zwrócić uwagę na kocie pazury. Jest na nich zaschnięta krew.

- O kurrrwa - zakleła Helene.

Broussard wskazał na nią palcem.

- Zostań tutaj - polecił - i nie ruszaj się stąd, aż cię zawołamy.

Helene zaczęła grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

- Nie musicie mi dwa razy powtarzać.

Poole wetknął głowę do środka i pociągnął nosem. Odwrócił się do Broussarda, zmarszczył czoło i skinął głową. Podeszliśmy z Angie do niego.

- Padlina - oświadczył Broussard. - Czy ktoś ma może wodę kolońską albo perfumy?

Potrząsnęliśmy głowami. Poole wyciągnął z kieszeni mały flakonik aramis. Do tej chwili myślałem, że już go nie produkują.

- Aramis? - zdziwiłem się. - A co, już nie mają bruta?

Poole kilkakrotnie poruszył brwiami.

- Niestety, old spice też nie.

Puścił w obieg flakonik i wszyscy skropili sobie obficie górną wargę. Angie oprócz tego zmoczyła jeszcze chusteczkę. Mimo że aramis paskudnie śmierdział, praktycznie garbując w środku nos, wołałem trupi fetor z nim niż bez niego.

Wszystko wskazywało na to, że będziemy mieli do czynienia ze zwłokami, które musiały już jakiś czas leżeć. Kiedy gazy i kwasy z całego organizmu uwalniają się po stężeniu pośmiertnym, ciało puchnie, wzdyma się i robi wiele innych niezbyt apetycznych rzeczy.

Powitał nas ganek szerokości mojego samochodu. Na gazecie z lutego stały oblepione zaschniętą solą buty zimowe, obok nich leżała łopata z pokaleczonym trzonkiem, pordzewiały grill i worek pustych puszek po piwie. Cienki zielony dywanik, podarty w kilku miejscach, upstrzony był krwawymi, zaschniętymi śladami kocich łap.

Z ganku weszliśmy do living roomu, rozjaśnionego - jeśli nie liczyć wpadającego przez okna światła - srebrną poświatą od telewizora, którego glos został wyłączony. W domu panował mrok, ale przedostające się przez boczne okna światło dzienne wypełniało pomieszczenia szarą ołowianą mgłą, która w niewielkim stopniu oświetlała

nędzne wnętrze. Chodniki na podłogach - przypadkowa zbieranina - i byle jak pozszywane patchworki stanowiły smutne świadectwo estetyki narkomana. W kilku miejscach, na złączeniu kawałków, widać było postrzępione wybrzuszenia. Ściany zostały wyłożone jasną dyktą, a sufity pomalowane białą farbą. Pod ścianą stała podarta kanapa, a na niej - kiedy już wzrok przywykł do szarego światła - dostrzegłem na tle porwanej tkaniny kilka par migotliwych oczu.

Od strony kanapy dochodziło jak gdyby elektryczne mruczenie, przypominające rój cykad krążących wokół generatora i jednocześnie kilka par oczu poruszyło się, tworząc zygzakowaną linię.

I wtedy zaatakowały.

A przynajmniej tak się na początku wydawało. Kilkanaście piskliwych miauknięć poprzedziło bezładny exodus, kiedy koty - syjamskie, dachowce, łaciate i pręgowane - szarpiąc futon pazurami, zaczęły zeskakiwać z kanapy i przelatując nad stolikiem, lądować na obszarpanym dywanie, by na koniec, śmigając między naszymi nogami, ruszyć w dzikim wyścigu do drzwi.

- Matko Boska! - krzyknął Poole i podskoczył na jednej nodze.

Oparłem się o nędzną ścianę, gdzie zaraz dołączyła do mnie Angie i poczułem na stopach smyrgnięcie czegoś ciężkiego i kosmatego.

Broussard rzucił się najpierw w prawo, potem w lewo, a potem uderzył w połę marynarki.

Ale koty nie biegły na nas; one biegły do drzwi, do światła.

Stojąca przed domem Helene na widok wylewających się przez uchylone drzwi kotów narobiła wrzasku.

- Do kurwy nędzy, ratunku!

- A nie mówiłam!?! - Rozpoznałem głos tamtej kobiety. - Przekleństwo. Przekleństwo Charlestown!

W domu zrobiło się tak cicho, że zacząłem słyszeć tykanie zegara w kuchni.

- Koty - rzekł Poole z obrzydzeniem i przetarł sobie chusteczką czoło.

Broussard schylił się, żeby sprawdzić stan mankietów spodni i przy okazji strzepnął z butów kłak kociej sierści.

- Koty są mądre. - Angie odkleiła się od ściany. - Lepsze od psów.

- Pies potrafi przynieść gazetę - powiedziałem.

- Psy nie poszarpią na strzępy kanapy - dodał Broussard.

- Pies nie ruszy zwłok swojego pana, żeby był nie wiadomo jak głodny - dorzucił

Poole. - A kot tak.

- Mmm - bąknęła Angie. - To nieprawda.

Powoli ruszyliśmy do kuchni. Gdy tylko tam się znaleźliśmy, musiałem na chwilę stanąć i nabrać tchu, wciągając rozszerzonymi nozdrzami zapach wody kolońskiej.

Angie powiedziała: „Ja to pieprzę...” i ukryła twarz w chusteczce.

Nagi mężczyzna siedział przywiązany do krzesła. W odległości około metra od niego klęczała na podłodze kobieta z brodą przy piersiach. Strzępy białego, pokrwawionego szlafroka zwisały jej do łokci, a nadgarstki i kostki miała związane razem, z tyłu za plecami. Oba ciała, w kolorze popiołu wulkanicznego wskutek zatrzymania krążenia krwi, były wzdęte od nagromadzonych w nich gazów.

Mężczyzna dostał postrzał w pierś. Pocisk strzaskał mu mostek i górną część klatki piersiowej. Sądząc po rozmiarach ziejącej w niej dziury, strzelano z bliska ze śrutówki. Niestety, Poole miał rację, mówiąc o zwyczajach żywieniowych i lojalności kotów. Nie tylko śrut był odpowiedzialny za ubytki ciała mężczyzny. Górna część jego klatki piersiowej wskutek działania śrutu, czasu i kotów wyglądała tak, jakby ją od środka otworzył chirurg.

- Nie, to nie jest to, co myślałam - powiedziała Angie z oczami utkwionymi w ziejącym otworze.

- Z przykrością muszę cię poinformować - odparł Poole - że to są płuca mężczyzny.

- To informacja oficjalna - mruknęła Angie. - Jest mi niedobrze.

Poole uniósł długopisem brodę mężczyzny i zrobił krok do tyłu.

- Sie masz, David!

- Martin? - zapytał Broussard i zbliżył się do ciała.

- Ten sam. - Poole opuścił brodę mężczyzny i dotknął jego ciemnych włosów. - Zmarniałeś, David.

- David Martin - zwrócił się do nas Broussard - znany też jako Mały David.

Angie zakasłała w chustkę.

- Robi wrażenie całkiem wysokiego.

- To nie ma nic wspólnego z jego wzrostem.

Angie spojrzała na krocze mężczyzny.

- Och.

- A to musi być Kimmie - doszedł do wniosku Poole i podszedł do kobiety w szlafroku, przekraczając kałużę zakrzepłej krwi. Podniósł zmarłej głowę długopisem. -

Rany boskie - wyrwało mu się.

Czarna rana przypominała kanion biegnący w poprzek jej szyi. Brodę i policzki miała zbryzgane poczerniałą krwią, a oczy patrzyły w górę, jakby Kimmie błagała o ratunek, o jakąś pomoc czy dowód, że coś, cokolwiek, jeszcze na nią czeka poza tą kuchnią.

W górnej części jej rąk widać było kilka głębokich cięć, zalepionych czarną, zakrzepłą krwią, a ramiona i mostek były upstrzone plamami - ślady po przypalaniu papierosem.

- Torturowali ją.

Broussard skinął głową.

- Na oczach jej chłopaka. „Mów, gdzie to jest, bo oberwie nożem jeszcze raz”. Pewnie coś takiego. - Potrzęsnał głową. - Straszne. Kimmie, jak na ćpunkę, była w porządku.

Poole cofnął się od zwłok Kimmie.

- Koty jej nie ruszyły.

- Co takiego? - zapytała Angie.

Poole wskazał na Małego Davida.

- Jak widać, uctowały na panu Martinie. Nie na Kimmie.

- Do czego zmierzasz? - zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Lubily Kimmie; nie lubily Małego Davida. Szkoda, że mordercy nie działali według tego samego klucza.

Broussard stanął obok swojego partnera.

- Myślisz, że Mały David oddał kasę?

Poole delikatnie opuścił głowę Kimmie i syknął.

- To był pazerny skurwysyn. - Spojrzał na nas przez ramię. - O zmarłych nie należy mówić źle, ale w tym wypadku... - Wzruszył ramionami. - Ze dwa lata temu Mały David i jego poprzednia dziewczyna włamali się do drogerii i ukradli demerol, darvon i valium i co tam jeszcze. Ale przyjechała policja, więc David i jego dziewczyna uciekli tylnymi drzwiami, tylko że musieli skakać ze schodków przeciwpożarowych z wysokości pierwszego piętra. No i dziewczyna skręciła nogę. David musiał ją bardzo kochać, bo wrócił, uwolnił ją od ciężaru i zostawił.

- Najpierw Duży Dave Strand. Teraz Mały David Martin. Najwyższy czas przestać dawać naszym dzieciom na imię David.

Rozejrzałem się po kuchni. Płytki podłogowe były zatłuczone; półki spiżarki dokładnie wymiecione z jedzenia; na podłodze wałały się puszki i puste torby po chipsach. Listwy sufitowe zostały odjęte i tworzyły przysypaną białym pyłem stertę obok stołu. Kuchenkę i lodówkę ktoś odsunął od ściany. Drzwi szafki stały otworem.

Ktokolwiek zabił Małego Davida i Kimmie, swoją pracę wykonał solidnie.

- Wzywamy chłopaków? - zapytał Broussard.

Poole wzruszył ramionami.

- Może najpierw sami tu trochę poniuchajmy. Wyciągnął z kieszeni kilka par lateksowych rękawiczek. Rozdzielił je i dał po parze Broussardowi, Angie i mnie.

- To jest miejsce zbrodni - zwrócił się do nas obojga. - Żebyście niczego nie spieprzyli.

Sypialnia i łazienka przedstawiały sobą ten sam przygnębiający obraz rozgardiaszu co kuchnia i living room. Wszystko było poprzewracane, pootwierane, opróżnione na podłogę. W porównaniu z domami innych narkomanów, jakie widziałem, ten nie wyróżniał się niczym szczególnym.

- Telewizor - powiedziała Angie.

Wytknąłem głowę z sypialni, gdy tymczasem Poole wyszedł z kuchni, a Broussard z łazienki. Przyłączyliśmy się do stojącej przy telewizorze Angie.

- Nikt nie pomyślał, żeby go dotknąć.

- Pewnie dlatego, że jest włączony - powiedział Poole. - I co z tego?

- Trudno ukryć w telewizorze dwieście tysięcy baksów i żeby wszystko w nim działało - rzekł Broussard. - Nie sądzicie?

Angie wzruszyła ramionami, spojrzała na ekran i patrzyła, jak powstrzymują jednego z gości Jerry'ego Springera. Podkreśliła głos.

Jeden z gości Jerry'ego Springera nazwał innego gościa dziwką, a rozbawionego mężczyznę plugawym psem.

Broussard westchnął.

- Idę po śrubokręt.

Jerry Springer patrzył na publiczność porozumiewawczo. Ludzie zaczęli gwizdać. Wiele słów wypikowano.

- O, cool. *Springer Time* - powiedziała Helene za naszymi plecami.

Broussard wyszedł z łazienki z małym śrubokrętem z czerwoną gumową rączką.

- Panno McCready - powiedział - będzie pani musiała poczekać na zewnątrz.

Helene zdążyła tymczasem usiąść na brzegu poszarpanego futonu, gapiąc się w

telewizor.

- Ta pani wrzeszczy z powodu kotów. Powiedziała, że wezwie policję.

- Powiedziałas jej, że jesteśmy z policji?

Helene uśmiechnęła się z nieobecnym wyrazem twarzy, patrząc, jak jedna z zaproszonych do programu Jerry'ego kobiet wymierza innej silny cios.

- Powiedziałam, ale ona na to, że i tak ich wezwie.

Broussard pomachał śrubokrętem i jednocześnie skinął głową do Angie, która zgasila telewizor w pół piknięcia.

- Cholera - powiedziała Helene i pociągnęła nosem. - Ale tu cuchnie.

- Chcesz wody kolońskiej?

Potrząsnęła głową.

- W przyczepie mojego dawnego chłopaka gorzej śmierdziało. Zawsze zostawiał w zlewie namoczone brudne skarpety. To jest dopiero smród, możecie mi wierzyć.

Poole przekrzywił głowę, jakby chciał coś powiedzieć, ale spojrzał na Helene i rozmyślił się. Zamiast tego głośno westchnął.

Broussard odkręcił płytę z tyłu telewizora, a ja pomogłem ją odjąć. Zajrzeliśmy do środka.

- Jest tam coś? - zapytał Poole.

- Kable, druty, wewnętrzne głośniki, kineskop - wyliczył Broussard.

Z powrotem założyliśmy płytę.

- Możecie mnie zastrzelić - powiedziała Angie. - Chociaż to nie był wcale najgorszy pomysł w dniu dzisiejszym

- Jasne, że nie. - Poole podniósł rękę.

- Ale i nie najlepszy - dodał półgębkiem Broussard.

- Co takiego? - zapytała Angie.

Broussard posłał jej uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

- Hmm?

- Czy możecie z powrotem włączyć telewizor? - odezwała się Helene.

Poole przymrużył oczy i zwracając się w jej stronę, potrząsnął głową.

- Patrick?

- Tak?

- Za domem jest podwórko. Mógłbyś tam zabrać pannę McCready, a my tymczasem skończymy tutaj?

- Ale ten program... - nie dawała za wygraną Helene.

- Ja wypełnię puste miejsca - odparłem. - Dziwka - powiedziałem - plugawy pies, biiip.

Helene spojrzała na mnie, a ja podałem jej ramię.

- Nic z tego nie rozumiem.

- HUU, huu.

Kiedy zbliżaliśmy się do kuchni, Poole poradził:

- Proszę zamknąć oczy, panno McCready.

- A bo co? - Helene cofnęła się o krok.

- Lepiej, żeby pani na to nie patrzyła.

Ale zanim którykolwiek z nas zdążył ją powstrzymać, Helene wychyliła się do przodu, wyciągnęła szyję i spojrzała nad jego ramieniem.

Twarz Poole'a jak gdyby się zapadła, ustąpił jej z drogi.

Helene weszła do kuchni i zatrzymała się. Stałem za nią, czekając, że wrzaśnie albo zemdleje, albo padnie na kolana, albo rzuci się z powrotem do living roomu.

- Oni nie żyją? - zapytała.

- Owszem - odparłem - nawet bardzo nie żyją.

Weszła głębiej do kuchni i skierowała się w stronę drzwi wyjściowych. Spojrzałem na Poole'a. Uniósł brew. Przechodząc koło Małego Davida, zatrzymała się i spojrzała na jego pierś.

- Jak na tym filmie - powiedziała.

- Na którym?

- No, na tym, co to ci Obcy wyskakują z piersi ludzi i co leci z nich kwas. Zaraz, jak to się nazywało?

- *Obcy* - podsunąłem.

- Tak. Oni wychodzili z ludzkich piersi. Ale jaki był tytuł filmu?

Angie pobiegła do miejscowego Dunkin' Donuts i kilka minut później dołączyła do mnie i do Helene na podwórku za domem, podczas gdy Poole i Broussard miotali się wewnątrz z notatnikami i kamerami.

Podwórko było mniejsze od garderoby przy mojej sypialni. Mały David i Kimmie wystawili tam zardzewiały metalowy stolik i krzesła, siedliśmy więc, przysłuchując się odgłosom dochodzącym z sąsiedztwa. Tymczasem dzień zaczął się chylić ku końcowi i zrobiło się chłodniej. Matki nawoływały dzieci, robotnicy budowlani po drugiej stronie ulicy warczeli świdrami do betonu; parę przecznic dalej grano w piłkę.

Helene popijała przez słomkę coca-cole.

- Szkoda, wyglądało na to, że to byli w porządku ludzie.

Łyknąłem kawy.

- Ile razy się z nimi widziałaś?

- Tylko ten jeden raz.

- Zapamiętałaś może coś szczególnego z tamtej nocy? - zapytała Angie.

Helene znów pociągnęła coli, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Te koty. Wszędzie ich było pełno. Jeden nawet udrapał Amandę w rękę, mały sukinsyn. - Uśmiechnęła się do nas. - Mam na myśli kota.

- To znaczy, że Amanda była z tobą w tym domu.

- No chyba. - Wzruszyła ramionami. - Jasne, że była.

- No bo wcześniej nie miałaś pewności, czy nie zostawiłaś jej w samochodzie.

Znów wzruszyła ramionami, a ja z trudem opanowałem pokusę, żeby ją za te ramiona przytrzymać.

- Nie miałam pewności? No bo dopóki sobie nie przypomniałam o tym kocie, to nie byłam pewna. Ale jasne, że miałam Amandę przy sobie.

- Może jeszcze coś zapamiętałaś? - Angie bębniła palcami po stole.

- Ona była miła.

- Kto? Kimmie?

Helene wycelowała we mnie palec i uśmiechnęła się.

- Tak, tak miała na imię: Kimmie. Była cool. Zabrała nas do sypialni i pokazała nam zdjęcia ze swojej podróży do Disney Worldu. Amanda dosłownie oszalała. W drodze do domu powtarzała w kółko: „Mamo, pojedziemy zobaczyć Miki i Minnie? Pojedziemy do Disney Worldu?”. - Helene parsknęła. - Och, te dzieciaki. Tak jakbym miała pieniądze.

- Kiedy weszłaś do tego domu, miałaś dwieście tysięcy.

- Ale to był interes Raya. Ja bym w życiu na własną rękę nie skubnęła takiego świra jak Ser Olamon. Ray obiecał, że mnie w pewnym momencie dopuści do kasy. Nigdy mnie do tej pory nie oszukał, więc pomyślałam, że to jego interes i jego problem, jeśli Ser się dowie. - I znów wzruszenie ramion.

- Z Serem znamy się od dawna - powiedziałem.

- Tak?

Skinąłem głową.

- I z Chrisem Mullenem też. Razem bawiliśmy się w piaskownicy, razem się

szwendaliśmy po ulicach i tak dalej.

Helene uniosła brwi.

- Nie ściemniasz?

Podniosłem rękę.

- Przysięgam na Boga. A co do Sera, to wiesz, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że ktoś go skubnął?

Helene wzięła do ręki kubek z colą, ale odstawiła z powrotem.

- Przecież mówiłam, że to Ray. Ja nic nie zrobiłam, ja tylko weszłam do tego pokoju motelowego z...

- Kiedyś w dzieciństwie, mieliśmy może po piętnaście lat, Ser zobaczył, że jego dziewczyna spogląda na innego faceta, wziął butelkę po piwie, roztrzaskał ją o lampę uliczną i rozwalil jej twarz. Praktycznie obciął jej nos. Taki był Ser w wieku lat piętnastu. Jak sądzisz, jaki może być teraz?

Helene pociągnęła colę przez słomkę, aż zagrzechotały kostki lodu na dnie.

- To była sprawa Raya...

- Myślisz, że zabicie twojej córki stanowiłoby dla niego problem? - powiedziała Angie. - Helene. - Sięgnęła przez stół i wzięła ją za kościsty nadgarstek. - Tak myślisz?

- Ser? - Głos Helene się załamał. - A wy uważacie, że on maczał palce w zniknięciu Amandy?

Angie patrzyła na nią przez pół minuty, po czym potrząsnęła głową i puściła jej rękę.

- Chcę cię o coś zapytać, Helene.

Helene roztarta rękę i wpatrzyła się w kubek coli.

- Tak?

- Na jakim ty, do jasnej cholery, świecie żyjesz?

Helene przez jakiś czas milczała.

Dokoła nas w technikolorze umierała jesień. Liście, które opadały z drzew, zbierając się na trawie, zabarwiły się na żółto, czerwono, pomarańczowo i rdzawozielono. Intensywny zapach umierania, tak charakterystyczny dla jesieni, niby ostrze przebijał ubrania, paraliżował mięśnie i rozszerzał oczy. Nigdzie śmierć nie nadciąga w sposób tak spektakularny i tak dumny jak w Nowej Anglii w październiku. Słońce, uwolnione od chmur burzowych, rano jeszcze tak groźnych, zamieniło szyby okien w twarde prostokąty białego światła, nadając szeregowym domom z cegły, otaczającym maleńkie podwórko, przydymiony odcień, harmonizujący z kolorem

ciemniejszych liści.

Ale to nie jest śmierć, pomyślałem. Śmierć jest zaraz za nami. Śmierć to zasyfiała kuchnia Małego Davida i Kimmie. Śmierć to poczerniała krew i nielojalne koty, pożywiające się wszystkim, co popadnie.

- Helene - odezwałem się.

- Tak?

- A kiedy byłaś w pokoju z Kimmie i oglądałyście zdjęcia z Disney Worldu, to gdzie byli wtedy Mały David i Ray?

Helene lekko uchyliła usta.

- Ale szybko - powiedziałem - z głowy, bez zastanawiania.

- Na podwórku za domem.

- Na podwórku. - Angie pokazała na ziemię. - Tutaj. Skinęła głową.

- Czy z sypialni Kimmie widziałas podwórko? - zapytałem.

- Nie, były zaciągnięte żaluzje.

- To skąd wiesz, że oni tu byli?

- Bo jak wychodziliśmy, Ray miał zabłocone buty - odrzekła wolno. - Ray to okropny flejtuch. - Dotknęła mojego ramienia, jakby miała mi powierzyć bardzo osobistą tajemnicę. - Ale o buty dba jak o mało co.

11

2x100 T + Dyskrecja = Dziecko

- Dwieście T? - zdziwiła się Angie.

- Dwieście tauzenów - odparł spokojnie Broussard.

- Gdzie znalazłeś tę notatkę? - spytałem.

Spojrzał przez ramię na dom.

- Była ciasno zwinięta w rulonik i zatknięta za gumkę koronkowych majtek Kimmie. Myślę, że miała przyciągnąć uwagę.

Staliśmy w ogródku za domem.

- Tutaj jest forsa. - Angie wskazała na mały wzgórek pod nagim wiązem. Ziemia była tam świeżo poruszona, tworzyła jedyną wypukłość w miejscu w zasadzie płaskim jak stół.

- Tym razem pani wierzę, panno Gennaro - powiedział Broussard. - To co w tej sytuacji robimy?

- Kopiemy - odparłem.

- I rekwirujemy pieniądze - wtrącił Poole - i sprawa przedostaje się do wiadomości opinii publicznej. I zostaje powiązana przez media ze zniknięciem Amandy McCready.

Rozejrzałem się po wyschniętej trawie, usianej pozwijanymi purpurowymi liśćmi.

- Od dłuższego czasu nikt tego miejsca nie ruszał.

Poole skinął głową.

- Jakie wnioski?

- Jeśli pieniądze rzeczywiście zostały tu zakopane - wskazałem na wzgórek - to znaczy, że Mały David zatrzymał je dla siebie, mimo że na jego oczach torturowali Kimmie.

- Nikt jeszcze nie zarzucił Małemu Davidowi, że był kandydatem do Korpusu Pokoju - powiedział Broussard.

Poole podszedł do drzewa, postawił nogi po obu stronach wzgórek i spojrzał w dół. W domu Helene siedziała w living roomie w odległości czterech i pół metra od dwóch wzdętych trupów i oglądała telewizję. Springer ustąpił Geraldo czy Sally, czy jakiemuś innemu prezenterowi, który dzwonił właśnie na zakończenie ostatniej karnawałowej parady dziwolągów. Terapia publicznej „spowiedzi”, stałe odgrzewanie znaczenia słowa „trauma”, nieustanny strumień kretynów wykrzykujących z podium w próżnię.

Ale dla Helene nie miało to najmniejszego znaczenia. Narzekała tylko na smród i pytała, czy możemy otworzyć okno. A że nikt nie widział powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić, otworzyliśmy okno i zostawiliśmy ją w domu, gdzie siedziała z twarzą skąpaną w migotliwym srebrnym blasku telewizora.

- Czyli nasza rola się skończyła - powiedziała Angie, z nutą lekkiego smutku i zdumienia w głosie, podsumowując nagły przełom w sprawie.

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Mieliśmy przed sobą kompletną sprawę porwania, z żądaniem okupu na piśmie i logicznymi wskazaniem na podejrzanych mających motyw. Teraz przejmie sprawę FBI, a my ją będziemy śledzili za pośrednictwem wiadomości jak każdy inny telewizyjny maniak w całym stanie, czekając, aż Helene wystąpi w programie *Springer Time* wśród innych rodziców, którzy pogubili swoje dzieci.

Wyciągnąłem rękę do Broussarda.

- Angie miała rację. Miło było z wami pracować.

Broussard potrząsnął moją ręką i skinął głową, ale nie odezwał się słowem. Spojrzał na Poole'a.

Poole usypywał butem mały kopczyk z ziemi, patrząc na Angie.

- Nasza rola się skończyła, prawda? - powtórzyła.

Poole przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym przeniósł wzrok na kopczyk.

Trwało milczenie. Wiedziałem, że powinniśmy iść. Angie wiedziała, że powinniśmy iść. A mimo to dalej staliśmy w maleńkim ogródku pod nagim więzaniem

jak wrośnięci w ziemię.

Odwróciłem głowę w stronę ohydneho domu za nami i kątem oka zobaczyłem głowę Małego Davida i górną krawędź oparcia krzesła, do którego został przywiązany. Czy pod gołymi łopatkami czuł dotyk wiklinowego oparcia nędznego krzesła? Czy to było jego ostatnie świadome doznanie, nim śrut wyrwał mu dziurę w klatce piersiowej, jakby miał kości i ciało zrobione z ligniny? Czy może czuł, jak mu krew napływa do związanych nadgarstków, a palce robią się sine i drętwieją?

Ludzie, którzy weszli do domu tamtego ostatniego dnia czy nocy jego życia, wiedzieli, że zabiją Kimmie i Małego Davida. W tej kuchni wykonano profesjonalną egzekucję. Kimmie podejrzięto gardło, próbując ostatecznie nakłonić Małego Davida do mówienia, ale dziewczyna została zamordowana nożem także z przeczności.

Pojedynczy strzał sąsiedzi kojarzą zwykle z samochodem: albo komuś strzeliło w rurę wydechową, albo w gaźnik. Mogła też w czyimś domu upaść szafka z porcelaną. Zwłaszcza kiedy takie odgłosy dochodzą z domu dilerów narkotykowych albo narkomanów, ludzi znanych w sąsiedztwie z tego, że o każdej porze dnia i nocy można się po nich spodziewać najdziwniejszych hałasów.

Nikt się nie kwapi przyznać, że słyszał strzały i że tym samym jest świadkiem morderstwa, choćby tylko „ze słuchu”.

Dlatego mordercy zabili Kimmie szybko i cicho, prawdopodobnie bez ostrzeżenia. Ale w Małego Davida musieli przez dłuższą chwilę mierzyć ze śrutówki. Chcieli, żeby widział, jak palec obejmuje spust i żeby słyszał, jak iglica uderza w spłonkę.

To właśnie ci ludzie przetrzymywali Amandę McCready.

- Chcecie prehandlować te dwieście tysięcy za Amandę - powiedziała Angie.

No właśnie. Wiedziałem to mniej więcej od pięciu minut, choć Poole i Broussard nie chcieli ująć tego w słowa. Bo oznaczało to katastrofalne złamanie protokołu policyjnego.

Poole wpatrywał się w pień drzewa. Broussard czubkiem buta podniósł z zielonej trawy czerwony liść.

- Tak? - odezwała się Angie.

Poole westchnął.

- Wolałbym, żeby porywacze nie otworzyli walizki pełnej gazet czy znaczonych banknotów i nie zabili małej, zanim ich dorwiemy.

- Zdarzały się wam już wcześniej takie rzeczy? - zapytała Angie.

- Zdarzały się w sprawach, które przekazywałem FBI - odparł Poole. - I z taką

sprawą mamy właśnie do czynienia tutaj, panno Gennaro. Porwania leżą w kompetencjach federalnych.

- Przekazujemy im sprawę - wyjaśnił Broussard. - Pieniądze idą do depozytu jako dowód rzeczowy i dalej negocjuje FBI, co daje im okazję pokazać, jacy są błyskotliwi.

Angie rozejrzała się po maleńkim ogródku, zatrzymała wzrok na więdniętych fioletowych płatkach, przedostających się z drugiej strony siatkowego płotu.

- Wy dwaj macie ochotę negocjować sami, bez federalnych.

Poole wsadził ręce w kieszenie.

- Za dużo martwych dzieci w szafach znalazłem, panno Gennaro.

Angie spojrzała na Broussarda.

- A ty?

Broussard uśmiechnął się.

- Nienawidzę ich.

- Jak źle pójdzie, chłopcy - powiedziałem - to możecie stracić emerytury. Albo jeszcze gorzej.

Po drugiej stronie podwórka jakiś facet wywiesił z okna na drugim piętrze dywanik i zaczął w niego walić pozbawionym okucia kijem hokejowym. W górę wznosiły się ulotne chmury agresywnego kurzu, mimo to jednak mężczyzna walił dalej, jak gdyby nas w ogóle nie zauważył.

Poole kucnął i zerwał rosnące przy wzgórkach źdźbła trawy.

- Pamiętacie sprawę Jeannie Minnelli? Sprzed dwóch lat?

Wzruszyliśmy ramionami. To smutne, jak wiele strasznych rzeczy zapominamy.

- Dziewięciolatka - przypomniał Broussard. - W Sommerville, wyszła pojeździć na rowerze i zginęła.

Skinąłem głową. Coś mi zaczęło świtać.

- Znaleźliśmy ją, panie Kenzie, panno Gennaro. - Poole szarpnął źdźbła trawy za oba końce. - W beczce. Zalaną cementem. Cement nie zastygł, bo geniusze, którzy ją zamordowali, wymieszali cement z wodą w niewłaściwych proporcjach. - Uderzył dłońmi jedną o drugą, żeby je otrzepać z kurzu czy pyłku, czy po prostu ot, tak sobie. - Znaleźliśmy zwłoki dziewięcioletniej dziewczynki pływające w beczce wodnistego cementu. - Poole wstał. - Mile, prawda?

Spojrzałem na Broussarda. Zbladł na samo wspomnienie, a jego ramionami wstrząsnął dreszcz, który opanował dopiero, wkładając ręce w kieszenie i przyciskając łokcie do boków.

- Nie - odparłem - ale jeśli sprawa pójdzie źle, to możecie...

- Stracić świadczenia? - powiedział Poole. - Ja i tak wkrótce idę na emeryturę. Czy wyobrażacie sobie, że związek zawodowy może coś wskórać, kiedy odznaczony oficer z trzydziestoletnim stażem odchodzi i chce wziąć to, co mu się należy? - Wycelował w nas palec. - To tak jak patrzeć na wygłodniałe psy, które chcą się dobrać do mięsa, powieszzonego za jaja faceta. Niezbyt miły widok.

Angie zachichotała.

- Ale ty jesteś kimś innym, Poole.

Dotknął jej ramienia.

- Jestem starym, wykończonym człowiekiem z trzema ekszonami, panno Gennaro. Nikim. Ale chciałbym ze swojej ostatniej sprawy wyjść zwycięsko. Przy odrobinie szczęścia dobrać się do tyłka Chrisowi Mullenowi i przedłużyć odsiadkę Serowi Olamonowi, póki to ode mnie zależy.

Angie najpierw popatrzyła na jego rękę, a potem spojrzała mu w twarz.

- A jak spieprzysz sprawę?

- To zapiję się na śmierć. - Poole przejechał ręką po twardym jeżu na głowie. - Tanią wódką. To najlepsze, co można zrobić na policyjnej emeryturze. Dobrze brzmi?

Angie uśmiechnęła się.

- Dobrze brzmi, Poole. Bardzo dobrze.

Poole rzucił okiem przez ramię na faceta okładającego swój dywanik i z powrotem odwrócił się do nas.

- Panie Kenzie, czy zauważył pan na ganku szpadel ogrodniczy?

Skinąłem głową.

Poole posłał mi uśmiech.

- Aha - odparłem - dobrze.

Poszedłem po szpadel. Kiedy wracałem przez living room, Helene spytała:

- Prędko stąd pójdziemy?

- Tak, dość prędko.

Spojrzała na szpadel i na gumowe rękawiczki na moich rękach.

- Znajdziecie pieniądze? Wzruszyłem ramionami.

- Może.

Skinęła głową i z powrotem zajęła się oglądaniem telewizji. Ruszyłem w stronę drzwi kuchennych, ale jej głos zatrzymał mnie w pół kroku.

- Panie Kenzie?

- Tak?

Oczy Helene migotały w poświacie bijącej od ekranu telewizora, przypominając mi oczy tamtych kotów.

- Ale oni jej nie zrobią krzywdy, prawda?

- Masz na myśli Chrisa Mullena i pozostałych facetów z bandy Sera Olamona?

Skinęła głową.

W telewizji jakaś kobieta powiedziała innej kobiecie: „Trzymaj się z daleka od mojej córki, ty lesbo”. Publiczność wyła.

- Nie zrobią? - Wzrok Helene pozostał utkwiony w telewizorze.

- Zrobią - powiedziałem.

Obróciła się gwałtownie w moją stronę.

- Nie. - Potrząsnęła głową, jakby w ten sposób mogła spowodować, że jej życzenia się spełnią.

Powinienem był jej powiedzieć, że żartowałem. Że Amandzie włos z głowy nie spadnie. Że Helene odzyska małą i wszystko wróci do normy i znów będzie się mogła narkotyzować telewizją, wódką i heroiną i czym tam jeszcze, żeby się odgrodzić od okropności otaczającego świata.

Ale na razie jej córka przebywała nie wiadomo gdzie, samotna, przerażona, przykuta do kaloryfera albo do łóżka, z dolną częścią twarzy zalepioną taśmą, żeby nie mogła wydać głosu. Albo już nie żyła. I przynajmniej częściową przyczyną tego stanu rzeczy był brak umiaru ze strony jej matki, determinacja Helene, by działać tak, jakby jej wszystko było wolno, jakby jej zachowanie nie mogło mieć żadnych konsekwencji, jakby nie mogło wywołać przeciwnej reakcji.

- Helene - powiedziałem.

Zapaliła papierosa, a łypek zapalki kilkakrotnie okrążył cel, zanim tytoń się zajął.

- Aha?

- Czy to wszystko w końcu do ciebie dotarło?

Spojrzała na ekran telewizora, potem znów na mnie. Jej oczy były wilgotne, zaczerwienione.

- Co?

- Twoja córka została uprowadzona. Z powodu tego, co ukradłaś. A facetom, którzy ją przetrzymują, ni cholery na niej nie zależy. I mogą ci jej nie oddać.

Po policzkach Helene spłynęły dwie łzy, które wytarła wierzchem dłoni.

- Wiem - odparła, w dalszym ciągu wpatrując się w telewizor - nie jestem głupia.

- Owszem, jesteś - rzuciłem przez ramię i wyszedłem do ogródka.

Stojąc kręgiem wokół wzgórka, zasłaniaлиśmy go skutecznie przed wzrokiem mieszkańców okolicznych domków szeregowych.

Broussard kilkakrotnie wbił szpadel i przewrócił ziemię, zanim pojawiła się pognieciona zielona plastikowa torba.

Po chwili kopania Poole rozejrzał się dokoła, schylił, pociągnął za plastik i wyszarpnął torbę z ziemi.

Nie związali jej nawet, po prostu tylko skręcili kilka razy u góry i Poole pozwolił, żeby mu się w ręce rozwinęła, słuchając, jak zielony plastik szeleści, kiedy puszczają ciasno zwinięte zagniecenia.

Naszym oczom ukazała się luźna sterta banknotów, głównie setek i pięćdziesiątek, starych i zeszmacoonych.

- Kupa pieniędzy - stwierdziła Angie. Poole potrząsnął głową.

- To jest, panno Gennaro, Amanda McCready.

Zanim Poole i Broussard wezwali policję kryminalną i lekarza sądowego, zgasiliśmy w living roomie telewizor i zawołaliśmy Helene.

- Wymienicie pieniądze na Amandę - powiedziała. Poole skinął głową.

- Ale żywą.

- Mamy nadzieję.

- A ja co znów muszę zrobić? Broussard ukucnął przed Helene.

- Pani nie musi nic r o b i ć, panno McCready - powiedział. - Pani musi tylko podjąć w tej chwili decyzję. My czworo - wskazał nas ręką - uważamy, że to będzie właściwe rozwiązanie. Ale jeśli moi szefowie się dowiedzą, że zamierzam to w ten sposób załatwić, to zostanę albo zawieszony, albo wyrzucony z pracy. Jasne?

Skinęła głową bez przekonania.

- Jeśli powiecie o tym ludziom, to będą chcieli aresztować Chrisa Mullena.

Broussard skinął głową.

- Całkiem możliwe. Niewykluczone, że FBI uzna złapanie kidnapera za ważniejsze od bezpieczeństwa twojej córki.

Znów nieśmiało kiwnięcie głową, jakby podbródek Helene przy ruchu w dół natrafiał na jakąś niewidzialną przeszkodę.

- Podstawowa sprawa, panno McCready - odezwał się Poole - to jest pani decyzja.

Jeśli pani chce, to możemy zaraz oddać pieniądze i niech się sprawą zajmą profesjonaliści.

- Inni ludzie? - Spojrzała na Broussarda, który dotknął jej ręki.

- Tak.

- Ja nie chcę innych ludzi. Ja nie... - Wstała trochę niepewnie. - A co ja będę musiała zrobić, jeśli załatwicie sprawę po swojemu?

- Siedzieć cicho. - Broussard podniósł się z kucek. - Nie mówić nic ani prasie, ani policji. Nie mówić nawet Lionelowi i Beatrice.

- Czy macie zamiar rozmawiać z Serem?

- Tak, to będzie najprawdopodobniej nasz następny ruch - powiedziałem.

- Wszystko wskazuje na to, że karty rozdaje pan Olamon - odparł Broussard.

- A gdyby tak pani spróbowała pochodzić za Chrisem Mullenem? Może sam o tym nie wiedząc, zaprowadziłby panią do Amandy?

- My też będziemy to robili - oznajmił Poole. - Ale mam dziwne uczucie, że oni się tego spodziewają. Jestem przekonany, że dobrze ukryli małą.

- Powiedźcie mu, że ja przepraszam.

- Komu?

- Serowi. Powiedźcie mu, że nie chciałam nic złego. Że chcę tylko odzyskać dziecko. Powiedźcie mu, żeby jej nie skrzywdzili. Możecie to zrobić? - Spojrzała na Broussarda.

- Jasne.

- Chce mi się jeść - oznajmiła na koniec Helene.

- Coś pani ...

Potrząsnęła głową.

- Nie ja. Nie ja. To powiedziała Amanda.

- Co? Kiedy?

- Tamtego wieczoru. Kiedy ją kładłam spać. To były jej ostatnie słowa: „Mamo, chce mi się jeść”. - Helene uśmiechnęła się, ale jej oczy wezbrały łzami. - A ja jej na to: „Nie przejmuj się, kochanie. Będziesz jadła rano”.

Nikt się nie odezwał. Czekaliśmy, czy Helene się załamie.

- Na pewno ją nakarmili, prawda? - Mimo łez próbowała utrzymać uśmiech. - Ona nie jest nadal głodna, prawda? - Spojrzała na mnie. - Prawda? - powtórzyła.

- Nie wiem - odparłem.

12

Ser Olamon był Skandynawem o włosach w kolorze słomy, któremu błędnie się wydawało, że jest czarny. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i ważył prawie dwieście kilogramów.

Chociaż sadło mu się trzęsło, kiedy szedł, a jego gust oscylował w kierunku polarowych albo grubych bawełnianych bluz, preferowanych przez otyłych mężczyzn na całym świecie, to potraktowanie Sera jako zwykłego, wesołego, jowialnego, a już nie daj Boże niemrawego tłuściocha byłoby wielkim błędem.

Ser jednak często się uśmiechał, a chwilami, zwłaszcza w obecności niektórych osób, ogarniała go prawdziwa wesołość. I mimo że ludzie się krzywili, słysząc jego tracący myszką pseudoczarny slang, było w nim coś wyjątkowo rozczulającego i udzielającego się. Kiedy tak mówił, człowiek się zastanawiał, czy ten język, którego praktycznie mało kto - czarny czy biały - rzeczywiście używał, jest skutkiem nieszczęśliwej miłości do kultury czarnego getta, czy zwariowanego rasizmu, czy jednego i drugiego. W każdym razie ta jego gadka udzielała się innym.

Ale znałem też Sera, który pewnej nocy w barze patrzył na faceta z taką lodowatą nienawiścią, że na moich oczach spodziewana długość życia delikwenta spadła do półtorej minuty.

Znałem też Sera, który zatrudniał dziewczyny tak chude i wyniszczone heroiną, że mogłyby się schować za kijem bejsbolowym i który brał od nich kasę, wychylając się z samochodu, a potem klepał je po kościstych tyłkach i z powrotem wysyłał do pracy.

I wszystkie kolejki, jakie stawiał w barach, wszystkie piątki i dziesiątki, jakie wciskał w garść pijaczkom, by ich potem wieźć na chińszczyznę, wszystkie indyki, jakie rozdawał biedakom z sąsiedztwa - wszystko to razem nie mogło wymazać lumpów konających gdzieś w ciemnych uliczkach z igłami sterczącymi im z ramion; młodych kobiet, które niemal z dnia na dzień zamieniały się w zeszmaczone wiedźmy z krwawiącymi dziąsłami, żebrzące w metrze o pieniądze na AZT; nazwisk, za których zniknięcie z przyszłorocznej książki telefonicznej był osobiście odpowiedzialny.

Wybryk natury i sposobu odżywiania, Ser był przez większą część szkoły podstawowej mały i cherlawy. Żebra sterczały mu przez tanią białą koszulę jak palce starego człowieka; czasem cierpiał na tak gwałtowne ataki kaszlu, że kończyły się wymiotami. Rzadko się odzywał, nie pamiętam, żeby miał jakichkolwiek przyjaciół i podczas gdy większość nas jadła lunch z pojemników Barbie albo Adam-12, Ser przynosił kanapki w torbach z szarego papieru, które starannie składał po zjedzeniu i zabierał do domu na następny raz.

Przez pierwszych kilka lat oboje rodzice odprowadzali go codziennie rano do szkolnej bramy. Mówili do niego w obcym języku, a ich donośne głosy rozbrzmiewały na szkolnym boisku, kiedy poprawiali synowi włosy czy szalik, czy majstrowali przy guzikach jego ciężkiego chłopskiego płaszcza, zanim go wreszcie puścili. Wracali potem, dwoje olbrzymów, uliczką. Pan Olamon - w atłasowej fedorze, niemodnej od co najmniej piętnastu lat, ze sfatygowanym pomarańczowym piórkiem zatkniętym za taśmę - z lekko przekrzywioną głową, jakby się spodziewał zaczepek albo tego, że z balkonów polecą w ich stronę śmieci. Ser patrzył za rodzicami, dopóki nie stracił ich z oczu, krzywiąc się za każdym razem, kiedy jego matka zatrzymywała się, żeby podciągnąć opadającą na grubej pęcinnie skarpetkę.

Trudno powiedzieć dlaczego, ale wspomnienia związane z Serem i jego rodzicami kojarzą mi się z ostrymi jak szable promieniami słońca wczesnej zimy: brzydki chłopak stojący na skraju szkolnego podwórka, poznaczonego ospą na pół zamrzniętych kałuż i patrzący na swoich gigantycznych rodziców, jak przygarbieni idą pod czarnymi, dygoczącymi drzewami.

Sera nieustannie obrzucano błotem i znęcano się nad nim za jego nieznaczenie obcy akcent i za dużo znaczniejszy obcy akcent jego rodziców, za wiejskie ubranie chłopaka i za jego cerę o mydlano żółtawym odcieniu, który kojarzył się dzieciom z zepsutym serem. Stąd przezwisko Olamona.

W siódmym roku nauki Sera u Św. Bartłomieja jego ojciec, woźny w ekskluzywnej

szkole podstawowej w Brookline, został skazany za czynną napaść na dziesięcioletniego ucznia, który napluł na podłogę. Chłopak, syn neurochirurga z Massachusetts General Hospital, wykładającego często na Harvardzie, z nagłego ataku pana Olamona wyszedł ze złamaną ręką i nosem. Nie ulegało wątpliwości, że kara będzie dotkliwa. W tym samym roku Ser urósł w ciągu pięciu miesięcy dwadzieścia pięć centymetrów.

W następnym, tym, w którym jego ojciec został skazany na trzy do sześciu lat, roztył się.

Czternaście lat znoszenia prześladowań poszło mu w mięśnie; czternaście lat dokuczania, małpowania jego akcentu, upokorzeń i hamowanej wściekłości zamieniło się w twardą, gorącą kulę żółci w jego żołądku.

Lato między ósmą klasą a liceum stało się dla Sera Latem Zemsty. Dzieciaki obrywały znieczeka, zza rogu, nigdy nie wiedziały, czy jedna z ogromnych pięści Sera nie wyląduje na ich żebrach. Były połamane ręce i nosy, a Carlowi Coxowi - jednemu z najstarszych i najbardziej bezlitosnych dręczycieli Sera - spadł na głowę z dachu dwupiętrowego domu kamień, który oberwał mu pół ucha i sprawił, że Carl już do końca życia belkotał.

Ale dostawało się nie tylko chłopcom z ostatniej klasy św. Bartłomieja; kilka czternastoletnich dziewcząt spędziło lato z opatrunkiem na nosie lub w gabinecie dentystycznym.

Ale już wtedy Ser potrafił wybierać ofiary. Ci, którzy, jak to słusznie oceniał, byli zbyt nieśmiali czy za słabi na to, żeby mu oddać, widzieli jego twarz, kiedy ich atakował. Inni, którym wyrządzał poważną krzywdę - a więc najbardziej skłonni, by zawiadomić policję czy poskarżyć się rodzicom - nic nie widzieli.

Wśród tych, którym udało się uniknąć jego zemsty, byliśmy Phil, Angie i ja, choćby tylko dlatego, że każde z nas miało przynajmniej jednego rodzica imigranta. Ser zostawił też w spokoju Bubbę Rogowskiego. Nie pamiętam, czy Bubba kiedykolwiek mu dokuczał, ale nawet gdyby tak było, to Ser był za mądry na to, żeby nie wiedzieć, że w razie wojny, to on będzie armią niemiecką, a Bubba rosyjską zimą. Dlatego trzymał się tylko tych frontów i bitew, których wygrania był pewien.

Niezależnie od tego, że Ser z wiekiem stawał się coraz sprytniejszy i coraz bardziej psychopatyczny, w obecności Bubby niezmiennie zachowywał niemal służalczą postawę. Do tego stopnia, że kiedy Bubba wyjeżdżał za granicę w sprawie zakupu broni, Ser osobiście karmił jego psy i ich doglądał.

Taki jest Bubba. Ludzie, którzy budzą przerażenie w tobie i we mnie, karmią mu psy.

- Matka trafiła do zakładu, kiedy osadzony miał siedemnaście lat - czytał Broussard z akt Sera Olamona, gdy tymczasem prowadzony przez Poole'a samochód minął rezerwat przyrody Walden Pond i zbliżał się do więzienia Concord. - Ojciec, rok później zwolniony z Norfolk, zniknął.

- Krąży plotka, że Ser go zabił - powiedziałem. Rozparłem się wygodnie na tylnym siedzeniu, z głową opartą o szybę i podziwiałem przesuwające się przed oknami samochodu wspaniałe drzewa Concord.

Po zgłoszeniu przez Broussarda i Poole'a podwójnego zabójstwa w domu Małego Davida wzięliśmy torbę z pieniędzmi i najpierw podwieźliśmy Helene do Lionela, po czym ruszyliśmy do hurtowni Bubby.

Druga po południu to ulubiona pora drzemki Bubby, dlatego w drzwiach powitał nas gospodarz w jaskrawoczerwonym japońskim kimonie, z wyrazem lekkiej irytacji na obliczu zidiociałego cherubina.

- Dlaczego ja nie śpię? - rzucił Bubba na dzień dobry.

- Potrzebny nam jest twój sejf - odezwała się Angie.

- Przecież macie sejf. - Bubba spojrzał na mnie spode łba.

- Ale naszego nie chroni pole minowe. - Patrzyłem mu w oczy. Wyciągnął rękę i Angie podała mu torbę.

- Zawartość? - zapytał Bubba.

- Dwieście tysięcy.

Skinął głową, jakbyśmy mu właśnie wręczyli klejnoty rodzinne babci. Gdybyśmy mu jednak powiedzieli, że są to dowody na istnienie cywilizacji pozaziemskiej, jego reakcja nie byłaby inna. Z wyjątkiem obietnicy załatwienia mu randki z Jane Seymour na Bubbie naprawdę trudno było zrobić wrażenie.

Angie wyciągnęła z torby zdjęcia Corwina Earle'a i Leona i Roberty Trettów, rozłożyła je przed zaspaną twarzą Bubby i spytała:

- Znasz kogoś z nich?

- Do jasnej! - powiedział Bubba.

- Znasz czy nie?

- A? - Potrząsnął głową. - Nie, nie znam. A ta kudłata małpa to co? Chodzi na dwóch nogach i w ogóle?

Angie westchnęła i z powrotem schowała zdjęcia do torby.

- A ci dwaj to skazani - powiedział Bubba. - Nigdy ich nie poznałem, ale to łatwo zgadnąć. - Ziewnął, skinął głową i zamknął nam drzwi przed nosem.

- Kiedy siedział, brakowało mi nie jego obecności... - powiedziała Angie.

- Tylko ciekawej, podniecającej wymiany zdań - dokończyłem za nią.

Angie podrzuciła mnie do domu, gdzie miałem czekać na Poole'a i Broussarda, a sama pojechała do budynku, w którym mieszkał Chris Mullen, żeby go zacząć obserwować. Sama tak zdecydowała, jako że nie lubiła wizyt w męskich więzieniach. A poza tym w jej obecności Ser zaczyna się głupio zachowywać, rumieni się i pyta, z kim się Angie ostatnio spotyka. Postanowiłem jechać z Poole'em i Broussardem, bo mam jakoby przyjazną twarz, a Ser jest znany z tego, że nie przepada za ludźmi ubranymi na niebiesko.

- Podejrzany w sprawie śmierci niejakiego Jo McDaniela w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku - powiedział Broussard, kiedy kluczyliśmy drogą numer 2.

- To mentor Sera w handlu narkotykami - skomentowałem.

Broussard skinął głową.

- Podejrzany w sprawie zniknięcia i prawdopodobnej śmierci Daniela Caleba w dziewięćdziesiątym pierwszym.

- O tym nie słyszałem.

- Księgowy. - Broussard przewrócił kartkę. - Jakoby fałszował księgi kilku podejrzanym typom.

- Ser złapał go na gorącym uczynku.

- Najwyraźniej.

Poole spojrział na mnie w lusterku wstecznym. - Widzę, Patrick, że masz niezłe znajomości w światku przestępczym.

Wyprostowałem się na siedzeniu.

- Ciekawe, co masz namyśli, Poole?

- A to, że Ser Olamon i Chris Mullen to twoi przyjaciele.

- To nie są żadni moi przyjaciele. Po prostu razem dorastaliśmy.

- A czy przypadkiem nie dorastałeś też ze świętej pamięci Kevinem Hurlihym? -

Poole zatrzymał samochód na lewym pasie, czekając na przerwę w ruchu z przeciwnego kierunku, żeby móc przeciąć drogę numer 2 i wjechać na podjazd więzienia.

- Kiedy ostatni raz słyszałem o Kevinie, zaginął - powiedziałem.

Broussard uśmiechnął się do mnie nad oparciem siedzenia.

- I nie zapominajmy o niesławnym panu Rogowskim.

Wzruszyłem ramionami. Byłem przyzwyczajony do tego, że wzmianka o mojej znajomości z Bubbą Rogowskim wywoływała zdziwienie. Zwłaszcza wśród policjantów.

- Bubba jest przyjacielem - odparłem.

- Ładny przyjaciel. Czy to prawda, że podłoga jego hurtowni jest nafaszerowana materiałami wybuchowymi?

Wzruszyłem ramionami.

- Wpadnijcie do niego, to się sami przekonacie.

Poole zachichotał.

- To a propos twoich planów przejścia na wcześniejszą emeryturę... - Skręcił w zwirowany podjazd więzienia. - Z niezłej dzielnicy pochodzisz, Patrick, to wszystko. Z niezłej dzielnicy.

- My, stamtąd, jesteśmy nierozumiani. Złote serca. Każdy z nas ma złote serce.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, Broussard przeciągnął się i powiedział:

- Oscar Lee twierdzi, że nie lubisz osądzać innych.

- Że czego nie lubię? - Spojrzałem na mury więzienne. To typowe dla Concord. Nawet więzienie wyglądało zachęcająco.

- Osądzać innych - powiedział Broussard. - Oscar twierdzi, że nienawidzisz osądzać ludzi.

Spojrzałem na drut kolczasty zwieńczający mur. Nagle więzienie wydało mi się jakby mniej zachęcające.

- Twierdzi, że to dlatego przyjaźnisz się z takim psycholem jak Rogowski i utrzymujesz kontakty z facetami w rodzaju Sera Olamona.

Zmrużyłem oczy przed ostrym słońcem.

- Rzeczywiście, nie przepadam za osądzaniem ludzi. Ale od czasu do czasu jestem do tego zmuszony.

- I? - zapytał Poole.

- Z reguły pozostaje mi niesmak.

- Bo źle osądziłeś? - zainteresował się.

Przypomniało mi się, jak parę godzin temu nazwałem Helene głupią i jak to słowo ją jak gdyby przygniotło i jednocześnie dźgnęło. Potrząsnąłem głową.

- Nie, mój osąd był właściwy. Tyle że pozostawił mi niesmak. Po prostu.

Wsadziłem ręce w kieszenie i nie czekając, aż Poole i Broussard wymyślą następne pytania na temat mojego charakteru czy też jego braku, ruszyłem w stronę bramy więziennej.

Naczelnik więzienia postawił strażników przy drzwiach prowadzących zarówno na małe podwórko dla odwiedzających, jak i przy wyjściu z niego i strażnicy na wieżyczkach skupili na nas swoją uwagę. Ser już na nas czekał. Był tam jedynym więźniem, ponieważ Poole i Broussard zastrzegli sobie maksimum prywatności.

- Cześć, Patrick, jak leci? - zawołał na nasz widok. Stał przy źródelku. W porównaniu z żółtówłosem Orkiem, którym był Ser, źródelko przypominało podstawkę golfową.

- Nie najgorzej. Ładna pogoda.

- Ja to pierdołę, bracie. - Przybił moją pięść swoją. - Taki dzień jak ten to dobra dupa, Jack Daniels i paczka koolsów w jednym. Wiesz, o czym mówię?

Nie wiedziałem, ale się uśmiechnąłem. Bo taka była metoda z Serem. Człowiek kiwał głową, uśmiechał się i zastanawiał, kiedy zacznie gadać z sensem.

- Ja cię piłuję! - Ser zakołysał się na piętach. - Przyprowadziłeś ze sobą gliny. Człowiek jest w domu! - wykrzyknął. - W domu. Poole i... - strzelił z palców - Broussard. Zgadza się? A ja myślałem, żeście chłopcy już wyszli z Narkotyków.

Poole uśmiechnął się w słońce.

- Bo i wyszliśmy, szanowny panie Ser. Jasne, że wyszliśmy. - Wskazał na długą ciemną bliznę na brodzie Sera. Wyglądała na cięcie jakimś poszczerbionym ostrzem. - O, widzę, że narobiłeś sobie tu wrogów.

- To? A, to gówno. - Ser przewrócił oczami w moją stronę. - Jeszcze się taki skurwiel nie urodził, co by sobie poradził z Serem.

Broussard zachichotał i zaczął czubkiem lewego buta wiercić dziurę w ziemi.

- Tak, Ser, jasne. Gadasz czarnym slangiem i to może wkurzać kogoś, kto nie lubi białych chłopców z popieprzonym poczuciem tożsamości. Nie sądzisz?

- Hej, Poole - powiedział Ser - co taki w porządku facet jak ty robi z takim przymulonym skurwielem, co własnej dupy z mapą nie może znaleźć?

- Stoczyłem się - odparł Poole, a usta Broussarda zadrgały w uśmiechu.

- Słyszałem, że straciłeś worek kasy - powiedział.

- Słyszałeś? - Ser potarł brodę. - Hmm. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie,

panie władzo, ale jak nie macie co z nim zrobić, to chętnie was odciążę. Dajcie szmal mojemu człowiekowi, on mi go przechowa i odda, jak wyjdę.

- Och, Ser - odezwałem się - to wzruszające.

- Jak tam brat Rogowski?

- W porządku.

- Skurwiel odsiedział rok w Plymouth, tak? Więźniowie tam do tej pory dygoczą. Boją się, że może wrócić. Tak mu się tam podobało.

- Nie wróci - powiedziałem. - Stracił rok występów w telewizji i go teraz nadrabia.

- A jak tam psy? - wyszeptał Ser, jakby to był sekret.

- Jakiś miesiąc temu zdechł Belker.

Sera na chwilę zatkało. Spojrzał w niebo i lekki wiatr musnął jego powieki.

- W jaki sposób zginął? - Ser popatrzył na mnie. - Otruty? Potrząsnąłem głową.

- Samochód go potrącił.

- Specjalnie?

Znów potrząsnąłem głową.

- Prowadziła jakaś staruszka i Belker wyskoczył jej pod koła.

- Jak Bubba to zniósł?

- Miesiąc wcześniej go wysterylizował. - Wzruszyłem ramionami. - Jest przekonany, że to było samobójstwo.

- To logiczne. - Ser skinął głową. - Na pewno tak było.

- Pieniądze, Ser. - Broussard pomachał mu ręką przed nosem. - Pieniądze.

- Żadnych pieniędzy nie straciłem, panie władzo. Tak jak mówiłem. - Wzruszył ramionami, odwrócił się tyłem do Broussarda, podszedł do ławki piknikowej, usiadł na oparciu i czekał, aż do niego dołączymy.

- Ser - siadłem obok niego - zaginęła dziewczynka w naszej dzielnicy. Może coś słyszałeś?

Ser zdjął ze swojego sznurowadła źdźbło trawy i kręcąc je między grubymi paluchami, odparł:

- Coś słyszałem. Amanda Jakaśtam.

- McCready - dokończył Poole.

Ser zesnurował usta, jakby przez ułamek sekundy się nad tym zastanawiał, po czym wzruszył ramionami.

- Nie kojarzę. Co ma do tego torba pieniędzy?

Broussard zachichotał i potrząsnął głową.

- Przyjmijmy, że te dwie sprawy mają związek hipotetyczny - powiedział Poole.

Ser złożył dłonie między kolanami i spojrzał na Poole'a z wyrazem ożywienia na ciastowatej twarzy.

- W porządku.

Poole postawił nogę na ławce obok nogi Sera.

- Na potrzeby dyskusji....

- Na potrzeby dyskusji... - powtórzył radośnie Ser.

- ...że ktoś ukradł pieniądze pewnemu dżentelmenowi dokładnie w tym samym dniu, w którym ten dżentelmen został zatrzymany przez policję stanową za to, że nie wrócił z przepustki.

- Będą jakieś cycki? - zapytał Ser. - Bo Ser lubi historie z cyckami.

- Zaraz do tego dojdziemy - powiedział Poole. - Obiecuję.

Ser trącił mnie łokciem, posłał mi szeroki uśmiech i z powrotem odwrócił się do Poole'a. Broussard odchylił się do tyłu na obcasach i spojrzał w kierunku wieżyczek strażniczych.

- No więc ta osoba, która w istocie ma piersi, kradnie pieniądze facetowi, któremu nie powinna tego robić. I parę miesięcy później ginie jej dziecko.

- Przykro - rzekł Ser. - I cholerny wstyd, jeśli chcecie znać zdanie Sera.

- Tak - zgodził się Poole. - Wstyd. I dalej, znany współpracownik tego człowieka, którego ta kobieta wkurzyła...

- Którego okradła - sprostował Ser.

- Przepraszam. - Poole uchylił wymyślonego kapelusza. - Znany współpracownik człowieka, którego ta kobieta okradła, był widziany w tłumie, jaki się zebrał przed jej domem tej nocy, kiedy zaginęła jej córka.

Ser potarł brodę.

- Interesujące.

- A ten człowiek pracuje dla pana, panie Olamon.

Ser uniósł brwi.

- Tak po prostu i zwyczajnie?

- Mhm.

- Pan powiedział, panie władzo, że przed tym domem zebrał się tłum?

- Tak powiedziałem.

- Założę się, że tam przed tym domem była cała kupa ludzi, którzy dla mnie nie pracują.

- To prawda.

- Ich też będziecie przepytować?

- Ale ich nie okradła matka tej dziewczynki - odparłem.

Ser odwrócił głowę.

- Skąd wiesz? Dziwka, która jest na tyle głupia, żeby okraść Sera, może obrobić całą dzielnicę. Mam rację, bracie?

- To znaczy przyznajesz, że cię okradła? - spytał Broussard.

Ser spojrział na mnie i wskazał kciukiem w kierunku Broussarda.

- Myślałem, że rozważania są hipotetyczne.

- Oczywiście. - Broussard uniósł rękę. - Proszę mi wybaczyć, Wasza Serowość.

- A propozycja jest taka - powiedział Poole.

- O - ożywił się Ser. - Propozycja.

- Panie Olamon, będziemy w tej sprawie siedzieli cicho. Pozostanie ona tylko między nami.

- Tylko między nami - powtórzył Ser i przewrócił oczami w moją stronę.

- Ale dziecko ma wrócić bezpiecznie do domu.

Ser patrzył na niego dłuższy czas, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, który stawał się coraz szerszy.

- Zaraz, wyjaśnijmy sobie wszystko. Pan mówi, że pan - Człowiek - da mojemu hipotetycznemu chłopakowi hipotetyczne pieniądze w zamian za hipotetyczne dziecko i wszystko będzie cacy, rozstaniemy się jak przyjaciele? To jest to gównno, które mi chcecie wcisnąć, tak, panie władzo?

- Sierżancie detektywie - poprosił go Poole.

- Obojętne. - Ser parsknął i zamachnął rękami.

- Pan jest otrzaskany z prawem, panie Olamon. Proponując panu ten układ, łapiemy pana w pułapkę. Może pan legalnie zrobić z tą ofertą, co pan chce i za nic nie odpowiadać.

- Bzdura.

- Żadna bzdura.

- Ser - powiedziałem. - Kto według ciebie na tym straci?

- Hę?

- Poważnie. Ktoś odzyskuje swoje pieniądze. Ktoś inny odzyskuje swoje dziecko. I wszyscy są zadowoleni.

Ser pogroził mi palcem.

- Patrick, bracie, nie próbuj kariery w handlu. Kto straci? O to pytasz? Kto straci, do jasnej cholery?

- Tak. Powiedz, kto na tym straci.

- Skurwysyn, który został obrobiony. On straci. - Ser podniósł ręce, po czym opuścił je z rozmachem, uderzając dłońmi w gigantyczne uda i zbliżając głowę do mojej, tak że się prawie stykały. - Ten skurwiel na tym straci. Właśnie on zostanie wyжебany. I on ma uwierzyć Człowiekowi? Człowiekowi i jego układowi? - Ser położył mi rękę na karku i ścisnął. - No i co, pieprzony czarnuchu, palileś pieprzony crack?

- Panie Olamon - odezwał się Poole - jak mamy pana przekonać, że mamy uczciwe zamiary?

Ser puścił mój kark.

- Wcale. Macie się odsunąć od sprawy, niech się trochę wyciszy i niech się ludzie sami dogadują. - Pogroził Poole'owi grubym paluchem. - Dopiero wtedy wszyscy będą zadowoleni.

Poole wyciągnął ręce, odwrócił dłońmi do góry.

- Tego zrobić nie możemy, panie Olamon. I pan o tym dobrze wie.

- Okay, okay. - Ser szybko pokiwał głową. - Może ktoś chce zaproponować jakiemuś porządnemu skurwielowi skrócenie wyroku w zamian za pomoc w przeprowadzeniu pewnej transakcji. Co o tym myślicie?

- To by musiało oznaczać włączenie w sprawę prokuratora okręgowego - powiedział Poole.

- I co z tego?

- Może przeoczył pan ten moment, kiedy mówiliśmy, że chcemy sprawę utrzymać w tajemnicy - wtrącił Broussard. - Odzyskamy dziewczynkę i każdy pójdzie w swoją stronę.

- No, jeśli wasz hipotetyczny człowiek zgodzi się na taki układ, to znaczy, że jest głupkiem. Cholernym pieprzonym głupkiem. I to jest pewne.

- My chcemy Amandy McCready. - Broussard położył sobie rękę na karku i zaczął uciskać. - Żywej.

Ser odchylił głowę do słońca, wdychając powietrze nozdrzami tak szerokimi, że mógłby przez nie wciągnąć z dywanu całe rolki dwudziestopięciocentówek.

Poole odsunął się od ławy, skrzyżował ręce na piersiach i czekał.

- Trzymałem tę dziwkę, McCready, w swojej stajni - rzekł w końcu Ser. - Ale nie na stałe, od przypadku do przypadku. Na oko do trzech zliczyć nie potrafiła, ale jak

dostała odpowiedni prezencik, to uszła w tłoku. Rozumiecie, co mam na myśli?

- W swojej stajni? - Broussard podszedł do ławki. - Czy chcesz powiedzieć, Ser, że wykorzystywałeś Helene McCready do uprawiania nierządu?

Ser zgiął się wpół i zachichotał.

- Uppprawianie nnnierządu. Kurczę, to niezłe brzmi. Założę kapelę i nazwę ją Uprawianie Nierządu. Kluby będą pełne jak skurwysyn.

Broussard błyskawicznym ruchem strzelił Sera wierzchem dłoni prosto w nos. Nie był to pieszczotliwy gest. Ser złapał się za nos i natychmiast między palcami pokazała się krew. Broussard stanął między jego szeroko rozstawionymi nogami, złapał go za prawe ucho i wykręcił tak mocno, że usłyszałem chrobot chrząstki.

- Posłuchaj mnie, gnoju. Słuchasz mnie?

Ser wydał z siebie odgłos, który można było wziąć za odpowiedź twierdzącą.

- Nic mnie nie obchodzi Helene McCready ani to, czy ją w niedzielę wielkanocną posłałeś do refektarza pełnego księży, czy nie. Mam gdzieś twój pieprzony handel herą i to, że dalej zza tych murów sterujesz ulicą. Zależy mi na Amandzie McCready. - Nachylił się i trzymając ucho Sera w żelaznym uścisku, podkręcił jeszcze mocniej. - Słyszałeś: Amanda McCready. Jeśli mi nie powiesz, gdzie ona jest, ty Richardzie Roundtree⁴ dla ubogich, to się dowiem nazwisk czterech największych, najbardziej krzepkich czarnych więźniów, którzy mają powody, żeby za tobą nie przepadać i osobiście dopilnuję, żeby spędzili z tobą noc w izolatce, mając do dyspozycji tylko własne kutasy i zapalniczkę. Słuchasz mnie czy chcesz oberwać jeszcze raz?

Broussard puścił jego ucho i cofnął się.

Włosy Sera pociemniały od potu, a charkot, który się wydobył zza jego stulonych dłoni, przypominał jeden z ataków kaszlu, jakie go nawiedzały w dzieciństwie i kończyły się wymiotami.

Broussard machnął ręką w jego stronę i spojrzał na mnie.

- Możesz mnie osądzić - powiedział i wytarł rękę w spodnie.

Ser odjął dłonie od twarzy. Z nosa po górnej wardze ciekła mu do ust krew. Kilka razy głęboko wciągnął powietrze, nie spuszcżając Broussarda z oka.

Strażnicy na wieżyczkach patrzyli w niebo. Strażnicy przy bramach gapili się w

⁴ Richard Roundtree - czarny aktor kina akcji, popularny szczególnie w latach 70. (przyp. tłum.).

swoje buty, jakby każdy z nich dziś rano dostał nową parę.

Słyszałem odległy brzęk stali, jakby ktoś za murami więziennymi ćwiczył podnoszenie ciężarów. Przez podwórko przefrunął mały ptaszek. Był tak maleńki i tak szybko się poruszał, że nawet nie zdążyłem zauważyć jego koloru, kiedy usiadł na murze, przeleciał nad drutem kolczastym i zniknął mi z oczu.

Broussard odsunął się od ławki i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, patrzył na Sera wzrokiem tak pozbawionym wszelkich emocji, że równie dobrze mógłby studiować korę drzewa. Było to inne wcielenie Broussarda, którego do tej pory nie znałem.

Jako koledzy po fachu Angie i ja byliśmy przez niego traktowani z zawodowym respektem, a nawet szczyptą wdzięku. I takiego Broussarda musiała znać większość - przystojnego, wygadanego, nienagannie zadbanego detektywa o uśmiechu gwiazdora filmowego. Ale w więzieniu Concord miałem do czynienia z innym Broussardem - zwykłym gliniarzem, ulicznym rozrabiaką, śledczym sięgającym do argumentu pałki policyjnej. Kiedy skierował na Sera swoje chmurne spojrzenie, dostrzegłem w nim groźbę twardego partyzanta i wojownika dżungli, który musi wygrać za wszelką cenę.

Ser splunął w trawę gęstą mieszanką flegmy z krwią.

- Całuj mnie w moją czarną dupę, Marku Fuhrman!⁵ - powiedział.

Broussard rzucił się do niego, ale Poole złapał go z tyłu za marynarkę, gdy tymczasem Ser zląkł z ławki.

- Hej, Patrick, z jakimi ty białymi szmatami się zadajesz, co?

- Stul pysk! - wrzasnął Broussard. - Już zapomniałeś o nocy w izolatce? Jeszcze sobie tego nie wyobraziłeś?

- Wiesz, co sobie wyobraziłem? Jak twoja stara to robi z całą kupą karłów w mojej celi - powiedział Ser. - To sobie wyobraziłem. Chciałbyś przyjść popatrzeć?

Broussard ponownie rzucił się do przodu, ale Poole tym razem objął go ramionami, podniósł z ziemi większego od siebie partnera i odsunął od ławki.

Ser ruszył w stronę drzwi dla więźniów, a ja truchtem podążyłem za nim.

- Ser.

Obejrzał się przez ramię, nie przestając iść.

- Ser, na rany Chrystusa, ona ma zaledwie cztery lata.

⁵ Mark Fuhrman - biały detektyw z wydziału zabójstw, występujący w procesie J.O. Simpsona, później odsunięty od sprawy (przyp. tłum.).

Szedł dalej przed siebie.

- Bardzo mi z tego powodu przykro. Powiedz facetowi, że musi popracować nad swoimi manierami.

Przy drzwiach, przez które właśnie przeszedł Ser, zatrzymał mnie strażnik. Miał lustrzane okulary i kiedy mnie odpychał ręką, zobaczyłem w nich swoje groteskowe odbicia. Dwie migotliwe wersje siebie, z tym samym głupkowatym zawiedzionym wyrazem na obu twarzach.

- Ser, odezwij się, człowieku.

Odwrócił się do mnie, przełożył palce przez oczka siatki i patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Nie mogę ci pomóc, Patrick, okay?

Gestem wskazałem przez ramię Poole'a i Broussarda.

- Ich propozycja była szczerą.

Ser wolno potrząsnął głową.

- Nie pieprz, Patrick. Gliny są jak skazani. Skurwiele zawsze kombinują.

- Wrócą tu z całą armią, Ser. A ty wiesz, jak to działa. Mają zielone światło i są wkurwieni.

- Ale ja nic nie wiem.

- Owszem, wiesz.

Uśmiechnął się szeroko - na jego górnej wardze krew zaczęła już gęstnieć i krzepnąć.

- Udowodnij mi. - Odwrócił się i odszedł brukowaną ścieżką, przecinającą krótki trawnik.

Zawróciłem do bramy dla odwiedzających, mijając w drodze Broussarda i Poole'a.

- Gratuluję - powiedziałem. - To był dopiero majstersztyk w osądzaniu ludzi.

13

Kiedy szliśmy korytarzem w stronę książki wpisów, Broussard zrównał się ze mną, złapał mnie z tyłu za łokieć i odwrócił do siebie.

- Nie podoba się moja metoda, panie Kenzie?

- Gówniana metoda! - Wyrwałem rękę z uścisku. - To, co tam zrobiłeś, nazywasz metodą, tak?

Dogonili nas Poole i strażnik.

- Panowie, nie tutaj. Trzeba zachować jakieś pozory.

Poole posterował nami korytarzem przez wykrywacze metalu do ostatniej bramki. Sierżant, któremu włosy sterczały jak cienkie, mocno zlepione kolce, oddał nam broń, po czym poszliśmy na parking.

Gdy tylko nasze buty dotknęły żwiru, Broussard zaczął:

- Ile jeszcze tego chamstwa mieliśmy przełknąć od tego gnoja, jak myślisz, Kenzie, co?

- Tyle, ile trzeba, żeby...

- Może chcesz wrócić i pogadać z nim o psich samobójstwach i o tym...

- ...z nim zawrzeć pieprzony układ, detektywie Broussard. O to mi...

- ...jak mocno trzymasz z tym swoim Serem.

- Panowie. - Poole wszedł między nas.

Echo naszych podnieconych głosów niosło się po parkingu i obaj byliśmy czerwoni od krzyku. Ściągną na szyi Broussarda nabrzmiały, przypominając napięte

liny, a ja czułem bużującą w żyłach adrenalinę.

- Moje metody są zdrowe - oświadczył Broussard.

- Twoje metody są do dupy...

Poole położył rękę na piersi Broussarda. Broussard patrzył na nią przez chwilę i widać było, jak chodzą mu mięśnie szczęk.

Idąc przez parking, czułem, jak w moich łydkach adrenalina zamienia się w galarete, słyszałem chrzęst żwiru pod butami i ostry krzyk ptaka, lecącego od strony Walden Pond i widziałem, jak konające słońce łagodnieje i rozlewa się po pniach drzew. Oparłem się o tył taurusa i postawiłem nogę na zderzaku. Poole w dalszym ciągu trzymał rękę na piersi Broussarda i mówił coś młodszemu koledze na ucho.

Jeśli nie liczyć podniesionego głosu, mój wybuchowy charakter jeszcze się na dobre nie objawił. Kiedy jestem naprawdę zły, kiedy wyłącznik w mojej głowie zostanie zwolniony, mój głos staje się bezbarwny, martwy i monotony, a czerwona kulka światła draży moją czaszkę, blokując wszelki strach, zdrowy rozsądek i współczucie. A im intensywniej żarzy się owa kulka, tym chłodniejsza staje się moja krew, aż przypomina chłód błękitnej stali, a monotony głos przechodzi w szept.

Ten szept - z rzadka poprzedzony ostrzeżeniem pod moim czy czyimkolwiek innym adresem - staje się zwiastunem ciosu ręką, kopniaka czy błyskawicznego zrywu mięśni, czerpiących energię z tej czerwonej kuli, z lodowatego chłodu krwi.

Takie usposobienie miał mój ojciec.

Poznałem jego naturę, zanim jeszcze sobie uświadomiłem, że mam taką samą.

Podstawowa różnica między moim ojcem a mną - mam nadzieję - leżała zawsze w działaniu. Ojciec działał pod wpływem gniewu - kiedykolwiek i gdziekolwiek go dopadł. Jego porywczność rządziła nim tak, jak innymi mężczyznami rządzą alkohol, duma czy próżność.

Jako bardzo młody chłopak obiecywałem sobie, że będę blokować czerwoną kulkę, opanuję lodowaty chłód krwi i monotonną nutę w głosie - dokładnie tak samo jak dziecko alkoholika przysięga, że nie weźmie wódki do ust. Wierzyłem zawsze, że tym, co nas różni od zwierząt, jest możliwość dokonywania wyboru. Małpa nie kontroluje swojego apetytu. Człowiek może. Mój ojciec w pewnych odrażających momentach był zwierzęciem. Ja nim być nie chciałem.

Dlatego mimo że rozumiałem wściekłość Broussarda i jego desperacką potrzebę odnalezienia Amandy, a także jego bunt przeciwko odmowie Sera, który nie chciał poważnie potraktować naszej propozycji, nie chciałem tolerować jego zachowania.

Prowadziło nas donikąd, a Amandę jeszcze głębiej wpychało w otchłań, w której się znajdowała.

Na zwirze pod zderzakiem pojawiły się buty Broussarda. Poczułem, jak jego cień kładzie się chłodną plamą na mojej twarzy.

- Nie mogę do tego już nigdy więcej dopuścić. - Mówił tak cicho, że jego głos był ledwie słyszalny w porywach wiatru.

- Do czego? - spytałem.

- Żeby takie szuje krzywdziły dzieci i pozostawały całkowicie bezkarne. I jeszcze uważały, że mogą wszystkich przechytryć. Dość tego.

- To zmień zawód - zaproponowałem.

- Mamy jego forszę. Musi dojść do tej wymiany.

Spojrzałem mu w oczy i zobaczyłem w nich strach, fanatyczną nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał oglądać martwego albo beznadziejnie skrzywdzonego dziecka.

- A jeśli mu nie zależy na pieniądzach? - spytałem.

Broussard odwrócił się.

- Zależy mu. - Przy samochodzie pojawił się Poole. Położył rękę na bagażniku, ale w jego głosie nie było pewności.

- Ser ma kupę forsy - powiedziałem.

- Ale przecież znasz tych facetów - odezwał się Poole, podczas gdy Broussard stał jak słup soli z wyrazem zdziwienia zastygłym na twarzy. - Nigdy im dość pieniędzy. Zawsze chcą więcej.

- Dwieście tysięcy to dla Sera nie jest drobne kieszonkowe - wtrąciłem - ale i nie taki znów wielki szmal. To mała gotówka na łapówki i opłacenie podatku od nieruchomości. Na jeden rok. A może będzie chciał to rozegrać „na płaszczyźnie moralnej”?

Broussard potrząsnął głową.

- Ser nie ma żadnej moralności.

- Owszem, ma. - Kopnąłem obcasem w zderzak, zaskoczony własnym podnieceniem, pewnie tak samo jak oni. I znacznie już ciszej powtórzyłem: - Owszem, ma. A podstawowe prawo moralne, jakie w jego świecie obowiązuje, brzmi: „Nie wchodzić w drogę Serowi”.

Poole skinął głową.

- A Helene weszła.

- No właśnie.

- I ty uważasz, że jeśli Ser się dostatecznie wkurzy, to stać go będzie na to, żeby zabić małą i powiedzieć „pieprzę kasę” tylko po to, żeby coś nam dać do zrozumienia?

Skinąłem głową.

- I nie spędzi mu to snu z powiek.

Kiedy Poole wszedł w cień pomiędzy mną a Broussardem, jego twarz przybrała szary kolor. Wyglądał tak, jak gdyby się gwałtownie postarzał, jakby nagle z groźnego sam stał się zagrożony, jakby ten jego lekki szelmowski uśmiezek gdzieś się ulotnił.

- A jeśli - zaczął tak cicho, że musiałem się nachylić, żeby go usłyszeć - Ser zechce połączyć jedno z drugim: „moralną płaszczyznę” z interesem?

- I nas przechytrzyć? - wtrącił Broussard. Poole wsadził ręce w kieszenie i przygarbił się pod nagłym lodowatym atakiem popołudniowego wiatru.

- Mogliśmy się przedwcześnie zdradzić, Rem.

- W jaki sposób?

- Ser teraz wie, że za wszelką cenę chcemy odzyskać małą, że jesteśmy gotowi złamać wszelkie możliwe zasady, zostawić w domu odznakę policjanta i przyjąć scenariusz „pieniądze za dziecko” bez oficjalnej zgody zwierzchników.

- A jeśli Ser będzie chciał wyjść z tego jako zwycięzca...

- To nikt z tego nie wyjdzie... w ogóle - podsumował Poole.

- Musimy dotrzeć do Chrisa Mullena - powiedziałem. - I zobaczyć, do kogo nas doprowadzi. Zanim dojdzie do wymiany.

Poole i Broussard skinęli głowami.

- Panie Kenzie. - Broussard wyciągnął do mnie rękę. - Zachowałem się niewłaściwie. Dałem się temu łobuzowi sprowokować i mogłem wszystko spieprzyć.

Potrząsnąłem jego ręką.

- Z całą pewnością mała wróci do domu.

Ścisnął mocno moją dłoń.

- Żywa.

- Żywa - potwierdziłem.

- Uważasz, że Broussard pęka pod wpływem tego napięcia? - zapytała Angie.

Siedzieliśmy w zaparkowanym samochodzie na skraju dzielnicy handlowej na Devonshire Street, obserwując tyły Devonshire Place, wieżowca, w którym mieszkał Chris Mullen. Detektywi z Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom,

którzy przyjechali tu za Mullenem, skończyli już pracę. Kilka innych dwuosobowych zespołów inwigilowało pozostałych kluczowych graczy z gangu Sera, a my zajęliśmy się Mullenem. Broussard i Poole obserwowali budynek od frontu, od strony Washington Street. Właśnie minęła północ. Mullen od trzech godzin siedział w domu.

Wzruszyłem ramionami.

- Widziałeś twarz Broussarda, kiedy Poole mówił o tym, jak znaleźli ciało Jeannie Minnelli w beczce z cementem?

Angie skinęła głową.

- Wyglądał znacznie gorzej niż Poole. Jakby na samo wspomnienie tamtej historii był bliski załamania nerwowego. Ręce mu się trzęsły, twarz zrobiła się biała, pokryta perlстым potem. Muszę powiedzieć, że wyglądał fatalnie. - Spojrzałem na trzy żółte prostokąty na czternastym piętrze, które zidentyfikowaliśmy jako okna Chrisa Mullena, kiedy nagle jeden z nich zgasł. - Niewykluczone, że nerwy mu puszczają. Tam, wobec Sera, niewątpliwie zareagował przesadnie. To pewne.

Angie zapaliła papierosa i otworzyła okno po swojej stronie. Panowała cisza. Ulica, poznaczona kanionami białych fasad i błękitnych szklanych wieżowców, przypominała plan filmowy nocą, gigantyczny model świata bez prawdziwych ludzi. W dzień Devonshire Street tętni życiem, wypełniona zgiełkiem ni to wesołych, ni to agresywnych przechodniów - maklerów giełdowych, prawników i sekretarek, posłańców na rowerach, a także trąbiących kierowców ciężarówek i taksówkarzy; migają teczki, służbowe krawaty, telefony komórkowe. Ale mniej więcej po dziewiątej wszystko cichnie i siedząc w samochodzie pośród tych budynków, czuliśmy się jak jeszcze jeden eksponat w gigantycznym muzeum, w którym już przygaszono światła i które właśnie zdążyli opuścić ochroniarze.

- Pamiętasz tamtą noc, kiedy zostałam postrzelona przez Glynna? - zapytała Angie.

- Aha.

- Tuż przedtem, nim się to stało, pamiętam, że walczyłam w ciemnościach z tobą i z Evandrem i że wszystkie świece w mojej sypialni migotały jak oczy i wtedy sobie pomyślałam: dosyć tego. Nie będę się więcej ani trochę angażować w ten gwałt, tę brutalność, w to... gówno. - Odwróciła się na siedzeniu. - Niewykluczone, że Broussard czuje to samo. Ile jeszcze dzieciaków człowiek może znaleźć w beczkach z cementem?

Pomyślałem o idealnej pustce w oczach Broussarda po tym, jak strzelił Sera w

pysk. Pustce tak całkowitej, że przesłoniła nawet jego furię.

Angie miała rację: ile martwych dzieci można znaleźć?

- Spaliłby miasto, gdyby wiedział, że to go doprowadzi do Amandy - powiedziałam.

Skinęła głową.

- Obaj by spalili.

- A ona może już nie żyć.

Angie strzasnęła popiół z papierosa przez otwarte okno.

- Nawet tego nie mów.

- Nie mogę. Przecież to bardzo prawdopodobne. Wiesz doskonale. I ja to wiem.

Przytłaczająca cisza pustej ulicy wślizgnęła się na chwilę do samochodu.

- Ser nienawidzi świadków - rzekła w końcu Angie.

- Owszem, nienawidzi - zgodziłem się z nią.

- Jeśli ta mała nie żyje - Angie odchrząknęła - to w Broussardzie na pewno coś pęknie, a w Poole'u najprawdopodobniej.

Skinąłem głową.

- I niech Bóg ma w swojej opiece tych wszystkich, którzy maczali w tym palce.

- Myślisz, że Bóg będzie miał ich w swojej opiece?

- Że co?

- Bóg - powtórzyła i zgmiotła papierosa w popielniczce. - Myślisz, że Bóg bardziej pomoże porywaczom, niż pomógł samej Amandzie?

- Pewnie nie.

- To wobec tego... - Wyjrzała przez okno.

- Co wobec tego?

- Jeżeli się okaże, że Amanda nie żyje, a Broussard dostanie szalu i zabije jej porywaczy, to być może mimo wszystko Bóg pomoże.

- Cholernie dziwny ten Bóg.

Angie wzruszyła ramionami.

- Trzeba brać, co się da...

14

Słyszałem o bankierskich godzinach Chrisa Mullena i o jego determinacji, by nocne interesy prowadzić w świetle dnia, a także o tym, że nazajutrz rano dokładnie o 8.55 wychodził z Devonshire Towers i pojawiał się na Washington Street.

Zaparkowałem na Washington, w odległości pół kwartału od wieżowców mieszkalnych i kiedy zobaczyłem w lusterku wstecznym Chrisa Mullena idącego w kierunku State Street, wcisnąłem guzik nadawania radia leżącego obok mnie na siedzeniu.

- Właśnie wyszedł frontowym wyjściem - powiedziałem

Ze swojego stanowiska na Devonshire Street, gdzie rano obowiązywał zakaz parkowania, a nawet siedzenia w samochodzie, Angie odpowiedziała:

- Mamy go!

Naprzeciwko mojego samochodu, u wylotu Pi Alley, stał Broussard w szarym T-shircie i granatowo-białej ocieplanej kurtce. Popijał kawę ze styropianowego kubka i czytał stronę sportową gazety jak ktoś, kto właśnie skończył jogging. Przyczepił słuchawki do odbiornika przy pasku i zarówno słuchawki, jak i odbiornik pomalował na żółto-czarno, żeby udawały discmana. Jakies pięć minut temu spryskał sobie nawet wodą przód koszuli, żeby wyglądała na przepoconą. Ci faceci, dawni funkcjonariusze Wydziału do walki z Przystępczością Zorganizowaną czy Narkotyków, byli mistrzami szczegółów kamuflażu.

Kiedy Mullen skręcił w prawo przy kiosku z kwiatami przed Old State House,

Broussard przeszedł przez Washington Street i ruszył za nim. Widziałem, jak podnosi kubek do ust i jak jego wargi się poruszają, kiedy mówił do przymocowanego pod paskiem zegarka nadajnika.

- Posuwa się State Street na wschód. Mam go. Dzieci do telewizorów.

Wyłączyłem radio i wsunąłem do kieszeni płaszcz, do chwili kiedy znów przyjdzie na mnie kolej. Dostosowując się do motywu przewodniego naszych dzisiejszych kamuflaży, włożyłem chyba najbardziej obszarpany szary trencz w całej dzielnicy, który dodatkowo poplamiałem jeszcze żółtkiem i pepsi. Mój brudny T-shirt był rozerwany na piersi, a dżinsy i buty ochlapane farbą i błotem. Odłóżące czubki podeszew klapały cicho, kiedy szedłem, ukazując gołe palce stóp. Włosy zaczesalem do tyłu i wysuszyłem suszarką, żeby się zrobić na Dona Kinga, a resztkę jajka, która mi została po zaplamieniu płaszcz, wtarłem w brodę.

Stylizacja.

Przechodząc przez Washington Street, rozpiąłem rozporek i wylałem sobie resztę porannej kawy na pierś. Ludzie, widząc, jak niezdarnie lezę, wymachując rękami, starali się trzymać ode mnie z dala, a ja tymczasem, mamrocząc pod nosem słowa, których nie nauczyłem się od mamy, przepchnąłem się przez złożone frontowe drzwi Devonshire Place.

Ale ochroniarz zrobił minę na mój widok!

Tak samo jak trzy osoby, które wysiadły właśnie z windy i szerokim łukiem ominęły mnie na marmurowej posadzce. Uśmiechnąłem się lubieżnie do dwóch kobiet z tej trójki, ubranych w garsonki od Anne Klein, przyglądając się z zainteresowaniem ich nogom.

- Dacie się zaprosić na pizzę? - zapytałem.

Towarzyszący kobietom biznesmen odsunął je nerwowo możliwie najdalej ode mnie, a ochroniarz krzyknął:

- Ej, ty tam!

Odwróciłem się do niego w chwili, kiedy wychodził zza czarnego lśniącego biurka w kształcie podkowy. Był młody i szczupły i ordynarnie wskazywał palcem w moją stronę.

Biznesmen wypchnął kobiety z budynku, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki telefon komórkowy, wyciągnął zębami antenę, ale cały czas szedł Washington Street.

- Ej, ty - powtórzył ochroniarz - odwróć się i wracaj tam, skąd przyszedłeś. Ale już. No!

Zatoczyłem się przed nim i oblizałem brodę. Na języku została mi skorupka jajka, którą chrupałem z otwartymi ustami.

Ochroniarz szeroko rozstawił nogi na marmurowej posadzce i położył rękę na pałce.

- No, już stąd! - odezwał się jak do psa.

- Mhm - mruknąłem i znów się zatoczyłem.

Winda zadzwoniła, kiedy pod hol podjechał następny samochód.

Ochroniarz chciał mnie wziąć za łokieć, ale zrobiłem unik i jego palce trafiły w powietrze.

Wsadziłem rękę do kieszeni.

- Coś ci pokażę.

Ochroniarz wyciągnął pałkę z pochwy.

- Hej, trzymaj ręce tak, żebym je widział...

- O Boże - powiedział ktoś w tłumie ludzi wysiadających z windy, a ja wyciągnąłem z kieszeni płaszcz banana i wycelowałem go w ochroniarza.

- Jezu! On ma banana! - Głos, który usłyszałem za sobą, należał do Angie.

Ta zawsze musi improwizować. Byłaby chora, gdyby się trzymała scenariusza.

Tłumek wysypujący się z windy usiłował przejść przez hol, unikając kontaktu wzrokowego ze mną, ale jednocześnie starając się zobaczyć dostatecznie dużo, żeby mieć potem co opowiadać.

- Szanowny panie - powiedział ochroniarz, starając się, żeby teraz, kiedy słyszało go kilkoro lokatorów, jego słowa zabrzmiały surowo, ale jednocześnie grzecznie - proszę odłożyć banana.

Wycelowałem w niego banana.

- Dostałem go od mojego kuzyna, orangutana.

- Czy nie należałoby wezwać policji? - spytała jakaś kobieta.

- Wszystko jest pod kontrolą, szanowna pani - odparł dość desperacko ochroniarz.

Cisnąłem w niego bananem. Upuścił pałkę i odskoczył, jakbym do niego strzelił.

Ktoś krzyknął w tłumie i kilka osób rzuciło się biegiem w stronę drzwi.

Stojąca przy windzie Angie pochwyciła mój wzrok i wskazała na moje włosy.

- Robi się gorąco - powiedziała bezgłośnie i wsiadła do windy, której drzwi zaraz potem się zamknęły.

Ochroniarz podniósł pałkę i upuścił banana. Wyraźnie szykował się do

wyproszenia mnie na ulicę. Nie wiedziałem, ile osób jest za mną - podejrzewałem, że trzy - ale przynajmniej jedna z nich była gotowa bohatersko wyrzucić włóczęgę.

Obróciłem się tyłem do biurka w kształcie podkowy i do wind. Pozostało tylko dwóch mężczyzn, jedna kobieta i ochroniarz. I obaj mężczyźni wolno posuwali się w stronę drzwi. Kobieta jednak robiła wrażenie zafascynowanej. Stała z otwartymi ustami i z dłonią przyciśniętą do szyi.

- Co stało się z Men at Work? - zwróciłem się do niej.

- Co takiego? - Ochroniarz zrobił kolejny krok w moją stronę.

- To taki zespół australijski. - Odwróciłem głowę i przykułem uwagę ochroniarza zaciekawionym, uprzejmym spojrzeniem. - Bardzo duży we wczesnych latach osiemdziesiątych. Ogromny. Wie pan, co się z nimi stało?

- Co? Nie, nie wiem.

Przekrzywiłem głowę, wpatrując się w niego i drapiąc się w skroń. Przez dłuższą chwilę nikt w holu się nie odzywał i wyglądało na to, że nawet nie oddychał.

- Och - powiedziałem w końcu i wzruszyłem ramionami. - Pomyliłem się. A banana proszę zatrzymać.

Wychodząc, dałem duży krok, żeby go nie nadepnąć, a dwaj mężczyźni przylepili się do ściany.

Puściłem oko do jednego z nich.

- Macie ochroniarza pierwsza klasa. Gdyby go nie było, rozwaliłbym ten budynek.

- Pchnąłem drzwi i wyszedłem na Washington Street.

Właśnie miałem ukradkiem pokazać Poole'owi, siedzącemu w taurusie na rogu School i Washington Street, że wszystko poszło gładko, kiedy ktoś położył mi na ramionach ciężkie dłonie i pchnął mnie na mur budynku.

- Z drogi, pieprzony łachmaniarzu!

Odwróciłem się i zobaczyłem Chrisa Mullena, który wrócił i właśnie wchodził w drzwi obrotowe. Gestem wskazał mnie ochroniarzowi, który dalej stał oniemiały i ruszył w kierunku windy.

Wtopiłem się w strumień przechodniów, wyjąłem z kieszeni walkie-talkie i włączyłem.

- Poole, Mullen wrócił.

- Potwierdzam, Kenzie. Podczas naszej rozmowy Broussard kontaktuje się z panną Gennaro. Obróć się i idź do swojego samochodu. Uważaj, żebyś nas nie spalił. - Widziałem, jak jego usta poruszają się za przednią szybą samochodu, a potem jak

rzuca na siedzenie obok siebie walkie-talkie i patrzy na mnie spode łba.

Wmieszałem się w tłum.

Jakaś kobieta w okularach z grubymi szklami i z włosami ściągniętymi do tyłu tak mocno, że mało jej oczy nie wyszły z orbit, zaczęła się na mnie gapić.

- Czy pan jest jakimś gliniarzem? - spytała.

Uniosłem palec do ust.

- Ciii. - Włożyłem z powrotem walkie-talkie do kieszeni płaszcza i ruszyłem w stronę samochodu, zostawiając ją na środku chodnika z rozdziawionymi ustami.

Kiedy otwierałem bagażnik, zobaczyłem Broussarda opartego o wystawę Eddiego Bauera. Trzymał rękę przy uchu i mówił do swojego nadgarstka.

Pochylony pod pokrywą bagażnika, przełączyłem się na jego kanał.

- ...powtórz jeszcze raz, obiekt w drodze. Przerwać natychmiast.

Wycesałem z brody resztki skorupki od jajka i włożyłem na głowę bejsbolówkę.

- Powtórz jeszcze raz - wyszeptał Broussard. - Przerwij. Spadaj.

Wrzuciłem płaszcz do bagażnika, wyjąłem czarną kurtkę skórzaną, włożyłem walkie-talkie do kieszeni i zapiąłem kurtkę na wyplamionym T-shircie. Następnie zamknąłem bagażnik i przez tłum wróciłem pod sklep Eddiego Bauera, przyglądając się przez okno wystawowe manekinom.

- Odpowiedziała?

- Nie - odparł Broussard. - A działało jej walkie-talkie?

- Nie wiem. Musimy przyjąć, że mnie słyszała i wyłączyła, zanim Mullen to usłyszał.

- Idziemy - powiedziałem.

- Jeśli tylko zrobisz krok w stronę tego budynku, odstrzelę ci nogę w kolanie.

- Ale ona jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli jej walkie-talkie nawaliło i nie słyszała...

- Nie pozwolę ci spieprzyć tej roboty tylko dlatego, że z nią sypiasz. - Odszedł od wystawy i minął mnie niedbałym luźnym krokiem. - Ona jest profesjonalistką, najwyższy czas, żebyś i ty się zaczął zachowywać jak profesjonalista.

Ruszył ulicą, a ja spojrzałem na zegarek. Była 9.15 rano.

Mullen przebywał w środku cztery minuty. Ale dlaczego wrócił? Czy Broussard spieprzył robotę?

Nie. Broussard był na to za dobry. Zobaczyłem go tylko dlatego, że wiedziałem, iż tam jest, ale i tak raz go przegapiłem, zanim wpadł mi w oko.

Ponownie spojrzałem na zegarek: 9.16.

Jeśli Angie odebrała wiadomość od Broussarda zaraz po tym, jak się zorientował, że Mullen wraca do Devonshire Place, to powinna być w windzie albo może zdążyła dotrzeć pod drzwi jego mieszkania. A w tej sytuacji natychmiast by zawróciła i skierowała się do schodów, i już do tej pory znalazłaby się na dole.

9.17.

Obserwowałem wejście do Devonshire Place. Wyszło z niego dwóch młodych maklerów w błyszczących garniturach Hugo Bossa, w butach od Gucciego i krawatach Geoffreya Beene'a, z włosami tak obficie wysmarowanymi żelem, że trzeba by użyć toporka do drewna, żeby je rozczesać. Przepuścili szczupłą dziewczynę w ciemnogrnatowym służbowym kostiumie i cieniutkich jak opłatek okularach pod kolor i kiedy wsiadała do taksówki, oszacowali wzrokiem jej tyłeczek.

9.18.

Angie mogła być na górze tylko dlatego, że ukryła się wewnątrz mieszkania Mullena i tam ją nakrył albo złapał ją pod drzwiami.

9.19.

W żadnym razie nie byłaby taka głupia, żeby z powrotem wskoczyć do windy - gdyby rzeczywiście odebrała wiadomość od Broussarda. I potem stać i patrzeć, jak po drugiej stronie Chris Mullen otwiera drzwi...

„Hej, Angie, dawno cię nie widziałem”.

„Ja ciebie też”.

„Co cię sprowadza do mojego domu?”.

„Przyszłam odwiedzić przyjaciółkę”.

„Tak? A ty przypadkiem nie prowadzisz sprawy tej zaginionej dziewczynki?”.

„Dlaczego celujesz we mnie z tego gnata, Chris?”.

9.20.

Popatrzyłem przez Washington Street w kierunku narożnika School Street.

Poole napotkał moje spojrzenie i z namysłem potrząsnął głową.

Może jest w holu, ale szarpie się z ochroniarzem.

„Spokojnie, proszę pani, ja tu pani wcześniej nie widziałem”.

„Jestem nowa”.

„Nie sądzę”. - Ochroniarz sięga po telefon, dzwoni pod 911...

Ale ona już do tej pory powinna wyjść z budynku.

9.22.

Zrobiłem krok w stronę domu. Jeszcze jeden. Zatrzymałem się.

Jeśli nic się złego nie stało, jeśli Angie po prostu wyłączyła walkie-talkie, żeby piski nie zwróciły czyjejs uwagi i stała po drugiej stronie drzwi wyjściowych na czternastym piętrze, obserwując przez mały kwadracik szkła drzwi do mieszkania Mullena, a ja znalazłem się przed wejściem do budynku właśnie w momencie, kiedy Mullen wychodził i jeśli mnie poznał...

Oparłem się o mur.

9.24.

Minęło czternaście minut od chwili, kiedy Mullen pchnął mnie na ścianę i wszedł do budynku.

Walkie-talkie zamruczało na mojej piersi. Wyciągnąłem je i najpierw usłyszałem szybką cichą paplaninę, a zaraz potem:

- Schodzi na dół. - Głos Angie.

- Gdzie jesteś?

- Bogu dzięki za pięćdziesięciocalowe telewizory, tylko tyle mogę powiedzieć.

- Jesteś wewnątrz?

- Jasne. Ładne mieszkanie, ale łatwe zamki, człowieku, słowo daję.

- Po co wrócił?

- Garnitur. Ale to długa historia. Powiem ci później. Lada sekunda powinien być na ulicy.

Mullen wyszedł z budynku w granatowym garniturze, a nie w czarnym, w którym przed chwilą wchodził. Krawat też miał inny. Patrzyłem właśnie na węzeł jego krawata, kiedy Mullen obrócił się w moją stronę. Nie ruszając głową, spojrzałem na swoje buty. Szybkie ruchy to pierwsza rzecz, na którą paranoidalne typy w rodzaju dilerów narkotykowych zwracają uwagę w tłumie.

Bardzo wolno policzyłem od dziesięciu do jednego, ściszyłem walkie-talkie w kieszeni i ledwie usłyszałem głos Broussarda:

- Znów idzie. Mam go.

Podniosłem wzrok, kiedy ramiona Mullena przesuwaly się przed młodą dziewczyną w jaskrawożółtym żakiecie, i dopiero wtedy, bardzo nieznacznie, obróciłem głowę i kątem oka dostrzegłem przemykającego w tłumie Broussarda, w miejscu gdzie Court Street przechodzi w State Street. Jednocześnie Mullen skręcił przed Old State House w prawo i znów przeciął uliczkę.

Odwróciłem się do wystawy Eddiego Bauera i spojrzałem na swoje odbicie.

- Uff.

15

Godzinę później Angie otworzyła drzwi crown victorii po stronie pasażera i powiedziała:

- Założyłam podsłuch, bracie. Założyłam podsłuch.

Wprowadziłem samochód na trzecie piętro garażu przy Pi Alley i skierowałem go maską w stronę Devonshire Place.

- Założyłaś pluskwy we wszystkich pokojach? - spytałem.

Zapaliła papierosa.

- I w telefonach też.

Spojrzałem na zegarek. Była tam w środku dokładnie godzinę.

- A co ty jesteś z CIA?

Uśmiechnęła się z papierosem w ustach.

- Uważaj, kochanie, bo jak ci powiem, to może później będę musiała cię zabić.

- No więc o co chodziło z tym garniturem?

Angie patrzyła na fasadę Devonshire Place i jakby się zamyśliła. Po chwili lekko potrząsnęła głową.

- Garnitury. Tak. Wiesz, że on mówi do siebie?

- Mullen? Skinęła głową.

- W trzeciej osobie.

- Musiał się tego nauczyć od Sera.

- Wchodzi do domu i jeszcze w drzwiach zaczyna: „Ale masz cholerny wybór,

Mullen. Czarny garnitur na piątek. We łbie ci się popieprzyło czy co?". Coś w tym rodzaju.

- Wybieram Głupie Przesady za trzystą, Alex.

Angie zachichotała.

- Właśnie. No więc poszedł do sypialni i zaczął się tam miotać - zdarł z siebie ubranie, a potem słyszałam, jak wali wieszakami w garderobie: trzask, trzask, trzask i tak to trwało kilka minut, zanim wybrał garnitur i włożył, a ja cały czas myślę: niech się już wreszcie stąd wyniesie, bo cała zdrętwiałam za tym telewizorem, siedziałam wśród tych kabli jak w kłębowisku żmij...

- No i?

W takich chwilach jak ta Angie nieraz się gubi i dobrze jest ją delikatnie przywołać do rzeczywistości. Spojrzała na mnie spođe łba.

- Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. No i nagle słyszę, że znów coś mówi: „Hej, ciemna maso! Tak, ty!”.

- Co?! - wychyliłem się do przodu.

- Widzę, że znów cię ciekawość rozpiera. - Mrugnęła do mnie. - Tak, byłam przekonana, że mnie zauważył. I pomyślałam, że jestem ugotowana, że koniec ze mną. No nie? - Brązowe oczy Angie zrobiły się wielkie.

- Jasne.

Zaciągnęła się papierosem.

- Ale nie, on znów gadał do siebie.

- Sam siebie nazywa ciemną masą?

- Widocznie, kiedy wpadnie w taki nastrój. „Co, ciemna maso, masz zamiar włożyć żółty krawat do tego garnituru? Dobrze, bardzo dobrze, ciemna maso”.

- Ciemna masa.

- Powiedziałabym, że ma dość ograniczony słownik. No więc znów się zaczyna miotać, wyciąga inny krawat, zakłada go i cały czas coś tam mamrocze pod nosem. A ja myślę: wreszcie ma dobry krawat, ale wychodząc, już w drzwiach, uzna, że tym razem ma złą koszulę, tylko jak ja mam wytrzymać cała ścierpnięta za tym telewizorem, będą mnie chyba musieli wziąć na wyciąg chirurgiczny, żeby się mogła ruszyć.

- I?

- I w końcu wyszedł, a ja się z wami połączyłam. - Wyrzuciła peta przez okno. - I koniec całej historii.

- Byłaś w mieszkaniu, kiedy Broussard powiedział ci przez walkie-talkie, że Mullen wraca?

Angie potrząsnęła głową.

- Byłam pod drzwiami, z wytrychem w ręku.

- Bujasz.

- Dlaczego?

- Chcesz powiedzieć, że się włamałaś już po otrzymaniu wiadomości, że on wraca?

Wzruszyła ramionami.

- Coś mnie naszło.

- Jesteś stuknięta czy co?

Zachichotała gardłowo.

- Wystarczająco stuknięta, żeby ci się podobać. A to mi w zupełności wystarczy.

Nie wiedziałem, czy bardziej mam ochotę ją pocałować, czy zabić.

Na siedzeniu między nami zaskrzeczało walkie-talkie i w głośniku odezwał się głos

Broussarda:

- Masz go, Poole?

- Potwierdzam. Taksówka jedzie Purchase Street na południe w kierunku autostrady.

- Kenzie.

- Tak?

- Panna Gennaro jest z tobą?

- Potwierdzam - powiedziałem najgłębszym głosem, jaki zdołałem z siebie wydobyć. Angie walnęła mnie w ramię.

- Bądźcie w pogotowiu. Zobaczymy, dokąd on jedzie. Zaraz startuję na piechotę.

Przez chwilę trwała cisza, po czym znów odezwał się Poole.

- Jest na autostradzie, jedzie na południe. Pani Gennaro?

- Tak, Poole?

- Czy wszyscy nasi przyjaciele są na swoich miejscach?

- Wszyscy, co do jednego.

- Włączcie odbiorniki i opuście swoją pozycję. Weźcie Broussarda i kierujcie się na południe.

- Załatwione. Detektyw Broussard?

- Jestem na Broad Street, idę w kierunku zachodnim. Wrzuciłem wsteczny.

- Spotkamy się na rogu Broad i Batterymarch.

- Powtórz.

Kiedy wyjeżdżałem z garażu, Angie włączyła przenośny odbiornik leżący na tylnym siedzeniu i podkręciła głoś, tak że usłyszeliśmy cichy syk pustego mieszkania Mullena. Przeciąłem rampę parkingu pod Devonshire Place, skręciłem w lewo w Water Street, przejechałem przez place Post Office i Liberty i zobaczyłem Broussarda, który stał oparty o latarnię przed delikatesami.

Wsiadł do samochodu w chwili, kiedy w walkie-talkie odezwał się głos Poole'a:

- Zjeżdża z autostrady w Dorchester koło centrum handlowego South Bay.

- Jedźcie do swojej starej dzielnicy - oznajmił Broussard. - Wy, chłopcy z Dorchester, chętnie tam wracacie.

- Działa jak magnes - zapewniłem go.

- Darujcie sobie - powiedział Poole. - Skręca w lewo w Boston Street, jedźcie w stronę Southie.

- Nie taki znów mocny ten magnes - powiedziałem.

Dziesięć minut później na Gavin Street, w samym sercu osiedla Old Colony Project, w Południowym Bostonie, minęliśmy pustego taurusa Poole'a i zaparkowaliśmy dwie przecznice dalej. Z ostatniego komunikatu Poole'a wynikało, że idzie za Mullenem w kierunku Old Colony. Dopóki się z nami ponownie nie skontaktował, nie mieliśmy nic innego do roboty, jak tylko siedzieć, czekać i obserwować osiedle.

Szczerze mówiąc, widok wcale niebrzydki. Ulice są czyste, obsadzone drzewami i wiją się pomiędzy budynkami z czerwonej cegły ze świeżo odmalowanymi na biało detalami. Pod oknami większości mieszkań parterowych widać prostokąty trawy otoczone niskimi żywopłotami. Parkan wokół ogrodu jest prosty, mocno osadzony i niezardzewiały. Jeśli chodzi o osiedla, Old Colony jest jednym z najestetyczniej zaprojektowanych w całym kraju.

Niestety, jego mieszkańcy mają problem heroinowy, z którym wiąże się wysoki procent samobójstw wśród nastolatków. A problem heroinowy bierze się najprawdopodobniej stąd, że nawet jeśli dorastasz w najpiękniejszym osiedlu na świecie, to jest to tylko osiedle, a ty w nim dorastasz i chociaż może heroina nie jest niczym nadzwyczajnym, to i tak wydaje się lepsza od patrzenia przez całe życie na te same ściany, na te same cegły i na te same ploty.

- Tutaj się wychowałem - powiedział Broussard z tylnego siedzenia. Zaczął się

wpatrywać w osiedle, jakby oczekiwał, że albo mu się ono w oczach skurczy, albo urośnie.

- Z takim nazwiskiem? - Zdziwiła się Angie. - Chyba nie mówisz serio?

Uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

- Ojciec był marynarzem floty handlowej z Nowego Orleanu. Albo z „Nawlins”, jak go nazywał. Wpadł tam w tarapaty i potem pracował w porcie w Charlestown, a następnie w Południowym Bostonie. - Broussard brodą wskazał budynki z cegły. - Tu się osiedliliśmy. Co trzeci dzieciak nazywał się Frankie O'Brien, a reszta nosiła nazwiska: Sullivan, Shea, Carroll i Connelly. A jeżeli chłopak nie miał na imię Frank, to miał na imię Mike, Sean albo Pat. - Spojrzał na mnie znacząco.

Podniosłem rękę.

- No już dobra, dobra.

- Dlatego fakt, że nazywam się Remy Broussard... tak, ten fakt sprawił, że stałem się twardy. - Uśmiechnął się szeroko, spojrzał na osiedle i gwizdnął cicho. - No cóż, czuję się, jakbym wracał do domu.

- Ale ty już tu nie mieszkasz? - zapytała Angie.

Potrząsnął głową.

- Nie mieszkam, od śmierci ojca.

- Tęsknisz?

Zacisnął usta i popatrzył na przebiegające koło nas chodnikiem dzieciaki, które bez żadnych oczywistych powodów krzyczały i rzucały w siebie czymś, co wyglądało na kapsle od butelek.

- Nie, właściwie to nie. Zawsze czułem się jak wiejski chłopak, który przez omyłkę trafił do miasta. Nawet w Nowym Orleanie. - Wzruszył ramionami. - Lubię drzewa.

Zmienił częstotliwość i podniósł walkie-talkie do ust.

- Detektywie Pasquale, tu Broussard. Odbiór.

Pasquale był jednym z detektywów Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom, odpowiedzialnym za osoby odwiedzające Sera w więzieniu Concord.

- Tu Pasquale.

- Jest coś?

- Nic. Żadnych odwiedzających od waszej wczorajszej wizyty.

- Jakież telefony?

- Nie. Olamon stracił prawo do telefonów za wywołanie awantury na dziedzińcu więziennym w ubiegłym miesiącu.

- Okay. Bez odbioru. - Rzucił walkie-talkie na siedzenie. Nagle podniósł głowę i zaczął się przyglądać nadjeżdżającemu w naszą stronę samochodowi. - Co my tutaj widzimy?

Ciemnoszary lexus RX 300 z indywidualną tablicą rejestracyjną FARO minął nas, przejechał jeszcze jakieś dwadzieścia albo trzydzieści metrów, po czym zawrócił i zaparkował przy krawężniku, blokując uliczkę. Był to sportowy wóz terenowy za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, przeznaczony do jazd po bezdrożach czy do safari w dżunglach i każdy centymetr jego powierzchni lśnił, jakby go polerowano jedwabnymi poduszkami. Doskonale pasował do wszystkich escortów, golfów i geo, zaparkowanych wzdłuż ulicy, a także do buicka z początku lat osiemdziesiątych z wytłuczoną tylną szybą i przyklejoną w jej miejsce zieloną torbą na śmieci.

- RX 300 - powiedział Broussard głębokim basem lektora reklam. - Idealny komfort dla dilerów narkotyków, który musi być niezależny od burz śnieżnych i złych dróg. - Nachylił się i położył ręce na oparciu siedzenia pomiędzy nami, wpatrując się w lustro wsteczne. - Panowie i panie, poznajcie Pharaoha Gutierrez, Prześwietnego Lorda miasta Lowell.

Z lexusa wysiadł szczupły mężczyzna o hiszpańskiej urodzie. Miał na sobie czarne lniane spodnie i żółtozieloną koszulę, zapiętą pod szyją na czarną spinkę, a na tym czarny jedwabny frak, którego poły sięgały zgięć kolan.

- Jak z żurnala - zauważyła Angie.

- Właśnie, prawda? - powiedział Broussard. - Dziś jest ubrany tradycyjnie, ale trzeba go zobaczyć, jak idzie do klubu.

Pharaoh Gutierrez wyprostował poły fraka i wygładził nogawki spodni na udach.

- Co on tu robi, do cholery? - powiedział cicho Broussard.

- A kto to jest?

- Prowadzi sprawy Sera w Lowell i Lawrence, obydwa miasta są stare, przemysłowe i bardzo seksy. Słyszałem pogłoskę, że do tego jeszcze jest jedynym facetem, który potrafi się dogadać z tymi wszystkimi psycholami rybakami z New Bedford.

- To by się trzymało kupy - powiedziała Angie. Broussard nie spuszczał oka ze wstecznego lusterka.

- A to co?

- Spotkanie z Chrisem Mullenem. Broussard potrząsnął głową.

- Nie, nie. Mullen i Pharaoh się nienawidzą. Podobno poszło o jakąś kobietę,

sprawa sprzed dobrych dziesięciu lat. Dlatego Gutierrez został zesłany w rejon autostrady 495, a Mullen zachował swoją kosmopolityczną pozycję, a to już się kupy nie trzyma.

Gutierrez, lekko zadarłszy brodę, spojrzał w prawo i w lewo, oburącz, jak sędzia, łapiąc się za klapy fraka. Długim, wąskim nosem przez chwilę węszył w powietrzu. W jego sztywnym sposobie bycia było coś krnąbrnego i nielogicznego, niepasującego do jego szczupłej budowy. Robił wrażenie człowieka, który źle znosił zniewagi, a przy tym jakby się ich stale spodziewał. I który czuł się tak bardzo niepewnie, że mógłby zabić, by udowodnić, że jest inaczej.

Przypominał mi kilku facetów, których znałem - zwykle niższych albo drobnej budowy, ale tak zaciekłych w swojej potrzebie udowodnienia, że potrafią być równie groźni jak ci duzi, że nigdy nie przestawali walczyć, nigdy nie pozwalali sobie na chwilę wytchnienia i zawsze jedli za szybko. Ci ludzie, których znałem, zostawali albo policjantami, albo kryminalistami. Właściwie tylko te dwa zajęcia wchodziły w grę. Często umierali gwałtownie i młodo, z zastygłym na gniewnej twarzy pytającym wyrazem.

- Robi wrażenie upierdliwego faceta - powiedziałem.

Broussard położył ręce na oparciu fotela i oparł na nich brodę.

- Tak, to rzeczywiście nieźle charakteryzuje Pharaoha. Zbyt wiele do udowodnienia, za mało czasu, żeby to zrobić. Zawsze uważałem, że kiedyś pięknie i pewnego dnia wpakuje Chrisowi Mullenowi kulę w łeb, a Sera Olamona niech szlag trafi.

- Może to jest właśnie ten dzień - odezwała się Angie.

- Może - potwierdził Broussard.

Gutierrez obszedł lexusa i oparł się o przednią część karoserii, to patrzył w uliczkę, którą zablokował, to znów spoglądał na zegarek.

- Idzie na was Mullen. - Głos Poole'a w walkie-talkie zabrzmiał jak szept.

- Na drodze trzeci, nieprzyjazny obiekt - powiedział Broussard. - Nie spiesz się, bracie.

- Potwierdzam.

Angie tak przekręciła lusterko wsteczne, że widać było bardzo dobrze Gutierreza, lexusa i krawędź uliczki. Na jej końcu pojawił się Mullen. Przejechał dłonią po krawacie i przez chwilę patrzył na Gutierreza i lexusa blokujących mu drogę.

Broussard odgiął się do tyłu, wyjął glocka, którego miał przy pasku spodni i

odbezpieczył.

- Nie wygląda to dobrze - powiedział. - Nie ruszajcie się z samochodu, tylko zadzwońcie pod dziewięćset jedenaste.

Mullen uniósł czarną walizeczkę i uśmiechnął się.

Gutierrez skinął głową.

Broussard pochylił się i złapał klamkę od strony pasażera.

Mullen wyciągnął wolną rękę i po chwili Gutierrez zrobił to samo. Po czym mężczyźni zaczęli się ścisnąć, poklepując się po plecach.

Broussard puścił klamkę.

- O, to bardzo ciekawe - skomentował.

Kiedy się rozdzielili, walizkę trzymał Gutierrez, który następnie otworzył drzwi lexusa, gestem zapraszając Mullena do środka. Mullen zajął miejsce pasażera. Gutierrez obszedł samochód, wszedł za kierownicę i zapalił silnik.

- Poole - powiedział Broussard - mamy tu przed sobą Pharaoha Gutierreza i Chrisa Mullena. Zachowują się jak bracia, którzy po długiej rozłące padli sobie w ramiona.

- Zamknij dziób.

- Ale przysięgam na Boga.

Lexus Pharaoha Gutierreza oderwał się od krawężnika, minął nas i pojechał dalej.

Broussard podniósł do ust walkie-talkie.

- Słuchaj, Poole, jedziemy za ciemnoszarym lexusem SUV, prowadzonym przez Gutierreza, z Mullenem jako pasażerem. Wyjeżdżają z osiedla.

Kiedy mijaliśmy drugą uliczkę, pojawił się biegnący truchtem Poole. Był przebrany za włóczęgę, podobnie jak ja do niedawna, z tą różnicą, że do swojego przebrania dodał ciemnogrnatowy akcent w postaci bandanki, którą zdjął, przebiegając za naszym samochodem do taurusa. My tymczasem jechaliśmy za lexusem aż na Boston Street. Gutierrez skręcił w prawo, a my ruszyliśmy za nim na Andrew Square, po czym wjechaliśmy w ulicę biegnącą równoległe do autostrady.

- Jeśli Gutierrez i Mullen są teraz przyjaciółmi, to co to może znaczyć? - zapytała Angie.

- To cholernie zła wiadomość dla Sera Olamona.

- Ser siedzi w kiciu, a jego dwaj żołnierze - jakoby śmiertelni wrogowie - zawierają sojusz przeciwko niemu?

Broussard skinął głową.

- Żeby przejąć jego imperium.
 - A gdzie jest w tym wszystkim Amanda? - spytałem.
- Broussard wzruszył ramionami.
- Gdzieś pośrodku.
 - Pośrodku czego? Celu?

16

Kiedy przez dłuższy czas ścigasz złoczyńcę, bywa, że zaczynasz mu zazdrościć jego stylu życia.

Och, w gruncie rzeczy nie chodzi o grube sprawy - samochody za sześćdziesiąt tysięcy dolarów, mieszkania za milion, dobre miejsca na stadionie na mecze Patriotów - chociaż, owszem, to wszystko może drażnić. Tym jednak, czego najbardziej zazdrościmy dobremu dilerowi narkotykowemu, jest carte blanche, z której korzysta na co dzień, a która wydaje się obca nam, ludziom pracy.

Na przykład przez cały ten czas, kiedy ich obserwowaliśmy, Chris Mullen i Pharaoh Gutierrez sporadycznie przestrzegali znaków drogowych. Wyglądało na to, że czerwone światła są tylko dla dzieci, a znak „stop” dla frajerów. Dozwolona prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę na autostradzie? Bez przesady. Po co jechać dziewięćdziesiąt, skoro jadąc sto pięćdziesiąt, możesz szybciej osiągnąć cel? Po co jechać pasem wewnętrznym autostrady, skoro można użyć pasa dla pomocy drogowej?

No i sprawa parkowania. Miejsce do parkowania jest w Bostonie czymś równie dostępnym jak - powiedzmy - stok narciarski na Saharze. Małe staruszki w etolach z norek staczały o sporne miejsca regularne bitwy z użyciem broni palnej. W połowie lat osiemdziesiątych jakiś kretyn zapłacił ćwierć miliona dolarów za notarialną własność miejsca parkingowego w garażu w Beacon Hill, przy czym ta suma nie obejmowała nawet miesięcznych opłat z tytułu utrzymania obiektu.

Boston: jesteśmy mali, jesteśmy zimni, ale za dobre miejsce parkingowe potrafimy zabić. Zapraszamy. Przyjeżdżajcie z rodziną.

Gutierrez, Mullen i paru łebków, za którymi jeździliśmy przez kilka ostatnich dni, nie mieli tych problemów. Po prostu parkowali na drugiego gdziekolwiek i kiedykolwiek mieli ochotę i na tak długo, jak im się podobało.

Kiedyś na Columbus Avenue w South Endzie Mullen skończył lunch i po wyjściu od Hammersleya zastał przy swoim samochodzie wkurzonego aktora z hiszpańską bródką i trzema koleczkami w uchu. Chris zablokował jego nędzną hondę civic swoim czarnym, lśniącym benzem. Ponieważ aktor był z dziewczyną, uznał, że powinien zrobić aferę. Wprawdzie z miejsca, w którym zaparkowaliśmy, przecnicę dalej po drugiej stronie ulicy, nie było słycać słów, to jednak mieliśmy ogólne pojęcie o tym, co się dzieje. Aktor i jego dziewczyna krzyczeli i gestykulowali. Chris podszedł, wetknął kaszmirowy szal pod ciemny płaszcz od Armaniego, wygładził krawat i kopnął aktora w kolano z taką siłą, że facet znalazł się na ziemi, a dziewczynie zabrakło słów. Chris stał tak blisko niej, że spokojnie można ich było wziąć za parę kochanków. Przytknął jej do czoła palec wskazujący, odwiódł kciuk i trzymał tak przez chwilę, która dla niej musiała trwać wieki, po czym „zwolnił spust”, odjął palce od głowy dziewczyny i dmuchnął jej w czoło. Na koniec uśmiechnął się, nachylił i cmoknął ją szybko w policzek.

Po tym wszystkim obszedł swój samochód, wsiadł i odjechał, pozostawiając dziewczynę w stanie całkowitego osłupienia, najprawdopodobniej nieświadomą tego, że jej partner wyje z bólu, wijąc się na ziemi jak kot z przetrąconym grzbietem.

Poza nami, Broussardem i Poole'em inwigilację prowadziło jeszcze kilku policjantów z Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom, co pozwoliło poza Mullenem i Gutierrezem poznać całkiem pokaźną galerię typków z grupy Sera Olamona. Był na przykład taki Carlos „Majcher” Orlando, który nadzorował codzienne operacje na terenie osiedli mieszkaniowych i który gdziekolwiek się ruszył, miał ze sobą zawsze sterty komiksów. Był J.J. MacNally, który pnąc się pracowicie po szczeblach kariery, awansował na głównego sutenera wszystkich niewietnamskich prostytutek w North Dorchester, sam jednak spotykał się z Wietnamką i stracił dla niej głowę, a ona wyglądała na nie więcej niż piętnaście lat. Joel Green i Hicky Vister odpowiadali za operacje lichwiarskie i bukmacherskie, którymi kierowali z boksu w należącym do Sera barze Elsinore w Lower Mills. Całości dopełniali Buddy Perry i Brian Box, dwaj mięśniacy, tak tępi, że potrzebowali mapy, żeby trafić do własnej

łazienki.

Nie był to w sumie, nawet na pierwszy rzut oka, trust mózgow. Ser piał się systematycznie w górę, płacąc haracze, okazując respekt i oddając cześć wszystkim, którzy mogli mu zaszkodzić i sięgając wyżej, gdy tylko powstała ku temu sposobność. Największa z nich trafiła się kilka lat temu, kiedy to Jack Rouse, ojciec chrzestny mafii irlandzkiej w Dorchester i Południowym Bostonie, zaginął wraz ze swoim głównym przybocznym Kevinem Hurlihym, który miał w mózgu gniazdo szerszeni, a zamiast krwi kwas solny. Kiedy zniknęli, Ser Olamon sięgnął po ich schedę w północnym Dorchester. Ser był sprytny; Chris Mullen w połowie tak cwany, a Pharaoh Gutierrez musiał się jeszcze sporo nauczyć. Reszta chłopaków Sera pogodziła się jednak z jego polityką, polegającą na tym, żeby nigdy nie wynajmować nikogo, kto poza tym, że jest chciwy (co według Sera było w tym fachu regułą), jest jednocześnie dostatecznie bystry, żeby kombinować.

Dlatego wynajmował głównie durniów i nabuzowanych adrenaliną facetów, którzy lubią ściągać gumką pliki banknotów, zadzierać nosa i gadać jak James Caan, ale którzy poza tym nie mają większych ambicji.

Za każdym razem kiedy Mullen albo Gutierrez dokądkolwiek wchodzili - do mieszkania, sklepu czy biura - każde z tych miejsc było natychmiast sprawdzane przez Brygadę do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom i przez najbliższe trzy dni obserwowane na okrągło dwadzieścia cztery godziny na dobę, a w miarę możliwości także infiltrowane.

Pluskwy, jakie założyliśmy w mieszkaniu Mullena, pozwoliły ustalić, że codziennie o siódmej wieczorem dzwonił do matki i odbywał z nią zawsze taką samą rozmowę, tłumacząc się, dlaczego się nie żeni, dlaczego jest tak samolubny, że nie chce dać jej wnucząt, dlaczego nie spotyka się z miłymi, ładnymi dziewczynami i dlaczego jest zawsze blady, skoro ma taką dobrą pracę w Służbach Leśnych. Codziennie też o siódmej trzydzieści oglądał program *Jeopardy!*, odpowiadając głośno na pytania. Chris, szczególnie utalentowany w dziedzinie geografii, okazał się kompletnie do bani, gdy chodziło o siedemnastowiecznych artystów francuskich.

Słyszeliśmy jego rozmowy z różnymi dziewczynami, pogawędki z Gutierrezem o samochodach, filmach czy o hokejowych sukcesach Boston Bruins, ale jak wielu kryminalistów przejawiał zdrową rezerwę wobec telefonicznych rozmów o interesach.

Poszukiwania Amandy McCready nie przynosiły sukcesów, dlatego stopniowo siły policyjne przesuwano z Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom na

inne obszary działania.

Czwartego dnia obserwacji porucznik Doyle zadzwonił do Broussarda i Poole'a, żeby się w ciągu pół godziny zgłosili na posterunek i żeby koniecznie wzięli nas ze sobą.

- Sprawa nie wygląda dobrze - powiedział Poole, kiedy jechaliśmy w stronę śródmieścia.

- Ale dlaczego my? - zapytała Angie.

- Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że sprawa nie wygląda dobrze - odparł Poole i uśmiechnął się, na co Angie pokazała mu język.

Wszystko wskazywało na to, że Doyle ma nie najlepszy dzień. Jego skóra wydawała się szara, pod oczami miał ciemne wory, a całe jego ciało czuć było zimną kawą.

- Zamknijcie drzwi - zwrócił się do Poole'a, kiedy weszliśmy.

Zajęliśmy miejsca po przeciwnej stronie biurka.

- Kiedy zakładałem Brygadę do Walki z Przystępnością przeciwko Dzieciom - zaczął Doyle - i szukałem dobrych detektywów, szukałem ich wszędzie, z wyjątkiem Wydziału do walki z Przystępnością Zorganizowaną i Narkotyków. Dlaczego tak było, detektywie Broussard?

Broussard bawił się krawatem.

- Bo wszyscy się boją pracować z tymi z Przystępności Zorganizowanej i z Narkotyków, panie poruczniku.

- A co wy o tym sądzicie, sierżancie Raftopoulos? Poole uśmiechnął się.

- Bo jesteśmy tacy śliczni, panie poruczniku.

Doyle wykonał ręką ruch oznaczający „dobrze-dobrze” i kilkakrotnie pokiwał głową.

- Ponieważ - powiedział na koniec - detektywi z Przystępności Zorganizowanej i z Narkotyków to kowboje. Zwariowani gliniarze. Lubią sprawiedliwość, adrenalinę, załatwiać sprawy po swojemu.

Poole skinął głową.

- Często jest to niefortunny efekt uboczny różnych zadań, panie poruczniku.

- Ale zostałem zapewniony przez waszego porucznika z Szóstki, że wy dwaj jesteście równe chłopaki i bardzo skuteczni, rygorystycznie przestrzegający zasad policjanci. Zgadza się?

- Tak mówią, panie poruczniku - odparł Broussard.

Doyle uśmiechnął się kwaśno.

- Zostaliście w ubiegłym roku starszym detektywem, nie mylę się, Broussard?

- Nie, panie poruczniku.

- A chcielibyście, żeby was zdegradowano do młodszego detektywa? A co byście powiedzieli na dzielnicowego?

- Nie, panie poruczniku, tym nie byłbym zachwycony.

- To wobec tego nie bądźcie takim cwaniakiem i przestańcie mnie łądować w jakieś pieprzone sytuacje, detektywie. Broussard zakasła! w dłoń.

- Tak jest, panie poruczniku.

Doyle wziął z biurka arkusz papieru, czytał go przez chwilę, po czym odłożył na miejsce.

- Do obserwowania ludzi Olamona została zaangażowana połowa detektywów z Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom. Kiedy zapytałem, dlaczego tak jest, powiedzieliście, że dostaliście anonimową wiadomość, że w uprowadzenie Amandy McCready jest zamieszany Olamon. - Doyle ponownie skinął głową do siebie i napotkał wzrok Poole'a. - Czy chcielibyście może zrewidować ten pogład?

- Panie poruczniku?

Doyle spojrzał na zegarek i wstał.

- Odliczam od dziesięciu do jednego. Mówcie mi szybko prawdę, zanim dojdę do jednego, to może nie straciecie roboty. Dziesięć - powiedział.

- Panie poruczniku.

- Dziewięć.

- Panie poruczniku, my nie wiemy...

- Ooo... Osiem. Siedem.

- Uważamy, że Amandę McCready porwał Ser Olamon po to, żeby wymusić w ten sposób zwrot pieniędzy, które jej matka ukradła jego organizacji. - Poole oparł się wygodnie i skinął w stronę Broussarda.

- A więc jest to porwanie - powiedział Doyle i usiadł.

- To całkiem możliwe - rzekł Broussard.

- Czyli że jest to sprawa policji federalnej.

- Tylko jeśli się nie mylimy.

Doyle otworzył szufladę, wyjął magnetofon i rzucił na biurko. Po raz pierwszy od chwili, kiedy weszliśmy do jego gabinetu, spojrzał na Angie i na mnie i nacisnął

„play”.

Przez jakiś czas słycać było zakłócenia i zgrzyty, potem rozległ się telefon i wreszcie głos, w którym poznałem głos Lionela:

- Halo.

Na drugim końcu linii odezwała się kobieta:

- Powiedz swojej siostrze, żeby jutro o ósmej wieczorem wysłała tego starego policjanta i tego przystojnego i jeszcze dwójkę prywatnych detektywów do kamieniołomu Granite Rail. Powiedz im, żeby podeszli od strony Quincy i starego nasypu kolejowego.

- Przepraszam. Kto to jest?

- Powiedz im, żeby wzięli ze sobą to, co znaleźli w Charlestown.

- Ale ja nie jestem pewien, co...

- Powiedz im, że to, co znaleźli w Charlestown, zostanie wymienione na to, co znaleźliśmy w Dorchester. - Głos kobiety, niski i beznamiętny, ożywił się. - Zrozumiałeś, złotko?

- Nie jestem pewien. Czy mógłbym to dostać na piśmie?

W odpowiedzi gardłowy chichot.

- Ale z ciebie asekurant, złotko. Naprawdę. Wszystko jest nagrane na taśmę. Dla każdego, kto słucha? Jeżeli jutro w Granite Rail zobaczymy kogokolwiek innego poza wymienioną czwórką, to paczka z Dorchester zostanie zrzucona ze skały.

- Ale nikt...

- Bye, bye, złotko. Bądź grzeczny, słyszysz?

- Nie, poczekaj...

Ale rozległo się kliknięcie i chrapliwy oddech Lionela, a po nim sygnał, że linia jest wolna.

Doyle wyłączył magnetofon, rozparł się wygodnie w fotelu i po chwili milczenia zapytał:

- Co znaleźliście w Charlestown, panowie?

Nikt nie odezwał się słowem.

Doyle obrócił się z krzesłem i spojrzał na Poole'a i Broussarda.

- Chcecie, żebym znów zaczął odliczać?

Poole spojrzał na Broussarda. Broussard wyciągnął rękę, dłonią do góry i machnął nią w stronę Poole'a.

- Dzięki, kochanie. - Następnie Poole zwrócił się do Doyle'a.

- Znaleźliśmy dwieście tysięcy dolarów w ogródku za domem Davida Martina i Kimmie Niehaus.

- Chodzi o te dwa trupy z Charlestown - powiedział Doyle.

- Tak jest, panie poruczniku.

- I te dwieście tysięcy zostało dołączone do dowodów rzeczowych... oczywiście.

Poole machnął ręką w stronę Broussarda. Broussard wpatrywał się w swoje buty.

- Niezupełnie, panie poruczniku.

- No właśnie. - Doyle wziął ołówek i zapisał coś w leżącym koło jego łokcia notatniku. - A jak zadzwonię do wydziału kadr i obaj zostanieie wylani z policji, to w której firmie ochroniarskiej chcielibyście pracować, co?

- Ale, panie poruczniku...

- Czy może wolelibyście jakiś bar? - Doyle uśmiechnął się szeroko. - Cywile to uwielbiają. Lubią, jak barman jest byłym gliniarzem, lubią słuchać tych barwnych historii.

- Panie poruczniku - odezwał się Poole - z całym szacunkiem, ale... bardzo byśmy chcieli zostać w tej pracy...

- O, to jasne. - Doyle znów napisał coś w notatniku. - Powinniście o tym pomyśleć, zanim sprzeniewierzyliście dowody rzeczowe w sprawie o morderstwo. To jest przestępstwo, panowie. Wziął do ręki telefon, wystukał dwie cyfry i czekał. - Michael, podaj mi nazwiska policjantów, którzy prowadzą dochodzenie w sprawie zabójstwa Davida Martina i Kimmie Niehaus. Czekam. - Wetknął sobie telefon między ucho a ramię i pogwizdując z cicha przez zęby, stukał gumką w blat biurka. Ze słuchawki wydobył się słaby, metaliczny głos i Doyle znów przyłożył do niej ucho. - Jasne. Dziękuję. - Znów coś zapisał w notatniku i odłożył słuchawkę. - Detektywi Daniel Guden i Mark Leonard, znacie ich?

- Słabo - odezwał się Broussard.

- Z tego wnoszę, że nie zawiadomiliście ich o tym, co znaleźliście w ogródku za domem ich ofiar?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Tak jest, zawiadomiliście? Czy tak jest, nie zawiadomiliście?

- To drugie - odparł Poole.

Doyle założył ręce za głowę i oparł się wygodnie. - A teraz kawę na ławę, panowie. I jeśli to nie śmierdzi tak, jak się w tej chwili wydaje, to może - ale tylko może - zachowacie stołki. Ale obiecuję wam jedno: Na pewno nie będzie to Przystępność

przeciwko Dzieciom. Jak mi się zachce pieprzonych kowbojów, to sobie obejrzę *Rio Bravo*.

Poole opowiedział mu o wszystkim, od momentu kiedy Angie i ja zauważyliśmy Chrisa Mullena na taśmach wideo, aż do chwili obecnej. Jedyną rzeczą, którą pominął, była notatka w sprawie okupu, znaleziona za gumką majtek Kimmie, a kiedy odtworzyłem sobie w pamięci rozmowę Lionela z tamtą kobietą, zorientowałem się, że bez tej notatki nie ma mocnych dowodów na to, że jego rozmówczyni domaga się pieniędzy za dziecko. Żadnych dowodów na porwanie; żadnych federalnych.

- Gdzie są pieniądze? - spytał Doyle, kiedy Poole skończył.

- Ja je mam - powiedziałem.

- Pan je ma, tak? - Doyle nawet nie spojrzał w moją stronę. - To wspaniale, sierzancie Poole. Dwieście tysięcy dolarów kradzionych pieniędzy - i zarazem kradzionych dowodów - w rękach prywatnego obywatela, którego nazwisko pojawiało się w ciągu paru lat w związku z trzema nierozwiązanymi zabójstwami i - zdaniem niektórych - zniknięciem Jacka Rouse'a i Kevina Hurlihy'ego.

- To nie ja - zaprotestowałem. - Pan porucznik musiał mnie pomylić z tamtym drugim Patrickiem Kenzie. Angie kopnęła mnie w kostkę.

- Pat - powiedział Doyle i nachylił się, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

- Patrick - sprostowałem.

- Przepraszam - poprawił się Doyle. - Patrick, złapałem cię na przechowywaniu kradzionej własności, utrudnianiu działania wymiarowi sprawiedliwości, przeszkadzaniu w śledztwie w sprawie zbrodni i jednocześnie majstrowaniu przy dowodach w powyższym. Jeśli nie przestaniesz ze mną igrzać, to się łatwo przekonasz, co mogę na ciebie wyciągnąć, kiedy mi naprawdę nadepniesz na odcisk.

Poprawiłem się na krześle.

- A to co znowu? - zdziwił się Doyle. - Nic nie słyszę.

- Rzeczywiście - odparłem. Osłonił dłoń ucho.

- A teraz?

- Tak samo, panie poruczniku.

Uśmiechnął się i uderzył palcami w blat biurka.

- Dobrze, synu. Mów, kiedy do ciebie mówią. W przeciwnym razie buzia na kłódkę. - Skinął do Angie. - Słyszałem, że razem ze swoim partnerem jest pani mózgiem całej operacji. I to by się potwierdzało. - Doyle ponownie zwrócił się do

Poole'a i Broussarda. - No więc wy, dwaj geniusze, zdecydowaliście się grać na poziomie Sera Olamona i wymienić pieniądze na dziecko.

- Mniej więcej, panie poruczniku.

- A powód, dla którego nie powinienem przekazywać sprawy federalnym?

- Brak oficjalnego żądania okupu - odparł Broussard. Doyle popatrzył na magnetofon.

- A to, czego dopiero co wysłuchaliśmy, to co to takiego było?

- Panie poruczniku... - Poole nachylił się nad biurkiem i pokazał na magnetofon. - Jeśli by pan jeszcze raz przesłuchał taśmę, toby się pan zorientował, że kobieta proponuje zamianę „czegoś” znalezionego w Charlestown na „coś” znalezionego w Dorchester. Ta kobieta mogła mieć na myśli zamianę znaczków pocztowych na karty bejsbolowe.

- Fakt, że zadzwoniła do matki zaginionego dziecka, nie zaniepokoiłby naszych braci z policji federalnej.

- Formalnie rzecz biorąc, kobieta zadzwoniła do brata matki zaginionej dziewczynki.

- I mówiła: „Powiedz siostrze” - dodał Doyle.

- To prawda, panie poruczniku, ale w dalszym ciągu nie wiemy, czy mamy do czynienia z porwaniem. A pan porucznik zna federalnych - spieprzyli sprawę Ruby'ego Ridge'a i Waco i zawierali jakieś szemrane układy z bostońskimi gangsterami, oni...

Doyle podniósł rękę.

- Wszyscy jesteśmy świadomi ostatnich nawalanek policji federalnej, detektywie Broussard. - Spojrzał na magnetofon, a następnie na świeżo sporządzone notatki. - Kamieniołom Granite Rail nie podlega naszej jurysdykcji. Dzielą go między siebie policja stanowa i policja Quincy. Więc... - Złożył ręce. - Okay.

- Okay? - powtórzył Broussard.

- Brak wyraźnej wzmianki o małej McCready, dlatego proponujemy wspólne działanie ze stanowymi i z policją Quincy. Zostawmy federalnych. Osoba, która dzwoniła, powiedziała, że poza wami dwoma ma nie być w kamieniołomie Granite Rail żadnych policjantów. W porządku. Ale my te wzgórza zamkniemy, panowie. Otoczmy ciasno kamieniołomy Quincy i kiedy tylko małej przestanie grozić niebezpieczeństwo, otworzymy ogień do Mullena, Gutierrezza czy kogokolwiek, kto rości sobie pretensje do tych dwustu tysięcy. - Ponownie uderzył palcami w blat

biurka. - Trzyma się kupy?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Tak jest, panie poruczniku.

Doyle uśmiechnął się szeroko, lodowato.

- A kiedy już się to stanie, wypieprzę was, sukinsyny, z mojego wydziału i z mojej dzielnicy. I jeśli jutro w kamieniołomie coś pójdzie nie tak, przeniosę was do brygady antyterrorystycznej. Czas do emerytury skróćcie sobie, włączając pod samochody i modląc się, żeby nie zrobiły *bum!* Są jakieś pytania?

- Nie, panie poruczniku.

- Nie, panie poruczniku.

Doyle znów obrócił się z krzesłem w naszą stronę.

- Panie Kenzie, pani Gennaro, jesteście cywilami. Nie podoba mi się wasza obecność w tym gabinecie, nie mówiąc już o waszej jutrzejszej obecności na wzgórzach, ale praktycznie nie mam wyboru. Dlatego proponuję taki układ: nie będziecie się wdawali z podejrzanymi w żadną wymianę ognia. Nie będziecie z nimi rozmawiali. Gdyby doszło do konfrontacji, padacie na kolana i nakrywacie głowy. Po zakończonej akcji nie dyskutujecie z prasą o żadnych szczegółach. I nie piszecie potem o niej żadnych książek. Jasne?

Skinąłem głową.

I Angie skinęła głową.

- Jeśli w którejkolwiek z tych spraw mnie zawiedziecie, spowoduję, że cofną wam licencje i pozwolenie na broń i wyciągną sprawę zabójstwa Mariona Socii, a poza tym uruchomię moich przyjaciół w prasie i namówię ich, by przypomnieli dziwne zniknięcie Jacka Rouse'a i Kevina Hurlihy'ego. Zrozumiano?

Skinęliśmy głowami.

- Chcę usłyszeć: „Tak jest, poruczniku Doyle”.

- Tak jest, poruczniku Doyle - wymamrotała Angie.

- Tak jest, poruczniku Doyle - powiedziałem.

- Wspaniale. - Doyle oparł się wygodnie i wyciągnął do naszej czwórki szeroko rozłożone ręce. - A teraz spieprzajcie stąd.

- Niezły facet - powiedziała Angie, kiedy znaleźliśmy się na ulicy.

- W gruncie rzeczy to stary pocziwina - odparł Poole.

- Naprawdę?

Poole spojrział na mnie, jakbym wachał klej i bardzo wolno potrząsnął głową.

- Och - wyrwało mi się.

- Pieniądze są bezpieczne, tak, Kenzie? Skinąłem głową.

- Chcecie je teraz?

Poole i Broussard spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Nie ma potrzeby - powiedział Broussard. - Gdzieś jutro odbędzie się narada wojenna między nami a chłopcami z policji stanowej i z Quincy. Wtedy je przyniesiecie.

- Kto wie - zaczął Poole - może przy takich siłach zaangażowanych w śledzenie ludzi Olamona złapiemy któregoś z nich, jak będzie jutro wychodził z domu z dzieckiem, wtedy go zwiniemy i cała sprawa się skończy.

- Jasne, Poole, jasne - powiedziała Angie - na pewno sprawa okaże się taka prosta, jak mówisz.

Poole westchnął i zakołysał się na obcasach.

- Człowieku - jęknął Broussard - za nic nie chciałbym pracować w jednostce antyterrorystycznej.

Poole zachichotał.

- Teraz właśnie działamy jak jednostka antyterrorystyczna - odparł.

Siedzieliśmy na stopniach frontowego ganku Beatrice i Lionela i możliwie wyczerpująco informowaliśmy ich o najświeższych wydarzeniach, omijając to, co mogłoby ich narazić na postawienie w stan oskarżenia przez policję federalną, gdyby nam to wszystko później wybuchło w rękach.

- To znaczy - powiedziała Beatrice, kiedy skończyliśmy - że to wszystko stało się dlatego, że Helene zrealizowała jeden ze swoich pieprzonych pomysłów i okradła niewłaściwego faceta.

Skinąłem głową.

Lionel, który właśnie skubał odcisk na dużym palcu, wypuścił powietrze równym strumieniem.

- Ona jest moją siostrą - powiedział w końcu - ale to... to jest...

- Niewybaczalne - zakończyła Beatrice.

Spojrział na nią, a potem z powrotem na mnie, jakby mu ktoś prysnął tonikiem w twarz.

- Tak, niewybaczalne.

Angie podeszła do balustrady, a ja wstałem i poczułem, jak jej ciepła dłoń wślizguje się w moją.

- Jeśli to jest jakaś pociecha - powiedziała - to wątpię, czy ktoś mógł coś takiego przewidzieć.

Beatrice przeszła przez ganek i usiadła na stopniach koło męża. Ujęła jego duże dłonie w swoje i przez jakąś minutę patrzyli daleko przed siebie, w ulicę, z twarzami pustymi, ściągniętymi bólem i pełnymi gniewu i rezygnacji.

- Ja tego po prostu nie rozumiem - wyszeptła - zupełnie tego nie rozumiem.

- Czy oni ją zabijają? - spytał Lionel, patrząc na nas przez ramię.

- Nie - odparłem. - To by nie miało sensu.

Angie ścisnęła mnie za rękę, żeby mnie wesprzeć w kłamstwie.

*

Po powrocie do domu pierwszy wziąłem prysznic, żeby zmyć z siebie czterodniowe przesiadywanie w samochodach i uganianie się po mieście za oprychami, a Angie zrobiła to samo po mnie.

Wyszła z łazienki i stanęła w drzwiach living roomu. Miodowe ciało ciasno owinęła białym ręcznikiem, rozczesywała włosy i patrzyła, jak robię notatki z naszego spotkania z Doyle'em.

Podniosłem głowę i napotkałem jej wzrok.

Angie ma niesamowite oczy w kolorze karmelu i do tego bardzo duże. Czasem mi się wydaje, że gdyby tylko chciała, mogłaby mnie nimi wypić. Co byłoby wspaniałe, możecie mi wierzyć. Naprawdę wspaniałe.

- Niepokoiłam się o ciebie - powiedziała.

- Przez trzy i pół dnia byliśmy zamknięci w samochodzie. Dlaczego się niepokoiłaś?

Przechyliła lekko głowę, wytrzymując mój wzrok.

- A... - powiedziałem - tęskniłaś za mną.

- No właśnie. Skinąłem głową.

- Jak bardzo? Opuściła ręcznik.

- A, tak bardzo... - powiedziałem i poczułem ucisk w gardle. - No, no.

Zawsze po kochaniu się z Angie żyję przez jakiś czas w świecie ech i migawkowych

wspomnień. Leżę w wilgotnych ciemnościach, czując, jak serce Angie bije nad moim i jak jej krzyż napiera na czubki moich palców albo biodro promieniuje ciepłem na moją dłoń. Słyszę echo jej cichych jęków, a potem jakby zachłyśnięcie się i nagły gardłowy chichot, który Angie wydaje w chwilach spełnienia. I wtedy na moment odrzuca do tyłu głowę, a jej ciemne włosy odsłaniają twarz i opadają na plecy. Z zamkniętymi oczyma widzę w zbliżeniu zagryzioną dolną wargę Angie i linię jej łydki na białym materacu, strzępki marzeń i pragnienia, które nagle zasnuwają jej oczy mgłą, a także czubki ciemnoróżowych paznokci, wbite w moją skórę tuż nad podbrzuszem.

Po seksie z Angie przez jakieś pół godziny jestem kompletnie do niczego. Gdybym chciał wtedy zadzwonić, musiałby mi ktoś narysować schemat. Opuszczają mnie wszelkie siły, ledwo się ruszam. Jakaś inteligentna rozmowa jest absolutnie wykluczona. Unoszę się po prostu wśród ech i migawkowych obrazów.

- Hej. - Zabębniła mi palcami po klatce piersiowej i poczułem, jak napina się jej udo, przytulone do wewnętrznej strony mojego uda.

- Tak?

- Czy kiedykolwiek myślisz...

- Nie w tym momencie.

Roześmiała się, zahaczyła stopę o moją kostkę, uniosła się trochę na mojej piersi i przejechała językiem po moim gardle.

- Ale chwileczkę, poważnie.

- Strzelaj - zdołałem powiedzieć.

- Czy kiedykolwiek myślisz, to znaczy... kiedy jesteś we mnie... że to, co robimy, może... przy naszym przyzwoleniu... zaowocować życiem?

Odchyliłem głowę, otworzyłem oczy i napotkałem jej spojrzenie. Patrzyła spokojnie, nie spuszczając wzroku. W łagodnym mroku naszej sypialni smuga tuszu pod jej lewym okiem wyglądała jak siniak.

Bo to była teraz n a s z a sypialnia. Angie w dalszym ciągu miała dom, w którym się wychowała, przy Howes Street, w dalszym ciągu trzymała tam większość swoich mebli, ale niemal od dwóch lat nie spędziła tam ani jednej nocy.

Nasza sypialnia. Nasze łóżko. Nasza pościel, skotłowana wokół tych dwóch ciał, leżących razem, serce przy sercu, przyciśniętych do siebie tak mocno, że komuś postronnemu trudno byłoby ocenić, gdzie jedno z nas się kończyło, a drugie zaczynało. Mnie samemu czasem też.

- Dziecko - powiedziałem.

Skinęła głową.

- Powołać do życia dziecko - powtórzyłem wolno - przy naszej pracy?

Angie znów skinęła głową, ale tym razem miała wilgotne oczy.

- Chciałabyś?

- Tego nie powiedziałam - wyszeptała, nachyliła głowę i pocałowała mnie w czubek nosa. - Powiedziałam tylko: „Czy kiedykolwiek o tym myślisz?”. Czy kiedykolwiek myślisz o tej mocy, jaką mamy, Kochając się na tym łóżku, kiedy sprężyny pod nami jęczą i my jęczymy i wszystko jest... jest takie cudowne nie tylko z powodu doznań fizycznych, ale dlatego że jesteśmy złączeni - ja i ty - o tutaj? - Przcisnęła dłońią moje przyrodzenie. - Mam możliwość stworzenia życia, Kochanie. Ja i ty. Wystarczy, że raz zapomnę połknąć pigułkę i - jedna szansa, zaraz, na ile, na sto tysięcy? - już od zaraz może zacząć kiełkować we mnie życie. Twoje życie. Moje. - Pocałowała mnie. - Nasze.

Leżąc tak blisko, w ciepłe tej drugiej osoby, w stanie głębokiej wzajemnej fascynacji, łatwo pragnąć, by właśnie w tej chwili w jej łonie poczęło się życie. Wszystko, co w kobiecym ciele jest świętego i tajemniczego w ogólności, a w ciele Angie w szczególności, wydawało mi się zamknięte w kokonie tej pościeli, w tym miękkim materacu i koślawym łóżku. Nagle wszystko to stało się takie jasne.

Ale świat nie był tym łóżkiem. Świat był zimny jak cement i pełen ostrych zębów, i roił się od potworów, które kiedyś były dziećmi, a jeszcze wcześniej zarodkami w łonach swoich matek. I te dzieci rodziły się za sprawą cudownej tajemnicy, jedynej, jaką pozostawił dwudziesty wiek. Ile par kochanków leżało tak jak my, w takich samych kokonach, w podobnych łóżkach, i czuło to, co my teraz czuliśmy? Ile takich potworów spłodzili? Ile ofiar?

- Powiedz. - Angie odsunęła mi z czoła wilgotne włosy.

- Myślałem o tym.

- I?

- I to mnie napawa lękiem.

- Mnie też.

- Przeraza mnie.

- Mnie też.

- Bardzo.

Jej oczy zrobiły się małe.

- Dlaczego?

- Dzieci znalezione w beczkach cementu, Amandy McCready znikające tak, jakby ich nigdy nie było, pedofile krążący po ulicach z taśmą klejącą i nylonową linką. Ten świat jest jednym wielkim szambem, kochanie.

Skinęła głową.

- I?

- I co?

- No więc świat jest szambem. Okay. I co dalej? To znaczy chodzi mi o to, że nasi rodzice prawdopodobnie wiedzieli, że świat jest szambem, a mimo to nas spłodzili.

- No i fajne mieliśmy dzieciństwo...

- To co, wolałbyś się nigdy nie urodzić?

Położyłem ręce u nasady jej pleców, a ona się w te ręce wtuliła. Uniosła swoje ciało z mojego i prześcieradło zsunęło się z jej pleców. Przyłgnęła do mnie, wpatrując się w moje oczy, kaskada włosów wymknęła jej się zza uszu, była naga i piękna i tak bliska ideału jak moje wyobrażenie na ten temat.

- Czy wolałbym się nigdy nie urodzić?

- Tak brzmiało pytanie - powiedziała cicho.

- Oczywiście, że nie - odparłem. - A Amanda McCready?

- Nasze dziecko nie byłoby Amandą McCready.

- Skąd możemy to wiedzieć?

- Ponieważ my nie okradlibyśmy dilerów narkotykowych, którzy mogliby uprowadzić nam dziecko, żeby te pieniądze odzyskać.

- Dzieci znikają codziennie z powodów dużo błahszych i dobrze o tym wiesz. Znikają, bo idąc do szkoły, znalazły się na niewłaściwym rogu w niewłaściwym czasie albo dlatego, że zostały w centrum handlowym rozdzielone z rodzicami. I te dzieci umierają, Angie. One umierają.

Pojedyncza łza spadła na jej pierś i po chwili spłynęła po sutku na moją pierś, zimna w chwili, kiedy ją poczułem na skórze.

- Wiem - powiedziała. - Ale bez względu na to, co ma być, pragnę twojego dziecka. Nie dzisiaj, może nawet nie w przyszłym roku. Ale chcę go. Chcę, żeby z mojego ciała powstało coś pięknego, co będzie jednocześnie nami i istotą zupełnie do nas nie podobną.

- Chcesz dziecka.

Potrząsnęła głową.

- Chcę twojego dziecka.

W pewnym momencie zapadliśmy w drzemkę.

Czy może ja zapadłem w drzemkę. Obudziłem się po kilku minutach i stwierdziłem, że Angie nie ma w łóżku. Wstałem i przez ciemne mieszkanie poszedłem do kuchni, gdzie siedziała przy stole koło okna. Jej nagie ciało wydawało się dziwnie blade w księżycowym świetle przefiltrowanym przez listewki żaluzji.

Koło jej łokcia leżał notatnik, a przed nią teczka z dokumentami sprawy. Kiedy wszedłem, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Nie mogą zostawić jej przy życiu.

- Ser i Mullen? Skinęła głową.

- To tylko głupia taktyczna zagrywka. Muszą ją zabić.

- Do tej pory nie zabili.

- Skąd możemy wiedzieć? Ale jeśli tak rzeczywiście jest, to będą ją utrzymywali przy życiu tylko do chwili, aż dostaną pieniądze. Dla pewności. Ale potem muszą ją zabić. Amanda żywa jest dla nich zbyt niebezpieczna.

Skinąłem głową.

- Ty już kiedyś przeżywałeś coś takiego - powiedziała.

- Tak.

- Więc jutro wieczorem...?

- Spodziewam się znaleźć zwłoki.

Angie zapaliła papierosa i jej skóra na moment zaróżowiła się w płomieniu zapalniczki.

- Możesz sobie z tym poradzić?

- Nie. - Podeszedłem do stołu i położyłem jej rękę na ramieniu. Byłem świadom naszej nagości, tu w kuchni i złapałem się na tym, że znów myślę o tej mocy, jaką mieliśmy w łóżku, w naszych ciałach, o tym potencjalnym trzecim życiu, które niby duch unosiło się między naszą nagością.

- Bubba? - spytała.

- Najpewniej.

- Poole i Broussard nie będą tym zachwyceni.

- Dlatego nic im nie powiemy.

- Jeśli Amanda będzie jeszcze żyła, kiedy przyjedziemy do kamieniołomów i zdołamy ją znaleźć, a przynajmniej zlokalizować...

- To Bubba zlikwiduje tego, co ją przetrzymywał, załatwi go, tak jakby sprzątał śmiecie i zniknie w ciemnościach nocy. Angie uśmiechnęła się.

- Chcesz do niego zadzwonić? Pchnąłem do niej telefon.

- Proszę, dzwoń ty.

Założyła nogę na nogę, wybrała numer i przechyliła głowę do słuchawki.

- Hej, grubasie - powiedziała, kiedy się odezwał - wyjdiesz jutro wieczorem się zabawić?

Słuchała przez chwilę, uśmiechając się coraz szerzej.

- Przy odrobinie szczęścia, Bubba, będziesz musiał kogoś zastrzelić.

17

Major John Dempsey z policji stanu Massachusetts miał szeroką irlandzką twarz, płaską jak naleśnik i czujne, wyłupiaste oczy sowy. Nawet mrugał jak sowa: skurcz mięśni powodował, że jego grube powieki opadały i pozostawały zamknięte o jedną dziesiątą sekundy dłużej niż normalnie, a potem - pstryk - podnosiły się jak rolety w oknach, znikając pod brwiami.

Jak większość policjantów stanowych, z którymi się zetknąłem, miał kręgosłup zrobiony jakby z ołowianej rurki, usta blade i za wąskie. Na tle płaskiej, białej twarzy wyglądały jak narysowane twardym ołówkiem. Dłonie Dempseya miały kolor śmietankowy i długie kobiece palce o paznokciach wypielęgowanych i tak gładkich jak krawędź monety. Ale te dłonie to był jedyny łagodniejszy element w całej postaci majora, poza tym zbudowanej z łupku. Jego szczupłe ciało było tak twarde i pozbawione wszelkiego tłuszczu, że gdyby spadł z podium, jestem przekonany, że rozleciałby się na drobne odłamki.

Mundury naszych policjantów stanowych zawsze mnie denerwowały, a szczególnie wyższych rangą oficerów. Jest coś agresywnie germańskiego w czarnej nienagannie utrzymanej skórze, sterczących epoletach, lśniącej blasze, w twardym pasie koalicyjnym, przecinającym ukośnie pierś od prawego ramienia do lewego biodra i w dodatkowych sześciu i pół milimetra wysokości otoka czapki, tak żeby siedziała głęboko na czole, osłaniając oczy.

Miejscy policjanci zawsze mi się kojarzyli z żołnierzami piechoty morskiej ze

starych filmów wojennych. Żeby nie wiem jak pięknie byli ubrani, widzę, jak się czołgają po plaży Normandii, z mokrym cygarem między zębami, pod deszczem błota. Ale kiedy patrzę na przeciętnych policjantów stanowych - z zaciśniętymi zębami, z arogancko wysuniętym do przodu podbródkiem i słońcem lśniącym na tych częściach umundurowania, które specjalnie po to zostały zaprojektowane - natychmiast wyobrażam sobie, jak maszerują krokiem defiladowym po ulicach Polski jesienią 1939 roku.

Wkrótce po tym, jak się zebraliśmy, major Dempsey zdjął z głowy dużą czapkę, ukazując niepokojąco pomarańczową kępę włosów. Były ostrzyżone na krótkiego jeża i sterczały mu na głowie jak sztuczna trawa. Dempsey musiał być świadom skrępowania, jakie ten widok wywoływał u obcych. Przyglądał dłońmi skronie, wziął z biurka wskaźnik i stukając nim w otwartą dłoń, patrzył dokoła sowimi oczyma z zakłopotaniem i pogardą. Na lewo, w niewielkim rzędzie krzeseł, pod emblematem stanowym, siedział porucznik Doyle z szefem policji Quincy, obaj ubrani z pogrzebową galą. Wszyscy trzej mężczyźni wodzili po pokoju władczym wzrokiem.

Obradowaliśmy w sali odpraw w barakach policji stanowej w Milton i cała lewa strona pomieszczenia była zajęta przez samych policjantów stanowych, wymuskanych facetów o jastrzębim wzroku, z czapkami wetkniętymi pod pachę, bez jednej, choćby najmniejszej, zmarszczki na spodniach czy koszulach.

Prawą stronę okupowali gliniarze: z Quincy - front i z Bostonu - tyły. Policjanci z Quincy naśladowali stanowych, chociaż zauważyłem kilka zagnieceń i kilka czapek rzuconych na podłogę koło nóg. Byli to głównie młodzi mężczyźni i młode kobiety o cerze tak gładkiej i błyszczącej jak okoń, a ja bym się założył, że żadne z nich nie oddało w życiu ani jednego strzału.

Tyły pokoju dla odmiany przypominały poczekalnię garkuchni. Policjanci mundurowi byli w porządku, ale faceci i kobiety z Przestępczości przeciwko Dzieciom, jak również detektywi z innych brygad, oddelegowani czasowo do różnych zadań, stanowili bajecznie kolorową gromadę nieogolonych, cuchnących papierosami, potarganych osobników w tak wymiętych ubraniach, że w ich fałdach można by bez trudu ukryć różne małe przedmioty. Większość detektywów pracowała nad sprawą Amandy McCready od samego początku, a ich postawa „jak-ci-się-nie-podoba-to-się-bujaj” była typowa dla wszystkich policjantów, którzy mają na swoim koncie zbyt wiele przepracowanych nadgodzin i którzy stukali do zbyt wielu drzwi. Przeciwnie niż policjanci stanowi i ci z Quincy - członkowie kontyngentu bostońskiego siedzieli

rozwaleni na krzesłach i cały czas się kopali i pokasływali.

Angie i ja przybyliśmy tuż przed rozpoczęciem odprawy i zajęliśmy miejsca z tyłu. W świeżo upranych czarnych dżinsach, czarnej wyrzuconej na spodnie bawełnianej koszuli i brązowej skórzanej kurtce Angie wyglądała na tyle dobrze, że mogłaby spokojnie siedzieć wśród policjantów z Quincy, ale ja, w rozdartej flanelowej koszuli i T-shircie z Renem i Stimpym i pochlapanych białą farbą dżinsach, wyglądałem jak typowy grunge'owiec z czasów po Seattle. Jednak buty miałem nowiuteńkie.

- To są takie pompowane? - spytał Broussard, kiedy wsunęliśmy się na miejsca obok niego i Poole'a.

Straciłem z moich nowych butów jakieś nitki.

- Nie.

- Szkoda. Lubię takie.

- Według reklamy - powiedziałem - można w nich skakać wysoko jak Penny Hardaway i za jednym zamachem ustrzelić dwie laski.

- No to może i są warte swojej ceny.

Za majorem Dempseyem dwóch policjantów powiesiło na ścianie dużą mapę topograficzną kamieniołomów Quincy i rezerwatu Blue Hills. Dempsey podniósł wskaźnik i stuknął mniej więcej w połowie górnej części mapy.

- Kamieniołom Granite Rail - powiedział krótko. - Ostatni rozwój wypadków w sprawie zniknięcia Amandy McCready każe przypuszczać, że dziś o ósmej wieczorem dojdzie do wymiany. Kidnaperzy chcą przehandlować dziecko za torbę skradzionych pieniędzy, które obecnie znajdują się w rękach policji bostońskiej. - Zakreślił wskaźnikiem na mapie duże koło. - Jak widzicie, na miejsce wymiany zostały wybrane kamieniołomy. Najprawdopodobniej ze względu na to, że dróg potencjalnej ucieczki jest bez liku.

- Bez liku - mruknął pod nosem Poole. - Dobrze powiedziane.

- Nawet mając do dyspozycji helikoptery i oddziały sił specjalnych, rozmieszczone w strategicznych punktach dokoła zarówno kamieniołomów, jak i rezerwatu Blue Hills, wiemy, że teren nie będzie łatwy do opanowania. Zwłaszcza że porywacze zażądali, żeby dziś wieczorem zjawily się w kamieniołomach tylko cztery osoby. Aż do chwili wymiany musimy pozostać niezauważeni.

Jeden z policjantów podniósł rękę i odchrząknął.

- Panie majorze, jak mamy otoczyć teren i pozostać niewidocznymi?

- W tym właśnie sęk - odparł Dempsey i przejechał dłonią po brodzie.

- On tego nie powiedział - wyszeptał Poole.

- Powiedział.

- Ojej.

- Stanowisko dowodzenia numer jeden - powiedział Dempsey - będzie w dolinie, u stóp tej oślej łączki w Blue Hills. Z tego miejsca jest niecała minuta drogi helikopterem do szczytu Granite Rail. Większość naszych sił będzie tu stała w pogotowiu. Kiedy tylko dostaniemy wiadomość, że doszło do wymiany, otoczmy rezerwat, zablokujemy Quarry Street z obu stron, drogi Chickatawbut i Saw Cut Notch z obu stron, zamkniemy wyjazdy południowy i północny, dojazdowe rampy do południowo-wschodniej autostrady i otwieramy ogień na cały ten kram.

- Cały ten... - zaczął Poole.

- ...kram - dokończył Broussard.

- Stanowisko dowodzenia numer dwa będzie tutaj, przy wejściu na cmentarz Quincy, a stanowisko trzecie...

Przez następną godzinę słuchaliśmy, jak Dempsey nakreśla plan akcji i dzieli obowiązki pomiędzy policję stanową i lokalną. Ponad stu pięćdziesięciu policjantów miało być rozstawionych dokoła kamieniołomów i na obrzeżach Blue Hills. Na ich usługi oddano trzy helikoptery. Na miejscu miał być też elitarny zespół negocjacyjny policji bostońskiej. Porucznik Doyle i szef policji Quincy mieli być „łazikami” - każdy w swoim samochodzie, z wygaszonymi reflektorami, miał okrążyć w ciemnościach teren kamieniołomu.

- Trzeba się modlić, żeby na siebie nie wpadli - powiedział Poole.

Kamieniołomy zajmowały ogromną przestrzeń. W okresie szczytu granitowego w Nowej Anglii czynnych było ponad sześćdziesiąt takich. Granite Rail pozostał jednym z dwudziestu dwóch niezasypanych; reszta rozciągała się szeroko po zrównanych wzgórzach pomiędzy autostradą a Blue Hills. Mieliśmy wejść na teren nocą, praktycznie bez światła. Nawet strażnicy leśni, których Dempsey sprowadził jako dobrze znających okolicę, przyznawali, że w tych wzgórzach jest tyle szlaków, że niektóre z nich są znane tylko nielicznym.

Ale szlaki nie były problemem. Szlaki w końcu dokądś prowadziły, a to dokądś to niewielka liczba dróg i jeden czy dwa parki publiczne. I nawet gdyby porywacze prześlizgnęli się jakoś przez tę sieć na wzgórzach, to i tak wpadliby gdzieś niżej. Jeśliby to była sprawa tylko nas czworga i kilku policjantów, którzy mieli monitorować wzgórze, to uważałbym, że ludzie Sera Olamona mieliby przewagę. Ale

w sytuacji, kiedy mówiło się o stu pięćdziesięciu policjantach, musiałem bardzo pilnie patrzeć, jak każdy planuje wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie. I niezależnie od tego, jak głupia była większość ludzi w organizacji Sera Olamona, to przecież nawet oni musieli wiedzieć, że tam gdzie w grę wchodzi okup, zawsze jest dużo gliniarzy.

Jak więc zamierzali się wydostać?

Kiedy kolejny raz Dempsey przerwał, podniosłem rękę, ale widząc, że próbuje mnie zignorować, powiedziałem:

- Majorze.

Spojrzał na wskaźnik.

- Tak?

- Nie widzę, jak porywacze mieliby się wydostać.

Kilku policjantów zachichotało, a Dempsey się uśmiechnął.

- Na tym właśnie polega problem, panie Kenzie, nie uważa pan?

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Ja to rozumiem, ale czy pan nie sądzi, że kidnapery też to rozumieją?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Że oni wybrali to miejsce. I na pewno się domyślają, że je otoczą. Prawda?

Dempsey wzruszył ramionami.

- Zbrodnia ogłupia.

Chłopcy w granatowych mundurkach zareagowali na to kolejnym wybuchem grzecznego śmiechu. Poczekalem, aż ucichną.

- Panie majorze, a jeśli oni są przygotowani na takie siły, to co wtedy?

Usta Dempseya rozciągnęły się w uśmiechu, ale jego sowie oczy nie poszły za ich przykładem. Zmrużył je tylko, kiedy na mnie patrzył, ni to zakłopotany, ni to lekko zły.

- Nie ma drogi odwrotu, panie Kenzie. Bez względu na to, co sobie myślą. Szansa jest jedna na miliard.

- Ale im się wydaje, że się w tej jednej zmieszczą.

- To znaczy, że się mylą. - Dempsey spojrzał na trzymany w ręce wskaźnik i nachmurzył się. - Są jeszcze jakieś głupie pytania?

O szóstej spotkaliśmy się z detektyw Marią Dykemą z zespołu negocjacyjnego. Siedzieliśmy w vanie, zaparkowanym pod wieżą ciśnień, jakieś trzydzieści metrów od Ricciuti Drive, drogi przechodzącej przez samo serce kamieniołomów Quincy. Maria

Dykema była szczupłą, filigranową kobietką po czterdziestce, o włosach koloru mleka i migdałowych oczach. Miała na sobie ciemną garsonkę i w trakcie naszej rozmowy bezmyślnie pociągała się za perłowy kolczyk w lewym uchu.

- Gdyby ktokolwiek z was stanął twarzą w twarz z porywaczem i dzieckiem, to co byście zrobili? - Omiotła wzrokiem naszą czwórkę i zatrzymała go na ścianie vana, gdzie ktoś przylepił zdjęcie z „National Lampoon”, na którym jakaś ręka przystawiała psu do głowy pistolet. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Kup to pismo, bo zabijemy tego psa”. - No, czekam - ponagliła nas.

- Mówimy podejrzanemu, żeby uwolnił... - zaczął Broussard.

- Proście podejrzanego - poprawiła go Dykema.

- Prosimy podejrzanego, żeby uwolnił dziecko.

- A jeśli podejrzany odpowie: „Pierdol się” i wymierzy w was broń - co wtedy?

- To wtedy my...

- Wycofujecie się - dokończyła. - Nie spuszczaście go z oka, ale robicie wokół niego wolną przestrzeń. Bo jak on spanikuje, to koniec z dzieckiem. Jeśli się poczuje zagrożony - tak samo. Najważniejsze to dać mu poczucie wolności, swobodnego oddechu. Nie możecie dopuścić do tego, żeby panował nad sytuacją, ale tak samo nie powinien czuć się bezradny. Jest w waszym interesie, by uważał, że ma jakiś wybór. - Odwróciła się do nas, pociągnęła za kolczyk i spojrzała nam w oczy. - Jasne?

Skinąłem głową.

- I nie zwracać na podejrzanego zbyt wiele uwagi, cokolwiek robicie. Żadnych nagłych ruchów. A jak zamierzacie coś zrobić, to mówcie mu. Na przykład: „A teraz się wycofuję. Teraz opuszczam broń”. I tak dalej.

- To znaczy mamy się z nim cackać, tak? - odezwał się Broussard. - Takie są pani zalecenia, jeśli dobrze rozumiem?

Uśmiechnęła się lekko, wpatrzona w obrębek swojej spódnicy.

- Detektyw Broussard - powiedziała - od sześciu lat negocjuję z porywaczami i mam na swoim koncie tylko jedno niepowodzenie. Jeśli chcecie wypinać pierś i wrzeszczeć: „Gleba, skurwysynu!”, to bardzo proszę. Ale przynajmniej oszczędźcie mi tych wszystkich talk-show po tym, jak ptaszek przestrzeli serce Amandzie, rozbryzgując jej krew po waszej koszuli. - Uniosła znacząco brwi. - Zgoda?

- Ja nie kwestionuję waszych metod pracy, detektyw Dykema - odparł Broussard.

- Ja po prostu dokonałem pewnej obserwacji.

Poole skinął głową.

- Jeśli dla uratowania tej małej mielibyśmy się z kimś pieścić, to sam wsadzę tę osobę do wózecka i będę jej śpiewał kołysanki. Macie moje słowo.

Maria Dykema westchnęła, odgięła się na oparcie krzesła i obydwoma dłońmi przeczesowała włosy.

- Szanse, że ktoś natknie się na tego ptaszka z Amandą McCready, są bardzo niewielkie, jeśli nie żadne. Ale gdyby mimo wszystko tak się stało, to pamiętajcie: ta mała jest wszystkim, co oni mają. Ludzie, którzy biorą zakładnika i znajdują się w sytuacji patowej, są jak szczury zapędzone w róg. Bardzo przestraszeni i bardzo niebezpieczni. I nie będą winić siebie za tę sytuację ani was, tylko ją. Więc jeżeli nie okażecie wielkiej ostrożności, poderzną małej gardło.

Zrobiła pauzę, żeby to wszystko do nas dotarło. Następnie wyjęła z kieszeni cztery wizytówki i wręczyła każdemu z nas.

- Czy wszyscy macie telefony komórkowe?

Skinęliśmy głowami.

- Na odwrocie wizytówki jest mój numer. Jeżeli znajdziecie się w impasie z porywaczem i wyczerpiecie wszystkie argumenty, zadzwońcie do mnie i dajcie mu telefon. Okay?

Wyjrzała przez tylne okno samochodu na ciemny poszarpany masyw wzgórz i wypiętrzeń kamieniołomu, najeżony ostrymi granitowymi szczytami.

- Kamieniołomy - powiedziała. - Kto wybiera takie miejsce?

- Rzeczywiście, nie robi wrażenia łatwego z punktu widzenia uciezki - odezwała się Angie. - W tych okolicznościach.

Detektyw Dykema skinęła głową.

- A mimo to je wybrali. Ciekawe, co wiedzą oni, czego my nie wiemy?

O siódmej zebraliśmy się na ruchomym stanowisku dowodzenia policji bostońskiej, gdzie porucznik Doyle przedstawił nam swoją wersję mowy zagrzewającej do akcji.

- Jak spieprzycie robotę, to jest tam wystarczająco dużo wysokich skał, żeby skoczyć. Dlatego - poklepał Poole'a po kolanie - nie spieprzcie roboty.

- To bardzo inspirujące, co pan mówi, panie poruczniku.

Doyle sięgnął pod stolik komputerowy, wyjął niebieską torbę sportową i rzucił ją Broussardowi na kolana.

- To pieniądze, które pan Kenzie dostarczył dziś rano. Są przeliczone i spisano

numery banknotów. Jest dokładnie dwieście tysięcy dolarów. Ani centa mniej. Wasza głowa, żeby w tym stanie wróciły.

Radio, które zajmowało jedną trzecią konsoli, zaskrzeczało:

- Melduje się jednostka pięćdziesiąt dziewięć. Odbiór. Doyle podniósł słuchawkę z widełek i włączył nadawanie.

- Tu stanowisko dowodzenia. Słucham, pięćdziesiąt dziewięć.

- Mullen opuścił Devonshire Place w żółtej taksówce; jest na Storrow, jedzie na zachód. Jedziemy za nim. Odbiór.

- Na zachód? - zdziwił się Broussard. - Jakim cudem jedzie na zachód? Jakim cudem znalazł się na Storrow Street?

- Słuchaj, pięćdziesiąt dziewięć - powiedział Doyle. - Czy jesteście pewni tożsamości Mullena?

- Ach... - Zaległa dłuższa cisza z zakłóceniami w tle.

- Odpowiedz, pięćdziesiąt dziewięć. Odbiór.

- Tu pięćdziesiąt dziewięć, przechwyciliśmy rozmowę Mullena z przedsiębiorstwem taksówkowym i obserwowaliśmy, jak wsiada do taksówki przed tylnym wejściem do Devonshire. Odbiór.

- Pięćdziesiąt dziewięć, wygląda, że nie jesteście tacy pewni.

- Eee... widzieliśmy mężczyznę odpowiadającego fizycznemu opisowi Mullena, w czapeczce Boston Celtics i okularach przeciwsłonecznych... eee... Odbiór.

Doyle na chwilę zamknął oczy, położył słuchawkę na środku czoła.

- Pięćdziesiąt dziewięć, zidentyfikowaliście podejrzanego w sposób pewny czy nie zidentyfikowaliście? Odbiór.

Znów zaległa dłuższa cisza, zakłócona trzaskami.

- Eee... jak się tak zastanowiłem, to... nie. Ale jesteśmy całkiem pewni...

- Pięćdziesiąt dziewięć, kto z wami jest przy Devonshire Place? Odbiór.

- Sześćdziesiąt siedem. Czy mamy...

Doyle przerwał połączenie, wcisnął guzik nadawania i zaczął mówić do słuchawki:

- Sześćdziesiąt siedem, zgłoś się. Odbiór.

- Zgłaszam się sześćdziesiąt siedem. Odbiór.

- Podaj swoje namiary.

- Tu sześćdziesiąt siedem, jadę Tremont na południe. Partner idzie na piechotę. Odbiór.

- Sześćdziesiąt siedem, dlaczego jesteście na Tremont? Odbiór.

- Zgłaszam się, sześćdziesiąt siedem, jadę za podejrzanym. Podejrzany idzie na piechotę na południe wzdłuż Common. Odbiór.

- Sześćdziesiąt siedem, chcecie powiedzieć, że jedziecie Tremont na południe za Mullenem?

- Tu sześćdziesiąt siedem, potwierdzam.

- Sześćdziesiąt siedem, powiedz partnerowi, żeby zatrzymał pana Mullena. Odbiór.

- Eee... my nie...

- Polećcie partnerowi, żeby zatrzymał podejrzanego, sześćdziesiąt siedem. Odbiór.

- Tu sześćdziesiąt siedem. Zrozumiałem.

Doyle odłożył słuchawkę na konsolę, ścisnął nos u nasady i westchnął.

Angie i ja spojrzeliśmy na Poole'a i Broussarda. Broussard wzruszył ramionami. Poole z niesmakiem potrząsnął głową.

- Eee... sześćdziesiąt siedem, zgłaszam się. Odbiór.

Doyle wziął słuchawkę do ręki.

- Róbcie, co do was należy.

- Tak jest, to znaczy...

- Mężczyzna, którego śledzicie, nie jest Mullenem. Jasne?

- Jasne. Osobnik był ubrany jak podejrzany, ale...

- Sześćdziesiąt siedem, bez odbioru.

Doyle rzucił słuchawką o radio i potrząsnął głową. Oparł się w fotelu i spojrzął na Poole'a.

- Gdzie jest Gutierrez?

Poole złożył ręce na kolanach.

- Kiedy sprawdzałem ostatni raz, był w pokoju w Prudential Hilton. Wczoraj wieczorem przyjechał z Lowell.

- Kogo mu przydzielono?

- Czterooosobowy zespół. Dean, Gallagher, Gleason i Halpern. Doyle sprawdził nazwiska z listą, która leżała koło jego łokcia i gdzie były podane numery ich jednostek. Włączył radio.

- Czterdzieści dziewięć, tu stanowisko dowodzenia. Odezwij się. Odbiór.

- Czterdzieści dziewięć, zgłaszam się. Odbiór.

- Podaj swoją pozycję. Odbiór.

- Tu czterdzieści dziewięć. Dalton Street przy Hiltonie. Odbiór.

- Czterdzieści dziewięć, gdzie jest - Doyle spojrzął w leżącą koło jego łokcia listę - jednostka siedemdziesiąt trzy? Odbiór.

- Tu czterdzieści dziewięć, detektyw Gleason jest w holu. Detektyw Halpern pilnuje tylnego wyjścia. Odbiór.

- A gdzie jest podejrzany? Odbiór.

- Podejrzany jest w swoim pokoju. Odbiór.

- Potwierdź, czterdzieści dziewięć. Odbiór.

- Potwierdzam. Odezwę się. Bez odbioru.

Podczas gdy czekaliśmy na odpowiedź, nikt się nie odzywał. Nawet nie patrzyliśmy na siebie. Tak samo bywa, kiedy oglądasz mecz futbolowy i wiesz, że chociaż twoja drużyna ma sześciopunktową przewagę i do końca meczu zostały tylko cztery minuty, to jednak czujesz, że w jakiś sposób przegra, tak samo my, cała piątka, czuliśmy, że wszelka przewaga, jaką mogliśmy mieć, uszła gdzieś szparą pod drzwiami w zapadający zmierzch. Jeżeli Mullen tak łatwo wymknął się czterem doświadczonym detektywom, to ile razy udawało mu się to w ciągu kilku ostatnich dni? Ile razy policja, przekonana, że śledzi Mullena, w rzeczywistości śledziła kogoś innego? A Mullen mógł z powodzeniem w tym czasie odwiedzać Amandę McCready. Mógł opracowywać drogę dzisiejszej ucieczki ze wzgórz. Mógł przekupywać policjantów, żeby się w odpowiednim momencie odwrócili, albo wybierać tych, których wyeliminuje gdzieś po ósmej w ciemnościach wśród wzgórz.

Jeżeli od samego początku wiedział, że go śledzimy, to mógł nam pokazywać wszystko, co chciał, żebyśmy widzieli i podczas gdy na to patrzyliśmy, za naszymi plecami robić to, czego mieliśmy nie widzieć.

- Zgłaszam się, czterdzieści dziewięć. Mamy problem. Znikł Gutierrez. Powtarzam: znikł Gutierrez. Odbiór.

- Jak dawno, czterdzieści dziewięć? Odbiór.

- Trudno powiedzieć. Jego wynajęty samochód w dalszym ciągu stoi w garażu. Ostatniej obserwacji fizycznie dokonaliśmy o siódmej. Odbiór.

- Tu stanowisko dowodzenia, bez odbioru.

Przez chwilę wydawało się, że Doyle zmiążdży słuchawkę w rękę, w końcu jednak położył ją delikatnie i precyzyjnie w rogu stołu.

- Prawdopodobnie na dzień albo dwa przedtem, nim się zameldował, umieścił w garażu inny samochód - powiedział Broussard.

Doyle skinął głową.

- Kiedy się skontaktuję z innymi jednostkami, to jak myślicie, ilu ludzi Olamona okaże się nieuchwytnych?

Nikt nie odpowiedział, ale nie sądzę, żeby Doyle oczekiwał odpowiedzi.

18

Jeśli wyruszysz z mojej dzielnicy na południe i przekroczysz Neponset River, znajdziesz się w Quincy, od dawna uważanym przez ludzi z pokolenia mojego ojca za rodzaj przystanku dla imigrantów irlandzkich, na tyle dobrze sytuowanych, że już mogli się wynieść z Dorchester, ale jeszcze nie dość bogatych, by się dostać do Milton, eleganckiego irlandzkiego przedmieścia, położonego kilka kilometrów na północny zachód. Jadąc dalej na południe drogą międzystanową numer 93, tuż przed Braintree zobaczysz ciągnące się w kierunku zachodnim płowe wzgórza, które wyglądają tak, jakby miały się za chwilę rozsypać.

To właśnie tutaj ojcowie Quincy odkryli złoża granitu tak bogate w czarne krzemiany i zadymione kwarcy, że musiały się mienić u ich stóp jak rzeka diamentów. Pierwsza kolej towarowa w kraju, zbudowana w 1827 roku, właśnie w Quincy, wśród wzgórz, miała szyny mocowane do podłoża metalowymi sworzniami, tak żeby można było transportować granit nad rzekę Neponset, gdzie ładowano go na szkunery i transportowano do Bostonu albo na południe do Manhattanu, Nowego Orleanu, Mobile i Savannah.

Ten stuletni boom granitowy pozostawił po sobie budynki, które oparły się zarówno czasowi, jak i modom - imponujące biblioteki, siedziby władz, wielkie kościoły, potężne więzienia, które tłumili dźwięki, Światło i wszelką nadzieję na ucieczkę, kanelowane kolumny, zdobiące bogate rezydencje w całym kraju, oraz Bunker Hill Monument. Po wydartym ziemi granicie pozostały dziury. Głębokie i

szerokie. Dziury, które nigdy nie były wypełnione niczym innym, jak tylko wodą.

W ciągu lat, gdy przemysł granitowy umarł śmiercią naturalną, kamieniołomy stały się ulubionym wysypiskiem wszelkiego rodzaju śmieci: kradzionych samochodów, starych lodówek i kuchenek, ludzkich ciał. Co kilka lat, kiedy znika dziecko, które tu zablądziło, albo skazany na dożywocie więzień Walpole przyznaje się, że zaginioną prostytutkę zrzucił z jednej ze skał, kamieniołomy stają się terenem ożywionych działań różnych służb: odbywają się tu poszukiwania, gazety publikują mapy topograficzne i zdjęcia podwodne, ukazujące zatopione tereny i zdewastowane, odarte z bogactw naturalnych pasma górskie, ostre zęby skalne i wyłaniające się spod stumetrowej warstwy wody deszczowej granie przypominające duchy Atlantydy.

Czasem zaginione ciała się znajdują, a czasem nie. Kamieniołomy, niepokojone podwodnymi sztormami czarnego mułu i nagłymi, niezgodnymi z logiką przesunięciami terenu, obfitują w pólki i szczeliny, które zdradzają swoje tajemnice ze skwapliwością Watykanu.

Kiedy brnęliśmy w górę nasypu starej linii kolejowej, łamiąc gałęzie, które nas biły po twarzach, deptając chwasty, potykając się w ciemnościach o odłamki skał, ślizgając się na zdradliwych gładkich kamieniach i klnąc pod nosem na czym świat stoi, złapałem się na myśli, że gdybyśmy byli pionierami, usiłującymi przejść przez te wzgórza i dotrzeć do rezerwuaru wodnego po drugiej stronie, w Blue Hills, to już do tej pory byśmy dawno nie żyli. Z pewnością jakiś mocno wkurzony niedźwiedź, łoś czy oddział indiański na ścieżce wojennej zabiłby nas za samo zakłócanie spokoju.

- Może głośniej - powiedziałem, kiedy Broussard poślizgnął się w ciemnościach, walnął golenią o kamień i następnie go kopnął.

- A co - obruszył się - wyglądam ci na Jeremiaha Johnsona? Kiedy ostatni raz byłem w lesie, kochałem się po pijanemu i z miejsca, w którym to robiłem, widziałem autostradę.

- Kochałeś się? - odezwała się Angie. - Mój Boże.

- Masz coś przeciwko seksowi?

- Mam coś przeciwko robactwu - wyjaśniła Angie. - Brrr.

- Czy to prawda, że kiedy kochasz się w lesie, to zapach seksu przyciąga niedźwiedzie? - zapytał Poole. Oparł się na chwilę o pień drzewa, chłonąc nocne powietrze.

- Tu już nie ma żadnych niedźwiedzi.

- Nigdy nie wiadomo. - Poole spojrział w stronę ciemnych drzew. Na chwilę

położył torbę z pieniędzmi na ziemi, koło nóg, wyjął z kieszeni chustkę i wytarł spocony kark i poczerwieniałą twarz. Spazmatycznie łapiąc powietrze, kilka razy przełknął.

- Dobrze się czujesz? Poole?

Skinął głową.

- Dobrze. Tylko nie mam formy. No i cóż... starość.

- Chcesz oddać torbę komuś z nas? - zapytała Angie.

Poole skrzywił się i dźwignął ciężar. Wskazał w górę wzniesienia. - „Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu”⁶.

- To nie wyłom - powiedział Brussard - to wzniesienie.

- Cytowałem Szekspira, prostaku. - Poole oderwał się od drzewa i ruszył w górę.

- To raczej należałoby powiedzieć: „Moje królestwo za konia!”⁷. To by było znacznie stosowniejsze - rzekł Broussard. Angie kilka razy odetchnęła głęboko i pochwyciła jego wzrok.

- Jesteśmy starzy.

- Jesteśmy starzy - zgodził się.

- Uważasz, że czas to wszystko rzucić w pioruny? - spytałem.

- Bardzo bym chciał. - Uśmiechnął się i znów zaczerpnął tchu. - Tylko że moja żona... Tuż przed naszym ślubem miała wypadek samochodowy, w którym doznała licznych złamań. Ale nie była ubezpieczona. Czy zdajesz sobie sprawę, ile może kosztować leczenie po złamaniach? Człowieku, przejdę na emeryturę dopiero wtedy, kiedy zacznę ścigać przestępców, chodząc o balkoniku.

- Ktoś mówi o balkoniku? - odezwał się Poole. Spojrzał w górę na strome zbocze. - Przydałby się. Jeszcze jak.

Jako chłopak wielokrotnie przebywałem tę drogę, aby dotrzeć do wodopojów Granite Rail czy Swingle's Quarry. To było oczywiście niedozwolone, teren ogrodzony i patrolowany przez strażników przyrody, ale zawsze były jakieś „drzwi”, jakaś dziura wycięta w siatce - naturalnie jeśli się wiedziało, gdzie jej szukać, a jeśli się nie wiedziało, brało się odpowiednie narzędzia i samemu załatwiało sprawę. Strażników

⁶ Wiliam Szekspir, *Życie Henryka V*, Akt III, sc. 1, przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).

⁷ Wiliam Szekspir, *Tragedia Ryszarda III*, Akt V, sc. 4, przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).

było za mało, musieli patrolować dziesiątki kamieniołomów i chronić teren przed setkami chłopaków, którzy w upalne letnie dni tu się pchali.

A więc zdobywałem już wcześniej te szczyty. Piętnaście lat temu. W świetle dnia.

Teraz było trochę inaczej. Po pierwsze, nie miałem formy nastolatka. Zbyt wiele sińców, zbyt wiele barów i o wiele za dużo kolizji z różnymi ludźmi i ze stołami bilardowymi, nie mówiąc o spotkaniu z przednią szybą samochodu i z jezdnią. Wszystko to razem sprawiło, że w kościach mi trzeszczało, tu i tam odczuwałem tępe bóle i rwania, jak ktoś dwa razy starszy ode mnie albo zawodowy futbolista.

Po drugie, tak jak i Broussard, raczej nie byłem niedźwiedziem pana Adamsa i nie najlepiej czułem się w świecie bez asfaltu i dobrych delikatesów. Raz do roku odbywałem wycieczkę z moją siostrą i jej rodziną na Mount Rainier w stanie Waszyngton; cztery lata temu zostałem zmuszony do wypadu pod namiot przez kobietę, która uwielbiała „łono natury” i uważała się za naturalistkę, prawdopodobnie tylko dlatego, że zaopatrywała się w sklepach z rzeczami z demobilu. Wyprawa do Maine była zaplanowana na cztery dni, ale wytrzymałaliśmy tylko jedną noc i po zużyciu całego pojemnika środka przeciwko owadom uciekliśmy do Camden, stęsknieni za łóżkiem i wygodami.

Kiedy drapaliśmy się pod górę do Granite Rail Quarry, zastanawiałem się nad moimi towarzyszami. Doszedłem do wniosku, że żadne z nich nie wytrzymałoby nawet tamtej pierwszej nocy na kempingu. Może w słońcu, w dobrych butach turystycznych, z solidnym czekanem i dobrym wyciągiem do dyspozycji - może wtedy nasze postępy byłyby lepsze, a tak dopiero po dwudziestu minutach dyszenia i drapania się pod górę, oświetlania latarkami śladów i resztek linii kolejowej, nieczynnej od niemal stu lat, poczuliśmy świeży powiew od wody.

Żaden zapach nie jest tak świeży i tak chłodny i nie kryje w sobie takiej obietnicy jak zapach wody w kamieniołomach. Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak jest, bo to przecież tylko nawarstwiająca się przez dziesięciolecia woda deszczowa pomiędzy ścianami granitu, zasilana i odświeżana przez podziemne źródła, ale w chwili kiedy wciągnąłem w nozdrza ten zapach, miałem znów szesnaście lat i upajałem się uczuciem towarzyszącym skokowi z Heaven's Peak, dwudziestometrowej skały w Swingle's Quarry; widziałem, jak się pode mną otwiera, niby dłoń, jasnozielony bezmiar wody i znów wisiałem, nieważki i bezcielesny jak duch, w otaczającym mnie pustym, niesamowitym powietrzu. A potem spadałem i powietrze zamieniało się w szalejące tornado, które uderzało we mnie z dołu, od strony zbliżającego się jeziora

zieleni, a z otaczających mnie dokoła pól, ścian i skał eksplodowały czerwienią, czernią, złotem i błękitem graffiti i wtedy, kiedy moje ciało już już miało przebić powierzchnię wody - palce stóp ściągnięte w dół, dłonie ciasno przy biodrach - by znaleźć się wśród tych wszystkich samochodów, lodówek i szkieletów, właśnie wtedy czułem tę czystą, zimną i nagle przejmującą trwogą woń stuletnich kropel deszczu.

Z upływem czasu - kiedy mniej więcej raz na cztery lata kamieniołomy zabierały jedno młode życie, nie mówiąc już o zwłokach zrzucanych ze skał pod osłoną nocy i znajdujących, jeśli w ogóle, po latach - otóż z upływem czasu, czytając gazety, powtarzałem za dziennikarzami, działaczami samorządowymi i zrozpaczonymi rodzicami: „Dlaczego? Dlaczego?”.

Dlaczego dzieciaki - szczury kamieniołomów, jak się w moim pokoleniu nazywaliśmy - mają taką potrzebę skakania z dwudziestometrowych skał do głębokiej na sześćdziesiąt metrów wody, zaminowanej skalnymi kolcami, samochodowymi antenami, polanami drewna i Bóg raczy wiedzieć, czym jeszcze?

Nie mam zielonego pojęcia. Skakałem, bo byłem chłopakiem. Bo mój ojciec był porąbanym gliniarzem, mój dom nieustannym policyjnym kotłem, a my z siostrą przez większość życia, które tak naprawdę trudno było nazwać życiem, szukaliśmy miejsca, żeby się ukryć. Bo często, kiedy tak stałem na szczycie, patrząc w dół na odwróconą czasę zieleni, która się obracała, odsłaniając się przede mną coraz bardziej, w miarę jak skręcałem szyję - bo właśnie wtedy czułem lodowate pieczenie w żołądku i dojmującą świadomość każdej części ciała, każdej, nawet najmniejszej kostki, każdej żyłki. Bo czułem się czysty duchem w powietrzu i czysty ciałem w wodzie. Skakałem, żeby udowodnić pewne rzeczy przyjaciołom, a kiedy te rzeczy już udowodniłem, skakałem, bo byłem od tego skakania uzależniony - byłem uzależniony od wyszukiwania coraz to wyższych skał i coraz gwałtowniejszych spadków. Skakałem z tego samego powodu, z jakiego zostałem prywatnym detektywem - ponieważ nienawidzę wiedzieć, co będzie za chwilę.

- Muszę odsapnąć - powiedział Poole. Złapał się grubego pnącza, wyrastającego tuż przed nami i zachwiał się niebezpiecznie. Torba z pieniędzmi wypadła mu z ręki, a Poole poślizgnął się na błocie i z impetem siadł na niej, dalej kurczowo trzymając się pnącza.

Byliśmy jakieś piętnaście metrów od wierzchołka. Widziałem delikatne migotanie zielonej wody, niby strzęp chmury odbijającej ciemne skały i wiszącej w kobaltowej otchłani nieba, za ostatnim górskim grzbietem.

- Jasne, bracie, jasne. - Broussard zatrzymał się i stał przez chwilę przy starszym koledze, który ciężko dysząc, położył sobie latarkę na kolanach.

W ciemności Poole wydawał się trupioblady. Dosłownie świecił. Jego chrapliwy oddech z trudem wydobywał się w ciemność nocy, a oczy jak gdyby pływały w oczodołach, szukając czegoś, czego nie mogły zlokalizować.

Angie uklękła obok niego i położyła mu rękę pod brodą, starając się wyczuć puls.

- Weź głęboki oddech.

Poole skinął głową. Oczy wychodziły mu z orbit, próbował łapać powietrze.

Broussard ukucnął.

- W porządku, stary?

- W porządku - zdołał odpowiedzieć Poole. - Super. Pot z twarzy spłynął mu na szyję i zmoczył kołnierzyk. - Jestem już za stary, żeby się tak wdrapywać. - Zakasłał. Angie spojrzała na Broussarda, a ten popatrzył na mnie. Poole znów zakasłał. Skierowałem na niego promień latarki i zobaczyłem na jego brodzie maleńkie plamki krwi.

- Chwileczkę - powiedział.

Potrząsnąłem głową, a Broussard wyjął z kieszeni kurtki walkie-talkie.

Poole złapał go za rękę.

- Co ty robisz?

- Wzywam pomoc - odparł Broussard. - Musimy cię zdjąć z tej góry.

Poole zacieśnił chwyt na nadgarstku Broussarda i zaniósł się kaszlem tak gwałtownym, że był bliski konwulsji.

- Nikogo nie będziesz wzywał. Mieliśmy być tylko my czworo.

- Poole - powiedziała Angie - ty tu nie możesz zostać. Poole spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Nic mi nie jest.

- Bzdura. - Broussard odwrócił się, żeby nie patrzeć na kropelki krwi na brodzie kolegi.

- Naprawdę. - Poole poruszył się i owinął sobie rękę pnączem. - Idźcie dalej, dzieci. Idźcie dalej. - Uśmiechnął się, ale kąciki jego ust zadrgały w spoconej twarzy.

Spojrzeliliśmy na niego. Wyglądał jak zdjęcie z nagrobka. Kolorem skóry przypominał surowy sznycel, nie mógł też skoncentrować wzroku. Jego oddech brzmiał jak szum deszczu na szybie.

Ale chwyt na nadgarstku Broussarda dalej pozostał mocny jak chwyt dozorczy

więziennego. Poole patrzył na nas troje, jakby próbował zgadnąć, co myślimy.

- Jestem stary i sprawiam wam kłopot - powiedział. - Ale zaraz będzie dobrze. Nie znajdziecie tej dziewczynki. Nie będzie jej.

- Ale j e j ja nie znam, Poole. Rozumiesz?

Poole skinął głową i wzmocnił uścisk na ręce Broussarda, która aż poczerwieniała.

- Doceniam to, synu. Naprawdę to doceniam. Ale jaka jest pierwsza rzecz, której cię uczyłem?

Broussard odwrócił się, a jego oczy zalśniły w świetle latarki Angie, które odbiło się od piersi Poole'a i trafiło w jego źrenice.

- Czego cię uczyłem?

Broussard odchrząknął i splunął między drzewa.

- No?

- Że obowiązek na pierwszym miejscu. - Głos Broussarda zabrzmiał tak, jakby Poole puścił jego rękę i złapał go za gardło.

- Zawsze - powiedział Poole i przewrócił oczami w stronę grzbietu wzgórze za nim.

- To idź i spełnij swój obowiązek.

- Ale ja...

- Tylko żebyś się nie ważył nade mną rozczulać, chłopcze. W żadnym razie. Bierz torbę i idź.

Broussard spuścił głowę, sięgnął pod Poole'a, wyciągnął torbę i otrzepał ją z błota.

- Idźcie - powiedział Poole. - Już.

Broussard uwolnił dłoń z jego uścisku i wstał. Spojrzał w stronę ciemnego lasu jak dziecko, któremu właśnie powiedziano, co znaczy „jesteś sam”.

Poole spojrzał na mnie i na Angie i uśmiechnął się.

- Poradzę sobie. Uratujecie małą, to wtedy wezwiecie pomoc.

Odwróciłem się. Moim zdaniem Poole musiał właśnie przejść lekki zawał. Ale ta krew z płuc, której ślady zostały mu na brodzie, nie napawała optymizmem. Patrzyłem na człowieka, który jeśli szybko nie dostanie pomocy, z pewnością umrze.

- Ja zostaję - powiedziała Angie.

Spojrzelśmy na nią - dalej klęczała koło Poole'a, a teraz przejechała mu ręką po trupioblady czole i przeczesła palcami szczecinę włosów.

- Jeszcze czego - rzekł Poole i pacnął ją w rękę. Zadarł głowę i spojrzał jej w oczy. - To dziecko dziś w nocy umrze, panno Gennaro.

- Angie.

- To dziecko dziś w nocy umrze, Angie. - Zazgrzytał zębami, skrzywił się pod wpływem bólu za mostkiem i przelknął z trudem ślinę, żeby się go pozbyć. - Jeśli czegoś nie zrobimy. Ale żeby ją stąd wydobyć w jednym kawałku, potrzebujemy każdej osoby, jaką mamy. Więc pamiętaj - szarpiąc się przez chwilę z pnączem, zdołał się trochę unieść - idziesz do kamieniołomów i koniec. Tak samo ty, Patrick. - Odwrócił się do Broussarda. - A ty przede wszystkim. Idźcie już.

Ale żadne z nas się nie kwapiło. To było oczywiste. Poole wyciągnął ramię i tak skręcił nadgarstek, że zobaczyliśmy podświetlone wskazówki jego zegarka: 8.03. Byliśmy spóźnieni.

- Idźcie do cholery! - syknął.

Spojrzałem na szczyt wzgórza, następnie w bok, na ciemny las za plecami Poole'a, a potem na niego. Siedział z nogami szeroko rozłożonymi i jedną stopą odchyloną na bok, wyglądał jak zdjęty z kija strach na wróble.

- Idźcie!

Zostawiliśmy go i podjęliśmy wspinaczkę. Prowadził Broussard ścieżką pozarastaną tu i tam kępami chwastów i kolczastych krzewów. Jeśli nie liczyć odgłosów naszego marszu, noc była tak cicha, jakbyśmy tu byli jedynymi żywymi istotami.

Jakieś trzy metry od szczytu napotkaliśmy wysoką na trzy i pół metra drucianą siatkę, ale nie stanowiła większej przeszkody. Cały jej kawał, wielkości drzwi garażu, był wycięty i przeszliśmy przez dziurę, nawet się nie zatrzymując.

Na szczycie wzgórza Broussard przystanął, ale tylko po to, żeby wyciągnąć walkietalkie i szepnąć:

- Jesteśmy w kamieniołomie. Sierżant Raftopoulos zasłabł. Na mój sygnał - powtarzam: na mój sygnał - wyślijcie ekipę ewakuacyjną na nasyp kolejowy, piętnaście metrów od szczytu. Czekaście na mój sygnał. Potwierdź.

- Potwierdzam.

- Bez odbioru. - Broussard z powrotem schował krótkofalówkę do kieszeni płaszcza.

- Co teraz? - zapytała Angie.

Staliśmy na skale na wysokości jakichś dwunastu metrów nad wodą. W ciemności widziałem zarysy innych skał, grani, wystających półek skalnych. Zaraz na lewo od nas ciągnęła się linia wyrąbanych, najeżonych i poszarpanych granitów, a jakieś trzy, pięć metrów nad nami sterczało kilka ostrych wierzchołków. Na prawo, przez jakieś

sześdziesiąt metrów, ciągnęła się płaszczyzna, która w pewnym miejscu skręcała, stając się znów nierównym, poszarpanym pasmem wzgórz, strzelającym w górę, w ciemność. Poniżej czekała woda - szeroki jasnoszary krąg na tle czarnych skalnych ścian.

- Kobieta, która zadzwoniła do Lionela, zażądała, żebyśmy czekali na instrukcje - powiedział Broussard. - Widzicie jakieś instrukcje?

Angie poświeciła latarką dokoła naszych stóp, po granitowych ścianach, i przeniosła łukiem promień na drzewa i krzaki. Tańczące światło przypominało niedowidzące oko rejestrujące migawki ciemnego, obcego świata, który w odległości dosłownie centymetrów mógł się nieoczekiwanie zmienić - z kamienia w mech, w białą poobijaną korę, w miętowozieloną roślinność. A linia drzew była poprzetykana, jak nicią dentystyczną, srebrnymi paskami metalowej siatki.

- Nie widzę żadnej instrukcji - oznajmiła Angie.

Wiedziałem, że gdzieś tam jest Bubba. Być może w tej chwili nas widział. Może widział też Mullena i Gutierrezza czy kogokolwiek, kto tam z nimi był. Może nawet widział Amandę McCready. Nadjechał od strony Milton, przecinając Cunningham Park i dalej poszedł ścieżką, którą odkrył wiele lat temu, kiedy wyrzucał tu trefną broń, samochód czy ciało - cokolwiek, czego pozbywali się w kamieniołomach faceci tacy jak on.

Z pewnością miał broń z celownikiem noktowizyjnym. W tym celowniku wyglądaliśmy, jakbyśmy stali w mętym świetle wodorostów i poruszali się jak na fotografii, która na jego oczach dopiero się wywoływała.

Na biodrze Broussarda ożyło walkie-talkie, którego skrzeczenie zabrzmiało w tej ciszy jak krzyk. Przez chwilę coś przy nim majstrował, po czym przytknął je do ust.

- Broussard.

- Tu Doyle. Szesnasty komisariat odebrał właśnie telefon od kobiety, która ma dla ciebie wiadomość. Wydaje nam się, że to ta sama, która dzwoniła do Lionela McCready'ego.

- Tu Broussard. Co to za wiadomość?

- Detektyw Broussard ma iść w prawo w górę do południowych skał. Kenzie i Gennaro mają iść w lewo.

- To wszystko?

- To wszystko. Doyle. Bez odbioru.

Broussard z powrotem przypiął walkie-talkie na biodrze i spojrzał na linię skał po

drugiej stronie wody.

- Dziel i rządź.

Kiedy Broussard na nas spojrzał, jego oczy były małe i puste. Wyglądał znacznie młodziej niż zwykle. Zdenerwowanie i strach odjęły mu dziesięć lat.

- Bądź ostrożny - powiedziała Angie.

- Wy też.

Staliśmy w miejscu jeszcze przez kilka sekund, jakbyśmy uważali, że dzięki bezruchowi zdołamy odsunąć to, co nieuniknione, chwilę, w której odkryjemy, czy Amanda McCready żyje, czy nie i w której cała ta nadzieja i planowanie przestaną nas dotyczyć, a los tego, kto został skrzywdzony, uprowadzony czy zabity, już nie będzie od nas zależał.

- No to co - odezwał się w końcu Broussard. - Niech to szlag. - Wzruszył ramionami i poszedł przed siebie płaską ścieżką, a my widzieliśmy tańczące przed nim w kurzu światło latarki.

Angie i ja cofnęliśmy się mniej więcej o trzy metry od krawędzi i ruszyliśmy przed siebie, aż zobaczyliśmy szczelinę i grubą na jakieś piętnaście centymetrów granitową płytę. Złapałem Angie za rękę i przekroczyliśmy szczelinę, by znaleźć się na następnej płycie, po której szliśmy dalej, aż napotkaliśmy ścianę.

Wznosiła się na wysokość trzech metrów, kremowobeżowa ze smugami czekoladowego brązu. Przypominała ciasto marmurkowe. Sześciotonowe ciasto marmurkowe, ale jednak.

Zaświeciliśmy latarkami w lewo i zobaczyliśmy tylko masę skalną, ciągnącą się przez jakieś dziewięć metrów i niknącą wśród drzew. Oświetliłem latarką miejsce przed sobą i zauważyłem nacięcia, jakby ktoś wyrzeźbił w skale warstwy. Na wysokości dwóch i pół metra wystawała szeroka na jakieś trzydzieści centymetrów krawędź, uśmiechając się do mnie kamiennymi ustami, a ponad metr nad nią uśmiechały się drugie, większe usta.

- Dużo się ostatnio wspinałaś? - zapytałem Angie.

- Chyba nie myślisz...? - Promień jej latarki zatańczył na wznoszącej się przed nami ścianie.

- Nie widzę innego wyjścia. - Wręczyłem jej latarkę i zadarłem nogę, starając się wyczuć pierwszy, mniejszy występ. Spojrzałem przez ramię na Angie. - Na twoim miejscu nie stałbym tak dokładnie pode mną. Mogę się całkiem szybko zwalić.

Skinęła głową i przesunęła się w lewo, obydwoma latarkami oświetlając ścianę i

patrzac, jak kilkakrotnie czubkiem stopy naciskam skalny wystep, zeby sie przekonac, czy usmiech pod moim butem przypadkiem sie nie odkruszy. Kiedy to sprawdzilem, wybillem sie w gore i uchwycilem rekami nastepny wystep skalny. Ale palce zeslizgnely mi sie z pokrytej warstwa pylu i soli powierzchni, a ja oderwalem sie od sciany i spadlem na tytek.

- To bylo dobre - powiedziala Angie. - Widac, ze masz genetyczne predyspozycje do wszystkich sportow.

Wstalem, wycierajac rece o dzinsy. Spojrzalem na Angie spode lba, sprobowalem jeszcze raz i jeszcze raz polecialem na tytek.

- Zaczyna sie robic nerwowo - zauwazyła Angie.

Za trzecim razem utrzymalem sie przez dobre pietnascie sekund, zanim krawedz skalna wyslizgnela mi sie z rak.

Angie zaswiecila mi w twarz, kiedy patrzyłem w gore na cholerny kawalek upartego granitu.

- Moze teraz ja? - zaproponowala.

Wzialesm od niej latarki i oswietlilem sciane.

- Proszę bardzo.

Cofnela sie pare krokow, oceniajac mozliwosci. Kilka razy ukucnela i podniosla sie, rozciagajac ciało od talii w gore i cały czas gimnastykujac palce. Zanim sie zdazyłem zorientowac, co kombinuje, rozpędzila sie i biegiem ruszyła na sciane. Na kilkanaście centymetrów przed nieuchronnym, zdawaloby sie, zderzeniem, w stylu zderzenia Wile'a E. Coyote'a z namalowanymi drzwiami, ulokowala stopę na nizszym wystepie, chwytajac przy tym reką za ten wyzszy. Jednocześnie dzwignela drobne ciało na wysokość dodatkowego pol metra i reką siegnela szczytu skały. Wisiala tak ze trzydzieści sekund, przylepiona płasko do sciany, jakby ją ktoś do niej dociskal.

- Co zamierzasz zrobic dalej? - zapytałem.

- Pomyślalam, ze tak tu chwile powisze.

- Czyzby nuta ironii?

- Dostrzegles ja?

- O, to jeden z moich talentow.

- Patrick - powiedziala tonem, przypominajacym mi moja matke i kilka zakonnic, ktore znalem. - Podejdz tu blizej i pchnij mnie w gore.

Jedna latarke zatknalem za klamre paska, tak zeby swiecila mi w twarz, a druga wsadzilem do tylnej kieszeni spodni. Nastepnie stanalem pod Angie, podlozylem

dłonie pod jej stopy i pchnąłem w górę. Te dwie latarki razem wzięte były prawdopodobnie cięższe od niej. Strzeliła w górę po skalnej ścianie, a ja maksymalnie wyciągnąłem ramiona i poczułem, jak pięty Angie odrywają się od moich dłoni. Obróciła się na szczycie, na czworakach, i wyciągnęła rękę.

- Gotowy, mój olimpijczyku? Zakasłałem, przysłaniając ręką usta.

- Prosię.

Cofnęła rękę i uśmiechnęła się.

- Coś mówiłeś?

- Powiedziałem, że muszę przełożyć i tę drugą latarkę do tylnej kieszeni.

- Jasne. - Ponownie wyciągnęła rękę.

Kiedy już znalazłem się na górze, oświetliliśmy latarkami górną krawędź skały. Ciągnęła się na przestrzeni około dwudziestu metrów, bez żadnej szczeliny, gładka jak kula bilardowa. Leżąc na brzuchu i wystawiając głowę i latarkę poza krawędź ściany, patrzyłem, jak opada, ponad dwadzieścia metrów, pionowo i gładko do wody.

Znajdowaliśmy się mniej więcej w połowie północnej części kamieniołomu. Dokładnie po drugiej stronie wody wznosiły się rzędem skały i półki skalne, upstrzone graffiti, wśród których sterczała pozostawiona przez jakiegoś przypadkowego wspinacza klamra. Woda, oświetlona moją latarką, drgała jak powietrze nad rozgrzanym asfaltem. Miała kolor jasnej zieleni, taki jak zapamiętałem, może trochę bardziej mleczny, ale wiedziałem, że kolor potrafi być zwodniczy. Ubiegłego lata szukający w tych wodach ciała nurkowie musieli zaprzestać poszukiwań, kiedy natrafili na wielkie zagęszczenie łupku, które, wraz z brakiem widoczności normalnym na głębokości przekraczającej czterdzieści pięć metrów, sprawiło, że widzieli co najwyżej na odległość niecałego metra. Przesunąłem promień latarki przez wodę, po drodze wyławiając z ciemności pływające wśród zieleni: tablicę rejestracyjną, kawałek bala, wygryziony w środku przez jakieś zwierzęta, tak że przypominał canoe i skrawek czegoś okrągłego w kolorze ludzkiego ciała.

- Patrick - powiedziała Angie.

- Poczekaj chwileczkę. Poświeć no tutaj. - Przeniosłem promień latarki na prawo, tam gdzie widziałem coś, co przypominało fragment ciała, ale zobaczyłem tylko wodę.

- Angie, teraz, na rany Chrystusa.

Leżała na skale obok mnie, świecąc latarką. Odległość dwudziestu metrów osłabiła nieco siłę światła, a jasna zieleń wody jeszcze potęgowała efekt. Równoległe kręgi naszych latarek przypominały oczy, które kołysały się na wodzie w przód i w tył,

w górę i w dół.

- Co widziałeś?

- Nie wiem. To mogła być skała...

Pod promieniem mojej latarki przepłynęło brązowe polano, a potem znów tablica rejestracyjna, zgnieciona, jakby ją z wściekłością zmięły potężne dłonie.

Może to mimo wszystko była skała... Białe światło, zielona woda i otaczająca nas czerń mogły płatać moim oczom figle. Gdyby to było ciało, to już byśmy je znaleźli. A poza tym ciała nie pływają, w każdym razie nie w kamieniołomach.

- Mam coś.

Połączyłem promień swojej latarki z promieniem latarki Angie i to podwójne światło wyłowilo z mroku głowę i martwe oczy... Pey, lalki Amandy McCready. Pływała na wznak w zielonej wodzie, a jej kretonowa sukienka w kwiatki była brudna i mokra.

O Jezusie, nie, pomyślałem.

- Patrick - powiedziała Angie - ona może być tam, pod wodą.

- Chwileczkę...

- Ona może być tam, pod wodą - powtórzyła, a ja usłyszałem odgłos jak gdyby kopnięcia, kiedy Angie przewróciła się na plecy i zsunęła but z lewej pięty.

- Angie, poczekaj. Musimy...

Po drugiej stronie kamieniołomu linia drzew za skałami eksplodowała. Pociski świstały między gałęziami, a tu i ówdzie wybuchały żółtobiałe fajerwerki światła.

- Mają mnie! Mają mnie! - rozległ się w walkie-talkie krzyk Broussarda. - Potrzebuję natychmiastowego wsparcia! Powtarzam: potrzebuję natychmiastowego wsparcia!

Nagle odłamek skały trafił mnie w policzek, a drzewa za nami ożyły świstem kul - połamane gałęzie spadały na ziemię, a pociski z metalicznym brzękiem odbijały się od ściany, wywołując deszcz iskier.

Zsunęliśmy się ze szczytu skały i złapałem walkie-talkie.

- Tu Kenzie. Jesteśmy pod ostrzałem. Powtarzam: jesteśmy pod ostrzałem od południa kamieniołomu.

Przeturlałem się głębiej w ciemność i zobaczyłem moją latarkę tam, gdzie ją zostawiłem. W dalszym ciągu oświetlała kamieniołom. Tym, którzy strzelali z drugiej strony wody, najprawdopodobniej służyła jako urządzenia naprowadzające.

- Dostałaś?

Angie potrząsnęła głową.

- Nie.

- Zaraz wracam.

- Co?

Znów otworzono ogień i grad kul posypał się na skały i drzewa za nami. Wstrzymałem oddech, czekając na przerwę. Kiedy wreszcie nastąpiła, odczułem ją w uszach jak ryk. Czołgając się w ciemnościach, trąciłem wierzchem dłoni latarkę, która poleciała gdzieś w stronę wody.

- Chryste - powiedziała Angie, kiedy się do niej doczołgałem. - Co teraz zrobimy?

- Nie wiem. Jeżeli mają noktowizory, to przepadliśmy.

Znów rozległa się kanonada. Za Angie zaczęły latać na wszystkie strony liście, a kule waliły w pnie drzew, łamiąc gałęzie. Ogień ustał na pół sekundy, gdy nasz wróg ponownie składał się do strzału i zaraz potem pociski uderzyły w ścianę pod nami, dokładnie po drugiej stronie występu skalnego, łomocząc w nią jak grad. Wystarczyłoby małe przesunięcie broni o trzy czy pięć centymetrów, a pociski przeleciałyby nad górną krawędzią ściany, trafiając nas w twarze.

- Muszę się ewakuować! - wrzasnął Broussard przez radio. - Natychmiast. Ogień z obu stron!

- Pomoc w drodze - odpowiedział chłodny, spokojny głos. Kiedy znów nastąpiła przerwa w strzelaniu, przycisnąłem guzik nadawania.

- Broussard.

- Tak. Co z wami? W porządku?

- Namierzeni.

- Ja też. - Usłyszałem z tamtej strony kanonadę, a kiedy spojrzałem przez kamieniołom, zobaczyłem wśród drzew białe błyski ognia.

- Skurwysyn! - wrzasnął Broussard.

A potem nad samym środkiem kamieniołomu otworzyło się niebo, ukazując dwa helikoptery z tak potężnymi reflektorami, że mogłyby z powodzeniem oświetlić cały stadion futbolowy. Na chwilę przestałem cokolwiek widzieć. Wszystko straciło kolor: biała była linia drzew, skalna ściana, woda.

Tę rozjarzoną biel zakłócił długi, ciemny przedmiot, który oderwał się od linii drzew po drugiej stronie i koziółkując w górę, przeleciał łukiem nad skałą, w kierunku wody. Zanim straciłem ten przedmiot z oczu, zdążyłem go jednak zidentyfikować jako karabin. Mimo to kanonada została wznowiona.

Nagle jednak wszystko ucichło. Kiedy wpatrywałem się w biel światła, mignęła mi końcówka kolby następnego karabinu, lecącego w stronę wody.

Jeden z helikopterów właśnie zataczał łuk nad linią drzew po stronie Broussarda i usłyszałem terkot broni automatycznej i wrzask sierżanta w radio:

- Wstrzymać ogień! Wstrzymaj ogień, pieprzony kretynie!

Zobaczyłem, jak w oślepiającym blasku zielone czubki drzew rwą się na strzepy, wylatując w powietrze, a potem ogień z helikoptera ustał, gdy nadleciała druga maszyna, kierując mi światło reflektorów prosto w twarz. Pęd powietrza obracającego się wirnika zwałił mnie z nóg i wtedy Angie złapała walkie-talkie i powiedziała:

- Wycofajcie się. Z nami wszystko w porządku. Jesteście na linii ognia.

Jaskrawe światło na moment znikło, a kiedy mój wzrok wrócił do normy i pęd powietrza osłabł, zauważyłem, że helikopter unosi się teraz na wysokości jakichś piętnastu metrów nad kamieniołomem, kierując reflektory na wodę.

Strzelanina ustała i wściekły mechaniczny hałas zastąpiło zawrozczenie silników i terkot śmigieł helikopterów.

Spojrzałem w plamę światła i zobaczyłem, jak zielona woda się kotłuje, a polano i tablica rejestracyjna odskakuje na fali od lalki Amandy. Odwróciłem się do Angie akurat w chwili, kiedy zsuwała z nogi prawy but i ściągała bluzę przez głowę. Miała na sobie tylko czarny stanik i dżinsy i drżała w rześkim powietrzu.

- Nigdzie nie będziesz skakała - powiedziałem.

- Oczywiście. - Skinęła głową, nachyliła się w stronę bluzy, przeleciała koło mnie jak burza i zanim zdążyłem się zorientować, co robi, już była w powietrzu; machała nogami, wysuwając pierś do przodu. Helikopter przechylił się na prawo, a ciało Angie skreśliło się w blasku jego reflektorów i zaraz potem wyprostowało.

Leciała jak pocisk.

W białym świetle jej sylwetka była ciemna. Z rękami przyciśniętymi mocno do ud wyglądała jak smukły posąg.

Przecięła wodę jak nóż rzeźnicki, czysto i precyzyjnie, zanim zniknęła mi z oczu.

- Mamy jednego w wodzie - powiedział ktoś przez walkie-talkie. - Mamy jednego w wodzie.

Jakby był pewny, że pójdę w jej ślady, pilot helikoptera zawrócił do skały, zrobił skręt w prawo i zawisł w powietrzu, drgając lekko na boki i tworząc przede mną rodzaj ściany.

Powodzenie skoków w kamieniołomach zależy w dużej mierze od szybkości i

dobrego wybicia. Należy skakać jak najdalej, żeby kaprysy powietrza i grawitacja nie zepchnęły cię z powrotem na skały. Z helikopterem przed nosem, nawet gdybym zdołał dać nura pod jego podwoziem, to i tak skierowany w dół strumień powietrza rzuciłby mną o skałę, robiąc ze mnie mokrą plamę.

Leżałem więc na brzuchu i wypatrywałem Angie. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki uderzyła w wodę, wiedziałem, że nawet gdyby zaczęła machać nogami zaraz po zanurzeniu głowy, to i tak zesłaby dość głęboko. Ale w tych kamieniołomach wszystko mogło się zdarzyć; nigdy nie wiadomo, co mają w zanadrzu: kłody drzewa czy stare lodówki czające się na podwodnych półkach skalnych.

Wynurzyła się w odległości jakichś piętnastu metrów od lalki, rozejrzała się spłoszona i znów zanurkowała.

W południowej części kamieniołomu, na szczycie poszarpanego masywu skalnego, pojawił się Broussard. Zaczął machać i helikopter zniżył się do niego. Broussard podniósł ręce i kiedy maszyna opuściła się jeszcze niżej, nocną ciszę przebił - niby zawodzenie wiertła dentystycznego - warkot silnika. Broussard już już sięgał ręką do podwozia helikoptera, ale odepchnął go silny podmuch wiatru.

Ten sam podmuch uderzył w helikopter przede mną, który o mało nie walnął w skałę. Maszyna cofnęła się i skręciła w prawo, a następnie nad środkiem kamieniołomu wykonała zwrot i ledwie zdążyłem zsunąć buty i zdjąć kurtkę, znów pojawiła się przede mną.

Tymczasem w dole Angie wynurzyła się ponownie i płynęła teraz w kierunku lalki. W pewnym momencie odwróciła głowę, zobaczyła helikoptery i ponownie zanurkowała.

Po tamtej stronie kamieniołomu drugi helikopter kolejny raz zniżył się do Broussarda, który cofnął się, jakby stracił równowagę, ale po chwili wyciągnął ręce, uchwycił się podwozia i wtedy maszyna poderwała się razem z nim i skierowała w stronę wody. Broussard machał w powietrzu nogami, a jego ciało podskakiwało w górę i w dół, w górę i w dół, zanim go wciągnięto do kabiny.

„Mój” helikopter szedł prosto na mnie. Zorientowałem się, niemal za późno, że próbuje wylądować. Zgarnąłem buty i kurtkę i wycofałem się z półki skalnej, przesuając się zarazem w lewo, gdy jednocześnie maszyna zanurkowała w kierunku skały, a następnie cofnęła się i ustawiła tylnym wirnikiem na lewo. Kiedy wróciła, na nieco wyższym poziomie, strumień powietrza ze śmigieł przewrócił mnie na ziemię, a wycie silnika uderzyło w bębny moich uszu z siłą kilofa.

Gdy się pozbierałem, helikopter odbił się od gładkiej powierzchni skały raz, a potem jeszcze dwa razy. Widziałem, jak w kabynie tężeje twarz pilota, szukającego punktu oparcia, i jak maszyna pikuje nosem, jednocześnie unosząc ogon i przez chwilę miałem wrażenie, że łopaty zawadzą o wypiętrzenie głazów, oddzielające szczyt skały od linii drzew.

Z kabiny wyskoczył policjant w granatowym kombinezonie i czarnym hełmie i na ugiętych nogach, z nisko pochyloną głową, ruszył biegiem w moją stronę.

- Kenzie? - wrzasnął.

Skinąłem głową.

- Chodź. - Złapał mnie za ramię i przydusił mi głowę do dołu, gdy tymczasem drugi helikopter wzniósł się znad wody i poleciał w stronę stoku, na którym zostawiliśmy Poole'a. Wiedziałem jednak, że nie ma siły, żeby tam wylądowali. Było za gęsto; nigdzie nawet najmniejszej polany. Jediną możliwością zabrania stamtąd Poole'a było spuszczenie człowieka z dodatkową uprzęzą i wciągnięcie chorego na pokład.

Policjant wepchnął mnie do kabiny, podczas gdy nad naszymi głowami dalej obracały się śmigła i kiedy tylko znalazłem się w środku, maszyna skoczyła ze skały, opuszczając się w dół.

Dostrzegłem Angie, do której właśnie schodziliśmy. Trzymając w jednej ręce lalkę Amandy, zniknęła pod wodą. Kiedy helikopter ślizgał się nad powierzchnią, woda zaczęła się burzyć i wirować.

- W górę! - wrzasnąłem. Drugi pilot spojrzał na mnie. Pokazałem kciukiem w stronę sufitu.

- Utopicie ją! Poderwać maszynę!

Drugi pilot trącił pierwszego i tamten pociągnął drążek sterowy, a mnie żołądek podjechał do gardła, kiedy helikopter przechylił się na prawo i zobaczyłem przed nami pokrytą graffiti ścianę, która po chwili od nas odpłynęła, a my wznieśliśmy się, zatoczyliśmy pełne koło i zawiśliśmy w końcu na wysokości jakichś dziesięciu metrów tam, gdzie po raz ostatni widzieliśmy Angie.

Wynurzyła się, młócąc rękami fale, które ją zalewały i wypluwając wodę, po czym obróciła się na plecy.

- Co ona robi? - zapytał siedzący obok mnie policjant.

- Płynie do brzegu - odparłem. Widziałem, jak Angie, płynąc na grzbiecie, kieruje się ku skałom, w lewej ręce trzymała lalkę Amandy, która w rytm jej ruchów zataczała

w powietrzu luki.

Policjant skinął głową. Cały czas trzymał karabin wycelowany w linię drzew.

Szkoła średnia, do której chodziła Angie, nie miała drużyny pływackiej, więc Angie startowała w Girls Clubs of America i w wieku szesnastu lat zdobyła w zawodach regionalnych srebrny medal. Pomimo lat palenia w dalszym ciągu miała silne uderzenie. Jej ciało puło wodę, prawie jej nie burząc i pozostawiając za sobą tak minimalny ślad, jakby była węgorzem.

- Będzie musiała iść na piechotę - krzyknął drugi pilot. - Nie wylądujemy tam.

Angie wyczuła małe skupisko poszarpanych skał dosłownie na chwilę przedtem, nim się z nimi zderzyła. Skręciła ciało i już dalej dryfując, dobiła do skalistego brzegu. Niezdarnie umieściła lalkę w szczelinie, a następnie wydzwignęła się na stały ląd.

Pilot opuścił maszynę koło skał, na których stała, i przez głośnik umieszczony nad reflektorem powiedział:

- Panno Gennaro, nie możemy pani zabrać. Ściany są za blisko jedna drugiej i nie mamy punktu oparcia.

Angie skinęła głową i pomachała nam zmęczonym ruchem. Jej ciało w ostrym świetle reflektora było białe, a mokre pasma czarnych włosów poprzylepiały się do policzków.

- Zaraz za tymi skałami - wołał dalej pilot przez głośnik - jest droga. Proszę nią iść, kierując się w lewo. W ten sposób powinna pani dojść do Ricciuti Drive. Tam ktoś będzie na panią czekał.

Angie uniosła oba kciuki i usiadłszy na skale, z lalką na kolanach, oddychała głęboko.

Już po chwili skurczyła się do rozmiarów jasnej kropki na tle czarnej skały, podczas gdy helikopter znów się przechylił i strzelił w górę, ponad ścianami kamieniołomu. Ziemia pod nami zaczęła uciekać o wiele za szybko, a my lecieliśmy nad starą linią kolejową, na zachód, ku narciarskim stokom Blue Hills.

- Czego ona tam szukała, do cholery? - Siedzący obok mnie policjant opuścił broń.

- Tej malej - odparłem.

- Do diabła, przecież my tam polecimy z nurkami.

- W nocy?

Gliniarz spojrział na mnie przez osłonę helmu.

- Niewykluczone - odparł z niejakim wahaniem w głosie. - A rano to już na pewno.

- Myślę, że miała nadzieję ją znaleźć, zanim do tego dojdzie.

Policjant wzruszył ramionami.

Jeżeli Amanda McCready jest gdzieś w tym kamieniołomie, to tylko Bóg jeden wie, czy w ogóle znajdziemy jej ciało.

19

Wylądowaliśmy na oślej łączce w rezerwacie Blue Hills, usiedliśmy zgrabnie między wyciągami narciarskimi i patrzyliśmy, jak drugi helikopter robi dokładnie to samo - siada łagodnie jakieś dwadzieścia metrów dalej.

Powitało nas kilka samochodów policyjnych, dwa samochody strażników przyrody i kilka jednostek policji stanowej.

Z drugiego helikoptera wyskoczył Broussard, rzucił się do pierwszego samochodu policyjnego i wyciągnął mundurowego policjanta z fotela kierowcy.

Słyszając, że zapala silnik, podbiegłem do niego.

- Gdzie jest Poole?

- Nie wiem - odparł. - Nie było Poole'a tam, gdzie go zostawiliśmy. I nie było go nigdzie na szlaku. Prawdopodobnie albo próbował na własną rękę zejść, albo dotarł na szczyt w momencie, kiedy usłyszał strzały.

Nadbiegł zdyszany major Dempsey.

- Broussard, co tam się, do cholery, stało?

- To długa historia, majorze. Wsiadłem do samochodu obok Broussarda.

- Gdzie jest dziecko?

- Dziecka tam nie było - odparł Broussard. - To była zasadzka.

Dempsey wsadził głowę przez okno.

- Słyszałem, że w wodzie pływała lalka tej małej. Broussard spojrział na mnie pytająco.

- Tak - potwierdziłem - ale ciała nie widziałem. Broussard wrzucił bieg.
- Musimy jechać po Poole'a, panie majorze.
- Sierżant Raftopoulos dzwonił dwie minuty temu. Jest na Pritchett Street.

Twierdzi, że są tam jakieś zwłoki.

- Czyje?
- Nie wiem.

Dempsey odsunął się od samochodu.

- Mamy tu strażników przyrody, którzy właśnie jadą po pana partnerkę na Ricciuti Drive, panie Kenzie.

- Dzięki.
- Kto tam wystrzelał całą tę amunicję, możecie mi powiedzieć?
- Nie wiem, panie majorze. Ale mnie dopadli.

Nagle rozległ się wściekły jazgot silnika i Dempsey musiał krzyczeć, żeby go było słychać.

- Oni się nie mogą wydostać! - wrzeszczał. - Są zamknięci! Nie mają jak wyjść!
- Tak jest, panie majorze.

- I ani śladu dziewczynki? - Dempsey najwyraźniej uważał, że jeśli zada to pytanie odpowiednią liczbę razy, to prędzej czy później uzyska na nie odpowiedź, jakiej się spodziewa.

Broussard potrząsnął głową.

- Z całym szacunkiem, panie majorze, ale sierżant Raftopoulos dostał w drodze ataku serca. Muszę się do niego dostać.

- Jedźcie. - Dempsey odsunął się na bok i ręką dał znak kilku samochodom za nami, żeby zjechały z drogi, a tymczasem Broussard nacisnął pedał gazu i ruszył z boczem w dół. Na linii drzew skrzył kierownicę i wjechał w drogę gruntową, po kilku sekundach odbił w lewo i pomknął zrytą kraterami drogą w kierunku zjazdu z autostrady, który prowadził, przez rondo, do Pritchett Street.

Pokonaliśmy w tumanach kurzu jeszcze dwie drogi gruntowe i wpadliśmy na Quarry Street, by z szaloną szybkością przejechać południową stroną wzgórz, w lusterku wstecznym widzieliśmy tańczące czerwone i niebieskie światła.

Broussard, przejeżdżając znak stopu na końcu Quarry Street, nawet nie zwolnił. Zarzuciło go na pobocze, ale on tylko mocniej wcisnął pedał gazu i wjechał na rondo. Wszystkie cztery opony zbuntowały się na chwilę. Ciężki wóz prawie stanął dęba, wbrew sobie biorąc zakręt, jakby miał lada chwila przewrócić się na bok, ale koła

momentalnie odzyskały przyczepność, a my, z jękiem katowanego silnika, wypadliśmy z ronda. Broussard ponownie skręcił kierownicę i znów zawadziliśmy o pobocze, obsypując maskę fontannami wyrwanej trawy i ziemi i kiedy z szaloną szybkością mijaliśmy opuszczoną fabrykę po prawej, zobaczyliśmy Poole'a siedzącego na ziemi i opierającego się o tylną część karoserii lexusa RX 300, zaparkowanego po lewej stronie drogi jakieś pięćdziesiąt metrów za fabryką.

Poole miał głowę zwieszoną na bok i opartą o błotnik, koszulę rozpiętą do pępka i ręką trzymał się za serce.

Broussard nadepnął pedał hamulca, zatrzymując samochód dosłownie w miejscu, wyskoczył, poślizgnął się na błocie i padł obok kolegi na kolana.

- Cześć, stary!

Poole otworzył oczy i uśmiechnął się blado.

- Zabłądziłem.

Broussard zbadał mu puls, położył rękę na sercu, kciukiem pchnął w górę lewą powiekę.

- W porządku, koleś, w porządku. Wszystko... wszystko będzie dobrze. - Za nami zatrzymało się kilka samochodów policyjnych. Z pierwszego wysiadł młody policjant z jednostki Quincy.

Broussard polecił mu:

- Otwórzcie tylne drzwi!

Policjant bawił się latarką, która wypadła mu z ręki i schylił się, żeby ją podnieść.

- Otwieraj pieprzone drzwi! - wrzasnął Broussard. - Na co czekasz!?

Młody policjant kopnął latarkę pod samochód i otworzył drzwi.

- Kenzie, pomóż mi go przenieść.

Złapałem Poole'a za nogi, podczas gdy Broussard stanął za nim i objął ramionami jego pierś. W ten sposób podnieśliśmy go i wsadziliśmy na siedzenie samochodu.

- Ze mną wszystko dobrze - powiedział Poole i jego oczy uciekły w lewo.

- Jasne, że dobrze. - Broussard uśmiechnął się i spojrzał na młodego policjanta, który robił wrażenie bardzo zdenerwowanego.

- Szybko jeździsz?

- Tak.

Kilku funkcjonariuszy stanowych i policjantów z Quincy, z bronią w pogotowiu, podeszło do lexusa od przodu.

- Wsiadaj! Już! - krzyknął jeden z policjantów, kierując broń w stronę przedniej

szyby.

- Który szpital jest bliżej - zapytał Broussard - Quincy czy Milton?

- To znaczy... stąd? Milton.

- Jak szybko możesz tam dojechać?

- W trzy minuty.

- Spróbuj w dwie. - Klepnął chłopaka po ramieniu i pchnął go w stronę drzwi kierowcy.

Policjant wskoczył za kierownicę. Broussard uściskał dłoń Poole'owi i powiedział:

- Do zobaczenia wkrótce.

Poole sennie skinął głową.

Cofnęliśmy się i Broussard zamknął drzwi samochodu.

- Dwie minuty - przypomniał chłopakowi. Samochód ruszył, wznosząc kołami fontannę żwiru i tumany kurzu. Chłopak wypadł na drogę, zapalił światła i śmignął asfaltem tak szybko, jakby go wystrzelili z wyrzutni raketowej.

- Niech to szlag... - powiedział policjant stojący przed lexusem. - Niech to szlag - powtórzył.

Podeszliśmy z Broussardem do lexusa i Broussard złapał dwóch policjantów, pokazał na budynek opuszczonej fabryki i powiedział:

- Zabezpieczcie ten budynek. Już, zaraz.

Policjanci nawet o nic nie pytali. Położyli ręce na spluwach, które mieli na biodrach i pobiegli w kierunku opuszczonej fabryki.

Podeszliśmy do lexusa, przepchnęliśmy się przez niewielki tłumek policjantów blokujących dostęp do przedniego zderzaka i zajrzeliśmy przez szybę do środka. Za kierownicą siedział Chris Mullen, a na miejscu pasażera Pharaoh Gutierrez. Światła były w dalszym ciągu zapalone, silnik pracował. Przed Gutierrezem w przedniej szybie widniała rozchodząca się promieniście wokół małej dziurki pajęczyna. Identyczną dziurkę miał przed sobą Chris Mullen.

Otworki w ich czołach były bardzo podobne - oba rozmiarem przypominały dziesięciocentówkę, oba były na brzegach pomarszczone i białe i z obu sączyły się po nosach mężczyzn cieniutki strumyczek krwi.

Tak na oko Gutierrez musiał oberwać pierwszy. Na jego twarzy nie malowało się nic więcej poza zniecierpliwieniem, a obie ręce leżały obok niego na siedzeniu dłońmi do góry. Kluczyki tkwiły w stacyjce, silnik pracował na jałowym biegu. Prawa ręka Mullena spoczywała na spluwie przy pasku, a na twarzy zastygł wyraz nagłego

przerażenia i zaskoczenia. Miał około pół sekundy na to, żeby się zorientować, że umrze, może nawet mniej. Ale starczyło, żeby wszystko przeżył jak na zwolnionym filmie: tysiące spanikowanych myśli, które kłębiły się w jego umyśle, podczas gdy świadomość rejestrowała kulę, od której ginął Pharaoh, sięgnięcie po broń i plaśnięcie drugiego pocisku o szybę.

Bubba, pomyślałem.

W odległości pięćdziesięciu metrów od lexusa opuszczona fabryka z zapadającym się tarasem mogła stanowić idealne stanowisko dla snajpera.

W światłach reflektorów lexusa widziałem dwóch policjantów stanowych, jak powoli, na ugiętych nogach, z bronią wycelowaną w taras, zbliżają się do opuszczonej fabryki. Razem podeszli do bocznych drzwi. Jeden z mężczyzn je otworzył, a drugi wszedł z bronią wycelowaną na poziomie piersi.

Bubba, pomyślałem, mam nadzieję, że nie zrobiłeś tego dla zabawy. Powiedz, że masz Amandę McCready.

Broussard podążył za moim wzrokiem.

- Ile stawiasz na to, że po zbadaniu trajektorii pocisku okaże się, że strzelano z tamtego budynku? - spytał.

- Nic.

Dwie godziny później w dalszym ciągu usiłowali się w tym wszystkim połapać. Noc zrobiła się nagle bardzo zimna i zaczęła padać marznąca mżawka, która rozpryskiwała się na szybach i czepiała włosów jak wszy.

Policjanci, którzy weszli do opuszczonego budynku, wyłonili się z niego teraz z winchesterem model 94 z przymocowanym do niego celownikiem noktowizyjnym. Broń była w beczce z jakimś starym olejem, która stała na piętrze, dokładnie na prawo od drzwi na taras. Numer serii został wypilowany pilnikiem, a pierwszy technik kryminalistyczny, który go obejrzał, uśmieł się, kiedy ktoś wspomniał o odciskach palców.

Do starej fabryki wysłano kolejnych funkcjonariuszy na poszukiwanie dalszych dowodów rzeczowych, ale w ciągu dwóch godzin nie znaleźli ani łusek, ani żadnych innych śladów, a kryminaliści nie mogli zdjąć żadnych odcisków ani z barierki tarasu, ani z ramy prowadzących na taras drzwi balkonowych.

Strażnik, który spotkał się z Angie po drugiej stronie wzgórza, prowadzącego do Swingle's Quarry, dał jej jaskrawopomarańczowy płaszcz nieprzemakalny, żeby się

okryła i grube skarpetki, ale mimo to dygotała z zimna. Cały czas wycierała ręcznikiem włosy, choć już wiele godzin temu zdążyły wyschnąć czy zamarznąć. Wyglądało na to, że babie lato odeszło na dobre.

Dwóch nurków usiłowało przeszukać kamieniołomy Granite Rail, ale według ich doniesień widoczność na głębokości poniżej dziesięciu metrów równała się zeru, a kiedy pogoda się załamała, osady łupku odspajały się od granitowych ścian, zamieniając nawet płytkie wody w burzę piaskową.

O dziesiątej, nie znalazłszy nic, poza parą męskich dżinsów zwisających z półki skalnej na głębokości jakichś sześciu metrów, nurkowie dali za wygraną.

Kiedy Broussard znalazł się w południowej części kamieniołomu, niemal dokładnie naprzeciwko skały, z której Angie i ja zobaczyliśmy lalkę, natknął się na kartkę, starannie umieszczoną pod małym kamieniem i oświetloną cienką jak ołówek latareczką, zawieszoną na gałęzi.

KACZKA

Kiedy sięgnął po kartkę, wśród drzew rozległa się kanonada, więc pochyłony, wycofał się na płaskowyż. W ostatniej chwili złapał broń i radio, zostawiając na linii drzew torbę z pieniędzmi i latarkę. Druga seria zepchnęła go na krawędź skały, gdzie leżał w ciemnościach, mając nadzieję, że nie oberwie, z wycelowaną w drzewa bronią, której jednak nie użył ze strachu, że zdradzą go błyski z lufy.

Przeszukanie jego ostatniego miejsca pobytu ujawniło kartkę, ołówkową latarkę porywacza i torbę, otwartą i pustą. W ciągu ostatniej godziny znaleziono wśród drzew i na skalnych półkach za pozycją zajmowaną przez Broussarda ponad sto łusek, a policjant, który podawał tę wiadomość przez radio, powiedział:

- Znajdziemy jeszcze znacznie więcej. Wygląda na to, że ci, co strzelali, mieli tu bazę. To cholerna twierdza, istna Grenada.

Policjanci i strażnicy, którzy przeszukiwali naszą stronę kamieniołomu, zadzwonili, żeby powiedzieć, że w naszą skałę i drzewa za nami wpakowano co najmniej pięćdziesiąt serii. Zgodzono się - co najlepiej podsumował przez radio jeden z policjantów - że „...oni nie mieli stąd wyjść żywi, panie majorze. W żadnym razie”.

Wszystkie drogi do i z kamieniołomów zostały zablokowane, ale opierając się na fałszywej wiadomości, że strzelano z południowej części Granite Rail, wysłano policjantów stanowych, strażników i miejscowych policjantów z psami właśnie tam, by w tamtej części

skoncentrować poszukiwania podejrzanych, tak że nawet z drogi po północnej stronie tego obszaru widzieliśmy od czasu do czasu symfonię światła igrających w koronach drzew.

Poole, jak orzekli lekarze, przeszedł zawał, pogarszając jeszcze swój stan przez marsz w dół do Quarry Street. Kiedy się tam znalazł, zdezorientowany i prawdopodobnie półprzytomny, zobaczył Mullena i Gutierrez w lexusie, zapewne przypuszczał, że jadą na Pritchett Street. Kiedy jednak do nich podszedł, stwierdził, że ma do czynienia z trupami i zadzwonił jeszcze z ich samochodu po pomoc.

Według ostatnich doniesień Poole, znajdujący się w stanie krytycznym, przebywał w szpitalu w Milton na oddziale intensywnej opieki medycznej.

- Czy ktoś już zajął się matematyką? - zwrócił się do nas Dempsey. Staliśmy oparci o maskę crown victorii. Broussard palił papierosa, którym go Angie poczęstowała, Angie trzęsa się, popijając kawę z kubka z emblematem służb ochrony przyrody, a ja masowałem jej plecy, żeby pobudzić krążenie i ją rozgrzać.

- O jakiej matematyce mówimy? - spytałem.

- O matematyce, która sprawiła, że Gutierrez i Mullen znaleźli się na drodze o tej samej porze, o której wasza trójka dostała się pod ogień. - Dempsey cały czas żuł czerwoną plastikową wykałaczkę, której od czasu do czasu dotykał palcami dużym i wskazującym, ale nigdy nie wyjmował z ust. - Chyba że oni też mieli helikopter, ale nie sądzę, a... wy?

- Nie przypuszczam, żeby mieli helikopter - powiedziałem.

Dempsey uśmiechnął się.

- Racja. Jeśli to wykluczamy, to praktycznie nie ma możliwości, żeby byli na szczycie tych wzgórz, a jakąś minutę później kręcili się tu na dole tym swoim lexusem. To mi się wydaje... no nie wiem... niemożliwe. Rozumiecie?

Angie zapytała, dzwoniąc zębami:

- To kto jeszcze był tam na górze?

- Oto jest właśnie pytanie. Między innymi. - Spojrzał przez ramię na ciemne sylwetki wzgórz po drugiej stronie autostrady. - Już nie mówiąc o tym, gdzie jest mała. Gdzie są pieniądze? Gdzie są ci, co wystrzelali tam amunicję wartości budżetu filmu ze Schwarzeneggerem? Gdzie są ci, co tak gładko załatwili Mullena i Gutierrez?

- Postawił nogę na zderzaku, znowu dotknął wykałaczki i spojrzał na samochody pędzące po autostradzie zaraz za lexusem. - Prasa dopiero będzie miała dziś używanie.

Broussard zaciągnął się głęboko papierosem i głośno wypuścił dym.

- Wydaje mi się, Dempsey, że uprawiacie OWD, chyba się nie mylę, co?

Dempsey wzruszył ramionami, a jego sowie oczy w dalszym ciągu były utkwione w autostradzie.

- OWD? - Angie zagrzechotała zębami.

- Ochrona Własnej DUPY - wyjaśnił Broussard. - Major Dempsey nie chce być tym policjantem, który w ciągu jednej nocy stracił Amandę McCready, dwieście tysięcy dolarów i dwa ludzkie życia. Zgadza się?

Dempsey odwrócił głowę, tak że wykałaczką była teraz wymierzona prosto w Broussarda.

- Istotnie, detektywie Broussard, nie chciałbym być znany jako ten policjant.

- Dlatego ja nim będę. - Broussard skinął głową.

- Ale to przecież ty straciłeś kasę - powiedział Dempsey. - Pozwoliliśmy wam załatwiać sprawę po swojemu i takie są skutki. - Uniósł brwi na widok dwóch ludzi koronera, którzy wyciągnęli zza kierownicy ciało Gutierrezza i kładli je właśnie na rozpostartym na ziemi czarnym plastikowym worku. - A ten wasz porucznik Doyle? Od ósmej trzydzieści był razem z samym komisarzem policji przy telefonie i próbował to wszystko tłumaczyć. A kiedy się z nim ostatnim razem widziałem, bronił was obu. Powiedziałem mu, że to strata czasu.

- Ale co on miał zrobić, na miłość boską - odezwała się Angie - kiedy znalazł się pod ogniem? Wykazać się taką przytomnością umysłu, żeby złapać worek i zmykać z nim na dół?

Dempsey wzruszył ramionami.

- To była jedna z możliwości, owszem.

- Ni cholery w to nie wierzę - powiedziała Angie. - Zęby przestały jej dzwonić. - Przecież on ryzykował życie za...

- Panno Gennaro. - Broussard powstrzymał ją, kładąc jej rękę na kolanie. - Major Dempsey nie mówi nic takiego, czego by nie powiedział porucznik Doyle.

- Proszę słuchać detektywa Broussarda, panno Gennaro - rzekł Dempsey.

- Sprawa została spieprzona i ktoś musi dać głowę, a ja wygrałem wybory - podsumował Broussard.

Dempsey zachichotał.

- Bo tylko ty kandydowałeś na to stanowisko.

Dempsey zostawił nas i podszedł do grupy policjantów stanowych. Mówiąc do

radiotelefonu, spoglądał na wzgórze kamieniołomu.

- To jest nie w porządku - powiedziała Angie.

- W porządku - odparł Broussard. Rzucił na ulicę peta, wypalonego aż do filtra. -

To ja spieprzyłem sprawę.

- To myśmy ją spieprzyli - poprawiła go Angie. Potrząsnął głową.

- Gdybyśmy zachowali pieniądze, to mogliby mieć nadzieję, że odzyskają Amandę. Ale bez pieniędzy? Wyszliśmy na błaznów. I to jest moja wina. - Broussard splunął na ziemię, potrząsnął głową i obcasem kopnął w oponę.

Angie patrzyła, jak jeden z kryminalistyków wkłada lalkę Amandy do plastikowej torebki, zamyka ją i opisuje czarnym mazakiem.

- Ona jest gdzieś tam, prawda? - Angie spojrzała w stronę ciemnych wzgórz.

- Tak, ona tam jest - potwierdził Broussard.

20

Kiedy wstał świt, ciągle jeszcze byliśmy na miejscu. Widzieliśmy, jak po lexusa przyjechał wóz holowniczy i jak odjechali Pritchett Street, a potem skręcili w rondo w stronę autostrady.

Funkcjonariusze stanowi kręcili się wśród wzgórz tam i z powrotem, znosząc worki pełne łusek, a wśród nich kilka odłamków pocisków, odzyskanych ze skalnych ścian i wydłubanych z pni drzew. Jeden z policjantów podobno nawet znalazł bluzę i buty Angie, ale nikt nie wiedział, ani który to z nich, ani co zrobił z tymi rzeczami. W trakcie naszego czuwania jeden z policjantów z Quincy zarzucił Angie koc na ramiona, ale w dalszym ciągu dygotała, a jej usta często wydawały się sine w mieszaninie światła latarni ulicznych, reflektorów samochodowych i lamp ustawionych dla oświetlenia miejsca przestępstwa.

Okolo pierwszej przyszedł ze wzgórz porucznik Doyle i skinął palcem na Broussarda. Podeszli do żółtej taśmy, którą został otoczony budynek fabryki i kiedy się wreszcie zatrzymali naprzeciwko siebie, Doyle nie wytrzymał. Nie słyszeliśmy słów, ale czuliśmy ich natężenie, no i naturalnie widzieliśmy, jak Doyle palcem wskazującym mierzy w twarz Broussarda i nie mieliśmy wątpliwości, że tłumaczenie w rodzaju „Kurczę, chcieliśmy jak najlepiej” wyraźnie do niego nie przemawia. Prawie cały czas Broussard stał ze spuszczoną głową, ale reprimenda trwała długo, co najmniej dwadzieścia minut i Doyle wydawał się coraz bardziej rozdrażniony. Kiedy wreszcie skończył, Broussard podniósł wzrok, a wtedy Doyle potrząsnął głową w taki

sposób, że nawet z odległości pięćdziesięciu metrów czuło się w chłodzie tego gestu coś ostatecznego. Wreszcie zostawił Broussarda stojącego w miejscu, a sam wszedł do budynku.

- Widzę, że złe wieści - powiedziała Angie, kiedy Broussard wziął kolejnego papierosa z leżącej na masce paczki.

- Jutro mnie zawieszają, a później zdecyduje wydział spraw wewnętrznych. - Broussard zapalił papierosa i wzruszył ramionami. - Moim ostatnim służbowym obowiązkiem będzie zawiadomienie Helene McCready, że nie udało nam się odnaleźć jej córki.

- A wasz porucznik - spytałem - ten, który zatwierdził całą tę operację? Jaka jest jego odpowiedzialność?

- Żadna. - Broussard oparł się o zderzak, zaciągnął papierosem i wypuścił cieniutką smużkę niebieskiego dymu.

- Żadna? - zdziwiła się Angie.

- Żadna. - Broussard strącił popiół na ziemię. - Przyznaję się do błędu i biorę na siebie całą odpowiedzialność. To prawda, że ukrywałem istotne informacje, tak żeby cała zasługa z tytułu zatrzymania winnych przypadła mnie i żeby nie stracił legitymacji policyjnej. - Ponownie wzruszył ramionami. - Taka jest polityka mojej firmy.

- Ale... - zaczęła Angie.

- Ale to jeszcze nie wszystko. - Spojrzał na nią. - Porucznik powiedział bardzo wyraźnie, że jeśli komukolwiek piśnecie choćby słówko o całej tej sprawie, to on... zaraz, żeby dokładnie powtórzył. .. to on „wyciągnie morderstwo Mariona Socii i was ujai”.

Patrzyłem na drzwi budynku fabryki, tam gdzie po raz ostatni widziałem Doyle'a.

- Pieprzy głupoty.

Broussard potrząsnął głową.

- On nigdy nie blefuje. Jeśli mówi, że was za coś dopadnie, to znaczy, że ma takie możliwości.

Zamyśliłem się. Cztery lata temu Angie i ja zabiliśmy z zimną krwią sutenera i dilerę narkotykowego Mariona Socie. Zrobiliśmy to pod autostradą południowo-wschodnią. Posłużyliśmy się bronią nierejestrowaną, z której starannie starliśmy wszystkie odciski palców.

Ale został świadek, niedoszły gwałcieł imieniem Eugene. Nigdy nie znałem jego

nazwiska, ale wtedy byłem pewny, że jeśli nie zabiję Socii, to Socia zabije Eugene'a. Nie wtedy, ale wkrótce. Doszedłem do wniosku, że chłopak musiał w ciągu lat kilka razy siedzieć - raczej w przyszłości nie groziła mu kariera w firmie finansowej Shearson Lehman - i że podczas jednej z tych odsiadek musiał sypnąć w zamian za lżejszy wyrok. Jednak wobec całkowitego braku dowodów, które by nas w inny sposób wiązały ze śmiercią Socii, prokurator okręgowy umorzył śledztwo. Ale ktoś musiał się dogrzebać do tej informacji i „sprzedać ją” Doyle'owi.

- Czyli że trzyma nas za jaja, jak to wy mówicie.

Broussard spojrział na mnie, a potem na Angie i na koniec się uśmiechnął.

- Mówiąc eufemistycznie, tak. Ale w gruncie rzeczy trzyma was za gardło.

- To bardzo pocieszająca myśl - powiedziała Angie.

- W ogóle cały ten tydzień obfitował w pocieszające myśli. - Broussard cisnął papierosa. - Idę poszukać telefonu i zadzwonić do żony z dobrą nowiną.

Odszedł w kierunku policjantów i furgonetek, otaczających kręgiem lexusa Gutierrez. Zgarbiony, z rękami w kieszeniach, włókł się dość niepewnym krokiem, jakby zupełnie inaczej czuł grunt pod nogami niż jeszcze pół godziny temu.

Angie dygotała w chłodzie, a ja razem z nią.

Nurkowie wrócili do kamieniołomu wraz ze świtem, który wstał nad wzgórzami w różnych odcieniach sinego fioletu i głębokiego różu, a policjanci, przygotowując się do porannego szczytu, zablokowali ulice Pritchett i Quarry, rozciągając żółtą taśmę i ustawiając kozły. Kontyngent policjantów stanowych obstawił wzgórze, tworząc dokoła nich żywą barierę. O piątej rano funkcjonariusze stanowi zostali ustawieni u wylotu wszystkich większych dróg dojazdowych, ale ruch odbywał się tylko przez punkty kontrolne, a rampy wjazdowe i wyjazdowe autostrady były otwarte. Bardzo szybko, jakby czekały za zakrętem, pojawiły się na autostradzie wozy transmisyjne telewizji i reporterzy gazet, którzy świecąc latarkami po nas i po wzgórzach, całkowicie zablokowali pas przeznaczony dla pomocy drogowej. Kilkakrotnie jakiś reporter wołał do Angie, dlaczego nie ma butów. Kilkakrotnie Angie odpowiadała ze spuszczoną głową, unosząc środkowy palec z kolan, na których trzymała ręce.

Początkowo reporterzy pojawili się, bo dostali cynk, że w kamieniołomach Quincy ktoś oddał kilkaset serii z broni automatycznej i że na Pritchett Street znaleziono dwa trupy, ofiary czegoś, co wyglądało na profesjonalną egzekucję. A potem, wraz z poranną bryzą, spłynęło ze wzgórz imię Amandy McCready i zaczął się regularny cyrk.

Jeden z koczujących na autostradzie reporterów rozpoznał Broussarda, a potem

poznała go reszta i bardzo szybko poczuliśmy się jak galernicy, do których bez przerwy coś wołano.

- Detektywie, gdzie jest Amanda McCready?
- Czy ona nie żyje?
- Czy jest w kamieniołomie?
- Gdzie jest pana partner?
- Czy to prawda, że porywacze Amandy McCready zostali zastrzeleni?
- Czy jest coś z prawdy w plotce, że pieniądze na okup zaginęły?
- Czy ciało Amandy zostało wyciągnięte z wody w kamieniołomie? Czy to dlatego pani jest bez butów?

Jakby na dane hasło z drugiej strony Pritchett Street nadszedł jeden z policjantów stanowych z papierową torbą i wręczył ją Angie.

- Pani rzeczy. Przysłali je z jakimiś pociskami.

Angie, cały czas trzymając pochyloną głowę, wyjęła z torby buty i włożyła.

- Gorzej będzie z wciągnięciem bluzy - powiedział Broussard i uśmiechnął się lekko.

- Tak? - Angie zsunęła z głowy kaptur i odwróciła się tyłem do reporterów właśnie w chwili, kiedy jeden z nich usiłował przesadzić barierę ochronną, ale został odepchnięty przez funkcjonariusza stanowego wyciągniętą pałką.

Zrzuciła z ramion koc i płaszcz nieprzemakalny i na widok jej gołego ciała i czarnych ramiączek stanika kilka kamer przesunęło się w naszą stronę.

Spojrzała na mnie.

- Może powinnam zrobić mały striptiz, trochę poruszać biodrami?

- To twój show - odparłem. - Masz zapewnioną uwagę wszystkich.

- Moją na pewno - powiedział Broussard, gapiąc się otwarcie na piersi Angie napierające na czarną koronkę.

- Miło mi. - Angie wciągnęła bluzę przez głowę i zakryła tors.

Ktoś na autostradzie zaklaskał, ktoś inny gwizdnął. Angie wyciągała spod bluzy grube pasma włosów, ale wciąż stała odwrócona tyłem do dziennikarzy.

- Mój show? - zwróciła się do mnie ze smutnym uśmiechem i lekko potrząsnęła głową. - To jest ich show, chłopie. Całkowicie ich show.

Wkrótce po wschodzie słońca stan Poole'a z krytycznego zmienił się w stabilny, a ponieważ nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać, ruszyliśmy za taurusem

Broussarda do Milton Hospital. A na miejscu czekała nas awantura z pielęgniarką o to, ile osób może wejść do Poole'a na OIOM, skoro żadne z nas nie jest jego krewnym. Mijający nas lekarz spojrzał na Angie i zapytał:

- Czy jest pani świadoma tego, że pani skóra ma siny kolor?

Po kolejnej niewielkiej przepychance Angie weszła za zasłonę, gdzie miała zostać zbadana na okoliczność wychłodzenia, a jednocześnie pielęgniarka, wprawdzie niechętnie, ale jednak wpuściła nas do Poole'a.

- Zawał mięśnia sercowego - powiedział Poole, unosząc się na poduszkach. - Ale słowo, co?

- To są trzy słowa - sprostował Broussard, niezdarnie sięgnął ręką i lekko ścisnął Poole'a za ramię.

- Obojętne, jak to nazwiemy. Tak czy siak, cholerny atak serca. - Poole syknął z bólu, próbując zmienić pozycję.

- Spokojnie - rzekł Broussard - na rany Chrystusa.

- Ale powiedzcie mi w końcu, co tam się stało.

Opowiedzieliśmy mu to, co wiedzieliśmy, czyli niewiele.

- Dwaj strzelcy w lesie i jeden na ziemi? - powiedział, kiedy skończyliśmy.

- Na to przynajmniej wygląda - odparł Broussard. - Albo jeden z dwoma karabinami w lesie i jeden na dachu starej fabryki.

Poole zrobił taką minę, jakby tak samo w to wierzył, jak w to, że JFK został zabity przez jednego zamachowca. Poruszył głową na poduszce i spojrzał na mnie.

- Jesteś pewien, że widziałeś dwa karabiny zrzucone ze skały?

- Jestem całkowicie pewien - powiedziałem. - To, co się tam działo, to było zupełne szaleństwo. - Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową. Tak, jestem pewien. Dwa karabiny.

- I ten, co strzelał z fabryki, zostawia broń?

- Aha.

- Ale bez łusek?

- Zgadza się.

- A za to strzelec albo strzelcy z lasu pozbywają się broni, ale wszędzie zostawiają łuski?

- Tak jest - powiedział Broussard.

- Chryste, ja tego wszystkiego nie rozumiem.

Pojawiła się Angie. Wycierając wacikiem miejsce po ukłuciu, przyciskała

przedramię do bicepsa. Podeszła do łóżka Poole'a i uśmiechnęła się do chorego.

- Co powiedział doktor? - zapytał Broussard.

- Lekkie wychłodzenie. - Wzruszyła ramionami. - Dał mi zastrzyk z kurzego rosołu, a może z czegoś innego. W każdym razie powiedział, że nie stracę palców u rąk i nóg.

Wróciły jej kolory - może nie w tym stopniu co normalnie, ale wystarczająco. Usiadła na łóżku Poole'a i powiedziała: - My dwoje wyglądamy jak duchy.

Poole uśmiechnął się i pękła mu przy tej okazji warga.

- Słyszałem, moja droga, że zapędziłaś w kozi róg słynnych nurków ze skał Galapagos.

- Z Acapulco - sprostował Broussard. - Na Galapagos nie skaczą ze skał.

- To niech będzie Fidzi - powiedział Poole. - I przestań mnie wreszcie poprawiać.

No, ale powiedzcie, dzieci, co tam się dzieje, do jasnej cholery?

Angie delikatnie poklepała go po policzku.

- To ty nam powiedz, co się z tobą działo.

Poole ściągnął usta.

- Tak na dobrą sprawę, to nie bardzo wiem. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że z jakichś względów schodzę na dół. Problem w tym, że zostawiłem radio i latarkę. - Uniósł brwi. - Bystrzak ze mnie, co? Ale kiedy usłyszałem ogień, próbowałem wrócić tam, skąd przyszedłem, jednak bez względu na to, co robiłem, cały czas oddalałem się od hałasu, zamiast się do niego zbliżać. Lasy - powiedział, potrząsając głową. - Następna rzecz, jaką zapamiętałem, to to, że jestem na rogu Quarry Street i zjazdu z autostrady i widzę śmigającego koło mnie lexusa, więc idę za nim. Ale kiedy dotarłem na miejsce, nasi przyjaciele mieli już dziurki w czołach, a ja byłem kompletnie zamroczony.

- A pamiętasz, jak wzywałeś pomoc? - zapytał Broussard.

- A ja wzywałem pomoc? Broussard skinął głową.

- Z telefonu samochodowego.

- O, to spryciarz ze mnie.

Angie uśmiechnęła się, ze stojącego przy łóżku Poole'a wózka wzięła chusteczkę i wytarła mu czoło.

- Chryste - powiedział Poole niewyraźnie.

- Co?

Na chwilę jego oczy uciekły w bok, ale zaraz wróciły.

- Co? Nic takiego, po prostu te wszystkie środki, którymi mnie szprycują. Mam kłopoty z koncentracją.

Pielęgniarka uchyliła zasłonę koło Broussarda.

- Musicie już, państwo, iść, bardzo proszę.

- Co tam się stało? - wybełkotał Poole.

- Bardzo proszę - powtórzyła pielęgniarka, widząc, że oczy uciekają Poole'owi w lewo, że chory oblizuje wysuszone wargi i mruga powiekami. - Pan Raftopoulos jest jeszcze za słaby.

- Nie - zaprotestował Poole - poczekajcie.

Broussard poklepał go po ramieniu.

- Jeszcze przyjdziemy, bracie. Nic się nie martw.

- Co się stało? - powtórzył Poole, którego głos cichł, jakby go ogarniał sen.

Odstąpiliśmy od jego łóżka.

Dobre pytanie, pomyślałem, kiedy wychodziliśmy z OIOM-u.

Gdy tylko znaleźliśmy się w domu, Angie wzięła ciepły prysznic, a ja zadzwoniłem do Bubby.

- Słucham?

- Powiedz mi, że ją masz.

- Co? Patrick?

- Powiedz mi, że masz Amandę McCready.

- Nie. Co ty gadasz? Dlaczego miałbym ją mieć?

- Załatwiłeś Gutierrezza i...

- Nikogo nie załatwiłem.

- Bubba - powiedziałem - załatwiłeś. Musiałeś.

- Gutierrezza i Mullena? Co ty gadasz, facet. Spędziłem dwie godziny z pyskiem w błocie w Cunningham Park.

- Nawet cię tam nie było?

- Oberwałem w łeb. Ktoś tam na mnie czekał, Patrick. Musiałem oberwać młotem kowalskim albo czymś podobnym w tył głowy, tak że straciłem przytomność. Nawet nie wyszedłem z parku.

- Zgoda - powiedziałem i poczułem, że już nic nie rozumiem. - Powiedz mi jeszcze raz. Powoli. Znalazłeś się w Cunningham Park...

- Około szóstej trzydzieści. Wziąłem sprzęt i poszedłem przez park w kierunku

drzew. Właśnie miałem wejść między drzewa i ruszyć w stronę wzgórz, kiedy coś usłyszałem. Zacząłem odwracać głowę, ale w tej samej chwili - *trzask* - dostałem w łeb.

Na początku mnie to tylko trochę zaniepokoiło, rozumiesz, ale też i zamroczyło. Schyliłem głowę i chciałem się odwrócić, i wtedy - *trzask* - dostałem po raz drugi. Padłem na kolano i oberwałem trzeci raz. Może nawet był i czwarty, ale ocknąłem się w kałuży krwi tak gdzieś około ósmej trzydzieści. Do czasu kiedy znów znalazłem się między drzewami, las dosłownie roił się od policji stanowej. No to ja się stamtąd wycofałem i poszedłem do doktora Giggle'a.

Doktor Giggle był wachającym eter lekarzem, do którego Bubba i połowa gangsterów z całego miasta chodziła po ratunek, kiedy woleli nie ujawniać swoich obrażeń.

- No i co z tobą? W porządku? - spytałem.

- Trochę mi dzwoni w uszach i czasem ciemniej przed oczami, ale wszystko będzie dobrze. Muszę dostać tego skurwysyna, Patrick. Nikt mnie nie będzie nokautował, rozumiesz?

Rozumiałem. Ze wszystkich rzeczy, jakie usłyszałem w ciągu ostatnich dziesięciu godzin, ta wydawała mi się najbardziej przygnębiająca. Ktoś, kto był na tyle szybki i na tyle sprytny, żeby wyeliminować Bubbę z gry, musiał być w tym, co robił, bardzo, ale to bardzo dobry.

I jeszcze jedno: jeżeli ktoś w ten sposób potraktował Bubbę, to dlaczego pozostawił go przy życiu? Kidnaperzy zabili Gutierrez i Mullena i usiłowali zabić Broussarda, Angie i mnie. Dlaczego po prostu nie zastrzelili Bubby z daleka, żeby mieć go z głowy?

- Doktor Giggle powiedział, że jeszcze jeden cios i najprawdopodobniej przerwałyby się ścięgna z tyłu czaszki. Człowieku, jestem wkurwiony na maksa.

- Jak tylko się dowiem, kto to zrobił - zapewniłem go - podam wiadomość dalej.

- Sam rozpuściłem wici. O Pharaohu i Mullenie dowiedziałem się od doktora Giggle'a, więc powiedziałem Nelsonowi, żeby podzwonił po ludziach. Podobno gliniarze stracili forszę, tak?

- Aha.

- I nie odzyskali małej.

- Nie odzyskali.

- Tym razem wdałeś się, bracie, w wojnę z jakimiś prawdziwymi skurwysynami.

- Wiem.
- Hej, Patrick?
- Tak?
- Ser nigdy nie byłby taki głupi, żeby nasłać na mnie kogoś z rurką.
- W każdym razie nie świadomie. Może nie spodziewał się tam ciebie.
- Ser wie, jak blisko jestem z tobą. Mógł się domyślić, że mi przysłesz jakieś wsparcie czy coś w tym rodzaju.

Miał rację. Ser zabezpieczał się na każdą ewentualność, był zbyt wielkim cwaniakiem, żeby się nie domyślić, że Bubba może być w to zaangażowany. Tak samo zna Bubbę i wie, że Bubba jest facetem, który spokojnie wrzuciłby granat w dużą grupę jego ludzi, żeby przy okazji zlikwidować faceta, który go stuknął. Więc jeśli to zlecił Ser... to znów... dlaczego w tej sytuacji nie kazał go zlikwidować? Gdyby wyeliminował Bubbę, nie musiałby się bać odwetu. A zostawiając go przy życiu - jeśli chciał po odsiadce pozbierać jeszcze choćby resztki swojej organizacji - nie mógł zrobić nic innego, jak tylko wydać Bubbie przynajmniej jednego z graczy. Chyba że były jakieś inne możliwości, których nie potrafiłem przewidzieć.

- Chryste! - powiedziałem.
 - Mam dla ciebie jeszcze jedną ciekawostkę - oświadczył Bubba.
- Nie byłem pewien, czy mój skołatany mózg zdoła przejść kolejne rewelacje, ale na wszelki wypadek powiedziałem: - Wal.
- Chodzi o pewną plotkę na temat Pharaoha Gutierrezza...
 - Wiem. Skumał się z Mullenem, żeby przejąć interesy Sera.
 - Nie, nie o to mi chodzi. O tym wiedzą wszyscy. Chodzą słuchy, że Pharaoh nie był jednym z nas.
 - A kim?
 - Agentem, Patrick - powiedział Bubba, a ja poczułem, jak mi się mózg lasuje. - Mówią, że był z DEA.

21

DEA? - zdziwiła się Angie. - Chyba żartujesz.

Wzruszyłem ramionami.

- Tak słyszał Bubba. Wiesz, jak jest z informacjami ulicznymi: albo kompletna bzdura, albo całkowita prawda. Za wcześnie, żeby to ocenić.

- Jak to? Gutierrez przez sześć lat był wtyczką w organizacji Sera Olamona, brał udział w porwaniu czterolatki i nie przekazał swoim przełożonym żadnej informacji?

- Kupy się nie trzyma, prawda?

- Nie. Ale to nic nowego.

Zacząłem się huścić na krześle, z trudem powstrzymując chęć walnięcia pięścią w ścianę. To była jedna z najbardziej denerwujących spraw, z jakimi miałem do czynienia. Nic tutaj nie trzymało się kupy. Znika czteroletnia dziewczynka. Na podstawie dochodzenia należy się domyślać, że dziecko zostało uprowadzone przez dilerów narkotykowych, których oskubała matka małej. Z żądaniem skradzionych pieniędzy w zamian za dziecko występuje kobieta, która - wszystko na to wskazuje - pracuje dla dilerów. Miejsce transakcji okazuje się zasadzką. Dilerzy zostają zabici. Jeden z dilerów mógł być - ale równie dobrze mógł nie być - agentem rządowym. Uprowadzone dziecko albo jest nadal w rękach kidnaperów, albo na dnie zbiornika wodnego w kamieniołomach.

Angie sięgnęła przez stół i położyła mi na nadgarstku ciepłą rękę.

- Musimy przynajmniej spróbować się przez parę godzin przespać.

Obróciłem rękę i ująłem jej dłoń.

- Czy jest w całej tej sprawie jedna jedyna rzecz, która byłaby dla ciebie zrozumiała?

- Teraz, po zlikwidowaniu Gutierrezza i Mullena? Nie. W organizacji Sera nie ma nikogo, kto mógłby przejąć pałeczkę. Tam w ogóle nie ma nikogo, kto byłby na tyle bystry, żeby wykręcić taki numer.

- Chwileczkę...

- Co?

- Sama to przed chwilą powiedziałaś. Że teraz na szczęblu władzy w organizacji Sera Olamona jest wakat. A jeśli o to właśnie chodziło?

- O co mianowicie?

- A jeśli Ser wiedział, że Mullen i Gutierrezz szykują zamach stanu? Albo że przynajmniej Mullen szykuje; a o Gutierrezie słyszał, że nie był tym, za kogo się podawał.

- I uważasz, że Ser to wszystko sfingował - porwanie, żądanie okupu i tak dalej - po to tylko, żeby zlikwidować Mullena i Gutierrezza? - Angie puściła moją rękę. - Mówisz poważnie?

- To tylko jedna z teorii.

- Idiotyczna - orzekła.

- Tak sądzisz?

- No bo pomyśl. Po co Ser miałby zadawać sobie tyle trudu, skoro mógł wynająć dwóch fachowców od mokrej roboty, żeby załatwili Mullena i Gutierrezza, gdy ci by spali?

- Ale jest też wkurzony na Helene i chce z powrotem swoje dwieście tysięcy dolców.

- Wobec tego każe Mullenowi porwać małą i zaaranżować cały ten skomplikowany interes, związany z wymianą dziecka na pieniądze i kiedy to się odbywa, posyła kogoś, żeby stuknął Mullena?

- A dlaczego nie?

- To wobec tego gdzie jest Amanda? Gdzie są pieniądze? Kto wczoraj wieczorem strzelał od strony tamtych drzew? Kto ogłuszył Bubbę? Jak Mullen mógł nie wiedzieć, że jest manipulowany? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ilu ludzi z organizacji Sera musiałyby wziąć udział w takiej gigantycznej skomplikowanej konspiracji, a potem to wszystko zrealizować? A przecież Mullen nie był głupi. To był najbystrzejszy facet z

całej drużyny Sera. Myślisz, że nie zorientowałyby się, że chcą go sprzątnąć?

Potarłem oczy.

- Chryste, ależ mnie boli głowa.

- Mnie też. A ty mi wcale nie pomagasz. Spojrzałem na nią spode łba i Angie się roześmiała.

- No dobrze - powiedziała. - Wracamy do punktu wyjścia. Amanda została uprowadzona. Dlaczego?

- Jej matka ukradła Serowi dwieście tysięcy.

- To dlaczego Ser nie posłał kogoś, żeby ją postraszył? Jestem przekonana, że Helene by szybko pękła. Oni przecież też to musieli wiedzieć.

- Samo zorientowanie się, że policja nie przejęła pieniędzy w akcji na gang motocyklowy, mogło im zająć trzy miesiące.

- No dobrze. Ale wtedy już działaliby szybko. W dniu, w którym widzieliśmy Raya Likanskiego, miał podbite oczy.

- Uważasz, że to Mullen?

- Gdyby Mullen podejrzewał, że to Likanski go obrobił, na pewno nie skończyłoby się na podbitych oczach. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Gdyby Mullen podejrzewał, że Likanski i Helene zrobili skok na kasę organizacji, toby nie porwał jej dziecka, tylko by ją po prostu zabił.

- Więc może to jednak nie Ser stał za porwaniem Amandy McCready?

- Może.

- A dwieście tysięcy to był przypadek? - Przechyliłem głowę i uniosłem brew.

- Mówisz, że to wielki przypadek...

- Mówię, że to był przypadek wielkości Vermontu. Szczególnie że notatka, znaleziona za gumką majtek Kimmie, mówiła, że te dwieście tysięcy równa się oddaniu dziecka.

Angie skinęła głową, złapała kubek za ucho i zaczęła nim kręcić.

- Okay, wracamy do Sera. I do podstawowego pytania: po co miałyby zadawać sobie tyle trudu?

- Zgadzam się, nie ma w tym wiele sensu. I nie wygląda to na sposób działania Sera Olamona.

Angie spojrzała na mnie znad kubka kawy.

- Więc gdzie ona jest, Patrick?

Dotknąłem jej ramienia i wsunąłem dłoń w rękaw jej szlafroka.

- Ona jest w kamieniołomach, Angie.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem.

- Ktoś porzywa tę małą, żąda okupu, a potem ją zabija? I już? Tak po prostu?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Bo widziała twarze porwaczy? Bo ktokolwiek był tam wczoraj w kamieniołomie, wyczuł policję, wiedział, że będziemy działali z obstawą? Nie mam pojęcia. Bo po prostu ludzie zabijają dzieci.

Angie wstała.

- Chodź, jedziemy do Sera.

- A co ze spaniem?

- Wyśpimy się po śmierci.

22

Marznąca mżawka, która na krótko dopadła nas wczoraj wieczorem, powróciła dziś rano i kiedy dojechaliśmy do więzienia Concord, bębniło o maskę, jakby z nieba leciały dziesięciocentówki. Tym razem nie towarzyszyli nam policjanci, więc przyprowadzono Sera do pokoju spotkań i komunikowaliśmy się z nim przez grubą szklaną tafłę. Angie i ja, każde w swoim boksie, sięgnęliśmy po słuchawki i Ser sięgnął po swoją.

- Sie masz, Angie - powiedział - świetnie wyglądasz.

- Sie masz, Ser.

- Może jak stąd kiedyś wyjdę, to byśmy sobie poszli na czekoladowy malt albo coś w tym guście?

- Czekoladowy malt?

- Jasne. - Poruszył ramionami. - No, na piwo słodowe z lodami czekoladowymi. Coś w tym rodzaju.

Angie zmrużyła oczy.

- Jasne, Ser, oczywiście. Zadzwoń do mnie, jak wyjdiesz.

- Niech to szlag! - Ser walnął w szybę masywną łapą. - Będziecie o tym wiedzieli!

- Ser - powiedziałem.

Uniósł brwi.

- Chris Mullen nie żyje.

- Słyszałem. Cholerny wstyd.

- Wygląda na to, że sprawnie tym wszystkim sterujesz - odezwała się Angie.

Ser odgiął się na krześle do tyłu i przez chwilę nas oceniał, bezmyślnie drapiąc się po piersiach.

- Te sukinsyny w tym biznesie umierają młodo.

- Pharaoh Gutierrez też.

- Wiem. - Ser skinął głową. - Szkoda Pharaoha. - Skubany potrafił się ubrać.

Rozumiesz, co mam na myśli?

- Słyszałem, że Pharaoh pracował nie tylko dla ciebie.

Ser uniósł brew i przez moment robił wrażenie zaskoczonego.

- Jeszcze raz, bracie.

- Słyszałem, że Pharaoh pracował dla federalnych.

- Bzdura. - Ser uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową, ale jego oczy pozostały rozwarte i lekko rozkojarzone. - Jeśli wierzysz we wszystko, co usłyszysz na ulicy, to powinieneś... bo ja wiem... zostać pieprzonym gliniarzem czy co.

Była to kiepska analogia i Ser o tym wiedział. Zwłaszcza że chodziło o kogoś, komu wierzył dosłownie we wszystko, co tamten mówił - gładko, szybko i zabawnie, nawet jeśli to były groźby. A z agresywnego tonu Sera widziałem wyraźnie, że tego typu podejrzenia pod adresem Pharaoha nigdy nie przyszły mu do głowy.

Uśmiechnąłem się.

- Agent. W twojej organizacji, Ser? Zdajesz sobie sprawę, jak to może wpłynąć na twoją wiarygodność?

Oczy Sera odzyskały swój zwykły wyraz zakłopotanej ciekawości, odchylił się z krzesłem do tyłu i odzyskał panowanie nad sobą.

- Ten wasz facet, Broussard, był u mnie jakąś godzinę temu i powiedział, że nie ma już żalu w sercu do Mullena i Gutierrezza i że to ja sam skasowałem własnych chłopców. A on już dopilnuje, żebym za to zapłacił. Powiedział, że to przeze mnie ma zostać zawieszony, a jego partner trafił do szpitala. Jeśli chcesz znać prawdę, to ci powiem, że mocno wkurwił Sera.

- Przykro mi z tego powodu, Ser. - Nachyliłem się do szyby. - Ale jeszcze ktoś inny poza tobą jest mocno wkurwiony.

- Tak? A kto mianowicie?

- Brat Rogowski.

Ser przestał się drapać w pierś, a przednie nogi jego krzesła dotknęły podłogi.

- A dlaczego Brat Rogowski ma być zły?

- Kilka razy oberwał w łeb od kogoś z twojej drużyny.

Ser potrząsnął głową.

- Nie z mojej drużyny, bracie, nie z mojej. Spojrzałem na Angie.

- To bardzo niefortunne - powiedziała.

- Tak - potwierdziłem - źle się stało.

- Co chcecie, przecież wiecie, że nigdy bym nie podniósł ręki na Brata Rogowskiego.

- A pamiętasz tamtego faceta? - spytała Angie.

- Którego? - zainteresowałem się.

- No tego, sprzed kilku lat, taka szycha w irlandzkiej mafii, znasz go... - Strzeliła palcami.

- Jack Rouse - powiedziałem.

- Tak, był kimś w rodzaju irlandzkiego ojca chrzestnego, zgadza się?

- Chwileczkę - powiedział Ser. - Nikt nie wie, co się stało z Jackiem Rouse'em.

Podobno naraził się rodzinie Patriso czy coś w tym rodzaju.

Patrzył przez szybę, jak oboje jednocześnie wolno potrząsamy głowami.

- Poczekaj, Jack Rouse został zabity przez...

- Szszsz... - Przytknąłem palec do ust.

Ser na jakąś minutę odłożył słuchawkę i spojrzał w górę, na sufit. Kiedy z powrotem spuścił wzrok, robił wrażenie, jakby się skurczył o jakieś ćwierć metra, a grzywkę miał tak mokrą, że przyklepiła mu się do czoła, nadając mu wygląd kogoś o dziesięć lat młodszego. Ponownie wziął słuchawkę do ręki.

- Chodzi o pogłoski na temat kręgielni? - wyszeptał.

Dwa lata temu Bubba, płatny morderca zwany Pine, ja i Phil Dimassi spotkaliśmy Jacka Rouse'a i jego prawą rękę, skretyniałego Kevina Hurlihy'ego, w opuszczonej kręgielni w dzielnicy skórzanej. Sześciu z nas weszło; czterech wyszło. Jack Rouse i Kevin Hurlihy, związani, zakneblowani i torturowani przez Bubbę i kilka kul z kręgielni, nie mieli żadnych szans. Płatny morderca skorzystał z protekcji Tłustego Freddy'ego Constantine'a, szefa mafii włoskiej na tym terenie, a ci z nas, którzy wyszli, wiedzieli, że nikt nie znajdzie ciał i nikt nie będzie taki głupi, żeby ich szukać.

- To prawda? - wyszeptał Ser.

Za odpowiedź musiało mu starczyć moje kamienne spojrzenie.

- Bubba powinien wiedzieć, że nie miałem nic wspólnego z tym, że dostał w łeb.

Spojrzałem na Angie. Westchnęła, popatrzyła na Sera, a potem na małą półeczkę

pod szklaną taflą.

- Patrick... - Tym razem Ser mówił bez maniery diler narkotykowego z filmu *Superfly* - ...musisz to Bubbie powiedzieć.

- Ale co ma mu powiedzieć? - spytała Angie.

- Że ja nie miałem z tym nic wspólnego. Angie uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Jasne, Ser, tak, oczywiście, że nie miałeś.

Palnął w szklankę wierzchem dłoni.

- Słuchajcie! Ja z tym nie miałem nic wspólnego!

- Bubba to widzi inaczej, Ser.

- No więc mu powiedz.

- Niby dlaczego? - spytałem.

- Bo to jest prawda.

- Ja tego nie kupiłem, Ser.

Ser przysunął się bliżej z krzesłem i ścisnął słuchawkę tak mocno, że mało nie trzasnęła na pół.

- Słuchaj mnie, do jasnej cholery, ty dupku. Ten psychol uważa, że to ja go stuknąłem. Mógłbym równie dobrze dźgnąć nożem klawisz, wtedy miałbym pewność, że do końca życia nie wyjdę. Ten facet to chodzące dożywocie. Powiedz mu...

- Pierdol się, Ser.

- Co?

Powtórzyłem mu to, bardzo wolno. A potem powiedziałem:

- Dwa dni temu przyszedłem do ciebie i błagałem cię o życie czteroletniej dziewczynki. Mała nie żyje. I to jest twoja zasługa. I ty się domagasz miłosierdzia? Powiem Bubbie, że p r z e p r a s z a s z , że go kazałeś „znieczulić”.

- Nie.

- Powiem mu, że jest ci przykro. Że w jakiś sposób mu to wynagrodzisz.

- Nie. - Ser potrząsnął głową. - Nie możesz tego zrobić.

- Zobaczysz.

Odjąłem słuchawkę od ucha i wyciągnąłem rękę, żeby ją powiesić.

- Ona żyje.

- Co takiego? - zainteresowała się Angie.

Z powrotem przyłożyłem słuchawkę do ucha.

- Ona żyje - powtórzył Ser.

- Kto? - spytałem.

Ser przewrócił oczami i skinął głową w kierunku stojącego koło drzwi strażnika.

- Wiesz kto.

- Gdzie ona jest? - spytała Angie. Ser potrząsnął głową.

- Dajcie mi kilka dni.

- Nie - odparłem.

- Nie macie wyboru. - Obejrzał się przez ramię, po czym nachylił się do szyby i wyszeptał do telefonu: - Ktoś się z wami skontaktuje. Zaufaj mi. Muszę wcześniej wyjaśnić pewne sprawy.

- Bubba jest bardzo zły - powiedziała Angie. - I ma przyjaciół. - Rozejrzała się po więziennych murach.

- Pieprzysz - odparł Ser. - Jego kolesie, cholerni braciszkiwoie Twoomey, właśnie zostali zwinięci za napad na bank w Everett. Będą tutaj rotacyjnie siedzieli do sprawy w przyszłym tygodniu. Więc przestańcie mnie straszyć. I tak jestem wystraszony. Okay? Ale potrzebuję czasu. Zabierzcie tego gliniarza. Przyślę wam wiadomość. Obiecuję.

- Skąd masz pewność, że ona żyje?

- Wiem. Okay? - Uśmiechnął się do nas z rezygnacją. - Wy dwoje właściwie nie macie pojęcia, co się naprawdę dzieje. Wiecie o tym?

- Teraz już wiemy - odparłem.

- Powiedzcie Bubbie, że nie przyłożyłem ręki do tego, co mu się stało. Wam powinno zależeć, żebym żył. Beze mnie ta mała się nie znajdzie. Rozumiesz? *Gone, baby, gone* - zaśpiewał.

Odchyliłem się z krzesłem i przez minutę badawczo na niego patrzyłem. Robił wrażenie szczerego, ale w tym akurat Ser się specjalizował. Temu zawdzięczał karierę: dokładnie wiedział, w jaki sposób można kogoś najbardziej skrzywdzić, a potem wybierał konkretne osoby, które potrzebowały konkretnych rzeczy. Które musiały te rzeczy mieć. Potrafił uzależnionym kobietom wieszać przed nosem woreczki z heroiną, zmuszając je w ten sposób do stosunku z obcymi mężczyznami, a potem dawać im tylko połowę tego, co obiecał. Potrafił policjantom i prokuratorom okręgowym machać przed nosem półprawdami, zmuszając ich do podpisywania in blanco zgody na różne rzeczy, a potem dostarczać im faksymile obiecanego oryginału.

- Potrzebuję czegoś więcej - upierałem się. Strażnik załomotał w drzwi i powiedział:

- Sześćdziesiąt sekund, osadzony Olamon.
- Więcej? To czego, do kurwy nędzy, jeszcze chcesz?
- Chcę tej małej. Zaraz.
- Nie mogę powiedzieć...
- Niech cię szlag. - Załomotałem w szybę. - Gdzie ona jest, Ser? Gdzie jest

Amanda?

- Jeśli ci powiem, to zaraz się dowiedzą, że sypnąłem i do rana będzie po mnie. -
Mówiąc, cofał się, z dłońmi przed sobą, z wyrazem przerażenia na tłustej twarzy.

- Daj mi jakiś mocny dowód. Jakiś trop.
- Niezależnie potwierdzony - dorzuciła Angie.
- Niezależnie co?
- Trzydzieści sekund - uświadomił nam strażnik.
- Daj nam coś, Ser.

Ser obejrzał się desperacko przez ramię, potem powiódł wzrokiem po otaczających go ścianach, po dzielącej nas grubej szybie.

- Proszę - błagał Ser.
- Dwadzieścia sekund - powiedziała Angie.
- Nie, poczekajcie...
- Piętnaście.
- Ale ja...
- Tik-tak - powiedziałem - tik-tak.
- Chłopak tej dziwki - wykrztusił Ser. - Znacie go?
- Uciekł z miasta - odparła Angie.

- To go znajdźcie - syknął Ser. - Nic więcej nie wiem. Spytajcie go, jaka była jego rola tej nocy, kiedy zniknęła mała.

- Ser... - zaczęła Angie.

Za Serem wyrósł strażnik i położył mu rękę na ramieniu.

- Cokolwiek wam się w tej sprawie wydaje - powiedział Ser - to i tak nawet nie zbliżacie się do prawdy. Jesteście tak daleko od właściwego tropu, że równie dobrze moglibyście być na Grenlandii. Okay?

Strażnik sięgnął nad ramieniem Sera i wyjął mu z ręki telefon.

Ser wstał i pozwolił się zaciągnąć do drzwi. A tam odwrócił się do nas i powiedział bezgłośnie jedno słowo:

- Grenlandia.

Kilkakrotnie uniósł i opuścił brwi, po czym strażnik go wypchnął.

Następnego dnia wczesnym popołudniem nurkowie znaleźli w kamieniołomie Granite Rail strzępek materiału, zahaczony o granitowy występ, który sterczał jak toporek do lodu z półki skalnej ciągnącej się wzdłuż południowej ściany cztery i pół metra pod wodą.

O trzeciej Helene zidentyfikowała materiał jako strzępek T-shirtu, który jej córka miała na sobie tej nocy, kiedy zniknęła.

Strzępek materiału, na którym napisano mazakiem „A. McC”, został wydarty z tyłu koszulki, u góry, przy szyi.

Kiedy w living roomie Beatrice i Lionela Helene po dokonaniu tej identyfikacji patrzyła, jak Broussard chowa różową szmatkę do torebki z dowodami, szklanka z pepsi, którą trzymała w ręce, z głośnym chrupnięciem rozleciała się na kawałki.

- Jezus - powiedział Lionel - Helene.

- Ona nie żyje, prawda? - Helene ścisnęła dłoń w pięść, wbijając sobie głębiej w ciało odłamki szkła. Wielkie krople krwi, kapiące na drewnianą podłogę, przypominały małe spadochrony.

- Panno McCready - zwrócił się do niej Broussard - my tego nie wiemy. Proszę mi pokazać rękę.

- Ona nie żyje - powtórzyła Helene, tym razem głośniej. - Prawda? - Wyrwała Broussardowi dłoń, opryskując krwią stół.

- Helene, na miłość boską. - Lionel położył jedną rękę na ramieniu siostry, a drugą sięgnął do jej pokaleczonej dłoni.

Helene odwróciła się i tracąc równowagę, upadła na podłogę, gdzie siedziała, tuląc do siebie poranioną dłoń i spoglądając w górę na nas. Kiedy napotkałem jej wzrok, przypomniało mi się, jak jej w domu Małego Davida powiedziałem, że jest głupia.

Nie była głupia, tylko znieczulona na świat w ogóle i na prawdziwe niebezpieczeństwo, w jakim znalazło się jej dziecko, a nawet na odłamki szkła, które powbijały jej się w ciało, ścięła i żyły.

Ale ból powoli zaczynał do Helene docierać. Kiedy patrzyła na mnie, jej oczy - w miarę jak docierała do niej prawda - stawały się coraz jaśniejsze i większe. Było to straszliwe przebudzenie, synteza jądrowa jasności, która odmalowała się w źrenicach, gdy poraziła ją świadomość tego, jaką cenę zapłaciła Amanda za jej zaniedbanie, jaki

potworny musiała przeżywać ból, jakie koszmary nawiedzały jej małą główkę.

Otworzyła usta i zaczęła bezgłośnie zawodzić.

Siedziała na podłodze, a z poranionej ręki na dżinsy sączyła się krew. W poczuciu samotności, żalu i przerażenia drżała na całym ciele. Odchyliła głowę do tyłu i zalana łzami, kołysząc się, patrzyła w sufit i dalej wyla bezgłośnie.

O szóstej wieczorem, zanim jeszcze mieliśmy okazję z nim porozmawiać, Bubba w towarzystwie Nelsona Ferrare wszedł do należącego do Sera baru w Lower Mills. Trzem dilerom narkotykowym i barmanowi powiedzieli, żeby zrobili sobie przerwę na lunch i dziesięć minut później większa część baru wyleciała w powietrze na parking. Jeden z boksów w całości przeleciał przez drzwi frontowe, kasując hondę accord lokalnego radnego, bezprawnie zaparkowaną na miejscu dla inwalidy. Strażacy, którzy przybyli gasić pożar, musieli nakładać maski tlenowe. Wybuch był tak silny, że mało sam się nie zgasił i w samym barze prawie nie było ognia, ale za to w piwnicy strażacy natknęli się na płonącą stertę niepokiętej heroiny. Na widok dwóch pierwszych, którzy zaraz po wejściu zaczęli wymiotować, reszta wycofała się w obawie o własne bezpieczeństwo, pozwalając heroinie się dopalić.

Miałem nawet zamiar zawiadomić Sera, że Bubba działał na własną rękę, ale o szóstej trzydzieści Ser poślizgnął się w więzieniu Concord na świeżo zmytej podłodze - wyjątkowo pechowo. Stracił równowagę, wypadł przez barierę galeryjki trzeciego piętra i runął z wysokości dwunastu metrów na kamienną posadzkę, lądując na swojej za dużej, paplającej, jasnożółtej głowie i kończąc w ten sposób życie.

Część druga

ZIMA

23

Minęło pięć miesięcy, a Amandy jak nie było, tak nie było. Jej zdjęcie - z włosami wiszącymi koło twarzy i oczami, które robiły wrażenie nieruchomych i pozbawionych wyrazu, spoglądało, podarte albo zniszczone przez deszcz i wiatr, z placów budów i słupów telefonicznych, a także - od czasu do czasu - z telewizyjnych ekranów. Im dłużej patrzyliśmy na to zdjęcie, tym bardziej się ono zacierało i tym bardziej Amanda wydawała się nierzeczywista, a jej podobizna stawała się powoli jedną z wielu, jakimi nas bombardowano z billboardów czy ekranów telewizyjnych, aż wreszcie przechodnie witali jej twarz z pełnym dystansu smutkiem, nie pamiętając już nawet, kim była ani dlaczego jej zdjęcie zostało przyklejone do słupa oświetleniowego koło przystanku autobusowego.

Ci, którzy pamiętali, najprawdopodobniej odsuwali od siebie nieprzyjemne wspomnienie, pochylając głowę nad stronami sportowymi gazety albo kierując wzrok ku nadjeżdżającemu autobusowi. Świat jest strasznym miejscem, myśleli. Każdego dnia dzieją się jakieś koszarne rzeczy. Mój autobus się spóźnia.

*

Trwające miesiąc poszukiwania na terenie kamieniołomów nic nie przyniosły i zakończyły się, kiedy spadła temperatura, a wśród wzgórz zaczęły szaleć listopadowe wiatry. Nurkowie obiecywali, że wiosną wznowią poszukiwania i przy tej okazji wrócił

problem osuszenia kamieniołomów i zasypania ich ziemią. Radni Quincy oczywiście podnieśli krzyk na temat milionów dolarów, które by to przedsięwzięcie pochłonęło, znajdując nieoczekiwanych sprzymierzeńców w ekologach, ostrzegających, że zasypanie kamieniołomów ziemią zniszczy naturalne środowisko, pozbawiając wycieczkowiczów i spacerowiczów wspaniałych widoków, a mieszkańców Quincy miejsc o wielkim historycznym znaczeniu i likwidując najlepsze wspinaczkowe skały w całym stanie.

Poole wrócił do czynnej służby w lutym, kiedy brakowało mu sześciu miesięcy do trzydziestu lat pracy. Trafił do Wydziału Walki z Przestępczością Narkotykową i po cichu został zdegradowany do młodszego detektywa. Ale w porównaniu z Broussardem i tak miał dużo szczęścia. Broussard bowiem został zdegradowany ze starszego detektywa do posterunkowego, cofnięty na dziewięciomiesięczny okres próbny i przydzielony do obsługi parku samochodowego. Spotkaliśmy się z nim na drinku dzień po jego degradacji i niecały tydzień po tamtej nocy w kamieniołomie. Uśmiechał się gorzko, spoglądając na plastikowe mieszadełko, którym mieszał kostki lodu w swoim tanqueray z tonikiem.

- To Ser wam powiedział, że mała żyje, a ktoś inny, że Gutierrez pracował dla DEA, tak?

Skinąłem głową.

- To, że Amanda żyje, jakoby może potwierdzić Ray Likanski.

Uśmiech Broussarda stracił nieco ze swojej goryczy i stał się smutny.

- Wystawiliśmy listy gończe za Likanskim zarówno tutaj, jak i w Pensylwanii. Utrzymam je w mocy, jeśli chcecie. - Potrząsnął mnie lekko za ramię. - Mam nadzieję, że to nic nie zaszkodzi.

- Uważasz, że Ser kłamał - powiedziała Angie.

- Mówiąc, że Amanda McCready żyje? - Wyjął ze szklanki pałeczkę, wysał z niej dżin i położył ją na brzegu serwetki koktajlowej. - Tak, uważam, że Ser kłamał.

- Dlaczego?

- Bo był kryminalistą, a kryminaliści tak postępują. Bo wiedział, że tak bardzo chcecie, żeby mała żyła, że to bez trudu kupicie.

- Czyli że jak byłeś u niego wcześniej, tego samego dnia, to nic ci takiego nie mówił?

Broussard potrząsnął głową i wyjął z kieszeni paczkę marlboro. Widać było, że

znów na dobre zaczął palić.

- Jak mu powiedziałem o Mullenie i Gutierrezie, udawał bardzo zdziwionego, ale obiecałem, że mu spieprzę życie dokumentnie, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię. - Roześmiał się. A następnego dnia już nie żył. - Broussard zapalił papierosa i zmrużył jedno oko przed płomieniem zapalniczki. - Przysięgam na Boga: żałuję, że to nie ja go załatwiłem. Że nie zleciłem tego któremuś ze współwięźniów. Naprawdę. Uważam, że powinien zginąć z ręki kogoś, komu na tej małej zależało i przez całą drogę do piekła mieć świadomość, dlaczego umiera.

- A kto go zabił? - zapytała Angie.

- Słyszałem, że podejrzewają tego psychola z Arlington, świeżo skazanego za podwójne zabójstwo.

- Tego chłopaka, który w zeszłym roku zabił swoje dwie siostry? - zapytała Angie.

Broussard skinął głową.

- Peter Popovich. Siedział w Concord miesiąc do procesu i jakoby Ser miał z nim jakąś przeprawę na spacerunku. Albo to, albo Ser rzeczywiście się poślizgnął. - Broussard wzruszył ramionami. - Mnie tam wszystko jedno. Tak dobrze i tak dobrze.

- Czy nie wydaje ci się podejrzane, że Ser mówi nam, że ma informacje o Amandzie McCready, a następnego dnia zostaje zabity?

Broussard łyknął drinka.

- Słuchaj, będę szczery. Nie wiem, co stało się z tą małą i to mnie wkurza. Cholernie mnie to wkurza. Ale nie sądzę, żeby Amanda żyła, uważam, że Ser Olamon nie potrafił powiedzieć prawdy, nawet gdyby mu to mogło pomóc.

- A co z informacją, że Gutierrez pracował dla federalnych? - zapytała Angie.

Broussard potrząsnął głową.

- Wykluczone. Już do tej pory byśmy wiedzieli.

- No więc - podsumowała Angie - co się stało z Amandą McCready?

Broussard przez chwilę wpatrywał się w stół, następnie otarł papierosa o krawędź popielniczki, zdejmując biały czub popiołu i kiedy podniósł głowę, w oczach miał łzy.

- Nie wiem - powiedział. - Żałuję... trzeba było wszystko inaczej. Żałuję, że nie zawiadomiłem federalnych. Żałuję... - Głos mu się załamał, schylił głowę i nakrył dłonią prawe oko. - Żałuję...

Przełknął i jabłko Adama przesunęło się w górę i w dół. Głęboko wciągnął powietrze, ale nie odezwał się więcej.

W ciągu zimy przyjmowaliśmy z Angie różne inne zlecenia, ale żadne z nich nie dotyczyło zaginięcia dziecka. Oczywiście nie chcę powiedzieć, że zrozpaczeni rodzice pchali się do nas drzwiami i oknami; ostatecznie nie sprawdziliśmy się w sprawie Amandy McCready, nie odnaleźliśmy małej i związany z tym smród ciągnął się za nami, kiedy wychodziliśmy wieczorami na ulice naszej dzielnicy czy kiedy w sobotnie popołudnia robiliśmy zakupy w supermarkecie.

Ray Likanski też przepadł jak kamień w wodę, a to niepokoiło mnie bardziej niż cokolwiek innego w tej sprawie. Przecież nie było już koło niego gorąco, nie miał więc powodu się ukrywać. Od kilku miesięcy oboje z Angie wyrywkowo obstawialiśmy dom jego ojca w dzień i w nocy, ale jedyną nagrodą za nasze wysiłki był smak zimnej kawy w ustach i zeszywniałe od ciągłego przesiadywania w samochodzie kości i mięśnie. W styczniu Angie założyła podsłuch w telefonie Lenny'ego Likanskiego i przez dwa tygodnie przesłuchiwałam taśmy z rozmów. Słyszeliśmy, jak zamawia na przykład w Sieci Zakupów Domowych szczeniaki nagiego meksykańczyka, ale ani razu nie dzwonił do syna, ani nie odbierał od niego telefonu.

Pewnej nocy mieliśmy dość i pojechaliśmy do Allegheny w Pensylwanii. Dzięki książce telefonicznej namierzyliśmy tam jakichś Likanskich i obserwowaliśmy ich przez weekend. Byli to bracia Yardack, Leslie i Stanley, kuzyni Raya. Wszyscy trzej pracowali w fabryce papieru, która zatrzymywała powietrze wyziewami śmierdzącymi jak toner w kserografie, wszyscy trzej pili równo co wieczór w tym samym barze, flirtowali z tymi samymi kobietami i wracali sami do domu, w którym mieszkali razem.

Czwartej nocy poszliśmy za Stanleyem do zaułka, gdzie kupił działkę koki od kobiety, która przyjechała motorem terenowym. Kiedy tylko motor opuścił zaułek, Stanley wysypał sobie kokę na wierzch dłoni w byle jaką kreskę i zaczął wachać. Podszedłem do niego od tyłu, połaskotałem go w ucho moją czterdziestkąpiątką i spytałem o kuzyna Raya.

Stanley zlał się na miejscu i z zamrożonej ziemi pomiędzy jego butami buchnęła para.

- Nie wiem, nie widziałem Raya od dwóch lat. Odbezpieczyłem broń i przytknąłem mu ją do skroni.

- O Jezu, Boże, nie - powiedział.

- Kłamiesz, Stanley i wobec tego zaraz cię zastrzelę, okay?

- Nie, nie, ja naprawdę nie wiem, gdzie on jest! Przysięgam na Boga! Ray, Ray, nie widziałem Raya od prawie dwóch lat. Proszę, proszę, na miłość boską, niech pan mi uwierzy!

Spojrzałem nad jego ramieniem na Angie, która patrzyła mu w twarz. Napotkała mój wzrok i skinęła głową. Stanley mówił prawdę.

- Fiut ci zmiękł od koki - powiedziała i ruszyliśmy uliczką do samochodu, wsiedliśmy i opuściliśmy Pensylwanię.

*

Raz na tydzień odwiedzaliśmy Beatrice i Lionela. We czworo omawialiśmy wtedy wszystko, co wiedzieliśmy i czego nie wiedzieliśmy. A trzeba przyznać, że znacznie więcej nie wiedzieliśmy.

Pewnego wieczoru, pod koniec lutego, kiedy wyszliśmy od nich, a oni jak zwykle stali na ganku, żeby zobaczyć, czy bez przygód dotarliśmy do samochodu, Beatrice powiedziała:

- Zastanawiam się nad nagrobkiem. Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na nią.

- Co ty wygadujesz? - zapytał Lionel.

- Kiedy w nocy nie mogę spać - odparła Beatrice - zastanawiam się, co powinniśmy jej napisać na nagrobku. I czy w ogóle powinniśmy jej postawić nagrobek.

- Kochanie, daj spokój...

Ale Beatrice machnęła ręką i szczerzej otuliła się swetrem.

- Wiem, wiem. To by wyglądało tak, jakbyśmy się poddawali, jakbyśmy mówili, że Amanda nie żyje, chociaż bardzo chcielibyśmy wierzyć, że jest inaczej. Wiem. Ale... rozumiecie... nie ma żadnego śladu, że ona w ogóle żyła. - Beatrice pokazała na ganek.

- Żadnego dowodu na to, że kiedykolwiek była tutaj. Nasza pamięć jest zawodna, w pewnym momencie wspomnienia się zacierają. - Skinęła głową do swoich myśli. - Zacierają - powtórzyła i weszła do domu.

Helene widziałem raz, pod koniec marca, kiedy grałem z Bubbą w rzutki w Tawernie Kelly'ego, ale ona mnie nie dostrzegła albo udawała, że nie dostrzega. Siedziała w rogu baru, sama i przez całą godzinę zabawiła się drinkiem, gapiąc się w szklankę, jakby z dna patrzyła na nią Amanda.

Przyszedliśmy z Bubbą późno i kiedy skończyliśmy z rzutkami, przenieśliśmy się do stołu bilardowego. W tej samej chwili do lokalu, tuż przed zamknięciem, wlał się tłum i w ciągu dziesięciu minut utworzyła się potrójna kolejka do baru. Skończyły się ostatnie zamówienia, a my z Bubbą skończyliśmy grę i piwo, odstawiliśmy puste szklanki na kontuar i ruszyliśmy w kierunku drzwi.

- Dziękuję.

Odwróciłem się, rozejrzałem i zobaczyłem siedzącą w kącie Helene McCready w otoczeniu odwróconych stołków, które barman stawiał właśnie dokoła niej na barze. Z jakichś względów myślałem, że już wyszła.

A może tylko miałem taką nadzieję.

- Dziękuję - powtórzyła bardzo cicho - przynajmniej za to, że próbowaliście.

Stałem i nie wiedziałem, co zrobić z rękami. Ani z ramionami. Ani, szczerze mówiąc, w ogóle ze wszystkimi członkami. Całe ciało wydawało mi się jakieś niezdarne, jakby nie moje.

Helene dalej wpatrywała się w swoją szklankę, a tłuste włosy opadały jej na twarz, która wśród odwróconych do góry nogami stołków i w przygaszonych przed zamknięciem światłach wydawała się dziwnie drobna.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie byłem nawet pewien, czy w ogóle zdołam powiedzieć cokolwiek. Miałem ochotę do niej podejść, przytulić ją i przeprosić za to, że nie uratowałem jej córki, że nie znalazłem Amandy, że zawiodłem, za wszystko. Chciało mi się płakać.

Zamiast tego odwróciłem się i ruszyłem do drzwi.

- Panie Kenzie.

Zatrzymałem się, nie odwracając.

- Ja bym to wszystko cofnęła - powiedziała - gdybym tylko mogła. Ja bym... ja bym jej nie spuściła ani na chwilę z oka.

Nie wiem, czy skinąłem głową, czy nie, czy w jakikolwiek sposób dałem jej odczuć, że słyszę to, co mówiła. Wiem tylko, że się nie obejrzałem. Po prostu wyniosłem się stamtąd jak najprędzej.

Rano obudziłem się, zanim jeszcze Angie zaparzyła w kuchni kawę, usiłując za wszelką cenę pozbyć się wspomnienia Helene i tego jej koszmarnego „dziękuję”.

Zszedłem na dół po gazetę, wetknąłem ją pod pachę i wróciłem na górę. Zrobiłem sobie filiżankę kawy, zaniósłem ją do jadalni i otworzyłem gazetę, z której się

dowiedziałem o zniknięciu kolejnego dziecka.

Chłopiec nazywał się Samuel Pietro i miał osiem lat.

Ostatni raz widziano go w sobotnie popołudnie, jak rozstawał się z przyjaciółmi na placu zabaw Weymouth. Był poniedziałek rano. Matka zawiadomiła o jego zaginięciu dopiero wczoraj.

Był ładnym chłopcem, z dużymi, ciemnymi oczami, które mi przypominały oczy Angie i przyjaznym łobuzerskim uśmiechem, widocznym na zdjęciu wyciętym z fotografii zbiorowej trzeciej klasy. Ufny i rokujący duże nadzieje dzieciak.

Miałem ochotę schować gazetę przed Angie. Od czasu naszego wyjazdu z Allegheny, od chwili kiedy opuściliśmy tamtą uliczkę i cała para, cała determinacja z nas uszła, obsesja Angie na punkcie Amandy jeszcze się nasiliła. Ta obsesja jednak nie znajdowała ujścia w działaniu, ponieważ niewiele pozostało nam do zrobienia. Angie ślęczała więc nad naszymi notatkami, kreśliła na tablicy oś czasu, nanosiła na mapki główne postacie i godzinami rozmawiała z Broussardem albo z Poole'em, międłąc z nimi stare pomysły i zawsze krążąc wokół tych samych miejsc.

Z tych długich nocy nie zrodziły się żadne nowe pomysły ani nagłe odpowiedzi, mimo to Angie nie dawała się od tego odwieść. I za każdym razem, kiedy w wiadomościach telewizyjnych podawano, że zniknęło jakieś dziecko, patrzyła jak zahipnotyzowana, chłonąc nawet najdrobniejsze szczegóły.

Kiedy się okazywało, że dziecko nie żyje, płakała.

Zawsze cicho, zawsze za zamkniętymi drzwiami, zawsze wtedy, kiedy jej się wydawało, że jestem w innej części mieszkania i nie mogę słyszeć.

Dopiero niedawno zdałem sobie w pełni sprawę, jak głęboki wpływ na Angie miała śmierć jej ojca. Myślę, że nie chodziło o sam fakt śmierci, tylko o to, że właściwie nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób zginął. Nie mając ciała, które powierza się ziemi i żegna ostatnim spojrzeniem, może nigdy tak do końca nie uwierzyła, że ojciec nie żyje.

Kiedyś zapytała przy mnie o niego Poole'a i widziałem wtedy w jego oczach lęk, że nie sprosta, kiedy wyjaśniał Angie, że prawie go nie znał, że czasem przypadkowo widywali się na ulicy albo spotykali podczas nalotów na nielegalne kasyna. Jimmy Sympatyczny, zawsze nienaganny dżentelmen, doskonale rozumiał, że policjanci wykonują swoją pracę tak samo, jak on wykonywał swoją.

- Nie daje ci spokoju, co? - zapytał Poole.

- Czasami. Głowa niby akceptuje fakt, że kogoś nie ma, ale serce nigdy do końca

nie może się z tym pogodzić.

Tak samo było z Amandą McCready. I z tymi wszystkimi dziećmi w całym kraju, które znikaly i nie odnajdywały się, żywe ani martwe, podczas długich zimowych miesięcy. Kiedyś myślałem, że może dlatego zostałem prywatnym detektywem, że nie lubiłem wiedzieć, co będzie za chwilę. Może Angie została detektywem, bo właśnie lubiła to wiedzieć.

Spojrzałem na uśmiechniętą, ufną buzię Samuela Pietro, na te oczy, które tak jak oczy Angie mogłyby cię całego wypić do dna.

Wiedziałem, że próba ukrycia przed nią gazety byłaby głupia. Jest przecież więcej gazet, jest telewizja i radio, są ludzie, którzy dzielą się nowinami w supermarketach, barach i na stacjach benzynowych.

Może czterdzieści lat temu zatajenie takiej wiadomości byłoby możliwe, ale nie teraz. Teraz wiadomości są wszędzie - informują nas, walą po głowie, a czasem nawet oświecają. Ale są obecne. Zawsze. Nie ma jak ich uniknąć, nie ma gdzie się przed nimi schować.

Obwiodłem palcem owal twarzy Samuela Pietro i po raz pierwszy od piętnastu lat pomodliłem się cicho.

Część trzecia

NAJTRUDNIEJSZY MIESIĄC

24

Na początku kwietnia większość nocy Angie spędzała z plakatami i notatkami dotyczącymi Amandy McCready w „izbie pamięci”, w jaką zmieniła drugą małą sypialnię w moim mieszkaniu, tę, w której dawniej trzymałem bagaże i pudła z rzeczami dla biednych i gdzie zakurzony drobny sprzęt czekał na oddanie do naprawy.

Przeniosła tam mały telewizor i magnetowid i w kółko przeglądała te same wiadomości, poczynając od października. Przez te dwa tygodnie od zniknięcia Samuela Pietro spędzała w tym pokoiku co wieczór przynajmniej pięć godzin w towarzystwie Amandy, która patrzyła na nią pustym wzrokiem ze zdjęć umieszczonych nad telewizorem.

Rozumiem obsesję w takim samym sensie ogólnym, jak większość nas i nie uważałem, że to w jakiś negatywny sposób odbija się na Angie - na razie. W ciągu długiej zimy pogodziłem się z myślą, że Amanda spoczywa na głębokości jakichś pięćdziesięciu metrów, skulona na skalnej półce, a jej lniane włosy unoszą delikatne prądy wodne. Ale nie zaakceptowałem tego faktu z przekonaniem, które pozwoliłoby mi patrzeć szyderczo na każdego, kto wierzył, że Amanda żyje.

Angie trzymała się mocno wersji Sera, że mała żyje i była pewna, że jej miejsce pobytu kryje się gdzieś w naszych zapiskach, w niuansach dochodzenia naszego i policyjnego. Przekonała Broussarda i Poole'a, żeby jej pożyczyci swoje notatki, tak samo codzienne raporty i wywiady większości innych członków Brygady do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom, którzy byli przydzieleni do tej sprawy. Nie miała

wątpliwości, jak mi powiedziała, że prędzej czy później z tych wszystkich dokumentów i z taśm wideo wyjrzy prawda.

- Prawda jest taka - rzekłem jej kiedyś - że ktoś z organizacji Sera wykołował Mullena i Gutierrezę i po tym, jak zrzucili Amandę ze skały, zlikwidował ich i zniknął z dwustoma tysiącami dolarów.

- Ser nie wierzył w tę wersję - powiedziała Angie.

- Broussard miał rację, Ser był profesjonalnym kłamcą. Wzruszyła ramionami.

- Mam przyjemność się z tobą nie zgodzić.

Wieczorami wracała więc do jesieni i do tego wszystkiego, co poszło źle, a ja w tym czasie czytałem, oglądałem stare filmy albo grałem z Bubba w bilard. I właśnie graliśmy w bilard, kiedy mój partner powiedział:

- Chciałbym, żebyś ze mną pojechał w pewnej sprawie do Germantown.

Ponieważ wypilem do tej pory tylko pół piwa, byłem pewien, że go dobrze usłyszałem.

- Chcesz, żebyśmy pojechali z tobą załatwić jakiś interes?

Gapilem się na Bubbę przez stół bilardowy, gdy nagle z szafy grającej rozległa się piosenka Smithsów. Nienawidzę Smithsów. Już bym wolał, żeby mnie przywiązali do krzesła i kazali słuchać jakiejś składanki Suzanne Vega i Natalie Merchant i jednocześnie patrzeć, jak performersi przebijają sobie gwoźdźmi genitalia, niż przez pół minuty słuchać, jak Morrissey i The Smiths wykrzykują swoje egzystencjalne lęki, bredząc, że są ludźmi i potrzebują miłości. Może jestem cyniczny, ale jeśli chcesz być kochany, to przestań jęczeć i może ci się wtedy trafi dobry seks, a to już pierwszy krok do sukcesu.

Bubba odwrócił się do baru i krzyknął:

- Co za cipa nastawiła to gównno?

- Bubba - próbowałem go zmitygować. Podniósł palec.

- Sekundę. - Ponownie obrócił się do baru. - Kto nastawił tę piosenkę, co?

- Bubba - odezwał się barman - uspokój się.

- Chcę wiedzieć, kto nastawił tę piosenkę.

W rogu baru nieśmiało podniosła rękę Gigi Varon, trzydziestoletnia alkoholiczka, która wyglądała na czterdzieści pięć lat.

- Ja nie wiedziałam, panie Rogowski. Przepraszam. Zaraz wyłączę.

- O, Gigi! - Bubba serdecznie pomachał do niej ręką. - Cześć! Nie przejmuj się.

- Przejmuję się.

- Nie, nie, kochanie. - Bubba potrząsnął głową. - Paulie, daj Gigi dwa drinki na mój koszt.

- Dzięki, panie Rogowski.

- Nie ma problemu, Gigi. Morrissey jest do kitu. Naprawdę. Zapytaj Patricka. Zapytaj, kogo chcesz.

- Tak, Morrissey jest do kitu - oświadczył jeden ze starych facetów, a kilku innych to za nim powtórzyło.

- Potem będą Amazing Royal Crowns - powiedziała Gigi.

Kilka miesięcy temu zainteresowałem Bubbę Amazing Royal Crowns i od tej pory stali się jego ulubioną kapelą. Bubba szeroko rozłożył ramiona.

- Paulie, trzy drinki.

Byliśmy w Live Bootleg, maleńkiej knajpie na granicy Południowego Bostonu i Dorchester, która od frontu nie miała szyldu. Zewnętrzną ścianę z cegły pomalowano na czarno i jedynie napis, nabazgrany czerwoną farbą w prawym dolnym rogu muru od strony Dorchester Avenue, świadczył o tym, że bar miał jakąkolwiek nazwę. Oficjalnie własność Carli Dooley alias „Uroczej Carlotty” i jej męża Shakesa, Live Bootleg w rzeczywistości należał do Bubby i kiedykolwiek tu wpadałem, wszystkie stolki były zawsze zajęte i alkohol lał się strumieniami. Klientela też trzymała standard; w ciągu trzech lat od otwarcia lokalu nigdy nie było tu bójki ani kolejki do toalety, dlatego że jakiś dający sobie w żyłę w kabinie ćpun za długo marudził. Oczywiście każdy, kto wchodził do lokalu, świetnie wiedział, kto jest jego prawdziwym właścicielem i co by ten właściciel pomyślał o kimś, kto by mu swoim zachowaniem ściągnął na kark policję. Dlatego mimo swojego ciemnego wnętrza i szemranej reputacji Live Bootleg był niemal tak samo niebezpieczny jak bingo w środowe wieczory u św. Bartłomieja. No i mieli tu lepszą muzykę, na ogół.

- Gigi o mało przez ciebie nie dostała zawału, nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz - powiedziałem. - Przecież szafa grająca jest twoja i to ty wsadziłeś tam płytę Smithsów.

- Nie wsadzałem tam żadnych pieprzonych Smithsów - odparł Bubba. - To jest jedna z tych kompilacji *The Best of the Eighties*. Musiałem znieść piosenkę Smithsów, bo na tej samej płycie była *Come on, Eileen* i cała masa innych dobrych przebojów.

- Katrina i Waves? - spytałem. - Bananarama? Takie zespoły naprawdę cool jak te?

- Hej, teraz idzie Nena, zamknij się.

- *Ninety-nine Luftballons* - powiedziałem. - Dobra. - Pochyliłem się nad stołem i wbiłem siódmkę. - O co chodzi z tym interesem, przy którym miałbym ci towarzyszyć?

- Potrzebuję wsparcia. Nelsona nie ma w mieście, a Twoomeyowie odsiadują wyrok dwa do sześciu.

- Milion innych facetów chętnie ci pomoże za stówkę. - Wbiłem szóstkę, która musnęła po drodze dziesiątkę Bubby i oszedłem od stołu.

- Mam dwa powody. - Bubba pochylił się nad stołem i uderzył w dziewiątkę, patrząc, jak okrąża stół. Mocno zamknął oczy, ale biała znalazła się w bocznej kieszeni. Jak na kogoś, kto tak dużo grał w bilard, Bubba wyjątkowo knocił.

Wziąłem ponownie kij do ręki i przymierzyłem czwórkę do bocznej kieszeni.

- Powód numer jeden?

- Mam do ciebie zaufanie, a ty masz wobec mnie dług wdzięczności.

- To już są dwa powody.

- Nie, jeden. Zamknij się i strzelaj.

Wybiłem czwórkę, a biała powoli potoczyła się pomiędzy dwiema bilami.

- Powód numer dwa - powiedział Bubba i mocno natarł kredą końcówkę kija. - Chcę, żebyś miał na oku tych ludzi, z którymi będę handlował.

Wbiłem dwójkę, lecz biała ustawiła się zaraz za jedną z bil Bubby.

- Dlaczego?

- Zaufaj mi. To cię zainteresuje.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć?

- Nie jestem pewien, czy oni są tymi, kim myślę, że są, więc musisz ze mną jechać i sam zobaczyć.

- Kiedy?

- Jak tylko wygram.

- To bardzo niebezpieczne?

- Nie bardziej niż zwykle.

- Aha, to znaczy, że bardzo.

- Nie bądź taki mięczak. Strzelaj.

Germantown tkwi mocno wsparte o port dzielący Quincy od Weymouth. Otrzymało swoją nazwę w połowie osiemnastego wieku, kiedy producent szkła zaczął sprowadzać robotników kontraktowych z Niemiec i pokrył miasto, zgodnie z

niemiecką tradycją, siecią wygodnych ulic i obszernych placów; kiedy fabryka splajtowała i Niemcy musieli sami o siebie zadbać, okazało się, że zwolnienie ich będzie mniej kosztowne niż znalezienie im jakiegoś innego miejsca.

Nastąpiły chude lata - jedno wielkie pasmo niepowodzeń, które prześladowały maleńki port i kolejne pokolenia potomków tamtych pierwszych robotników kontraktowych. Przemysły garncarski, czekoladowy, pończosznicy, wielorybiczny, wytwórnice soli i saletry - wszystko to w ciągu dwóch wieków rozkwitło i upadło, nie wytrzymując konkurencji. Przez jakiś czas wielką popularnością cieszyło się przetwórstwo dorszy i wielorybów, ale później przemysł ten przeniósł się na północ, do Gloucester, albo dalej na południe w kierunku Cape Cod, w poszukiwaniu lepszych łowisk, lepszych wód.

Germantown stało się zapomnianym skrawkiem ziemi, a jego wody, skażone odpadami ze stoczni Quincy, elektrowni, zbiorników ropy i fabryki Procter & Gamble, która na horyzoncie miasta tworzyła jedyne sylwetki, oddzielono od mieszkańców ogrodzeniem z metalowej siatki. Za sprawą wczesnego eksperymentu z budownictwem komunalnym dla weteranów wojennych wybrzeże zostało zaśmiecone półkolistymi osiedlami w kolorze pumeksu, liczącymi po cztery szesnastomieszkaniowe domy, przed którymi z popękanego betonu wyrastały obrdzewiałe metalowe słupki z linkami do suszenia bielizny.

Budynek, przed którym Bubba zaparkował swojego hummera, znajdował się w pewnej odległości od wybrzeża morskiego, a domy po jego obu stronach, wyraźnie skazane na zagładę, dosłownie się waliły. W ciemnościach i ten budynek wydawał się zapadać i chociaż niewiele widziałem, wyczuwałem panującą tu atmosferę rozkładu.

Otworzył nam stary mężczyzna z krótko przystryżoną brodą, okrywającą jego długą dolną szczękę szpakowatą szczecina, która jednak nie chciała rosnąć pośrodku, tam gdzie bruzda dzieliła brodę na pół, pozostawiając różowy krążek ciała, luskający niczym oko. Mężczyzna mógł być pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, ale jego drobna, zgarbiona postać znacznie go postarzała. Miał na głowie wypłowiałą bejsbolową czapkę Red Soxów, która robiła wrażenie za ciasnej nawet na jego małą głowę, żółty obcięty wysoko T-shirt, odsłaniający biały pomarszczony brzuch, i czarne nylonowe legginsy, ukazujące gołe kostki i stopy i tak obcisłe w kroczu, że przyrodzenie sterczało mu jak pięść.

Mężczyzna naciągnął głębiej daszek czapki na oczy i zwracając się do Bubby, zapytał:

- Jerome Miller?

„Jerome Miller” to ulubiony pseudonim Bubby, a zarazem nazwisko granego przez Bo Hopkinsa bohatera *Elity zabójców*, filmu, który Bubba oglądał z jedenaście tysięcy razy i który mógł w dowolnym miejscu cytować.

- A jak myślisz? - Ogromna postać Bubby zasłoniła mi drobnego mężczyznę.

- Ja tylko pytam - odparł gospodarz.

- Jestem króliczkiem wielkanocnym, który stoi na progu twego domu z torbą pełną soplów. - Bubba nachylił się i zza gospodarza zajrzał do wnętrza. - Może byś nas wpuścił, do cholery.

Mężczyzna odsunął się i weszliśmy do ciemnego living roomu, w którym aż gryzło w oczy od dymu papierosowego. Stary wziął ze stojącej na małym stoliku przepelnionej popielniczki żarzącego się papierosa i zaciągnął się, patrząc na nas przez dym jasnymi oczami, które w ciemności niemal płonęły.

- Pokaż - powiedział.

- Nie zamierzasz zapalić światła? - spytał Bubba.

- Tu nie ma światła - poinformował nas mężczyzna. Bubba pokazał zęby w szerokim, lodowatym uśmiechu. - To zaprowadź mnie do pokoju, w którym jest światło. Mężczyzna wzruszył kościstymi ramionami i powiedział:

- Proszę bardzo.

Kiedy ruszyliśmy za nim wąskim korytarzem, zauważyłem, że pasek bejsbolówki wisi niezapięty, a jego końce są zbyt od siebie oddalone, żeby móc się zetknąć i że ogólnie rzecz biorąc, tył czapki jakoś dziwnie wysoko siedzi mu na głowie. Męczyłem się jak potępieniec, próbując sobie uświadomić, kogo mi ten facet przypomina. Ale ponieważ nie znałem znów tak wielu starych mężczyzn, którzy nosili krótkie podkoszulki i legginsy, doszedłem do wniosku, że lista kandydatów nie może być długa. A jednak wydawało mi się, że jest w naszym gospodarzu coś dziwnie znajomego i uznałem, że myli mnie albo jego broda, albo czapeczka bejsbolowa.

W korytarzu, który prowadził wprost do tylnego wyjścia, śmierdziało brudną, zastałą wodą, a ściany cuchnęły pleśnią. Zauważyłem tu także czworo drzwi. Nad nami, na piętrze, rozległ się nagle stłumiony łomot. Sufit drżał od dźwięków kontrabasów i wibracji mocno podkreślonych głośników, chociaż sama muzyka - w gruncie rzeczy delikatne mruczando - była tak cicha, że mogłaby równie dobrze dochodzić z sąsiedniej ulicy. Izolacja akustyczna, pomyślałem. Może mają tam zespół muzyczny, grupę starych mężczyzn w legginsach i krótkich T-shirtach, grających

dawny repertuar Muddy'ego Watersa i kiwających się w rytmie muzyki.

Podeszliśmy do pierwszej pary drzwi, mniej więcej w połowie korytarza i kiedy zerknąłem w te po lewej stronie, zauważyłem jedynie cienie i ciemne kształty, zapewne rozkładany fotel i sterta książek albo magazynów. Z pokoju sączył się zapach zastarzałego dymu z cygar. Prawe drzwi prowadziły do kuchni, skąpanej dla odmiany w tak jaskrawym świetle, że nie miałem wątpliwości: żarówka musiała być przemysłowa, używana normalnie w zajezdniach ciężarówek, a nie w prywatnych domach. Zamiast oświetlać pomieszczenie, jak gdyby wymiatała je ze wszystkich sprzętów i musiałem chwilę mrugać, żeby cokolwiek zobaczyć.

Mężczyzna wziął z lady kuchennej niewielki przedmiot i cisnął go w bok w moim kierunku. Ponownie zamrugałem w ostrym świetle, dzięki czemu zdążyłem zobaczyć przedmiot wprawdzie już nisko, ale jeszcze w porę, by go w ostatniej chwili złapać. Była to niewielka papierowa torba, którą chwyciłem za dno, o mało nie wysypując znajdujących się w niej plików banknotów. Odwróciłem się do Bubby i wręczyłem mu torbę.

- Zgrabne ręce - powiedział mężczyzna i obdarzył Bubbę uśmiechem, w którym pokazał żółte od tytoniu zęby. - A teraz poproszę o tę torbę.

Bubba zrobił wymach torbą tak mocny, że trafił w pierś mężczyznę, który aż poleciał do tyłu i wylądował na podłodze, z rozkrzyżowanymi ramionami, podpierając się nadgarstkami o czarno-białe płytki.

- Niezgrabne ręce - powiedział Bubba. - Może lepiej położę torbę po prostu na stole?

Mężczyzna podniósł na niego wzrok i mrugając w ostrym świetle, skinął głową.

Uznałem, że to jego krogulczo zakrzywiony nos wydał mi się znajomy. Wystawał z płaskiej twarzy jak skalne urwisko, zagięty w dół tak ostro, że rzucał cień na usta.

Nasz gospodarz wstał z podłogi i otrzepał z kurzu siedzenie i dłonie, pochylając się nad stołem i patrząc, jak Bubba otwiera suwak torby. W jego oczach zapaliły się dwa pomarańczowe ogniki, jak tylne światła samochodu w ciemnościach, a na górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

- O, są moje pieszczoszki - powiedział, patrząc, jak Bubba otwiera torbę i odsłania cztery pistolety maszynowe Calico M-110 ze stopu aluminiowego, czarne, lśniące, naoliwione. Z calico M-110, najdziwniejszej broni, jaką kiedykolwiek widziałem, można wystrzelić setkę pocisków z jednego magazynku, takiego samego jak w karabinach. Ten typ pistoletu maszynowego ma mniej więcej czterdzieści dwa

centymetry długości, z czego pierwsze dwadzieścia to lufa i kolba, za którą znajduje się zamek i wystająca poza niego pozostała część broni. Przypomniały mi się pistolety, które kleciliśmy sobie jako chłopcy z gumek, spinek do bielizny i patyków od lizaków i z których strzelaliśmy do siebie nawzajem papierowymi pociskami.

Ale używając gumek i patyków, nie mogliśmy wystrzelić więcej papierowych pocisków na minutę niż dziesięć. M-110, jako pełny automat, mógł wystrzelić sto pocisków w ciągu piętnastu sekund.

Stary mężczyzna wyjął z torby jeden pistolet, położył go sobie płasko na dłoni i kilkakrotnie uniósł i opuścił, oceniając ciężar zabawki. Jego jasne oczy lśniły, jakby były naoliwione podobnie jak broń. Obliznął usta, niemal czując smak ognia.

- Przygotowania do wojny? - powiedziałem.

Bubba rzucił mi spojrzenie i zaczął liczyć pieniądze.

Mężczyzna uśmiechnął się do pistoletu, jakby to był kociak.

- Prześladowania zdarzają się na wszystkich frontach i niezależnie od czasów, mój drogi. Trzeba być w stanie ciągłej gotowości. - Czubkami palców muskał broń. - Dobra, dobra - gruchał.

I właśnie w tym momencie go poznałem.

Był to Leon Trett, pedofil, którego zdjęcie dał mi Broussard w pierwszych dniach po zniknięciu Amandy McCready. Podejrzany w sprawach o gwałty na pięćdziesięciorgu dzieciach i o udział w zniknięciu dwojga.

A myśmy go właśnie uzbroili.

Cholera.

Nagle mężczyzna spojrzał na mnie, jakby czytał w moich myślach, a mnie blask jego jasnych oczu przejął chłodem; poczułem się dziwnie mały.

- A naboje? - zapytał.

- Jak wyjdę - odparł Bubba. - Nie przeszkadzaj mi w liczeniu.

Gospodarz zrobił krok w kierunku Bubby.

- Nie, nie, nie, jak wyjdiesz, teraz.

- Zamknij się, przecież widzisz, że liczę. - Słyszałem, jak Bubba mruczy pod nosem: czterysta pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć...

Leon Trett kilka razy potrząsnął głową, jakby mógł w ten sposób sprawić, że naboje się pojawią, a Bubba zacznie sensownie gadać.

- Teraz - powiedział. - Teraz. Chcę te naboje teraz. Zapłaciłem za nie.

Sięgnął do ręki Bubby, który wierzchem dłoni walnął go w pierś tak silnie, że starego rzuciło na mały stolik pod oknem.

- Skurwysyn! - Bubba przerwał liczenie i energicznie złożył banknoty. - Muszę wszystko zaczynać od nowa.

- Dawaj mi moje naboje - zażądał Trett. Oczy miał wilgotne, a w jego głosie pojawiła się jękliwa nuta rozpieszczonego ośmiolatka. - Dawaj mi naboje.

- Odpierdol się. - Bubba od nowa zaczął liczyć pieniądze. Oczy Tretta wezbrały łzami. Zacisnął ręce na broni.

- W czym problem, kochanie?

Odwróciłem się w stronę głosu i zobaczyłem największą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Nie przypominała jednak Amazonki, raczej Sasquatcha. Była zwalista, porośnięta gęstymi, siwymi włosami, których część wyrastała jej z czubka głowy, okalając twarz i przysłaniając kości policzkowe i kąciki oczu, i opadając, jak oplątwa, na szerokie ramiona.

Kobieta była od stóp do głów ubrana w ciemny brąz, a całe jej cielsko pod fałdami luźnej sukni zdawało się dygotać i dudnić, kiedy stała w progu kuchni, trzymając od niechcienia w potężnej łapie rewolwer kalibru 38.

Roberta Trett. A jednak zdjęcie nie oddawało rzeczywistości.

- Nie chcą dać mi naboarów - poskarżył się Leon. - Biorą pieniądze, a nie dają naboarów.

Roberta weszła do kuchni i rozejrzała się, powolnym ruchem obracając głowę od prawej do lewej. Jedyńą osobą, która nie zwracała na nią uwagi, był Bubba. Pozostał w tym samym miejscu, pośrodku kuchni, z pochyloną głową, usiłując liczyć pieniądze.

Roberta od niechcienia wycelowała we mnie broń.

- Daj naboje. Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam naboarów.

- Ty - pomachała bronią w stronę Bubby - hej, ty. - ...osiemset pięćdziesiąt - powiedział Bubba - osiemset sześćdziesiąt, osiemset siedemdziesiąt...

- Hej! - wrzasnęła Roberta - patrz na mnie, jak do ciebie mówię.

Bubba nieznacznie zwrócił głowę w jej stronę, nie odrywając jednak wzroku od pieniędzy.

- ...dziewięćset. Dziewięćset dziesięć, dziewięćset dwadzieścia...

- Panie Miller - odezwał się desperacko Leon - moja żona do pana mówi.

- ...dziewięćset sześćdziesiąt pięć, dziewięćset siedemdziesiąt...

- Panie Miller! - wrzask Leona był tak cienki i przenikliwy, że świdrował mi gdzieś w uchu środkowym, w mózgu.

- Tysiąc. - Bubba przerwał w połowie pliku pieniędzy i to, co już policzył, schował do kieszeni.

Leon odetchnął głośno, a na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

Bubba spojrział na mnie, jakby w ogóle nie był świadom przyczyn powstałego zamieszania.

Roberta opuściła broń.

- Panie Miller, gdybyśmy mogli...

Bubba poślinił palec i oddzielił pierwszy banknot z pozostałego pliku.

- Dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto...

Leon Trett wyglądał, jakby dostał wylewu. Jego kredowobiała twarz stała się purpurowa i obrzmiała, a on sam, ściskając w rękach nienabitą broń, zaczął tańczyć w tył i w przód, jakby mu było pilno do ubikacji.

Roberta Trett ponownie uniosła broń, ale tym razem nie zrobiła tego od niechcenia. Zmrużyła lewe oko, wycelowała ją w głowę Bubby i patrząc wzdłuż lufy, odwiodła kurek.

Światło ostro rysowało sylwetki stojących na środku kuchni Roberty i Bubby, których rozmiary kojarzyły się raczej z czymś, na co się ludzie wspinają z użyciem lin i haków, a nie, co rodzą.

Wyciągnąłem z kabury u nasady pleców czterdziestkępiątkę i schowałem ją za prawą nogą, jednocześnie odbezpieczając.

- Dwieście dwadzieścia - powiedział Bubba, gdy tymczasem Roberta zrobiła kolejny krok w jego stronę - ...dwieście trzydzieści, dwieście czterdzieści, facet, nie chrzań się z tą suką, tylko strzelaj, dobrze, dwieście pięćdziesiąt, dwieście sześćdziesiąt...

Roberta zatrzymała się i lekko przechyliła głowę w lewo, jakby miała wątpliwości, czy dobrze słyszy. Odniosłem wrażenie, że nie potrafi właściwie ocenić sytuacji i wyraźnie źle się z tym czuje.

Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu była ignorowana.

- Panie Miller, pan przestanie teraz liczyć. - Wyciągnęła ramię, które przypominało prosty, twardy teownik, a jej kłykcie zrobiły się białe na tle czarnej stali.

- ...trzysta, trzysta dziesięć, trzysta dwadzieścia, powiedziałem, żebyś zastrzelił tę wielką sukę, trzysta trzydzieści...

Tym razem Roberta nie miała wątpliwości, że dobrze usłyszała. Jej nadgarstek, a wraz z nim broń zadrżały.

- Proszę odłożyć broń - zwróciłem się do niej.

Przewróciła oczami i zobaczyła, że się nie ruszam, że z niczego do niej nie mierzę, ale zaraz potem zauważyła, że nie widzi mojej prawej ręki i wtedy właśnie odciągnąłem kciukiem kurek czterdziestkapiątki, zakłócając przy tym tę jasną ciszę odgłosem o sile strzału.

- ...czterysta pięćdziesiąt, czterysta sześćdziesiąt, czterysta siedemdziesiąt...

Roberta Trett spojrzała przez ramię Bubby na Leona i jej broń zaczęła drżeć jeszcze bardziej; Bubba liczył dalej.

Usłyszałem, jak gdzieś w domu drzwi się otwierają i bardzo szybko zamykają. Odgłos dochodził z końca długiego korytarza, który dzielił budynek na pół.

Usłyszała go również i Roberta. Na moment strzeliła oczami w lewo, po czym wróciła wzrokiem do Leona.

- Każ mu przestać - powiedział Leon. - Każ mu przestać liczyć. To boli.

- ...sześćset - powiedział Bubba, podnosząc głos o oktawę - sześćset dziesięć, sześćset dwadzieścia, sześćset dwadzieścia pięć, już dosyć tych piątek, sześćset trzydzieści...

W korytarzu rozległy się ciche kroki i Roberta wyraźnie zeszywniała.

- Przestań, skończ wreszcie z tym liczeniem - powiedział Leon.

Wchodzący właśnie do kuchni mężczyzna, jeszcze mniejszy od Leona, stanął jak wryty i szeroko otworzył ciemne oczy, całkowicie zdezorientowany. Wyjąłem spluwę zza siebie i wycelowałem mu w sam środek czoła.

Miał pierś tak zapadniętą, jakby została wykonana na odwrót, jakby mostek i klatka piersiowa były wklęsłe, mały brzusek dla odmiany sterczał jak u Pigmeja. Prawe, zezowate oko cały czas uciekało w bok. Niewielkie zadrapania nad prawym sutkiem nabrały w jaskrawym świetle intensywnie czerwonego koloru.

Mężczyzna miał na sobie tylko mały niebieski frotowy ręcznik, a jego skóra lśniła od potu.

- Corwin - zwróciła się do niego Roberta - idź do swojego pokoju, już.

Corwin Earle. Wyglądało na to, że mimo wszystko znalazł swoją podstawową komórkę społeczną, rodzinę.

- Corwin zostanie tutaj - powiedziałem, wyciągając rękę przed siebie i obserwując, jak zdrowe oko Corwina natrafia na wylot lufy mojej broni.

Corwin skinął głową i opuścił ręce po bokach.

Wszystkie oczy, poza moimi, skierowały się na Bubbę.

- Dwa tysiące! - wykrzyknął tryumfalnie Bubba, podnosząc plik banknotów.

- Rozumiemy, że otrzymał pan wynagrodzenie - powiedziała Roberta Trett głosem drżącym, tak jak broń w jej dłoni. - Czekamy na dopełnienie transakcji, panie Miller. Proszę nam dać naboje.

- Dawaj naboje! - wrzasnął Leon.

Bubba spojrział na niego przez ramię.

Corwin Earle zrobił krok do tyłu, a ja powiedziałem:

- Nie, nie.

Corwin przelknął, a ja mu pokazałem bronią kierunek do przodu i wrócił na poprzednie miejsce.

Bubba zarechotał. Zabrzmiało to jak ciche, gardłowe „che, che, che”. Roberta zeszywniała.

- Naboje? - powiedział Bubba i odwrócił się do niej, udając, że po raz pierwszy dostrzega wycelowaną w siebie broń. - Ależ oczywiście.

Zesnurował usta i posłał jej całusa. Zamrugła i cofnęła się, jakby był toksyczny.

Bubba sięgnął w stronę kieszeni płaszcza i po chwili energicznie cofnął rękę.

- Hej! - krzyknął Leon.

Roberta szarpnęła się do tyłu, kiedy Bubba nadgarstkiem podbił jej nadgarstek i wytrącił z ręki broń, która przeleciała nad zlewozmywakiem i poszybowała w kierunku lady kuchennej.

Wszyscy z wyjątkiem Bubby się schylili.

Spluwa Roberty walnęła w ścianę i pod wpływem uderzenia wypaliła.

Pocisk wyrwał dziurę w tanim laminacie za zlewozmywakiem i rykoszetem trafił w ścianę koło okna, przy którym siedział przykucnięty Leon.

Trzydziestkaósemka z głośnym łoskotem wylądowała na ladzie, zakreśliła się i znieruchomiała z lufą wymierzoną w zakurzoną suszarkę do naczyń.

Bubba spojrział na dziurę w ścianie.

- Cool - powiedział.

Wszyscy, poza Leonem, wyprostowaliśmy się. Leon usiadł na podłodze i położył rękę na sercu, a jego jasne oczy przybrały tak twarde wyraz, że nie miałem wątpliwości, iż nie jest on facetem słabym, jakby się mogło wydawać na podstawie jego tchórzliwego zachowania podczas liczenia pieniędzy przez Bubbę. Była to

bowiem tylko maska, rola, jaką zagrał, by uśpić naszą czujność, ale teraz, kiedy siedział na podłodze, ta maska opadła, odsłaniając nagą nienawiść, z jaką patrzył na Bubbę.

Bubba wsadził do kieszeni drugi plik banknotów. Pokonał dzielącą go od Roberty odległość i zastukał butem w podłogę tuż przed nią, zmuszając ją, by na niego spojrziała.

- Mierzyłaś do mnie z broni, Xeno Wielka. - Przejechał ręką po zarośniętej brodzie, która wydała przy tym charakterystyczny szelest.

Roberta opuściła ręce po bokach. Bubba uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Czy powinienem cię teraz zabić? - zapytał bardzo cicho.

Potrząsnęła głową.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową, bardzo zdecydowanie.

- Ale mimo wszystko mierzyłaś do mnie z broni.

Roberta znów skinęła głową. Usiłowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko jakiś bulgot.

- A to co? - zdziwił się Bubba. Roberta przełknęła.

- Przepraszam, panie Miller.

- Och. - Bubba mrugnął do mnie, a w jego uśmiechniętych oczach pojawiło się to samo zielone światło, które już wcześniej widziałem, mówiące o tym, że wszystko może się zdarzyć. Dosłownie wszystko.

Z tyłu, za Bubbą, Leon wstał, przytrzymując się stołu.

- Człowieczku - zwrócił się do niego Bubba, nie spuszczając Roberty z oka - sięgnij no pod stół i wyciągnij swojego chartera dwadzieścia dwa, którego tam przykleiłeś, to go opróżnij w twoje jaja.

Ręka Leona odpadła od stołu.

Z włosów Corwina kapął pot. Mężczyzna, mrugając oczami, położył rękę na gałce drzwi, żeby się podeprzeć.

Bubba podszedł do mnie, cały czas omiatając kuchnię wzrokiem, nachylił się i szepnął mi do ucha:

- Są uzbrojeni po zęby. Będziemy się ewakuować w pośpiechu. Jasne?

Skinąłem głową.

Kiedy szedł do Roberty, obserwowałem oczy Leona, które najpierw spoczęły na stole, potem na szafce i wreszcie na zardzewiałej i oblepionej brudem zmywarce, która

najprawdopodobniej nie pełniła swojej funkcji od czasu, kiedy byłem w szkole średniej.

Zorientowałem się, że Corwin robi to samo, a potem na chwilę ich oczy się spotkały i czający się w nich strach ustąpił.

Jeśli chodziło o ocenę sytuacji, musiałem się zgodzić z Bubbą. Wyglądało na to, że znaleźliśmy się w samym środku Tombstone. Kiedy tylko opuścimy gardę, Trettowie i Corwin Earle chwycą za broń i odstawią nam Ok. Corral na żywo.

- Proszę - zwróciła się do Bubby Roberta Trett - idźcie już.

- A co z nabojami? - zapytał Bubba. - Chcieliście naboarów. Chcecie w dalszym ciągu?

- Ja...

Bubba dotknął czubkami palców jej brody.

- Tak czy nie?

Roberta zamknęła oczy.

- Tak.

- Przykro mi. - Bubba rozpromienił się. - Ale nie możecie ich dostać. Musimy już iść.

Spojrzał na mnie, pokazał głową w stronę drzwi i ruszył w ich kierunku.

Corwin przyglnął do ściany, a ja, wycofując się za Bubbą, cały czas trzymałem broń wymierzoną w pomieszczenie, w którym zostawała tamta trójka. Zobaczyłem furię w oczach Leona Tretta i wiedziałem, że natychmiast rzucą się za nami.

Złapałem Corwina za kark i pchnąłem go na środek kuchni do Roberty. A potem napotkałem wzrok Leona.

- Zostań w kuchni - powiedziałem - bo cię zabiję.

Kiedy Leon przemówił, nie był to już jękliwy głos ośmiolatka, tylko głęboki, lekko przytłumiony i zimny jak sól kamienna głos mężczyzny.

- Musisz dotrzeć do drzwi frontowych, mój chłopcze, a to jest długa droga.

Wycofałem się do korytarza, cały czas trzymając czterdziestkępiątkę wycelowaną w kuchnię. Bubba stał w odległości paru metrów i pogwizdywał.

- Jak sądzisz, czy powinniśmy uciekać biegiem? - wyszeptalem kątem ust.

Obejrzał się przez ramię.

- Chyba tak.

I puścił się pędem, atakując drzwi wejściowe i waląc butami o deski starej podłogi. Zarykiwał się przy tym ze śmiechu, wypełniając dom tubalnym „cha, cha,

cha!".

Opuściłem rękę z bronią i ruszyłem za nim, a ciemny korytarz i ciemny living room kołysały się szaleńczo na boki.

Słyszałem odgłosy krzątania w kuchni, słyszałem otwieranie drzwi zmywarki i czułem na plecach lufy ich broni.

Bubba nawet się nie zatrzymał, żeby otworzyć drzwi siatkowe dzielące nas od wolności; po prostu przez nie przeleciał, łamiąc drewnianą ramę i wlokąc za sobą zieloną siatkę, która spowijała mu głowę jak welon.

Na progu zaryzykowałem spojrzenie za siebie i zobaczyłem Leona Tretta, jak wypada z kuchni z wyciągniętą ręką. Odwróciłem się na moment i przez ciemny korytarz wycelowałem w niego czterdziestkępiątkę, ale szybko znalazłem się już na zewnątrz i przez długą chwilę Trett i ja patrzyliśmy na siebie, mierząc jeden w drugiego z broni.

Nagle Leon opuścił lufę i potrząsnął głową.

- Innym razem! - zawołał.

- Jasne.

Za mną, na trawniku, Bubba narobił hałasu, zrzucając z głowy resztki drzwi i rechocząc po swoim.

- Cha, cha, cha! Jestem Conan! - wrzeszczał, szeroko rozkładając ramiona. - Wielki pogromca złych krasnoludów! Żaden człowiek nie będzie wystawiał na próbę mojej odwagi i siły w walce! Cha, cha, cha!

Dołączyłem do Bubby i razem pobiegliśmy do jego hummera. Cały czas stałem plecami do samochodu, nie spuszczać z oka domu i trzymając broń oburącz, dopóki Bubba nie wsiadł i nie otworzył mi drzwi. Ale w domu nikt się już nie ruszył.

Wsiadłem do masywnej, szerokiej maszyny, a Bubba ruszył od krawężnika, zanim jeszcze zdążyłem zamknąć drzwi.

- Dlaczego nie dałeś im tych naboju? - zapytałem, kiedy od Trettów dzieliła nas odległość co najmniej jednej przecznicy.

Bubba przejechał znak stopu.

- Zdenerwowali mnie, bo mi ciągle przeszkadzali w liczeniu.

- I to wszystko? I tylko dlatego nie dałeś im tych naboju?

Bubba nachmurzył się.

- Nienawidzę, jak mi ktoś przeszkadza w liczeniu. Cholernie tego nienawidzę. Nienawidzę i już.

- Nawiasem mówiąc, skąd wzięłeś tych złych krasnoludów? - zapytałem, kiedy skręciliśmy za róg.

- Co?

- W *Conanie* nie było żadnych złych krasnoludów.

- Jesteś pewien?

- Jestem.

- Kurwa

- Przepraszam.

- Dlaczego zawsze wszystko musisz spieprzyć, człowieku? - warknął Bubba. - Jesteś beznadziejny.

25

- Angie! - zawołałem, kiedy weszliśmy z Bubbą do mieszkania. Wytknęła głowę z małej sypialni, w której akurat pracowała.

- Co jest grane?

- Dokładnie śledziłaś sprawę Pietra, tak? Na moment w jej oczach pojawiła się uraza.

- Tak, a bo co?

- Chodź do living roomu - powiedziałem, ciągnąc ją za sobą. - No chodź, chodź.

Spojrzała na mnie, a potem na Bubbę, który kołysząc się na piętach, wypuścił przez grube gumiate wargi wielki różowy balon „Bazooki”.

- Co piliście?

- Nic - odparłem. - Chodź.

Zapaliliśmy światło w living roomie i opowiedzieliśmy jej o naszej wyprawie do Trettów.

- Jesteście cholerne cymbały - powiedziała, kiedy skończyliśmy. - Jak małe psychole, które poszły się zabawić z rodziną psycholi.

- Dobra, dobra. Powiedz mi, Angie, w co był ubrany Samuel Pietro, kiedy zginął.

Angie odchyliła się z krzesłem.

- W dzinsy, biały T-shirt pod czerwoną bluzą, granatowo-czerwoną kurtkę, czarne rękawiczki i trampki. - Spojrzała na mnie zmrużonymi oczami. - I co z tego?

- To wszystko? - spytał Bubba.

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko. To, co powiedziałam, plus bejsbolowa czapeczka Red Soxów.

Spojrzałem na Bubbę, który skinął głową i podniósł ręce.

- Ale ja się tam nie zbliżę. Tam, w tym domu, są moje spluwy.

- Nie ma problemu - odparłem. - Zadzwonimy do Poole'a i Broussarda.

- Zadzwonimy do Poole'a i Broussarda. Ale w jakim celu? - zdziwiła się Angie.

- Widziałeś Tretta w bejsbolówce Red Soxów? - zapytał Poole siedzący naprzeciwko nas w kafejce u Wollastone'a. Skinąłem głową.

- Która była na niego za mała o trzy, cztery numery.

- I z tego wnioskujeś, że ta czapeczka należała do Samuela Pietro.

Ponownie skinąłem głową. Broussard spojrzał na Angie.

- A ty? Też jesteś tego zdania?

Angie zapaliła papierosa.

- Poszlakowo to by pasowało. Trettowie mieszkają w Germantown, dokładnie na wprost Weymouth, parę kilometrów od placu zabaw Nantasket Beach, gdzie przebywał Pietro tuż przed swoim zniknięciem. A kamieniołomy... kamieniołomy też nie są daleko od Germantown i...

- Och, proszę! - Broussard zmiął w ręce puste opakowanie po papierosach i cisnął je na stół. - Znów Amanda McCready? Uważacie, że skoro Trett mieszka w odległości kilku kilometrów od kamieniołomów, to już koniecznie musiał ją zabić? Mówisz poważnie?

Spojrzał na Poole'a i obaj potrząsnęli głowami.

- Pokazaliście nam zdjęcia Trettów i Corwina Earle'a - powiedziała Angie. - Pamiętacie? I powiedzieliście, że Corwin Earle lubi wybierać dzieci dla Trettów. I kazaliście nam mieć na niego oko - dodała Angie. - I to pan, detektywie Broussard, zgadza się?

- Posterunkowy - przypomniał jej Broussard. - Już nie jestem detektywem.

- Możliwe, ale jeśli tam wpadniemy i trochę się po tym domu pokręcimy, to znów będziesz.

Dom Leona Tretta znajdował się w odległości jakichś dziesięciu metrów od drogi i stał pośrodku zarośniętej trawą działki. Przez bursztynową zasłonę deszczu powierzchnia małego, białego budynku robiła wrażenie ziarnistej i pobrudzonej

wielkimi wirującymi paluchami blocka. Jednakże przy samym domu ktoś założył mały ogródek, w którym rośliny miały już pąki, a część nawet kwitła. Widok teoretycznie powinien być piękny, ale patrzenie na bogactwo starannie wypielegnowanych fioletowych krokusów, białych przebiśniegów, jaskrawoczerwonych tulipanów i delikatnych żółtych forsycji rosnących w cieniu brudnej rudery było deprymujące.

Roberta Trett, jak sobie uświadomiłem, była kwiaciarką i to wyraźnie utalentowaną, skoro potrafiła po długiej zimie wyczarować z twardej ziemi takie piękne kolory. Jedno nie pasowało do drugiego: tu zwaliste babsko, które jeszcze wczoraj mierzyło w głowę Bubby z trzydziestkiósemki, a tu wymagająca wielkiej subtelności umiejętność dobywania z ziemi życia, kruchej piękna miękkich płatków.

Dom był mały, piętrowy, ale górne okna, wychodzące na drogę, zostały zabite ciemnymi deskami. Poniżej tych okien w kilku miejscach gonty popękały albo ich brakowało, tak że górna część budynku przypominała trójkątną twarz z czarnymi oczodołami i zębami wyszczerzonymi w nierównym, szczerbatym uśmiechu.

Jak wtedy, kiedy z Bubbą zbliżałem się do tego domu po ciemku, tak i teraz - obojętne, był ogródek czy go nie było - unosiła się tu wszędzie atmosfera rozkładu.

Wysokie, zakończone drutem koleczastym ogrodzenie oddzielało z tyłu działkę Tretta od sąsiadów. Boki domu wychodziły na półakrowe skrawki zachwaszczonej ziemi, za którymi znajdowały się tamte dwa skazane na zagładę, opuszczone, walące się domy.

- Nie ma żadnej innej możliwości dostania się do środka, jak przez te frontowe drzwi - powiedziała Angie.

- Na to wygląda - zgodził się z nią Poole.

Siatkowe drzwi, które zdemolował Bubba i których resztki dalej leżały na trawie, zostały zastąpione przez białe drewniane drzwi, ze szczelinami pęknięć w środku. Ten koniec ulicy był cichy, spokojny i robił wrażenie miejsca opuszczonego, w które rzadko zapuszczają się sąsiedzi. Przez cały czas, kiedy tu byliśmy, minął nas tylko jeden samochód.

Tylne drzwi crown victorii otworzyły się i do Poole'a dosiadł się Broussard, otrząsając z włosów deszcz i opryskując Poole'owi brodę i skronie.

Poole wytarł twarz.

- Jesteś teraz psem?

- Przemokniętym do suchej nitki.

- Zauważyłem. - Poole wyjął z kieszeni na piersi chustkę. - Powtarzam: jesteś teraz

psem?

- Hau. - Broussard jeszcze raz potrząsnął głową. - Tylne drzwi są tam, gdzie mówił Kenzie. Mniej więcej tak samo usytuowane jak drzwi frontowe. Jedno górne okno po wschodniej stronie, jedno po zachodniej i jedno z tyłu. Wszystkie zabite deskami. W oknach na dole ciężkie zasłony. Drzwi do piwnicy na rogu, jakieś trzy metry na prawo od tylnych drzwi; zamknięte.

- Zauważyłeś tam może jakieś ślady życia? - zainteresowała się Angie.

- Przez te zasłony w oknach trudno ocenić.

- To co robimy? - zapytałem.

Broussard wziął od Poole'a chustkę, wytarł twarz i rzucił mu z powrotem chustkę na kolana. Poole spojrział na nią z mieszaniną zdziwienia i niesmaku.

- Robimy? - powiedział Broussard. - Wy? - Uniósł brwi. - Wy nic nie robicie. Jesteście cywilami. Jeśli wejdziecie przez te drzwi albo trąćcie Tretta w rękę, to was aresztuję. Mój dawny i przyszły partner i ja za jakąś minutę zastukamy do nich i zobaczymy, czy pan Trett albo jego żona będą skłonni do pogawędki. A jeśli nam powiedzą, żebyśmy się odpieprzyli, to się wynosimy i dzwoniemy na policję Quincy po wsparcie.

- A dlaczego już teraz nie mielibyście wezwać posiłków? - zapytała Angie.

Broussard popatrzył na Poole'a, a potem obaj spojrzeli na Angie i potrząsnęli głowami.

- Przepraszam, że jestem taka mało bystra - powiedziała Angie.

Broussard uśmiechnął się.

- Nie mogę wzywać posiłków, panno Gennaro, skoro nie mam po temu nawet potencjalnych powodów.

- Ale jak już zapukacie do drzwi, to będziecie mieli potencjalne powody, tak?

- Jeśli ktoś z nich będzie na tyle głupi, żeby otworzyć - odparł Poole.

- Dlaczego? - spytałem.- Uważacie, że zajrzycie do środka przez szparę i zobaczycie Samuela Pietro stojącego tam i trzymającego tabliczkę z napisem „Ratunku”?

Poole wzruszył ramionami.

- To naprawdę zdumiewające, co można usłyszeć przez szparę uchylonych drzwi, Kenzie. Znam policjantów, którzy gwizd czajnika wzięli za płacz dziecka. To oczywiście wstyd, jeśli na skutek takiej pomyłki wyważa się drzwi kopniakiem, niszczy meble i naraża mieszkańców na poszturchiwania, ale to wszystko mieści się w

granicach potencjalnych powodów.

Broussard wyciągnął ręce przed siebie.

- Wymiar sprawiedliwości jest wadliwy, ale próbujemy jakoś sobie z tym radzić.

Poole wyciągnął z kieszeni ćwierćdolarówkę, położył ją sobie na paznokciu dużego palca i trącił Broussarda.

- No, mów.

- Które drzwi? - powiedział Broussard.

- Statystycznie - odparł Poole - drzwi frontowe oznaczają większy ogień.

Broussard patrzył przed siebie przez zasłonę deszczu.

- Statystycznie. Poole skinął głową.

- Ale obaj wiemy, że do tych tylnych drzwi jest kawał drogi. - I to w dużej mierze przez otwartą przestrzeń.

Poole ponownie skinął głową.

- Przegrany stuka do tylnych drzwi.

- A dlaczego nie mielibyście iść razem do drzwi frontowych? - zapytałem.

Poole przewrócił oczami.

- Ponieważ siedzi ich tam co najmniej troje, panie Kenzie.

- Dziel i zwyciężaj - powiedział Broussard.

- A co z tymi wszystkimi spluwami? - zapytała Angie.

- Tym, które ponoć wasz tajemniczy przyjaciel tam widział?

Skinąłem głową.

- Tak, z tymi, wydaje mi się, że miał na myśli calico M-110.

- Tyle że bez nabojów.

- Tak, wczoraj wieczorem nie mieli nabojów - powiedziałem. - Ale kto wie, może je w ciągu ostatnich szesnastu godzin skądś wytrzasnęli.

Poole skinął głową.

- Jeśli mają naboje, oznaczałoby to wielką siłę ognia.

- Jak przyjdzie co do czego, to się będziemy martwili. - Broussard zwrócił się do Poole'a. - W rzucaniu monet zawsze przegrywam.

- To masz nową szansę. Broussard westchnął.

- Orzeł.

Poole pstryknął palcem i moneta zawirowała w półmroku samochodu, błysnęła bursztynowym światłem deszczu i na ułamek sekundy zaśniła hiszpańskim złotem, po czym wylądowała na dłoni Poole'a, który przybił ją do grzbietu drugiej dłoni.

Broussard spojrział na monetę i skrzywił się.

- Rzucić trzy razy i wybrać to, co się powtórzy dwa razy? Poole potrząsnął głową i schował monetę do kieszeni.

- Ja idę od frontu, ty od tyłu.

Broussard oparł się wygodnie i przez pełną minutę nikt nie odezwał się słowem. Przez ukośne strugi deszczu patrzyliśmy na mały, brudny domek. A właściwie skrzynkę, wokół której unosiła się dojmująca aura rozkładu, wyraźnie wyczuwalna w zapadającym się głęboko ganku, brakujących gontach i zabitych deskami oknach.

Kiedy się patrzyło na ten dom, trudno było sobie wyobrazić, że w jego sypialniach ktoś się mógł kochać, że w ogródku bawiły się dzieci, że ku sufitom ulatywał śmiech.

- Strzelby? - przerwał w końcu milczenie Broussard. Poole skinął głową.

- Autentyczne, w stylu westernowym. Broussard sięgnął do klamki.

- Nie dlatego, żebym chciała wam zepsuć zabawę w Johna Wayne'a - wtrąciła Angie - ale czy strzelby nie wydadzą się mieszkańcom domu podejrzane, skoro oficjalnie macie im tylko zadawać pytania?

- Nie będą ich widzieli - powiedział Broussard, otwierając drzwi samochodu. - Po to Bóg stworzył płaszcze.

Broussard podszedł z tyłu do taurusa i otworzył bagażnik. Zaparkowali samochód pod drzewem starym jak miasto, wielkim, bezkształtnym, z korzeniami, które porozsadzały chodnik dokoła. Drzewo zasłaniało zarówno samochód, jak i Broussarda.

- Wszystko jest jasne, tak? - powiedział łagodnie Poole z tylnego siedzenia.

Broussard wyciągnął z bagażnika płaszcz i włożył. Spojrzałem na Poole'a.

- Gdyby coś poszło źle, korzystajcie z telefonu komórkowego i dzwońcie pod dziewięć-jeden-jeden. Wychylił się do przodu i wymierzył w nasze twarze palec wskazujący. - I pod żadnym pozorem nie ruszajcie się z tego samochodu. - Rozumiemy się?

- Rozumiemy - powiedziałem.

- Panno Gennaro? Angie skinęła głową.

- Dobrze, wobec tego wszystko w porządku. - Poole otworzył drzwi i wysiadł na deszcz.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i dołączył do swojego kolegi stojącego przy bagażniku taurusa. Broussard skinął głową w reakcji na coś, co powiedział Poole i spojrział w naszą stronę, wsuwając jednocześnie śrutówkę pod połę płaszcza.

- Kowboje - powiedziała Angie.

- Dla Broussarda to może być szansa powrotu w szeregi detektywów. Nic dziwnego, że jest podniecony.

- Zbyt podniecony?

Wyglądało na to, że Broussard czyta z naszych ust. Uśmiechnął się poprzez strumienie deszczu, spływające po szybie i wzruszył ramionami. A potem odwrócił się do Poole'a i powiedział mu coś na ucho. Poole poklepał go po plecach i Broussard ruszył przed siebie. Po chwili był już na działce Trettów od strony wschodniej i pokonawszy spacerowym krokiem, od niechcenia, porośnięty chwastami pas ziemi, zmierzał w stronę tyłów domu.

Poole zamknął bagażnik taurusa i otulił się połamami płaszcza, ukrywając w ten sposób śrutówkę, którą trzymał pod prawą pachą. Idąc ulicą, z głową lekko zadartą do góry ku zabitym deskami oknom, w lewej ręce za plecami trzymał glocka.

- Widziałeś? - spytała Angie.

- A co miałem widzieć?

- Wydaje mi się, że w oknie na lewo od drzwi frontowych poruszyła się zasłona.

- Jesteś pewna? Potrząsnęła głową.

- Powiedziałam: „wydaje mi się”. - Wyjęła z torebki telefon komórkowy i położyła go sobie na kolanach.

Poole tymczasem doszedł do ganku. Uniósł lewą nogę do pierwszego stopnia, ale musiał zobaczyć coś, co mu się nie spodobało, bo go ominął, postawił stopę od razu na drugim i wszedł na ganek, pośrodku głęboko zapadnięty. W związku z tym jego postać była wyraźnie odchylona w lewo, a ściekająca między jego butami woda deszczowa tworzyła w zapadniętym miejscu kałużę.

Spojrzał w stronę okna, znajdującego się na lewo od drzwi i na chwilę znieruchomiał w tej pozycji, a następnie zwrócił się ku prawemu oknu, w które się dłuższy czas wpatrywał.

Wyjąłem ze skrytki swoją czterdziestkępiątkę.

Angie sięgnęła przeze mnie, wyciągnęła swoją trzydziestkęósemkę, skrzyła rękę w nadgarstku, sprawdziła bęben i zamknęła broń.

Poole podszedł do drzwi, uniósł rękę z glockiem i zastukał kłykciami, a następnie odstąpił od drzwi i czekał. Spojrzał w lewo, w prawo i z powrotem na drzwi. Zastukał ponownie.

Deszcz prawie nie hałasował. Krople były drobne, padały ukośnie i jeśli nie liczyć

zawodzenia wiatru, dokoła panowała cisza.

Poole nachylił się, próbując przekręcić gałkę drzwi w prawo, a potem w lewo. Ale drzwi pozostały zamknięte. Zapukał po raz trzeci.

Minął nas samochód, beżowe volvo kombi, z rowerami przytroczoneymi na dachu. Za kierownicą siedziała przygarbiona kobieta w morelowej przepasce na głowie, z pełnym napięciem, zdenerwowanym wyrazem twarzy. Widzieliśmy, jak przed znakiem stopu, jakieś sto metrów dalej, zapalają się czerwone światła hamulcowe, a potem samochód skręcił w lewo i zniknął nam z oczu.

Odgłos strzału ze śrutówki na tyłach domu przedarł się przez jęk wiatru i posypało się szkło. Wśród szemrania deszczu pochwyciliśmy ni to pisk, ni to stukanie zepsutych hamulców.

Poole błyskawicznie obejrzał się na nas, a następnie uniósł nogę, żeby kopniakiem wywalić drzwi, ale w tym samym momencie zniknął nam z oczu wśród latających kawałków drewna, wybuchów ognia i terkotu broni maszynowej.

Podmuch zwałił go z nóg i Poole runął na barierkę ganku z taką siłą, że trzasnęła i zwisała bezwładnie jak ramię wyrwane ze stawu barkowego. Broń wypadła mu z ręki i Poole wylądował na rabatce, a śrutówka, która wysunęła mu się spod płaszcza, zaczęła z łoskotem zjeżdżać po stopniach.

Ogień ucichł tak samo szybko, jak się rozpoczął.

Na moment znieruchomieliśmy w samochodzie, ogłuszeni hałasem strzelaniny, która jeszcze nie zdążyła przebrzmieć. Śrutówka Poole'a zsunęła się z ostatniego stopnia i jej kolba zniknęła w trawie, a lufa lśniła wilgotną czernią na chodniku. Nowy podmuch wiatru zamiótł deszczem ze zdwojoną siłą, a mały domek jęczał i trzeszczał, kiedy wichur napierał na jego dach, szarpiąc za okna.

Wysiadłem z samochodu i pochyłony ruszyłem biegiem w kierunku domu. W cichym szumie deszczu słyszałem uderzenia moich gumowych podeszew o mokry asfalt i żwir.

Obok mnie biegła Angie z telefonem komórkowym przy uchu.

- Policjant postrzelony, Germantown, Admiral Farragut Road trzysta dwadzieścia dwa. Powtarzam: policjant postrzelony, Germantown, Admiral Farragut Road trzysta dwadzieścia dwa.

Biegając chodnikiem, prowadzącym do stopni ganku, starałem się nic nie uronić; cały czas obrzucałem wzrokiem okna, drzwi i znów okna. Drzwi zostały rozprute, jakby jakieś wielkie zwierzęta zaatakowały je ostrymi niby sztylety pazurami. W

drewnie widniały poszarpane dziury, przez które mogłem zajrzeć do wnętrza i w których migąły mi plamy przytłumionych kolorów albo błyski światła.

Kiedy dobiegliśmy do stopni, w otworach zrobiło się nagle ciemno. Machnąłem prawą ręką, zwalając Angie z nóg na trawę i sam jednocześnie robiąc unik w lewo.

Miałem wrażenie, że raptem eksplodował cały świat. Nic się nie da porównać z odgłosem broni maszynowej oddającej siedem strzałów na sekundę. Przez drewniane drzwi furia pocisków wydawała się mieć niemal ludzkie oblicze - przypominała kakofonię wściekłych, morderczych ataków.

Poole leżał, tak jak padł; od ganku odbijały się pociski, a ja sięgnąłem w trawę, koło moich nóg, i chwyciłem kolbę jego śrutówki. Schowałem do kabury czterdziestkępiątkę i przykląknę na kolano. Wycelowałem przez zasłonę deszczu w drzwi, które po chwili buchnęły chmurą dymu. Kiedy dym opadł, w samym ich środku ukazał się otwór wielkości mojej pięści. Wstałem z klęczek, ale poślizgnąłem się na mokrej trawie i na lewo od siebie usłyszałem dzwonięcie szkła. Odwróciłem się i ponad barierą ganku strzeliłem w okno, rozwalając na kawałki ramę i szybę i wrywając dziurę w ciemnej zasłonie. Wewnątrz domu ktoś krzyczał.

Strzelanina ustała. W mojej głowie dalej rozbrzmiewały echa strzałów ze śrutówki i terkotu broni automatycznej.

Angie klęczała przy stopniach ganku z grymasem bólu na twarzy i rewolwerem wymierzonym w dziurę w drzwiach.

- Co z tobą? - spytałem.
- Nogę w kostce mam spieprzoną.
- Postrzelili cię?

Potrząsnęła głową, nie spuszczając z oka drzwi.

- Myślę, że mi trzasnęła, kiedy mnie pchnąłeś na ziemię. - Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Trzasnęła, tak jakby się złamała?

Skinęła głową i znów wciągnęła powietrze.

Poole jęknął, a z kącika ust popłynął mu szybki strumyk jaskrawoczerwonej krwi.

- Muszę go zabrać z ganku - powiedziałem. Angie skinęła głową.
- Będę was ubezpieczać.

Położyłem śrutówkę w mokrej trawie i złapałem barierkę, która złamała się pod Poole'em. Zaparłem się nogą o podstawę ganku i zacząłem ciągnąć barierkę, czując, jak ustępuje przegniłe drewno. Szarpnąłem mocno jeszcze raz i kawał belki, wraz z

połową sztachetek, został mi w ręku. Poole stoczył się, przewracając mnie na trawę.

Jęknął i poruszył się w moich ramionach, a ja wysunąłem się spod niego i w tym momencie zobaczyłem, że zasłona w prawym oknie się zakołysała.

- Angie - powiedziałem, ale ona już zdążyła zareagować. Trzy razy strzeliła w okno, z którego posypało się szkło i spadło na ganek.

Siedziałem w niskich krzakach przy domu, ale nikt nie odpowiedział na ogień, a tymczasem leżący na trawie Poole wyprężył się i z jego ust chlusnęła krew.

Angie opuściła broń, po raz ostatni obrzuciła długim spojrzeniem drzwi i okna i zaczęła się w naszą stronę czołgać na kolanach, z lewą nogą wykręconą w kostce i uniesioną. Wyciągnąłem broń i trzymając ją nad Angie, prześlizgnąłem się na drugą stronę Poole'a.

Tylem domu wstrząsnęła nowa seria z broni automatycznej.

- Broussard - Poole wypluł to słowo, łapiąc Angie za ramię i kopiąc w trawę obcasami. - Broussard - powtórzył Poole, wydając z gardła bulgot i wyginając się w łuk.

Angie ściągnęła bluzę przez głowę i przycisnęła ją do ciemnej fontanny krwi, tryskającej pośrodku jego piersi.

- Ciii. - Przytknęła mu dłoń do policzka. - Ciii.

Ktokolwiek strzelał na tyłach domu, musiał mieć duży zapas amunicji. Przez pełne dwadzieścia sekund słyszałem wznoszący się staccato terkot broni. Po krótkiej przerwie ogień został wznowiony. Nie byłem pewien, czy to calico, czy jakaś inna broń automatyczna, ale nie miało to większego znaczenia. Automat to automat.

Na sekundę zamknąłem oczy, przełknąłem ślinę przez boleśnie suche gardło i poczułem, jak w żyły, niby toksyczne paliwo, uderza mi adrenalina.

- Patrick - powiedziała Angie - wybij to sobie z tej swojej cholernej głowy.

Wiedziałem, że jeśli tylko na nią spojrzę, to się nie ruszę z tego trawnika. Gdzieś tam na tyłach domu tkwił osaczony Broussard albo jeszcze gorzej. Mógł tam być także Samuel Pietro, wokół którego kule świstały jak szerszenie.

- Patrick! - wrzasnęła Angie, ale ja już zdążyłem przesadzić stopnie i wylądować na szczelinie, w której spotykały się dwie części zrujnowanego ganku.

W zasadzce na Poole'a została odstrzelona gałka drzwi, toteż otworzyłem je kopniakiem, trzymając broń na poziomie piersi i strzelając w ciemność. Obróciłem się w prawo, potem w lewo, opróżniłem magazynek, wyrzuciłem pusty, załadowałem nowy. W pokoju nie było nikogo.

- Potrzebna natychmiastowa pomoc! - wrzeszczała za mną Angie w telefon komórkowy. - Policjant postrzelony! Policjant postrzelony!

Wewnątrz domu panowała ciemna szarość, która pasowała do koloru nieba. Zauważyłem na podłodze krew, która sączyła się z jakiegoś ciała, wyciekając na korytarz. W jego drugim końcu, na tyłach domu, przez dziury w drzwiach wpadało światło. Same drzwi wisiały ukośnie na górnym zawiasie; dolny został odstrzelony.

Mniej więcej w połowie korytarza strumień krwi odgałęział się w prawo i zniknął pod drzwiami do kuchni. Skręciłem do living roomu, sprawdziłem cienie, zobaczyłem pod oknami potłuczone szkło, kawałki drewna i strzępy zasłon, podartych w czasie strzelaniny, a także starą, usianą puszkami po piwie kozetkę z wylazłym wypełnieniem.

Kiedy tylko wszedłem do domu, ustał ogień z broni automatycznej i przez chwilę słyszałem jedynie deszcz bębniący o ganek za mną, tykanie zegara gdzieś na tyłach domu i swój oddech, płytki i nierówny.

Deski podłogi trzeszczały, kiedy szedłem przez living room, śladem krwi, na korytarz. Pot zalewał mi twarz i zwilżał ręce, a moje oczy cały czas biegały od drzwi na końcu wąskiego korytarza do czworga drzwi, które miałem przed sobą po jego obu stronach. Pierwsze po prawej, w odległości jakichś trzech metrów ode mnie, prowadziły do kuchni. Z tych po lewej sączyło się na korytarz żółte światło.

Przykleiłem się do ściany po prawej stronie i przesuwalem się krok po kroku, dopóki nie uzyskałem przynajmniej częściowego wglądu do wnętrza pokoju po lewej. Robił wrażenie czegoś w rodzaju salonu. Po dwóch stronach wbudowanej w ścianę szafki na wino stały fotele. Jeden z nich był rozkładany, ten sam, który dojrzałem w ciemności wczoraj wieczorem. Drugi tworzył z tym pierwszym komplet. Szafka wisiała pośrodku ściany, ale szkło zostało z niej usunięte, a półki wypełnione stosami gazet i kolorowych magazynów; więcej magazynów leżało na podłodze. Koło poręczy skórzanych foteli stały dwie stare popielniczki w metrowej wysokości stojakach. W jednej z nich kopciło się jeszcze niedopalone cygaro. Stałem przyklejony do ściany, z bronią wycelowaną w prawą stronę pokoju, wypatrując ruszających się cieni, nasłuchując trzeszczenia desek podłogi.

Nic. Cisza.

Zrobiłem dwa niepewne kroki na drugą stronę korytarza i przyłgnałem do przeciwległej ściany, z bronią wycelowaną w kuchnię.

Czarno-białe płytki podłogi lśniły od krwi i wnętrzości. Mokre odciski dłoni,

zabarwione jaskrawopomarańczowo w świetle jarzeniówek, znaczyły szafki i drzwi lodówki. Z prawej strony zobaczyłem cień i usłyszałem nierówny oddech, który nie był mój.

Głęboko zaczerpnąłem tchu, odliczyłem od trzech wstecz i skoczyłem na drugą stronę drzwi. W krótkim przeblysku oceniłem, że pokój do czytania, który miałem po prawej, jest pusty i patrząc wzdłuż lufy broni, zobaczyłem Leona Tretta. Siedział na ladzie kuchennej i wpatrywał się we mnie.

Jeden z automatów Calico M-110 leżał tuż za drzwiami, więc wchodząc, kopnąłem go pod stojący z prawej strony stół.

Leon obserwował mnie ze zbolałym uśmiechem. Ogolił się, a jego miękka, rozpulchniona skóra miała jakiś dziwny niezdrowy połysk, jakby ciało zostało wyszorowane drucianą szczotką, a potem wysmarowane oliwą i można je było zdjąć z kości łyżką. Bez brody jego twarz wydawała się dłuższa niż wczoraj, a policzki tak były zapadnięte, że usta tworzyły owal.

Lewe ramię Leona zwisało bezwładnie, z dziurą w bicepsie, z której tryskała krew. Prawym ramieniem podtrzymywał wypadające wnętrzności. Beżowe spodnie były przesiąknięte krwią.

- Przyniosłeś mi moje naboje? - zapytał. Potrząsnąłem głową.

- Rano sam zdobyłem.

Wzruszyłem ramionami.

- Kim ty jesteś? - powiedział cichym głosem, unosząc prawą brew.

- Na podłogę - poleciłem mu.

Leon odchrząknął.

- Nie widzisz, kochasiu, że przytrzymuję własne bebechy? Jak mogę się poruszać i jednocześnie utrzymać je na miejscu?

- To nie mój problem - odparłem. - Na podłogę.

Zacisnął długą szczękę.

- Nie.

- Złazisz na pieprzoną podłogę czy nie?

- Nie - powtórzył.

- Radzę ci, Leon, zrób to.

- Pierdol się. Strzelaj.

- Leon...

Błyskawicznie spojrział w lewo i widoczne w jego szczęce napięcie wyraźnie

ustąpiło.

- Okaż litość, kochanie - powiedział - no, śmiało.

Zauważyłem, że jego oczy znów są rozbiegane, i zobaczyłem na jego ustach coś w rodzaju uśmiechu. Padłem na kolana na ułamek sekundy przedtem, nim Roberta Trett wypaliła z automatu M-110, trafiając w miejsce, gdzie dopiero co stałem i praktycznie odstrzeliwując głowę swojemu mężowi.

Wrzasnęła w szoku i zdumieniu, widząc, jak twarz Leona znika niby przekłuty szpilką balon, a ja przewróciłem się na plecy, oddając strzał, który ugodził ją w prawe biodro i rzucił w róg kuchni.

Obróciła się do mnie, z miotłą siwych włosów na twarzy i niestety M-110 obróciło się razem z nią. Mokrym od potu paluchem sięgnęła do spustu, ale palec jej się ześlizgnął. Jednocześnie wolną ręką złapała się za ranę na biodrze, cały czas wpatrzona w nieistniejącą głowę swojego męża. Po chwili jednak zauważyłem, że wylot lufy wraca do mnie i zrozumiałem, że w każdej chwili Roberta może oprzytomnieć na tyle, że jej palec znajdzie spust.

Dałem nura z kuchni z powrotem na korytarz. Przeturlałem się na prawo, gdy tymczasem Roberta Trett zatoczyła swoją bronią pełne koło i wylot jej lufy znów spojrział mi w oczy. Zerwałem się na nogi i pobiegłem w kierunku tylnych drzwi. Wkrótce potem usłyszałem za sobą na korytarzu kroki Roberty.

- Zabiłeś mojego Leona, skurwysynu! Zabiłeś mojego Leona!

Rozległ się huk i korytarz rozbłysnął ogniem jakby wskutek gigantycznego trzęsienia ziemi. Roberta nie tylko trafiła palcem na spust, ale i pociągnęła.

Nawet nie patrząc w tę stronę, dałem nura do pokoju po lewej, okazało się jednak - niestety, zbyt późno dla mnie - że nie jest to pokój, tylko schody.

Wyrznąłem czołem w siódmy czy ósmy stopień, a towarzyszący zderzeniu się drewna z kością łomot był tak potężny, że poczułem go w zębach jak porażenie prądem. Słyszałem ciężkie kroki zbliżającej się do schodów Roberty.

Nie strzelała i to mnie przeraziło jeszcze bardziej, niż gdyby strzelała.

Wiedziała, że mnie zapędziła w kozi róg.

Moja goleń, którą wyrznąłem w pierwszy stopień, rzucając się do schodów, wydała głuchy jęk. Poślizgnąłem się, ale nie ustawałem w biegu na górę, kiedy nagle zobaczyłem na szczycie schodów metalowe drzwi. Zacząłem się modlić: Boże, daj, żeby były otwarte.

Roberta dotarła do schodów w chwili, gdy natarłem na drzwi, waląc w sam ich

środek nasadą dłoni. Poczułem, jak ustępują.

Roberta znów wygarnęła z calico M-110, ale przeturlałem się na lewy bok i zatrzasnąłem za sobą drzwi, w które uderzyła porcja ołowiu, niby grad w blaszany dach. Drzwi były ciężkie i grube - jak drzwi do chłodni przemysłowej czy do skarbcza - z czterema potężnymi zamkami od środka, na wysokości mniej więcej metra sześćdziesięciu górny i dziesięciu centymetrów od podłogi dolny. Jedną po drugiej pozamykałem wszystkie zasuwki, gdy tymczasem po tamtej stronie nie ustawała kanonada. Drzwi były kuloodporne, a zamki, zabezpieczone od zewnątrz grubymi stalowymi płytami, nie do odstrzelenia.

- Zabiłeś mojego Leona!

Nagle ogień ustał i Roberta zaczęła wyć, a było w tym zawroźdzeniu szaleńca coś tak rozpaczliwego i samotnego, że poruszyło w moim sercu jakąś strunę.

- Zabiłeś mojego Leona! Zabiłeś go! Umrzesz! Umrzesz, skurwysynu!

Nagle coś ciężkiego walnęło w drzwi od tamtej strony, a ja po drugim łomocie zorientowałem się, że to sama Roberta swoim olbrzymim cielskiem rzuca się jak taran na jedyną dzielącą nas przeszkodę - raz, drugi i trzeci - rycząc, wrzeszcząc i wykrzykując imię swojego męża.

Wiedziałem, że nawet gdyby ona straciła broń, a ja bym swoją zachował, to i tak - jeśliby w jakikolwiek sposób sforsowała drzwi - rozerwałaby mnie na strzępy gołymi rękami, choćbym nie wiadomo ile ołowiu w nią wpakował.

- Leon! Leon!

Nasłuchiwałem odgłosu syren, trzasku stacji radiowych, beczenia głośników. Już do tej pory policja powinna była dojechać. Musiała.

Ale właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że i tak nie mam szansy usłyszeć czegokolwiek poza Robertą, a i ją tylko dlatego, że znajdowała się bezpośrednio za drzwiami.

Pod sufitem wisiała goła czterdziestowatowa żarówka i kiedy rozejrzałem się dokoła, zdjął mnie lodowaty lęk.

Znajdowałem się w dużej sypialni, której okna wychodziły na ulicę. Tylko że te okna były zabite grubymi deskami, przykręconymi do futryn śrubami, których martwe srebrne oczy patrzyły na mnie w liczbie czterdziestu czy pięćdziesięciu z każdego z nich.

Gołą podłogę pokrywały odchody gryzoni, wśród których wały się torby chipsów kartoflanych i kukurydzianych, miejscami porozdeptywanych. Pod ścianami leżały

trzy materace, pobrudzone ekskrementami, krwią i Bóg wie czym jeszcze. Same ściany były pokryte grubymi dźwiękochłonnymi płatami szarej gąbki i styropianu, tak jak w studiu nagraniowym. Tyle że to nie było studio nagraniowe.

Nad materacami przymocowano do ścian metalowe słupki z przyspawanymi do nich stalowymi kółkami, z których zwisały kajdanki. W zachodnim rogu sypialni stał niewielki metalowy kosz na śmieci z całą kolekcją najróżniejszych batów - pejczy, szpicrut, korbaczy i rzemiennych biczy. Całe pomieszczenie tak cuchnęło niemytym ciałem, że ten odór brudu wlewał się do serca i zatruwał mózg.

Roberta przestała rzucać się na drzwi, ale słyszałem jej stłumione zawrodożenie na schodach.

Przeszedłem we wschodni koniec sypialni i zobaczyłem miejsce, w którym zwałono ścianę, żeby zyskać dostęp do kolejnego pokoju - w dalszym ciągu unosiły się tu obłoki tynku i kurzu. Obok mnie przebiegła tłusta mysz z pozlepianą sierścią, we wschodnim końcu pokoju skręciła na prawo i zniknęła w szczelinie zaraz za końcem ściany.

Brnąc wśród toreb chipsów, stert biuletynów NAMBLA⁸, pustych puszek po piwie z spleśniałymi otworami, trzymałem broń wycelowaną przed siebie. Tu i tam leżały otwarte magazyny, wydrukowane na najtańszym błyszczącym papierze, ukazujące chłopców, dziewczęta i dorosłych - a nawet zwierzęta - zajętych czymś, co wiedziałem, że nie jest seksem, mimo że na seks miało wyglądać. Te zdjęcia przeniknęły do mojego mózgu w ciągu pół sekundy, zanim zdążyłem się odwrócić, a to, co uchwyciły i uwieczniły, nie miało nic wspólnego z normalnymi ludzkimi zachowaniami, tylko z rakiem, jaki toczy ludzkie umysły, serca i inne narządy.

Dotarłem do otworu, w którym zniknęła mysz, do niewielkiej przestrzeni pod okapem dachu, tam gdzie opadał on ukośnie ku rynnie. Dalej znajdowały się małe, niebieskie drzwi.

Przed drzwiami stał Corwin Earle, schylony pod ukośną ścianą, z kuszą przy twarzy i jej kolbą opartą na ramieniu. Próbował wymierzyć, ale mrugał, gdyż pot zalewał mu twarz. Leniwe prawe oko starał się naprowadzić na cel, ale co chwila mu umykało w moją stronę, zanim wreszcie na dobre uciekło w prawo, jakby za sprawą specjalnego silniczka. Zamknął je w końcu, poprawiając ramię pod kolbą broni. Był

⁸ North American Men/Boy Love Association - Północnoamerykańskie Stowarzyszenie Miłosne Mężczyzn i Chłopców (przyp. tłum.).

goły i na piersi miał krew, której smuga ciągnęła się aż do wystającego brzucha. Na jego twarzy, przypominającej smętną ruinę, odcisnął się wyraz klęski i zaszczucia.

- Trettowie nie mają do ciebie nawet na tyle zaufania, żeby ci powierzyć broń maszynową, tak, Corwin?

Earle lekko potrząsnął głową.

- Gdzie jest Samuel Pietro? - zapytałem.

Ponownie potrząsnął głową, tym razem wolniej i poruszył ramionami, przytłoczonymi ciężarem kuszy.

Spojrzałem na czubek grotu i zauważyłem, że lekko drga i że jego drgania przenoszą się na spodnią stronę ramion Earle'a.

- Gdzie jest Samuel Pietro? - powtórzyłem.

Kiedy znów potrząsnął głową, strzeliłem mu w brzuch.

Nawet nie jęknął. Zgiął się wpół i puścił kuszę, która upadła przed nim na podłogę. Osunął się na kolana, a następnie przewrócił na prawą stronę, przyjmując pozycję embrionalną, z językiem wywalonym na zewnątrz jak u psa.

Przeszedłem nad nim, otworzyłem niebieskie drzwi i znalazłem się w łazience wielkości małej garderoby. Zobaczyłem czarne zabite deskami okno i podartą zasłonę prysznicową pod umywalką, a na płytkach podłogi, na klozecie i na ścianach krew - rozprysniętą, jakby ktoś nią chlustał z wiadra. W umywalce leżała nasiąknięta krwią bielizna dziecięca.

Zajrzałem do wanny.

Nie wiem, jak długo tam stałem z pochyloną głową i otwartymi ustami. W pewnym momencie poczułem na policzkach gorącą wilgotność, która spływała po nich strumieniami, ale dopiero po upływie wieczności patrzenia na zwinięte w kłębek na dnie wanny małe, nagie ciało zorientowałem się, że płaczę.

Wyszedłem z łazienki i zobaczyłem Corwina Earle'a na kolanach, trzymającego się za brzuch. Klęczał tyłem do mnie, usiłując się czołgać.

Stałem za nim z bronią skierowaną w dół. Corwin, czołgając się, wydawał odgłosy przypominające sapanie - puch-puch-puch - przenośnego generatora.

Kiedy dopełził do kuszy i położył dłoń na jej rękojeści, powiedziałem:

- Corwin.

Obejrzał się na mnie przez ramię, zobaczył wymierzoną w siebie broń i zacisnął oczy. Odwrócił głowę i zakrwawioną ręką mocno uchwycił kuszę.

Strzeliłem mu w kark i ruszyłem przed siebie, słysząc, jak łuska spada na podłogę,

a jego ciało wali się z loskotem. Skręciłem w lewo, wróciłem do sypialni i podszedłem do drzwi pancernych, po czym, jedną po drugiej, zacząłem otwierać zasuwę.

- Roberta - powiedziałem. - Jesteś tam jeszcze? Słyszysz mnie? Zabiję cię teraz, Roberta.

Pokonałem ostatni zamek, otworzyłem drzwi i stanąłem naprzeciwko wymierzonej w siebie lufy.

Remy Broussard opuścił broń. Pomiędzy jego nogami leżała na schodach twarzą do podłogi Roberta Trett z ciemnoczerwoną owalną plamą wielkości półmiska na plecach.

Broussard oparł się o barierę, a spod jego włosów strumieniami lał się pot.

- Musiałem przestrzelić zamek w drzwiach do piwnicy i dostać się tutaj przez suterene - powiedział. - Przepraszam, że to trwało tak długo.

Skinąłem głową.

- Czy tam jest czysto? - Odetchnął głęboko, obserwując mnie spokojnymi ciemnymi oczami.

- Tak. - Odchrząknąłem. - Corwin Earle nie żyje.

- Samuel Pietro?

Skinąłem głową.

- Myślę, że to jest Samuel Pietro. - Spojrzałem na swoją broń i stwierdziłem, że podskakuje, że udzieliły jej się drgawki, które niby seria niewielkich uderzeń wstrząsały moim ramieniem i całym ciałem. Popatrzyłem na Broussarda i znów poczułem spływające po policzkach ciepłe strumienie łez. - Trudno powiedzieć... - zacząłem i głos mi się załamał.

Broussard skinął głową. Zauważyłem, że i on płacze.

- W piwnicach - powiedział.

- Co w piwnicach?

- Szkielety - odparł. - Dwa. Dziecięce.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Mój głos zabrzmiał jakoś obco.

- Ja też nie.

Spojrzał na ciało Roberty Trett. Opuścił broń i przyłożył jej z tyłu lufę do głowy, jednocześnie kładąc palec na spuście.

Czekałem, aż jej martwy mózg rozprysnie się po całych schodach.

Po chwili jednak cofnął broń i ciężko westchnął. Podniósł stopę, przytknął ją do czubka głowy Roberty i zepchnął jej ciało ze schodów.

I taki właśnie widok zastała policja Quincy, kiedy przybyła na miejsce: gigantyczny trup Roberta Trett zjeżdżał ku nim po ciemnych schodach, a na górze stało dwóch mężczyzn i płakało jak dzieci, bo nie wiedzieli, że świat może być aż tak zły.

26

Dopiero po dwudziestu godzinach potwierdzono, że ciało w wannie rzeczywiście należało do Samuela Pietro. To, co Trettowie i Corwin Earle zrobili za pomocą noża z jego twarzą, ograniczyło możliwości identyfikacji zwłok do dokumentacji stomatologicznej. Po tym, jak jeden z reporterów „News” zadzwonił do matki Samuela jeszcze przed policją, prosząc o oświadczenie w sprawie śmierci syna, Gabrielle Pietro przeżyła szok.

Kiedy znalazłem Samuela, chłopiec nie żył od czterdziestu pięciu minut. Biegły lekarz sądowy ustalił, że w ciągu dwóch tygodni od uprowadzenia chłopiec był wielokrotnie gwałcony, chłostany po plecach, pośladkach i nogach i zakuwany w kajdanki tak ciasno, że ciało prawego nadgarstka zostało zdarte do kości. Od chwili opuszczenia domu matki chłopca karmiono jedynie chipsami kartoflanymi i pojono piwem.

Na niecałą godzinę przed naszym wejściem do domu Trettów Corwin Earle albo jedno z Trettów, a może cała trójka - kto zresztą wie i czy to w końcu miało jakiegokolwiek znaczenie? - przebił serce chłopca, a potem poderżnął mu gardło, przecinając tętnicę szyjną.

Ranek i większą część popołudnia spędziłem w naszym ciasnym biurze, mieszczącym się w dzwonnicy kościoła św. Bartłomieja, czując ciężar otaczającej mnie ogromnej budowli z wieżami sięgającymi nieba. Patrzyłem przez okno i próbowałem nie myśleć. Popijając zimną kawę, czułem delikatne tykanie w piersiach i w głowie.

Wczoraj wieczorem na ostrym dyżurze w szpitalu New England nastawiono i włożono w gips kostkę Angie, a dziś rano, zanim zdążyłem się na dobre obudzić, wzięła taksówkę i pojechała do swojego lekarza, żeby ocenił to, co zrobili na ostrym dyżurze i powiedział, jakie jest rokowanie po zdjęciu gipsu.

Kiedy tylko dostałem od Broussarda informacje dotyczące Samuela Pietro, opuściłem biuro i zszedłem na dół do kaplicy, gdzie usiadłem w pierwszej ławce, w cichym półmroku, wśród zapachu kadzidła i chryzantem. Patrzyłem w podobne do drogich kamieni oczy świętych z witraży i w migoczące płomyki świeczek wotywnych, których blask odbijał się w mahoniowych balaskach prezbiterium i zastanawiałem się, dlaczego ośmioletniemu dziecku dane było żyć tylko tak długo, żeby mogło zaznać wszystkiego, co najpotworniejsze na świecie.

Spojrzałem na witrażowego Jezusa, który stał z rozłożonymi ramionami nad złotym tabernakulum.

- Osiem lat - wyszeptalem. - Wytłumacz mi to

Nie mogę.

Nie możesz czy nie chcesz?

Bez odpowiedzi. Bóg potrafi zamknąć się w sobie jak każdy z nas.

Sprowadziłeś to dziecko na ziemię i dałeś mu osiem lat życia. Pozwoliłeś, by zostało porwane i torturowane, głodzone i gwałcone przez czternaście dni - ponad trzysta trzydzieści godzin, dziewiętnaście tysięcy osiemset długich minut - i na koniec jako ostatni widok zafundowałeś mu twarze potworów, które przebiły mu nożem serce, zmasakrowały twarz i na podłodze w łazience poderzwały gardło.

O co ci chodzi?

- A Tobie? - powiedziałem głośno i usłyszałem, jak mój głos odbija się echem od kamiennych ścian.

Cisza.

- Dlaczego? - wyszeptalem. Znow cisza.

- Nie ma żadnej pieprzonej odpowiedzi, prawda?

Nie bluźnij. Jesteś w kościele.

Teraz już wiedziałem, że głos w mojej głowie nie jest głosem Boga. Prawdopodobnie mojej matki, może nieżyjącej zakonnicy, w każdym razie nie sądziłem, żeby w tak dramatycznej potrzebie Bóg czepiał się szczegółów technicznych.

I znow - co ja wiedziałem? Może Bóg, jeśli istnieje, jest tak samo małostkowy i trywialny jak my wszyscy.

Ale jeśli tak, to po co mi taki Bóg?

Mimo to pozostałem w ławce, niezdolny się ruszyć.

Wierzę w Boga z powodu... czego?

Talentu - takiego, z jakim urodzili się Van Gogh czy Michael Jordan, Stephen Hawking czy Dylan Thomas. Bo taki talent był dla mnie zawsze dowodem na istnienie Boga. Tak samo jak miłość.

No więc dobrze, wierzę w Ciebie. Ale nie jestem pewien, czy Cię lubię.

To twój problem.

- Co dobrego może wynikać z gwałtu i morderstwa popełnionych na dziecku?

Nie zadawaj pytań, na które odpowiedzi twój mózg nie ogarnia.

Przez chwilę, chłonąc ciszę, patrzyłem na migotanie świec i zamknawszy oczy, czekałem na transcendencję, stan łaski czy pokój, czy cokolwiek, do diabła, to było, na co siostry kazały nam czekać, kiedy otaczający nas świat stawał się zbyt trudny do zniesienia.

Po jakiejś minucie otworzyłem oczy. Prawdopodobnie powodem, dla którego nigdy nie zostałem dobrym katolikiem, był mój brak cierpliwości.

Drzwi na tyłach budynku się otworzyły i usłyszałem stukot kul Angie na progu i przekleństwo, a potem drzwi się zamknęły i Angie pojawiła się na podeście, pomiędzy kaplicą a schodami prowadzącymi na dzwonnice. Zauważyła mnie tuż przedtem, nim zaczęła wchodzić na schody. Obróciła się niezdarnie i spojrzała na mnie z uśmiechem.

Pokonała dwa pokryte chodnikiem stopnie, prowadzące w dół do kaplicy, przekuśtykała obok konfesjonałów i chrzcielnicy i zatrzymała się następnie przy balaskach przed moją ławką. Dźwignęła się o kulach i oparła na barierce, kule stawiając obok siebie.

- Hej - powiedziała.

- Hej.

Spojrzała najpierw w górę, na sufit ozdobiony malowidłem, przedstawiającym Ostatnią Wieczerzę i znów na mnie.

- Jesteś w kaplicy, a ona się jakoś nie zawaliła.

- Wyobraź sobie - odparłem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Angie zadarła głowę, obserwując sklepienie i przyglądając się detalom sztukaterii, zdobiącej szczyt najbliższego pilastra.

- Jaki werdykt w sprawie nogi?

- Doktor powiedział, że to proste złamanie dolnej części lewej kości strzałkowej.

Uśmiechnąłem się.

- Sprawia ci to przyjemność, co? Mówienie tego.

- Dolna część lewej kości strzałkowej? - Angie obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. - Owszem. Czuję się, jakbym była na ostrym dyżurze. Następnym razem poproszę o badanie krwi i zmierzenie ciśnienia. Na cito.

- Mam nadzieję, że doktor kazał ci się na jakiś czas wyłączyć. Angie wzruszyła ramionami.

- Oni tak zawsze mówią.

- Jak długo masz nosić gips?

- Trzy tygodnie.

- Przerwa w aerobiku.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- I w wielu innych sprawach.

Przez chwilę patrzyłem na swoje buty, a potem znów na nią.

- Co powiesz? - spytała.

- To strasznie boli. Ten Samuel Pietro. Nie mogę sobie z tym poradzić. Kiedy byliśmy tam z Bubbą, mały jeszcze żył. Trzymali go na górze i... my...

- Byłeś w domu z trójką uzbrojonych po zęby paranoidalnych zbrodniarzy. Nie mogliście...

- Jego ciało - powiedziałem - ono...

- Potwierdzili, że to jego ciało?

Skinąłem głową.

- Było takie maleńkie. Takie maleńkie - wyszeptalem. - I nagie i pokaleczone i... Jezu, Jezu, Jezu. - Wytarłem słone łzy i odchyliłem głowę.

- Z kim rozmawiałeś? - spytała delikatnie Angie.

- Z Broussardem.

- A on jak?

- Tak samo jak ja.

- Wiadomo coś o Poole'u? - Wychyliła się do przodu.

- Źle, Angie. Nie dają mu szans.

Skinęła głową i na chwilę tak została, z głową zwieszoną, lekko machając zdrową nogą.

- Co zobaczyłeś w tej łazience, Patrick? - spytała. - To znaczy, co tam dokładnie

widziałeś?

Potrząsnąłem głową.

- No, mów - powiedziała cicho - to przecież ja. Wytrzymam.

- Ale ja nie wytrzymam. Już więcej nie dam rady. Jak zaczynam o tym myśleć, to widzę tę łazienkę i... mam ochotę umrzeć. Nie chcę z tym żyć. Chcę umrzeć i w ten sposób się tego pozbyć.

Angie odsunęła się niepewnie od barierki i uczepiona ławki obróciła się tyłem do niej, a ja się posunąłem, by usiadła obok mnie. Ujęła w dłonie moją twarz, ale nie mogłem patrzeć jej w oczy, byłem pewien, że kiedy zobaczę w nich ciepło i miłość, poczuję się jeszcze bardziej zbrukany i z jakichś powodów jeszcze bardziej roztrzęsiony.

Pocałowała mnie w czoło i w powieki, na których zaschły łzy, a potem położyła sobie na ramieniu moją głowę i pocałowała mnie w kark.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyszeptała.

- Bo tu nie ma nic do powiedzenia. - Odchrząknąłem i objąłem ją. Słyszałem bicie jej serca. Wydawała się taka dobra, taka piękna, uosabiała to wszystko, co na świecie najlepsze. Ale ja dalej miałem ochotę umrzeć.

W nocy próbowaliśmy się kochać i w pierwszej chwili było w porządku, nawet bardzo przyjemnie, ja starałem się jakoś omijać ten ciężki gips, a ona chichotała pod wpływem środków przeciwbólowych, ale potem, kiedy już oboje byliśmy nadzy i w świetle księżyca, wpadającym przez okno sypialni, zobaczyłem jej ciało, natychmiast stanął mi przed oczami widok Samuela Pietro. Dotknąłem jej piersi i zobaczyłem obwisły brzuch Corwina Earle'a, cały w czerwonych plamach, a kiedy przejechałem językiem po jej klatce piersiowej, wyobraziłem sobie zbryzgane krwią ściany, jakby ktoś chlusnął na nie z wiadra.

Stojąc nad tamtą wanną, doznałem szoku. Widziałem coś strasznego, co mnie doprowadziło do płaczu, ale jakaś część mojego mózgu w odruchu samoobrony się zamknęła, tak żeby zgroza tego, na co patrzyłem, nie dotarła do mnie w pełni. To wszystko było przerażające, krwawe i niewyobrażalne - tyle wiedziałem - ale obrazy pozostały jakieś oderwane, pływające w morzu białej porcelany i czarno-białych płytek.

W ciągu trzydziestu godzin, jakie upłynęły od tamtej pory, mój umysł wszystko uporządkował i zostałem sam w wannie z nagim, okaleczonym i poniżonym ciałem

Samuela Pietro. Drzwi do łazienki były zamknięte, a ja nie mogłem się wydostać.

- Co się stało? - zapytała Angie.

Odsunąłem się od niej i patrzyłem przez okno na księżyc. Ciepłą ręką głaskała mnie po plecach.

- Patrick?

W moim gardle zamarł krzyk.

- Patrick, chodź, porozmawiamy.

Zadzwoił telefon.

- Co u ciebie?

Na dźwięk głosu Broussarda poczułem ulgę, zrozumiałem, że nie jestem sam.

- Żle. A u ciebie?

- Żle, a może nawet cholernie źle, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem - powiedziałem.

- Nie potrafię rozmawiać na ten temat nawet z żoną, a mówię jej wszystko.

- Rozumiem.

- Wiesz co... Patrick... ja jeszcze ciągle jestem w mieście. Z butelką. Chciałbyś się może ze mną napić?

- Aha.

- Będę u Ryana. Odpowiada ci to?

- Jasne.

- To do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę, a ja się odwróciłem do Angie, która właśnie naciągnęła na siebie prześcieradło i sięgała do stolika nocnego po papierosa. Postawiła sobie na kolanach popielniczkę i zapaliła papierosa, patrząc na mnie przez dym.

- To był Broussard - powiedziałem.

Skinęła głową i ponownie pociągnęła papierosa.

- Chce się spotkać.

- Z nami obojgiem? - Patrzyła na popielniczkę.

- Tylko ze mną.

Skinęła głową.

- To lepiej już idź.

Nachyliłem się do niej.

- Angie...

Podniosła rękę.

- Nie musisz się usprawiedliwiać. Idź. - Obrzuciła wzrokiem moje nagie ciało i uśmiechnęła się. - Ale najpierw włóż coś.

Pozbierałem swoje rzeczy z podłogi i ubrałem się, podczas gdy Angie patrzyła na mnie przez zasłonę dymu.

Kiedy wyszedłem z sypialni, zdusiła papierosa i powiedziała:

- Patrick.

Wsadziłem głowę w drzwi.

- Kiedy będziesz gotów porozmawiać, zamieniam się w słuch. Cokolwiek zechcesz powiedzieć.

Skinąłem głową.

- A jeśli nie chcesz mówić, to twoja sprawa. Rozumiesz?

Ponownie skinąłem głową.

Kiedy z powrotem odstawiała popielniczkę na nocny stolik, prześcieradło opadło, odsłaniając górną część jej ciała. Przez dłuższy czas żadne z nas się nie odzywało.

- Sprawa jest jasna - rzekła w końcu Angie. - Nie zamierzam być taka jak te żony policjantów z filmów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie zamierzam cię zdręczać ani błagać, żebyś mówił.

- Wcale się tego nie obawiałem.

- One nigdy nie wiedzą, kiedy odejść. Te kobiety.

Przez chwilę stałem jeszcze w drzwiach, przyglądając się Angie.

Poprawiła sobie poduszki.

- Czy wychodząc, możesz zgasić światło?

Zgasiłem światło, ale stałem tam jeszcze jakiś czas, czując na sobie jej wzrok.

27

Na placu zabaw u Ryana zastałem bardzo pijanego gliniarza. Dopiero kiedy zobaczyłem, jak chwiejnie siedzi na huśtawce - bez krawata, w wymiętej marynarce pod utyłanym w piasku płaszczem i z rozwiązanym sznurowadłem - zorientowałem się, że po raz pierwszy widzę Broussarda niewymuskanego. Bo nawet po kamieniołomach i po skoku do helikoptera wyglądał nieskazitelnie.

- Jesteś Bondem - powiedziałem.

- E?

- Jamesem Bondem - powtórzyłem. - Jesteś Jamesem Bondem. Broussard Mister Perfect.

Uśmiechnął się i wysączył z butelki resztkę mount gay. Rzucił w piasek pustą butelkę, wyciągnął z płaszcza pełną, zerwał banderolę, odkręcił zakrętkę i kciukiem strącił ją w piasek.

- Być takim przystojniakiem to wielkie obciążenie. Che, che.

- Co z Poole'em?

Broussard kilkakrotnie potrząsnął głową.

- Nic się nie zmieniło. Żyje, ale ledwie, ledwie. Nie odzyskał przytomności.

Usiadłem na sąsiedniej huśtawce.

- A jakie są rokowania?

- Niedobre. Nawet jeśli będzie żył, to i tak w ciągu ostatnich trzydziestu godzin przeszedł kilka udarów i ma poważne niedotlenienie mózgu. Lekarze twierdzą, że to

oznacza częściowy paraliż i prawdopodobnie nie będzie mówił. No i oczywiście nigdy nie wstanie z łóżka.

Przypomniało mi się tamto popołudnie, kiedy poznałem Poole'a i byłem świadkiem jego dziwnego rytuału, polegającego na tym, że najpierw wachał papierosa, a potem przełamywał go na pół. I jak ze swoim uśmiechem elfa patrzył w moją twarz, na której dostrzegł zmieszanie. „Przepraszam - powiedział - ale rzuciłem palenie”. A potem, kiedy Angie spytała, czy mu nie będzie przeszkadzało, jeśli ona zapali, odpowiedział: „Mój Boże, a tobie by nie przeszkadzało?”.

Cholera, do tej chwili nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo go lubiłem.

Ale Poole'a już nie będzie. Nie będzie jego figlarnych uwag, wygłaszanych z porozumiewawczym błyskiem zakłopotania w oku.

- Przykro mi, Broussard.

- Remy - powiedział Broussard i wręczył mi plastikowy kubek. - Nigdy nie wiadomo. To jest najtwardszy sukinsyn, jakiego kiedykolwiek widziałem. Ma niesamowitą wolę życia. Może z tego wylezie. A co z tobą?

- Co ze mną?

- No, z twoją wolą życia.

Nalał mi pół kubka rumu.

- Kiedyś była silniejsza - powiedziałem.

- Moja też. Nie rozumiem tego.

- Czego?

Wzniósł butelkę w milczącym toaście i wypiliśmy.

- Nie rozumiem - podjął Broussard - dlaczego to, co stało się w tamtym domu, tak okropnie mnie podłamało. Bo ja przecież widziałem od cholery potworności. - Wychylił się do przodu na huśtawce i spojrzał na mnie przez ramię. - Najgorszych potworności, Patrick. Niemowlaki karmione z butelki płynem do udrażniania zlewów, dzieci duszone i potrząsane na śmierć, bite tak bardzo, że trudno było ocenić prawdziwy kolor ich skóry. - Wolno potrząsnął głową. - Od cholery potworności. Ale coś w tym domu...

- Masa krytyczna...

- Co?

- Masa krytyczna - powtórzyłem i znów łyknąłem rumu. Jeszcze mi nie wchodził tak gładko, ale już byłem tego bliski. - Widzisz różne potworności, jedną, potem drugą, ale w pewnych odstępach czasu. To, co zobaczyliśmy wczoraj, to było

nagromadzenie wszelkich możliwych potworności, które osiągnęły masę krytyczną.

Broussard skinął głową.

- Jeszcze nigdy nie widziałem takiego horroru jak w tamtej piwnicy - powiedział. - I potem jeszcze ten dzieciak w wannie. - Potrząsnął głową. - Brakuje mi kilku miesięcy do dwudziestu lat pracy, ale nigdy... - Znów łyknął, wzdrygnął się pod wpływem alkoholu i uśmiechnął się do mnie blado. - Wiesz, co robiła Roberta, kiedy do niej strzeliłem?

Potrząsnąłem głową.

- Drapała drzwi pazurami jak pies. Przysięgam na Boga. Drapała i miauczała i rozpaczała po swoim Leonie. Ledwie zdążyłem wyleźć z piwnicy, gdzie znalazłem te dwa dziecięce szkielety, zagrzebane w wapnie i żwirze - a w ogóle całe to miejsce jest jak z filmu o duchach - i zaraz potem tam na górze natknąłem się na Robertę. Bracie, ja nawet nie szukałem jej broni, tylko bez chwili wahania do niej wygarnąłem. - Splunął w piasek. - Niech ją wszyscy diabli. Dla takiej suki to i piekło jest za dobre.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Słysząc było tylko skrzypienie łańcuchów naszych huśtawek, przejeżdżające obok samochody, odgłosy hokeja ulicznego, w którego grali chłopcy na parkingu fabryki sprzętu elektronicznego po drugiej stronie ulicy.

- Szkielety... - odezwałem się po chwili.

- Niezidentyfikowane. Ci z medycyny sądowej powiedzieli tylko, że jedno było dziewczynką, a drugie chłopcem i że żadne z dzieci nie miało więcej niż dziewięć lat ani mniej niż cztery.

- A co z badaniem stomatologicznym?

- Trettowie zadbali i o to. Oba szkielety nosiły ślady działania kwasu solnego. Specjalista z medycyny sądowej uważa, że marynowali zwłoki w kwasie i kiedy kości były miękkie, usuwali zęby, a szkielety wrzucali do skrzynek z wapnem i trzymali w piwnicy.

- A dlaczego mieliby je trzymać w piwnicy?

- Żeby mogli na nie patrzeć? - Broussard wzruszył ramionami. - Kto może to wiedzieć, do jasnej cholery?

- Czyli że jeden z tych szkieletów mógł być Amandą McCready.

- To bardzo prawdopodobne. Albo mała jest w kamieniołomach.

Przez chwilę pomyślałem o Amandzie McCready. Amanda i jej puste oczy. I niewielkie oczekiwania, chociaż dzieci normalnie oczekują więcej. Martwe ciało

Amandy w wannie wypełnionej kwasem; jej włosy wyłazące jak z papier mache.

- Pieprzony świat - wyszeptał Broussard.

- Koszmarny, pieprzony świat, Remy.

- Jeszcze dwa dni temu bym się z tobą sprzeczał. Jestem policjantem, ale mam dużo szczęścia. Wspaniałą żonę, ładny dom, nieźle inwestowałem pieniądze. Wkrótce całe to gówno zostawię, niech mi tylko stuknie dwadzieścia lat pracy. - Wzruszył ramionami. - Ale kiedy człowiek widzi coś takiego, jak... Jezu... jak ten zaszlachtowany dzieciak w tej pieprzonej łazience, to się zaczyna zastanawiać: no dobrze, moje życie, owszem, wydaje się w porządku, ale dla większości ludzi świat jest jednym wielkim szambem. Cóż, nawet jeżeli m ó j świat jest w porządku, to świat w o g ó l e jest kupą śmierdzącego gówna. Rozumiesz?

- Och, rozumiem i to bardzo dobrze.

- Bo nic na nim nie działa.

- Jak to?

- Nic nie działa. Popatrz na debili, którzy dziś kończą szkoły prywatne. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z jednym z tych pojebanych absolwentów prywatnych szkół średnich? Spróbuj ich spytać, co to jest moralność, to się dowiesz, że abstrakcyjne pojęcie. Spytaj, co to jest przyzwoitość, to się dowiesz, że puste słowo. Popatrz na te bogate dzieciaki, które potrafią w Central Parku sprawić łomot pijaczkom przy okazji jakichś narkotykowych interesów albo po prostu ot tak sobie, dla zabawy. Szkoły nie działają, bo rodzice nie działają, bo już i c h rodzice nie działali, bo nic nie działa, to po co inwestować energię czy miłość, czy cokolwiek w coś, co cię i tak później zawiedzie. Jezu, Patrick, co tu dużo gadać, m y nie działamy. Tego dzieciaka nie było przez dwa tygodnie i nikt nie potrafił go znaleźć. Był w tamtym domu, co podejrzewaliśmy, na ileś tam godzin, nim został zabity, a teraz siedzimy w ciastkarni i o tym r o z m a w i a m y . Przecież jemu podrzynali gardło, kiedy forsowaliśmy drzwi tego domu.

- Jesteśmy najbogatszym i najbardziej rozwiniętym społeczeństwem w historii cywilizacji - odparłem - a nie potrafimy uchronić dziecka przed zmasakrowaniem go przez trójkę zboczeńców? Dlaczego?

- Nie wiem. - Potrzęsnał głową, kopiąc piasek czubkami butów. - Po prostu nie wiem. Za każdym razem, kiedy dochodzisz do jakiegoś rozwiązania, znajduje się ktoś, kto ci powie, że nie masz racji. Jesteś za karą śmierci?

Wyciągnąłem rękę z kubkiem.

- Nie.

Przestał nalewać.

- Słucham?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem. Przepraszam. No, lej.

Napełnił mi kubek, a sam pociągnął z butelki.

- Strzeliłeś Corwinowi Earle'owi w tył głowy i mówisz mi, że nie jesteś za karą śmierci?

- Uważam, że społeczeństwo nie ma ani takiego prawa, ani dostatecznej inteligencji. Niech mi najpierw udowodni, że potrafi robić przyzwoite drogi, to się zgodzę, żeby decydowało o życiu i śmierci.

- Powtarzam: wczoraj wykonałeś na kimś wyrok.

- Formalnie rzecz biorąc, to on mierzył do mnie z broni. A poza tym ja nie jestem społeczeństwo.

- Ale co to ma znaczyć, do cholery?

Wzruszyłem ramionami.

- Mam do siebie zaufanie. Uważam to, co robię, za słuszne. A do społeczeństwa nie mam zaufania.

- To dlaczego jesteś prywatnym detektywem, Patrick? Samotny rycerz i te rzeczy?

Potrząsnąłem głową.

- Pieprzę to.

Broussard skwitował to śmiechem.

- Jestem prywatnym detektywem, bo... nie wiem... może dlatego, że jestem uzależniony od Wielkiej Niewiadomej. Może lubię burzyć fasady. Ale to oczywiście nie znaczy, że jestem dobrym facetem. To znaczy, że jestem facetem, który nienawidzi tych, co różne rzeczy ukrywają albo udają, że są kimś innym, niż są naprawdę.

Broussard uniósł butelkę, a ja zastukałem w mój kubek.

- A jeśli ktoś udaje, że jest kimś, bo taką rolę wyznaczyło mu społeczeństwo, ale w rzeczywistości jest kimś innym, bo on sam wyznaczył sobie inną rolę?

Otrząsnąłem się pod wpływem alkoholu.

- Dawaj jeszcze raz. - Wstałem i poczułem, że się trochę chwieję. Podeszedłem do drabinek naprzeciwko i usiadłem na jednym ze szczebli.

- Jeżeli społeczeństwo nie działa, to jak żyjemy my jako rzekomo przyzwoici ludzie?

- Na jego obrzeżach - odparłem.

Broussard skinął głową.

- Właśnie. A jednak musimy w obrębie społeczeństwa współistnieć, w przeciwnym bowiem razie jesteśmy cholerną milicją, facetami, którzy noszą spodnie maskujące i psioczą na podatki, jednocześnie jeżdżąc po drogach zbudowanych za państwowe pieniądze. Zgadza się?

- Zgadza.

Stał się chwiejnie, złapał się łańcucha huśtawki i odgiął do tyłu ku plamom cienia znajdującym się poza jej zasięgiem.

- Kiedyś sfabrykowałem dowody przeciwko facetowi.

- Co zrobiłeś?

Znów wychylił się do światła.

- Tak. Chodziło o pewnego oprycha, niejakiego Carltona Volka. Miesiącami gwałcił prostytutki. Miesiącami. Dwóch alfonsów próbowało coś z tym zrobić, ale ich załatwił. Carlton był psycholem co to czarny pas, siłownia więzienna i te rzeczy. Facetem, do którego nie trafiały normalne argumenty. W pewnym momencie nasz koleś, Ray Likanski, zadzwonił do mnie i wtajemniczył mnie we wszystkie szczegóły. Przypuszczam, że Chudzielec miał słabość do jednej z prostytutek. Nieważne. W każdym razie dowiedziałem się, że Carlton Volk gwałci prostytutki i zastanawiałem się, jak go skazać. Bo nawet gdyby dziewczyny zgodziły się zeznawać przeciwko niemu - czego nie chciały robić - to kto by im uwierzył? Dla większości osób prostytutka, która się skarży, że jest gwałcona, to kiepski żart. To tak jak zabić trupa; podobno jest to niemożliwe. No więc dowiedziałem się, że Carlton jest pod dozorem sądowym i umieściłem w jego bagażniku uncję heroiny i dwie sztuki nielegalnej broni, tak żeby tego nie znalazł - pod kołem zapasowym. A następnie nakleiliśmy mu na tablicy rejestracyjnej na ważnej nalepce z datą przeglądu - przeterminowaną. Kto patrzy na własną rejestrację, jeśli nie zbliża się termin jej przedłużenia? - Na moment Broussard znów odpłynął w ciemność. - Dwa tygodnie później zatrzymują go pod tym zarzutem, plus złe zachowanie itede., itepe, w każdym razie, idąc na skróty, zostaje aresztowany za trzykrotne przestępstwo i dostaje dwadzieścia lat odsiadki bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Zanim się odezwałem, czekałem, aż Broussard znów znajdzie się w kręgu światła.

- Uważasz, że słusznie postąpiłeś?

Wzruszył ramionami.

- Z punktu widzenia tych prostytutek, tak.

- Ale...

- W tego typu historiach zawsze jest jakieś „ale”, prawda? - Westchnął. - Ale taki facet jak Carlton w więzieniu dosłownie kwitnie. Prawdopodobnie załatwia tam znacznie więcej młodych chłopaków siedzących za włamania i drobny handel narkotykami, niż gdyby mógł to kiedykolwiek zrobić z prostytutkami. Czy więc postąpiłem słusznie z punktu widzenia ogólnej populacji? Prawdopodobnie nie. Czy postąpiłem słusznie z punktu widzenia jakichś tam prostytutek, za które nikt by centa nie dał? Być może.

- A gdybyś tak miał to zrobić jeszcze raz?

- Patrick, pozwól, że cię zapytam: co byś zrobił z takim facetem jak Carlton?

- Wracamy do kary śmierci, tak?

- Osobistej, nie tej wymierzanej przez społeczeństwo. Gdybym miał odwagę stuknąć Volka, to już nikt nigdy nie zostałby przez niego zgwałcony. W tym nie ma żadnego relatywizmu. Czarne albo białe.

- Ale przecież tych chłopaków w więzieniach dalej gwałciliby inni.

Skinął głową.

- Każde rozwiązanie jest obarczone jakimiś wadami.

Znów pociągnąłem rumu i zauważyłem samotną gwiazdę, unoszącą się nad cienką warstwą chmur i smogu.

- Stałem nad ciałem tego dzieciaka i coś we mnie pękło - powiedziałem. - Nie dbałem o to, co będzie ze mną, z moim życiem, ze wszystkim. Po prostu chciałem... - Wyciągnąłem rękę.

- Równowagi.

Skinąłem głową.

- Dlatego strzeliłeś w tył głowy facetowi, który klęczał. Ponownie skinąłem głową.

- Wiesz co, Patrick? Ja cię nie oceniam, bracie. Ja tylko mówię, że czasem robimy rzeczy słuszne, które by się w sądzie nie obroniły. Które by nie wytrzymały krytyki - zrobił palcami w powietrzu znak cudzysłowu - „społeczeństwa”.

Usłyszałem ciche posapywanie Corwina Earle'a - *puch-puch-puch* - zobaczyłem bańkę krwi, która się ukazała u nasady jego głowy, i wreszcie przypomniał mi się łomot jego upadającego ciała i stuknięcie pustej łuski o podłogę.

- W tych samych okolicznościach - powiedziałem - zrobiłbym jeszcze raz to samo.

- Ale czy to znaczy, że masz rację? - Remy Broussard podszedł do drabinek i znów nalał mi rumu.

- Nie.

- Ale też i nie znaczy, że jej nie masz, prawda?

Popatrzyłem na niego, uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

- Prawda.

Znów oparł się o drabinki i ziewnął.

- Byłoby dobrze znać odpowiedzi na wszystkie pytania, nie uważasz?

Popatrzyłem na zarys jego twarzy, odcisnięty w ciemności koło mnie i gdzieś w tyle głowy poczułem jakiś dziwny niepokój, jakby mi się coś tam wkręcało, niby maleńki haczyk wędkarski. Co on takiego powiedział, co mnie tak zaniepokoiło?

Spojrzałem na Remy'ego Broussarda i poczułem, że ten haczyk wkręca mi się jeszcze głębiej. Widziałem, jak zamknął oczy, i z jakichś powodów miałem ochotę go uderzyć.

Zamiast tego powiedziałem:

- Jestem zadowolony.

- Z czego?

- Że zabiłem Corwina Earle'a.

- Ja też. Jestem zadowolony, że zabiłem Robertę. - Jeszcze raz dołał mi rumu. - Do diabła z tym wszystkim, Patrick. Jestem szczęśliwy, że żaden z tych porąbanych świrów nie wyszedł z tego domu żywy. Wypijemy za to?

Popatrzyłem na butelkę, potem na Broussarda i zacząłem szukać w jego twarzy tego, co tak mnie nagle zaniepokoiło. A nawet przestraszyło. Ale nie mogłem tego znaleźć z powodu ciemności czy alkoholu, uniosłem więc plastikowy kubek i dotknąłem jego butelki.

- Niech ich dożywociem będzie piekło w postaci ciał ich ofiar - powiedział Broussard, a potem uniosł brwi i opuścił. - Możesz powiedzieć „amen”, bracie?

- Amen, bracie.

28

Dłuższy czas siedziałem w szarym półmroku oświetlonej blaskiem księżycy sypialni i obserwowałem śpiącą Angie. Od nowa powtarzałem w pamięci rozmowę z Broussardem i z dużego firmowego kubka Dunkin' Donuts popijałem kawę, którą sobie zafundowałem po drodze do domu. Uśmiechnąłem się, słysząc, jak Angie mamrocze pod nosem imię psa, którego miała w dzieciństwie i jak sięga ręką i głaszcze poduszkę.

Może była to wina nerwicy frontowej, wywołanej widokiem wnętrza domu Trettów, a może rumu. Może wreszcie jest tak, że im bardziej staram się bolesne wydarzenia od siebie odsunąć, tym bardziej skupiam się na drobiazgach, jak od niechcienia rzucone słowo czy zdanie, które potem zapada mi w podświadomość i bez końca dźwięczy w uszach. Bez względu jednak na przyczynę tego stanu rzeczy w nocy na tamtym placu zabaw odkryłem i prawdę i kłamstwo. Jednocześnie.

Broussard miał rację: nic nie działało.

Ale rację miałem i ja: fasady, choćby nie wiadomo jak solidnie wzniesione, zwykle się w końcu walą.

Angie przewróciła się na plecy i wydała cichy jęk, próbując skopać zmięte u jej stóp prześcieradła. I najwyraźniej to właśnie wysiłek włożony w poruszanie nogą w gipsie musiał ją obudzić. Zamrugła powiekami, uniosła głowę i spojrzała na gips, a potem odwróciła się i zobaczyła mnie.

- Hej, co ty ro... - Usiadła, oblizwała usta i odgarnęła włosy z oczu. - Co ty robisz?

- Siedzę - odpowiedziałem - i myślę.

- Jesteś pijany?

Uniosłem kubek z kawą.

- Ale nie aż tak bardzo, żeby się to dało zauważyć.

- To chodź do łóżka. - Wyciągnęła rękę.

- Broussard nas okłamał.

Cofnęła rękę i podciągnęła się wyżej.

- Co zrobił?

- W zeszłym roku - odparłem - kiedy Ray Likanski wybiegł z baru i zniknął.

- No i co z tego?

- Broussard powiedział wtedy, że go prawie nie zna. Że facet od czasu do czasu działał jako jeden ze szpicli Poole'a.

- Tak. No i co?

- Dziś, jak wlał w siebie pół litra rumu, przyznał mi się, że Likanski był jego informatorem.

Angie sięgnęła do nocnego stolika i zapaliła światło.

- Co takiego?

Skinąłem głową.

- To co, przeoczenie z jego strony czy może się przesłyszeliśmy?

Spojrzałem na Angie.

Podniosła w końcu rękę, jednocześnie sięgając do nocnego stolika po papierosy.

- Masz rację, jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy się przesłyszeli.

- W każdym razie nie jednocześnie.

Angie zapaliła papierosa, naciągnęła prześcieradło na nogę i podrapała się tuż nad gipsem.

- Ale dlaczego miałby kłamać?

Wzruszyłem ramionami.

- Właśnie tu siedzę i się nad tym zastanawiam.

- Może chciał ukryć tożsamość Raya jako swojego informatora? Łyknąłem kawy.

- Ale nie uważasz, że to się wydaje zbyt łatwe? Ray jest potencjalnie najważniejszym świadkiem w sprawie porwania Amandy McCready; a Broussard ukrywa fakt, że go zna. Czy to się nie wydaje...?

- Podejrzane?

Skinąłem głową.

- Cokolwiek. I jeszcze jedno.

- Co mianowicie?

- Broussard wkrótce przechodzi na emeryturę.

- Kiedy?

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że bardzo szybko. Powiedział, że mija mu niedługo dwadzieścia lat służby w policji i że jak tylko minie, to oddaje legitymację.

Angie zaciągnęła się mocno papierosem i przyjrzała mi się ponad jego rozżarzoną końcówką.

- No więc przechodzi na emeryturę. I co z tego?

- W ubiegłym roku, tuż przed naszym wejściem do kamieniołomu, zażartowałaś przy nim.

Angie położyła rękę na piersi.

- Ja zażartowałam?

- Si. Powiedziałaś coś w tym stylu: „Może już czas, żebyśmy przeszli na emeryturę”. Oczy Angie zalsniły.

- Powiedziałam: „Uważasz, że czas to wszystko rzucić w diabły?”.

- A on na to?

Zamyślona, wsparła się łokciami o kolana.

- A on... on na to... - Kilka razy poruszyła w powietrzu papierosem. - Że... że nie mógłby sobie na to pozwolić. Powiedział chyba coś o rachunkach medycznych.

- Chodziło o jego żonę, prawda?

Angie skinęła głową.

- Tuż przed ich ślubem miała wypadek samochodowy. I nie była ubezpieczona. Musiał płacić za szpital jakieś straszne pieniądze.

- Dobrze i co się stało z tymi rachunkami? Uważasz, że szpital powiedział: „Ach, pan jest takim miłym facetem, zapomnijmy o tym”?

- Wątpliwe.

- Mówiąc bardzo oględnie. A może było tak: biedny policjant kłamie co do kluczowego świadka w sprawie porwania Amandy McCready, ale już po pół roku ten sam policjant ma dość pieniędzy, żeby przejść na emeryturę i to nie na takich warunkach, jak się przechodzi po trzydziestu latach.

Angie zagryzła dolną wargę.

- Rzuć mi jakiś T-shirt, dobrze?

Otworzyłem komodę, wyjąłem z szuflady ciemnozieloną koszulkę z napisem „Saw

Doctors" i jej wręczyłem. Angie wciągnęła ją przez głowę, skopała prześcieradła i rozejrzała się za kulami. Popatrzyła na mnie i zobaczyła, że chichoczę pod nosem.

- O co chodzi?

- Wyglądasz dość zabawnie. Jej twarz spochmurniała.

- Niby dlaczego?

- Siedzisz w mojej koszulce i z dużym białym gipsem na nodze. - Wzruszyłem ramionami. - Wyglądasz po prostu zabawnie i to wszystko.

- Cha - powiedziała - cha, cha. Gdzie są moje kule?

- Za drzwiami.

- Będziesz tak uprzejmy?

Podąłem jej kule, a ona się jakoś na nich wsparła i ruszyła ciemnym korytarzem do kuchni. Poszedłem za nią. Zegar na kuchence mikrofalowej pokazywał 4.04. Czuję to w stawach i w karku, ale nie w głowie. Kiedy Broussard tam, na placu zabaw, wspomniał Raya Likanskiego, coś w moim mózgu zaskoczyło i zaczęło chodzić z szaloną prędkością, a rozmowa z Angie jeszcze ten mechanizm podkreśliła.

Angie przygotowała pół dzbanka kawy bezkofeinowej, wyjęła śmietankę z lodówki i cukier z szafki, a ja raz jeszcze wróciłem pamięcią do tamtej ostatniej nocy w kamieniołomach, kiedy wydawało się, że na dobre straciliśmy Amandę McCready.

Wiedziałem, że wiele informacji, które usiłowałem sobie przypomnieć i przesiać, miałem w dokumentacji sprawy, ale jeszcze nie chciałem do niej sięgać. Ślęczenie nad tymi notatkami postawiłoby mnie w punkcie wyjścia, w którym byłem pół roku temu, a próba dokonania oceny sytuacji w tej kuchni mogła zaowocować zupełnie świeżym spojrzeniem na sprawę.

Porywacz zażądał czterech kurierów, którzy mieli mu przynieść pieniądze Sera Olamona w zamian za Amandę. Dlaczego mieliśmy być wszyscy czworo? Dlaczego nie tylko jedno z nas?

Zapytałem o to Angie.

Oparła się o kuchenkę, skrzyżowała ramiona i zaczęła myśleć.

- Nigdy się nad tym nawet nie zastanawiałam. Chryste, czy mogłam być aż taka głupia?

- Mogło się tak zdarzyć. Zmarszczyła czoło.

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

- Bo sam byłem głupi - odparłem. - Ale teraz mówimy o tobie.

- Przeczesał dokładnie wzgórza, zrobili blokadę wszystkich dróg i nikogo nie

znaleźli.

- Może porywacze dostali cynk, którądy się ewakuować. A może przekupili niektórych policjantów.

- A może tamtej nocy nikogo tam poza nami nie było. - Oczy Angie zamigotały.

- Niech to szlag.

Zagryzła dolną wargę i kilka razy uniosła i opuściła brwi.

- Twoje zdanie?

- Że strzały z tamtej strony to był Broussard.

- Dlaczego nie? Przecież nic nie było widać. Widzieliśmy tylko błyski w lufie. O tym, że Broussard znalazł się pod ogniem, tylko s ł y s z e l i ś m y - od niego. Ale czy w ogóle go wtedy widzieliśmy?

- Nie.

- A zatem powód, dla którego zostaliśmy tam sprowadzeni, to potwierdzenie jego wersji.

Opadłem na oparcie fotela i przeczesałem palcami włosy na skroniach. Czy to mogło być aż tak proste? Albo raczej czy mogło być aż tak przebiegłe?

- Czy myślisz, że Poole był w to wtajemniczony? - Ze stojącej za plecami Angie maszynki do parzenia kawy poszła para.

- Dlaczego tak uważasz? - Angie odwróciła się do mnie. Postukała kubkiem o udo.

- To on powiedział, że Ray Likanski jest jego informatorem, a nie Broussarda. A pamiętaj, że był jego partnerem. Wiesz, jak to działa. Popatrz na Oscara i Devina - oni są ze sobą bliżej niż mąż z żoną. I dużo bardziej lojalni wobec siebie niż małżeństwo.

Zastanowiłem się nad tym.

- To jaka według ciebie była w tym rola Poole'a?

Angie zaczęła nalewać kawy, mimo że maszynka dalej perkotała i kawa sączyła się z filtra, kapiąc z sykiem na gorącą płytkę.

- Wiesz, co mi przez te wszystkie miesiące nie dawało spokoju? - zapytała, dolewając sobie śmietanki do kawy.

- Dawaj.

- Pusta torba. Postaw się w sytuacji kidnaperów. Przyszpilileś gliniarza do szczytu skały i zakradasz się po pieniądze.

- Tak. No i co?

- Zaglądasz do torby, a potem wyjmujesz pieniądze? Czy po prostu bierzesz całą torbę?

- Nie wiem. Może być tak albo tak. Co za różnica?

- Niewielka. - Angie odwróciła się do mnie. - Chyba że torba jest pusta.

- Widziałem torbę, kiedy Doyle wręczał ją Broussardowi. Była pękata od pieniędzy.

- A jak wyglądała, kiedy znaleźliśmy się już w kamieniołomie?

- Opróżnił ją podczas wspinaczki pod górę? Jak? Angie ściągnęła usta i potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

Wstałem z krzesła i wyjąłem z szafki kubek, który wyslizgnął mi się z ręki, odbił się od krawędzi lady i spadł na podłogę. Nawet go nie podniosłem.

- Poole - powiedziałem. - Sukinsyn. To był Poole. Kiedy dostał tego swojego ataku serca czy co to tam było, upadł na torbę. Broussard w pewnym momencie uznał, że czas iść i tę torbę spod niego wyciągnął.

- A potem Poole idzie wzdłuż krawędzi kamieniołomu - podjęła w podnieczeniu Angie - i wręcza torbę komuś trzeciemu. - Przerwała. - I zabija Mullena i Gutierrezza?

- Myślisz, że podrzucili koło drzewa drugą torbę? - zapytałem.

- Nie wiem.

Ja też nie wiedziałem. Ostatecznie mogłem uwierzyć, że Poole zwinął dwieście tysięcy przeznaczone na okup, ale że zlikwidował Mullena i Gutierrezza? Tego już było za wiele.

- Jesteśmy zgodni co do tego, że musiał być ktoś trzeci.

- Najprawdopodobniej. Musieli przecież pozbyć się stamtąd pieniędzy.

- Ale kto to mógł być? Angie wzruszyła ramionami.

- Tajemnicza kobieta, która dzwoniła do Lionela?

- Niewykluczone.

Podniosłem kubek. Nie potłukł się, więc po obejrzeniu, czy nie ma jakichś odprysków, nalałem sobie kawy.

- Chryste - powiedziała Angie i zachichotała - niezły finał, co?

- Jaki finał?

- No ta cała historia. Że Broussard i Poole wszystko to wyreżyserowali. W jakim celu mieliby to robić?

- Chodziło o pieniądze.

- Uważasz, że dwieście tysięcy byłoby wystarczającym motywem dla takich facetów jak Poole i Broussard, żeby zabić dziecko?

- Nie.

- To dlaczego?

Szukałem odpowiedzi na to pytanie, ale nie znalazłem.

- Czy naprawdę myślisz, że któryś z nich byłby zdolny zabić Amandę McCready?

- Ludzie są zdolni do wszystkiego.

- Tak, ale niektórzy są także kategorycznie do pewnych rzeczy niezdolni. Ci dwaj?

Mogliby zabić dziecko?

Przypomniała mi się twarz Broussarda i głos Poole'a, kiedy mówili o znalezieniu ciała dziecka w rzadkim cemencie. Może są i wielkimi aktorami, ale to były role na miarę De Niro, jeśli rzeczywiście życie dziecka ma dla nich taką samą wartość jak życie mrówki.

- Hmmm - powiedziałem.

- Ja wiem, co to znaczy.

- Co?

- Twoje „hmmm”. To zawsze znaczy, że jesteś kompletnie zdezorientowany.

Skinąłem głową.

- Bo jestem kompletnie zdezorientowany.

- Witaj w klubie.

Napiłem się kawy. Jeśli nawet dziesiąta część tego, co zakładaliśmy, była zgodna z prawdą, to na naszych oczach dokonano bardzo poważnego przestępstwa. Nie blisko nas. Nie w granicach tego samego kodu pocztowego. Ale kiedy klęczeliśmy obok sprawców. Tuż pod naszym nosem.

Czy wspominałem, że żyjemy z tego, że jesteśmy detektywami?

Bubba przyszedł do nas wkrótce po zachodzie słońca.

Usiadł po turecku na podłodze w living roomie i czarnym markerem podpisał Angie gips. Dużymi literami czwartoklasisty nabazgrał: „Angie złamała nogę. Albo dwie. Cha, cha. Ruprecht Rogowski”.

Angie dotknęła jego policzka.

- O. Podpisałeś się „Ruprecht”. Jak to miło.

Bubba zarumienił się, dał Angie po łapie i spojrzał na mnie.

- O co chodzi?

- Ruprecht. - Zachichotałem. - Prawie zapomniałem.

Bubba wstał i jego cień przesłonił mnie i większą część ściany. Pogłaskał się po

brodzie i uśmiechnął nerwowo.

- Pamiętasz, Patrick, kiedy cię uderzyłem po raz pierwszy?

Przełknąłem.

- W pierwszej klasie.

- A pamiętasz za co? Odchrząknąłem.

- Bo się naśmiewałem z twojego imienia. Bubba nachylił się nade mną. - Chcesz jeszcze raz?

- Nie, nie - odparłem, a kiedy się odwrócił, dodałem: - Ruprecht. Zrobiłem unik, kiedy Bubba chciał się na mnie rzucić.

- Oj, chłopcy, chłopcy! - powiedziała Angie.

Bubba zastygł, a ja w tym czasie zasłoniłem się stolikiem.

- Czy możemy zająć się sprawą? - Angie otworzyła leżący na jej kolanach notes i zębami zdjęła skuwkę z długopisu. - Bubba, Patricka możesz nalać w każdej chwili.

Bubba zastanowił się.

- To prawda.

- Okay. - Angie nabazgrała coś w notesie i spojrzała na mnie.

- Hej. - Bubba wskazał na jej gips. - Jak ty bierzesz w tym prysznic?

Angie westchnęła.

- Co wyniuchałeś?

Bubba usiadł na kanapie i swoje wojskowe buciory oparł na stoliku do kawy. Na ogół tego nie toleruję, ale ponieważ już i tak w sprawie „Ruprechta” dostatecznie mu się naraziłem, więc tym razem machnąłem ręką.

- Z tego, czego się dowiedziałem od niedobitków ludzi Sera, Mullen i Gutierrez nie mieli nic wspólnego z porwaniem dziecka. Podobno tej nocy pojechali do Quincy po towar.

- Jaki towar? - zapytała Angie.

- Po ten co zawsze: narkotyki. Były pogłoski, że po wielkiej suszy rynek zostanie zalany chińską heroiną. - Wzruszył ramionami. - Nigdy do tego nie doszło.

- Jesteś pewien? - spytałem.

- Nie - powiedział wolno, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka. - Rozmawiałem z kilkoma facetami z organizacji Olamona i wszyscy twierdzą, że Mullen i Gutierrez nigdy nie wspominali o żadnym dziecku i kamieniołomach. I nikt z nich żadnego dzieciaka nie widział, więc jeżeli nawet Mullen i Gutierrez porwali małą, to na własny rachunek. I jeżeli tamtej nocy pojechali do Quincy, żeby się jej pozbyć, to

też tylko na własny rachunek.

Spojrzał na Angie i pokazał kciukiem na mnie.

- Czy on nie był kiedyś bystrzejszy?

Uśmiechnęła się.

- Podejrzewam, że szczyt przeżywał w szkole średniej.

- I jeszcze jedno - powiedział Bubba - do dziś nie rozumiem, dlaczego mnie ktoś tamtej nocy nie zabił.

- Ja też nie.

- Każdy z ludzi Sera, z którymi rozmawiałem, zarzeka się, że nie ma nic wspólnego z ogłuszeniem mnie wtedy. Ja im wierzę. Boją się mnie. Prędzej czy później ktoś puściłby farbę.

- To znaczy, że osoba, która cię uderzyła...

- Prawdopodobnie nie zajmuje się tym normalnie. - Wzruszył ramionami. - Takie jest moje zdanie.

W kuchni zadzwonił telefon.

- Kto, do cholery, dzwoni o siódmej rano? - powiedziałem.

- Nikt z tych, co znają nasze obyczaje - odparła Angie.

Poszedłem do kuchni i odebrałem telefon.

- Hej, bracie. - To był Broussard.

- Hej. Wiesz, która jest godzina?

- Wiem. Przepraszam, ale muszę cię prosić o przysługę. I to dużą.

- O co chodzi?

- Wczoraj wieczorem jeden z moich ludzi złamał rękę w czasie pościgu za przestępcą i brakuje nam jednego do meczu.

- Do meczu? - zdziwiłem się.

- Futbolowego. Zabójstwa-Rozboje kontra Narkotyki-Przestępczość Zorganizowana-Przestępczość przeciwko Dzieciom. Może ja się teraz zajmuję parkiem samochodowym, ale jeśli chodzi o futbol, to dalej jestem Narko-PZ-PPD.

- A to... jak się ma do mnie? - spytałem.

- Brakuje mi jednego zawodnika.

Roześmiałem się tak głośno, że Angie i Bubba w living roomie odwrócili się przez ramię i spojrzeli na mnie.

- Czy to takie zabawne? - spytał Broussard.

- Remy - odparłem - jestem biały i po trzydziestce. Mam trwałe uszkodzenie

nerwu w ręce i nie grałem w piłkę od piętnastego roku życia.

- Oscar Lee powiedział mi, że w college'u biegałeś i grałeś w bejsbol.

- Żeby zarobić na naukę - odparłem - w obu wypadkach byłem rezerwowym. - Potrzęsnałem głową i zachichotałem. - Musisz poszukać kogoś innego. Przykro mi.

- Nie mam czasu. Mecz zaczyna się o trzeciej. No, proszę cię. Błagam. Potrzebuję zawodnika, który będzie potrafił z piłką pod pachą przedzierać się między obrońcami. Nie rób mi świństwa. Oscar twierdzi, że jesteś jednym z najszybszych białych facetów, jakich zna.

- Rozumiem, że Oscar też będzie grał.

- Tak, jasne, będzie grał przeciwko nam.

- A Devin?

- Amronklin? On jest ich trenerem. Proszę cię, Patrick. Jak mi nie pomożesz, to nas załatwią.

Znów spojrzałem w stronę living roomu. Bubba i Angie patrzyli na mnie z niepokojem.

- Gdzie?

- Stadion Harvard. O trzeciej. Przez chwilę się nie odzywałem.

- Posłuchaj, bracie, jeżeli to w jakikolwiek sposób poprawi sytuację, to będę grał jako fullback i robił ci przejścia tak, żeby ci włos z głowy nie spadł, kiedy będziesz przebiegał.

- O trzeciej - powiedziałem.

- Stadion Harvard. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę.

Natychmiast wybrałem numer Oscara.

Dobrą minutę potrwało, zanim przestał się śmiać.

- On to kupił? - wykrztusił wreszcie.

- Ale co kupił?

- No tę ciemnotę, której mu nawciskałem, że niby jesteś taki szybki. - Znów śmiech, bardzo głośny, a potem Oscar kilka razy zakasłał.

- Dlaczego cię to tak śmieszy?

- HUU, huu! - śmiał się Oscar. - HUU, huu! To ty masz grać jako running back?

- Wygląda na to, że taki jest plan.

Oscar znów wybuchnął śmiechem.

- A jaka jest puenta? - spytałem.

- Puenta - odparł Oscar - jest taka, że powinieneś się trzymać z daleka od lewej strony.

- Dlaczego?

- Bo ja będę grał na lewej stronie.

Zamknąłem oczy i oparłem głowę o lodówkę. Ze wszystkich sprzętów znajdujących się w kuchni lodówka była najstosowniejsza do tego, żebym w obecnej sytuacji wszedł z nią, jak to się mówi, w kontakt cielesny. Była, z grubsza, tych samych rozmiarów, kształtu i wagi co Oscar.

- Do zobaczenia na boisku. - Oscar zarechotał głośno kilka razy i odłożył słuchawkę.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Angie.

- Do łóżka.

- Dlaczego?

- Po południu gram mecz.

- Jaki mecz? - zapytał Bubba.

- Futbolowy.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Angie na cały głos.

- Dobrze usłyszałaś - powiedziałem. Poszedłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi.

Kiedy zasypiałem, Angie i Bubba ciągle jeszcze się śmieli.

29

Wydawało się, że co drugi facet z drużyny Narkotyki-Przestępczość Zorganizowana-Przestępczość przeciwko Dzieciom, czyli Narko-PZ-PPD, miał na imię John. John Ives, John Vreeman i John Pasquale. Rozgrywającym był John Lawn, a jednym ze skrzydłowych John Coltraine, ale wszyscy nazywali go Jazz. Wysoki, chudy policjant z wydziału narkotyków, Johnny Davis, grał w ataku na pozycji tight enda, a w obronie jako free safety. John Corkery, komendant nocnej zmiany w szesnastym komisariacie i jedyny facet w drużynie, poza mną, niezwiązany z Narkotykami, PZ czy PPD, był trenerem. Jedna trzecia Johnów miała braci w tej samej jednostce policji, więc John Pasquale grał na pozycji tight enda, a jego brat Vic był skrzydłowym. John Vreeman grał na lewej stronie linii ofensywnej, a jego brat Mel na prawej. John Lawn był całkiem niezłym rozgrywającym, ale nieraz obrywał za to, że za często podawał swojemu bratu Mike'owi.

Tak czy owak, po jakichś dziesięciu minutach przestałem próbować kojarzyć twarze z imionami i zdecydowałem się do wszystkich mówić John, chyba że mnie ktoś poprawił.

Reszta Sprawiedliwych, jak się sami nazwali, miała inne imiona, ale wszyscy wyglądali podobnie, niezależnie od rozmiarów i koloru skóry. Był to wygląd „policyjny”, na który składał się ich sposób bycia, luzacki i jednocześnie czujny, spojrzenie twarde i ostrożne, nawet kiedy się śmieli i to coś nieuchwytnego, co sprawiało, że w ułamku sekundy z przyjaciela mogłeś stać się ich wrogiem.

Znałem wielu policjantów, spędzałem z nimi sporo czasu i piłem, a kilku uważałem za swoich przyjaciół. Ale nawet jeśli któryś z nich został moim przyjacielem, to i tak była to inna przyjaźń niż z cywilem. Nigdy w towarzystwie policjanta nie czułem się całkiem swobodnie i nigdy nie byłem do końca pewny, co myśli. Gliniarze zawsze coś ukrywają.

Broussard położył mi rękę na ramieniu i przedstawił mnie drużynie. Kilku facetów uściśnęło mi dłoń, kilku się uśmiechnęło i skinęło głową, jeden z nich powiedział „Dobra robota z tym Corwinem Earle'em, panie Kenzie”, a potem zebraliśmy się wszyscy wokół Johna Corkery'ego, który zaczął nam przedstawiać plan gry.

Nie był to zresztą żaden wielki plan. Raczej gadka o tym, że faceci z drużyny Zabójstwa-Rozboje to banda ciotowatych primadonn i że mamy z nimi zagrać w intencji Poole'a, którego jedyną szansą na to, że wyjdzie żywy z oddziału intensywnej opieki medycznej, było rozniesienie ich w pył. Przegrana i śmierć Poole'a obciążąłyby nasze sumienia.

Podczas gdy Corkery mówił, ja patrzyłem poprzez boisko na drużynę naszych przeciwników. Oscar pochwycił mój wzrok i pomachał mi wesoło z pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy wielkości Merrimack Valley. Devin też zobaczył, że na nich patrzę i również się uśmiechnął, po czym dał kuksańca jakiemuś wściekłemu potworowi o zgniecionej twarzy pekińczyka i pokazał na mnie. Potwór skinął głową. Reszta drużyny Zabójstwa-Rozboje nie wyglądała tak okazale jak nasza, ale za to robili wrażenie bardziej cwanych i szybszych i byli jacyś tacy szczupli, co zapowiadało raczej twardą grę niż delikatność.

- Stówka dla pierwszego, który wyeliminuje jednego z tych facetów z gry - powiedział Corkery i klasnął w dłonie. - Pozabijać sukinsynów.

Podpucha, w stylu Knute'a K. Rockne'a, jednego z najwybitniejszych trenerów dwudziestego wieku, musiała okazać się skuteczna, bo chłopcy wstali z kucek i zaczęli się okładać pięściami i klaskać.

- Gdzie są kaski? - zwróciłem się do Broussarda.

Kiedy to mówiłem, przechodził akurat koło nas jeden z Johnów, który klepnął Broussarda w plecy i powiedział:

- Skąd wytrzasnąłeś tego wesołka, Broussard?

- Nie ma kasków - powiedziałem.

Broussard skinął głową.

- To będzie rekreacyjna, delikatna gra.

- Aha - odparłem - jasne.

Zabójstwa-Rozboje albo Rozbójnicy, jak się sami nazwali, wygrali rzut monetą i wybrali grę w ataku. Nasz kopacz odesłał ich na ich jedenasty jard i kiedy rozchodziliśmy się na pozycje, Broussard wskazał mi szczupłego czarnego faceta z drużyny Rozbójników i powiedział:

- To Jimmy Paxton. Twój facet. Przyczep się do niego jak rzep. Ich center przekazał piłkę rozgrywającemu, który odskoczył do tyłu trzy kroki i rzucił mocną piłkę nad moją głowę na dwudziesty piąty jard, prosto do Jimmy'ego Paxtona. Nie miałem zielonego pojęcia, jak Paxton mnie minął, a tym bardziej jak mógł tak szybko dotrzeć do dwudziestego piątego jardu. Rzucając mu się niezdarnie pod nogi, zatrzymałem go na dwudziestym dziewiątym, po czym obie drużyny przeniosły się na miejsce rozpoczęcia kolejnej akcji.

- Powiedziałem „jak rzep” - powtórzył Broussard. - Jasne?

Spojrzałem na niego i zobaczyłem twardą furię w jego oczach.

Po chwili uśmiechnął się i wtedy zrozumiałem, ile przez całe życie tym uśmiechem sobie załatwiał. Był to tak dobry, tak chłopięcy, tak czysto amerykański uśmiech.

- Zobaczę, czy mi się to uda - odparłem.

Rozbójnicy rozeszli się na swoje pozycje, a ja zobaczyłem, jak przy linii bocznej Devin i Paxton skinęli do siebie głowami.

- Znowu zagrają w moją strefę - mruknąłem do Broussarda.

John Pasquale, broniący skrzydła cornerback, powiedział:

- To może teraz zagrasz lepiej.

Rozbójnicy rozpoczęli akcję i Jimmy Paxton błyskawicznie rozpędził się wzdłuż linii bocznej, a ja próbowałem nie dać mu uciec. Nagle oczy mu zamigotały, odwrócił się i powiedział:

- Żegnaj, białasię.

Podskoczyłem razem z nim, wyciągnąłem prawą rękę, zderzyłem się z nim w powietrzu i nie pozwoliłem mu złapać piłki, wybijając ją na aut.

Runęliśmy jeden na drugiego, a ja wiedziałem, że jest to pierwsze z wielu zderzeń, przez które najprawdopodobniej jutrzejszy dzień spędzę w łóżku.

Wstałem pierwszy i wyciągnąłem rękę do Paxtona.

- Myślałem, że gdzieś się spieszysz.

Uśmiechnął się i chwycił moją dłoń.

- Mów, mów, białasie, widzę, że już cię zatyka. Wróciliśmy wzdłuż linii bocznej na dwudziesty dziewiąty jard, do miejsca rozpoczęcia kolejnej akcji.

- Nie musisz nazywać mnie białasem, a ja nie zamierzam nazywać cię czarnuchem ani wszczynać na Harvardzie zamieszek na tle rasowym, mam na imię Patrick.

Przybiliśmy piątkę.

- Jimmy Paxton.

- Miło było cię poznać, Jimmy.

Devin znów zagrał w moją stronę, a ja znów wybiłem piłkę z rąk Paxtona.

- Grasz z cholernie wredną bandą, Patrick - powiedział Jimmy Paxton, kiedy wracaliśmy na linię rozpoczęcia akcji.

Skinąłem głową.

- Oni uważają was za cioty.

- Może nie jesteśmy ciotami, ale na pewno nie jesteśmy kowbojami jak te pieprzone sukinsyny Narko-PZ-PPD. - Gwizdnął. - Oni lubią te rzeczy.

- Te rzeczy?

- No, adrenalinę, orgazm. Z tymi chłopcami zapomnij o grze wstępnej. Oni od razu przechodzą do pieprzenia. Rozumiesz, co mam na myśli?

W trzeciej próbie Oscar ustawił się jako fullback i zaraz po rozpoczęciu akcji zrównał z ziemią trzech przeciwników, torując drogę running backowi. Ale jeden z Johnów złapał running backa za rękę i przewrócił go na ziemię na trzydziestym szóstym jardzie, po przejściu zaledwie siedmiu jardów. Rozbójnicy zdecydowali się w czwartej próbie na oddanie piłki przeciwnikom przez kopnięcie.

Pięć minut później zaczął padać deszcz i reszta pierwszej części meczu przypominała taplanie się w bloku, mozolną harówkę w stylu trenerskich gwiazd Marty'ego Schottenheimera i Billa Parcellsa. Wypruwając z siebie flaki, ślizgając się i potykając, żadna z drużyn nie posuwała się do przodu. Kiedy moja drużyna grała w ataku, zdobyłem dwanaście jardów w czterech próbach jako running back, a kiedy grałem w obronie jako safety, Jimmy'emu Paxtonowi udało się wyprzedzić mnie dwa razy, ja jednak uniemożliwiłem mu złapanie bardzo długiego podania, a w pozostałych wypadkach kryłem go tak dobrze, że rozgrywający rzucał do innych skrzydłowych.

Pod koniec pierwszej części był remis 0:0, ale to my zagrażaliśmy im. Dwadzieścia sekund przed końcem rozgrywaliśmy akcję tuż przed ich polem punktowym. John Lawn odrzucił mi piłkę do tyłu i wtedy zobaczyłem dziurę pomiędzy obrońcami, a za

nią tylko zieleń pola punktowego. Wbiegłem w tę dziurę, zrobiłem mały zwód przed linebackerem, przycisnąłem piłkę do siebie i pochyliłem głowę. Ni z tego, ni z owego w strugach lodowatego deszczu wyrósł przede mną buchający parą z ust Oscar i zderzyliśmy się z taką siłą, jakbym był na pasie startowym i uderzył w boeinga 747.

Nim podniosłem się z ziemi, zegar doszedł do zera, a deszcz opryskał mi policzek fontanną błota. Oscar podał mi swoje wielkie łapsko i pomógł wstać, chichocząc pod nosem.

- Będziesz rzygał?

- Zastanawiam się.

Walnął mnie w plecy, demonstrując, jak sędzę, przyjacielski gest, a ja mało znów nie wylądowałem twarzą w błocie.

- Niezła próba - powiedział i poszedł na swoją ławkę.

- A co z tą rekreacyjną, delikatną grą? - spytałem Remy'ego, który stał z boku boiska, patrząc, jak Sprawiedliwi otwierają lodówkę turystyczną, pełną piwa i wody sodowej.

- Kiedy tylko ktoś zrobi to, co właśnie zrobił sierżant Lee, to koniec z grą w rękawiczkach.

- To co, na drugą połowę meczu dostaniemy kaski?

Potrząsnął głową i wyciągnął piwo z lodówki.

- Nie będzie żadnych kasków. Po prostu będziemy bardziej brutalni.

- Czy kiedykolwiek ktoś zginął podczas takiej gry?

Uśmiechnął się.

- Jeszcze nie. Ale to się może zdarzyć. Piwa?

Potrząsnąłem głową, czekając, aż mi przestanie dzwonić w uszach.

- Napiję się wody.

Podał mi butelkę poland spring, położył rękę na ramieniu i odprowadził kilka metrów dalej, na bok. Na trybunach zebrała się niewielka grupka osób; byli to głównie biegacze, którzy trafili przypadkiem na mecz, kiedy ćwiczyli bieganie po stopniach. Zwróciłem uwagę na wysokiego faceta, który siedział na osobności, z długimi nogami opartymi o barierkę i głęboko naciśniętą na oczy bejsbolówką.

- Wczoraj wieczorem... - rzekł Broussard i na dłuższą chwilę zawiesił głos.

Pociągnąłem z butelki.

- Powiedziałem jedną czy dwie rzeczy, których nie powinienem mówić. Wystarczy, że wypiję trochę za dużo rumu i we łbie mi szumi.

Spojrzałem w kierunku szerokich greckich kolumn, wznoszących się za trybunami.

- Na przykład?

Stał naprzeciwko mnie, a jego roztańczone oczy jarzyły się w deszczu.

- Nie próbuj ze mną pajacować, Kenzie.

- Patrick - poprawiłem go i zrobiłem krok w prawo.

Przesunął się ze mną, z nosem w odległości zaledwie paru centymetrów od mojego. W oczach płonęło mu to samo roztańczone światło.

- Obaj wiemy, że wymknęło mi się coś, co nie powinno się wymknąć. Zostawmy to tak, jak jest i zapomnijmy o tym.

Posłałem mu przyjacielski, trochę niepewny uśmiech.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Remy. Broussard wolno potrząsnął głową.

- Lepiej nie graj w ten sposób, Kenzie. Jasne?

- Nie, ja...

Nie zauważyłem nawet ruchu jego ręki, ale poczułem w kłykciach ostry ból i zobaczyłem, że nagle moja butelka wylądowała na ziemi, a jej zawartość powoli wyciekła w błoto.

- Zapomnij o tym, co było wczoraj, a zostaniemy przyjaciółmi. - Ogniki w jego oczach przestały tańczyć - zapłonęło w nich twarde światło, jakby w źrenicach Broussarda żarzyły się węgle.

Spojrzałem na butelkę wody, na błoto obejmujące z obu stron czysty plastik i spytałem:

- A jeśli nie, to co?

- Ja bym na twoim miejscu nie próbował sprawdzać. - Przechylił głowę, spojrzał mi w oczy, jakby w nich dojrzał coś, co wymagało usunięcia, a zresztą może nie; tego nie był jeszcze pewny. - Mam nadzieję, że sprawa jest jasna.

- Tak, Remy - odparłem - jasna. Oczywiście.

Przez dłuższą chwilę patrzył mi w oczy, oddychając miarowo przez nos. Na koniec podniósł do ust puszkę i pociągnął z niej piwa.

- Taki jest policjant Broussard - powiedział i odszedł.

Druga część meczu to była regularna wojna.

Deszcz, błoto i zapach krwi rozbudziły w obu drużynach najgorsze instynkty, a masakra, jaka nastąpiła, wyeliminowała z gry na dobre trzech członków drużyny

Rozbójników i dwóch Sprawiedliwych. Jednego z nich, Mike'a Lawna, trzeba było znieść z boiska po tym, jak Oscar i tajniak z Rozbójników, niejaki Zeke Monfriez, zderzyli się z nim z dwóch stron naraz i mało nie przecięli go na pół.

Ja wyszedłem z tego z dwoma mocno stłuczonymi żebrami i odbitymi nerkami, tak że krwimocz nazajutrz miałem jak w banku, ale i tak patrząc na zakrwawione twarze, rozbite na pulpę nosy i faceta, który wypłuka dwa zęby, uważałem się za wyjątkowego szczęściarza.

Broussard przesunął się na pozycję tailbacka i do końca gry trzymał się z daleka ode mnie. Zarobił w dolną wargę, która została rozcięta, ale sam dwie akcje później w rewanżu staranował winowajcę tak brutalnie, że facet leżał na ziemi pełną minutę, kaszląc i wymiotując, zanim wreszcie wstał chwiejnie. Wyglądał, jakby płynął statkiem po wzburzonym morzu. Ale Broussard nie poprzestał na staranowaniu biedaka - skopał jeszcze porządnie leżącego, co wprawiło Rozbójników w szal. Broussard schował się za swoimi ludźmi, podczas gdy Oscar i Zeke próbowali go dorwać, nazywając wrednym, grającym niesportowo skurwysynem. Broussard pochwycił mój wzrok i uśmiechnął się do mnie jak zadowolony z siebie trzylatek.

Uniósł palec oblepiony czarną, zakrzepłą krwią i mi pogroził.

Wygraliśmy tylko trzema punktami.

Jako facet, który - jak każdy inny mężczyzna w Ameryce - dorastając, rozpaczliwie pragnął zostać sportowcem, a zarazem ktoś, kto w dalszym ciągu w jesienne niedzielne popołudnia odwoływał większość spotkań, powinienem przeżywać euforię z powodu tego, co najprawdopodobniej było moim ostatnim udziałem w grze zespołowej, ostatnią możliwością przeżycia dreszczu zwycięstwa i napięcia towarzyszącego walce. Kiedy tak stałem pośrodku boiska na pierwszym wybudowanym w tym kraju stadionie futbolowym i patrzyłem na greckie kolumny, na strugi deszczu, ściekające z długich desek trybun i wyczuwałem w kwietniowym powietrzu resztki konającej zimy i metaliczny zapach ulewy, a w zimnym fiolecie nieba zapowiedź wieczoru, powinienem wyć ze szczęścia i mieć łzy w oczach.

Ale nie miałem.

Odniosłem natomiast wrażenie, że jesteśmy bandą zidiociałych, żalonych facetów, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości tego, że się starzeją i którzy gotowi są łamać kości i rwać ciała innych ludzi po to tylko, żeby zdobyć z brązową piłką kilka jardów, stóp czy nawet kilka cali boiska.

Ale jednocześnie czułem strach, gdy tak patrzyłem na Remy'ego Broussarda, jak

leje sobie piwo na zakrwawiony palec, płucze w piwie rozciętą wargę i przybija z kumplami piątkę.

- Powiedźcie mi coś o nim - zwróciłem się do Devina i Oscara, kiedy staliśmy oparci o bar.

- O Broussardzie?

- Tak.

Obie drużyny postanowiły świętować mecz w barze w Allston przy Western Avenue w odległości mniej więcej półtora kilometra od stadionu. Bar nazywał się Boyne, tak samo jak rzeka w Irlandii, wijąca się przez miasteczko, w którym wychowała się moja matka i gdzie za sprawą śmiertelnej kombinacji płynów - whisky i morza - straciła swojego ojca rybaka i dwóch braci.

Jak na bar irlandzki był on bardzo dobrze oświetlony, a jasność wnętrza podkreślało naturalne drewno stolików, jasnobezowe boksy i lśniący jasny bar. Większość pubów irlandzkich jest ciemna. Króluje w nich mahoń i dąb, a podłogi są czarne. Zawsze uważałem, że ciemność wzmacnia atmosferę intymności, nieodzowną, według moich ziomków, przy tak ostrym picu, jakie często uprawiamy.

W jaskrawym świetle Boyne było wyraźnie widać, że duch walki przeniósł się z boiska do lokalu.

Rozbójnicy trzymali się baru i małych, wysokich stojących naprzeciwko niego stołków. Sprawiedliwi zebrali się w głębi lokalu. Rozmawiali oparci o tyły boksów albo stali w grupkach koło maleńkiej sceny przy wyjściu awaryjnym, przekrzykując się nawzajem tak głośno, że trzyosobowy zespół muzyczny poddał się całkowicie i po czterech kawałkach przestał grać.

Nie mam pojęcia, co właściciele baru myśleli o pięćdziesięciu zakrwawionych facetach, którzy zwalili się do prawie pustego lokalu i czy mieli zapasową drużynę bramkarzy i alarm podłączony do centrali w komendzie policji w Brighton, ale najwyraźniej szli na zmniejszenie zysku, lejąc piwo i wódkę non stop i usiłując nadażyć ze spełnianiem zamówień napływających z głębi sali. Od czasu do czasu służba, balansując wśród gości, zmiatała potłuczone butelki i poprzewracane popielniczki.

Broussard, który przykładał sobie do rozciętej wargi na przemian to serwetkę, to butelkę zimnego piwa, stał z Johnem Corkerym w otoczeniu wielbicieli, wznosząc głośno toasty na cześć Sprawiedliwych.

- A ja myślałem, że wy jesteście kumple - powiedział Oscar. - Co, mamy nie pozwalają wam się razem bawić czy jakaś sprzeczka?

- Mamy - odparłem.

- To świetny gliniarz - zapewnił mnie Devin. - Może trochę pozer, ale wszyscy faceci z Narkotyków i Przeszłości Zorganizowanej tacy są.

- Ale Broussard jest z PPD. Do diabła, nawet i tam już nie jest. Teraz odpowiada za park samochodowy.

- W Przeszłości przeciwko Dzieciom był ostatnio - powiedział Devin - ostatnie dwa lata czy coś koło tego. Przedtem z pięć lat służył w Przeszłości Zorganizowanej i pięć w Narkotykach.

- Więcej. - Oscar beknął. - Razem wyszliśmy z policji osiedlowej, odbyliśmy rok służby mundurowej, a potem on poszedł do Przeszłości Zorganizowanej, a ja do Przeszłości Ciężkich. To był osiemdziesiąty trzeci rok.

Remy odwrócił się od kumpli, którzy mu coś tam gadali do ucha i spojrzał przez bar na Devina, Oscara i na mnie. Podniósł butelkę piwa i przechylił głowę.

I my podnieśliśmy swoje butelki.

Broussard uśmiechnął się, przez chwilę na nas patrzył, po czym z powrotem odwrócił się do kumpli.

- Jak raz Przeszłość, to już zawsze Przeszłość - powiedział Devin. - Niech ich szlag.

- W przyszłym roku ich dopadniemy - dodał Oscar.

- To już nie będą ci sami faceci - rzekł z goryczą Devin. - Broussard przechodzi na emeryturę, tak samo Vreeman. Corkery kończy w styczniu trzydzieści lat pracy. Słyszałem, że kupił już dom w Arizonie.

Trąciłem go w łokieć.

- A co z tobą? Tobie też już chyba stuka niedługo trzydziestka, co?

Devin parsknął.

- Mam iść na emeryturę? Na co? - Potrząsnął głową i łyknął wild turkey.

- My opuszczamy służbę tylko na noszach - powiedział Oscar i stuknęli się z Devinem szklankami.

- A dlaczego tak cię interesuje Broussard? - zapytał Devin - Myślałem, że po wspólnej akcji u Trettów połączyły was więzy krwi. - Odwrócił się i wierzchem dłoni palnął mnie w ramię. - Nawiasem mówiąc, to był kawał dobrej roboty.

Zignorowałem komplement.

- Po prostu Broussard mnie interesuje i tyle.

- Dlatego wytrącił ci z ręki butelkę wody? - zdziwił się Oscar. Spojrzałem na niego. Byłem pewien, że Broussard zasłonił nas wtedy swoim ciałem.

- Widziałeś to?

Oscar skinął swoją wielką głową.

- A także z jakim wyrazem twarzy spojrzał na ciebie po tym, jak staranował Roga Dolemana.

- A ja widzę, jak on tu co chwilę zerka na nas, kiedy tak sobie po przyjacielsku gawędzimy - dodał Devin.

Jeden z Johnów przepchnął się między nami i zamówił u barmana dwa piwa i trzy kieliszki beama. Spojrzał na mnie, prawie opierając się łokciem o moje ramię, a potem na Devina i Oscara.

- Jak leci, chłopaki?

- Pierdol się, Pasquale - warknął Devin.

Pasquale roześmiał się.

- Wiem, że mówisz to z największą czułością.

- Oczywiście - zapewnił go Devin.

Pasquale zachichotał pod nosem, a tymczasem barman postawił przed nim dwa kufle piwa. Uchyliłem się, kiedy je podawał Johnowi Lawnowi i patrzyłem, jak czekając na resztę zamówienia, bębni palcami po barze.

- Słyszeliście, czego dokonał nasz koleżka Kenzie w domu Trettów? - Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Coś niecoś - odparł Oscar.

- Podobno Roberta Trett miała go już na muszce, ale się uchylił i zamiast jemu, strzeliła prosto w głowę swojemu mężowi.

- Ładny unik - skomentował Devin.

Pasquale tymczasem dostał zamówiony alkohol i położył na ladzie jakiś bilon.

- Tak, w unikach jest dobry - rzucił i odbierając drinki, przejechał mi łokciem po uchu. Kiedy się obracał, pochwycił mój wzrok. - Chociaż więcej w tym szczęścia niż talentu. W tych unikach. Nie sądzisz? - Stał teraz tyłem do Oscara i Devina i dalej patrząc mi w oczy, wychylił jeden z kieliszków. - A co do tego szczęścia, bracie, to ono zawsze się kiedyś kończy.

Devin i Oscar odwrócili się na stołkach i patrzyli, jak wraca do kolegów.

Oscar wyciągnął z kieszeni koszuli do połowy wypalone cygaro i zapalił je, nie

odrywając od Pasquale'a beznamiętnego wzroku. Pociągnął cygaro i czarna, poszarpana końcówka ożyła.

- To subtelne - powiedział i wyrzucił zapalną do popielniczki.

- Co się tu dzieje, Patrick? - Głos Devina był monotony, a wzrok utkwiony w pozostawionym przez Pasquale'a na barze pustym kieliszku.

- Nie bardzo wiem - odparłem.

- Wyraźnie masz w tych kowbojach wrogów - skomentował Oscar. - Broń Boże zrobić coś błyskotliwego.

- To nie było zamierzone - rzekłem.

- Masz coś na Broussarda? - zapytał Devin.

- Może. Tak, mam.

Devin skinął głową i złapał mnie mocno za łokieć. - Cokolwiek to jest - powiedział i uśmiechnął się nerwowo w stronę Broussarda - radzę ci tego nie ruszać.

- A jeśli nie mogę?

Obok ramienia Devina wyrósł nagle Oscar i popatrzył na mnie swoim charakterystycznym martwym wzrokiem.

- To raczej odsuń się, Patrick.

- A jeśli nie mogę? - powtórzyłem.

Devin westchnął.

- Uważaj, żeby nie było za późno.

30

W absurdalnej nadziei, że to cokolwiek zmieni, postanowiliśmy odwiedzić Poole'a.

New England Medical Center zajmuje przestrzeń między trzema przecznicami, a jego budynki i łączniki stanowią oś pomiędzy Chinatown, dzielnicą teatrów, a tym, co pozostało ze starej Combat Zone.

Wczesnym rankiem w niedzielę znalezienie wolnego miejsca parkingowego wokół tego obiektu jest trudne; w czwartek wieczorem wręcz niemożliwe. W Szubercie grano po raz n-ty *Miss Saigon*, a w Wangu najnowszy napuszony spektakl Andrew Lloyd Webbera czy może równie tanią, ograną i gównianą wersję czyjegoś innego widowiska w podobnym stylu. W związku z czym dolna część Tremont Street roiła się od taksówek, limuzyn, smokingów i jasnych futer, a także dmuchających w gwizdki wściekłych gliniarzy, którzy próbowali zaprowadzić ład wśród parkujących na trzeciego samochodów.

Nawet nie próbowaliśmy objeżdżać tego terenu; od razu skręciliśmy do garaży szpitala i wzięliśmy bilet, ale dopiero na szóstym poziomie znaleźliśmy wolne miejsce. Wysiadłem z samochodu, otworzyłem Angie drzwi i patrzyłem, jak wsparta na kulach lawiruje między samochodami.

- Którędy do windy? - zawołała do mnie.

Jakiś miody, wysoki, chudy mężczyzna o posturze koszykarza powiedział „tędy” i wskazał na lewo. Stał oparty o tylne drzwi czarnego chevy suburbana i palił cienkie

cygaro z czerwoną opaską Cohiba.

- Dziękuję - odpowiedziała Angie i kiedy mijaliśmy mężczyznę, uśmiechnęliśmy się do niego przyjaźnie.

Odwzajemnił nasze uśmiechy i machnął lekko w naszą stronę cygarem.

- On nie żyje.

Zatrzymaliśmy się raptownie, a ja spojrzałem za siebie i przyjrzałem się nieznajomemu. Miał na sobie granatową wełnianą marynarkę z brązowym skórzanym kołnierzykiem, a pod spodem wyciętą w serek czarną koszulkę i czarne dżinsy. Jego kowbojskie czarne buty były tak zniszczone jak buty jeźdźca rodeo. Strząsnął popiół z cygara, wsadził je z powrotem do ust i spojrzał na mnie.

- Teraz jest moment, w którym powinniście zapytać: „Kto nie żyje?”. - Popatrzył na swoje buty.

- Kto nie żyje? - spytałem.

- Nick Raftopoulos - odparł.

Angie wykonała pełny obrót na kulach.

- Przepraszam?

- No bo to przecież jego przyszłście odwiedzić, prawda? - Wyciągnął ręce i wzruszył ramionami. - Nic z tego, umarł godzinę temu. Zatrzymanie akcji serca wskutek ran odniesionych w strzelaninie na ganku Leona Tretta. Ostatecznie nic dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności.

Angie zrobiła krok o kulach i ja też podszedłem bliżej, tak że teraz oboje staliśmy dokładnie naprzeciwko faceta. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Następną waszą kwestia brzmi: „Skąd wiesz, kogo tu przyszłście odwiedzić?”. Kto ją wypowie?

- Kim pan jest? - zapytałem.

Wyciągnął do mnie rękę.

- Neal Ryerson. Mówcie do mnie Neal. Wolałbym mieć jakieś fajne przezwisko, ale nie każdy ma szczęście. Pan jest Patrick Kenzie, a pani Angela Gennaro. Ale muszę powiedzieć, że nawet z tym gipsem i w ogóle zdjęcie nie oddaje pani sprawiedliwości. Mój tata nazywał takie dziewczyny ślicznotkami.

- Poole nie żyje? - zapytała Angie.

- Tak jest, szanowna pani. Obawiam się, że nie żyje. Słuchaj, Patrick, czy mógłbyś się ze mną przywitać? To trochę męczące tyle czasu czekać z ręką w powietrzu.

Ścisnąłem lekko jego rękę, a mężczyzna podał ją z kolei Angie. Oparła się na

kulach i zignorowała ten gest. Spojrzała Nealowi Ryersonowi w twarz i potrząsnęła głową.

Ryerson popatrzył na mnie.

- Boi się wszy?

Cofnął rękę i wsadził ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Sięgnąłem do tyłu.

- Proszę się nie bać, Kenzie. Proszę się nie bać. - Wyciągnął płaski portfel i otworzył go, pokazując nam srebrną odznakę i dowód tożsamości. - Agent specjalny Neal Ryerson - powiedział głębokim barytonem. - Departament Sprawiedliwości. - Zamknął portfel i schował go z powrotem do kieszeni. - Wydział do walki z Przestępczością Zorganizowaną, gdyby was to interesowało. Chryste, ale jesteście gadatliwą parą.

- Dlaczego pan nas niepokoi? - spytałem.

- Ponieważ, panie Kenzie, sądząc po tym, co zobaczyłem dziś po południu podczas rozgrywek futbolowych, ma pan deficyt przyjaciół. A ja właśnie w tej branży pracuję.

- Nie szukam przyjaciela.

- Ale może pan nie mieć wyjścia. Może będę musiał zostać pana przyjacielem, czy pan sobie tego życzy, czy nie. I naprawdę jestem w tym dobry. Wysłucham opowieści o pana przewagach, obejrzymy razem bejsbol i ogólnie rzecz biorąc, będę panu towarzyszył we wszystkich knajpach, które są trendy.

Spojrzałem na Angie i bez słowa ruszyliśmy w stronę samochodu. Podszedłem najpierw od strony pasażera i zacząłem otwierać jej drzwi.

- Broussard cię zabije - rzucił Ryerson.

Odwróciliśmy się. Pociągnął cohibę i wyszedł z samochodu, zbliżając się do nas swobodnymi, długimi krokami.

- A on jest w tym naprawdę dobry, mam na myśli zabijanie ludzi. Zwykle nie robi tego sam, ale potrafi wszystko dobrze zaplanować. Jest, można powiedzieć, specem od planowania.

Wziąłem od Angie kule i otwierając drzwi samochodu, żeby je wrzucić na tylne siedzenie, zawadziłem o plecy Ryersona.

- Damy sobie radę, agencie specjalny Ryerson.

- Jestem przekonany, że tak samo myśleli Chris Mullen i Pharaoh Gutierrez.

Angie oparła się o otwarte drzwi samochodu.

- Czy Pharaoh Gutierrez pracował dla DEA? - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła papierosy.

Ryerson potrząsnął głową.

- Nie. Był informatorem Wydziału do walki z Przesłępczością Zorganizowaną. - Ryerson ominął mnie i zapalił Angie papierosa czarną zapalniczką Zippo. - Był moim informatorem. To ja go zwerbowałem. Pracował dla mnie sześć i pół roku. Miał mi pomóc w załatwieniu Sera. A potem jego organizacji. Następnie zamierzałem zająć się dostawcą Sera, niejakim Ngyun Tangiem. - Wskazał na wschodnią ścianę garażu. - To gruba ryba Chinatown.

- Ale?

- Ale Pharaoh sam został załatwiony. - Wzruszył ramionami.

- Myślisz, że to sprawa Broussarda?

- Myślę, że Broussard to zaplanował. Nie zabił ich osobiście, bo był zbyt zajęty udawaniem, że został postrzelony w kamieniołomie.

- To w takim razie kto zabił Mullena i Gutierrez?

Ryerson spojrział w górę, na sufit garażu.

- Kto zabrał pieniądze z kamieniołomu? Kto był pierwszą osobą napotkaną w pobliżu ofiar?

- Chwileczkę - powiedziała Angie. - Poole? Myślisz, że to strzelał Poole?

Ryerson oparł się o audi, zaparkowane obok naszego samochodu, zaciągnął się cygarem i wypuścił dym w serii kólek w światła jarzeniówek.

- Nicholas Raftopoulos. Urodzony w Swampscott w Massachusetts w 1948 roku. W 1968 roku, wkrótce po powrocie z Wietnamu, gdzie został odznaczony Srebrną Gwiazdą i gdzie był, o dziwo, w ekstraklasie strzelców wyborowych, wstąpił do policji bostońskiej. Jego dowódca powiedział, że kapral Raftopoulos potrafił, cytuję, „z odległości pięćdziesięciu metrów strzelić musze tse-tse w dupę”. - Potrząsnął głową. - Ach, ci wojskowi, mają takie obrazowe porównania.

- I uważasz, że...

- Myślę, panie Kenzie, że powinniśmy porozmawiać we trójkę.

Cofnąłem się o krok. Musiał mieć, lekko licząc, ponad sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a jego nienagannie uczesane Jasnoblonde włosy, swobodny sposób bycia i krój ubrania świadczyły o pochodzeniu z zamożnej rodziny. W tym momencie go poznałem. To on był tamtym facetem, który siedział po południu samotnie w końcu trybun na stadionie Harvard, z długimi nogami opartymi o barierkę i czapkę bejsbolową naciśniętą głęboko na oczy. Łatwo mogłem go sobie wyobrazić w Yale, jak waha się pomiędzy studiami prawniczymi, a posadą rządową.

Każdy z tych kierunków obiecywał karierę polityczną, kiedy srebrne nitki ozdobią skronie, ale posada rządowa wiązała się z noszeniem broni. Wybitna jednostka. Tak jest.

- Miło było cię poznać, Neal. - Przeszedłem do drzwi kierowcy.

- Nie żartowałem, mówiąc, że on was zabije.

Angie zachichotała.

- Ale ty nas uratujesz, mam nadzieję.

- Jestem z Departamentu Sprawiedliwości. - Ryerson położył rękę na piersi. -

Kuloodporny.

Spojrzałem na niego ponad dachem crown victorii.

- To dlatego, że zawsze stajesz za tymi, których masz osłaniać, Neal.

- Oooh. - Ręka Ryersona zatrzepotała przy piersi. - Celny strzał, Pat.

Angie wsiadła do samochodu, a ja za nią. Kiedy włączyłem silnik, Neal Ryerson zastukał kłykciami w szybę Angie. Zmarszczyła czoło i spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami.

Wolno opuściła szybę, a Neal Ryerson ukucnął i oparł rękę na oknie.

- Muszę wam powiedzieć - zaczął - że nie chcąc mnie wysłuchać, popełniacie wielki błąd.

- Popełnialiśmy je już wcześniej - odparła Angie.

Odsunął się, zaciągnął się cygarem, wypuścił dym i z powrotem nachylił się do okna.

- Kiedy byłem chłopcem, ojciec brał mnie w góry na polowania niedaleko miejsca, w którym się wychowałem, do Boone w Karolinie Północnej. I zawsze mi mówił - miałem wtedy od ośmiu do osiemnastu lat - że tak naprawdę trzeba strzec się nie losia czy jelenia, tylko innych myśliwych.

- To głębokie - rzekła Angie.

Neal uśmiechnął się.

- Posłuchajcie, Pat, Angie...

- Nie nazywaj go Pat - zwróciła mu uwagę Angie. - On tego nie znosi.

Podniósł dłoń, w której, między palcami, trzymał cygaro.

- Przepraszam cię, Patrick. Jak mam to wyrazić? Nieprzyjaciel to my. Rozumiesz? I właśnie „my” wkrótce zaczniemy na was polować. - Wskazał cienkim cygarem na mnie. - „My” już dziś z tobą rozmawialiśmy, Patrick. Jak długo potrwa, zanim podniesie stawkę? Przecież on wie, że nawet jeśli się na chwilę wycofacie, to i tak

prędzej czy później wrócić i zaczniecie zadawać niewygodne pytania. Bo to przecież dlatego przyszliście dziś odwiedzić Nicka Raftopoulosa, chyba się nie mylę, prawda? Przyszliście w nadziei, że jest wystarczająco przytomny, by odpowiedzieć na niektóre z waszych niewygodnych pytań. No cóż, jedźcie. Nie zdołam was powstrzymać. Ale on was dopadnie. A wtedy będzie gorzej.

Spojrzałem na Angie. A Angie na mnie. Dym z cygara Ryersona dostał się do środka samochodu i do moich płuc, zalegając tam jak włosy w odpływie zlewu.

Angie machnęła ręką, dając mu do zrozumienia, żeby się odsunął.

- Blue Diner - powiedziała. - Wiesz, gdzie to jest?

- Jakieś sześć przecznic stąd.

- To do zobaczenia - powiedziała Angie i odjechaliśmy z parkingu.

Blue Diner wygląda nocą z zewnątrz całkiem nieźle. Jedyne element reklamy od strony Kneeland Street na granicy Dzielnicy Skórzanej, wielka biała filiżanka kawy, unosi się nad szyldem w głównej handlowej dzielnicy, tak żeby lokal wyglądał, przynajmniej od strony autostrady, jak coś z owianych nocną atmosferą snów na jawie Edwarda Hoppera.

Chociaż nie sądzę, żeby Hopper chciał zapłacić za hamburgera sześć tysięcy dolarów. Nie żeby w Blue Diner taka była cena hamburgera, ale mieści się ona w granicach błędu. Kupowałem już samochody taniej, niż tam płaciłem za filiżankę kawy.

Neal Ryerson zapewnił nas, że płaci Departament Sprawiedliwości, więc zaszaleliśmy, zamawiając kawę i dwie coca-cole. Miałem ochotę wziąć hamburgera, ale w porę sobie uświadomiłem, że budżet Departamentu Sprawiedliwości to dolary pochodzące z moich podatków i że w tej sytuacji hojność Ryersona nie jest taka znów wielka.

- Omówmy to od początku - powiedział.

- Absolutnie - zgodziła się z nim Angie.

Ryerson nalał sobie do kawy śmietanki, którą następnie podał mnie.

- No więc od czego się to wszystko zaczęło? - zapytał.

- Od zniknięcia Amandy McCready - odparłem.

Potrząsnął głową.

- Nie. To wtedy wy dwoje pojawiliście się na horyzoncie. - Zamieszał kawę, wyjął łyżeczkę i wskazał nią na nas. - Trzy lata temu policjant z Wydziału Narkotyków Remy

Broussard zrobił nalot na Sera Olamona, Chrisa Mullena i Pharaoha Gutierrez, kiedy tamci dokonywali kontroli jakości w zakładzie produkcji narkotyków w Południowym Bostonie.

- A ja myślałam, że cała produkcja narkotyków odbywa się za granicą - powiedziała Angie.

- Produkcja to eufemizm. W zasadzie oni po prostu rozdrabniają to gównem - tym razem była to kokaina - i mieszają z Similakiem, odżywką dla dzieci. Broussard, jego partner Poole i jeszcze kilku kowbojów z Narkotyków zrobiło najazd na Olamona, mojego faceta Gutierrez i paru innych. Sęk w tym, że ich nie aresztowali.

- Dlaczego?

Ryerson wyjął z kieszeni świeże cygaro, ale zmarszczył czoło na widok napisu: „Prosimy o niepalenie cygar ani fajki. Dziękujemy”. Jęknął, położył cygaro na stole i zaczął się bawić celofanowym opakowaniem.

- Nie aresztowali ich, bo po spaleniu dowodów nie było podstaw do aresztowania.

- Spalili kokę - powiedziałem.

Skinął głową.

- Według Pharaoha spalili. Od lat krążyły pogłoski, że w Wydziale Narkotyków jest taka dzika jednostka, która ma prawo uderzać dilerów w najczulsze miejsca. Ale nie poprzez naloty, które czynią ich wiarygodnymi w oczach ulicy, zapewniają rozgłos w mediach i wątpliwy procent wyroków skazujących. Nie. Ta dzika jednostka jakoby niszczyła to, z czym ich złapała. Miała przy tym siacę postrach. Pamiętajcie, że była to wojna z narkobiznesem - rzekomo. I niektórzy przedsiębiorczy bostońscy gliniarze postanowili działać na zasadzie partyzantki. Mówiło się, że są nietykalni. Nie do przekupienia. Odporni na wszelkie argumenty. Fanatycy. Wielu drobnych dilerów wyeliminowali z biznesu, wielu nowych przybyszów wygnali z miasta. Większy dilerzy, tacy jak Ser Olamon, faceci z gangu Winter Hill, Włosi i Chińczycy, wkrótce zaczęli działać podczas tych nalotów jako pośrednicy - była to cena pozostania w branży. W końcu jednak, ponieważ cały narkobiznes zaczął podupadać i ponieważ te naloty w gruncie rzeczy nie okazały się aż o tyle skuteczniejsze od innych metod, jak się spodziewano, jednostka została jakoby rozwiązana.

- A Broussard i Poole przeniesieni do Brygady do Walki z Przystępnością przeciwko Dzieciom.

Ryerson skinął głową.

- Niektórzy inni faceci też się tam przeniesli albo zostali w Narkotykach, albo

poszli do Przystępczości Zorganizowanej czy do czego tam jeszcze. Ale Ser Olamon nigdy nie zapomniał. I nigdy nie wybaczył. Przysiągł, że pewnego dnia dopadnie Broussarda.

- Dlaczego akurat Broussarda, a nie innych facetów?

- Według Pharaoha Ser poczuł się osobiście przez Broussarda znieważony. Nie chodziło o to, że mu Broussard spalił towar, tylko że robiąc to, drwił sobie z niego i upokarzał go w obecności jego ludzi. I to właśnie dotknęło Sera do żywego.

Angie zapaliła papierosa i całą paczkę wyciągnęła do Ryersona.

Spojrzał na swoje cygaro, ponownie na znak, który informował, że go nie może zapalić i powiedział:

- Dzięki. Właściwie dlaczego nie?

Palił papierosa, jakby to było cygaro - w gruncie rzeczy nie zaciągał się, tylko wypuszczał kłęby dymu, pozwalając mu wcześniej owijać się wokół języka.

- Jesienią - podjął wątek - Pharaoh się ze mną skontaktował. Spotkaliśmy się i wtedy mi powiedział, że Ser ma coś na tego gliniarza, jeszcze sprzed kilku lat. Twierdził, że Ser mu nigdy nie zapomni tamtego upokorzenia, a Mullen zdradził Pharaohowi, że wszyscy, którzy byli tamtej nocy w hurtowni i patrzyli, jak Broussard i jego chłopcy palą towar i ich upokarzają, są z tego zadowoleni. W tej chwili, pomijając wszystko inne, zastanawiam się, dlaczego Mullen i Pharaoh stali się nagle takimi kumplami, że Mullen cokolwiek Pharaohowi zdradzał. Pharaoh wciskał mi kit o puszczaniu spraw w niepamięć, ale ja tego nie kupiłem. Wiedziałem, że tylko jedno mogło go połączyć z Chrisem Mullenem: chciwość.

- To znaczy, że szykował się przewrót pałacowy - powiedziałem.

Ryerson skinął głową.

- Na nieszczęście dla Pharaoha Ser zaczął coś podejrzewać.

- Ale co Ser miał na Broussarda? - zapytała Angie.

- Pharaoh nigdy mi tego nie powiedział. Twierdził, że Mullen nie chciał mu tego zdradzić. Że to by zaprzepaściło element zaskoczenia. Ostatni raz miałem kontakt z Pharaohem po południu tego dnia, kiedy zginął. Powiedział, że od kilku dni łążą za nimi po całym mieście policjanci i że w nocy on i Mullen mają zakosić dwieście tysięcy dolarów, upokarzając w ten sposób gliniarza, a następnie zmył się. Zaraz po tym, jak to załatwił i jak się Pharaoh zorientuje, co takiego zrobił ten gliniarz, wyda i jego i Mullena, zapewniając mi w ten sposób największy sukces w karierze i wtedy już na dobre się ode mnie odczepi. A przynajmniej taką miał nadzieję. - Ryerson zdusił

papierosa. - Resztę znamy.

Angie zmarszczyła czoło, zdezorientowana.

- Ale my nic nie rozumiemy. Czy masz choćby słabe pojęcie, jak się z tym wszystkim wiąże zniknięcie Amandy McCready?

Ryerson wzruszył ramionami.

- Może uprowadził ją sam Broussard.

- Ale po co? - zapytałem. - Obudził się pewnego dnia i pomyślał sobie, że byłoby dobrze porwać dziecko?

- Słyszałem o rzeczach znacznie bardziej niesamowitych niż ta. - Nachylił się nad stołem. - Nie zapominajcie, że Ser miał coś na niego. O co chodziło? Wszystko jakoś wraca do sprawy zniknięcia małej. Przyjrzyjmy się więc Broussardowi. Porywa Amandę, żeby wyrzucić presję na matce, która według informacji Pharaoha zdefraudowała Serowi dwieście tysięcy.

- Chwileczkę - przerwałem mu - jest jedna rzecz, która mnie od początku niepokoi: dlaczego Ser nie posłał Mullena i nie kazał mu biciem wymusić na Helene i Rayu Likanskim miejsca ukrycia pieniędzy na długo przedtem, zanim zniknęła Amanda?

- Bo Ser nie wiedział o tym sprzeniewierzeniu, aż do dnia zniknięcia Amandy.

- Co takiego?

Ryerson skinął głową.

- Cały urok przekrętu Likanskiego - choć był on dobry tylko na krótką metę - polegał na przekonaniu Raya, że wszyscy wierzą w to, że pieniądze zostały skonfiskowane razem z narkotykami. Trzy miesiące trwało, nim Ser odkrył prawdę. I stało się to dokładnie w dniu, w którym zniknęła Amanda.

- To by wskazywało na Mullena jako porywacza - powiedziała Angie.

Ryerson potrząsnął głową.

- Nie wierzę w to. Myślę, że Mullen czy ktoś od Sera poszedł tamtej nocy do Helene, żeby ją porządnie przycisnąć i wydobyć od niej, gdzie jest forsa. Ale zamiast tego zobaczył, jak Broussard zabiera małą. No i od tej pory Ser miał coś na Broussarda. Zaczyna go szantażować. A Broussard gra na dwie strony. Policji mówi, że Ser porwał Amandę i żąda okupu. A ludziom Sera mówi, że przyniesie pieniądze do kamieniołomu i da je Mullenowi, wiedząc, że ludzi Sera zabije, małą zrzuci z góry i ucieknie z pieniędzmi. On...

- Ale przecież to jest idiotyczne - przerwałem mu.

- Dlaczego?

- Dlaczego Ser miałby pozwolić na to, żeby go uważano za porywacza Amandy McCready?

- On nie pozwalał. Broussard go w to wrobił, wcale mu o tym nie mówiąc.

Potrząsnąłem głową.

- Broussard mu powiedział. Ja tam byłem. W październiku pojechaliśmy do więzienia Concord i pytaliśmy Sera o zniknięcie małej. Gdyby w tej sprawie działał w zмовie z Broussardem, obaj musieliby się zgodzić, że podejrzenie padłoby na ludzi Sera. Dlaczego Ser miałby to akceptować, skoro, jak mówisz, trzymał Broussarda za jaja? Po co miałby brać na siebie winę za uprowadzenie i śmierć czteroletniej dziewczynki, skoro nie musiał?

Wymierzył we mnie niezapalone cygaro.

- Żebyście w to uwierzyli, Kenzie. Czy wy dwoje nigdy się nie zastanawialiście, dlaczego tak głęboko wtajemniczono was w szczegóły dochodzenia? Dlaczego właśnie wam polecono zjawić się w kamieniołomie? Otóż dlatego, że mieliście być świadkami. Taką wam przydzielono rolę. A w Concord Broussard i Ser odstawili na wasz użytek przedstawienie. Drugie przedstawienie odegrali wobec was Poole i Broussard w kamieniołomie.

Mieliście zobaczyć to, co chcieli, żebyście zobaczyli i uznać to za prawdę.

- Ale, a propos, jak Poole mógł sfingować atak serca?

- Kokaina - odparł Ryerson - już to kiedyś widziałem. To jest cholernie ryzykowne, bo kokaina rzeczywiście może spowodować prawdziwe kłopoty z naczyniami wieńcowymi. A zresztą facet w jego wieku i do tego pracujący w tym zawodzie? Mało który lekarz podejrzewałby kokainę, każdy przyjąłby, że to atak serca.

Policzyłem, że zanim którekolwiek z nas się odezwało, Kneeland Street przejechało dwanaście samochodów.

- Agencje Ryerson, wróćmy jeszcze do początków. - Papieros Angie wypalił się, pozostawiając w popielniczce długie półkole białego popiołu. - Zgadza się co do tego, że Ser mógł widzieć w Mullenie i Gutierrezie zagrożenie. A jeśli uważał, że powinien ich zlikwidować? A jeśli to, co miał na Broussarda, było tak poważne, że postanowił go w to wrobić?

- Wrobić w to Broussarda?

Angie skinęła głową.

Ryerson odchylił się w boksie i spojrzał przez okno na ciemnoszare budynki na

rogu South Street. Ponad jego ramieniem, na Kneeland Street, dostrzegłem znajomy, typowy dla miasta widok: kanciasty brązowy wóz firmy doręczycielskiej UPS stojący na światłach awaryjnych i blokujący uliczkę. Z tyłu przez otwarte drzwi kierowca wyjmował wózek dwukołowy i kilka pudeł, które na nim układał.

- To znaczy - Ryerson zwrócił się do Angie - że według twojej teorii, gdy Ser myślał, że wciska ciemnotę Mullenowi i Gutierrezowi, Broussard wciskał ciemnotę wszystkim trzem.

- Możliwe - odparła. - Całkiem możliwe. Dostaliśmy informację, że Mullen i Gutierrez spodziewali się, że tamtej nocy w kamieniołomie odbiorą partię narkotyków.

Facet z UPS przebiegł przed oknem, popychając przed sobą wózek, a ja się zastanawiałem, komu o takiej porze dostarczają zamówienie. Może kancelarii prawniczej głowiącej się do późna w nocy nad ciężkimi sprawami? Drukarzom, spieszącym się, by zdążyć na czas? Wyspecjalizowanej firmie komputerowej robiącej to, co robią wyspecjalizowane firmy komputerowe, gdy reszta świata szykuje się do snu?

- No cóż - powiedział Ryerson - znów wracamy do sprawy motywu. A jeśli to, co Ser miał na Broussarda, to było porwanie dziecka? Powiedzmy. Tylko znów: dlaczego Broussard miałby to zrobić? Co sobie wyobrażał, kiedy wchodził tamtej nocy do domu, żeby porwać dziecko, którego nie widział przedtem na oczy? To się nie trzyma kupy.

Facet z UPS wrócił błyskawicznie, z kwitariuszem pod pachą, teraz, z pustym wózkiem, biegł już dużo szybciej.

- I jeszcze jedno - podjął Ryerson - jeżeli przyjmiemy, że zasłużony policjant, z odznaczeniami na koncie, służący w jednostce zajmującej się znajdowaniem dzieci, robi coś tak szalonego jak porwanie dziecka z domu matki, pozornie bez żadnego motywu, to jak on miałby to przeprowadzić? Obserwować dom i czekać, aż matka małej wyjdzie? Liczył na to, że zostawi drzwi niezamknięte? To bez sensu.

- A jednak uważasz, że tak właśnie było - powiedziała Angie.

- W głębi duszy tak. Wiem, że to Broussard uprowadził małą. Ale za cholerę nie mam pojęcia, po co to zrobił.

Facet z UPS wskoczył do samochodu, który po chwili przemknął koło okna, zjechał na lewy pas i zniknął mi z oczu.

- Patrick?

- Tak?

- Jesteś z nami?

- Ale nie z kryminalną przeszłością, z tym się nie da. Angie dotknęła mojego ramienia.

- Co ty mówisz?

Nie zdawałem sobie sprawy, że powiedziałem to głośno.

- Nie można dostać posady kierowcy w UPS, mając kryminalną przeszłość.

Ryerson zamrugał i spojrzał na mnie, jakby miał ochotę wyciągnąć termometr i zmierzyć mi gorączkę.

- O czym ty mówisz, do cholery?

Spojrzałem znów na Kneeland Street, a potem po kolei na Ryersona i na Angie.

- Tamtego pierwszego dnia, kiedy Lionel pojawił się w naszym biurze, powiedział, że miał kiedyś kłopoty, poważne kłopoty z prawem, zanim jego ścieżki się wyprostowały.

- No i co z tego? - zapytała Angie.

- To, że jeśli było zatrzymanie, to musi być ślad w aktach. A jeśli jest ślad, to jak mógł dostać pracę w UPS?

- Ale ja nie widzę... - zaczął Ryerson.

- Szszsz. - Angie uniosła rękę i spojrzała mi w oczy.

- Myślisz, że Lionel...

Poprawiłem się na siedzeniu i odsunąłem zimną kawę.

- Kto miał dostęp do mieszkania Helen? Kto mógł otworzyć drzwi kluczem? Z kim Amanda mogła wyjść tak chętnie, bez hałasu, bez oporu?

- Ale przecież to on do nas przyszedł...?

- Nie - odparłem. - Przyszła jego żona. A on tylko powtarzał: „Dziękujemy, że nas wysłuchaliście, bla, bla, bla”. On był gotów nas zbyć. To Beatrice naciskała. Zaraz, co ona takiego powiedziała, kiedy była w naszym biurze? „Nikt nie chciał, żebym tu przyszła. Ani Helene, ani mój mąż”. To Beatrice nie pozwalała nam wszystkim o tej sprawie zapomnieć. A Lionel... owszem, bardzo kocha swoją siostrę, okay. Ale czy jest ślepy? Przecież nie jest głupi. Jak mógł nie wiedzieć o związkach Helene z Serem? Jak mógł nie wiedzieć o jej problemie z narkotykami? Kiedy usłyszał, że miała coś wspólnego z koką, udawał bardzo zdziwionego, na miłość boską. Ja z moją siostrą rozmawiam raz na tydzień, widuję się z nią wprawdzie tylko raz na rok, ale gdyby ona brała, na pewno bym o tym wiedział. Przecież jest moją siostrą.

- Ale co z tą kryminalną przeszłością, o której mówiłeś? - zainteresował się Ryerson. - Jak to się ma do całej sprawy?

- Powiedzmy, że to Broussard nakrył na czymś Lionela. Że miał na niego haka. I że wobec tego Lionel był od niego zależny. Kto wie?

- Ale dlaczego Lionel miałby porywać swoją własną siostrzenicę?

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Zamknąłem oczy i nie otwierałem ich dopóty, dopóki nie zobaczyłem stojącego przede mną Lionela. Dopóki nie zobaczyłem jego psiej twarzy, smutnych oczu i ramion, na których jak gdyby spoczywał ciężar całej metropolii, przygniatając go do ziemi. I dopóki nie usłyszałem nuty bólu w jego głosie - w głosie człowieka przyzwoitego, który naprawdę nie rozumie, dlaczego ludzie robią tyle takich wrednych i podłych rzeczy. Przypomniała mi się wulkaniczna wściekłość w jego głosie czy wręcz nuta nienawiści, kiedy tamtego ranka w kuchni wybuchnął złością na swoją siostrę po tym, jak jej udowodniliśmy, że znała Sera. Powiedział nam, że wierzy w to, że jego siostra kocha swoje dziecko i że jest dla niego dobra. A jeśli kłamał, to co? Jeśli w gruncie rzeczy uważał, że jest odwrotnie? Jeśli o macierzyńskich kwalifikacjach swojej siostry był jeszcze gorszego zdania niż jego żona? A przecież Lionel - sam dziecko alkoholików i złych rodziców - żeby zostać takim obywatelem i ojcem, jakim został, musiał się nauczyć ukrywać różne rzeczy, maskować wściekłość.

- A jeśli - powiedziałem głośno - Amanda McCready nie została porwana przez nikogo, kto chciał ją wykorzystać, zgwałcić, czy zażądać za nią okupu? - Napotkałem lekko sceptyczne spojrzenie Ryersona, a następnie pełne ciekawości i podniecenia oczy Angie. - Jeśli Amanda została uprowadzona dla jej własnego dobra?

Ryerson mówił wolno, wyraźnie: - Myślisz, że wujek wykradł dziecko... Skinąłem głową.

- Żeby je ratować.

31

- Lionel wyjechał - powiedziała Beatrice.

- Wyjechał? - zdziwiłem się. - Dokąd?

- Do Karoliny Północnej - wyjaśniła i cofnęła się od drzwi. - Proszę bardzo, wejdźcie.

Poszliśmy za nią do living roomu. Syn McCreadych, Matt, uniósł na nasz widok głowę. Leżał na brzuchu, na środku podłogi i rysował coś w bloku, używając wielu długopisów, ołówków i kredek. Był ładnym dzieckiem, z nieznaczną zapowiedzią tak wyraźnej u ojca obwisłej psiej szczęki, ale jego ramion nie przytłaczał żaden ciężar. Po matce odziedziczył oczy - wyraziście szafirowe pod kruczoczarnymi brwiami - i falujące włosy.

- Cześć, Patrick, cześć, Angie. - Na Neala Ryersona patrzył z łagodną ciekawością.

- Jak się masz. - Ryerson ukucnął koło malca. - Mam na imię Neal. A ty?

Matt potrząsnął ręką Ryersona bez żadnych oporów i spojrzał mu w oczy z otwartością dziecka, przyzwyczajonego, by szanować dorosłych, ale się ich nie bać.

- Matt - odparł. - Matt McCready.

- Miło cię poznać. Co rysujesz?

Matt tak odwrócił blok, że wszyscy mogliśmy zobaczyć efekt jego pracy. Patykowate postacie różnych kolorów wspinały się na samochód trzy razy wyższy od nich i długi jak samolot pasażerski.

- Całkiem niezłe - ocenił Ryerson. - A co ten obrazek przedstawia?

- Ci faceci chcą pojechać tym samochodem - odparł Matt.
- A dlaczego nie mogą wsiąść? - zapytałem.
- Bo samochód jest zamknięty - wyjaśnił Matt, jakby jego odpowiedź wyczerpywała temat.

- Ale oni chcą wejść do tego samochodu - powiedział Ryerson. - Tak?

Matt skinął głową.

- No bo on...

- Wystarczy tylko „bo”, bez „no” - poprawiła go Beatrice.

Mały spojrział na matkę, początkowo zmieszany, ale potem uśmiechnął się.

- Dobrze. Bo tam w środku są telewizory. Game Boye, Whopper Juniory i... i coca-cola.

Ryerson pokrył uśmiech ruchem ręki.

- Same dobre rzeczy.

Matt uśmiechnął się.

- Aha.

- Rysuj - zachęcił chłopca - bo ci to dobrze wychodzi. Matt skinął głową i odwrócił blok do siebie.

- Teraz będę rysował domy. Na tym rysunku brakuje domów.

Zupełnie jakbyśmy byli częścią snu, Matt wziął do ręki ołówek i pochylił się nad blokiem z taką koncentracją, że wszystko z pokoju musiało dla niego zniknąć - my też.

- My się chyba nie znamy, panie Ryerson - odezwała się Beatrice.

Jej drobna ręka zniknęła w jego długiej dłoni.

- Pani pozwoli, jestem Neal Ryerson z Departamentu Sprawiedliwości.

Beatrice spojrzała na Matta i ściszyła głos.

- Chodzi o Amandę?

Ryerson wzruszył ramionami.

- Chcieliśmy sprawdzić kilka rzeczy u pani męża.

- Jakich rzeczy?

Zanim wyszliśmy z restauracji, upewniliśmy się, że jedno przynajmniej jest dla Ryersona jasne: w żadnym wypadku nie chcemy spłoszyć Lionela czy Beatrice. Gdyby Beatrice zawiadomiła męża, że jest podejrzany, mógłby zniknąć na dobre, a wraz z nim informacja na temat miejsca pobytu Amandy.

- Będę z panią szczerzy. W Departamencie Sprawiedliwości mamy Biuro Wymiaru Sprawiedliwości i Zapobiegania Przemocności Nieletnich. Robimy dużo badań dla

Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych, Narodowej Organizacji Dzieci Zaginionych i ich baz danych. Takie ogólne historie.

- To znaczy, że nie chodzi o przełom w sprawie? - Beatrice, miętosząc w palcach brzeg bluzki, spojrzała Ryersonowi w twarz.

- Bardzo żałuję, ale niestety nie. Jak mówiłem, chodzi o kilka informacji natury ogólnej do bazy danych. A ponieważ pani mąż był pierwszą osobą na miejscu, z którego tamtej nocy zniknęła wasza siostrzenica, chciałbym to jeszcze raz z nim omówić, zobaczyć, czy przypadkiem nie zauważył czegoś - jakiegoś drobiazgu tu czy tam - co mogłoby rzucić na sprawę nowe światło.

Beatrice skinęła głową, a ja mało się nie skrzywiłem, widząc, z jaką łatwością kupiła łgarstwa Ryersona.

- Lionel pomaga przyjacielowi, który handluje antykami. Tedowi Kenneally'emu. Przyjaźnią się od czasu szkoły podstawowej. Ted ma sklep w południowym Bostonie - „Antyki Kenneally'ego”. Mniej więcej raz na miesiąc jeżdżą do Karoliny Północnej do Wilson podrzucić tam trochę towaru.

Ryerson skinął głową.

- Tak, wiem. To centrum antyków Ameryki Północnej. Pochodzę z tamtych stron.

- Aha. Czy mogłabym w czymś pomóc? Lionel wraca jutro po południu.

- Tak, oczywiście, że może pani pomóc. Jeśli pani zechce odpowiedzieć na kilka nudnych pytań, na które już z pewnością tysiące razy pani odpowiadała.

Beatrice szybko skinęła głową.

- Oczywiście. Bardzo proszę. Jeśli trzeba pomóc... to mogę odpowiadać na pytania choćby i całą noc. Może zrobię herbaty?

- Byłoby wspaniale, pani McCready.

Podczas gdy Matt kolorował swój rysunek, Ryerson zarzucał Beatrice lawiną pytań, na które odpowiedzi już od dawna były znane: o noc zaginięcia Amandy, o macierzyńskie kwalifikacje Helene, o te wczesne zwariowane dni po zniknięciu dziewczynki, kiedy Beatrice organizowała poszukiwania, pełniąc funkcję kontaktu między rodziną a mediami i oblepiając ulice zdjęciami siostrzenicy.

Od czasu do czasu Matt pokazywał nam swoje postępy, dorysowując a to drapacze chmur z rzędami krzywych okien, a to chmury, a to psy, które dodał jeszcze w ostatniej chwili.

Zacząłem żałować, że tu przyszedłem. Czulem się w ich domu jak szpieg

gromadzący dowody, które pozwolą męża Beatrice i ojca Matta wsadzić do więzienia. Przed naszym wyjściem Matt zapytał Angie, czy może się podpisać na jej gipsie. Kiedy powiedziała, że oczywiście, z pół minuty wybierał stosowny długopis. Wreszcie ukląkł i bardzo starannie podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem, a ja poczułem w sercu ból i w piersi kamień smutku na myśl o tym, jak będzie wyglądało jego życie i rodzina, jeśli potwierdzą się nasze podejrzenia co do jego ojca i wkroczy prawo.

Mimo to moje zainteresowanie sprawą było na tyle silne, że stłumiło nawet wstyd.

Gdzie ona może być?

Gdzie ona jest, do cholery?

Po wyjściu od Beatrice zatrzymaliśmy się na chwilę przy samochodzie Ryersona, gdzie Neal wyjął z celofanu jedno ze swoich cienkich cygar i srebrną gilotynką obciął mu czubek. Zapalając cygaro, spojrzał w stronę domu.

- Miła kobieta.

- Owszem.

- I dzieciak wspaniały.

- Tak, wspaniały - przyznałem.

- To okropne - powiedział Ryerson, pociągając cygaro.

- Okropne.

- Poobserwuję sklep Teda Kenneally'ego. To musi być z półtora kilometra stąd.

- Raczej ze trzy - sprostowała Angie.

- Cholera, nie zapytałem jej o adres.

- W Południowym Bostonie jest tylko kilka sklepów z antykami - uspokoiłem go. -

Sklep Kenneally'ego znajduje się na Broadwayu, dokładnie naprzeciwko restauracji Amrheins.

Ryerson skinął głową.

- Dołączycie do mnie? Myślę, że teraz, kiedy Broussard jest na wolności, to będzie dla was najbezpieczniejsze.

- Jasne - zgodziła się Angie. Ryerson spojrzał na mnie.

- Panie Kenzie?

Popatrzyłem na dom Beatrice, na żółte kwadraty okien living roomu i pomyślałem o jego mieszkańcach i o tornadzie, którego nawet nie byli świadomi, a które zagrażało ich życiu, z każdą chwilą przybierając na sile.

- Ja do was dojadę.

Angie spojrzała na mnie zaniepokojona.

- Co jest grane?

- Dojadę do was - powtórzyłem. - Muszę coś załatwić.

- Co takiego?

- Nic wielkiego. - Położyłem jej ręce na ramionach. - Dołączę do was. Zgoda?

Proszę cię, daj mi trochę luzu.

Po moim długim, wymownym spojrzeniu Angie skinęła głową. Nie była zachwycona, ale rozumiała mój upór, tak samo jak rozumiała swój. Doskonale wiedziała, że w takich chwilach nie ma co ze mną dyskutować, dokładnie tak samo jak z nią.

- Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa - powiedział Ryerson.

- Nie ma obawy - odparłem. - To nie w moim stylu.

Szanse były niewielkie, ale się opłaciło.

O drugiej nad ranem Broussard, Pasquale i jeszcze kilku facetów z drużyny Sprawiedliwych wychodzili z Boyne. Sądząc po tym, jak się ściskali na parkingu, domyśliłem się, że musieli słyszeć o śmierci Poole'a i ich ból był prawdziwy. Policjanci się na ogół nie ściskają, chyba że tracą któregoś z kolegów.

Przez chwilę po tym, jak inni odjechali, Pasquale i Broussard rozmawiali na parkingu, w końcu Pasquale jeszcze raz uściskał Broussarda, walnął go parę razy pięścią w potężne plecy i mężczyźni ostatecznie się rozstali.

Pasquale odjechał swoim bronco, a Broussard niepewnym, ostrożnym, typowym dla ludzi pijanych krokiem oddalił się do swojego volva kombi, wycofał na Western Avenue i ruszył na wschód. Pozostałem na prawie pustej ulicy i widząc jego tylne światła znikające przy Charles River, stwierdziłem, że niemal straciłem go z oczu.

Przyspieszyłem, bo mógł skręcić w Storow Drive, a potem pojechać do North Beacon czy wreszcie na skrzyżowaniu z Mass Pike wybrać kierunek wschodni albo zachodni.

Z Western Avenue, wyciągając szyję, zobaczyłem, jak volvo sunie pod falą światła w stronę zachodnich rogatki na autostradzie.

Zmusiłem się, by zwolnić i przejechałem przez rogiatkę minutę po nim. Po mniej więcej trzech kilometrach znów zobaczyłem volvo. Jechało lewym pasem, z szybkością niecałych stu kilometrów na godzinę. Trzymałem się jakieś dziewięćdziesiąt metrów za nim, dostosowując się do jego prędkości.

Od policjantów bostońskich wymaga się, żeby mieszkali w zasięgu metra, ale

czasem - a znam kilka takich wypadków - obchodzą oni ten przepis, podnajmując swoje mieszkania rodzinie czy przyjaciółom i wynosząc się dalej.

Broussard, jak się przekonałem, właśnie do nich należał. Po przeszło godzinie jazdy, rozstaniu się z autostradą i pokonaniu kilku małych, ciemnych dróg lokalnych znaleźliśmy się w Sutton, mieście ukrytym wśród cieni rezerwatu Purgatory Chasm i położonym znacznie bliżej Rhode Island i granic Connecticut niż Bostonu.

Broussard skręcił w stromo opadający podjazd, prowadzący do niewielkiego brązowego domu, którego okna przesłaniały krzewy i małe drzewa, a ja pojechałem dalej aż do skrzyżowania, gdzie droga kończyła się ścianą sosnowego lasu. Zatoczyłem łuk światłami, przebijając nimi ciemności znacznie głębsze niż ciemności miasta i mając poczucie, że każde z moich świateł może nagle wyłović z mroków jakiegoś buszującego po nocy stwora, który spojrzeniem swoich zielonych ślepi przyprawi mnie o atak serca.

Zawróciłem i znów odnalazłem tamten dom. Podjechałem jeszcze z siedemdziesiąt metrów i wtedy w światłach reflektorów zobaczyłem budynek z zaciągniętymi żaluzjami. Zjechałem podjazdem, pokrytym warstwą jesiennych liści, zaparkowałem w ukryciu, za kępą drzew i siedząc dalej w samochodzie, znalazłem się w samym sercu idealnej ciszy, którą zakłócały tylko świerszcze i szum wiatru w gałęziach drzew.

Obudziłem się rano i stwierdziłem, że patrzy na mnie para wspaniałych brązowych oczu. Były łagodne, pełne smutku i przepastne jak szyby w kopalni miedzi. I nie mrugały.

Widząc przez szybę wyciągnięty ku mnie długi biało-brązowy pysk, podskoczyłem na siedzeniu, płosząc swoim nagłym ruchem zaniepokojone zwierzę. Zanim na dobre zdążyłem sobie zdać sprawę, że je w ogóle widziałem, jeleni dał susa przez trawnik i zniknął wśród drzew. Mignął mi jeszcze tylko między dwoma pniami jego biały ogonek.

- Jezu - powiedziałem głośno.

Po chwili przemknęła mi przed oczami smuga innego koloru, tym razem po drugiej stronie drzew, dokładnie naprzeciwko maski mojego samochodu. Kiedy przyjrzałem jej się przez szczelinę między drzewami, po prawej stronie zobaczyłem mknące drogą beżowe volvo Broussarda. Nie miałem pojęcia, czy pojechał tylko po mleko, czy wraca do Bostonu, w każdym razie wiedziałem, że nie mogę przegapić

okazji.

Wyjąłem ze schowka na rękawiczki komplet przyrządów do otwierania zamków, zawiesiłem sobie na ramieniu kamerę, otrząsnąłem się z porannego zamroczenia i wysiadłem z samochodu. Ruszyłem drogą, trzymając się miękkiego pobocza i napawając się urokami pierwszego ciepłego dnia w roku - błękitem czystego, wolnego od smogu nieba, tak nasyconego tlenem, że nie mogłem uwierzyć, że ciągle jeszcze jestem w Massachusetts.

Kiedy się zbliżyłem do podjazdu Broussarda, zobaczyłem na dole wysoką, szczupłą kobietę o długich, ciemnych włosach, trzymającą za rękę dziecko. Schyliła się razem z malcem, który podniósł leżącą u wylotu podjazdu gazetę i jej wręczył.

Byłem za blisko, żeby się zatrzymać i kobieta spojrzała na mnie, przysłaniając sobie ręką oczy pod słońce i uśmiechając się niepewnie. Dziecko mogło mieć ze trzy lata, a jego jasnoblond włosy i bardzo jasna karnacja nie przypominały ani kobiety, ani Broussarda.

- Dzień dobry. - Nieznajoma, prostując się, posadziła sobie malca na biodrze. Dziecko ssalo palec.

- Dzień dobry.

Było w niej coś niezwykłego. Szerokie usta, nieznacznie uniesione z lewej strony, przecinały twarz nierówno, ale w ich lekko ukośnej linii było coś zmysłowego, jakby zapowiedź uśmiechu. Przelotne spojrzenie na usta, kości policzkowe i zaróżowioną w promieniach wschodzącego słońca cerę kobiety nasuwało skojarzenie z modelką czy żoną-maskotką bogatego biznesmena. Ale kiedy popatrzyłem jej w oczy, poczułem się niepewnie - zobaczyłem w nich nagą, twardą inteligencję. To nie była kobieta, która mogłaby się uwiesić męskiego ramienia, tym bardziej w charakterze maskotki. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, by mogła się uwiesić czegokolwiek.

Dziewczyna zauważyła aparat.

- Ptaki?

Potrząsnąłem głową.

- Przyroda w ogóle. Tam, skąd pochodzę, mam tego niewiele.

- Boston?

- Providence.

Skinęła głową, spojrzała na gazetę i strzasnęła z niej rosę.

- Zwykle pakują gazety w plastik, żeby je zabezpieczyć przed wilgocią - powiedziała. - Będę ją musiała powiesić w łazience przynajmniej na godzinę, żeby

przeczytać pierwszą stronę.

Chłopczyk przytulił się sennie do jej piersi, przyglądając mi się oczami otwartymi i błękitnymi jak niebo.

- Co jest, kochanie? - Kobieta pocałowała malca w główkę. - Zmęczony? - Pogłaskała go po lekko pucołowatej buzi, a miłość w jej oczach była prawie namacalna.

Kiedy przeniosła wzrok na mnie, miłość gdzieś się ulotniła, ustępując miejsca lękowi albo podejrzliwości.

- Tam jest las. - Pokazała w dół drogi. - O tam, należy do rezerwatu Purgatory Chasm. Z pewnością narobi pan tam wspaniałych zdjęć.

Skinąłem głową.

- Rzeczywiście, to miejsce wygląda bardzo obiecująco. Dziękuję za radę.

Może dziecko coś wyczuło. Może było zmęczone. A może po prostu takim malcom się to zdarza, w każdym razie chłopiec nagle otworzył buzię i zaczął wrzeszczeć.

- O ho, ho! - Kobieta uśmiechnęła się i znów pocałowała małego w główkę, podrzucając go na biodrze. - No już dobrze, Nicky. Cicho. Mama da ci coś do picia.

Kobieta ruszyła w górę stromego podjazdu, cały czas kołysząc małego na biodrze i głaszcząc go po buzi, a jej szczupła sylwetka w ocieplanej koszuli w czerwono-czarnej kratę i w dzinsach poruszała się tanecznym krokiem.

- Powodzenia ze zdjęciami! - zawołała przez ramię.

- Dziękuję.

Skręciła na podejździe i wraz z dzieckiem zniknęła za tymi samymi krzewami, które zasłaniały dom od strony drogi. Ale ciągle jeszcze ją słyszałem.

- Nie płacz, Nicky. Mama cię kocha. Zobaczysz, mama zrobi tak, że wszystko będzie dobrze.

- No więc ma syna. I co z tego? - powiedział Ryerson.

- Nigdy o tym nie słyszałem

- Ani ja - dodała Angie - a przecież w październiku spędzaliśmy w jego towarzystwie bardzo dużo czasu.

- Ja na przykład mam psa - upierał się Ryerson. - A dowiadujecie się o tym dopiero teraz. Zgadza się?

- Ale ciebie znamy niecały dzień - odparła Angie. - Poza tym pies to nie dziecko. Jeśli masz syna i spędzasz dużo czasu z ludźmi na różnych akcjach policyjnych, to

prędzej czy później o nim wspomnisz. Często na przykład wspominał o żonie. Nic specjalnego, choćby tylko: „Muszę zadzwonić do żony”, „Żona mnie zabije, jeśli jeszcze raz nie zdążę na obiad” i tak dalej. Ale nigdy, ani razu, nie wspomniał o dziecku.

Ryerson spojrzał na mnie w lusterku wstecznym.

- Co o tym sądzisz?

- Uważam, że to dziwne. Czy mogę skorzystać z twojego telefonu?

Podał mi aparat, a ja, wybierając numer, patrzyłem na sklep Kenneally'ego z wywieszką „Zamknięte” w oknie wystawowym.

- Detektyw sierżant Lee.

- Oscar - powiedziałem.

- Jak się masz, Walterze Payton. Jak twoje ciało?

- Boli jak cholera. Zmienił ton.

- A ta druga sprawa?

- Mam do ciebie pytanie.

- Pytanie typu donos na moich ludzi, tak?

- Niekoniecznie

- Dawaj. Sam zdecyduję, czy mi się podoba, czy nie.

- Broussard jest żonaty?

- Tak, z Rachel.

- Wysoka brunetka? Bardzo ładna?

- Tak. To ona.

- I mają dziecko?

- Proszę?

- Czy Broussard ma syna?

- Nie.

Poczułem w głowie dziwną lekkość, a wszystkie bóle, jakie mnie dręczyły po wczorajszym meczu futbolowym, gdzieś zniknęły.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem. Nie może mieć.

- Nie może czy zdecydował, że nie chce?

Głos Oscara wydał mi się lekko przytłumiony i zorientowałem się, że osłonił słuchawkę dłonią. Mówił teraz szeptem.

- Rachel nie może zająć w ciążę. To był ich wielki problem. Bardzo chcieli mieć

dzieci.

- Nie mogli adoptować?

- A kto pozwoli eksprostytucie adoptować dziecko?

- To ona była prostytutką?

- Tak. Tak się poznali. Broussard do tamtej pory służył w Wydziale Zabójstw, tak jak i ja. Ale to mu złamało karierę. Wsadzili go do Narkotyków, dopóki go Doyle stamtąd nie wyciągnął. Ale on kocha Rachel. To dobra kobieta. Wspaniała.

- Tylko bezdzietna. Oscar odsłonił telefon.

- Ile razy mam ci to powtarzać, Kenzie? Podziękowałem mu, powiedziałem „do widzenia”, przerwałem połączenie i oddałem Ryersonowi telefon.

- Nie ma syna, tak? Zgadza się? - zapytał Ryerson.

- Ma syna - odparłem. - Zdecydowanie ma syna.

- To skąd go wziął?

Nagle, kiedy tak siedziałem w samochodzie Ryersona i gapilem się na sklep z antykami Kenneally'ego, wszystko zaczęło mi pasować.

- O ile się zakładasz - powiedziałem - że naturalni rodzice Nicholasa Broussarda, kimkolwiek są, nie byli w tym najlepsi?

- Niech to szlag - powiedziała Angie.

Pochylony nad kierownicą Ryerson patrzył przez szybę z tępym wyrazem na szczupłej twarzy.

- Niech to szlag.

Stanął mi przed oczami jasny chłopaczek, siedzący na biodrze Rachel Broussard i uwielbienie, z jakim kobieta patrzyła na jego buzię, którą obsypywała pieszczotami.

- Tak - powtórzyłem - niech to szlag.

32

Pod koniec kwietniowego dnia słońce chyli się ku zachodowi, ale przed zapadnięciem nocy na miasto spada przytłumiona, niespokojna szarość. Mija kolejny dzień, jak zawsze szybciej, niż się spodziewamy. W domach zapalają się żółte lub pomarańczowe prostokąty okien, a nadchodzący zmrok zapowiada chłód. Dzieci znikają z ulic - idą się myć przed kolacją i nastawiać telewizory. Supermarkety i sklepy alkoholowe świecą pustkami. Kwaciarnie i banki są zamknięte. Klaksony odzywają się z rzadka; szczękają opuszczane kraty sklepów. A kiedy spojrzysz w obwisłe, odrętwiałe twarze przechodniów i stojących pod światłami kierowców, zobaczysz w nich ciężar niespełnionych obietnic poranka. Ci ludzie mijają cię, mozolnie zmierzając do domu, cokolwiek to słowo dla nich znaczy.

Lionel i Ted Kenneally wrócili późno, około piątej i kiedy Lionel zobaczył, że się zbliżamy, coś w jego twarzy pękło. A kiedy Ryerson błysnął mu policyjną odznaką i powiedział: „Chcielibyśmy zadać panu parę pytań, panie McCready”, to pęknięcie w jego twarzy jeszcze się pogłębiło.

Kilkakrotnie skinął głową, bardziej do siebie niż do nas i powiedział:

- Tam kawałek dalej na tej ulicy jest bar. Może byśmy poszli do baru. Wołałbym nie rozmawiać u siebie w domu.

Edmund Fitzgerald to najmniejszy bar, jaki można sobie wyobrazić; mniejsze jest już tylko stoisko pucybuta. Kiedy weszliśmy, po lewej stronie otworzyła się przed nami niewielka przestrzeń z biegnącym wzdłuż jedynego okna kontuarem i miejscem

na mniej więcej cztery stoliki. Niestety, wstawiono tam szafę grającą, wobec czego zmieściły się tylko dwa, ale kiedy nasza czwórka weszła, oba były wolne. Przy samym barze mogło usiąść siedem osób, góra osiem, a pod ścianą naprzeciwko baru ustawiono jeszcze sześć stolików. Salka ciągnęła się także w głąb, gdzie dwóch mężczyzn grało w rzutki, ciskając nimi nad stołem bilardowym, który tam wciśnięto na siłę, skutkiem czego z trzech stron jego odległość od ścian była tak niewielka, że gracze musieli używać krótkich kijów. Albo ołówków.

Kiedy usiedliśmy przy jednym ze stolików, pośrodku lokalu, Lionel powiedział:

- Coś się pani stało w nogę, pani Gennaro?

- Wszystko będzie dobrze - odparła Angie i sięgnęła do torby po papierosy.

Lionel spojrzał na mnie, a kiedy odwróciłem wzrok, ciężar, który zdawał się przygniatać jego ramiona, wyraźnie się zwiększył.

Ryerson położył na stole otwarty notatnik i przygotował długopis.

- Jestem agent specjalny Neal Ryerson, panie McCready. Departament Sprawiedliwości.

- Tak, słucham.

Ryerson posłał mu szybkie spojrzenie.

- Urząd federalny. Oczekujemy od pana pewnych wyjaśnień. Zechce nam pan powiedzieć...

- Ale o czym? - Lionel obejrzał się przez ramię, a potem potoczył wzrokiem po barze.

- O twojej siostrzenicy - wyjaśniłem. - Wciskanie kitu się skończyło, Lionel.

Lionel zerknął w prawo, w stronę baru, jakby się stamtąd spodziewał pomocy.

- Panie McCready - zaczął Ryerson - możemy przez pół godziny bawić się w kotka i myszkę: pan to zrobił - nie, ja tego nie zrobiłem. Ale to będzie czysta strata czasu. Wiemy, że maczał pan palce w zniknięciu siostrzenicy i że pan współpracował z Remym Broussardem. Na którym zresztą spoczywa główny ciężar winy. A co do pana, ma pan szansę oczyścić wokół siebie atmosferę i przy okazji zapracować nawet na łagodniejsze traktowanie. - Ryerson bębnił długopisem po stole w takt tykania zegara.

- Ale jeśli będzie mnie pan próbował oszukiwać, wychodzę stąd i tę sprawę załatwimy w mniej sympatyczny sposób. A pan trafi za kratki na tak długo, że kiedy pan skończy odsiadkę, pańskie wnuki będą już miały prawo jazdy.

Podeszła kelnerka i przyjęła zamówienia - od nas na dwie coca-cole, od Ryersona na wodę mineralną i od Lionela na podwójną szkocką.

Czekaliśmy w milczeniu. Ryerson, z beznamiętnym spojrzeniem utkwionym w Lionelu, w dalszym ciągu stukał miarowo długopisem w brzeg stołu.

Lionel jak gdyby tego nie zauważał. Patrzył na leżącą przed nim podstawkę pod szklankę, ale wyraźnie jej nie widział. Patrzył znacznie głębiej i dalej niż stół czy bar, a na jego twarzy pojawiła się lśniąca warstwa potu. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że na końcu tej dalekiej wewnętrznej drogi zobaczył żalosny finał własnych wysiłków, własnego życia. Że zobaczył więzienie. Stanął mu przed oczami dostarczony do celi pozew rozwodowy i listy do syna odesłane nieotwarte. Widział mijające dekady i siebie sam na sam z własnym wstydem czy winą, czy choćby tylko popełnionym nieopatrznie zwykłym ludzkim błędem, który został obnażony i w światłach jupiterów rzucony opinii publicznej na pożarcie. Jego zdjęcia znajdują się w gazetach, nazwisko będzie kojarzone z porwaniem, a jego życie stanie się pożywką dla sensacyjnych programów telewizyjnych, brukowców i niewybrednych żartów, powtarzanych jeszcze długo po tym, jak komicy, którzy je opowiadali, odejdą w niepamięć.

Kelnerka przyniosła nam zamówione drinki i Lionel powiedział:

- Jedenaście lat temu byłem z przyjaciółmi w barze w śródmieściu. W pewnym momencie do lokalu wtargnęła grupa świętująca wieczór kawalerski. Wszyscy byli bardzo pijani. A jeden z nich wyraźnie szukał zaczepki. Wybór padł na mnie. Uderzyłem go. Raz. Ale on rozwalił sobie głowę o posadzkę. Problem polegał na tym, że nie uderzyłem go pięścią. Miałem w ręku kij bilardowy.

- Napad z bronią w ręku - podsumowała Angie.

Lionel skinął głową.

- W gruncie rzeczy było gorzej. Facet mnie popchnął, a ja powiedziałem - nie pamiętam, żebym to mówił, ale pewnie powiedziałem - „Odczep się, bo cię zabiję”.

- Usiłowanie zabójstwa - dodałem.

Lionel ponownie skinął głową.

- Była sprawa i było słowo moich przyjaciół przeciwko słowu jego przyjaciół. Wiedziałem, że pójdę siedzieć, bo ten facet, którego uderzyłem, był studentem i po tej historii powiedział, że nie może się uczyć, bo ma kłopoty z koncentracją. Dostał różne zaświadczenia lekarskie, stwierdzające, że doszło do uszkodzenia mózgu. Ze sposobu, w jaki sędzia na mnie patrzył, zorientowałem się, że jestem załatwiony. Ale facet, który był wtedy w barze i który nie miał nic wspólnego ani z nami, ani z nimi, zeznał, że było odwrotnie - że to tamten, którego ja uderzyłem, odgrażał się, że m n i e zabije i że to on rozpoczął bójkę i tak dalej. I to mnie uratowało, bo ten nieznajomy, ten

świadek, to był policjant.

- Broussard.

Lionel uśmiechnął się do mnie z goryczą i pociągnął whisky..

- Tak, Broussard. I wiecie co? On tam, w sądzie, skłamał. Bo mogłem nie pamiętać tego, co mówił do mnie ten facet, którego uderzyłem, ale jedno pamiętam na pewno: to ja uderzyłem pierwszy. Szczerze mówiąc, nie bardzo nawet wiem dlaczego. Po prostu mnie wkurzył. - Lionel wzruszył ramionami. - Wtedy byłem inny.

- Czyli Broussard złożył fałszywe zeznania, dzięki którym uniknąłeś kary, i zaciągnąłeś wobec niego dług wdzięczności?

Lionel uniósł szklanke whisky, ale rozmyślił się i postawił ją z powrotem na stole.

- Chyba tak. Nigdy o tym nie mówił i z upływem lat nawet się zaprzyjaźniliśmy. Nieraz się spotykaliśmy, a on od czasu do czasu dzwonił. Dopiero teraz, patrząc wstecz, widzę, że miał mnie bez przerwy na oku. Bo on już taki jest. Nie chciałbym, żebyście mnie źle zrozumieli. To dobry facet, ale on zawsze obserwuje ludzi, zawsze ich analizuje i patrzy, czy mu się kiedyś nie przydadzą.

- Wielu policjantów się w ten sposób zachowuje - powiedział Ryerson i napił się wody.

- A pan?

Ryerson zastanowił się. - Tak, ja chyba też. Lionel pociągnął whisky i wytarł serwetką usta.

- W lipcu moja siostra i Dottie zabrały Amandę na plażę. Był upał, bezchmurne niebo i Helene i Dottie spotkały się tam z jakimiś facetami, którzy chyba mieli ze sobą torbę trawki czy czegoś tam, wszystko jedno. - Odwrócił się, solidnie pociągnął szkockiej i kiedy przemówił ponownie, zarówno jego twarz, jak i głos były pełne udręki. - Amanda zasnęła na plaży i one... one ją tam po prostu zostawiły, bez opieki, na wiele godzin. I mała się po prostu spiekła, panie Kenzie, pani Gennaro. Miała głębokie oparzenia pleców i nóg, niewiele brakowało do trzeciego stopnia. Połowa buzi tak jej spuchła, że wyglądała, jakby ją pokąsały pszczoły. Ten pieprzony kurwiszon, moja siostra, dopuścił do tego, że jej córka tak się poparzyła. Przyprowadziły małą do domu i Helene do mnie dzwoni. Mówi: „Amanda to kawał cholery i nie można z nią wytrzymać”. Bo cały czas płakała i nie dawała jej spać. Poszedłem tam i patrzę, a moja siostrzenica, czteroletnia kruszyna, cała poparzona. Niesamowicie cierpi. Krzyczy z bólu. I wiecie, co moja siostra zrobiła?

Lionel ujął szklanke whisky, pochylił głowę i wziął kilka płytkich oddechów. Na

koniec uniósł głowę i powiedział:

- Na poparzone miejsca zrobiła jej okłady z piwa. Piwa. Żeby ją uspokoić. Nie z aloesu. Nie dała jej nawet lidokainy. A o tym, żeby ją zawieźć do szpitala, nawet nie pomyślała. Nie. Zrobiła okłady z piwa, wysłała ją do łóżka i nastawiła telewizor na cały regulator, żeby nie słyszeć płaczu. - Lionel uniósł pięść, jakby zamierzał grzmotnąć nią w stolik i rozwalić go na pół. - Tamtej nocy mało nie zabiłem siostry. Zamiast tego zabrałem Amandę na pogotowie. Kryłem Helene. Powiedziałem, że jest kompletnie wyczerpana, że obydwie zasnęły na plaży. Uprosiłem lekarkę, żeby nie dzwoniła do Towarzystwa Opieki nad Dzieckiem i nie zgłaszała tego jako zaniedbania. Sam nie wiem dlaczego, wiedziałem tylko, że zabiorą Amandę. Ja... ja... - Lionel przełknął. - No, w każdym razie kryłem moją siostrę, tak jak przez całe życie. Zabrałem wtedy małą do siebie i spała ze mną i z Beatrice. Lekarka dała jej coś na sen, ale ja i tak nie zmrużyłem oka. Trzymałem rękę nad jej plecami i czułem bijące od nich ciepło. Mogę to opisać tylko w jeden sposób: czułem się tak, jakbym trzymał rękę nad mięsem świeżo wyjętym z piekarnika. Patrzyłem na śpiącą Amandę i myślałem: Tak dalej być nie może. Trzeba z tym skończyć.

- Ale, Lionel - powiedziała Angie - co by się stało, gdybyś zgłosił sprawę Amandy do Towarzystwa Opieki nad Dzieckiem? Jestem pewna, że gdybyś to robił dostatecznie wiele razy, moglibyście się ubiegać z Beatrice o adopcję Amandy.

Lionel roześmiał się, a Ryerson wolno pokiwał głową.

- O co chodzi? - zapytała Angie.

Ryerson odciął koniec cygara.

- Pani Gennaro, jeżeli matka biologiczna nie jest lesbijką i to tylko w takich stanach jak Utah i Alabama, pozbawienie jej praw rodzicielskich jest prawie niemożliwe. - Zapalił cygaro i potrząsnął głową. - Mała poprawka: całkowicie niemożliwe.

- Jak to? Jeżeli matka konsekwentnie zaniedbuje dziecko? - zainteresowała się Angie.

Ryerson znów smutno potrząsnął głową.

- W tym roku w Waszyngtonie biologicznej matce przyznano pełne prawo do opieki nad dzieckiem, którego właściwie nie znała. Chłopiec mieszkał od urodzenia u rodziny zastępczej. Matka biologiczna jest przestępczynią, skazaną prawomocnym wyrokiem za zamordowanie innego swojego dziecka, które urodziła podczas zwolnienia warunkowego z więzienia. Dziecko dożyło „dojrzałego wieku” szczęściu

tygodni, ale płakało z głodu, więc matka uznała, że wszystko ma swoje granice i udusiła małą, wrzuciła ją do pojemnika na śmieci, a sama poszła na barbecue. Ta kobieta ma teraz dwójkę dzieci, z których jedno wychowywali rodzice ojca, a drugie było w rodzinie zastępczej. Każde z czwórki dzieci miało innego ojca, a matka, która za zamordowanie córki odsiedziała zaledwie dwa lata, teraz wychowuje - zapewne w odpowiedzialny sposób - dziecko odebrane kochającym przybranym rodzicom, ubiegającym się o możliwość adopcji. To jest - zakończył Ryerson - autentyczna historia. Możecie ją sprawdzić.

- To bzdura - zachnęła się Angie.

- Nie, to prawda - zapewnił ją Ryerson.

- Jak to możliwe...? - Angie opuściła ręce i zapatrzyła się w przestrzeń.

- To jest Ameryka - oświadczył Ryerson - gdzie każdy dorosły ma niezbywalne prawo do tego, by pożreć swoje małe.

Angie zgięła się wpół - wyglądała, jakby dostała cios najpierw w żołądek, a potem w twarz.

Lionel zagrzechał kostkami lodu w szklance.

- Agent Ryerson ma rację, pani Gennaro - powiedział. - Nie można zrobić dosłownie nic, jeżeli zły rodzic nie chce się zrzec praw do dziecka.

- Ale to jeszcze nie koniec, panie McCready. - Ryerson wycelował w niego cygareto.

- Gdzie jest pana siostrzenica?

Lionel przez chwilę wpatrywał się w popiół z jego cygara i na koniec potrząsnął głową.

Ryerson zapisał coś w notatniku, a następnie sięgnął do tyłu, wyjął kajdanki i rzucił je na stół.

Lionel odsunął się z krzesłem.

- Proszę się nie ruszać, panie McCready, bo następną rzeczą, jaką położę na stole, będzie broń.

Lionel uchwycił się poręczy fotela, ale nie ruszył się z miejsca.

- No więc byłeś wściekły na Helene za poparzenie Amandy - powiedziałem. - I co dalej?

Napotkałem spojrzenie Ryersona. Mrugnął do mnie i nieznacznie skinął głową. Najwyraźniej postawione wprost pytanie o miejsce pobytu Amandy nie spełniło zadania. Lionel mógł się całkowicie zamknąć, wziąć całą winę na siebie i nie posunęlibyśmy się ani o krok do przodu. Ale gdyby udało nam się znów skłonić go do

mówienia...

- Mój rejon UPS - rzekł w końcu - podlega komendzie Broussarda. Dlatego przez tyle lat bez trudu pozostawaliśmy w kontakcie. W każdym razie...

Tydzień po historii z Amandą Lionel i Broussard wybrali się na drinka. Broussard wysłuchał opowieści Lionela, który wyrażał niepokój o swoją siostrzenicę, nienawiść do siostry i przekonanie, że szanse na to, żeby mała wyrosła na cokolwiek innego niż tylko lustrzane odbicie matki, z każdym dniem maleją.

Za drinki płacił Broussard. Okazał się wyjątkowo hojny. Pod koniec spotkania, kiedy Lionel był już pijany, objął go ramieniem i powiedział:

- A jeśli znalazłoby się wyjście z tej sytuacji, to co?

- Nie ma wyjścia - odparł Lionel. - Sąd i...

- Pieprzyć sąd - odparł Broussard. - Pieprzyć wszystkie obawy. A jeśli jest sposób na zapewnienie Amandzie ciepłego domu i kochających rodziców?

- A gdzie jest haczyk?

- Haczyk jest w tym, że nikt, ale to absolutnie nikt nie może wiedzieć, co się stało z Amandą. Ani jej matka, ani twoja żona, ani twój syn. Nikt. Amanda znika i już.

Broussard strzelił palcami.

- Hokus pokus i znika. Jakby nigdy nie istniała.

Minęło kilka miesięcy, nim Lionel przekonał się do tego planu. W tym czasie dwukrotnie odwiedzał dom swojej siostry i za każdym razem zastawał drzwi niezamknięte i dziecko śpiące bez opieki, gdyż Helene była u Dottie. W sierpniu Helene przewróciła się koło rożna do barbecue na podwórku u Lionela i Beatrice. Przyjechała z Amandą samochodem przyjaciółki, ale była tak pijana, że kiedy bujała małą i Matta na huśtawkach, przypadkiem zepchnęła Amandę z ławeczki i sama upadła na córkę. Leżała, chichocząc, podczas gdy dziewczynka sama pozbierała się z ziemi, otrzepała kolana i obejrzała potłuczenia.

W ciągu lata skóra Amandy w miejscach wrażliwych nieustannie pokrywała się pęcherzami i rankami, ponieważ matka zapomniała zastosować przepisany przez lekarzkę środek.

A potem, we wrześniu, Helene zaczęła mówić o wyjeździe do innego stanu.

- Co takiego? - zdziwiłem się. - Nigdy o tym nie słyszałem.

Lionel wzruszył ramionami.

- Tak, jak teraz o tym myślę, to nie wykluczam, że był to jeden z jej idiotycznych pomysłów. Helene miała przyjaciółkę, która przeniosła się do Myrtle Beach w Karolinie Południowej, gdzie dostała pracę w sklepie z T-shirtami i naopowiadała Helene, że cały czas jest tam słońce, nie brakuje alkoholu i nie ma śniegu ani zimna. Po prostu siedzi się na plaży i od czasu do czasu handluje T-shirtami. Mniej więcej przez tydzień Helene nie mówiła o niczym innym. Na ogół puszczałem to mimo uszu. Zawsze twierdziła, że chce mieszkać gdzieś indziej i że na pewno kiedyś wygra na loterii. Ale tym razem, nie wiem, spanikowałem. Myślałem tylko o jednym: zabierze Amandę. Będzie ją zostawiała samą na plażach i w niezamkniętych mieszkaniach i zabraknie mnie i Beatrice, żeby w razie czego przejąć pałeczkę. Nie wytrzymałem. Zadzwoiłem do Broussarda. I poznałem ludzi, którzy byli gotowi zaopiekować się Amandą.

- I którzy się nazywają...? - Pióro Ryersona zawisło nad notatnikiem.

Lionel zignorował pytanie.

- Byli wspaniali. Idealni. Piękny dom. Ludzie kochający dzieci. Wychowali już jedną córkę, wspaniale. I teraz, kiedy się wyprowadziła z domu, poczuli pustkę. Jest im z Amandą cudownie - powiedział cicho.

- To znaczy, że się z nią widziałeś?

Skinął głową.

- Jest szczęśliwa. Teraz Amanda naprawdę się uśmiecha. - Głos mu się załamał i Lionel przełknął ślinę. - Ale ona nie wiedziała, że ją widzę. To była pierwsza zasada Broussarda: wymazać z jej pamięci całą przeszłość. Amanda ma cztery lata. Ona zapomni. To tylko kwestia czasu. Nie, tak naprawdę - dodał Lionel wolno - to przecież ona już skończyła pięć lat. Prawda?

Na jego twarzy widać było, jak bardzo przeżywa fakt, że mała obchodziła urodziny, a on nie mógł w tym uczestniczyć. Szybko potrząsnął głową.

- Zakradłem się i obserwowałem ją z ukrycia z jej nowymi rodzicami. Wygląda naprawdę wspaniale. Wygląda... - Lionel odchrząknął i odwrócił się. - Wygląda na kochaną.

- Jak to było tamtej nocy, kiedy Amanda zniknęła? - zapytał Ryerson.

- Wszedłem do domu od tyłu. I zabrałem ją. Powiedziałem małej, że to taka zabawa. A ona lubiła się bawić. Może dlatego, że jedyny pomysł Helene na zabawę to była wyprawa do baru, a tam - masz, kochanie, tu są automaty, pograj sobie. - Lionel

przez chwilę ssał kostkę lodu, a potem zaczął ją chrupać. - Broussard zaparkował na ulicy. A ja z Amandą czekałem w drzwiach prowadzących na ganek i mówiłem jej, żeby była bardzo, ale to bardzo cicho. Jediną sąsiadką, która mogła nas widzieć, była pani Driscoll z naprzeciwka. Siedziała na tarasie i miała widok na dom Helene. W pewnym momencie opuściła na chwilę taras i poszła do domu po kolejną filiżankę herbaty czy coś w tym rodzaju. I wtedy Broussard dał mi znak, że droga wolna, a ja wyniosłem Amandę do jego samochodu i odjechaliśmy.

- I nikt nic nie zauważył... - powiedziałem.

- Nikt z sąsiadów. Ale później się zorientowaliśmy, że widział nas Chris Mullen. Stał na ulicy i obserwował dom. Czekał na powrót Helene, żeby wyciągnąć od niej informację, gdzie ukryła ukradzione pieniądze. Mullen poznał Broussarda i od tej pory Ser Olamon zaczął Broussarda szantażować. Broussard miał też wykraść jakieś narkotyki z policyjnego sejfu z dowodami rzeczowymi i dać je wtedy w kamieniołomach Mullenowi.

- Wróćmy do tamtej nocy, kiedy zniknęła Amanda - zaproponowałem.

Lionel grubymi palcami wyjął ze szklanki drugą kostkę lodu i zaczął ją chrupać.

- Powiedziałem Amandzie, że mój przyjaciel zawiezie ją do bardzo miłych ludzi. I obiecałem, że za kilka godzin do niej przyjadę. Mała tylko skinęła głową. Była przyzwyczajona do tego, że Helene zostawiała ją w obcych domach. Wysiadłem kilka przecznic dalej i wróciłem do siebie. Było wpół do jedenastej. Moja siostra potrzebowała prawie dwunastu godzin, żeby zauważyć, że córka zniknęła. Czy to jeszcze mało?

Przez chwilę panowała taka cisza, że słyszałem stukot rzutek uderzających w korek w głębi baru.

- W odpowiednim momencie - rzekł Lionel - zamierzałem powiedzieć Beatrice, ona by to zrozumiała. Ale nie od razu. Może za parę lat. Nie wiem. Jeszcze tego do końca nie przemyślałem. Moja żona nienawidzi Helene i kocha Amandę, ale coś takiego... Beatrice wierzy w prawo i w te wszystkie zasady. Ona by się nigdy na coś takiego nie zgodziła. Ale miałem nadzieję, że jeśli upłynie kilka lat... - Lionel spojrzął w sufit i lekko potrząsnął głową. - Kiedy Beatrice postanowiła się z wami skontaktować, zadzwoniłem do Broussarda. Powiedział, żebym próbował jej to wyperswadować, ale żebym za bardzo nie nalegał. Niech to zrobi, jeśli jej zależy. Następnego dnia powiedział mi, że w razie czego ma coś na was dwoje. Coś, co miało związek z zamordowaniem sutenera.

Ryerson spojrział na mnie, uniósł brew i posłał mi chłodny, pełen zaciekawienia uśmiech.

Wzruszyłem ramionami, odwróciłem się i w tym momencie zauważyłem faceta w masce Popeye'a. Wszedł przez drzwi przeciwpożarowe na tyłach baru z automatycznym pistoletem kalibru 45 w wyciągniętej prawej ręce, wycelowanym na poziomie piersi.

Jego partner, który wymachiwał strzelbą, też miał plastikową halloweenową maskę. Kiedy wtargnął przez drzwi frontowe i krzyknął: „Ręce na stół! Wszyscy! Już!", ukazała się biała księżycowa twarz Kacpra Przyjaznego Ducha.

Zobaczyłem, że Popeye popycha przed sobą graczy w rzutki i odwróciłem głowę akurat w porę, żeby zauważyć, jak Kacper zamyka na zasuwę drzwi frontowe.

- Ty! - wrzasnął do mnie Popeye. - Głuchy jesteś? Pieprzone łapy na stół!

Położyłem ręce na stole. Barman powiedział:

- Niech to szlag!

Kacper pociągnął za sznurek i na okno opadła ciężka czarna zasłona.

Słyszałem koło siebie płytki oddech Lionela. Jego ręce, leżące płasko na stole, były bardzo spokojne. Ryerson zsunął dłoń pod stół, Angie zrobiła to samo.

Popeye walnął pięścią w plecy jednego z graczy w rzutki.

- Padnij! Na podłogę. Ręce za głowę. Już! Ruszać się!

Obaj mężczyźni padli na kolana i zaczęli zakładać ręce na karki. Popeye uniósł głowę. Był to koszmarny moment, pełen strasznych niewiadomych. Popeye mógł zrobić praktycznie wszystko. Mógł ich zastrzelić, mógł nas zastrzelić, mógł poderznąć im gardła. Dosłownie wszystko.

Kopnął starszego z dwóch mężczyzn w dół pleców.

- Nie na kolana, na ziemię. Już.

Mężczyźni padli na ziemię koło moich nóg.

Popeye bardzo wolno obrócił głowę i zatrzymał wzrok na naszym stoliku.

- Pieprzone łapy na stół - wyszeptał. - Albo kula w łeb.

Ryerson wyjął rękę spod stołu, obie puste dłonie uniósł i położył płasko na stole. Angie zrobiła to samo.

Kacper podszedł do baru naprzeciwko nas. I wycelował strzelbę w barmana.

Pośrodku baru, dokładnie naprzeciwko Kacpra, siedziały dwie kobiety w średnim wieku, sądząc po ubraniu, pracownice biurowe lub sekretarki. Kacper, wysuwając broń, przejechał lekko lufą po włosach jednej z nich. Widać było napięcie w

ramionach kobiety; szarpnęła głowę w lewo. Jej koleżanka jęknęła.

Pierwsza kobieta powiedziała:

- O Boże, nie.

- Spokojnie, drogie panie. Za minutę będzie po wszystkim. - Kacper wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki bombardiera zieloną torbę na śmieci i rzucił ją na ladę przed barmanem. - Napełnij ją. I nie zapomnij o pieniądzach z sejfu.

- Nie ma tam wiele - odparł barman.

- To dawaj tyle, ile jest - rozkazał Kacper.

Czuwający nad tłumem Popeye stał na rozstawionych, lekko ugiętych nogach, zataczając bronią łuk od lewej do prawej, od prawej do lewej i z powrotem. Dzielila go ode mnie odległość mniej więcej trzech i pół metra, tak że słyszałem zza maski jego spokojny, miarowy oddech.

Kacper stał w identycznej pozie, ze strzelbą wymierzoną w barmana i ze wzrokiem utkwionym w lustrze za barem.

To byli profesjonaliści. W każdym calu.

Poza Kacprem i Popeye'em w barze znajdowało się dwanaście osób: barman i kelnerka za barem, dwaj faceci na ziemi, Lionel, Angie, Ryerson i ja, dwie sekretarki i dwaj faceci przy końcu baru, najbliżej wejścia - sądząc z wyglądu, kierowcy ciężarówek. Jeden miał na sobie zieloną kurtkę Celtics, drugi - starą ocieplaną kurtkę drelichową. Obaj mieli po czterdzieści parę lat i byli przy kości. Na barze przed nimi, między dwiema szklaneczkami, stała butelka old thompsona.

- Nie spiesz się - powiedział Kacper do barmana, który ukląkł za barem, majstrując zapewne przy sejfie. - Spokojnie, tak jakby się nic nie wydarzyło, żebyś nie pomylił szyfru.

- Nie zróbcie nam krzywdy - błagał jeden z leżących na podłodze mężczyzn - mamy rodziny.

- Zamknij się - warknął Popeye.

- Nikomu nic się nie stanie - powiedział Kacper - jeśli będziecie cicho. Po prostu macie być cicho. I już.

- Wiecie, do kogo należy ten pieprzony bar? - powiedział facet w kurtce Celtics.

- Coś mówiłeś? - odezwał się Popeye.

- Chyba nie jesteś głuchy, słyszałeś, co powiedziałem. Wiecie, do kogo należy ten bar?

- Proszę, błagam - jęknęła jedna z sekretarek. - Bądźcie cicho.

Kacper odwrócił głowę.

- Bohater.

- Bohater - powtórzył Popeye i spojrzał na idiotę. Pozornie nie poruszając ustami,

Ryerson wyszeptał:

- Gdzie masz broń?

- Z tyłu. A ty?

- Na kolanach. - Przesunął dłoń o kilka centymetrów w stronę krawędzi stołu.

- Nie - szepnąłem, widząc, że głowa i broń Popeye'a zwracają się ku nam.

- Wy, faceci, już nie żyjecie - oświadczył kierowca ciężarówki.

- Dlaczego się odzywacie?! - Jedna z sekretarek, która cały czas wpatrywała się w bar, nie wytrzymała nerwowo.

- Dobre pytanie - powiedział Kacper.

- Nie żyjecie. Jasne? Pieprzeni gnoje. Pieprzone sukinsyny. Pieprzone...

Kacper postąpił cztery kroki i wymierzył kierowcy cios w sam środek twarzy.

Mężczyzna spadł ze stołka barowego do tyłu i tak mocno uderzył głową o podłogę, że było słychać chrzęst łamanej podstawy czaszki.

- Są jakieś pytania? - Kacper zwrócił się do przyjaciela mężczyzny.

- Nie - odparł zapytany i spojrzał na bar.

- Jeszcze ktoś? - Kacper popatrzył po obecnych.

Zza baru wyłonił się barman i położył na ladzie zieloną torbę. W lokalu było cicho jak w kościele.

- A wy co? - Popeye zrobił trzy kroki w kierunku naszego stolika.

Wystarczyła mi jedna chwila, żeby się zorientować, że mówi do nas i kolejna, żeby zdać sobie sprawę, bez żadnych wątpliwości, że wypadki potoczą się teraz bardzo szybko i przyjmą fatalny obrót.

Nikt z nas się nie ruszał.

- Co mówileś? - Popeye wycelował broń w głowę Lionela. Jego oczy przesunęły się niepewnie po spokojnej twarzy Ryersona, a następnie wróciły do Lionela.

- Kolejny bohater? - Kacper wziął z baru torbę i podszedł do naszego stolika z bronią wymierzoną w moją szyję.

- To on papie - powiedział Popeye. - To on tak pieprzy.

- Masz coś do powiedzenia? - Kacper skierował broń na Lionela. - Co? To gadaj. A ty - zwrócił się do Popeye'a - pilnuj tej trójki.

Czterdziestkapiątka Popeye'a zwróciła ku mnie swoje czarne oko.

Kacper zrobił kolejny krok w kierunku Lionela.

- Lubisz paplać, co?

- Dlaczego ich denerwujecie, oni mają broń - powiedziała jedna z sekretarek.

- Ciii - syknęła jej koleżanka.

Lionel spojrział na maskę - usta miał zaciśnięte, czubkami palców naciskał stół.

Kacper powiedział:

- No, śmiało, śmiało, gadaj.

- Nie muszę słuchać tych bzdur - rzekł Popeye. Kacper oparł lufę broni na nosie Lionela.

- Zamknij się! - wrzasnął.

Lionelowi drżały palce, mrugał oczami, które zalewał pot.

- On nie słucha - powiedział Popeye. - Woli wygadywać takie bzdury.

- Tak? Taka jest prawda? - dodał Kacper.

- Spokój wszyscy. - Był to głos barmana, który trzymał ręce w górze.

Lionel nie odezwał się słowem.

Ale wszyscy świadkowie, ogarnięci paniką i przekonani, że zginą, mieli zapamiętać całe wydarzenie tak, jak tego chcieli intruzi: że Lionel mówił. Że mówiliśmy my, siedzący przy stoliku. Że sprowokowaliśmy jakichś niebezpiecznych ludzi, którzy nas za to pozabijali.

Kacper zarepetował broń i rozległ się hałas przypominający wystrzał armatni.

- Chcesz być ważny, tak?

Lionel otworzył usta.

- Proszę...

- Zaczekaj - powiedziałem.

Strzelba zatoczyła łuk w moją stronę, ale nawet nie widziałem jej czarnych, bardzo czarnych oczu. Byłem pewien.

- Detektywie Remy Broussard! - wrzasnąłem na cały głos. - Czy wszyscy słyszeli to nazwisko? Remy Broussard! - Popatrzyłem na widoczne w masce intensywnie niebieskie oczy, w których dostrzegłem strach, panikę.

- Nie rób tego, Broussard - powiedziała Angie.

- Zamknij się, do jasnej cholery! - Tym razem odezwał się Popeye. Spokój wyraźnie go opuszczał; widać było napięte ścięgna przedramienia, kiedy próbował trzymać na muszce cały nasz stół.

- To już koniec, Broussard. Koniec. Wiemy, że to ty uprowadziłeś Amandę

McCready. - Odwróciłem się w stronę baru i powtórzyłem: - Czy wszyscy słyszeli to nazwisko: Amanda McCready?

Kiedy z powrotem odwróciłem głowę, poczułem zimny metal luf napierający na moje czoło, a na spuście zobaczyłem zagięty palec. Z tak bliskiej odległości palec przypominał owada albo czerwono-białego robaka. Obdarzonego własnym rozumem.

- Zamknij oczy - powiedział Kacper. - Zamknij je mocno.

- Panie Broussard - odezwał się Lionel. - Niech pan tego nie robi. Proszę.

- Pociągnij wreszcie za ten pieprzony spust! - zwrócił się do swojego kumpla Popeye. - Na co czekasz?!

- Broussard... - zaczęła Angie.

- Przestań powtarzać to pieprzone nazwisko! - Popeye kopnął krzesło na ścianę.

Miałem oczy szeroko otwarte, czułem napór metalu na czoło, czułem zapach smaru i starego prochu, widziałem palec drżący na spuście.

- To już koniec - powtórzyłem. Słowa, wydobywające się z mojego wysuszonego gardła, przypominały skrzeczenie. - Koniec.

Przez długi, bardzo długi czas nikt się nie odzywał. W tej trudnej chwili ciszy miałem wrażenie, że słyszę skrzypienie Ziemi obracającej się dokoła własnej osi.

Maska Kacpra przekrzywiła się, kiedy Broussard przechylił głowę i dostrzegłem w jego oczach to samo spojrzenie, które widziałem wczoraj podczas meczu futbolowego - twarde, roztańczone, płonące.

A potem zastąpił je wyraz rezygnacji i klęski. Lekki dreszcz przeszedł przez całe ciało Broussarda, kiedy zniżał broń i zdejmował palec ze spustu.

- Tak - powiedział cicho - koniec.

- Robisz ze mnie wała czy co? - wybuchnął jego partner. - Musimy to wykonać, człowieku! Mamy rozkazy. No, śmiało! Już!

Broussard potrząsnął głową, a księżycowa twarz i dziecięcy uśmiech Kacpra się zakłósały.

- Wykonaliśmy, co mieliśmy wykonać. Idziemy.

- Pieprzę takie wykonanie. Nie możesz załatwić tych skurwieli? Taki z ciebie pieprzony tchórz? To ja mogę!

Popeye uniósł ramię i wycelował broń dokładnie w środek twarzy Lionela. W tej samej chwili Ryerson opuścił rękę na kolana. Odgłos pierwszego strzału przytłumił blat stołu. Kula przeszła lewe udo Popeye'a.

Kiedy zatoczył się do tyłu, jego broń wypaliła i Lionel krzyknął, łapiąc się za głowę

i osuwając z krzesła na ziemię.

Tymczasem Ryerson wyciągnął broń spod stołu i dwukrotnie strzelił Popeye'owi w pierś.

Broussard pociągnął za spust, a ja wyraźnie pochwyciłem przerwę - ciszę trwającą zaledwie mikrosekundę - pomiędzy uderzeniem iglicy w spłonkę a piekielnym hukiem w moich uszach.

Lewe ramię Neala Ryersona zniknęło w błysku ognia. Krew i kości jak gdyby stopiły się w jedno, eksplodując i jednocześnie wyparowując wśród ogłuszającego huku. Krew rozbryzgnęła się po ścianie i Ryerson zsunął się z krzesła. Poprzez dym zobaczyłem unoszącą się w ręce Remy'ego Broussarda strzelbę i w tej samej chwili stół przewrócił się razem z Ryersonem na lewo. Broń wyleciała Nealowi z ręki i zanim spadła na podłogę, odbiła się od krzesła.

Angie wyjęła broń, ale widząc, że Broussard odwraca się w jej stronę, uchyliła się w lewo.

Wyrznąłem Broussarda głową w brzuch, objąłem go ramionami i ruszyłem w stronę baru, po czym grzmotnąłem jego kręgosłupem o poręcz tak mocno, że aż usłyszałem jego jęk. W odpowiedzi walnął mnie kolbą śrutówki w kark.

Ugięły się podę mną kolana i wypuściłem go z uścisku. Zaraz potem usłyszałem krzyk Angie: „Broussard!” i strzał.

Broussard cisnął w nią bronią w chwili, kiedy sięgałem po swój pistolet, trafił ją w pierś i przewrócił na podłogę.

Następnie - jak urodzony sportowiec - przesadził dwóch graczy w rzutki i pobiegł do drzwi.

Zamknąłem lewe oko, wycelowałem i kiedy Broussard znalazł się we frontowej części baru, strzeliłem dwukrotnie. Zanim zdążył skrócić za róg, otworzyć drzwi z zasuwą i wybiec w noc, zobaczyłem jeszcze, jak jego prawą nogą szarpnęło i jak ta noga poleciała mu w bok.

- Angie!

Odwróciłem się i zobaczyłem Angie siedzącą na podłodze wśród poprzewracanych mebli.

- Ze mną wszystko w porządku.

- Pogotowie! Wezwij pogotowie! - wrzasnął Ryerson.

Spojrzałem na Lionela - tarzał się po podłodze, jęcząc i trzymając się za głowę. Spomiędzy palców sączyła mu się krew.

Popatrzyłem na barmana.

- Pogotowie!

Złapał telefon i wybrał numer.

Ryerson, który prawie całkowicie stracił ramię, siedział oparty o ścianę i wstrząsany konwulsjami krzychał do sufitu.

- Jest w szoku - powiedziałem do Angie.

- Trafiłam go. - Podczołgała się do Ryersona. - Potrzebne mi są wszystkie ręczniki! Już! Natychmiast!

Jedna z sekretarek przeskoczyła przez bar.

- Beatrice - jęczał Lionel. - Beatrice.

Gumka przytrzymująca maskę pękła, kiedy Popeye padał na bar, trafiony w mostek kulami Ryersona. Patrzyłem na odsłoniętą twarz Johna Pasquale. Był martwy. Wczoraj podczas meczu futbolowego miał rację: szczęście zawsze kiedyś się kończy.

Napotkałem spojrzenie Angie, która właśnie złapała rzucony jej przez jedną z sekretarek ręcznik.

- Łap Broussarda, Patrick. Łap go.

Skinąłem głową. Jedna z sekretarek minęła mnie właśnie, biegnąc z ręcznikiem do Lionela. Padła koło niego na podłogę i przyłożyła mu ręcznik do głowy.

Sprawdziłem, czy mam w kieszeni zapasowy magazynek, i wyszedłem z baru.

33

Podążyłem śladem Broussarda. Najpierw przeciąłem Broadway, a potem ruszyłem C Street, gdzie trop kluczył, prowadząc do dzielnicy baz transportu i magazynów, ciągnącej się wzdłuż Drugiej Wschodniej. Zadanie nie było trudne. Broussard porzucił maskę Kacpra zaraz po opuszczeniu baru - patrzyłem oto na puste dziury oczu i bezzębny uśmiech. Krople krwi tak świeżej, że lśniła w świetle ulicznych latarni, znaczyły jego zygzakowatą drogę. Krew była coraz gęściejsza, a plamy coraz większe - im głębiej sięgały w mroczne rejony wybrukowanych kocimi łbami zajezdni, pustych nabrzeży przeładunkowych i małych, uczęszczanych przez kierowców ciężarówek barów z zasłonami zaciągniętymi na oknach i neonami, w których część segmentów się nie paliła. Ciężarówki, jadące do Buffalo i Trenton, kołysały się, podskakiwały i trzęsły na nierównym, popękany bruku. W świetle ich reflektorów dostrzegłem koniec śladu, miejsce, w którym Broussard zatrzymał się na dostatecznie długo, by sforsować drzwi. Krew utworzyła na ziemi kałużę i obryzgała drzwi. Nie sądziłem, że noga może tak krwawić, ale niewykluczone, że przestreliliem mu udo albo kula rozerwała tętnicę.

Spojrzałem na budynek. Miał sześć pięter i został zbudowany z czekoladowobrązowej cegły, jakiej używano na przełomie wieków. Chwasty sięgały parapetów parteru, a deski, jakimi zabito okna, były popękane i pokryte graffiti. Budynek sprawiał wrażenie wystarczająco obszernego, by mógł służyć za duży magazyn i miejsce produkcji i montażu maszyn.

Montaż - zdecydowałem, wchodząc. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, była taśma montażowa i zwisające z krokwi na wysokości sześciu metrów nad nią bloczki i łańcuchy. Samej taśmy, jak również znajdujących się kiedyś pod nią rolek nie było. Została tylko przytwierdzona do podłogi rama i dyndające na łańcuchach haki, które zdawały się przyzywać, niby kiwające na człowieka palce. Reszta podłogi była pusta - wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, zostało rozkradzione przez włóczęgów i dzieciaki albo wymontowane i sprzedane przez ostatnich właścicieli.

Na prawo żelazne schodki wiodły na górę. Zacząłem się po nich wolno wspinać, nie widząc w ciemności krwawego śladu i wypatrując dziur, wyżartych w stopniach przez rdzę. Przed każdym krokiem niepewnie wymacywałem poręcz w nadziei, że czeka mnie kontakt z metalem, a nie z jakimś wściekłym, głodnym szczurem.

Zanim wszedłem na piętro, moje oczy przywykły nieco do ciemności, ale nie zobaczyłem nic, oprócz pustego pomieszczenia fabrycznego i zarysu kilku przewróconych skrzynek. Przez potłuczone szybki, oprawione w ołowiane ramki, sączyło się przytłumione światło latarni ulicznych. Poszczególne segmenty schodów znajdowały się jeden nad drugim, na każdym piętrze w tym samym miejscu, tak że aby wejść na następną kondygnację, musiałem skrócić w lewo przy ścianie i cofnąć się przy niej jakieś cztery i pół metra. Spojrzałem w górę na masywne żelazne stopnie i zobaczyłem nad sobą prostokątny otwór.

Stojąc przez chwilę bez ruchu, słyszałem dochodzący z odległości kilku kondygnacji metaliczny jęk grubych stalowych drzwi kołyszących się na zawiasach i wałących w betonową ścianę.

Wchodząc po dwa stopnie naraz i potykając się od czasu do czasu, dotarłem na drugie piętro, gdzie skręciłem i dobiegłem do następnej sekcji schodów. Tym razem byłem szybszy - złapałem rytm i wyczuwałem w ciemności każdy stopień.

Kolejne piętra świeciły pustkami, a im wyżej, tym było jaśniej, bo luna światła portu i średnicy wpadała tu przez wysokie od podłogi do sufitu okna. Schody pozostawały jednak pogrążone w ciemności, jeśli nie liczyć prostokątnych otworów u góry i kiedy dotarłem do ostatniego, zalanego światłem księżycy i z widokiem na niebo, Broussard zawołał do mnie z dachu:

- Hej, Patrick, ja bym na twoim miejscu wyżej nie wchodził.

- A to dlaczego? - zawołałem.

Broussard zakasłał.

- Bo mam broń, wycelowaną w otwór. Wytknij głowę, to się przekonasz, czy nie

oberwiesz.

- O. - Oparłem się o poręcz, wdychając zapach kanału i świeże, chłodne nocne powietrze. - Co masz zamiar zrobić tam, na górze? Wezwać helikopter?

Broussard zachichotał.

- Wystarczy mi tamten jeden, na całe życie. Nie, pomyślałem, że posiedzę tu sobie jakiś czas i popatrzę na gwiazdy. Ale wiesz, co ci powiem: jesteś głównianym strzelcem.

Wyrzałem przez prostokąt księżycowego blasku. Po głosie Broussarda mogłem się zorientować, że prawie na pewno jest na lewo od otworu.

- Ale wystarczająco dobrym, żeby cię trafić.

- Nie ludź się, to był pieprzony rykoszet - odparł. - Do tej pory wyjmuję sobie z kostki odłamki płytek.

- Chcesz powiedzieć, że trafiłem w podłogę, a podłoga w ciebie?

- Właśnie to chciałem powiedzieć. Kto to był ten facet?

- Który?

- Ten, co przyszedł z wami do baru.

- Ten, którego postrzeliłeś?

- Tak, ten.

- Facet z Departamentu Sprawiedliwości.

- Pieprzysz. Wziąłem go za jakiegoś upiora. Był za spokojny. Władował Pasquale'owi trzy kule, jakby strzelał do tarczy ćwiczebnej. Jakby nic sobie z tego nie robił. Tylko go zobaczyłem przy tym stoliku, od razu wiedziałem, że będzie źle.

Broussard znów zakasłał, a ja nastawiłem uszu. Zamknąłem oczy i przez jakieś dwadzieścia sekund słuchałem, jak się zanosi kaszlem, a kiedy wreszcie skończył, nie miałem wątpliwości, że jest jakieś trzy metry na lewo od otworu.

- Remy?

- Aha.

- Idę na górę.

- Strzelę ci w łeb.

- Nie, nie strzelisz.

- Nie?

- Nie.

Pistolet Broussarda szczęknął w ciemnościach i kula trafiła w żelazną konstrukcję schodów, przylegającą do ściany. Metal błysnął, jakby ktoś potarł o niego zapalną, a ja

padłem płasko na schody. Kula przeleciała mi nad głową, odbiła się rykoszetem od innej metalowej powierzchni i z cichym sykiem utkwiała w ścianie na lewo ode mnie.

Przez chwilę leżałem nieruchomo, z sercem w gardle, niezbyt zadowolonym z tego nowego miejsca i walącym nieprzytomnie, jakby chciało się wyrwać.

- Patrick?

- Tak?

- Oberwaleś?

Odechnąłem się od stopni i ukląknęłam.

- Nie.

- Uprzedzałem cię, że będę strzelał.

- Dzięki za ostrzeżenie. Jesteś fantastyczny facet. Znowu nastąpił atak kaszlu, a po nim bulgot i splunięcie.

- Niedobrze to zabrzmiało, muszę ci powiedzieć.

Broussard roześmiał się chrapliwie.

- I nie lepiej wyglądało. To twoja partnerka, bracie, to ona jest strzelcem w rodzinie.

- Trafiła cię?

- Aha. To, co mi zrobiła, można nazwać błyskawiczną terapią odwykową od palenia.

Oparłem się plecami o barierkę, wycelowałem broń w dach i zacząłem powoli posuwać się w górę.

- Osobiście - zaczął Broussard - nie sądzę, żebym mógł ją zastrzelić. Ciebie, może. Ale ją? Nie wiem. Strzelanie do kobiet - tego by się nie chciało mieć w nekrologu. „Dwukrotnie dekorowany oficer policji bostońskiej, kochający mąż i ojciec, mistrz kręgli i... morderca kobiet”. Rozumiesz? To brzmi... to brzmi naprawdę niedobrze.

Przykucnąłem na piątym stopniu od góry i trzymając głowę poniżej otworu, kilkakrotnie odetchnąłem.

- Wiem, co myślisz: „Dobrze, Remy, ale Robertcie Trett strzeliłeś w tył głowy”. To prawda. Tylko że Roberta to nie była kobieta. Rozumiesz? Ona była... - Westchnął i zakasłał. - Nie, nie wiem, czym ona była. Ale określenie „kobieta” wydaje się w odniesieniu do niej zbyt wąskie.

Wyłoniłem się przez otwór, z wyciągniętą bronią, patrząc wzdłuż lufy na Broussarda.

Nawet nie spojrzał w moją stronę. Siedział oparty o przemysłowy kanał chłodzący,

z głową odchyłoną do tyłu. Przed nami roztaczał się widok na śródmieście - panorama żółci, bieli i błękitu na tle kobaltowego nieba.

- Remy.

Odwrócił głowę, wyciągnął rękę i wycelował we mnie swego glocka.

Trwaliśmy tak naprzeciwko siebie przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, jak się dalej potoczą wypadki - czy jedno złe spojrzenie, mimowolny ruch, przypływ adrenaliny i strachu nie spowodują, że palec na spuście drgnie i w otworze lufy pojawi się błysk. Broussard zamrugał kilka razy i skrzywił się z bólu, a na jego koszuli zaczęła rozkwitać czerwona róża, powoli, z nieuchronną gracją rozwijając płatki.

Pewną ręką trzymając broń i nie zdejmując palca ze spustu, Broussard zapytał:

- Nie masz uczucia, jakbyś się nagle znalazł w filmie Johna Woo?

- Nienawidzę filmów Johna Woo.

- Ja też - odparł Broussard. - A myślałem, że jestem jedyny. Lekko potrząsnąłem głową.

- Odgrzewany Peckinpah, ale bez jego emocjonalnych podtekstów.

- Co ty jesteś krytyk filmowy czy co? Uśmiechnąłem się powściągliwie.

- Lubię filmy z kobietami - powiedział.

- Co takiego?

- No właśnie. - Przewrócił oczami. - Wiem, że to brzmi głupio. Może dlatego, że jestem gliniarzem. W każdym razie kiedy oglądam filmy akcji, zawsze myślę: „Co za bzdury”. Ale daj mi na wideo *Pożegnanie, z Afryką* czy *Wszystko o Ewie...* to już się nie oderwę, to są moje filmy.

- Jesteś jedną wielką niespodzianką, Broussard.

- Tak, tak sędzę.

Stanie przez dłuższy czas z wycelowaną bronią było bardzo męczące. Gdybyśmy mieli strzelać, to już do tej pory byśmy z pewnością strzelali. Być może to jest właśnie to, co sobie myśli wielu facetów, zanim zostanie zastrzelonych. Zauważyłem zimową szarość rozlewającą się po ciele Broussarda i pot zaciemniający posrebrzane skronie. Wiedziałem, że wiele dłużej nie wytrzyma. Ta sytuacja była męcząca nawet dla mnie, a ja nie miałem kuli w piersiach ani odprysków płytek ceramicznych w kostce.

- Opuszczam broń - powiedziałem.

- Twój wybór.

Obserwowałem jego oczy, a Broussard być może zdawał sobie z tego sprawę, bo posłał mi mętne spojrzenie.

Wycelowalem broń w górę, zdjąłem palec ze spustu i pokonałem kilka ostatnich stopni. Pod nogami miałem drobny żwir, którym pokryty był dach. Spoglądałem na Broussarda, uniósłszy brew.

Uśmiechnął się, opuścił broń na kolana i oparł głowę o rurę chłodzącą.

- Zapłaciłeś Rayowi Likanskiemu, żeby wyciągnął z domu Helenę - powiedziałem.

- Zgadza się?

Wzruszył ramionami.

- Nie musiałem mu płacić. Obiecałem tylko, że mu odpuszczę haka, jakiego na niego miałem. I to wystarczyło.

Podszedłem bliżej i stanąłem naprzeciwko niego. Z tego miejsca wyraźnie widziałem na piersi Broussarda ciemną plamę, różę, z której wyrastały czerwone płatki, dokładnie na prawo od samego środka, gdzie dalej, wolno, ale systematycznie przybywało czerwieni.

- Płuco? - spytałem.

- Musiała je drasnąć. - Skinął głową. - Pieprzony Mullen. Gdyby go tamtej nocy nie było, wszystko poszłoby gładko. Ten kretyn Likanski nie powiedział, że obrobił Olamona. To by zmieniło sytuację, jestem pewien. Możesz mi wierzyć. - Przesunął się nieznacznie i jęknął z bólu. - Na miłość boską, przez to musiałem się podlizywać takiemu kundlowi jak Ser. I chociaż go robiłem w konia, to jednak w sumie było to bardzo upokarzające.

- Gdzie jest Likanski? - zapytałem. Broussard wyciągnął szyję.

- Obejrzyj się przez ramię i popatrz trochę w prawo w dół. Odwróciłem się i zobaczyłem kanał Fort Point. Odgałęział się od białej, pokrytej pyłem linii brzegowej, tocząc swe wody pod mostami i ulicami Summer i Congress i ciągnąc się ku horyzontowi, przystaniom i ciemnogramatowemu obszarowi portu bostońskiego.

- Ray śpi wśród rybek? - spytałem. Broussard uśmiechnął się leniwie.

- Obawiam się, że tak.

- Od jak dawna?

- Znalazłem go tamtego wieczoru w pałdzierniku, kiedy wy dwoje zaczęliście się zajmować tą sprawą. Pakował się. Zacząłem go pytać o numer, który wyciął Serowi. Muszę mu oddać sprawiedliwość: nigdy nie zdradził miejsca, w którym schował pieniądze. Nie przypuszczałem, że okaże się taki twardy, ale myślę, że dwieście tysięcy dolarów dodaje niektórym odwagi. W każdym razie zamierzał wyjechać. A ja tego nie chciałem. I doszło do przepychanki.

Broussard zakaszał gwałtownie, nachylił się, przycisnął ręką ranę na piersi i mocno uchwycił leżącą na kolanach broń.

- Trzeba cię jakoś zdjąć z tego dachu.

Spojrzał na mnie i wytarł usta wierzchem dłoni, w której trzymał broń.

- Nie sądzę, żebym mógł jeszcze dokądkolwiek stąd iść.

- Daj spokój. Nie ma sensu umierać.

Obdarzył mnie jednym z tych swoich urokliwych chłopięcych uśmiechów.

- To śmieszne, że właśnie teraz się z tobą o to spieram. Masz może telefon komórkowy, żeby wezwać pogotowie?

- Nie.

Położył broń na kolanach i wsadził rękę do kieszeni skórzanej kurtki, skąd wyjął wąską nokię.

- Ja mam - powiedział, odwrócił się i cisnął komórkę z dachu.

Usłyszałem, jak się rozbija o chodnik sześć pięter niżej.

- Nie przejmuj się. - Zachichotał. - Za dużo miał w sobie sukinsyn dowodów.

Westchnąłem i usiadłem twarzą do niego na małym krytym papą stopniu na brzegu dachu.

- Zdecydowałeś się umrzeć na tym dachu, tak?

- Zdecydowałem się nie iść do pudła. Proces? - Potrząsnął głową. - To nie dla mnie, bracie.

- Wobec tego powiedz mi, Remy, u kogo jest mała. Tylko szczerze, już.

Oczy Broussarda rozszerzyły się.

- Żebyś mógł ją stamtąd zabrać, tak? I zwrócić tej pieprzonej dziwce, którą społeczeństwo nazywa jej matką. Pocałuj mnie w dupę, bracie. Amandy nie ma, zniknęła i niech tak zostanie. Rozumiesz? Jest szczęśliwa i niech tak zostanie. Jest nakarmiona, czysta i zadbana. I niech tak zostanie. Wygląda na to, że będzie miała w życiu parę szczęśliwych chwil i że dostała wreszcie jakąś szansę. Ty chyba upadłeś na głowę, Kenzie, jeśli sądzisz, że ci powiem, gdzie ona jest.

- Ale przecież ci ludzie ją porwali.

- O, nie. To błąd, porwałem ją ja. Oni tylko małą przygarnęli. - Broussard kilka razy zamrugnął, próbując pozbyć się potu, który mimo zimnej nocy zalewał mu oczy i głęboko wciągnął powietrze, czemu towarzyszył kolejny bulgot. - Rano byłeś w moim domu. Mówiła mi żona.

Skinąłem głową.

- To ona dzwoniła do Lionela w sprawie okupu, prawda?

Wzruszył ramionami i spojrział na horyzont.

- Ty w moim domu - powiedział. - To mnie dopiero wkurzyło. - Na chwilę zamknął oczy. - Widziałeś mojego syna?

- On nie jest twoim synem. Broussard zamrugął.

- Widziałeś mojego syna?

Spojrzałem w gwiazdy - rzadkość w tych okolicach - tak czyste i wyraźne tej chłodnej nocy.

- Widziałem twojego syna - powiedziałem.

- Wspaniały dzieciak. Wiesz, gdzie go znalazłem? Potrząsnąłem głową.

- Rozmawiałem z tym kapusiem z Someralle. Byłem sam. I nagle słyszę płacz dziecka. Ale taki płacz, jakby maleństwo pogryzły psy. A ten kapuś i inni ludzie kręcący się po korytarzu w ogóle tego nie słyszeli. Po prostu nie słyszeli. Bo oni to mieli na co dzień. Więc powiedziałem facetowi, że dosyć tego i poszedłem za płaczem dziecka. Kopniakiem wywalilem drzwi tej śmierdzącej gównem rudery i znalazłem małego. Patrzę, a mój syn - bo to jest mój syn, Kenzie, jeśli uważasz, że nie, to pies cię jebał - leży głodny w łóżeczku. Sześciomiesięczne niemowlę, kompletnie zagłodzone. Tak, że widać mu żebra. I skute kajdankami. A pieluchę tak miał przemoczoną, że przeciekała na szwach i był... był dosłownie przyklejony do materaca, masz pojęcie, Kenzie?!

Oczy mało nie wyszły Broussardowi z orbit i cały jakby się zaparł w sobie. Zakasłał, splunął krwią na koszulę, wytarł to ręką i umazał sobie brodę.

- Niemowlę - powiedział w końcu, a jego głos przypominał szept - przyklejone do materaca odleżynami i własnymi odchodami. Zostawione bez opieki na trzy dni. Mogło się zapłakać na śmierć. I nikogo to nic nie obchodziło. - Wyciągnął zakrwawioną lewą rękę, która opadła na żwir. I nikogo to nic nie obchodziło - powtórzył cicho.

Położyłem sobie broń na kolanach i spojrzełem na panoramę miasta. Może Broussard miał rację. Może całego miasta nic to nie obchodzi. Całego stanu. A może nawet całego kraju.

- Więc zabrałem go do domu. Znałem facetów, którzy w razie potrzeby potrafili sfabrykować tożsamość. Zapłaciłem jednemu z nich. Mój syn ma akt urodzenia z moim nazwiskiem. Dokument stwierdzający podwiązanie jajowodów mojej żonie został zniszczony i wystawiony nowy, zaświadczający, że wyraziła zgodę na zabieg po

urodzeniu naszego syna, Nicholasa. A mnie zostało jeszcze tylko odsłużyć te kilka miesięcy i przejść na emeryturę. I wtedy wyjechalibyśmy z tego stanu, a ja bym sobie znalazł posadę doradcy ubezpieczeniowego i śpiewająco wychował syna. I byłbym bardzo, bardzo szczęśliwy.

Zwiesiłem głowę i przez chwilę patrzyłem na swoje buty.

- Ona nigdy nawet nie zgłosiła zaginięcia - powiedział Broussard.

- Kto?

- Ta dziwka, która urodziła mojego syna. Nigdy go nawet nie szukała. Wiem, kto to jest i przez jakiś czas nawet myślałem o tym, żeby jej łeb rozwalić. Ale się rozmyśliłem. Ona przecież nigdy nie szukała swojego dziecka.

Podniosłem głowę i spojrzałem mu w twarz. Była w niej duma i gniew i głęboki smutek, zrodzony z tego, co dane mu było zobaczyć i przeżyć.

- Muszę mieć Amandę - powiedziałem.

- Po co?

- Bo na tym polega moja praca, Remy. Po to mnie zatrudniono.

- A mnie zatrudniono, żebym chronił i służył, ty durniu. Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że przysiągłem. Że będę chronił i służył. I to robiłem. Uchroniłem kilkoro dzieci. Służyłem im. Zapewniłem im dobre domy.

- Ile? - zapytałem. - Ile było tych dzieci?

Pogroził mi zakrwawionym palcem.

- O, co to, to nie.

Nagle głowa poleciała mu do tyłu, a całe ciało zaparło się o rurę i zesztyniało. Lewą piętą kilka razy kopnął w żwir, a jego usta rozwarły się w bezgłośnym krzyku.

Padłem koło niego na kolana, ale poza bezsilnym patrzeniem nie mogłem nic zrobić.

Po chwili ciało Broussarda się rozluźniło, powieki opadły, a ja słyszałem, jak powietrze wchodzi do jego organizmu i z niego wychodzi.

- Remy.

Otworzył z trudem jedno oko.

- Jeszcze jestem - wyrzucił i pokazał na mnie palcem. - Masz szczęście, Kenzie. Kawał pieprzonego szczęściarza z ciebie.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się.

- Nie słyszałeś?

- O czym?

- W ubiegłym tygodniu zmarł Eugene Torrell.

- A kto to jest...? - Odchyliłem się od niego, a on, widząc, że skojarzyłem, o kogo chodzi, uśmiechnął się szeroko. Eugene, chłopak, który był świadkiem tego, jak zabijaliśmy Mariona Socie.

- Zakłuli go nożem w Brockton w bijatyce o dziewczynę. - Broussard znów zamknął oczy, a jego uśmiech złagodniał, jak gdyby przesuwał się na jedną stronę twarzy. - Jesteś cholernym szczęściarzem. W tej chwili nie ma już na ciebie żadnego haka, poza bezwartościowym zeznaniem martwego nieudacznika.

- Remy.

Zatrzepotał powiekami i broń wypadła mu z ręki. Schylił ku niej głowę, ale jego ręka pozostała na kolanach.

- No, bracie. Zrób jeszcze przed śmiercią coś dobrego. Masz na rękach dużo krwi.

- Wiem - wybełkotał. - Kimmie i David. Nawet mnie sobie z nimi nie kojarzyłeś.

- Owszem, chodziło mi to po głowie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny - odparłem. - Ty z Poole'em.

Słabo potrząsnął opartą o rurę głową.

- Nie z Poole'em, z Pasquale'em. Poole nigdy nie strzelał. Sam wyznaczył taką granicę. Nie obrażaj jego pamięci.

- Ale Pasquale'a nie było tamtej nocy w kamieniołomach.

- Był niedaleko. Jak myślisz, kto zdzielił Rogowskiego w głowę w Cunningham Park?

- Ale przecież nie zdążyłby dotrzeć w drugi koniec kamieniołomu i zabić Mullen'a i Gutierrez'a. Broussard wzruszył ramionami.

- A propos, dlaczego Pasquale nie zabił wtedy Bubby?

Zmarszczył czoło.

- Człowieku, myśmy nigdy nie zabijali ludzi, którzy nie stanowili dla nas zagrożenia. A Rogowski ni cholery nie wiedział, dlatego pozwoliliśmy mu żyć. Tobie też. Myślisz, że gdybym chciał, to nie mógłbym cię wtedy załatwić z drugiego końca kamieniołomu? Jeśli tak myślisz, to się mylisz. Mullen i Gutierrez stanowili bezpośrednie zagrożenie. Tak samo jak Mały David, Likanski i niestety, Kimmie.

- Nie zapominajmy o Lionelu.

Mars na czole Broussarda pogłębił się.

- Nigdy nie miałem zamiaru zabijać Lionela. Uważałem, że to była kiepska gra.

Ktoś się przestraszył.

- Kto?

Roześmiał się krótko, szorstko. Na jego ustach pojawiła się krwawa piana i Broussard zacisnął z bólu oczy.

- Pamiętaj: Poole nie był strzelcem. Nie odbierajmy godności jego śmierci.

Mógł mnie oszukiwać, ale nie sądzę, żeby miał w tym jakiś cel. Jeżeli jednak to nie Poole zabił Pharaoha Gutierrez i Chrisa Mullena, to musiałem kilka spraw przemyśleć od nowa.

- A lalka? - Popukałem go w rękę i Broussard otworzył jedno oko. - A kawałek koszulki Amandy, zaczepiony o ścianę kamieniołomu?

- Ja. - Obliznął wargi i zamknął oko. - Ja, ja, ja. Wszystko ja.

- Nie jesteś taki dobry. Do diabła, nie jesteś taki pomysłowy. Potrząsnął głową.

- Poważnie?

- Poważnie.

Gwałtownie otworzył oczy - były dziwnie bystre, przytomne.

- Przesuń się w lewo, Kenzie. Chcę zobaczyć miasto.

Przesunąłem się, a on wpatrzony w linię horyzontu uśmiechał się do migotliwych świateł na placach, do czerwonego pulsu sygnałów pogodowych, do nadajników radiowych.

- On jest taki ładny - powiedział. - Wiesz co?

- Co?

- Kocham dzieci. - Powiedział to tak prosto, tak łagodnie. Wysunął prawą rękę i ścisnął moją dłoń. Patrzyliśmy przez chwilę razem przez wodę w samo serce miasta z jego migotaniem, z ciemną aksamitną obietnicą, jaką kryły w sobie światła, z zapowiedzią wspaniałych, sytych, wygodnych egzystencji, chronionych szkłem i przywilejami, murem z czerwonej cegły, żelazem i stalą, krętymi schodami i skąpanym w promieniach księżyca widokiem wody, zawsze wody, opływającej wyspy i półwyspy tworzące naszą metropolię i oddzielającej ją od brzydoty i bólu.

- Jeju - wyszeptał Remy Broussard i jego dłoń zsunęła się z mojej.

34

- ...i w tym momencie mężczyzna, zidentyfikowany później jako detektyw Pasquale, odpowiedział: „Musimy to wykonać, człowieku! Mamy rozkazy. No, śmiało! Już!”. - Zastępca prokuratora okręgowego Lyn Campbell zdjęła okulary i ścisnęła w palcach skórę między brwiami. - Czy tak to brzmiało, panie Kenzie?

- Tak jest, pani prokurator.

- Wystarczy w zupełności „pani Campbell”.

- Tak jest, pani Campbell.

Z powrotem wsunęła okulary na nos i spojrzała na mnie przez cienkie owale szkła.

- I jak pan to zrozumiał? Dokładnie, proszę.

- Zrozumiałem to w ten sposób, że ktoś, poza detektywem Pasquale'em i oficerem Broussardem, wydał rozkaz zamordowania Lionela McCready'ego, a być może i nas wszystkich w tym barze.

Zaczęła kartkować swoje notatki, które - w ciągu sześciu godzin, jakie spędziłem w pokoju przesłuchań 6A szóstego komisariatu policji bostońskiej - zajęły jej połowę bloku. Odgłos przewracania kartek, które pod wpływem jej nerwowego pisania ostrym długopisem stały się kruche i zaczęły się zwijać do środka, przypominał mi szelest suchych liści późną jesienią.

Poza mną i zastępcą prokuratora okręgowego Lyn Campbell w pokoju znajdowało się jeszcze dwoje detektywów z Wydziału Zabójstw, Janet Harris i Joseph Centauro, którzy najwyraźniej za mną nie przepadali, a także mój adwokat, Cheswick Hartman.

Cheswick patrzył przez chwilę, jak Lyn Campbell przerzuca kartki notatnika.

- Pani Campbell.

- Mhm?

- Rozumiem, że mamy do czynienia ze sprawą bardzo poważną, która odbije się szerokim echem w mediach. Zdając sobie z tego sprawę, mój klient i ja staraliśmy się okazać daleko idącą współpracę. Ale zgodzi się pani, że noc była długa i ciężka?

Lyn Campbell przewróciła kolejną szeleszczącą kartkę.

- Władze stanowe nie są zainteresowane brakiem snu pana klienta, panie Hartman.

- Ale to jest problem władz stanowych, bo ja jestem tym zainteresowany.

Kobieta opuściła rękę na notatki i uniosła głowę.

- Co w tej sytuacji, według pana, powinnam zrobić, panie Hartman?

- Według mnie powinna pani iść do sąsiedniego pokoju i porozmawiać z prokuratorem okręgowym Prescottem. I powiedzieć mu, że to, co stało się w Edmundzie Fitzgeraldzie, jest oczywiste i że mój klient zachował się tak, jakby się na jego miejscu zachował każdy obdarzony zdrowym rozsądkiem człowiek. Proszę mu też powiedzieć, że Patrick Kenzie nie jest podejrzanym ani w sprawie śmierci detektywa Pasquale'a, ani oficera Broussarda i że czas go zwolnić. Chciałbym też zwrócić pani uwagę, że nasza współpraca była do tej pory całkowita i że będzie taka nadal, jeśli okaże nam pani choćby odrobinę zwykłej uprzejmości.

- Facet zastrzelił policjanta - powiedział detektyw Centauro. - I my go mamy wypuścić, panie mecenasie? Nie sądzę.

Cheswick skrzyżował ręce na stole i całkowicie ignorując Centauro, uśmiechnął się do prokurator Campbell.

- Czekamy, pani Campbell.

Przewróciła jeszcze kilka kartek w nadziei, że znajdzie coś, na podstawie czego będzie mnie mogła zatrzymać.

Cheswick spędził w środku jeszcze kolejne pięć minut, sprawdzając, co z Angie, podczas gdy ja czekałem na frontowych stopniach, stając się celem ponurych spojrzeń wychodzących i wchodzących policjantów, które mówiły mi wyraźnie, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym przez jakiś czas nie dawał powodu do zatrzymania za przekroczenie prędkości. A może nawet do końca życia.

Kiedy Cheswick do mnie dołączył, spytałem:

- Co się dzieje?

Wzruszył ramionami.

- Na razie Angie nigdzie nie idzie.

- Dlaczego?

Spojrzał na mnie tak, jakby uznał, że potrzebuję silnej dawki leku uspokajającego.

- Ona zabiła policjanta, Patrick. Czy to było w obronie własnej, czy nie - zabiła policjanta.

- Dobrze, ale czy nie powinieneś...

Przerwał mi machnięciem ręki.

- Mam nadzieję, że wiesz, kto jest najlepszym karnikiem w tym mieście.

- Ty.

Potrząsnął głową.

- Moja młodsza współpracownica, Floris Mansfield. I właśnie ona jest tam z Angie. Tak że uspokój się, Patrick. Floris da sobie radę. Rozumiesz? Wszystko będzie z Angie w porządku. Ale na razie ma przed sobą jeszcze wiele godzin. Jeśli będziemy zbyt mocno naciskać, to prokurator okręgowy powie: „Ja to pieprzę” i zepchnie sprawę na wielką ławę przysięgłych po to tylko, żeby pokazać glinom, że jest po ich stronie. Ale jeśli będziemy współpracowali i do tego zachowywali się grzecznie, to wszyscy się powoli uspokoją, zmęczą i dojdą do wniosku, że im prędzej zakończą sprawę, tym lepiej.

O czwartej nad ranem ruszyliśmy West Broadway. Kwietniowy nocny wiatr wtykał nam za kołnierze lodowate paluchy.

- Gdzie masz samochód? - zapytał Cheswick.

- Na G Street. Skinął głową.

- Nie jedź do domu. Tam już czeka na ciebie cała prasa, a ja bym nie chciał, żebyś z nimi rozmawiał.

- A dlaczego nie ma ich tutaj? - Obejrzałem się na budynek komisariatu.

- Celowa dezinformacja. Dyżurny sierżant specjalnie spowodował przeciek, zgodnie z którym trzymają was w centrali. Fortel będzie działał do wschodu słońca, a potem się zacznie cyrk.

- To co mam ze sobą zrobić?

- Dobrze pytanie. Ty i Angie umyślnie czy nieumyślnie daliście policji bostońskiej prztyczka w nos najmocniejszego od czasu Charlesa Stuarta i Williego Bennetta. Ja bym się na twoim miejscu wyniósł z tego stanu.

- Ale teraz, Cheswick, co mam ze sobą zrobić teraz.

Wzruszył ramionami i nacisnął małego pilota, którego miał przy kluczykach. Lexus piknął raz i zamek centralny ustąpił.

- Mam to gdzieś - powiedziałem. - Jadę do Devina. Odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

- Amronklina? Czyś ty zwariował? Jedziesz do domu gliniarza?

- Do jaskini lwa. - Skinąłem głową.

O czwartej nad ranem większość osób śpi. Ale nie Devin. Devin rzadko kiedy sypia dłużej niż trzy, cztery godziny na dobę i to zwykle późnym rankiem. W pozostałym czasie albo pracuje, albo pije.

Kiedy otworzył mi drzwi swojego mieszkania w Lower Mills, po intensywnym zapachu bourbona, jaki stamtąd buchnął, zorientowałem się, że nie pracuje.

- Pan Popularny - powiedział i odwrócił się do mnie tyłem.

Poszedłem za nim do living roomu, gdzie na małym stoliku zobaczyłem otwartą książkę z krzyżówkami, leżącą między butelką jacka danielsa, do połowy opróżnioną szklanką i popielniczką. Telewizor był nastawiony, ale cicho i z głośników sączyła się piosenka *The Good Life* w wykonaniu Bobby'ego Darina.

Devin miał na sobie spodnie i bluzę dresową Akademii Policyjnej, a na wierzchu flanelowy szlafrok. Siadając na kanapie, ściągnął jego poły, uniósł szklankę, napił się i spojrzał na mnie oczami, które mimo że były mętne, to jednak wydawały się twarde jak on sam.

- Weź sobie z kuchni szklankę.

- Nie mam ochoty pić.

- Piję sam tylko wtedy, kiedy j e s t e m sam. Rozumiesz, Patrick?

Przyniosłem szklankę i gospodarz nalał mi więcej niż szczerze, po czym uniósł swojego drinka.

- Za zabijanie policjantów - powiedział i wypił.

- Nie zabiłem policjanta.

- Twoja partnerka zabiła.

- Jeżeli masz zamiar mnie w ten sposób traktować, to wychodzę.

Pokazał gestem w stronę korytarza.

- Drzwi są otwarte.

Dosłownie cisnąłem szklankę na stół, wychlapując część whisky, zerwałem się z krzesła i ruszyłem do drzwi.

- Patrick.

Stojąc już z ręką na klamce, odwróciłem się do niego.

Żaden z nas nie odezwał się słowem; słychać było tylko aksamitny głos Bobby'ego Darina. Stałem w drzwiach, a między nami zawisło w powietrzu wszystko to, co nie zostało wypowiedziane w trakcie trwania naszej przyjaźni, podczas gdy Darin smutno opiewał to, co nieosiągalne, przepaść pomiędzy tym, czego pragniemy, a tym, co dostajemy.

- Wracaj, Patrick - powiedział Devin.

- Po co?

Jego wzrok padł na stół. Wyjął z broszury z krzyżówkami długopis, zamknął ją i postawił na niej szklankę. Spojrzał przez okno na zaciągnięte szarością świtu niebo.

Wzruszył ramionami.

- Poza policjantami i moimi siostrami jedyni moi przyjaciele to ty i Angie.

Podszedłem do krzesła i wytarłem rękawem rozlany alkohol.

- To jeszcze nie koniec, Devin - powiedziałem.

Skinął głową.

- Ktoś polecił Broussardowi i Pasquale'owi dokonanie tego zamachu.

Nalał sobie jeszcze jacka.

- Wiesz kto, tak?

Odchyliłem się z krzesłem i upiłem symboliczny łyk bourbona, ponieważ mocne alkohole nigdy nie były moimi ulubionymi używkami.

- Broussard powiedział, że Poole nigdy nie strzelał. Nigdy. A ja zawsze uważałem, że to właśnie Poole był tym facetem, który wziął forszę w kamieniołomie, zastrzelił Mullena i Pharaoha i przekazał komuś pieniądze. Ale nigdy nie doszedłem do tego, kto mógł być tym ktosiem.

- Jakie pieniądze? O czym ty mówisz, do diabła?

Następne pół godziny poświęciłem na zrekapitulowanie całej sprawy.

Kiedy skończyłem, Devin zapalił papierosa i powiedział:

- Broussard uprowadził dziecko; Mullen go widział. Olamon zaczyna go szantażować, żeby odzyskać dwieście tysięcy. Broussard gra na dwie strony. Każe zastrzelić Mullena i Gutierrezę i zlikwidować Sera w więzieniu. Tak?

- Zabicie Mullena i Gutierrezę było częścią umowy z Serem - odparłem. - Wszystko poza tym się zgadza.

- A ty myślałeś, że to strzelał Poole?

- Do czasu mojej rozmowy z Broussardem na dachu.

- No więc kto to był?

- Nie chodzi tylko o strzelanie. Ktoś musiał wziąć pieniądze od Poole'a i sprawić, że zniknęły na oczach stu pięćdziesięciu policjantów. Żaden gliniarz by tego nie zrobił. Musiałyby mieć rozkaz z góry. Kogoś nietykalnego.

Uniósł rękę.

- Chwileczkę. Jeśli myślisz...

- Kto pozwolił Broussardowi i Poole'owi złamać protokół i załatwić sprawę okupu bez wiedzy federalnych? Kto poświęcił życie, by nieść pomoc dzieciom, znajdować je, ratować? Kto był tamtej nocy na wzgórzach, penetrując miejsca znane tylko sobie?

- Kurwa - powiedział Devin, łyknął bourbona i skrzywił się. - Czyżby Jack Doyle? Uważasz, że za tym wszystkim stał Jack Doyle?

- Tak, Devin. Myślę, że za tym wszystkim stał Jack Doyle.

- Kurwa - powtórzył Devin. A potem powtórzył to jeszcze kilka razy. I wtedy zaległa cisza, kompletna cisza, zakłócona tylko odgłosem lodu topniejącego w szklankach.

35

- Zanim powstała Brygada do Walki z Przestępczością przeciwko Dzieciom - powiedział Oscar - Doyle służył w Przestępczości Zorganizowanej. Był szefem Broussarda i Pasquale'a. To on zatwierdzał ich przeniesienie do Narkotyków, on kilka lat później, kiedy sam awansował na porucznika, przyjmował ich do PPD. I to wreszcie on, po ślubie Broussarda z Rachel, który wywołał wściekłość kierownictwa, sprzeciwił się przeniesieniu go do Akademii Policyjnej na stanowisko instruktora. Bo chcieli Broussarda zniszczyć, pozbyć się go z policji. W tych służbach ożenił się z prostytutką to tak, jak przyznać się do tego, że jest się gejem.

Ukradłem Devinowi papierosa, zapaliłem i natychmiast cała krew z nóg odpłynęła mi do głowy.

Oscar, który pykał rozwalające się cygaro, odłożył je na popielniczkę i przewrócił jeszcze jedną kartkę w swoim notatniku.

- Wszystkie służbowe przeniesienia, rekomendacje i dekoracje zawsze podpisywał Doyle. Doyle był dla Broussarda rabinem. Dla Pasquale'a też.

Na zewnątrz zrobiło się już jasno, ale z living roomu Devina, gdzie przy szczelnie zaciągniętych żaluzjach dalej panowała osobliwa aura głębokiej nocy, nie było tego widać.

Devin wstał z kanapy, zdjął z odtwarzacza płytę Franka Sinatry i zamienił ją na składankę największych przebojów Deana Martina.

- Najgorsze w tym wszystkim jest nie to - powiedział Oscar - że mam pomagać w

niszczeniu policjanta, tylko że miałbym to robić, słuchając tego szajsu. - Spojrzał przez ramię na Devina, który właśnie odkładał na stelaż płytę Sinatry. - Człowieku, puść Luthera Allisona czy Taj Mahal, które dostałeś ode mnie w ubiegłym roku na Gwiazdkę, cokolwiek, tylko nie to. Cholera, już wolałbym słuchać tego gówna, którego słucha Kenzie, tych wszystkich anorektycznych białych niedoszłych samobójców. Przynajmniej mają jakiegoś ducha.

- Gdzie mieszka Doyle? - Devin podszedł do stolika i wziął kubek z herbatą, bo zaraz po telefonie do Oscara odstawił bourbona.

Oscar skrzywił się, słysząc, jak Dino śpiewa „Jesteś nikim, dopóki ktoś cię nie pokocha”.

- Doyle? Doyle ma dom w Neponset. Niecały kilometr stąd. Chociaż kiedyś byłem na uroczystym przyjęciu-niespodziance z okazji jego sześćdziesiątych urodzin w ich drugim domu, w miasteczku West Beckett. - Spojrzał na mnie. - Kenzie, ty naprawdę myślisz, że to on przetrzymuje tę małą?

Potrząsnąłem głową.

- Pewności nie mam. Ale jeżeli jest w to zamieszany, to podejrzewam, że może tam trzymać czyjegoś dzieciaka.

Angie została zwolniona o drugiej po południu. Czekałem na nią przy tylnym wyjściu, żeby uniknąć zgromadzonego przed frontem budynku tłumu dziennikarzy. Prosto stamtąd pojechaliśmy na Broadway i zatrzymaliśmy się za Devinem i Oscarem, którzy zgasili światła awaryjne i wszyscy razem ruszyliśmy w kierunku autostrady Massachusetts Pike.

- Ryerson się wykaraska - powiedziałem - chociaż jeszcze ciągle nie są pewni, czy mu uratują rękę.

Angie zapaliła papierosa i skinęła głową.

- A Lionel?

- Stracił prawe oko. Ciągle jeszcze jest na środkach uspokajających. A ten kierowca, którego Broussard tak uderzył, ma pęknięcie podstawy czaszki, ale z tego wyjdzie.

Otworzyła okno po swojej stronie.

- Lubiałam go - powiedziała cicho.

- Kogo?

- Broussarda. Naprawdę go lubiałam. Wiem, że przyszedł do baru, żeby zabić

Lionela, a może i nas też i że kiedy do niego strzelałam, skierował broń na mnie... - Angie uniosła ręce, ale po chwili opuściła je na kolana.

- Postąpiłaś słusznie.

Skinęła głową.

- Wiem. Wiem, że słusznie postąpiłam. - Spojrzała na drżący w jej palcach papieros. - Ale... ale ja po prostu żałuję, że sprawy się w ten sposób potoczyły... Lubiłam go. I to wszystko.

Skręciłem w Mass Pike.

- Ja też go lubiłem.

West Beckett, położone w samym sercu Berkshire Mountains, przypominało obraz Rockwella. Białe wieże pełniły wobec samego miasteczka funkcję jak gdyby podpórek bibliotecznych, a wzdłuż Main Street ciągnęły się chodniki z desek z sosny żywej. Przy nich usadowiły się małe sklepiki z antykami i kołdrami. Miasto leżało w niewielkiej dolinie, jak porcelanowe cacko w dłoni, otoczone ciemnozielonymi wzgórzami, upstrzonymi łatami śniegu, które wśród zieleni przypominały chmurki.

Dom Jacka Doyle'a, podobnie jak dom Broussarda, był odsunięty od drogi, położony na stoku i zasłonięty drzewami. Do tego domu, z opuszczonymi żaluzjami i zimnym kominem, ukrytego znacznie głębiej niż tamten w lesie, prowadził długi na jakieś czterysta metrów podjazd, a od najbliższych sąsiadów dzieliła go czteroakrowa działka.

Ukryliśmy samochody mniej więcej dwadzieścia metrów od drogi głównej, w połowie zbocza i dalej poszliśmy pieszo przez las, wolno i ostrożnie, nie tylko dlatego, że byliśmy nieobcyi z przyrodą, ale także dlatego, że Angie z trudem znajdowała tu solidne oparcie dla kul. Zatrzymaliśmy się dziesięć metrów od polany, na której stał parterowy dom w stylu chaty z bali, z otaczającym go dokoła gankiem i polanami ułożonymi pod oknem kuchennym.

Podjazd był pusty, a sam dom też robił takie wrażenie. Obserwowaliśmy go przez piętnaście minut, ale nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Z komina nie unosił się dym.

- Idę - powiedziałem w końcu.

- Jeśli on tam jest - ostrzegł mnie Oscar - to ma prawo do ciebie strzelić, jak tylko postawisz nogę na ganku.

Sięgnąłem po pistolet, ale kiedy dotknąłem palcami pustej kabury, uświadomiłem sobie, że musiałem zostawić broń w depozycie policyjnym.

Odwróciłem się do Devina i Oscara.

- Wykluczone - rzekł Devin. - Nikt więcej nie będzie strzelał do policjantów, nawet w obronie własnej.

- A jeśli on wyciągnie broń?

- Pozostaje ci tylko modlitwa - odparł Oscar.

Potrząsnąłem głową, rozsunałem krzewy i uniosłem kolano, żeby dać krok, ale w tym momencie Angie powiedziała:

- Poczekaj.

Wstrzymałem się i zaczęliśmy nasłuchiwać. Usłyszeliśmy narastający warkot silnika. Spojrzeliśmy w prawo akurat w porę, żeby zobaczyć starego mercedesa terenowego, z przymocowanym do maski pługiem śnieżnym, który podskakując na drodze, wjechał właśnie na polanę. Zaparkował przy schodkach, stroną kierowcy do nas. Otworzyły się drzwi i wysiadła pulchna kobieta z miłą, szczerą twarzą. Wciągnęła powietrze i popatrzyła między drzewami jak gdyby prosto na nas. Miała wspaniałe oczy - najczystszy błękit, jaki kiedykolwiek widziałem - a na jej jasnej twarzy malowała się siła, efekt życia w dzikiej przyrodzie gór.

- Żona - wyszeptał Oscar. - Tricia.

Kobieta odwróciła się i wsiadła z powrotem do samochodu. W pierwszej chwili pomyślałem, że wysiądzie z torbą zakupów, ale nagle... coś w mojej piersi skoczyło i zaraz potem zamarło.

Bródka Amandy McCready opadła na ramię kobiety. Mała patrzyła na mnie między drzewami sennym wzrokiem. Miała na głowie czerwono-czarną czapkę z nausznikami i trzymała w buzi duży palec.

- Ktoś zasnął w samochodzie - powiedziała Tricia Doyle - prawda, proszę pani?

Amanda odwróciła głowę i wtuliła ją w szyję kobiety. Pani Doyle zdjęła jej czapkę i wygładziła włoski, tak lśniące, że prawie złote pod zielonymi drzewami i czystym niebem.

- Pomożesz mi przygotować lunch?

Widziałem, że usta Amandy się poruszyły, ale nie słyszałem, co powiedziała. Znów przechyliła główkę, a na jej buzi pojawił się uśmiech, tak nieśmiały, tak pełen zadowolenia i tak słodki, że aż coś mnie ścisnęło za serce.

Obserwowaliśmy kobietę i dziecko jeszcze przez dwie godziny.

Tricia z Amandą szykowały w kuchni grillowane kanapki z serem. Pani Doyle

stała nad patelnią, a Amanda siedziała na ladzie, podając jej chleb i ser. Jadły potem przy stole, a ja wdrapałem się na drzewo i stojąc na grubym konarze, wsparty rękami o gałąź, obserwowałem, co się dzieje.

Rozmawiały przy kanapkach i zupie, przysuwając się jedna do drugiej, gestykulując i śmiejąc się z pełną buzią.

Po lunchu wspólnie pozmywały, a potem Tricia Doyle znów posadziła Amandę na ladzie, ubrała ją w płaszcz i czapkę i z czułością patrzyła, jak mała stawia po kolei nogi w tenisówkach na ladzie i zawiązuje sobie sznurowadła.

W pewnym momencie Tricia znikła gdzieś w głębi domu, udając się - jak sądziłem - po swój płaszcz i buty, a dziewczynka wyglądała przez okno. Stopniowo na jej twarzyczce pojawiał się wyraz niewysłowionego smutku i opuszczenia. Patrzyła na coś bardzo dalekiego, za lasem, za wzgórzami, a ja się zastanawiałem, czy to świadomość koszarnej przeszłości, czy przerażająca niepewność jutra - w które jeszcze nie mogła uwierzyć - tak bardzo zmieniła jej rysy. W tym momencie ponad wszelką wątpliwość poznałem w niej córkę Helene i już nie miałem wątpliwości, gdzie widziałem ten sam wyraz twarzy. I że było to tamtej nocy w barze, kiedy mi Helene obiecywała, że gdyby kiedykolwiek dostała drugą szansę, to już nigdy, ani na jedną chwilę nie spuściłaby Amandy z oka.

Tricia Doyle wróciła do kuchni i przez twarz Amandy przemknęła chmura rozterki - mieszanina krzywd starych i nowych - która powoli ustąpiła ostrożnemu i nieśmiało, ale pełnemu nadziei uśmiechowi.

Kiedy ukazały się na ganku, towarzyszył im krępy buldog, którego sierść - mieszanina cętkowanego brązu z bielą - doskonale pasowała do tła: nagiego brunatnego zbocza z łąką śniegu między dwiema skałami.

Amanda tarzała się z psem, piszcząc za każdym razem, kiedy ją przygniatał swoim cielskiem i kiedy czuła na policzku kroplę jego gęstej śliny. W pewnym momencie zerwała się z ziemi, a psisko ruszyło za nią w pogoń, skacząc jej na nogi.

Tricia Doyle przytrzymała psa i pokazała Amandzie, jak go szczotkować, robiąc to na klęczkach, delikatnie, jakby czesała własne włosy.

- On tego nie lubi. - Po raz pierwszy usłyszałem głos Amandy. Był pełen ciekawości, inteligentny, czysty.

- Woli, jak ty to robisz - powiedziała Tricia Doyle - ty jesteś delikatniejsza.

- Ja? - Dziewczynka spojrzała jej w oczy i zaczęła czesać psa powolnymi, równymi ruchami.

- Oczywiście, dużo delikatniejsza. Ja mam stare ręce i tak mocno przyciskam szczotkę, że czasami daję biednemu Larry'emu porządnie w kość.

- A dlaczego nazwałaś go Larry? - Głos Amandy stał się śpiewny, kiedy wymawiała to imię, podnosząc nieco ton na drugiej sylabie.

- Przecież już ci opowiadałam tę historię - odparła Tricia.

- Ale opowiedz mi jeszcze raz - prosiła Amanda. - Proszę.

Tricia zachichotała.

- Kiedy się pobieraliśmy, mój mąż miał wujka, który był bardzo podobny do buldoga. Miał duże, obwisłe policzki.

Tricia Doyle wolną ręką złapała się za policzki i pociągnęła je w dół.

Amanda roześmiała się.

- I wyglądał jak pies?

- Owszem, młoda damo. A nawet czasami szczekał. Mała roześmiała się ponownie.

- Nie mów.

- Ależ tak. Hau!

- Hau! - powtórzyła Amanda.

A potem dołączył do nich pies, Amanda odłożyła szczotkę i cała trójka, siedząc w kucki naprzeciwko siebie, szczekała.

Przez resztę popołudnia żadne z nas czworga, czekających w lesie, nie odezwało się słowem. Patrzyliśmy, jak kobieta i dziecko bawią się z psem i ze sobą, budując ze starych numerowanych pustaków minidom.

Przyglądaliśmy się, jak siedzą na ławce, oparte o barierkę ganku, okryte kocem, z psem u nóg i jak Tricia, z brodą wspartą na główce Amandy, coś do niej mówi, a mała, przytulona do jej piersi, odpowiada.

Miałem wrażenie, że wszyscy czuliśmy się w tamtym lesie jacyś brudni, małostkowi i bezpłodni. Bezdzielni. Niegodni, niedorośli i niechętni ofierze rodzicielstwa. Biurokraci w dziewiczej przyrodzie.

W pewnym momencie, kiedy kobieta i dziecko weszły za rękę do domu, z psem, który kręcił im się pod nogami, na polanę zajechał Jack Doyle. Wsiadł z forda explorera, trzymając pod pachą pudło, którego zawartość - cokolwiek to było - wywołała chwilę później piski entuzjazmu zarówno Tricii, jak i Amandy, tak głośne, że dochodziły nawet do nas.

Wkrótce cała trójka pojawiła się w kuchni i widzieliśmy wyraźnie, jak siedząca na

ladzie Amanda gada non stop, gestami pokazując, jak czesała psa i łapiąc się za policzki, żeby za przykładem Tricii opisać wujka Larry'ego. Jack Doyle odrzucił głowę do tyłu, zaśmiewając się i tuląc Amandę do piersi. A kiedy próbował wstać, mała przylgnęła do niego, ocierając się buzią o jego nieogolony policzek.

Devin sięgnął do kieszeni, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer 411, a kiedy odezwała się operatorka, powiedział:

- Poproszę biuro szeryfa West Beckett. - Kiedy podała mu numer, powtórzył go pod nosem, a następnie wystukał na klawiaturze telefonu.

Zanim jednak zdążył wcisnąć „yes”, Angie złapała go za rękę.

- Co ty robisz, Devin?

- A co ty robisz, Angie? - Spojrzał na jej rękę.

- Masz zamiar ich aresztować?

Devin popatrzył na dom, potem znów na nią i zmarszczył czoło.

- Tak, Angie, mam zamiar ich aresztować.

- Ale nie możesz.

Cofnął rękę.

- Owszem, mogę.

- Nie. Ona jest... - Angie wskazała między drzewami. - Nie widziałeś tego wszystkiego? Oni są dla niej dobrzy. Oni są... Jezu, Devin, oni ją k o c h a j ą.

- Oni ją porwali - odparł. - Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

- Nie, Devin. Ona... - Angie na chwilę spuściła głowę. - Jeśli ich aresztujemy, to przecież oni oddadzą Amandę Helene. A ona wyssie z niej całe życie.

Devin popatrzył Angie w twarz z wyrazem zaskoczenia i niedowierzania.

- Posłuchaj mnie, Angie. To jest policjant. A ja nie lubię aresztować policjantów. Ale na wypadek gdybyś zapomniała, spieszę ci przypomnieć, że ten policjant stał za zabójstwem Chrisa Mullena, Pharaoha Gutierrez i Sera Olamona - jeśli nie wprost, to pośrednio. Najprawdopodobniej wydał też wyrok śmierci na Lionela McCready'ego i na was dwoje. On ma na rękach krew Broussarda. I Pasquale'a. To morderca.

- Ale... - Angie z rozpaczą spojrzała w stronę domu.

- Ale co? - Twarz Devina wykrzywiła złość.

- Oni kochają tę dziewczynkę - powiedziała Angie.

Devin podążył za jej wzrokiem do kuchni domu, gdzie Jack i Tricia huścili Amandę, trzymając ją za rączki.

Jego twarz złagodniała, kiedy na to patrzył i niemal widziałem jego ból: ciemną

chmurę na czole i szeroko rozwarte oczy, jakby od silnego wiatru.

- Helene McCready - powiedziała Angie - zniszczy to życie. Ona je zniszczy. Wy to wiecie. Patrick, ty to wiesz.

Odwróciłem się.

Devin głęboko zaczerpnął tchu i głowa odskoczyła mu w bok, jakby dostał cios w policzek. A potem potrząsnął głową, oczy zrobiły mu się małe, odwrócił się od domu i wcisnął „yes”.

- Nie - powiedziała Angie - nie.

Patrzyliśmy, jak Devin przykłada telefon do ucha i słyszeliśmy powtarzający się sygnał po drugiej stronie. Na koniec przerwał połączenie, wciskając „end”.

- Nie ma nikogo. Szeryf najprawdopodobniej poszedł doręczać pocztę, w takim małym miasteczku...

Angie zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

Nad czubkami drzew przeleciał jastrząb, przesywając zimne powietrze ostrym, przenikliwym krzykiem, który zawsze mi się kojarzył z nagłym oburzeniem, żywiołową reakcją na świeżą ranę.

Devin wrzucił telefon do kieszeni i wyjął odznakę policyjną.

- Niech to szlag. Idziemy.

Odwróciłem się do domu, ale Angie złapała mnie za ramię i obróciła do siebie. Była rozdarta, miała dziki wyraz twarzy; włosy opadły jej na oczy.

- Patrick, Patrick, nie, nie, nie. Proszę cię, na miłość boską, nie. Powiedz mu. My nie możemy tego zrobić. Nie możemy.

- Takie jest prawo, Angie.

- Bzdura! To jest... to jest złe! Oni kochają to dziecko. Doyle już nie stanowi zagrożenia dla nikogo.

- Bzdura - powiedział Oscar.

- A dla kogo on stanowi zagrożenie? - zapytała Angie. - Dla kogo może być groźny? Skoro Broussard nie żyje, to kto może wiedzieć, że był w to zamieszany? Niczego już nie musi ukrywać. Nikt mu nie zagraża.

- My mu zagrażamy! - powiedział Devin. - Zwariowałaś czy co?

- Tylko gdybyśmy próbowali coś z tym zrobić. Ale jeśli się stąd po cichu wyniesiemy i nie puścimy pary z ust, to sprawa będzie zakończona.

- Tyle tylko, że on tam przetrzymuje cudze dziecko - powiedział Devin z twarzą zaledwie o parę centymetrów od jej twarzy.

Angie obróciła się do mnie.

- Posłuchaj mnie, Patrick. Posłuchaj. On... - Pchnęła mnie w pierś. - Nie rób tego, proszę cię, nie rób!

W jej twarzy nie było nic, co by miało cokolwiek wspólnego z logiką. Nic sensownego. Tylko rozpacz, lęk i dzikie pragnienie. I ból. Bezmiar tych wszystkich uczuć.

- Angie - powiedziałem łagodnie. - To dziecko do nich nie należy. Amanda należy do Helene.

- Helene to arszenik, Patrick. Mówiłam ci to już bardzo dawno. Ona z tej małej wyszła całą radość życia. Ona ją zamknie w więzieniu. Ona... - Łzy leciały Angie strumieniami, zatrzymując się w kącikach ust, ale ona tego nawet nie zauważyła. - Helene jest jak śmierć. Jeżeli zabierzesz małą z tego domu, to tak, jakbyś ją skazał na śmierć. Na powolne umieranie.

Devin spojrział na Oscara, a potem na mnie.

- Ja już dłużej nie mogę tego słuchać.

- Proszę! - Krzyk Angie był wysoki jak gwizd kotła parowego, a jej twarz jak gdyby się zapadła.

Położyłem jej ręce na ramionach.

- Angie - powiedziałem łagodnie. - Może się mylisz co do Helene. Może to wszystko czegoś ją nauczyło. Wie, że była beznadziejną matką. Gdybyś ją widziała tamtej nocy, kiedy ją...

- Odwal się - warknęła Angie z lodowatą nutą w głosie. Wyszarpnęła się i gwałtownym ruchem wytarła oczy. - Przestań mi wciskać ten pieprzony kit w rodzaju: jak ją wtedy spotkałem, miała taką smutną twarz. A gdzie ją mogłeś spotkać, Patrick? Tylko w barze, prawda? Mam gdzieś te twoje idiotyczne gadki o tym, że ludzie się uczą. Ludzie się nie uczą. Ludzie się nie zmieniają.

Odwróciła się do nas tyłem i wyłowiła z torebki papierosy.

- Nie mamy prawa jej osądzać - rzekłem. - To nie jest...

- To kto ma takie prawo? - odparta.

- Na pewno nie oni. - Wskazałem między drzewami na dom. - Ci ludzie przyznali sobie prawo do decydowania o tym, czy inni nadają się do wychowywania swoich dzieci. Kto im dał takie prawo? A jeśli spotkają kiedyś dziecko, którego religia im się nie spodoba? A jeśli nie spodobają im się rodzice, bo są gejami albo są czarni, albo mają tatuaże? To co wtedy?

Przez jej twarz przemknęła czarna chmura lodowatego gniewu.

- Doskonale wiesz, że nie o tym mówimy. Mówimy o tym szczególnym przypadku i o tym szczególnym dziecku. Nie wciskaj mi tego infantylnego filozofowania, którego cię nauczyli jezuici. Nie masz odwagi zrobić tego, co słuszne, Patrick. Żaden z was nie ma odwagi. A to jest takie proste. Jesteście zwykli tchórze. I tyle.

Oscar spojrział między drzewami.

- Może i jesteśmy.

- Idźcie - powiedziała. - Idźcie, aresztujcie ich. Ale ja nie mam zamiaru na to patrzeć. - Zapaliła papierosa i widziałem, jak jej plecy sztywnieją, kiedy opierała się na kulach. Wzięła papierosa między palce i ujęła uchwyty kul. - Znienawidzę was za to. Wszystkich trzech.

Ruszyła, a my patrzyliśmy, jak idzie przez las do samochodu.

Chyba nigdy, w ciągu całej mojej pracy prywatnego detektywa, nie przeżyłem niczego tak paskudnego i wyczerpującego jak tamto aresztowanie Jacka i Tricii Doyle'ów w kuchni ich domu.

Jack nie stawiał żadnego oporu. Siedział na krześle przy stole kuchennym, trząsł się i płakał. Tricia rzucała się z pazurami na Oscara, kiedy wrywał jej małą z ramion, a Amanda wrzeszczała, okładając go pięściami i krzycząc: „Nie, babciu, nie! Nie pozwól mu mnie zabrać! Nie pozwól!”.

Szeryf oddzwonił do Devina i po kilku minutach przyjechał na miejsce. Wszedł do kuchni Doyle'ów kompletnie zdezorientowany w chwili, gdy Amanda zwisała bezwładnie w ramionach Oscara, a Tricia, tuląc do siebie głowę płaczącego Jacka, delikatnie ją kołysała.

- Mój Boże - wyszeptała Tricia, oczyma wyobraźni widząc koniec ich życia z Amandą, koniec wolności, koniec wszystkiego. - O mój Boże - powtórzyła, a ja się zastanawiałem, czy On ją słyszy, czy słyszy pochlipującą na piersi Oscara Amandę, Devina odczytującego Jackowi jego prawa; czy On w ogóle cokolwiek słyszy.

Epilog

Szczęśliwy powrót dziecka do matki.

„Szczęśliwy powrót dziecka do matki”, jak brzmiał nazajutrz rano nagłówek w „News”, był transmitowany na żywo siódmego kwietnia o godzinie 8.05 wieczorem czasu wschodniego na wszystkich kanałach lokalnych.

W świetle jupiterów Helene, roztrącając tłum reporterów, zbiegła po stopniach ganku i z rąk pracownicy opieki społecznej odebrała Amandę. Wydała zwierzęcy skowyt i z twarzą zalaną łzami zaczęła całować policzki, czoło, oczy i nos małej.

Amanda zarzuciła matce ręczki na szyję i wtuliła buzię w jej ramię, a kilkoro sąsiadów wybuchnęło hałaśliwymi brawami. Helene rozejrzała się zmieszana. Następnie uśmiechnęła się ze wstydliwą skromnością, zamrugła w ostrych światłach i uśmiechając się coraz szerzej, pogłaskała małą po plecach.

Stojący przed telewizorem w moim living roomie Bubba spojrzal na mnie i powiedział:

- Czyli że wszystko jest już w porządku, tak?

Skinąłem głową w kierunku telewizora.

- Tak, na to wygląda.

Bubba odwrócił się, kiedy kuśtykająca o kulach Angie pojawiła się w korytarzu z kolejnym pudłem, które postawiła na stosie pod drzwiami, po czym wróciła do

sypialni.

- To dlaczego ona się wyprowadza?

Wzruszyłem ramionami.

- Spytaj jej.

- Pytałem, ale ona mi nie chce powiedzieć.

Ponownie wzruszyłem ramionami, bojąc się zaufać swoim słowom.

- Wiesz, co ci powiem, bracie? Nie bardzo dobrze się czuję, pomagając Angie w tej wyprowadzce. Ale ona mnie o to poprosiła.

- Wszystko w porządku, Bubba. Nie przejmuj się.

W telewizji Helene powiedziała reporterowi, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Bubba potrząsnął głową, wziął stos pudeł i wyszedł z nimi z mieszkania.

Stałem w drzwiach sypialni i patrzyłem, jak Angie ściąga z wieszaków koszule i rzuca je na łóżko.

- Dasz sobie radę?

Sięgnęła do szafy i zgarnęła wiązkę wieszaków.

- Dam.

- Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać. Wygładziła zmarszczki na leżącej na wierzchu koszuli.

- Już rozmawialiśmy. W lesie. Wszystko jest dla mnie jasne.

- Ale dla mnie nie.

Rozsunęła suwak torby i włożyła tam koszule.

- Ale dla mnie nie - powtórzyłem.

- Niektóre z tych wieszaków są twoje - powiedziała. - Później ci je zwrócę.

Sięgnęła po kule i ruszyła w moją stronę. Stałem w miejscu, blokując jej drogę. Spuściła głowę i patrząc w podłogę, spytała:

- Zamierzasz wiecznie tkwić w tych drzwiach?

- Nie wiem. To zależy od ciebie.

- Po prostu się zastanawiam, czy mam odłożyć kule, czy nie. Jeśli będę dalej tak stała, to mi za chwilę zdrtwieją ręce.

Odsunąłem się i Angie natknęła się na Bubbę, który właśnie zdążył wrócić.

- Na łóżku leży torba z ubraniami - powiedziała - i to już jest koniec.

Kiedy dotarła do schodów, usłyszałem, jak składa razem kule i trzymając się wolną ręką poręczy, schodzi na dół.

Bubba wziął z łóżka torbę z ubraniem.

- Co jej zrobiłeś, człowieku? - Zwrócił się do mnie.

Stała mi przed oczami Amanda, jak leży na ławce w ramionach Tricii Doyle i jak obie, otulone szczelnie kocem, swobodnie sobie rozmawiają.

- Złamałem jej serce - odparłem.

W ciągu najbliższych tygodni Jackowi Doyle'owi, jego żonie Tricii i Lionelowi McCready federalna wielka ława przysięgłych postawiła zarzuty kidnaperstwa, przetrzymywania siłą osoby nieletniej, narażenia bezpieczeństwa dziecka i poważnego zaniedbania. Jack został również oskarżony w sprawie o morderstwo Christophera Mullena i Pharaoha Gutierrez, a także usiłowania zabójstwa Lionela McCready'ego i agenta federalnego Neala Ryersona.

Tymczasem Ryerson wyszedł ze szpitala. Lekarze wprawdzie uratowali mu rękę, ale była jakby uschnięta, bezwładna, przynajmniej czasowo, a niewykluczone, że nawet na zawsze. Wrócił do Waszyngtonu, gdzie skierowano go do pracy biurowej w Programie Ochrony Świadców.

Ja zostałem wezwany przez wielką ławę przysięgłych i przesłuchany na okoliczność wszystkiego, co wiem w sprawie skandalu, nazwanego przez prasę „Policyjnym kidnappingiem”, który to termin stał się wkrótce dla tej afery tym, czym nazwa Watergate dla bezmiarów nadużyć i korupcji Nixona.

Moich komentarzy, dotyczących kilku ostatnich chwil Remy'ego Broussarda, które spędziliśmy razem na dachu, wielka ława przysięgłych nie wzięła pod uwagę, ponieważ nie miał ich kto potwierdzić. Moje zeznania ograniczono tylko do tego, co sam zaobserwowałem i zanotowałem.

Nikt nigdy nie został oskarżony o zamordowanie Małego Davida Martina, Kimmie Niehaus, Svena „Sera” Olamona czy Raymonda Likanskiego, którego ciała nie znaleziono.

Prokurator federalny powiedział mi, że wątpi, by Jacka Doyle'a skazano za zamordowanie Mullena i Gutierrez, ale ponieważ jego udział w tej sprawie był więcej niż oczywisty, zostanie ukarany z całą surowością prawa za porwanie i już nigdy nie wyjdzie na wolność.

Rachel i Nicolas Broussard zniknęli jeszcze tej samej nocy, kiedy umarł Remy, udając się w nieznanym kierunku, z - jak sądziła prokuratura - dwustu tysiącami dolarów Sera Olamona.

Uznano, że ludzkie szczątki, znalezione w piwnicy Leona i Roberty Trettów, należały do pięcioletniego chłopca, który dwa lata temu zniknął z zachodniego Vermontu i do siedmioletniej niezidentyfikowanej dziewczynki.

W czerwcu wpadłem do Helene.

Uściskała mnie kościstymi rękami, które mało nie zostawiły mi na szyi siniaków. Pachniała perfumami i miała usta umalowane jaskrawą szminką.

Amanda siedziała w living roomie na kanapie i oglądała komedię o samotnym ojcu wychowującym rozwinięte nad wiek sześćioletnie bliźnięta. Ojciec był senatorem czy gubernatorem, który ciągle siedział w pracy i który - o ile mogłem się zorientować - nie miał opiekunki do dzieci. Od czasu do czasu wpadał jakiś Latynos złota rączka, skarżąc się na swoją żonę, Rosę, która nieustannie cierpiała na ból głowy. Jego dowcipy miały podtekst seksualny i bliźnięta uśmiechały się porozumiewawczo, podczas gdy gubernator za wszelką cenę starał się zachować powagę. Widowni się to bardzo podobało i po każdym dowcipie dosłownie szalała.

A Amanda po prostu siedziała i patrzyła w telewizor. Miała na sobie różową koszulkę nocną, która wyraźnie wymagała uprania i nie poznała mnie.

- To jest mój przyjaciel, Patrick, kochanie.

Dziewczynka spojrzała na mnie i uniosła rękę.

Odwzajemniłem ten gest powitalny, ale ona już tego nie widziała, z powrotem wpatrzona w telewizor.

- Amanda uwielbia ten program. Prawda, kochanie?

Amanda nie odezwała się słowem.

Helene przeszła przez living room z przekrzywioną głową, wpinając sobie kolczyk w ucho.

- Ale Bea cię nienawidzi, Patrick, za to, co zrobiłeś Lionelowi - oznajmiła.

Poszedłem za nią do jadalni, patrząc, jak zgarnia różne rzeczy ze stołu do torebki

- Pewnie dlatego mi nie zapłaciła.

- Przecież mogłeś ją podać do sądu, no nie? - powiedziała Helene. - Nie mam racji? Mogłeś.

Puściłem to mimo uszu.

- A ty co? Też mnie nienawidzisz?

Potrząsnęła głową i przyklepała sobie włosy po bokach.

- Żartujesz? Lionel ukradł mi dzieciaka. Nieważne - brat czy nie brat, pieprzyć go.

Ale mogło jej się coś stać. No nie?

Na dźwięk słowa na „p” coś jak gdyby drgnęło w twarzy Amandy.

Helene przejechała ręką po trzech kolorowych plastikowych bransoletkach i potrząsnęła ramieniem tak, że zjechały na przegub dłoni.

- Wychodzisz? - spytałem.

Uśmiechnęła się.

- Wiesz, taki jeden facet widział mnie w telewizji i uważa, że jestem wielką gwiazdą. - Roześmiała się. - Ale numer, prawda? W każdym razie umówił się ze mną. Kawał cwaniaka.

Spojrzałem na siedzące na kanapie dziecko.

- A co z Amandą?

Helene zafundowała mi szeroki uśmiech.

- Dottie się nią zajmie.

- A Dottie o tym wie?

Zachichotała.

- Za pięć minut się dowie.

Spojrzałem na Amandę w chwili, kiedy na jej twarzy igrało odbicie elektrycznego otwieracza do puszek z telewizji. Częściowo otwarta puszka na jej czole przypominała usta, kwadratowa broda malej była skąpana w białoniebieskim świetle, a szeroko otwarte oczy patrzyły na to wszystko, przy akompaniamencie melodyjki, bez najmniejszego zainteresowania. Otwieracz do puszek ustąpił miejsca seterowi irlandzkiemu, który skoczył na czoło Amandy i zaczął się tarzać po trawniku.

- Kawior psiego pokarmu - oznajmił spiker. - Bo czy wasz pies nie zasługuje na to, żebyście go traktowali jak członka rodziny?

To zależy od psa, pomyślałem. I od rodziny.

Nagle ogarnęło mnie potworne znużenie - poczułem pod żebrami jakby koszmarną kolkę. Ustąpiła jednak tak samo szybko, jak się pojawiła, pozostawiając pulsujący ból w stawach.

Zebrałem siły, by przejść przez pokój.

- Do widzenia, Helene.

- O, już idziesz? Cześć.

Zatrzymałem się przy drzwiach.

- Cześć, Amanda.

Oczy malej pozostały utkwione w ekranie telewizora; jej twarz była skąpana w

szarym jak cyna blasku.

- Cześć - powiedziała, ale obawiam się, że mówiła do latynoskiego majstra, który właśnie wrócił do domu, do Rose.

Po wyjściu od Helene szedłem jakiś czas, aż wreszcie zatrzymałem się na placu zabaw u Ryana i usiadłem na huśtawce, tak jak wtedy z Broussardem, popatrzyłem na wykop nieskończonej sadzawki, gdzie kiedyś wraz z Oscarem ocaliliśmy dziecko przed szaleństwem Gerry'ego Glynna.

A teraz? Co zrobiliśmy teraz? Jaką zbrodnię popełniliśmy tam, w lasach West Beckett, w tej kuchni, gdzie odebrałem dziecko rodzicom, którzy nie mieli do niego prawa?

Zwróciliśmy Amandę McCready matce i tyle - powiedziałem sobie. - Przecież to żadna zbrodnia. Zwróciliśmy ją tam, gdzie jest jej miejsce. Nic więcej. Ani mniej.

Właśnie to zrobiliśmy.

Zwróciliśmy ją matce.

Port Mesa, Teksas

Październik 1998

Pewnego wieczoru w Crockett's Last Stand Rachel Smith bierze udział w pijackiej rozmowie na temat tego, za co warto umrzeć.

Za ojczyznę - powiada facet, który świeżo zakończył służbę wojskową. Inni wznoszą toast.

Za miłość - mówi drugi, co zostaje skwitowane serią szyderczych uwag.

Za Dallas Mavericks - wrzeszczy ktoś inny. - Umieramy za nich, od kiedy weszli do NBA.

Śmiech.

Jest wiele rzeczy, za które warto umrzeć - mówi Rachel Smith, która już po swojej zmianie, ze szklaneczką whisky w ręku, podchodzi do stołu. - Nie ma dnia, żeby nie umierali ludzie. Dla pięciu dolarów. Dlatego że napotkali spojrzenie niewłaściwej osoby w niewłaściwym czasie. Dla krewetek. Śmierć nie jest miarą człowieka - dodaje Rachel.

A co jest miarą człowieka? - woła ktoś z obecnych.

Zabijanie - odpowiada Rachel.

Na chwilę zapada w barze cisza. Mężczyźni oceniają Rachel i to coś twardego, ten zimny spokój w jej głosie, idący czasem w parze ze spojrzeniem, które może zdenerwować, jeśli się stoi zbyt blisko.

Wreszcie ciszę przerywa Elgin Bern, kapitan „Blue Eden”, najlepszego kutra poławiającego krewetki w Port Mesa:

A ty, Rachel, za co mogłabyś zabić?

Rachel uśmiecha się. Unosi szklanekę, tak że światła jarzeniówek znad stołu bilardowego odbijają się w kostkach lodu.

Za rodzinę - odpowiada Rachel. - I tylko za rodzinę.

Paru facetów śmieje się nerwowo.

Bez namysłu - dodaje Rachel. - Bez skrupułów.

Bez odrobiny litości.